

COLIN FORBES

WÓDZ I PRZEKLĘCI

Przekład

MONIKA KLUCZYŃSKA

Tytuł oryginału

TI - LEADER AND TI DAMNED

Dla Jane, dla Marjory dzięki nim powstała ta książka...

W nocy, jeśli wierzyć oświadczeniu Hanny Reitsch, Hitler zgromadził wokoło siebie cały "dwór" i w tym makabrycznym conclave każdy przedstawił swój plan samobójstwa...

Jest to wszystko, co wiemy o losach zwłok Hitlera i Ewy Braun.

Pałac się wolno na gruncie piaszczystym sto osiemdziesiąt litrów benzyny mogło zwęglić ciało, pozostawiając resztki nie do rozpoznania, ale kości oparłyby się płomieniom. Tych kości jednak nigdy nie odnaleziono.... los Martina Bormanna pozostał tajemnicą.

Wyjątki z książki "Ostatnie dni Hitlera" Hugh'a R. Trevor -

Ropera (podkreślenie C. Forbesa) tłumaczył Kazimierz Fudakowski.

W ostatnich swoich latach Hitler przejawiał niechęć do publicznego występowania, wyrzekł się tej niezwyklej władzy, którą, jako wiecowy mówca, sprawował nad masami.

Wyjątek z książki "Hitler. Studium tyranii" Alana Bullocka;
tłum. Tadeusz Evert. ..

Sowietom mieli w Szwajcarii fantastyczne źródło informacji, niejakiego Rudolfa Roesslera (kryptonim "Lucy"). Kanałami, których do dziś nie udało się ustalić, Roessler - otrzymywał wiadomości z najwyższego szczebla niemieckich władz wojskowych...

Wyjątek z "The Craft Of Intelligence" (Sztuka wywiadu)
Allena Dullesa.

Część pierwsza

CZŁOWIEK W LUSTRACH

Rozdział pierwszy

13 marca 1943 roku.

Bomba zegarowa, która miała zabić Adolfa Hitlera, wodza narodu niemieckiego i głównodowodzącego niemieckich sił zbrojnych, została zmontowana w Smoleńsku z wielką starannością.

Straszliwa rosyjska zima wciąż dawała się we znaki. W chwili

gdy Hitler omawiał z feldmarszałkiem von Klugem następną planowaną ofensywę przeciwko Armii Czerwonej, termometry wskazywały wiele stopni poniżej zera. Fuhrer, ubrany w wojskowy gruby płaszcz i czapkę ze złotym orłem trzymającym w szponach swastykę, był w świetnym nastroju - ożywiony, pełen pasji i optymizmu.

- Zmiażdżymy Rosjan! Zaatakujemy wcześniej, niż się spodziewają - powiedział do von Klugego i towarzyszących mu oficerów sztabowych. - Unicestwimy ich jednym potężnym ciosem, przygniemy przewagą ludzi, czołgów, dział...

- Mein Fuhrer - wtrącił z szacunkiem von Kluge - czuję się w obowiązku przypomnieć, że w chwili obecnej wojska Stalina mają nad nami przewagę liczebną...

- Tylko chwilowo.

Po tej krótkiej uwadze Hitler zamilkł. Rozejrzał się po na wpół zrujnowanym betonowym bunkrze, w którym odbywała się narada, i podszedł sztywnym krokiem do okna z rozbitą szybą, zasłoniętego brezentową płachtą trzepoczącą w porywach wichury. Był to typowy dramatyczny gest, aktorski chwyt, aby utrzymać widownię w napięciu przed wygłoszeniem sensacyjnego oświadczenia. W milczeniu, jakie zapanowało, wycie wiatru stało się głośniejsze. Cisza się przedłużała.

Hitler patrzył przez okno na nie kończący się sznur radzieckich jeńców, brnących przez śnieg pod strażą żołnierzy Wehrmachtu.

Obraz białego piekła Rosji ginął w dali za zasłoną padającego śniegu.

Za sznurem jeńców widać było inny zniszczony bunkier, którego strop groził zawaleniem. Niezwykła intuicja Hitlera nie ostrzegła go tym razem, że w tamtej ruinie dzieje się coś niezwykłego.

Odwrócił się, podszedł z powrotem do stołu i uderzył zaciśniętą pięścią w rozłożoną na blacie mapę wschodniego frontu. Jego głos stał się wysoki i ostry jak głos szaleńca.

- Tylko chwilowo! - powtórzył. - Nie wiecie jeszcze czegoś, co zamierzam wam oznajmić. Wkrótce będziecie mieli do dyspozycji dodatkowych czterdzieści dywizji - w tym dziesięć pancernych! Któż odważy się zaprzeczyć, że z taką siłą w ciągu dwóch miesięcy zmieciemy Armię Czerwoną z powierzchni ziemi?!

Drętwiejąc z zimna pomimo piecyków rozstawionych wokół stołu - w całym budynku cuchnęło wyziewami palonego oleju - von Kluge był równie zdumiony jak jego oficerowie. On pierwszy spośród obecnych na tyle odzyskał przytomność umysłu, by ostrożnie zapytać:

- Mein Fuhrer, czy można wiedzieć, skąd nadejdzie to rzeczywiście ogromne wsparcie?

- Z zachodu, oczywiście! - krzyknął Hitler. - Natychmiast po powrocie do swej kwatery wydam odpowiedni rozkaz. Z tymi świeżymi ludźmi i czołgami już w maju będziecie w Moskwie! A gdy tylko Moskwa - główny węzeł sowieckich kolei - upadnie, Stalin będzie skończony!

- Lecz tereny zachodniej Europy pozostaną bez obrony -zaoponował von Kluge - otwarte na oścież dla inwazji sił anglo-amerykańskich...

- Ma pan krótką pamięć, mój drogi von Kluge - warknął Hitler. - Zastosowałem z powodzeniem ten sam manewr, gdy najechaliśmy Polskę w 1939 roku. Zachodnie fronty Rzeszy były wówczas bezbronne. W dodatku wojska brytyjskie i francuskie znajdowały się wtedy na miejscu, na kontynencie. I co, zaatakowały?

Nie! Wszystko poszło tak, jak to przewidziałem.

- Ale gdy Churchill dowie się o wycofaniu...

Hitler dał się ponieść własnemu podnieceniu, wprawiając się w stan gniewnej pogardy.

- Myśli pan, że to przeoczyłem? Makiety obozów wojskowych i czołgów są już gotowe! Zdjęcia wykonane z samolotów zwiadowczych wroga potwierdzą, że te czterdzieści dywizji wciąż jest na swoich miejscach! Będzie to mistrzowski manewr! A gdy Moskwa upadnie, wystarczy nam garść oddziałów, aby zgnieść resztki rozproszonych wojsk Stalina. Będzie pan miał całe lato na wykonanie tego zadania bez pośpiechu. Zaś sto dwadzieścia naszych dywizji przeczucimy na zachód i staną twarzą w twarz z tym amerykańskim pachołkiem, Churchillem, i jego mocodawcami. Możliwe, że to pan, von Kluge, otrzyma naczelne dowództwo - dodał od niechcienia.

W betonowym bunkrze, na który Hitler spoglądał przed chwilą, Generał Henning von Tresckow, pierwszy oficer sztabu grupy Armii Środek pod dowództwem von Klugego, właśnie skończył składanie bomby i zajął się nastawianiem mechanizmu zegarowego. Przy drzwiach czuwał jego pomocnik, porucznik Schlabrendorff. O wiele młodszy od generała, był w tej chwili istnym kłębkim nerwów. - Zastygł w bezruchu, roztrząsając w myśli wszystkie elementy

spisku, które mogły się nie powieść.

- Skąd możemy mieć pewność, kiedy wsiądzie do samolotu?

-spytał. - Trzeba przecież odpowiednio ustawić zegar. Bomba musi wybuchnąć, gdy będą w powietrzu, albo koniec z nami... - Uspokój się - dodawał mu otuchy von Tresckow nie podnosząc oczu znad mechanizmu. - Po konferencji fuhrer wraca od razu do Wilczego Szańca w Prusach Wschodnich, osiemset kilometrów stąd.

To zostawia szeroki margines bezpieczeństwa na obliczenie momentu detonacji...

- Chyba że zdecyduje się tu przenocować.

- Tego nie zrobi. Nigdy nie pozostaje poza swoją główną kwaterą ani chwili dłużej niż to konieczne. Nie ufa nikomu - zawsze taki był.

"I właśnie tej nieufności zawdzięcza, że tak skutecznie unika niebezpieczeństw" - dopowiedział w myśli generał. Lecz tym razem Hitler popełnił niedopatrzenie: pewna grupa generałów w Berlinie czekała tylko na wiadomość o jego śmierci, żeby przejąć władzę. Von Tresckow stwierdził z zadowoleniem, że bomba jest gotowa. Z otwartej paczki wyjął dwie butelki koniaku i postawił je na stole. Włożył na dno pakunku bombę, a na wierzch butelki, tak by ją zasłaniały. Potem bez wahania wyszedł z budynku i skierował się na pas startowy wprost do kondora, który czekał, aby zabrać Hitlera z powrotem do Niemiec.

Adiutant ruszył za nim.

Zanim doszli do samolotu, idący przodem generał został zatrzymany przez Otto Reitera, oficera S.S, pytającego, w jakim celu tu przyszedł.

Von Tresckow wyprostował się sztywno i spojrzał z zimną wyniosłością na bladą twarz esesmana o kościach policzkowych wystających jak w trupiej czaszce. Po kilku sekundach Reiter stracił kontenans i spuściwszy wzrok zerknął na paczkę, którą generał wysunął w jego stronę.

- Drobny upominek dla przyjaciela w Wilczym Szańcu. Chcę to zostawić w samolocie. Czy mam przejść po was, czy zejdziecie mi, do cholery, z drogi? A może chcecie, żebym powiadomił fuhrera, że przekroczyliście swoje kompetencje? Krótki pobyt na froncie nauczy was dyscypliny.

Reiter, którego mózg z zimna prawie już nie funkcjonował, zadrzał na tę groźbę i odsunął się. Von Tresckow po schodkach wspiął się na pokład kondora, przeszedł między wygodnymi fotelami, które specjalnie tu zamontowano, zerknął przez oszronione okno na sylwetkę Reitera pogrążonego w rozmowie ze Schlabrendorfem i wepchnął pakunek pod jedno z siedzeń. Opuściwszy samolot poprawił czapkę, mijając Reitera kichnął gwałtownie i wrócił do swojej kwatery mieszczącej się niedaleko miejsca konferencji.

W normalnych okolicznościach generał musiałby uczestniczyć w naradzie, lecz w ostatniej chwili usprawiedliwił się przed swoim zwierzchnikiem, von Klugem, atakiem grypy. Teraz, z dala od zdenerwowanego adiutanta, pozorne opanowanie von Tresckowa zniknęło bez śladu. Osunął się na materac swej pryczy targany wątpliwościami. Nieodwracalnie już złożył głowę pod topór, a tyle rzeczy mogło jeszcze się nie udać.

Czy ta esesmańska świnia, Reiter, nie zechce wejść do

samolotu, żeby po raz ostatni przejrzeć jego wnętrze? Wyglądało na to, że w pełni go przekonał widok wystających z paczki szyjek dwóch butelek koniaku. Czy Hitler nie zmieni w ostatniej chwili swoich planów, jak to się już często zdarzało? Ten człowiek najwyraźniej posiadał jakiś niesamowity instynkt, ostrzegający go przed, niebezpieczeństwem.

Przeżył jak do tej pory sześć zamachów na swoje życie.

Von Tresckow usłyszał kiedyś nawet plotkę, że Hitler ma sobowtóra, którego wygląd mógł każdego oszukać. Czy to naprawdę Hitler wygłasza teraz perorę do oficerów von Klugego?

"Niech to diabli, dawniej nie miałem tylu wątpliwości" - powiedział sam do siebie. To musiała być wina tego przeklętego rosyjskiego mrozu, który przenikał ciało i paraliżował wszelką zdolność logicznego myślenia.

Drzwi się otworzyły i stanął w nich Schlabrendorff.

- Właśnie wychodzi! - krzyknął. - Za chwilę wsiądzie do samolotu!

- A nie mówiłem?

Generał wstał i przycisnął dłoń do lodowatej szyby. Jego pokój również wypełniał wydzielany przez piecyk odór palonego oleju. Nie mógł się zdecydować, czego bardziej nie cierpi - tego ohydny smrodu, który utrzymywał go przy życiu, czy zniechęcającego zimna, czyniącego każdy ruch czy myśl wysiłkiem ponad miarę. Trzymał zdrętwiałą dłoń przytkniętą do okna, dopóki szron w tym miejscu nie stopniał. Przez ciemny otwór ujrzeli niewyraźną sylwetkę fuhrera.

- Rozumiecie, von Kluge - powtórzył Hitler - chodzi o jedno

gigantyczne uderzenie zmasowanymi siłami czołgów i ludzi. Mając pod swoją komendą tę ogromną armię - największą w tej wojnie - będzie pan parł wciąż naprzód, bez ustanku! Zatrzyma się pan dopiero w Moskwie! Wróg nie będzie miał żadnej szansy, żeby się otrząsnąć z zaskoczenia! Nie myślcie nawet o braniu jeńców... - Wpatrywał się w von Klugego swymi intensywnie niebieskimi oczami, wywierającymi na ludzi hipnotyczny wpływ. - Utrzymajcie szybkość ataku jak we Francji w 1940 - zgniećcie te świnie na miazgę! Dalej i dalej, póki nie ujrzycie w celownikach dział kopuł cerkwi świętego Wasyla!

- Rozumiem, mein Fuhrer! Dysponując tak wielką siłą osiągniemy cel...

Hitler, który odwlekał chwilę wejścia do samolotu i dając innym dobry przykład stał na straszliwym mrozie, chwycił kurczowo von Klugego za ramię i zniżył głos.

- Przyjacielu, lada moment wejdzie pan do historii. Jeszcze za sto lat historycy będą opisywać drugą bitwę pod Moskwą, która stała się ostateczną zgubą Stalina i starta bolszewicką zarazę z powierzchni ziemi!

To rzekłszy odwrócił się, a von Kluge, jeden z najmądrzejszych i najbardziej doświadczonych dowódców Hitlera, poczuł, jak rośnie w nim młodzieńczy entuzjazm. Znow dała o sobie znać niezwykła zdolność Hitlera - umiejętność pobudzania ludzi do działania. Von Kluge zsalutował fuhrerowi, kroczącemu wolno w stronę samolotu.

Pod wodzą Reitera uzbrojeni po zęby żołnierze S.S ze straży przybocznej fuhrera ustawili się w szpaler. Hitler przeszedł

bardzo powoli między żołnierzami, przyglądając się badawczo każdej twarzy.

Zimno zdawało się nie robić na nim najmniejszego wrażenia - w ciągu chudych lat młodości w Wiedniu nauczył się ignorować rzeczy tak trywialne, jak fizyczne niewygody, i mobilizować całą niepospolitą siłę woli w ważniejszych sprawach. Wtem zatrzymał się przed schodkami prowadzącymi na pokład. Coś było nie w porządku..

Swym szóstym zmysłem wyczuł jakieś niebezpieczeństwo. Gdzie się mogło kryć? Rozejrzał się wokół szukając jakiejś wskazówki. Pierwszy oficer sztabowy von Klugego, generał von Tresckow, nie przybył na naradę wojenną. Jakieś dolegliwości związane z grypą. Dlaczego mu się to przypomniało? Stał bez ruchu w padającym śniegu, nieczuły na porywy podstępnego wschodniego wiatru. Podwójna kolumna esesmanów zastygła równie nieruchomo z prawicami wzniesionymi w faszystowskim salucie. W oddali było słychać, jakby stłumione odgłosy burzy, grzmoty wystrzałów z frontu, które wiatr donosił aż do Smoleńska..

Generał von Tresckow obserwował tę scenę ze swojej kwatery przez wytopiony w szronie na szybie otwór w kształcie dłoni. Szyba zachodziła mgłą. Nie odważył się oczyścić jej ponownie, ruch mógł zostać zauważony - choćby i przez samego fuhrera. Przed oczami Hitlera nic się nie mogło ukryć.

- Waha się... Coś zwietrzył...

Chwila była pełna napięcia. Schlabrendorff zdał sobie sprawę, że ze strachu zniżył głos do szeptu. Czuł miękkość w kolanach i zastanawiał się, klnąc w duchu, jak mogli podjąć się

realizacji tego szalonego kroku.

- Tak - zgodził się ponuro von Tresckow - ten jego cholerny szósty zmysł znów zadziałał. To niesamowite.

Widział już siebie przed plutonem egzekucyjnym, jak stoi wyprostowany, odarty ze wszystkich orderów, słyszał dźwięk komendy, po której lufy zniżą się i wycelują w niego, i krótkie "Ognia!" A potem wieczne zapomnienie. Wysiłkiem woli godnym samego fuhrera opanował strach i czekał.

Hitler wciąż nie wsiadał do samolotu. Esesmani salutujący z wyciągniętymi rękami byli bliscy zamarznięcia w tej pozycji. Feldmarszałek von Kluge i jego sztab stali opodal na baczność. Von Kluge nie otrząsnął się jeszcze z uniesienia. Przed przyjazdem Hitlera czuł się zniechęcony jałowością swoich wysiłków - na miejsce każdego zabitego Rosjanina zaraz pojawiało się dwóch następnych, jak w koszmarze sennym.

Teraz przetrawiał w myślach nowy plan. Im dłużej o nim myślał, tym bardziej wydawał mu się on realny. To, co powiodło się w Polsce, sprawdzi się i w Rosji. Lecz tym razem zwycięstwo będzie kolosalne i wstrząśnie całym światem. Jeden straszliwy atak zniszczy całą Armię Czerwoną. Tylko człowiek obdarzony takimi mesmerycznymi zdolnościami jak Hitler mógł dopiąć tego, by krańcowo zmienić w ciągu jednej krótkiej konferencji nastawienie trzeźwo myślącego dowódcy pokroju von Klugego.

Nagle fuhrer podrzucił rękę w salucie i okrzyk "Heil Hitler!" odbił się echem wśród niegościnnych, przysypanych śniegiem, na wpół zburzonych bunkrów będących siedzibą sztabu. Fuhrer bez słowa odwrócił się, wszedł po schodkach i zniknął we

wnętrzu samolotu.

Drzwi zamknięto, pilot zapuścił silniki, schodki zostały odciągnięte na bok i maszyna ruszyła po świeżo oczyszczonym pasie startowym, podskakując na wybojach.

W samolocie Hitler zdjął czapkę i płaszcz, podał je adiutantowi, który otrzepał z nich śnieg; i szybko ruszył przejściem między fotelami.

Wybrał miejsce tuż przed tym, pod którym von Tresckow umieścił bombę zegarową, i kazał przynieść swoją teczkę. Chciał się czymś zająć, nie cierpiał latania w równym stopniu, w jakim uwielbiał zawrotnie szybką jazdę samochodem.

Mimo niechęci do samolotów fuhrer rozluźnił się, z jego twarzy zniknął marsowy wyraz i pojawił się uśmiech, który oczarował -i rozbroił - przywódców tylu państw na Zachodzie. Gdy wyjmował złożoną mapę Francji i Niderlandów z zaznaczonymi lokalizacjami fałszywych obozów wojskowych, samolot oderwał się od ziemi.

Von Kluge i jego sztab stali wciąż na mrozie i patrzyli za znikającą w gęstych chmurach maszyną, unoszącą na pokładzie największego politycznego i wojskowego geniusza od czasu Napoleona i Juliusza Cezara. Może często uciekał się do złych metod działania, lecz jego poprzednicy też nie byli święci. W dodatku Hitler w przeciwieństwie do nich nie odebrał odpowiedniej edukacji ani fachowego wykształcenia.

Z przysłowiowego rynsztoka wzniósł się na szczyty, a jego jedyną bronią był niezwykle dar wymowy, wielka siła woli i wiara w swoje własne powołanie. On jeden dokonał rzeczy niewiarygodnej

- wyciągnął osiemdziesięcio-milionowy naród z odmętów poniżenia i rozpaczy i przemienił go w najgroźniejszą potęgę w świecie.

Von Tresckow i Schlabrendorff z ukrycia śledzili wzrokiem mały, - niewyraźny przecinek samolotu, niknący na tle nieba. Wreszcie odwrócili się od okna. Porucznik otarł krople potu z czoła. Nawet opanowany von Tresckow osunął się bezwładnie na krzesło.

- Udało się! - powiedział z radością Schlabrendorff.

- Bomba musi jeszcze wybuchnąć - przypomniał mu jego przełożony. Otrząsnął się z otępienia, które było reakcją po przeżytych napięciach. - Wyślę informację do Berlina, żeby uprzedzić Olbrichta...

Wyszedł z kwatery i pomaszerował szparko, przez śnieg do budynku łączności, który miał bezpośrednią linię z Berlinem. Kazał operatorowi wyjść z pokoju.

- Muszę wysłać ściśle poufną wiadomość - oświadczył szorstko.

Począł, aż drzwi się zamkną, wywołał Berlin i poprosił o natychmiastowe połączenie z generałem Olbrichtem, zastępcą dowódcy armii rezerwowej, który miał pod swoją komendą oddziały wojskowe w stolicy.

- Tu von Tresckow - powiedział do Olbrichta, gdy generał zgłosił się na linii. - Obiecany prezent został już dostarczony...

Przerwał połączenie natychmiast po wypowiedzeniu tego hasła -nikt nie wiedział, które rozmowy są podsłuchiwane przez cholerne gestapo. Teraz wszystko było przygotowane. Kiedy tylko wieść o

śmierci Hitlera dotrze do Berlina, Olbricht przystąpi do działania i za pomocą swoich sił garnizonowych opanuje wszystkie główne ośrodki władzy, jak Ministerstwo Wojny, rozgłośnie radiowe czy Ministerstwo Oświecenia Publicznego i Propagandy.

Generał von Tresckow wyszedł z centrali łączności i spojrzął przelotnie na tę stronę nieba, gdzie zniknął samolot Hitlera, rozpoczynający długi lot do Wilczego Szańca w Prusach Wschodnich.

Wszystko zależało teraz od jednej rzeczy. Od wybuchu bomby.

Rozdział drugi

13 marca 1943.

W Rastenburgu (Tak brzmiała niemiecka nazwa Kętrzyna) Martin Bormann, szef Kancelarii N.S.D.A.P, stał przed wieżą kontrolną lotniska, oddalonego kilka kilometrów od Wolfsschanze - Wilczego Szańca, tajnej kwatery Hitlera w Prusach Wschodnich - w oczekiwaniu na przylot wodza.

Przy nim stał Alois Vogel, szef straży przybocznej fuhrera złożonej z żołnierzy S.S, wysoki mężczyzna o pociągłej twarzy i wąskich ustach, ubrany w czarny mundur z naszywkami w kształcie błyskawic na kołnierzu. Przytupywał, pod jego nogami chrzęściły porożyte koleinami, zmarznięty śnieg. Zerknął na zegarek ze zniecierpliwieniem. Kciukiem w rękawiczce usunął warstewkę lodu, która utworzyła się na szkiełku.

- Już wkrótce powinien przylecieć - zauważył. - Oby ta przeklęta mgła się podniosła...

- To zwykła pogoda tutaj - odparł spokojnie Bormann - a pilot fuhrera jest mistrzem w swoim fachu.

Rzeczywiście, warunki atmosferyczne nie odbiegały od normy.

Przez niemal pół roku ta posępna część Niemiec była spowita w białe tumany i pokryta śniegiem. W powietrzu wisiła niesamowita cisza.

Mgła przewalała się kłębamii niczym opar nad powierzchnią morza, a gdy chwilami rzedniała, ukazywały się spoza niej niewyraźne sylwetki drzew na skraju nie kończących się sosnowych lasów. Bormann, jak zawsze cierpliwy - w przeciwieństwie do oficera S.S - stał całkiem nieruchomo z rękami założonymi do tyłu.

Ten jeden z najbardziej zagadkowych ludzi historii XX wieku był niskim, przysadzistym mężczyzną o słowiańskiej twarzy. Miał silnie zarysowany nos, głowę podobną do łebka kreta i rzadko okazywał emocje. Nie sposób było odgadnąć jego myśli - na pozór był jedynie wiernym sekretarzem Hitlera, przekazywał jego rozkazy i baczył, by były natychmiast wypełniane. Lecz bardziej spostrzegawczy obserwatorzy wyczuwali coś złowieszczonego w tej osobowości przypominającej kameleona, kryjącej się w tle. "To cień Hitlera - zauważył kiedyś pewien generał. - Cień bardziej mroczny od człowieka, który go rzuca".

- Oto i on - rzekł Vogel.

Odwrócił się i wydał odpowiednie rozkazy dwudziestu uzbrojonym esesmanom, stanowiącym osobistą ochronę fuhrera. Bormann lekko odwrócił głowę. Vogel miał rację - w ciszę bezgłośnie kłębiącej się mgły wdarł się dźwięk silników

nadlatującego samolotu. Stłumiony pomruk narastał z każdą chwilą. Bormann wszedł do budynku i wyłonił się stamtąd z owczarkiem alzackim na smyczy. Fuhrer będzie zadowolony, gdy po długim locie ze Smoleńska zobaczy Blondi, sukę, którą Bormann osobiście dla niego wyszukał, żeby pocieszyć go po klęsce pod Stalingradem.

Takimi drobnymi, świadczącymi o troskliwości gestami Bormann umacniał swoją pozycję osobistego sekretarza Hitlera - człowieka, który przekazywał na zewnątrz większość jego rozkazów. W Wilczym Szańcu dopasował nawet swoje godziny snu do fuhrera, aby trwać od rana do nocy przy jego boku i nie odstępować wodza ani na chwilę.

Bormanna w najmniejszym stopniu nie obchodził fakt, że Goering, Himmler i inne partyjne tuzy serdecznie go nienawidzą. Jego ambicją było właśnie to, co osiągnął - być cieniem Hitlera, zawsze obecnym przy podejmowaniu decyzji.

- Schodzi do lądowania! - krzyknął Vogel. - Czy mam zawiadomić główną kwaterę?

- Nie. Pozostawcie to mnie.

Bormann usiłował przebić wzrokiem ciężkie chmury, by dostrzec nadlatujący samolot. Szczęśliwym trafem lekki powiew wiatru rozproszył mgłę i odsłonił pas, na którym kondor miał wylądować.

"Znowu to szczęście Hitlera" - pomyślał Bormann zgryźliwie.

Przez cały dzień lotnisko było kompletnie niewidoczne, lecz teraz bezpieczne posadzenie samolotu będzie dla pilota fraszką. Wilczur szarpnął smycz, jakby wyczuwając przybycie pana.

- Siad! - warknął Bormann, wciąż wypatrując zimnym wzrokiem maszyny.

Na pokładzie kondora Adolf Hitler zapiął guziki wojskowego płaszcza i włożył czapkę. Na jego twarzy malowała się wyniosła pycha - była to twarz zdobywcy świata, którego za chwilę miała powitać straż przyboczna. A przecież zaledwie pół godziny temu przyprawił grupkę swych adiutantów o historyczny atak śmiechu, gdy zaczął paradować tam i z powrotem między fotelami, naśladując Chamberlaina podczas wizyty, jaką premier Wielkiej Brytanii złożył mu na przedwojennej konferencji w Monachium. Wyrzwał przez okno wypatrując ziemi.

Nikt z towarzyszących mu w samolocie nie mógłby zgadnąć, że ma w tej chwili nerwy rozstrojone do ostatnich granic. Nie znosił momentu lądowania równie mocno co chwili startu. "Nigdy już nie polecę samolotem" - obiecał sobie w duchu. Lecz wiedział, że w razie potrzeby znów będzie znosił tę udrękę. Zamrugał. W dole mignęły mu przelotnie szczyty sosen.

Bormann obserwował, jak maszyna podchodzi do lądowania.

Pojawiła się i znów zniknęła, gdy pilot wykonał ostatni skręt przed zejściem na ziemię. Obrzucając wzrokiem lotnisko, gdzie Vogel ustawił w szyku swoich ludzi, Bormann wyczuł nastrój napięcia i podniecenia, który zawsze towarzyszył takim okazjom..

Jakie wieści przywiezie Hitler z frontu wschodniego? Bormann przypomniał sobie, jak parę minut przed odlotem fuhrer wziął go na bok i napomknął o swoich planach - co było w wysokim stopniu niezwykle. Hitler twardo stosował regułę trzymania w ścisłej tajemnicy wszystkich ważnych decyzji strategicznych aż do chwili, kiedy oznajmiał je publicznie.

- Bormann - powiedział poufnym tonem - znajdujemy się w

przededniu generalnego manewru, który przechylił na naszą stronę szalę zwycięstwa w całej wojnie - manewru tak śmiałego, że nie powstydziliby się go Napoleon ani Fryderyk Wielki.

- Będę więc z niecierpliwością czekał na pański powrót - odparł Bormann.

Znow zobaczył samolot. Leciał teraz znacznie niżej i był nie więcej niż kilometr od lotniska. Zszedł stromo w dół, ginąc w gęstej mgle. Bormann ujrzał oślepiający błysk i w ułamku sekundy na własne oczy zobaczył rozlatującą się w powietrzu maszynę. Nieco później dotarł do niego stłumiony huk eksplozji. I znowu wokół zapanowała cisza. Ośnieżony las stał w białym oparze. Najmniejszego dźwięku.

Przez kilka sekund Bormann nie był w stanie ruszyć się z miejsca.

Owczarek z niskim, zawodzącym skowytami skoczył naprzód, wyrwał mu smycz z ręki i rzucił się pędem w stronę miejsca katastrofy.

Ucieczka psa pobudziła Bormanna do działania. Zaczął wykrzykiwać polecenia do Vogla:

- Wysłać dwóch ludzi do wieży kontrolnej! Odciąć wszystkie linie łączności! Lotnisko otoczyć żołnierzami! Nikomu nie wolno wejść ani wyjść! A wy chodźcie ze mną.

Vogel niezwłocznie wydał wszystkie potrzebne rozkazy, po czym pobiegł za Bormannem, który skierował się pospiesznie do kubelwagena. Ten dziwny pojazd - z kołami z przodu, gąsienicami zaś z tyłu - służył do poruszania się w trudnym terenie. Bormann siedział już za kierownicą, gdy Vogel go dogonił.

- Wybuch mógł być słyszany w głównej kwaterze - ostrzegł oficer S.S, siadając na miejscu pasażera obok kierowcy.

Bormann pomyślał chwilę, grzejąc silnik na jałowym biegu.

- Kempner! - zawołał zastępcę Vogla. Przyjrzał się badawczo esesmanowi, który obok wozu wyprężył się na baczność. Nie dostrzegł żadnych oznak paniki. Podjął następną szybką decyzję: - Kempner, wróćcie teraz do głównej kwatery i powiadomcie wszystkich, że ze względu na złą pogodę przylot fuhrera opóźnił się - samolot wylądował na innym lotnisku. Powiedzcie im, że fuhrer odwołał konferencję, która miała się odbyć jutro w południe. A jeśli ktokolwiek wspomni, że słyszał wybuch, wyjaśnijcie, że to lis trafił na minę.

Było to nader wiarygodne tłumaczenie. Wilczy Szaniec otaczały liczne pola minowe, a detonacje powodowane przez lisy były częstą przyczyną fałszywych alarmów. Kempner odbiegł w kierunku swego samochodu. Bormann, skinąwszy na kilku esesmanów, żeby wdrapali się na pancierz, wprowadził pojazd w ruch.

Wkrótce wjechali w leśny dukt. Zagłębili się w sosnowy las i stracili z oczu lotnisko, przesłonięte kłębiącą się złowieszczą między drzewami mgłą. Nie musieli jechać daleko. Nagle otworzyła się przed nimi polana. Wyrwane z ziemi wybuchem pnie sterczały w różnych kierunkach jak kikuty okaleczonych kończyn. Bormann zatrzymał pojazd. Ich oczom ukazał się przerażający, makabryczny widok.

Wszędzie wałały się rozrzucone szczątki samolotu. Detonacja musiała mieć miejsce blisko koron drzew, siła wybuchu poszła w dół. i: Z gałęzi zwisały strzępy ciał. Tak mogła wyglądać

rzeźnia, pełna ochłapów, pochlastanych przez wariata w napadzie szału. We mgle unosił się zapach benzyny zmieszany ze swądem spalonego mięsa. Po miejscu tragedii krążył owczarek alzacki węsząc wokół. Bormann i Vogel wysiedli, esesmani zeskoczyli na ziemię.

- Nie mógł ujść z życiem - powiedział wolno Bormann.

- Co mamy robić? - spytał Vogel.

- Poczekajcie chwilę, muszę pomyśleć...

Bormann osiągnął swe uprzywilejowane stanowisko prawej ręki Hitlera dzięki talentom administracyjnym i umiejętności skrupulatnego planowania. Fuhrer, nienawidzący rutynowej papierkowej pracy, nauczył się całkowicie polegać w kwestii szczegółowych rozporządzeń na swoim spokojnym, kompetentnym zastępcy. Wydawał rozkaz, a Bormann przekładał go na język urzędowej biurokracji i przekazywał dalej. Zwyczaj ten ustalił się do tego stopnia, że Bormann mógł wysłać każdą instrukcję podpisując ją słowami, których nikt nie ważył się zakwestionować: "Z rozkazu fuhrera".

W tej chwili w jego rękach znalazła się przyszłość Niemiec.

Musiał stawić czoło sytuacji, wykazać swoją wartość. Stał na śniegu wśród mgły unoszącej się między kręgiem sosen i patrzył na krwawe jatki. Nozdrza zatykał mu odór śmierci, a w głowie aż wrzało od myśli.

- Vogel, otoczcie kordonem cały teren. Macie strzelać do każdego, kto się spróbuje zbliżyć. Wezwijcie ciężarówki i uprzątnijcie ten bałagan. Nie wolno wam niczego przeoczyć. Każdy strzęp ciała i każdy kawałek samolotu ma zostać wywieziony w

odosobnione miejsce. Tam wyładujcie to wszystko i spalcie - a potem zakopcie...

- Przerwał. Słychać było, że gdzieś blisko ktoś wymiotuje.

Jeden z esesmanów potykając się wyszedł z mgły. Był tak wstrząśnięty, że zapomniał zaszalutować przed Bormannem. Miał trudności z wydobyciem głosu.

- Co się stało? - warknął Bormann. - Weźcie się w garść!

- Karl znalazł głowę pilota w hełmie - samą tylko głowę...

- Będzie to pierwsza rzecz, która powędruje na ciężarówkę

-zwrócił się Bormann brutalnie do Vogla.

- Jest jeszcze to - wyjął esesman. Pokazał im coś, co do tej pory ukrywał za plecami. Była to teczka. Urwana ludzka dłoń wciąż ścisnęła kurczowo jej rączkę. - To należało do fuhrera...

Bormann nie okazując najmniejszego śladu słabości wziął teczkę z rąk żołnierza i ją rozdarł. W tym momencie odpadła rączka wraz z zaciśniętą wokół niej dłonią.

Przejrzał wydobytą z nadpalonej powłoki zawartość. Tak, to była własność fuhrera - poznał mapy zachodniej Europy, sam je tam włożył przed odlotem Hitlera do Smoleńska. Oddał teczkę Voglowi.

- Dorzucie to na ciężarówkę. - Po czym wskazał makabryczny szczątek u swoich stóp. - I to również....

Vogel był wstrząśnięty.

- Przecież on musi mieć należyty pochówek - pogrzeb państwowy - wyjął.

- Czy sądzicie - Bormann wbił w niego wzrok - że człowiek taki jak fuhrer nie przewidział możliwości, iż któregoś dnia może paść ofiarą zamachu? Czy naprawdę przypuszczacie, że nie zostawił

planu działania na wypadek sytuacji, w jakiej się teraz

znaleźliśmy? -skłamał.

- Najmocniej przepraszam... - wymamrotał Vogel.

- Nie przyjmuję tego do wiadomości... na razie - oświadczył zimno Bormann. - Cała wasza przyszłość zależy od tego, czy wypełnicie dokładnie moje polecenia. Z rozkazu fuhrera! - dodał.

- Zaczę natychmiast...

- Po opróżnieniu ciężarówek i spaleniu ładunku - ciągnął Bormann - pojedziecie z nimi do najbliższego jeziora i zatopicie je.

- Zostanie jeszcze to wszystko - Vogel wskazał połamane pnie, opalone konary, gałęzie zwisające w oparach mgły jak bezwładne kończyny.

- Przywieźcie minę i zdetonujcie ją. To wytłumaczy zniszczenia.

Bormann odwrócił się plecami do esesmana, wspiął za kierownicę kubelwagena i odjechał z miejsca rzezi.

Wciąż był 13 marca 1943 roku. Adolf Hitler nie żył. Wojna będzie trwała jeszcze ponad dwa lata.

Rozdział trzeci

Martin Bormann tkwił w ośrodku nerwowym wielkiego aparatu władzy, który zawiadywał ruchami milionów żołnierzy, wielkich flot powietrznych oraz kolumn czołgów i dział artyleryjskich, składających się na jedną z największych machin wojennych w całej historii.

Siedział wewnątrz parterowego, drewnianego baraku konferencyjnego, Lagebaracke, gdzie Hitler dwa razy na dobę - w południe i o północy - przewodniczył naradom wojskowym. W baraku mieściła się też centrala telefoniczna, która rozsyłała rozkazy fuhrera na obszar całego imperium, szatnia, łazienka i korytarz.

Lagebaracke był położony w centrum strefy ochronnej A, czyli Wilczego Szańca, otoczonego potężnym murem, potrójnymi zasiekami z drutu kolczastego i polami minowymi. Doborowe jednostki S.S patrolowały okolice, a do środka wpuszczano tylko za okazaniem przepustek wydanych przez podległego Himmlerowi szefa bezpieczeństwa. Przepustki te były trzykrotnie skrupulatnie sprawdzane na kolejnych punktach kontrolnych.

Bormann był sam. Siedział przy stole, na którym stał telefon, i głęboko rozważał rozkazy, jakie za chwilę wypowie do słuchawki - rozkazy, od których zależała przyszłość Niemiec. Jak do tej pory, dzięki jego przezornemu działaniu, udało się ukryć fakt katastrofy.

Kempner, zastępca Vogla, wrócił wcześniej do głównej kwatery i rozpuścił pogłoskę, że wskutek złych warunków atmosferycznych samolot fuhrera został zmuszony do lądowania na innym lotnisku.

Wkrótce po powrocie do Wilczego Szańca Bormann spotkał generała Alfreda Jodla, szefa Sztabu Dowodzenia Wehrmachtu. Jodl wysunął swoje własne wytłumaczenie zwłoki:

- To zapewne kolejna nagła zmiana planów, żeby zmylić ewentualnych zamachowców?

- Możliwe - odparł Bormann.

- Czy następna narada z udziałem fuhrera odbędzie się jutro

w południe?

- Tak przynajmniej dotychczas wiadomo - potwierdził Bormann ostrożnie.

Teraz w samotności przeglądał starannie listę nazwisk, które spisał w notesie. Powodzenie mistrzowskiego posunięcia, jakie zaplanował, polegało na właściwym skoordynowaniu wszystkiego w czasie oraz zachowaniu konsekwencji w następowaniu zdarzeń, które muszą pasować do siebie jak fragmenty przemyślnie skonstruowanej układanki. Jeszcze raz przebiegł wzrokiem listę.

Komendant Berghofu Kuby Reiter, S.S, Smoleńsk Schultz, S.S, Berlin Vogel, S.S, Wilczy Szaniec Podjął decyzję. Podniósł słuchawkę i poprosił o natychmiastowe połączenie z komendantem Berghofu, górskiej rezydencji Hitlera w Berchtesgaden, miejscowości, która przed włączeniem Austrii do Rzeszy Niemieckiej leżała na granicy pomiędzy oboma państwami.

Jego rozmowa z komendantem była zwięzła i rzeczowa:

-... Zrozumieliście więc dokładnie wasze instrukcje? Kuby ma przylecieć tu jutro kondorem - koniecznie kondorem - a oznaczenia na samolocie mają być dokładnie takie, jak podałem. A teraz dajcie mi do telefonu Kubego...

Polecenia, jakie wydał Kubemu, były równie krótkie i treściwe:

- Wyjadę po ciebie osobiście na lotnisko i zapoznam z sytuacją, zanim udamy się do Wilczego Szańca. Wiesz dokładnie, co masz robić?

- Nie mam nawet cienia wątpliwości - odpowiedział znajomy głos. - W moich rękach spoczywa przyszłość Niemiec...

- Uważaj, żebyś nie przedobrzyć - wtrącił zimno Bormann.

-Masz się we wszystkim stosować do wskazówek, jakich ci udzielię, gdy przybędziesz na lotnisko.

Odłożył słuchawkę. Mimo że przed chwilą udzielił Kubemu nagany, poczuł ulgę i nagle po raz pierwszy zaświtała mu nadzieja, że to się może udać. Święty Boże, musi się udać, albo on sam za parę dni będzie martwy. Następna rozmowa, jaką miał przeprowadzić z Otto Reiterem, dowódcą oddziału straży przybocznej fuhrera w Smoleńsku, niosła ze sobą prawdziwe ryzyko. Najlepiej będzie pozwolić Reiterowi jak najwięcej mówić. Czekając na połączenie ze Smoleńskiem odfajkował na swojej liście komendanta Berghofu i Kubego.

- Tu Bormann - oznajmił, kiedy w słuchawce usłyszał głos Reitera. - Dzwonię z rozkazu fuhrera. Dowodziliście jednostką, która trzymała straż przy jego samolocie podczas konferencji z feldmarszałkiem von Klugem?

- Tak jest, Herr Reichsleiter. Osobiście nadzorowałem wszystkie kontrole, gdy maszyna była na ziemi.

W głosie Reitera pobrzmiwała nutka dumy graniczącej z arogancją.

Bormann uśmiechnął się lekko. Ten idiota najwyraźniej miał nadzieję na awans lub nawet jakieś odznaczenie.

- Czy podczas postoju samolotu wydarzyło się coś niezwykłego?

Może ktoś zbliżał się do niego lub wchodził do środka?

- Herr Reichsleiter, czy coś jest nie w porządku? -

Arogancję zastąpił niepokój.

- Owszem. Nie odpowiedzieliście na moje pytanie.

Reiter czym prędzej zaczął wyjaśnienia, wyrzucając z siebie pospiesznie potok słów:

- Nie przychodzi mi na myśl nic niezwykłego. Zaręczam, że zostały podjęte wszelkie środki ostrożności. Osobiście sprawdzałem paczkę, którą generał von Tresckow zaniósł do samolotu. Nie był tym uradowany, za to mogę ręczyć. Ale znam swoje obowiązki. Paczka zawierała dwie butelki koniaku. Zapamiętałem nawet markę, to był ourvoisier. Nikt inny nie wszedł do kabiny aż do odlotu fuhrera ze Smoleńska.

- Sprawa, o której mówię, nie ma nic wspólnego z von Tresckowem - wtrącił gładko Bormann. - Wygląda na to, że w teczce fuhrera brakuje jednej mapy - ale z pewnością odnajdzie się gdzieś tutaj.

- Moje słowa może potwierdzić porucznik Schlabrendorff, adiutant von Tresckowa. Jedzie przez Wilczy Szaniec do Berlina...

Bormann znieruchomiał. Postanowił, że wizytę Schlabrendorffa trzeba odwlec, dopóki nie przybędzie samolot z lotniska w Salzburgu.

W dalszym rozwoju wydarzeń adiutant von Tresckowa został zatrzymany, zanim wsiadł do samolotu, a później, aby zatuszować to niepowodzenie, wrócił do Berlina i skłamał swojemu przełożonemu, że zabrał nie zdetonowaną bombę, rozebrał ją w pociągu, a kawałki wyrzucił za okno. Bormann podjął rozmowę z Reiterem:

- Nie potrzeba żadnego potwierdzenia. Połączcie mnie natychmiast z feldmarszałkiem von Klugem.

Gdy von Kluge zgłosił się na linii, Bormann wyjaśnił mu, że fuhrer podczas pobytu w Smoleńsku dostrzegł swym nieomylnym wzrokiem, " wychwytyjącym nawet najdrobniejsze szczegóły, iż Otto Reiter nie wykonuje właściwie swoich obowiązków.

- Proszę jeszcze dzisiaj wydać dyspozycje, aby wysłano go do frontowej dywizji S.S. Z rozkazu fuhrera!

Von Kluge był zdumiony i nieco poirytowany tym, że Hitler zawraca sobie głowę takimi drobiazgami, lecz polecenie nie było dla niego zupełną niespodzianką. Fuhrer zdawał się widzieć wszystko.

Von Kluge natychmiast zastosował się do instrukcji. Reiter nigdy nie dotarł na front. Był w drodze na wschód, kiedy pocisk z sowieckiego działa dalekiego zasięgu wybuchł parę metrów od jego samochodu.

Reiter poniósł śmierć na miejscu. Bormann po usłyszeniu tej wiadomości wykreślił jego nazwisko z listy.

Po rozmowie z von Klugem Bormann zadzwonił do Rainera Schulza, dowódcy specjalnej jednostki egzekucyjnej S.S, która wówczas stacjonowała w Berlinie. Również ta rozmowa była krótka, lecz głos w niej zabierał głównie Bormann.

- Byliście już tam kiedyś, Schulz... wtedy, gdy wybraliśmy się na przejażdżkę kubelwagem, pamiętacie to miejsce?... Jezioro, które przypomina wielkie mokradło... zostaniecie w ukryciu, dopóki nie zatopią ciężarówek...

- To dosyć drastyczny środek - zauważył ostrożnie Schulz.

-Zabicie dwudziestu ludzi...

- Jeden z nich, jak to wam powiedziałem, jest szpiegiem.

Ponieważ nie możemy wyśledzić który, wszyscy muszą zostać zlikwidowani.

Zrozumcie, że ten człowiek - kimkolwiek on jest - ma dostęp do Wilczego Szańca. Zbyteczne dodawać, że nie zbliżycie się nawet ze swoimi ludźmi do strefy ochronnej A. Jak tylko zadanie zostanie wykonane, wróćcie do Berlina, pod przysięgą dochowując milczenia. Z rozkazu fuhrera - Heil Hitler!

- Chwileczkę. Zdemaskowaliśmy jeszcze jednego członka podziemnej organizacji - w osobie samego komendanta Berghofu. Zaraz po powrocie do Berlina polecicie w pojedynkę do Berchtesgaden i załatwicie się również z nim. To ma wyglądać na wypadek.

Zrozumiano?

- Od razu zacznę przygotowania, Herr Reichsleiter!

W nocy z 13 na 14 marca Alois Vogel, dowódca straży przybocznej fuhrera w Wilczym Szańcu, bez litości wyprawiał oddział S.S na ostry mróz, aby zatrzeć ślady katastrofy samolotu. Przy świetle potężnych reflektorów, zamontowanych na ciężarówkach, cały teren został przeczesany w poszukiwaniu kawałków rozbitej maszyny i strzępów ciał.

Vogel, którego maksymą życiową była dokładność, zauważył i wskazał swoim ludziom ogon samolotu, uwięzły pod przedziwnym kątem w rozwidleniu konarów wielkiej sosny. Jakimś cudem był on niemal nietknięty i dołączył do ludzkich szczątków na ciężarówkach.

Gdy Vogel doszedł do przekonania, że zadanie zostało w pełni wykonane, zbliżał się świt.

- Wysadźcie w tym miejscu minę - rozkazał.

Trzy ciężarówki odjechały z warkotem na bezpieczną odległość jedną z dróg wiodących przez las do jeziora. Mina została zakopana głęboko, by stłumić odgłos eksplozji. Jej podmuch obalił i pokiereszował kilka następnych drzew, lecz teraz obraz zniszczenia, jaki się tu roztaczał, zyskał łatwe wytłumaczenie dla kogoś, kto by się zapuścił w tę część lasu.

- Nad jezioro! - krzyknął Vogel wskakując na ostatnią z ciężarówek.

O czwartej nad ranem 14 marca Vogel wraz z dwudziestką swoich ludzi wykonał pierwszą część zadania. Zawartość trzech ciężarówek -szczątki kondora i jego pasażerów - została zrzucona łopatami na śnieg nie opodal błotnistej jeziora, oblana benzyną i podpalona, zaś zwęglone resztki załadowano z powrotem na jeden z samochodów.

- Teraz pozostało nam tylko zatopić ciężarówki - powiedział Vogel do wyczerpanych podkomendnych. - Im rychlej się z tym załatwimy, tym prędzej wrócicie do swoich ciepłych łóżek...

Kierowca pierwszego samochodu dodał gazu sprawdzwszy, że drzwi po jego stronie są otwarte na oścież. W świetle reflektorów widział mgłę unoszącą się nad wodami błotnistej jeziora, a raczej trzęsawiska pokrytego lodem - cienką warstwą lodu, pod którą była mulista głębia. Oczekujące go zadanie nie budziło w nim entuzjazmu.

Musiał szybko wjechać ciężarówką do jeziora i w ostatniej chwili wyskoczyć z szoferki. Kilku jego towarzyszy stało na skraju wody.

Byli gotowi pomóc mu w wydostaniu się na brzeg. Zacerpnął głęboko powietrza, zwolnił hamulec i ruszył z impetem naprzód.

W swej gorliwości, by dobrze wykonać zadanie - Vogel od swoich ludzi oczekiwał sprawności doprowadzonej do perfekcji - omal nie wyskoczył za późno. Ciężarówka minęła go z rykiem silnika, gdy spadł do jeziora i poczuł, jak nogi zagłębiają mu się w szlamie. Łód z trzaskiem kruszył się pod nim jak szkło. Dwóch ludzi chwyciło go za ramiona i wyciągnęło na brzeg, ich buty ślizgały się w mule. Vogel z bezpieczniejszej odległości obserwował, jak samochód zanurza się, jak znikają pod powierzchnią wody najpierw reflektory, a potem tylne światła. Ciężarówka osiadła na dnie.

- Dalej, naprzód! Nie guzdrać się!

I Dał ręką sygnał startu drugiej ciężarówce. Ta wjechała do jeziora parę metrów dalej niż pierwsza. Kierowca, który widział, jakiego losu z trudem uniknął jego poprzednik, wyskoczył wcześniej. Potem trzęsawisko pochłonęło z chlupotem trzeci samochód. Teraz tylko potrzaskany lód świadczył, że coś tu się niedawno wydarzyło, a powierzchnia wody zamarzała na nowo w panującym mrozie. Vogel zebrał swoich ludzi wokół siebie.

- Przyda nam się coś na wzmocnienie - oznajmił i wyciągnął flaszkę wódki, którą dostał od Bormanna. Stali zbici w gromadkę podając sobie butelkę, gdy nagle spadł na nich oślepiający blask.

Jakiś czas wcześniej Rainer Schulz, niedawno odwołany z frontu wschodniego, dowódca dziesięcio-osobowego specjalnego oddziału egzekucyjnego, poleciał ze swymi ludźmi samolotem transportowym na lotnisko w pobliżu Wilczego Szańca. Zmarznięci

żołnierze siedzieli skuleni, ciasno jeden obok drugiego, przy pięciu motocyklach z przyczepkami, które załadowali do samolotu w Berlinie.

Kontroler lotniska został uprzedzony bezpośrednio przez Bormanna, że będą lądować wczesnym rankiem. Specjalne hasło wywoławcze, jakie pilot samolotu miał podać wieży przy zbliżaniu się do lotniska, brzmiało "Smok". Kontrolerowi nie nasunęły się żadne makabryczne skojarzenia w związku z tym słowem.

- Przyjeżdżają, aby zastąpić obecne straże - wyjaśnił Bormann. - Ludzie nieco gnuśniej wykonując przez dłuższy czas te same funkcje. Nie muszę wam uświadamiać, jak ważne jest, aby ochrona zachowywała nieustanną czujność... z rozkazu fuhrera! -zakończył.

"Z rozkazu fuhrera!" Te trzy słowa, powtarzane niczym monotony, stały refren, dawały Bormannowi niezwykłą władzę, jaką sprawował w imieniu Hitlera. Nikt w całej Rzeszy nie śmiałby zakwestionować przypieczętowanego nimi polecenia.

O trzeciej trzydzieści, w świetle włączonych na krótki czas naziemnych świateł sygnałowych, samolot transportowy wylądował i zatrzymał się na końcu pasa. Wszystko szło sprawnie jak w zegarku -Rainer Schulz był świetnym organizatorem. Zasiadł w przyczepce pierwszego motocykla z pistoletem maszynowym typu Schmeisser na kolanach i poczekał z wydaniem rozkazu, aż rampa z ładowni spuszczone zostanie na ziemię.

- Naprzód! Jedźcie za mną.

Prowadzona przez Schulza kawalkada motocykli wyjechała z samolotu, którego śmigła wciąż się obracały. I skierowała się w

stronę otwartej już bramy wyjazdowej. Skręcili w boczną drogę na prawo z szosy prowadzącej do Wilczego Szańca i zanurzyli się w las.

Na każdym motocyklu siedziało dwóch żołnierzy, przy czym ten, który siedział w przyczepce, wzorem Schulza uzbrojony był w pistolet maszynowy i kilka zapasowych magazynków. Światła reflektorów padały na pustą drogę, oświetlały palisadę sosen i pasma mgły. Koła podskakiwały na zmarzniętych bruzdach kolein.

Utrzymując równe tempo jechali za swoim dowódcą, który miał fenomenalną pamięć topograficzną. Wystarczyło, by raz przebył jakąś trasę, a na zawsze pozostawała wyryta w jego umyśle. Na wszelki wypadek wziął ze sobą szczegółową mapę okolicy, lecz podczas całej drogi przez ścięty mrozem las nie zajrzał do niej ani razu, wiedziony tylko wiązką światła z przedniego reflektora.

- Halt! Wysiadać! Dalej pójdziemy na piechotę.

Schulz niosąc niedbale pistolet maszynowy, znowu wysunął się na prowadzenie. Światła motocykli znikwały stopniowo w mroku. Schulz miał zawieszoną na szyi lornetkę do obserwacji w nocy, lecz jego zdolność widzenia w ciemnościach umożliwiła mu poruszanie się bez pomocy noktowizora. Szedł cicho, czuł unoszący się we mgle zapach wilgotnego igliwia.

Zgodnie z wcześniejszym rozkazem sześciu z jego ludzi prowadziło w ślad za nim trzy motocykle z wyłączonymi silnikami. Z przyczepki podskakujących na wybojach wystawały pistolety maszynowe. Jedynym dźwiękiem, jaki rozlegał się niekiedy w niesamowitym, spowitym mgłą lesie, był chrzęst kół w koleinach. Schulz przystanął. Miał na sobie skórzany płaszcz, który dobrze

chronił go przed zimnem.

- Zepchnijcie motocykle z drogi na trawę - rozkazał. - Chcę, żebyście robili mniej hałasu niż maszerująca kolumna myszy.

Wysunął się przed resztę grupy z jednym tylko człowiekiem przy boku. Zbliżyli się do jeziora. Gdy minęli zakręt, zatrzymał się i podniósł lornetkę do oczu. Przed nimi leżało jezioro, a z jego powierzchni wzbijał się opar mgły. W tej chwili jeden z ludzi Aloisa Vogla potarł zapałkę i zapalił papierosa, rozkoszując się uczuciem ciepła w żołądku po łyku wódki. Oddział Vogla przed chwilą wysłał ostatnią ciężarówkę w mulistą otchłań pod lodem.

- Jak na zamówienie - szepnął Schulz do swego podwładnego. - Są wszyscy w kupie. Przygotujcie stanowiska i czekajcie na mój rozkaz.

Trzy motocykle zostały odciągnięte od siebie. Na pewną odległość i tak ustawione, aby ich reflektory oświetlały z różnych kierunków Vogla i jego ludzi. Schulz przysiadł na siodełku jednego z motocykli, odbezpieczył broń, wymierzył i przygotował się do oddania serii.

- Wszyscy gotowi - zameldował jego zastępca.

- Zaczynać!

Akcja była doskonale zsynchronizowana. Reflektory zapaliły się oświetlając i oślepiając cel. Na krótko leśną ciszę rozpruła terkot morderczego, krzyżowego ostrzału pistoletów maszynowych.

Vogel i jego ludzie zostali rozniesieni przez kule, żaden z nich nie zdążył sięgnąć po broń. W blasku reflektorów łamali się jak zapałki i padali na ziemię w dziwnych pozach, jeden na

drugiego. Po niespełna minucie było po wszystkim. Schulz zmienił magazynek i wolno ruszył naprzód wypatrując szarymi, nieprzeniknionymi oczami jakichkolwiek oznak życia.

Zdawało mu się, że jeden z mężczyzn drgnął. Opróżnił połowę magazynka w stos, gdzie leżał nie dobity ranny. Nie odczuwał nic szczególnego na myśl o tym, co właśnie zaszło, nie obchodziło go również, która z ofiar była szpiegiem, wspomnianym przez Bormanna.

Po prostu wypełnił rozkaz, zorganizował akcję podobną do tych wymierzonych przeciw sowieckim partyzantom, jakie jego grupa specjalna wiele razy prowadziła na froncie wschodnim.

- Przejdźcie do następnej fazy - polecił swemu zastępcy.

Patrzył, jak jego ludzie rozbierają zwłoki esesmanów. Spoczęły nagie na śniegu, a obok ułożono w schludny kopczyk mundury i zawartość kieszeni. Schulz przyniósł kanister z benzyną, oblał stos i podpalił.

W blasku płomieni obserwował, jak jego ludzie metodycznie wypełniają zadanie do końca. We dwóch brali ciała za ręce i nogi i rozkołysawszy je, rzucali jak najdalej od brzegu w wodę. Trupy zniknęły pod krzepnącą na nowo warstwą lodu, w ślad za trzema ciężarówkami, które ci sami esesmani powierzyli ciemnym wodom.

Schulz patrzył na tę makabryczną scenę z niewzruszoną twarzą.

Znał mazurskie jeziora. Ciała ugrzęzną głęboko w cuchnącym mule i przeleżą w nim zamrożone aż do wiosny. Może nawet wówczas nie wypłyną na powierzchnię. Pozostaną w bagnisku, aż się rozpadną.

- A teraz mundury i te śmieci.

Dwóch ludzi ostrożnie zgarnęło szpadlami rozgrzane do czerwoności resztki ogniska, które rozpałił Schulz, i wrzuciło je w jeden ze stawków, jakie uformowały się w miejscach, gdzie lód zapadł się pod ciałami zabitych. Rozległ się syk, nad wodę wzbił się obłoczek dymu.

Schulz upewnił się, że wszystkie ślady zostały usunięte, i wydał następny rozkaz:

- Wracamy na lotnisko przy Wilczym Szańcu - i z powrotem do Berlina. Nie guzdrać się, bo mam umówione spotkanie...

"... z komendantem Berghofu" - dokończył w myślach.

14 marca 1943.

Prawie osiem godzin później reichsleiter Martin Bormann znów czekał na lotnisku, które obsługiwało Wilczy Szaniec, i patrzył na lądującego kondora. Tak jak poprzednio był sam, nie licząc nowego oddziału straży przybocznej fuhrera. Żołnierze S.S, mający zastąpić ludzi Volfa, przylecieli tego dnia z Monachium.

Napomknął na ten temat Jodlowi:

- Fuhrera ostrzeżono, że do poprzedniej grupy wartowników z jego osobistej ochrony przedostał się szpieg. To może tłumaczyć różne dziwne wydarzenia. W związku z tym cała grupa została wyprawiona na front, a na ich miejsce wzięto nowych.

"Różne dziwne wydarzenia". Jodl nie musiał pytać, co ma znaczyć to sformułowanie. Od jakiegoś czasu wydawało się, że dowództwo sowieckie jest ostrzegane zawczasu o zamierzonych

niemieckich atakach - jakby ktoś w Wilczym Szańcu przekazywał Stalinowi plany Hitlera, gdy tylko fuhrer powziął o nich decyzję.

- Dostyc drastyczne posunięcie. - Taki był cały komentarz

Jodla. - Wysyłać ich wszystkich z powodu jednego człowieka...

- To był jedyny sposób. Z rozkazu fuhrera - wyrecytował na zakończenie Bormann.

Nowy kondor zatrzymał się dostojnie na lądowisku pomiędzy światłami, które natychmiast wyłączono. Bormann w mroku ruszył przed siebie. Drzwi samolotu zostały otwarte, spuszczone schodki i sprężystym krokiem zbiegł po nich jeden tylko pasażer.

Bormann zamienił z nowo przybyłym kilka słów, po czym zaprowadził go do czekającego w pogotowiu reprezentacyjnego sześciuosobowego mercedesa, limuzyny ze wspaniałymi reflektorami, otworzył przed gościem tylne drzwi, zsalutował i zaraz za nim wsiadł.

Kierowca grzał już silnik i gdy tylko Bormann trzasnął drzwiami, natychmiast ruszył w stronę Wilczego Szańca. Z przodu i z tyłu eskortowała ich nowa straż przyboczna na motocyklach. Bormann podał przybyszowi mapę, na której zaznaczono przejście przez zaminowany las.

- Jeśli przyjdzie ci ochota trochę się przewietrzyć...

Gruba szyba oddzielała ich od kierowcy i sprawiała, że nie mógł on słyszeć ani słowa z ich rozmowy. Podczas jazdy Bormann mówił dużo, lecz jego towarzysz ze wzrokiem utkwionym przed siebie kiwał tylko głową. Reichsleiter był zaskoczony tym brakiem reakcji i po raz pierwszy wyczuł, że bieg wydarzeń będzie inny, niż to sobie zaplanował.

Samochód minął pierwszy i drugi punkt kontrolny, a potem zatrzymał się przed strefą ochronną A.

Sztab Hitlera czekał w baraku konferencyjnym kontemplując rozłożoną na stole mapę Rosji o dużej skali. W obszernym pomieszczeniu panowała atmosfera napięcia, jak zwykle przy takich okazjach.

Jodla drażniły przyćmione, mrugające lampy, mimo że Bormann wyjaśnił wcześniej przyczynę usterek światła:

- Nastąpiła przerwa w dopływie energii elektrycznej - prawdopodobnie z przyczyn technicznych, choć dopuszczamy również możliwość sabotażu. W czasie konferencji będziemy więc musieli polegać na awaryjnym generatorze.

Jodl zabijał czas omawiając sytuację niemieckich sił na froncie wschodnim z feldmarszałkiem Wilhelmem Keitlem, mężczyzną o surowej twarzy, której nieruchome rysy ukrywały duszę typowego zawodowego wojskowego starej szkoły. Innymi słowy, podobnie jak większość generałów po obu stronach - z wyjątkiem Guderiana, Montgomeryego i McArthur'a - nigdy w życiu nie splamił się samodzielnym myśleniem. Po prostu wykonywał polecenia.

- Nadjeżdża...

Keitel pierwszy usłyszał samochód zatrzymujący się przed budynkiem. Wszystkie rozmowy ucichły. Wszystkie oczy zwróciły się na drzwi. Napięcie wyraźnie wzrosło. Każdy zastanawiał się nerwowo, w jakim wódz będzie humorze. Był zupełnie nieobliczalny - i tylko wyróżniający się spośród nich inteligencją Jodl podejrzewał, że fuhrer świadomie wytrąca w ten sposób z równowagi swych podwładnych.

Drzwi się otworzyły.

Adolf Hitler, wódz narodu niemieckiego i naczelny dowódca niemieckich sił zbrojnych, wkroczył do pokoju. Miał na sobie wojskowy płaszcz, na którym podczas krótkiego spaceru z samochodu do drzwi baraku osiadły płatki śniegu, i czapkę z daszkiem i godłem niemieckiego orła trzymającego w szponach swastykę.

Zatrzymał się w drzwiach z ponurym wyrazem twarzy i mierzył wzrokiem zgromadzonych, podczas gdy Bormann pomagał mu zdjąć płaszcz i czapkę. Słynny kosmyk włosów opadł mu na czoło, wyłupiaste oczy patrzyły uporczywie na Keitla.

"Chryste, jest nie w humorze" - pomyślał feldmarszałek.

Hitler podszedł do stołu i przyjął charakterystyczną dla siebie postawę z rękami założonymi do tyłu. Stał w półmroku, wzrok wbił w mapę. Nie odzywał się przez pełną minutę. Bormann na pozór był opanowany, ale on też miał nerwy napięte do ostatnich granic. Nagle cisza została przerwana.

- Chcę mieć pełny raport o obecnej sytuacji - ze wszystkimi szczegółami - warknął Hitler.

W rzuconym ostro poleceniu wciąż dały się słyszeć ślady austriackiego akcentu, którego fuhrer nigdy się nie pozbył. Jodl zaczął mówić.

Hitler słuchał nie rozchmurzając się, choć w przyćmionym świetle można było dostrzec niewiele więcej niż zarys jego nieruchomej postaci. Gdy generał skończył sprawozdanie, Hitler rozejrzał się po pokoju i przemówił szorstko:

- Lot ze Smoleńska był bardzo męczący. Wszyscy mają się stawić na jutrzejszą naradę w południe. Przedstawię na niej

szczegóły nowej ofensywy, którą rozpoczniemy niebawem...

Wyszedł. Bormann podążył za nim chcąc towarzyszyć mu do jego kwatery, lecz Hitler gestem go odprawił. Reichsleiter zachował beznamiętną twarz, ale w głębi duszy był zdumiony i zaniepokojony.

Aby wytłumaczyć fenomen, który miał miejsce w Wilczym Szańcu 14 marca 1943 roku, trzeba nam cofnąć się o cztery dni, a następnie o pięć lat - w złote czasy roku 1938.

Rozdział czwarty

10 marca 1943.

Wokół Berghofu, w Obersalzber u, przy dawnej granicy między Niemcami i Austrią, panował mróz. śnieg leżał grubą warstwą, a nad pustymi górami wisiała głęboka, dzwoniąca w uszach cisza.

Natomiast sam Berghof, prywatna rezydencja Hitlera, nie był oazą spokoju. W wielkiej sali, w której znajdowało się mnóstwo ogromnych Zwierciadeł, samotny człowiek dawał groteskowy popis oratorstwa.

Lustra były ustawione pod różnymi kątami, aby mógł ocenić efekt swojej kreacji ze wszystkich stron.

Heinz Kuby, odziany w wojskowy mundur - dokładną kopię munduru Hitlera - wygłaszał przemówienie, będąc dla siebie jedynym widzem i słuchaczem. Krzyczał na całe gardło wznosząc głos coraz wyżej, gestykułował gwałtownie. Wyrzucił naprzód w wymownym geście prawą rękę i przy tym ruchu opadł mu na czoło

kosmyk ciemnych włosów.

- Nie będę dłużej tolerował tej przeklętej świni, Beneša!

-krzyknął. - Maltretuje Niemców w Sudetach. Teraz ja zniszczę i jego...!

Mały wąsik zjeżył się przy tej pełnej jadu wypowiedzi. Kuby podniósł zaciśnięte pięści w geście groźby. Dając wyraz coraz większemu wzburzeniu, obserwował uważnie siedmiu Hitlerów odbitych w lustrach. Badał prawy i lewy profil, ruch ramion z tyłu.

Wiele godzin spędził w salce kinowej w piwnicach Berghofu na oglądaniu dostarczonych przez Bormanna filmów o fuhrerze, które ukazywały go w czasie przemówień i pełnienia codziennych funkcji.

Jako zawodowy aktor wychwycił wszystkie manieryzmy w zachowaniu Hitlera, nawet zdarzający się od czasu do czasu dziwny ruch prawego ramienia, połączony z lekkim drgnięciem lewego. Zauważył, że istnieje dwóch Adolfów Hitlerów. Pierwszy z nich był skromnym, stroniącym od rozgłosu człowiekiem, który uśmiechał się nieśmiało, emanował wielkim urokiem i wykazywał troskę o innych. Drugi -jego właśnie w tej chwili naśladował - był demonem energii, hipnotyzującym wielotysięczne tłumy.

Kuby równie długo wsłuchiwał się w głos fuhrera nagrany na płytach. Puszczął je wciąż od początku, dopóki nie nauczył się na pamięć każdego odcienia i barwy intonacji. Wpatrując się teraz w dziwaczny krąg zwierciadeł uniósł prawe ramię i jednocześnie podrzucił głowę. Taki gest zawsze robił fuhrer, gdy dochodził do kulminacyjnego momentu swego przemówienia.

Zwielokrotnione odbicia wirowały, głos przeszedł we wrzask

szaleńca. Koszmar osiągnął szczyt.

- Beneś to przeklęty morderca! Brodzi po kolana we krwi
naszych niemieckich braci, a...

W lustrach pojawiła się druga postać, jasnowłosa, przystojna
kobieta. Na zwielokrotnionych odbiciach jej ładnej twarzy nie
malował się nadmiar inteligencji. Podczas długich okresów
samotności w Berghofie, gdy fuhrer przebywał w Wilczym Szańcu,
dręczyła ją przeraźliwa nuda.

Lubiła taniec, nie czytała nic wymagającego większego
wysiłku umysłowego niż kobiece pisma o modzie. Zamachała ręką, a
Kuby zmarszczył groźnie brwi i przerwał swą tyradę. Wiedząc, że
denerwuje go, gdy ktoś mu przerywa - oprócz zdumiewającego
podobieństwa w wyglądzie dwaj mężczyźni mieli w dodatku podobne
charaktery - zaczęła przymilnie:

- Heinz, co za dużo, to niezdrowo. Chodź do łóżka...

- Mein Fuhrer! - poprawił ją. - Ile razy muszę ci mówić...

- Mein Fuhrer - zgodziła się ustępliwie - chodźmy do
łóżka...

Wciąż oszołomiony własnym pokazem, machinalnie ujął jej
wyciągniętą dłoń i poszedł za nią na piętro. Ewa Braun ceniła
sobie męskie zainteresowanie, a fuhrer rzadko dostarczał jej tej
satysfakcji.

Poza tym w pójściu do łóżka z jego sobowtórem było coś
fantastycznie podniecającego. Nie mówiąc już o tym, że Kuby był
dużo bardziej namiętym kochankiem.

Martin Bormann dowiedział się o istnieniu Heinza Kubego w
październiku 1938 roku, kilka miesięcy po przyłączeniu Austrii do

Niemiec.

Po usłyszeniu o tym fenomenie pierwszym odruchem Bormanna było zaarrestować Kubego pod byle jakim pretekstem, aby na zawsze zniknął w obozie koncentracyjnym.

- Ten Heinz Kuby - powiadomił go adiutant w Berghofie - występuje w małym prywatnym klubie nocnym w Salzburgu. Udaje przed publicznością fuhrera - ośmiesza go...

- W Salzburgu! - Bormanna jeszcze bardziej oburzyła bezczelność tej kreatury, która śmiała obrażać fuhrera niemal pod jego nosem.

Tego samego wieczoru adiutant zawiózł go do klubu w bocznej uliczce Starego Miasta.

Wcześniejsze numery programu były pastiszem szalonych berlińskich lat dwudziestych. Wśród aktorów występowała dziewczyna podobna do Marleny Dietrich. Była wysoka, miała długie, smukłe nogi w czarnych pończochach. Reichlester nie odrywał od nich oczu, pożerając wzrokiem każdy wyzywający ruch.

- Niesmaczne! - mruknął obłudnie do adiutanta. Adiutant zachował twarz pokerzysty. W Berghofie było powszechnie wiadomo, że każda sekretarka jest narażona na umizgi Martina Bormanna, a jego żona nieustannie była w ciąży.

Lecz wszystko, co Bormann usłyszał od adiutanta, nie przygotowało go na widok Heinza Kubego.

- Podobieństwo jest wręcz niewiarygodne - wyszeptał.

Z waszych słów wynikało, że on parodiuje fuhrera.

- No, skoro robi to na scenie...

Adiutant zgubił wątek, utknąwszy w połowie mętnego zdania.

Bormann zresztą go nie słuchał. Nie odrywał oczu od Kubego, prezentującego swój numer. Zauważył, że nieliczni widzowie -stłoczeni niewygodnie przy ciasno ustawionych stolikach - milczeli skrępowani.

Heinz Kuby nie przedstawiał karykatury fuhrera - on wcielał się w niego z takim wyczuciem, że wrażenie było zgoła niesamowite.

Gdyby otoczenie było bardziej odpowiednie i gdyby nie został wcześniej uprzedzony, Bormann byłby święcie przekonany, że widzi samego fuhrera. Pod koniec występu Kubego zamyślił się głęboko.

- Pójdziemy od razu do niego za kulisy - oznajmił.

- Oczywiście zaaresztujemy go. Pod zarzutem...

- Może raczycie sobie przypomnieć, że tutaj ja wydaję rozkazy - warknął Bormann.

Rozmowa, jaką przeprowadził z Kubym w zagraconej, niewiele większej od dwóch budek telefonicznych garderobie, w której unosiła się woń starego pudru i tłustej szminki, była krótka. Kuby urodził się w Linzu, niedaleko od rodzinnego miasteczka Hitlera - co tłumaczyło jego wyraźny austriacki akcent, tak niesamowicie podobny do akcentu fuhrera.

- Ma pan jakichś krewnych? - sondował Bormann.

- Nie, proszę pana. - Kuby był przerażony. Rozpoznał swego gościa, choć ten nie zadał sobie trudu, aby się przedstawić. - Oboje moi rodzice zginęli w wypadku samochodowym, gdy byłem...

- Ile ma pan lat?

- Czterdzieści siedem.

Sprawa była coraz bardziej niezwykła. Kuby był tylko dwa

lata młodszy od fuhrera. W tej chwili kierownik klubu otworzył
liche drzwi z dykty i zajrzał do środka, a ujrawszy Bormanna
wytrzeszczył z niedowierzaniem oczy.

- Czy coś nie w porządku? W każdej chwili możemy odwołać
występ Kubego...

- Już jest odwołany - oświadczył mu niski, gruby nazista. -A
wy, jeśli cenicie sobie własne życie, nigdy mnie tu nie
widzieliście.

Heinz Kuby wyjeżdża z nami. A teraz zejść mi z drogi.

- Czy on wróci? - spytał kierownik. - Musimy przygotować
afisz na przyszły tydzień...

- Nigdy go już nie zobaczycie.

W tydzień później Hitler przybył do Berghofu z Berlina. Jego
osobisty sekretarz bardzo starannie wybrał odpowiedni moment,
żeby poruszyć temat Kubego. Była dziesiąta wieczór. Fuhrer
skończył właśnie kolację, złożoną ze spaghetti i herbaty ze
skórek jabłek, i sadowił się przed paleniskiem, gdzie w buzującym
wielkim ogniu płonęły całe pnie młodych drzew. Bormann zaczął
badać ostrożnie grunt.

- Mein Fuhrer, nie ustaję w poszukiwaniu nowych metod, aby
uchronić cię, wodzu, przed atakiem jakiegoś szaleńca...

- Bardzo to się wam chwali - zgodził się uprzejmie Hitler,
wpatrując się w skaczące płomienie. Zdawał się czerpać
zadowolenie z widoku zniszczenia masywnych pniaków.

- Wczoraj znalazłem w Salzburgu kogoś, kto mógłby nam
zapewnić nową formę ochrony. Czy mogę go przyprowadzić?

- Ależ oczywiście, mój drogi Bormann.

Reichsleiter otworzył z pompatycznym rozmachem drzwi i wpuścił do środka Heinza Kubego. Aktor był teraz ubrany w partyjny uniform fuhrera z opaską ze swastyką na ramieniu. Mundur ten, co Bormann ze zdumieniem stwierdził przy przymiarce, leżał na nim jak ulał. Hitler podniósł się z wolna na nogi z twarzą pozbawioną wyrazu i wzrokiem wlepionym w przybysza jak w widmo.

- Co to jest? - spytał przyjrzawszy mu się przez całą minutę.

- Pański sobowtór, mein Fuhrer... - Bormann zaczął mówić szybciej wyczuwając, że coś jest mocno nie w porządku. - Jeśli będzie pan musiał osobiście pojawić się przed publicznością, a groziłoby to jakimś niebezpieczeństwem, możemy podstawić...

Nie zdążył powiedzieć nic więcej. Patrząc wciąż na Heinza Kubego, jakby ten dotknięty był jakąś odrażającą chorobą, Hitler ogłosił swój wyrok:

- Zabierz to stąd. Nie chcę tego nigdy więcej widzieć.

Nigdy, słyszysz?!

Ostatnie słowa wykrzyczał. Bormann czym prędzej wyprowadził przerażonego Kubego i z równym pośpiechem wrócił, żeby spróbować naprawić szkodę. Hitler przemierzał pokój tam i z powrotem w charakterystycznej dla siebie pozie, z rękami założonymi do tyłu. Nie dał Bormannowi czasu, aby mógł odezwać się pierwszy.

- Skąd wytrzasnąłeś tego ohydneho odmieńca? Mam nadzieję, że nikt inny go nie widział? Dzięki Bogu choć za to. Musisz się go pozbyć. Myślisz, że chcę, żeby ktoś wyglądający jak ja plątał mi się pod nogami? Lada chwila przyjedzie generał von Brauchitsch, zobaczy to i weźmie za mnie!

- Każdy z nas ma gdzieś na świecie swojego sobowtóra, mein

Fuhrer...

- Ja jestem niepowtarzalny!

Dziesięć minut później na Bormanna spłynęło natchnienie. Był pewny, że pokretny umysł Hitlera zaaprobuje jego nowy pomysł.

- Trzymajmy go w ukryciu. Może być użyteczny, gdy będzie pan chciał pojechać gdzieś w tajemnicy, udając jednocześnie, że jest w innym miejscu. Kuby przydałby nam się bardzo w czasie kryzysu z Róhmem...

- Masz rację, Bormann! - Hitler, który uwielbiał takie sztuczki, był zachwycony. Miał tylko jedno zastrzeżenie - w jakiej tajnej skrytce powinni trzymać "tę kukłę", jak się wyraził.

- Oczywiście tutaj, w Berghofie - odpowiedział z wielką pewnością siebie Bormann. - Przydzielę mu apartament i osobiście dopilnuję, żeby nigdy z niego nie wychodził, kiedy przebywa tu pan lub osoby z zewnątrz.

- W każdym razie pod żadnym warunkiem nie wolno mu opuścić Berchtesgaden. Wymagam tego stanowczo.

- To również mogę zagwarantować. Jedyny problem to adiutant, który go znalazł. Proponuję wysłać go natychmiast na podrzędne stanowisko do jakiejś ambasady na Dalekim Wschodzie...

- Doskonale! Może zostać tam na zawsze, póki nie zżółknie!

Bormann w duchu odetchnął z ulgą. Kryzys minął. Fuhrer nawet zrezygnował z określania Kubego mianem "to" na rzecz formy osobowej. Bormann żałował gorąco, że w ogóle wpadł na pomysł ściągnięcia tutaj tego parszywego aktorzyzny, lecz teraz, gdy

Hitler wyraził zgodę, musiał trzymać Kubego "w odwodzie".

Nawet w najśmielszych marzeniach nie mógł przewidzieć wtedy, w październiku 1938 roku, jak olbrzymie konsekwencje będzie miało w przyszłości to drobne wydarzenie, które chwilowo poszło w niepamięć. Właśnie weszła do pokoju Ewa Braun i Hitler, usadowiwszy się znów przed płonącymi polanami, zaprosił ją do towarzystwa, po czym zaczął jeden z nie kończących się monologów o złym świecie z czasów swojej młodości.

Rozdział piąty

12 marca 1943.

Pilot brytyjskiego mosquito, ubrany w niemiecki mundur pułkownika S.S, prowadził swoją maszynę nad Obersalzbergiem. Zobaczył wyrastający tuż przed nim postrzępiony wierzchołek okrytej śniegiem góry i poderwał gwałtownie maszynę przelatując niecałe pół metra nad skałami.

Wyliczenie czasu długiego lotu podpułkownika RAFu Iana Lindsaya okazało się bezbłędne. Świt rzucał właśnie niesamowitą poświatę na szczyty otaczające jak wartownicy Berghof, rezydencję fuhrera. Lindsay zawrócił szerokim łukiem samolot - zbudowany z drewna w celu zwiększenia szybkości - szukając odpowiedniego miejsca na skok ze spadochronem.

Siedział wciśnięty w małą kabinę, a spadochron na plecach utrudniał mu dodatkowo ruchy. Nagle dostrzegł nisko w dole cel swojej podróży: dachy Berghofu pod grubą pokrywą śniegu. Na

krętej drodze do górskiej rezydencji odcinały się wyraźnie ślady pojazdu, który niedawno tędy przejeżdżał.

Ian Lindsay wystartował z Malty - przyleciał na wyspę na pokładzie dakoty z Algieru - wcześniej po północy. Trasa lotu prowadziła przez Adriatyk i zachodni skraj północnych Włoch, a potem skręcała na północny wschód przez Alpy.

Do ostatniej chwili przed wylotem wątpliwe było, czy otrzyma pozwolenie na swoją misję. Dyskusja na ten temat sięgnęła wyżyn takich szarż jak generał Alexander, który zażyczył sobie osobiście spotkać się z Lindsayem w Kwaterze Głównej alianckich sił zbrojnych w Algierze. Gdy Lindsay przybył do jego willi, generał odsalutował mu od niechcenia i poprosił go, żeby usiadł.

- Co ma znaczyć ten cały cyrk - że niby jedzie się pan spotkać z Hitlerem? - spytał uprzejmie.

- A tak właściwie ilu ludzi wie o tej misji? - zapragnął wiedzieć podpułkownik RAFu. - Dwóch w Londynie i jeden łącznik, który przyleciał ze mną, to miało być wszystko...

- A teraz przytąpał mnie pan na paplaniu o tym na prawo i lewo?

Alexander z rozbawioną miną skubnął równo przystrzyżonego wąsa. Słyszał, że Ian Lindsay jest znany z niesubordynacji i najwyraźniej młodego podpułkownika lotnictwa nie peszył ani trochę jakiś zwykły zastępca naczelnego dowódcy wojsk sprzymierzonych. Alexandrowi raczej przypadło do gustu to, co zaobserwował w mężczyźnie siedzącym po przeciwnej stronie prostego, wspartego na krzyżakach stołu.

Lindsay miał dwadzieścia sześć lat, sto siedemdziesiąt pięć

centymetrów wzrostu, gęste blond włosy, nos podobny do tych, jakie się widuje na monetach z wizerunkami rzymskich cesarzy, mocno zarysowaną szczękę i stanowcze usta. Emanowała z niego siła charakteru.

Jego mimika była żywa jak u aktora. W rzeczy samej, przed wojną występował na scenie z zespołem teatru objazdowego.

- Niepokoi mnie długi język, obojętnie czyj - odparł

Lindsay. Sir - dodał po namyśle.

- Ja też mam swoje zmartwienia - powiedział Alexander przeciągając słowa. Odchylił się na oparcie krzesła. - Dajmy na to, jak utrzymać zgodę między Eisenhowerem i Montym. Jak przeprowadzić końcowy atak na Niemców w północnej Tunezji. I inne takie drobiazgi.

A jeśli chodzi o pańskie plany - Telford, pana oficer łącznikowy, wyjawiał mi je poufnie. Zmusiłem go do tego. Mógł albo dopuścić mnie do sekretu, albo zrezygnować ze współpracy.

- Zasygnalizowano panu przecież o tej sprawie? - Lindsay zaczynał powątpiewać, czy ten cholerny generałek o niedbałych, nonszalanckich manierach na cośkolwiek się przyda.

- Niech pan sam to przeczyta, Lindsay... - Alexander popchnął arkusik papieru na drugą stronę biurka. - Lubię wiedzieć o wszystkim, co się u mnie dzieje.

Lindsay zrewidował swoją opinię pochwycawszy błysk w oku generała i stalową nutę w jego głosie. Generał czekał, aż gość przetrawi rozkodowaną depeszę.

Proszę o udzielenie wszelkiej pomocy podpułkownikowi lotnictwa Lindsayowi w jego misji specjalnej na tyłach wroga.

Brooke.

- Chyba się pan ze mną zgodzi, że dobór słów jest wystarczająco ostrożny - powiedział ironicznie Alexander. - Co więcej, poza mną nikt w Afryce nie ma nawet pojęcia, że pan się tu znajduje. Życzę powodzenia w pańskiej samobójczej misji. To coś tak jak Hess na opak, nieprawdaż?

Lindsay wspominając rozmowę z Alexandrem prowadził swego mosquito szeroką spiralą w górę i usiłował wypatrzeć przez szkła gogli czyhające na niego liczne niebezpieczeństwa, w rodzaju niemieckiego myśliwca, odbywającego rundę patrolową, bądź następnego cholernego wierzchołka, wyłaniającego się z nienacka z mgły. Najbardziej obawiał się prądu zstępującego, który mógł wessać samolot w otchłań, zanim pilot zdąży zorientować się w sytuacji.

Zdecydował, że nie ma co dłużej kusić losu i pora opuścić przytulne zacisze kabiny. Wziął głęboki oddech i skoczył w mroźną pustkę. Na krótko zamajaczył mu ośnieżony krajobraz nisko w dole.

Zdawało mu się, że, opada niestychanie wolno, jakby płynął w powietrzu, co, jak go wcześniej ostrzegano, było niebezpiecznym znakiem. Za parę sekund mógł stracić przytomność. Ścisnął w dłoni linkę od spadochronu i gwałtownie nią szarpnął. Nic się nie wydarzyło.

Nadal dryfował w nicości. Przed tym również go ostrzegano, lecz doświadczenie tego na własnej skórze nie stało się przez to mniej przykre.

Spojrzał w górę. Znikąd pojawiła się nad nim chmura. Tego tylko brakowało. Zanościło się na burzę. Nagle pasy szarpnęły go

za ramiona.

"Chmura" okazała się wielką czaszą otwartego spadochronu.

Poczuł, jak natychmiast wraca mu samokontrola i trzeźwość umysłu.

Spojrzał w dół i zobaczył daleko pod sobą Berghof.

Zdał sobie sprawę z prądu powietrza, który niósł go prosto na pionową skalną ścianę. Pociągnął za lewą linkę i przytrzymał ją, co sprawiło, że zaczął opadać ukośnie mniej więcej w kierunku Berghofu.

Wtedy zobaczył coś, o czym zapomniał - wrzecionowaty kształt pozostawionego własnemu losowi mosquito.

Samolot niczym włócznia spadał stromo na następną górę. Lindsay prawie fizycznie poczuł zderzenie z ziemią tego ostatniego ogniwa łączącego go ze światem, którego być może nigdy więcej nie zobaczy.

Okolicę zalał oślepiający błysk, gdy wybuchł zbiornik z paliwem, rozległ się stłumiony grzmot, który mógł być wytworem jego wyobraźni, a potem w dolinę poleciał z furkotem grad kawałków drewna i metalu.

Otoczyła go niesamowita, głęboka cisza, tak charakterystyczna dla posępnego zimowego, górskiego pejzażu. Nigdy nie czuł się bardziej samotny.

Skupił się na kierowaniu spadochronem, aby ominąć groźne przepaście, rozciągające się z północy i na południe. Zastanawiał się, czy fuhrer przebywa teraz w Berghofie. Miał głęboką nadzieję, że tu go zastanie i że w dodatku będzie pamiętał ich przedwojenne spotkanie w ambasadzie w Berlinie. Hitler wyraźnie polubił młodego Anglika, który płynnie mówił po niemiecku i

sympatyzował z celami partii nazistowskiej. Rozmawiali na osobności przeszło cztery godziny.

Pokryte twardym śniegiem dno doliny było teraz bardzo blisko i zanosilo się, że Lindsay wyląduje w pobliżu krętej drogi, wiodącej w górę do Berghofu. Jak to określił jego misję generał Alexander?

Hess na opak. 10 maja 1941 roku, w sobotę, Rudolf Hess, zastępca Hitlera, poleciał samotnie do Szkocji w "misji pokojowej" na spotkanie z diukiem Hamiltonem, by omówić, jak wieść głosiła, zawarcie separatystycznego pokoju z Wielką Brytanią. 12 marca 1943 roku Ian Lindsay, bratanek diuka Dunkeitha oraz przedwojenny członek Towarzystwa Przyjaźni Angielsko - Niemieckiej, odbywał samotny lot do Bawarii również w roli emisariusza wysłanego w "misji pokojowej" wobec Niemiec.

Hess na opak?

Rozdział szósty

- Zawieźcie mnie do Berghofu! Natychmiast! Heil Hitler!

-rzucił chrapliwie Lindsay.

Podrzucił prawą rękę w faszystowskim salucie i wbił aroganckie spojrzenie w oficera S.S, który wysiadł z wojskowej ciężarówki.

Ciężarówka dopiero co wyjechała z Berghofu ślizgając się i zsuwając po krętej drodze. Z budy zeskoczyło czterech esesmanów z pistoletami maszynowymi. Patrzyli z zaciekawieniem na niemiecki spadochron, który falował wzdymany wiatrem na zboczu poniżej

nich.

Lindsay z satysfakcją zauważył, że przewyższa rangą oficera, który odruchowo odwzajemnił pozdrowienie i wyraźnie się wahał. Najbardziej liczyło się zawsze pierwsze trzydzieści sekund na scenie.

Lindsay wyniósł to doświadczenie - wraz z wieloma innymi - ze swojej przedwojennej kariery teatralnej. Podjął słowną ofensywę:

- Do diabła, czegoż tak tu stoicie jak wrośnięci w ziemię?

Jestem przemarznięty do szpiku kości. Powtarzam, zawieźcie mnie do Berghofu.

- Dlaczego nie wylądował pan na lotnisku? - zapytał oficer S.S.

Był szczupły, miał pociągłą twarz i pełne, dziewczęce usta.

- Na litość boską! - wybuchnął Lindsay. - Myślicie, że przy takiej pogodzie skakałem na spadochronie dla przyjemności? Każdy głupiec by odgadł, że nawalił mi silnik w samolocie.

Pytanie, jakie zadał oficer, sprawiło mu wielką ulgę.

Wynioskował z niego, że najwyraźniej nikt nie zauważył jego mosquito, który roztrzaskał się o skalną ścianę. Zapewne wkrótce w górskie ostępy zostanie wysłana ekipa z zadaniem zidentyfikowania maszyny, lecz Lindsay miał nadzieję, że wówczas będzie już się zmagał z innymi problemami, jak na przykład pokonywanie kolejnych kordonów bezpieczeństwa przed spotkaniem z Hitlerem. Oby tylko fuhrer był teraz w Berghofie. Czekał na końcowe pytanie, które właśnie padło:

- Moje nazwisko brzmi Kranz - przedstawił się oficer. - Nie

zostaliśmy uprzedzeni, że mamy pana oczekiwać. Czy mogę więc zapytać, kim pan jest i jaki jest cel pana wizyty?

- Możecie wkrótce znaleźć się na froncie, jeśli będziecie mnie dłużej trzymali na tym cholernym mrozie - zagroził Lindsay.

-Komendant dostał przecież wiadomość o moim przyjeździe.

- Z Wolfsschanze? - spytał Kranz z wahaniem.

- Oczywiście! Czy ta przeklęta łączność znów nie działa? A co do tego, kim jestem, to nie wasza sprawa. Moja wizyta jest ściśle tajna i nie mam ochoty dyskutować na ten temat w obecności pańskich ludzi, którzy, nawiasem mówiąc, denerwują mnie tym swoim gapieniem się...

Kranz zareagował od razu, rozkazując żołnierzom wsiąść z powrotem do budy. Lindsay wiedział już, że wygrał pierwszą rundę. Ten idiota nie zażądał nawet od niego papierów identyfikacyjnych. W razie potrzeby Lindsay mógł je okazać, ważne jednak było, aby od pierwszej chwili zdobyć nad kimś moralną przewagę - podobnie jak aktor, który po wyjściu na scenę stara się zapanować nad uczuciami publiczności - a legitymowanie się byłoby pewnym ustępstwem.

- Może pan usiąść ze mną z przodu w szoferce - zaproponował Kranz.

Musieli zjechać jeszcze trochę na dół w miejsce, gdzie samochód mógł zawrócić i rozpocząć długą, mozolną jazdę do Berghofu. Lindsay nie zwracając uwagi na Kranza patrzył wprost przed siebie na wycieraczki, które zmiatały z przedniej szyby bezustannie osiadającą warstwę szadzi. Był zaintrygowany.

Wolfsschanze. Wilczy Szaniec - lub inaczej Wilcze Leże.

Nigdy nie słyszał o tym miejscu i był pewny, że nie słyszał również nikt w naczelnym dowództwie aliantów ani też w służbach wywiadowczych.

Nikt nie wiedział, gdzie znajduje się główna kwatera Hitlera, ośrodek nerwowy sterujący operacjami wojskowymi. Do tego sekretnego miejsca nie przeniknął żaden szpieg.

Dotarli do punktu kontrolnego przed Berghofem. Wartownik od razu podniósł szlaban przed ciężarówką. "I to się nazywa system bezpieczeństwa... - Lindsay się zadumał. - Dlaczego zawsze zakładamy z góry, że w szeregach przeciwnika są sami nadludzie, a tylko wśród swoich można spotkać się z głupotą?" Zdjął rękawice i zaczął chuchać w dłoń.

Kątem oka dostrzegł, że Kranz zerka na pierścień ze swastyką na serdecznym palcu jego prawej ręki. Uznał, że jest to odpowiedni psychologicznie moment, aby skłonić oficera S.S do następnej pochopnej decyzji, która odwlecze jego identyfikację.

- Gdy dojedziemy na miejsce, dajcie mi przyzwoity pokój, gdzie będę mógł się umyć i przygotować na spotkanie z fuhrerem. W pokoju musi być sejf, żebym mógł schować tajne dokumenty.

- Ale przecież fuhrer jest w Wolfsschanze - odpowiedział Kranz.

Lindsay dostrzegł, że Kranz spojrzał na niego badawczo i usłyszał nutę podejrzliwości w jego głosie. Zaklął w duchu. Pierwsza gafa.

Trudno było jej uniknąć, lecz ta nieopatrzna uwaga może go zdradzić już teraz. Wciąż patrząc przed siebie zareplikował natychmiast rozkazującym tonem:

- Kranz! Przepisy bezpieczeństwa! Jest z nami kierowca,
chyba przeoczyliście ten drobny fakt.

- Nie rozumiem...

Podejrzliwość zaczęła ustępować zdumieniu i Lindsay czym
prędzej wykorzystał swą przewagę. Siedział nieporuszony, z
kamienną twarzą - nawet jednego spojrzenia nie rzucił na Kranza.
Zniżył głos do szeptu: - Spodziewamy się go. Wiecie, że nigdy
nie uprzedza o swoich planach, by uniknąć zamachów. Doprawdy,
Kranz, wolę nie myśleć o jego reakcji, gdybym zameldował mu o
treści naszej rozmowy...

- Udzielę panu wszelkiej pomocy...

Lindsay był nieprzejednany.

- Stoicie pomiędzy diabłem i Bogiem, w którego żaden z nas
nie wierzy. Od was zależy, czy dostaniecie awans, czy też udacie
się w podróż do Rosji. Nie zapomnijcie o tym pokoju, o który
prosiłem. I ani słowa komendantowi o moim przyjeździe. Wolałbym
też, żebyście wy również zostawili mnie w spokoju, zanim nie
odpocznę.

Widzieli już sławne wielkie okno widokowe z rozciągającym
się przed nim tarasem, które wywierało takie wrażenie na
przedwojennych gościach Berghofu. Okno było zaporowane od środka,
co ucieszyło Lindsaya. Przekroczywszy raz próg tej siedziby
znajdzie się w wielkim niebezpieczeństwie, ale przynajmniej,
dzięki Bogu, będzie mu ciepło.

Był przemarznięty do szpiku kości - w efekcie trudnego lotu,
braku snu i, jak przyznał się sam przed sobą, straszego napięcia
nerwowego po wylądowaniu na terytorium wroga.

Lindsay otworzył cicho drzwi swego pokoju w Berghofie. Wcześniej obejrzał uważnie framugę. Nie wykrył żadnego systemu alarmowego, który włączałby się przy ich otwarciu. Wyrzął na pusty korytarz. Nie było tam żadnego wartownika. Zastraszył Kranza samą siłą swojej osobowości do tego stopnia, że ten uznał jego obecność za w pełni wytłumaczoną.

Nikt nie był w stanie przewidzieć, jak długo potrwa ten stan rzeczy, w związku z czym Lindsay musiał jak najprędzej rozpoznać teren, zanim wyjdzie na jaw, kim jest naprawdę. Zamknął za sobą drzwi i bezgłośnie sunął po posadzce z prostokątnych klepek. Schody na końcu korytarza prowadziły na niższe piętro. Zatrzymał się.

Wszędzie pustki. Nikogo. Nie spodziewał się tego. Wtem usłyszał słabo jakiś głos, jakby znajomy. Zszedł wolno po okrytych chodnikiem stopniach, zatrzymując się po każdym kroku. W hallu na dole dostrzegł uchylone ciężkie, drewniane drzwi. Głos dochodził z pokoju za nimi.

Podszedł bliżej, dźwięki stały się wyraźniejsze. Lindsay, zaskoczony, znów przystanął. Kranz z całą pewnością powiedział mu, że Hitler jest w Wolfsschanze, i Lindsay był przekonany, że mówił prawdę. Co więc się kryło - a raczej kto był za tymi drzwiami?

W hallu piętro niżej również nie zastał nikogo. Drzwi były zaledwie uchylone - jakby ktoś nie domknął ich przez zapomnienie. Rozpoznał teraz głos bez najmniejszych wątpliwości. Tylko jeden człowiek na świecie przemawiał w tak bombastycznej niemczyźnie i

ciskał takie gromy.

Lindsay ostrożnie ujął klamkę i bardzo powoli odsunął drzwi jeszcze o parę centymetrów. Ujrzawszy widowisko wewnątrz na chwilę zgłupiał i zamarł w bezruchu. Pokój wypełniała kolekcja ustawionych w koło wielkich luster w ciężkich ramach. W środku koła stał Adolf Hitler, z kosmykiem włosów opadającym na czoło. Ćwiczył przemówienie, gestykulując zawzięcie i patrząc w lustra.

Lindsay przez chwilę obserwował go zafascynowany, lecz niebawem na jego twarzy pojawił się wyraz powątpiewania. Miał świetną, niezwykle plastyczną pamięć do ludzi, wyostrzoną jeszcze przez, spostrzegawczość, jakiej nabrał w aktorskim fachu. W sześciu Hitlerach, widocznych z różnych stron, było coś przerażającego i zarazem nierealnego.

Nie odważywszy się powtórnie poruszyć drzwi, zostawił je uchylone nieco szerzej i na palcach umknął z powrotem na wyższe piętro.

Właśnie gdy wchodził do swojego pokoju, na korytarzu pojawiła się kobieta.

- Jestem Ewa Braun - usłyszał. - A kimże pan jest?

Dziewczyna przyglądała fryzurę i otwarcie zmierzyła Lindsaya wzrokiem. Zrobiła na nim wrażenie kokietki. Wykonał następną sztuczkę sceniczną - obrócił się na obcasach w drzwiach pokoju udając, że nie wraca, ale właśnie z niego wychodzi.

"Niezbyt inteligentna - podsumował swoje pierwsze wrażenie - lecz ma pewien wrodzony spryt, jeśli chodzi o mężczyzn".

- Jestem magik Fiku-Mik - odpowiedział z humorem. - Właśnie wleciałem przez okno, żeby spotkać się z fuhrerem...

- On wyjechał do tego okropnego miejsca, Wilczego Szańca.

Chodźmy, dotrzyma mi pan towarzystwa. - Powiodła go w głąb korytarza w kierunku przeciwnym do klatki schodowej i wprowadziła do wygodnie umeblowanego salonu, paplając bez wytchnienia. - Tak się tu nudzę, kiedy on jest w Rastenburgu - niech pan usiądzie ze mną tu, na sofie. Dopiero co zrobiłam kawę, prawdziwą...

W Rastenburgu? To znaczy w Prusach Wschodnich. Czyżby właśnie usłyszał, gdzie znajduje się tajna kwatera Hitlera? W dodatku działa się tu coś dziwnego. Kranz mógł być nieświadom obecności fuhrera w Berghofie, lecz Ewa Braun, która; jak głosiła plotka, była kochanką Hitlera, z pewnością wiedziała, gdzie on obecnie przebywa. Kim więc był ten człowiek na dole, który wykręcał piruety przed lustrami?

Lindsay czując zamęt w głowie patrzył, jak Ewa przynosi dwie filiżanki, stawia je na niskim stoliku i siada przy nim na sofie.

- Nie widziałam pana wcześniej, panie magiku - zauważyła, rada z tej żartobliwej gry, jaką z nią zaczął. Intuicja podpowiedziała mu, że ten dziecinny ton przypadł jej do gustu. Należała do kobiet, które lubią nieustanną zabawę. - Czyżbyś wyczytał w swojej kryształowej kuli, że fuhrer wkrótce tu przyjedzie..?

Lindsay nie zdążył odpowiedzieć. Drzwi otworzyły się i z trzaskiem uderzyły o ścianę. W pokoju pojawili się esesmani uzbrojeni w pistolety maszynowe. Było ich siedmiu, na czele kroczył oficer w stopniu pułkownika, w zwykłym mundurze wojskowym. Kranz trzymał się z tyłu, przy drzwiach.

- Najmocniej przepraszam, fraulein - rzekł z rewerencją

pułkownik - lecz moim zdaniem ten człowiek jest podejrzany. -

Zmienił ton zwracając się do Lindsaya: - Kim pan jest i skąd się wzięł?

Jestem Muller, komendant Berghofu. Nie otrzymaliśmy żadnej wiadomości o pana przyjeździe.

Muller był o wiele bardziej niebezpieczny niż Kranz. Lindsay podniósł się powoli, mierząc spojrzeniem surową twarz Niemca i jego wyprostowaną sylwetkę. Gdy odpowiedział, jego ton był spokojny, niemal niefrasobliwy:

- Nie przewiduję, by pozostał pan komendantem dużo dłużej.

Mam tu do spełnienia misję specjalną, która dotyczy tylko fuhrera i nikogo innego.

Muller zrobił trzy szybkie kroki do przodu, chwycił Lindsaya za kołnierz i rozdarł jego esesmański mundur. Spod materiału ukazał się mundur RAFu. Komendant oparł dłonie na biodrach.

- Tak myślałem, że coś z tobą nie gra. Krótki pobyt w naszych piwnicach na pewno dobrze ci zrobi.

- Ale tobie raczej zaszkodzi - z chwilą gdy fuhrer wróci...

Jeden z esesmanów, rozwścieczony tą zuchwałością, podniósł pistolet maszynowy i z rozmachem uderzył Lindsaya kolbą w szczękę.

Anglik odskoczył w tył, osunął się po ścianie i usiadł na podłodze.

Ewa Braun uciekła z pokoju. Lindsay otarł krew z ust. Zareagował w ostatniej chwili - kolba jedynie drasnęła mu szczękę.

- Mam nadzieję, że rana będzie wciąż widoczna, gdy fuhrer

mnie zobaczy - stwierdził chłodno.

W oczach Mullera pojawił się błysk niepokoju. Spokój i opanowanie więźnia wyprowadzały go z równowagi. Kranz niepewnie zbliżył się i powiedział z wahaniem:

- W jego pokoju jest sejf. Dałem mu klucz. Mówił coś o tajnych dokumentach...

- Ian Lindsay, podpułkownik lotnictwa - przedstawił się czym prędzej Anglik. - Jestem bratankiem diuka Dunkeitha. Znam fuhrera sprzed wojny, a te dokumenty są przeznaczone tylko dla jego oczu.

Ukradłem samolot i przyleciałem tutaj z Algieru. Myślicie, że chciałem popełnić samobójstwo? Byłem członkiem Towarzystwa Przyjaźni Angielsko - Niemieckiej. I to wszystko, co mam zamiar wam powiedzieć, dopóki nie zobaczę się z fuhrerem. Jeśli cenicie sobie wasze ciepłe posadki tutaj, lepiej wyślijcie do Wilczego Szańca wiadomość o moim przyjeździe. Tymczasem chciałbym wrócić do swego pokoju.

Został tam odprowadzony pod eskortą i zrewidowany pod czujnym okiem Mullera. Nie znaleziono przy nim nic ciekawego oprócz kluczyka od ściennego sejfu i legitymacji RAFu. Komendant obejrzał dokumenty, zwrócił je właścicielowi i podrzucił na dłoni kluczyk od sejfu, jakby wahał się z decyzją. Lindsay ubierając się po rewizji zaczął podjudzać Mullera, by popchnąć go do szybszego działania.

- No, dalej! Zrób pan to! Otwórz sejf! Otwórz paczkę i zapoznaj się z zawartością. Gdy tylko fuhrer się dowie, że widział pan, co jest w środku, nie minie godzina, a stanie pan przed plutonem egzekucyjnym.

Lindsay postawił na swą ocenę charakteru Mullera. Stary koń bojowy, odstawiony na pastwisko, powolny i nie wyróżniający się wyobraźnią, który odsluguje swój czas w oczekiwaniu na wojskową emeryturę. Esesman, który uderzył go poprzednio, znów podniósł kolbę.

- Klaus! - warknął Muller. - Tutaj ja wydaję rozkazy!

Uderzyłeś już raz więźnia bez mojego pozwolenia...

I Lindsay wiedział, że wygrał. Komendant już dystansował się od zapalczego zachowania Klause i aż do przyjazdu Hitlera otwarcie sejfu będzie ostatnią rzeczą, jaka mu przyjdzie do głowy. Muller schował klucz do kieszeni, a Lindsay znów zabrał głos:

- Jeśli ma pan zamiar zatrzymać ten klucz, muszę pozostać w tym pokoju.

- Wielki Boże! Dlaczego?

- Dla pana własnego dobra, ośle! Mogę zaręczyć fuhrerowi, że nikt inny nie zna zawartości przesyłki tylko wtedy, gdy będę w stanie dowieść, że nie opuściłem tego miejsca ani na chwilę! To znaczy, że będziecie musieli przysyłać mi posiłki na górę - trzy gorące posiłki dziennie. Zwykłem jadać śniadanie o...

Muller był pokonany. Lindsay poinstruował go szczegółowo o swoich obyczajach kulinarnych i komendant wraz z żołnierzami opuścili pokój. Anglik usłyszał, jak ktoś zamyka drzwi od zewnątrz.

Otarł wilgotne dłonie o spodnie. Liczył teraz na coś, czego przezornie nie wyciągnął na jaw w czasie konfrontacji.

Komendant, zdenerwowany jego obecnością, będzie się

niestychanie starał, żeby przerzucić na Wilczy Szaniec odpowiedzialność za kroki, jakie następnie powinien podjąć. Kiedy meldunek o pojawieniu się Lindsaya dotrze do Rastenburga, fuhrera zacieka to dziwne zdarzenie. Lindsay stawiał wszystko na jedną kartę - że Hitler, który znany był z fantastycznej pamięci, przypomni sobie przedwojenne spotkanie w Berlinie z młodym, pronazistowskim Anglikiem.

Gdy tak siedział na krześle czując, jak przepływają przez niego fale zmęczenia - efekt przeżytego napięcia - nasunęła mu się jeszcze jedna niepokojąca myśl. Wprawdzie jego pobyt w Kwaterze Głównej wojsk sprzymierzonych na obszar centralny państw śródziemnomorskich był krótki, a generał Alexander wyglądał na uosobienie dyskrecji, lecz przebywała tam grupa oficerów łącznikowych armii sowieckiej.

Rzeczą największej wagi, bez względu na inne kataklizmy, które mogły czyhać na niego w przyszłości, było to, aby do Rosjan nie dotarła nawet najmniejsza pogłoska o jego istnieniu, nie mówiąc już o celu jego misji.

Komendant Muller odłożył do rana decyzję, czy informować Wilczy Szaniec o tajemniczym gościu, który się pojawił w Berghofie.

Zbliżało się więc południe 13 marca, gdy osobiście zadzwonił do głównej kwatery w Prusach Wschodnich i poprosił o rozmowę z fuhrerem. Jak zwykle, telefon odebrał Martin Bormann i nalegał, żeby jemu Muller wszystko wyjawiał.

- Sądzi pan, że ten Anglik mógł przylecieć do fuhrera w misji pokojowej? - spytał Bormann po kilku minutach.

- Nie mam w tej sprawie żadnej pewności, Herr Reichsleiter
-zaasekurował się pospiesznie Muller. - Uważałem, że powinien pan
wiedzieć o jego obecności...

- Całkiem słusznie! Dobra decyzja, Muller, świetnie pan
zrobił informując mnie. Lubię wiedzieć o wszystkim, co się
dzieje, aby móc powiadomić fuhrera o wszystkich kwestiach, które
zasługują na jego uwagę. Proszę nadal trzymać Lindsaya pod ścisłą
strażą. Heil Hitler!

Odłożywszy słuchawkę w centrali łączności Wilczego Szańca
Bormann podjął szybką decyzję. Fuhrer był na inspekcji u
feldmarszałka von Klugego w Smoleńsku. Należy natychmiast wysłać
mu meldunek o Angliku.

Bormann sam ułożył wiadomość. To niezwykle wydarzenie mogło
mieć następstwa, których znaczenie trudno byłoby przecenić.
Bratanek diuka Dunkeitha! Możliwe, że przywozi propozycje
pokoju -a w takim razie fuhrer nigdy nie wybaczyłby Bormannowi
zwłoki w zawiadomieniu o jego przyjeździe.

Wysławszy depezę do Smoleńska Bormann napomknął o nowinie
Jodlowi, który niezwłocznie przekazał ją dalej do Keitla: Po
upływie zaledwie paru godzin w całym Wolfsschanze huczało od
plotek, a świeża sensacja stała się głównym tematem rozmów.

Odpowiedź Hitlera nadeszła niemal od razu. Była zwięzła i
rzeczowa. Przedwojenne spotkanie z Anglikiem najwyraźniej utkwilo
mu w pamięci.

Wydać natychmiast dyspozycje, aby podpułkownik Lindsay
został przewieziony drogą powietrzną wprost do głównej kwatery
dziś po południu.

Wysłucham go w parę godzin po moim powrocie.

Fuhrer był już w samolocie lecącym ze Smoleńska.

Rozdział siódmy

13 marca 1943.

Przez większą część roku 1943 siedziba zajmującej się kontrwywiadem sekcji V SIS - Specjalnej Służby Śledczej - mieściła się w dwóch wiejskich dworach Prae Wood i Glenalmond niedaleko St Albans. Dwudziestodwunasto-letni Tim Whelby, zastępca szefa sekcji V, urzędował w Prae Wood.

Whelby zawsze wyglądał zbyt dojrzałe jak na swój wiek. Był człowiekiem cichym i ogólnie lubianym przez kolegów. Jego towarzystwo działało odprężająco, co sprawiało, że ludzie, których męczyło wewnętrzne napięcie, chętnie z nim rozmawiali, szczególnie wieczorami, w miejscowym pubie po wypiciu kilku drinków. Jego strój był równie swobodny jak sposób bycia - flanelowe spodnie i stara tweedowa marynarka z łatami naszytymi na łokciach. Whelby palił fajkę, co, jak się zdaje, ugruntowało jego reputację człowieka, na którym można polegać.

Wieczorem 13 marca wychodził właśnie z wiejskiej rezydencji z zamiarem udania się do pubu, kiedy na podjeździe zahamował ze zgrzytem zmienianego biegu morns minor. Za kierownicą siedział Maurice Telford, czterdziesto-letni mężczyzna o szczupłej twarzy.

Whelby podszedł do samochodu i w słabym świetle padającym z tablicy rozdzielczej dostrzegł, że Telford wygląda na

wyczerpanego. Zauważył również zgrzyt przy wrzucaniu biegu.

Telford był zazwyczaj pierwszorzędnym kierowcą.

- Nie widziałem cię od ładnych paru dni, stary - powiedział

Whelby. - Wracasz z podróży?

- Jeszcze jakiej! Cholera, wszystko mnie...

- Łykniesz ze mną jednego drinka w tutejszej knajpie? Dobrze ci zrobi przed snem.

- Marzę tylko o walnięciu się do łóżka. - Telford się zawahał.

Czuł psychiczne napięcie po długim locie z Algieru. Tim Whelby z fajką w kąciku ust czekał cierpliwie. On nie nalegał.

Nigdy. -Tak, przydałby mi się tyk czegoś mocniejszego. I coś do zapchania żołądka. Nie uwierzyłybyś, kiedy ostatni raz jadłem.

- Porządny z ciebie chłop. - Whelby zapadł w fotel pasażera koło kierowcy. - Raźniej mi będzie w towarzystwie.

W ten sposób Telford odniósł wrażenie, że zgadzając się na propozycję Whelbyego wyrządza mu przysługę. Nastąpiła przerwa w rozmowie do chwili, gdy Whelby wszedł pierwszy do opustoszałego pubu "Pod głową rogowca", wskazując miejsce w kącie sali, wykładanej dębową boazerią.

- Przyniosę drinki. Ten kącik przy kominku wygląda całkiem przytulnie.

Telford usadowił się na wygodnej ławie. Spojrzał z niedowierzaniem na szklanę, którą postawił przed nim Whelby.

- Co to jest? - spytał.

- Podwójna szkocka. Nie ma co się rozdrabniać. I zjedz te kanapki - mieli tylko ser. No, wypijmy za to, żebyś nigdy więcej

nie musiał się tułać za granicą. Zdrowie!

- Kto mówił, że wyjechałem za granicę? - Telford przełknął połowę zawartości szklanki.

- Ktoś tam wspomniał, nie pamiętam kto. Czy to ważne?

- Chyba nie. - Chwiejąc się ze zmęczenia Telford wypił resztę whisky. Poczuł miłe ciepło rozchodzące się po całym ciele. Odprężył się. - Zaniósł mnie aż do północnej Afryki w bombowcu, parszywym liberatorze, istnej latającej lodowni bez żadnych siedzeń, nic oprócz podłogi i śpiwora. Cały jestem w siniakach. A wszystko po to, żeby niańczyć tego stukniętego podpułkownika, Iana Lindsaya, który niezadługo ma się spotkać z Hitlerem, jasna cholera!

- To trochę bez sensu. Nie mógł sam się tam dotarabanić?

Zachowanie Whelbyego było miłe, lecz obojętne, jakby podtrzymywał zdawkową rozmowę. Wezwał barmana i zamówił następne drinki. Telford zaczął protestować.

- Teraz na mnie kolej...

- W takim razie ty zapłacisz, przyjacielu. Skończy się tym, że obaj się wstawimy. Ale cóż innego można robić na tym zakazanym odludziu?

- Tak naprawdę nie eskortowałem go - wyjaśnił Telford. -W Kwaterze Głównej wojsk sprzymierzonych mieli tajny raport, który chcieli nam przekazać do rąk własnych. Podrzuciłem go dziś, zanim tu przyjechałem, na Ryder Street, zaraz po powrocie. Miałem być przykrywką dla Lindsaya - dwóch ludzi przybyłych do Algieru budzi mniejsze zainteresowanie niż jeden.

Pociągnął ostrożnie whisky, miarkując łyki. Whelby wstał,

żeby zdjąć płaszcz, wyjął fajkę i nie zapalając jej zaczął ssać ustnik. Przez kilka minut siedzieli w milczeniu, chłonąc ciepło ognia trzaskającego na kominku. Telford zjadł żarłocznie kanapki. Jedzenie, drinki i przytulny komfort sprawiły, że niemal zasypiał.

- Oczywiście że żartujesz - odezwał się po pewnym czasie

Whelby - że ten jakiś typ z RAFu poleciał zobaczyć się z

Hit-Hit-Hitlerem?

Na nieszczęście zaczął się zacinać. Pomimo otumanienia alkoholem i zmęczeniem Telford przypomniał sobie, że u ludzi, którzy mają skłonność do jąkania się, dolegliwość ta często występuje w chwilach napięcia. To wydawało się ważne, znamienne... W chwilę później nie mógł już sobie przypomnieć, cóż takiego było - lub mogło się okazać - tak ważne. Z głębi jego pamięci wypłynęły ostatnie słowa Whelbyego. Uniósł się gniewem.

- Ten podpułkownik RAFu, niejaki Ian Lindsay, poleciał dalej na Malte, a stamtąd miał lecieć w pojedynkę do Niemiec specjalnie po to, żeby spotkać się z Hitlerem - oświadczył tonem urażonej godności. - I nie pytaj mnie w jakim celu - bo niewiem!

- W każdym razie z pewnością cholernie się cieszysz, że wróciłeś do domu, więc wypijmy pod to strzemienne. Ja stawiam. Podwójna szkocka dla nas dwóch.

Telford poczekał, aż barman przyniesie nowe drinki i się oddali.

Doświadczał jednego z tych rzadkich i krótkotrwałych przebłysków jasności umysłu, które czasami przebijają się przez mgłę alkoholowego zamroczenia. Zniżył głos widząc, że do baru

weszło kilka osób.

Whelby pochylił głowę ku niemu, żeby usłyszeć jego słowa.

- Tim, nie powinienem o tym wszystkim w ogóle mówić. Ufam ci, ale jeżeli wyrwie ci się choć słowo, wyląduję na bruku - albo jeszcze gorzej...

- Ustawa o tajemnicach państwowych - przytaknął Whelby z brakiem taktu, który zdziwił Telforda. - Obaj podpisaliśmy to zobowiązanie, więc obaj jedziemy na tym samym wózku. Żaden z nas nie pamięta ani słowa, więc nikt nie założy nam pętli na szyję...

- Rozmowa robi się raczej koszmarna, co? Chodźmy już stąd.

Whelby podszedł do baru, żeby zapłacić, a Telford ostrożnie stawiając kroki dotarł do drzwi i ruszył do zaparkowanego przed pubem samochodu. Właściciel pubu zauważył, że Whelby jest zdumiewająco trzeźwy - przy płaceniu nie miał najmniejszego kłopotu z odliczaniem monet.

Dwa dni później Tim Whelby przeniósł się na dwie doby do Londynu na Ryder Street, by omówić ze swoim szefem problem pewnego agenta, którego podejrzewał, że dostarcza wzięte z księżycy informacje, aby tylko usprawiedliwić swoje istnienie.

O dziesiątej wieczorem Whelby szedł samotnie Jermyn Street, odbywszy uprzednio krótką rozmowę telefoniczną z budki na stacji kolejki podziemnej Piccadilly. Jermyn Street ma tę zaletę, że biegnie prosto od początku do końca. To utrudnia ewentualne śledzenie, szczególnie o tej porze, gdy spotyka się niewielu przechodniów.

Przystanął by zapalić fajkę i udał, że zagląda do wnętrza sklepu, obserwując w szybie ulicę za sobą. Mroczny kanion między

dwiema ścianami kamienic był pusty.

Whelby podjął przechadzkę i dotarł do następnego sklepu. Tu powtórzył dyskretną lustrację. Zrobił jeden szybki krok i znalazł się w podcieniu przed wejściem. Jeszcze przed chwilą stał na ulicy; teraz zniknął z pola widzenia. Josip Sawitski, niski, korpulentny mężczyzna w ciemnym płaszczu i miękkim kapeluszu, czekał już tam na niego.

Odezwał się pierwszy:

- Te awaryjne kontakty są niebezpieczne. Doprawdy mam nadzieję, że to, co pan przynosi, usprawiedliwia ryzyko.

- Spokojnie. Albo ma pan do mnie zaufanie, albo nie.

- Cóż, w końcu jestem tutaj...

- Proszę słuchać! - Sposób bycia Whelbyego, zazwyczaj bardzo uprzejmy, nagle uległ zmianie. Whelby był bardziej wyprostowany, mówił rozkazującym tonem, szorstko i bez zacinania się. - Niejaki Ian Lindsay, podpułkownik lotnictwa, 10 marca poleciał do dowództwa aliantów w Algierze. Stamtąd miał udać się w pojedynkę do Niemiec na spotkanie z fuhrerem...

- Jest pan tego pewny? - W głosie przysadzistego mężczyzny, który mówił po angielsku z obcym akcentem zabrzmiała nuta przerażenia.

Sposób bycia Whelbyego stał się jeszcze bardziej szorstki.

- Nie zwykłem przekazywać meldunków, co do których nie mam pewności. I niech pan nie pyta mnie o źródło - powiem tyle, że można na nim całkowicie polegać.

- To ma być misja pokojowa, tak? - stwierdził raczej niż spytał niski grubas o nalanej twarzy.

- Nie ze mną te sztuczki. - Głos Whelbyego stał się jeszcze ostrzejszy, gdy znów zerknął na fosforyzujący sekundnik swego zegarka. - Nie mam pojęcia, po co Lindsay został wysłany. Proszę dołączyć do raportu wiadomość, że jest on bratankiem diuka Dunkeitha. Diuk był przed wojną jednym z filarów Towarzystwa Przyjaźni Angielsko - Niemieckiej. Wiem na pewno - sam byłem jego członkiem.

Czas minął. Idę...

Zanim Sawitski zdążył odpowiedzieć, Whelby wyszedł z niszy i podjął spacer z rękami wciśniętymi w kieszenie płaszcza. Na pobliskim rogu skręcił w Duke of York Street i ruszył szybko na St James Square, z rozmysłem obchodząc wkoło kwartał domów. Gdyby ktoś rzeczywiście za nim szedł, musiałby przyspieszyć kroku, by zdążyć sprawdzić cel jego przechadzki. Celem tym był budynek przy Ryder Street.

Josip Sawitski stał nieruchomo w głębokim cieniu. Według umowy powinien dać Whelbyemu pięć minut na oddalenie się, zanim sam opuści miejsce spotkania. Kiedy wyznaczony czas upłynął, wynurzył się z węki i ruszył do sowieckiej ambasady długą, okrężną trasą, która wiodła przez wiele odkrytych miejsc, gdzie nikt nie mógłby niepostrzeżenie iść za nim. Gdy dotarł do celu, wybiła już północ.

Rosjanin, który oficjalnie pełnił funkcję attache do spraw handlowych, poszedł prosto do swojego biura. Zamknął drzwi, zapalił osłoniętą lampę na biurku i wyjął ze ściennego sejfu tablice szyfrów jednorazowych. Starannie ułożył meldunek. Spływał potem, choć podczas marcowej nocy w biurze było zimno.

Zadowolony z efektu swej pracy - wynik musiał być doskonały biorąc pod uwagę adresata - zakodował zwięzłą wiadomość. Potem osobiście zaniósł meldunek do pracownika łączności, który miał nocny dyżur w piwnicy. Poczekał nawet, aż wiadomość zostanie nadana. Sawitski był człowiekiem ostrożnym. Przesyłał meldunek do Kozaka. "Kozak" - tak brzmiał kryptonim Stalina.

Rozdział ósmy

- Pułkownik Lindsay, zostanie pan natychmiast zawieszony do Wolfsschanze na spotkanie z fuhrerem - oznajmił komendant Muller wszedłszy do pokoju, w którym Lindsay pozostał zamknięty przez całą noc. - Heil Hitler! - zakończył i podniósł ramię w faszystowskim pozdrowieniu. W porównaniu z pełną agresywną wyższością postawą, jaką okazał przy pierwszym spotkaniu z niespodziewanym przybyszem, jego zachowanie diametralnie się zmieniło. Teraz zwracał się do Anglika z pełnym szacunkiem.

- Sam mogę się tam zawieźć - odpowiedział Lindsay z charakterystycznym dla siebie tupetem. - Dajcie mi tylko samolot i trasę lotu. - Wstał i odsalutował. - Heil Hitler!

- Właśnie wylądował Bauer, jeden z osobistych pilotów fuhrera. Odwiezie pana na miejsce przeznaczenia. To wielki zaszczyt...

- W samej rzeczy. - Lindsay skończył przed chwilą śniadanie.

Teraz patrzył na dziewczynę w stroju pielęgniarki, która weszła do pokoju i czekała na polecenia. Była ciemnowłosa i przystojna. -Muller, czy ona, podobnie jak pilot, została mi

przydzielona?

Komendant zaśmiał się rubasznie. Lindsay uderzył w ton, który najbardziej mu odpowiadał. Potrząsnął jednak głową.

- Ona opatrzy panu ranę na twarzy. Proszę usiąść, żeby mogła się tym zająć. A tymczasem... - Wyjął z kieszeni na biodrze płaską flaszkę i odkręcił nakrętkę. - Może schnappsa? Bardzo trudno to dzisiaj zdobyć w Niemczech.

- Dziękuję panu.

Lindsay usiadł w skórzanym fotelu i pociągnął tak potężny łyk z flaszki, że na twarzy Mullera pojawił się wyraz przestrawu.

Wielce ubawiony, nie wypuszczając butelki z ręki, poddawał się zabiegom.

Pielęgniarka delikatnie zdjęła plaster, którym wcześniej bezceremonialnie zakleiono ranę. Za pomocą gazy zwilżonej środkiem dezynfekującym wprawnie usunęła brzydki skrzep, jaki uformował się na ranie. Anglik w czasie spotkania z fuhrerem nie powinien nosić na sobie żadnych śladów złego traktowania. Od teraz wszyscy będą się z nim obchodzić jak ze zgniłym jajkiem - jak przystało traktować ważną osobę - aż do chwili, gdy nastąpi konfrontacja w Wolfsschanze.

Kiedy wielki, reprezentacyjny mercedes, którym odwożono go na lotnisko, dojechał do pasa, Lindsay rozpoznał w czekającym samolocie transportowiec junkers 52. Był to solidny koń pociągowy, który powinien dotrzeć do Prus Wschodnich w ciągu paru godzin - pomimo że musiał przedtem przelecieć nad obszarem całej Trzeciej Rzeszy.

Otworzył drzwiczki samochodu i postawił nogę na pokrytym lodem szerokim stopniu. W kieszeni wyczuwał grubą, zapieczętowaną kopertę, którą Muller pozwolił mu zabrać ze ściennego sejfu. Prawda, że pakiet został sprawdzony przez eksperta od bomb - Muller bez wątplenia znał się na swoim fachu - lecz jego zawartość pozostała tajemnicą.

- Bauer? Jestem Ian Lindsay. Widzę po pana twarzy, że nie mam się czego obawiać w czasie tego lotu.

Lindsay wyciągnął rękę do mężczyzny, który wyszedł im naprzeciw ze swej maszyny. Jego chód był mocny i zdecydowany, a twarz pod hełmem pilota zmarszczyła się w miłym uśmiechu, gdy wymieniali uścisk dłoni. Anglik domyślał się, co chodziło wcześniej po głowie Bauerowi. "Znowu jakiś cholerny ważniak..." Na pewno powiedziano mu, że jego pasażer jest podpułkownikiem lotnictwa, czyli znacznie przewyższa go rangą. Duże wrażenie mógł też wyrzeć na nim fakt, że Lindsay osobiście zna fuhrera. Lecz pomijając wszystkie różnice - z wyjątkiem różnic szarży - lotnicy, niezależnie od kraju, z którego pochodzą, tworzą jedno bractwo.

Bauer przyjął nieformalne, przyjacielskie zachowanie Lindsaya z zaskoczeniem i zadowoleniem. Zauważył również, że Anglik zatrzymał się, żeby podziękować kierowcy za bezpieczne dowiezienie go na lotnisko. Przed wyjazdem z Berghofu komendant Muller przeprosił Lindsaya za to, że nie może mu towarzyszyć.

- Muszę tu sam wszystkiego pilnować - tłumaczył - i siedzieć na miejscu, w razie gdyby ten gnojek, Bormann... - Urwał i mrugnął do Lindsaya. - Ogłuchł pan na chwilę, prawda?

- A wie pan, że rzeczywiście. Mówił pan coś?

- Szczęśliwego lądowania.

Tuż przed wdrapaniem się do kabiny junkersa Lindsay machnął ręką w stronę świeżych kolein, śladów kół pozostawionych na śniegu przez ciężką maszynę, i w nadziei, że dostatecznie obłąskawił Bauera, zadał mu pytanie:

- Był już dziś jakiś odlot?

- Robili z tego wielką tajemnicę. - Bauer wyglądał na urażonego. - S.S zapędziło mnie do jakiejś szopy, żebym nic nie widział, ale i tak zauważyłem lądującego kondora. Trochę to wszystko dziwne.

- Dziwne?

- Wyglądał zupełnie jak samolot fuhrera. Te same oznaczenia, bliźniaczo podobny do kondora, którego on zawsze używa. W tej samej chwili z Berghofu przyjechała limuzyna pod silną eskortą.

- W tym też było coś dziwnego?

Dzięki temu, że zupełnie nie zadzierał nosa, Lindsay nawiązał znakomite stosunki z sympatycznym Bauerem.

- Nie widziałem, kto jest w środku - paplał dalej pilot zaciągając się ostatni raz papierosem. - Zastłonki w oknach były zaciągnięte.

Dziwna sprawa, bo fuhrer jest teraz w Wilczym Szańcu.

- Taką mam nadzieję - odparł Lindsay, z ostrożności nie sondując dalej. - Spodziewam się tam z nim spotkać.

- Ruszajmy więc.

Bauer zgniótł niedopałek obcasem i po kilku minutach samolot uniósł się w powietrze. Szybko nabierał wysokości kierując się na północny wschód. Gdy Lindsay odwrócił się, krajobraz w dole już

zniknął.

- Komendancie Muller! Macie odłożyć do odwołania lot
podpułkownika Lindsaya z Berghofu - warknął Bormann do słuchawki.

Znajdował się w centrali łączności w Wilczym Szańcu.

Odpowiedź Mullera była przerażająco jasna:

- Niestety, Herr Reichsleiter, samolot wystartował pół
godziny temu, zgodnie z pana wcześniejszym rozkazem...

- Zawróćcie go, na miłość boską! Wywołajcie pilota przez
radio!

- Nie mogę tego zrobić. Kontrola na lotnisku straciła
kontakt radiowy z pilotem. Na północ od Salzburga rozpętała się
burza, a obecność gór też nie pomaga...

- Czy to oznacza, że nie możecie nawiązać łączności z
samolotem, dopóki nie wyląduje w Wilczym Szańcu? - Bormann kipiał
gniewem.

- Najprawdopodobniej tak! - rzucił Muller z pewną
satysfakcją.

- W takim razie - powiedział Bormann spokojniejszym głosem -
połączcie mnie z pułkownikiem S.S, Jaegerem. Prywatną linią.

Czekał czując, że ma w głowie zamęt. Od dwudziestu czterech
godzin nie zmrużył oka. Fuhrer nie żył, zginął podczas lotu ze
Smoleńska. Miejscowy oddział S.S usunął wszystkie ślady
katastrofy, a jednostka egzekucyjna z Berlina pod dowództwem
Rainera Schulza zlikwidowała ich po wykonaniu straszliwego
zadania.

Bormann tak był zaabsorbowany szczegółami operacji, że aż do
tej pory podpułkownik RAFu umknął mu z pamięci. W dodatku wkrótce

miał wylądować w Wilczym Szańcu "drugi fuhrer", Heinz Kuby.

Bormann odłożył decyzję w sprawie niepożądanego wizyty Anglika na później. Najważniejsze było teraz rozwiązanie kwestii Mullera, jedyne człowieka w Berghofie, który wiedział o istnieniu Kubego.

- Tu pułkownik Jaeger. Chciał pan ze mną mówić? - Jego rozmówca nie kłopotał się okazywaniem mu należącego szacunku czy tytułowaniem go reichsleiterem. Bormann wyduł wargi. Czuł żywą niechęć do Jaegera i jego niezależności. Będzie musiał osadzić tego bufona.

- Jesteście pewni, że linia jest bezpieczna? - spytał.

- Chyba że gestapo założyło podsłuch. - Z głosu Jaegera można było wywnioskować, że taka możliwość go zaledwie nie wzrusza.

- Pułkowniku Jaeger! Dowodzicie specjalnym oddziałem Waffen S.S w Berghofie, na was spoczywa odpowiedzialność za bezpieczeństwo tego miejsca...

- Nie jestem ekspertem od łączności. - Jaeger sprawiał teraz wrażenie szczerze znudzonego. - A jeśli chodzi o sprawowanie nadzoru nad bezpieczeństwem tego miejsca, to przecież czyste kpiny.

Jest tu cały sektor, odseparowany od reszty, do którego nie mam prawa wstępu...

- Nie zagłębiajmy się w tę kwestię - rzekł pośpiesznie Bormann.

Przybrał pojednawczy ton. - Dzwonię, żeby uprzedzić was o wizycie porucznika S.S, Rainera Schulza, który przyleci wkrótce z

Berlina.

Poleciałem Schulzowi udać się od razu do waszych koszar. Pod żadnym pozorem nie informujcie komendanta o jego przyjeździe.

- Jak pan sobie życzy.

Jaeger odłożył słuchawkę i zaklął. Był wysokim, dobrze zbudowanym mężczyzną pod czterdziestkę, szorstkim w obejściu. Miał gęste, ciemne brwi, równo przystrzyżony wąsik i mocno zarysowaną szczękę.

Nie cierpiał swojego obecnego stanowiska. Hitler zapisał do niego sympatią i osobiście wybrał jego, weterana wszystkich większych kampanii, do dowodzenia swą strażą osobistą.

Oddziały Waffen S.S nie miały później dobrej reputacji przez to, że oceniano je wspólnie z innymi - mniej ekskluzywnymi - formacjami S.S. W rzeczywistości była to jednostka elitarna, porównywalna z którymkolwiek z regimentów gwardii w armii brytyjskiej.

Podlegała tylko fuhrerowi - z pominięciem Himmlera.

Struktura tej formacji była nadzwyczaj demokratyczna, z małymi różnicami między oficerami i niższymi szarżami. Jaeger, który niecierpliwiał się w Berghofie tęskniąc za bardziej czynną służbą, był typowym oficerem Waffen S.S.

- Schulz, po co tu przyjechaliście? - spytał Muller. W jego głosie słyhać było nutę rozdrażnienia.

Komendant siedział na przednim siedzeniu mercedesa obok porucznika Schulza, który prowadził. Samochód jechał pod górę krętą drogą wiodącą do słynnego Orlego Gniazda na szczycie Kehlsteinu. Ten wyjątkowy obiekt, triumf sztuki inżynierskiej,

został zbudowany przed wojną pod kierownictwem Martina Bormanna za cenę trzydziestu milionów marek i, jak na ironię, Hitler nie bywał już w nim od lat.

Po pewnym czasie znudził się tą herbaciarnią w chmurach i uskarżał się na zawroty głowy. Do tej właśnie opuszczonej siedziby zmierzał samochód.

- Jest pewien problem... - Błady Schulz o kościstej twarzy urwał zdanie przy pokonywaniu następnego niebezpiecznego zakrętu. Mówił wolno, jak gdyby łączenie słów wymagało tej samej ostrożności co łączenie lasek dynamitu. - Na tyle delikatny, że musimy mieć pewność, iż nikt nie podsłucha naszej rozmowy. Z rozkazu fuhrera, jak powiedział reichsleiter.

Muller, zaniepokojony, nie odzywał się. Nieco wcześniej pułkownik Jaeger w typowy dla siebie sposób zignorował zakaz Bormanna i zatelefonował do komendanta z ostrzeżeniem, że Schulz już jedzie z koszar do Berghofu.

-... lepszego gościa nie można sobie życzyć. Chodząca maska pośmiertna...

Dojechali do końca oblodzonego podjazdu do Kehlsteinu i zostawili wóz u podnóża góry. Dalej szli na piechotę podziemnym przejściem, które powstało po wysadzeniu skał. Muller był coraz bardziej zdenerwowany.

Nie przerywając milczenia obaj mężczyźni weszli do obitej miedzianą blachą windy i Schulz patrząc wprost przed siebie nacisnął guzik. Winda rozpoczęła wjazd na wysokość stu dwudziestu metrów pionowym szybem wykutym w litej skale. Muller rozluźnił kołnierzyk.

Winda stanęła, otworzyły się drzwi.

- Gdzie są wartownicy? - spytał ostro Muller. - Dobrze się składa, że tu przyjechałem - zaczynają opuszczać się w obowiązkach.

Ja ich nauczę dyscypliny.

Schulz nie odpowiedział. Idąc przodem przeszedł przez galerię, wspartą na romańskich kolumnach, potem przez wielki, okrągły pokój z ogromnym oknem i wyszedł na taras.. Posadzka była pokryta śniegiem, który lśnił lodowym,. Zdradliwym połyskiem.

Muller zauważył, że Schulz podszedł pewnym krokiem aż do otaczającej taras balustrady, sięgającej na wysokość uda przeciętnego mężczyzny. Facet zupełnie nie miał nerwów.

Schulz, wciąż odwrócony plecami do komendanta, oparł dłonie w rękawiczkach na ośnieżonej balustradzie i spojrzał przed siebie na rozległą panoramę gór. Pod tarasem ściana Kehlsteinu opadała pionowo tworząc przepaść głębokości stu dwudziestu metrów. Muller podszedł do Schulza, starannie unikając patrzenia w dół. Tak jak fuhrer cierpiał na zawroty głowy.

- No! - warknął, zdecydowany położyć kres tym nonsensom.

-Zaciągnęliście mnie aż tutaj,. Mam nadzieję, że z ważnego powodu...

- Powód jest ważny - mruknął Schulz. Po raz pierwszy spojrzał na Mullera. - Zlokalizowaliśmy zdrajcę w samym Berghofie.

W Mullera jakby trafił grom. Przeróżne myśli kotłowały mu się w głowie, wszystkie przerażające. Był odpowiedzialny za bezpieczeństwo. Rozpocznie się oficjalne dochodzenie. Spojrzał w

dół i wstrząsnął nim dreszcz - nie był pewien, czy na widok otchłani, czy z powodu wieści, jakie właśnie otrzymał. Położył obie ręce na balustradzie, żeby się nie zachwiać.

- Kto jest zdrajcą? - spytał po chwili.

- Właśnie ty nim jesteś...

Schulz nie dokończył zdania. Prawą ręką złapał Mullera z tyłu za pas od płaszcza, lewą wymierzył komendantowi mocny cios poniżej otoku czapki, tuż nad kołnierzykiem, prosto w podstawę czaszki.

Potem zebrał wszystkie siły i dźwignąwszy Mullera w górę, pchnął go do przodu. Nogi jego ofiary pośliznęły się na lodzie, co przyspieszyło upadek.

Komendant chwycił za balustradę, lecz nie miał punktu podparcia.

Zanurkował w przestrzeń, jakby skakał ze szczytu wieży do basenu.

Z dołu dotarł na taras jego krzyk, wyraźny w czystym, górskim powietrzu. Schulz widział, jak spadająca postać raptownie maleje w długim locie. Potem powróciła głęboka cisza.

Schulz zjechał windą na dół, przeszedł wolno korytarzem i skierował się wprost do samochodu, nie zbliżywszy się nawet do skurczonego - ciała. Zaobserwował jedynie z naukowym zainteresowaniem, że komendant spadł na ziemię zaskakująco daleko od podnóża Kehlsteinu.

Zapuścił silnik i pojechał z powrotem do Berghofu, aby zameldować o "wypadku".

- Cóż za nieszczęście - skomentował Bormann, gdy Schulz

zadzwoił do, niego. - Natychmiast wracajcie do Berlina.

Zawiadomcie pułkownika Jaegera, że ma przejąć tymczasowo obowiązki komendanta Berghofu. Z rozkazu fuhrera!

Bormann odłożył słuchawkę. Wyjął swój notes, otworzył go na stronie, gdzie spisał listę nazwisk, "i przekreślił punkt pierwszy:

"Komendant Berghofu". Ten problem został już pomyślnie rozwiązany.

Rainer Schulz po powrocie do Berlina znalazł czekający tam na niego rozkaz. Został przeniesiony na leningradzki front. Trzy dni po przyjeździe zginął, zabity przez raketę wystrzeloną przez rosyjskich obrońców miasta.

Droga powietrzna z lotniska Berghofu do Rastenburga w Prusach Wschodnich wynosi w przybliżeniu tysiąc kilometrów. Trasa, którą leciał Bauer, przebiegała nad Czechosłowacją, Polską i, w ostatnim etapie, nad Prusami Wschodnimi. Obaj mężczyźni gawędzili o problemach, jakie nastęcza kierowanie junkersem, w atmosferze pozbawionej jakiegokolwiek sztywności czy napięcia. Byli ludźmi z tej samej branży. Obaj latali.

Był 14 marca.. Nie nadeszło jeszcze południe, gdy samolot zaczął się zbliżać do Wilczego Szańca. Siedzący na miejscu pomocnika pilota Lindsay usiłował pobudzić swój odrętwiały z zimna umysł do jakiej takiej sprawności, potrzebnej przy ciężkiej próbie, jaka go czekała.

Pod nimi przesuwawała się biała pustynia - śnieżna równina ciągnąca się aż po horyzont. Nad nimi zwiisał nisko wał brudnoszarych chmur, grożących dalszymi opadami. Lindsay wrócił

myślą do rozmowy na Ryder Street, gdzie wykuł się pomysł szaleńczego projektu, do wykonania którego zgłosił się na ochotnika.

Pułkownika Dicka Brownea, który go odprawiał, nigdy nie darzył sympatią. To uczucie niechęci odżyło w nim ponownie, gdy zasiadł naprzeciwko pułkownika po drugiej stronie biurka, a Browne wycedził przez zaciśnięte zęby:

- Jeśli dotrze pan do Niemiec...

- Kiedy dotrę do Niemiec - poprawił go Lindsay.

- Więc kiedy się pan tam znajdzie - przystał Browne

niechętnie, jakby taka możliwość była nader nieprawdopodobna -

pana pierwszym zadaniem będzie zlokalizowanie głównej kwatery

Hitlera. Ponieważ przed wojną przejawiał pan sympatię do nazistów

- a przede wszystkim był pan osobistym gościem Hitlera - może pan

się spotkać z ciepłym powitaniem... - Wyciągnął rękę z

papierosami. - Niech się pan poczęstuje, Lindsay.

W jego ustach zabrzmiało to jak ostatnia przysługa wyświadczona skazańcowi. Lindsay wziął papierosa i skorzystał z niemieckiej zapalniczki, do której się przyzwyczajał. Nie odezwał się, więc Browne, który miał nadzieję, że wywoła jakąś reakcję, był zmuszony ciągnąć dalej.

- Kiedy dotrze pan do tajnej kwatery fuhrera, pana następnym zadaniem będzie ustalenie, czy Hitler naprawdę sam kieruje operacjami wojskowymi, czy też prawdziwym mózgiem jest któryś z jego feldmarszałków. A jeśli tak, to który.

- Niektóre sformułowania tego polecenia nasuwają mi myśl, że pochodzi ono z dosyć wysoka - zauważył Lindsay.

- Źródło dyrektyw jest ściśle tajne. Po uzyskaniu tej informacji -rozumiem, że naprawdę zależy im na drugiej jej części - ma się pan za wszelką cenę wycofać na terytorium opanowane przez aliantów i zameldować nam swoją obecność za pośrednictwem miejscowego dowództwa. Odwozimy pana do domu...

- Słowem nie ma o czym mówić. To dla mnie mięta.

- Doprawdy, Lindsay, mam nadzieję, że nie ma pan zamiaru traktować tej misji nonszalancko.

- Na miłość boską, Browne, czy oczekuje pan, że będę tu siedział i dygotał jak jakiś cholerny świder pneumatyczny?

- Mam stopień pułkownika...

- A ja podpułkownika lotnictwa.

- To się panu bardzo przyda - wtrącił szybko Browne zmieniając taktykę, gdyż uprzytomnił sobie, że ten typ z RAFu może wnieść skargę wyżej, niż on sam miał odwagę pomyśleć. - Wracając do rzeczy, tam na miejscu na pewno pana sprawdzą, wezmą pod lupę.

W uwiarygodnieniu swojej historii powinny panu pomóc plany operacji wojsk alianckich.

- Domyślam się, że te plany są fałszywe? - spytał Lindsay mierząc wzrokiem pakiet, który Browne wyjął z zamkniętej na klucz szuflady. - Niemcy z pewnością orientują się nieco w ruchach wojsk generała Alexandra.

- Pozwoli pan, mój drogi, że go do końca zapoznam z sytuacją -powiedział pułkownik protekcyjnie. - Te dokumenty... - czule poklepał pakiet - zawierają aktualne plany taktyczne sztabu Alexandra z Tunisu. Będzie pan absolutnie bezpieczny.

- Niezmiernie podniósł mnie pan na duchu - odparł Lindsay.

- Tym stwierdzeniem, że będę absolutnie bezpieczny w miejscu, gdzie się udaję. A generał Alexander na pewno zapala do mnie wielką sympatią, gdy pofrunę w objęcia nieprzyjaciela z tą paczką w kieszeni.

Browne wyglądał, o ile to było możliwe, na jeszcze bardziej zadowolonego z siebie.

- W tym właśnie tkwi sedno całego planu. - Usiadł wygodniej i przygładził szczupłą dłońią przeredzone włosy. - Jeśli sprawdzą te dane w niemieckim dowództwie w Tunisie, dostaną potwierdzenie, że tak naprawdę przedstawiały się nasze plany operacyjne w chwili, gdy odlatywał pan do Niemiec. Jak tylko pan odfrunie w siną dal, Alex zmieni rozkazy dla swoich wojsk. Przy odrobinie szczęścia Szwaby opracują taktykę natarcia korzystając z informacji zawartych w tej paczce - i dostaną niezłego łupnia.

- Więc Alexander...

- Jest niezmiernie rad mogąc z nami współpracować. W ten właśnie sposób zyskaliśmy jego zgodę. Całkiem zgrabne, co?

- Na to wygląda.

- Podsumowując - zakończył Browne - ma pan odkryć, w jakiej dziurze zaszył się Adolf, i sprawdzić, czy sam wszystkim kręci, a jeśli nie - dowiedzieć się, kto myśli za niego. Do tego dochodzi sprawa misji pokojowej. Potem ma się pan skontaktować z podziemiem, które czeka na sygnał, i zwać do Szwajcarii.

- Dla mnie to mięta - powtórzył oschle Lindsay.

Anglik wrócił raptownie do rzeczywistości czując, jak samolot zmienia kąt nachylenia w łagodnym zejściu na dół.

Podchodzili do lądowania na Rangsdorf, lotnisku położonym najbliżej Wilczego Szańca. Zerknął w dół i zastanowił się, gdzie, u diabła, jest to miejsce?

Pod sobą widział gęsty sosnowy las, oszronione drzewa słabo widoczne przez opar białej mgły. Jak okiem sięgnąć, brak było śladów obecności ludzi.

- Za pięć minut będziemy na dole - zabrzmiał w słuchawkach głos Bauera.

- Mam nadzieję, że nie nadziani na te sosny - odpowiedział Lindsay z nutą czarnego humoru, trzymając przymocowany do słuchawek mikrofon blisko przy ustach.

Usłyszał rechot rozbawionego pilota, a potem odpowiedź:

- Radio działa, nie ma tu tych cholernych Alp Bawarskich.

Nawiązałem łączność z lotniskiem, dostaliśmy już zgodę na lądowanie.

Niech pan patrzy!

Zupełnie nagle w lesie otworzył się szeroki prześwit, którym biegł pas lotniska. Na pierwszy rzut oka nie widać było nigdzie żadnych zabudowań, co wydało się Lindsayowi dziwne. Gdzie, do cholery, mogła być ta wieża kontrolna, z którą rozmawiał Bauer? Lądowanie było wspaniałe - Lindsay z całym znawstwem ocenił je na piątkę.

Wysunięte koła musnęły ziemię i gładko zaczęły się toczyć po pasie.

Zabudowania lotniska stały się widoczne dopiero na dole. Ich dachy były zamaskowane siatką z wplecionymi w nią gałązkami i fragmentami poszycia. Na kilku z nich rosły nawet jakieś rośliny.

Nic dziwnego, że jak dotychczas żadne obserwacje z lotu ptaka nie doprowadziły do odkrycia Wilczego Szańca. Gdy tylko samolot zatrzymał się, Lindsay natychmiast wysiadł, na przekór przemożnemu uczuciu strachu, który przyklejał go do siedzenia. Przedpremierowa trema.

Podziękował Bauerowi uściskawszy mu dłoń ze szczerą sympatią i równie szczerze pogratulował mu jego umiejętności. Niemiec lekceważąco wzruszył ramionami, lecz Lindsay widział, że jest zadowolony.

- Do zobaczenia. - Bauer uśmiechnął się szeroko. - Może byśmy wyskoczyli sobie kiedyś na trochę za linię frontu?

- Może kiedyś...

Lindsay przeniósł uwagę na wielkiego mercedesa, który, gdy sunęli po pasie, jechał niemal bok w bok przy samolocie. Stojący przy samochodzie wysoki, przystojny mężczyzna w mundurze przywitał Lindsaya unosząc ramię w faszystowskim pozdrowieniu.

- Pułkownik Lindsay? Jestem Guensche, adiutant fuhrera. Mam pana bezzwłocznie zawieźć na spotkanie z nim. Właśnie wrócił z inspekcji na wschodnim froncie. Heil Hitler!

Lindsay od razu zauważył, że wieść o jego przybyciu dotarła przed nim. Spozrzegł, że wszyscy ludzie obecni na tajnym lotnisku przerwali pracę i gapią się na niego. Czuł na sobie wzrok oficera Luftwaffe, który przeprowadzał kontrolę techniczną kondora. (Czyżby, tym właśnie samolotem fuhrer przyleciał z frontu wschodniego? Bliźniaczo podobnym do maszyny, która - według słów Bauera - startowała wcześniej z lotniska w pobliżu Berghofu?) Mechanik ze szmatą w ręku przystanął, by też mu się

przyjrzeć, a na małej wieży kontrolnej ktoś skierował na niego lornetkę. Był prawdziwą gwiazdą!

- Dziękuję, Guensche. Nie przeszkodzi panu, że usiądę z przodu?

Jadąc sam na tylnym siedzeniu czułbym się jak udzielny monarcha!

- Ależ oczywiście, panie pułkowniku! - Guensche zamknął tylne drzwiczki, które przed chwilą otworzył, i zaprosił go na miejsce obok siebie. - Wie pan - ciągnął, kiedy usiadł za kierownicą i uruchomił silnik - że również fuhrer zawsze siada przy kierowcy. Jest naprawdę otwarty na ludzi. Tak jak i pan...

Lindsay stwierdził w duchu, że na razie rzeczywistość skrajnie różni się od jego obaw. Jak do tej pory wszędzie zjednywał sobie przyjaciół. Pułkownik Dick Browne z Ryder Street miałby z tym bez wątpienia duże trudności. Adiutant z wprawą prowadził wóz po leśnej drodze biegnącej między dwiema ścianami ponurego lasu i mówił bez ustanku, dostarczając Lindsayowi ciekawych informacji.

- Sporo się u nas ostatnio dzieje, ciągle ktoś przyjeżdża albo wyjeżdża, nie mówiąc o kilku alarmach i patrolach.

- Mam nadzieję, że to nic poważnego? - badał Lindsay.

- W końcu okazało się, że nie. Wczoraj słyhać było w lesie głośny wybuch, jakby spadła bomba. Potem wyszło na jaw, że to tylko lis wyleciał na minie. To się często zdarza. Chociaż detonacja była tak głośna, jakby parę zwierząt jednocześnie wysadziło dwie lub trzy miny.

Musi pan wiedzieć, panie pułkowniku, że tu nie można

wypuszczać się bez przewodnika na spacer po okolicy. Wokół Wilczego Szańca leżą gęste pola minowe. Dojeżdżamy już do posterunku przy bramie.

Proszę się nie niepokoić - będą jeszcze dwa, zanim znajdziemy się w Wilczym Szańcu...

Ian Lindsay nie był zaniepokojony. Był sparaliżowany strachem.

Rozdział dziewiąty

Adiutant Guensche przeprowadził Lindsaya przez trzy punkty kontrolne. Anglik, zanim wsiadł do mercedesa, zdjął swój kombinezon lotniczy i miał teraz na sobie mundur RAFu. Zaintrygował go brak oznak wrogości ze strony różnych wartowników, którzy przyglądali mu się ciekawie. Zauważył, że nawet Guensche, którego wszyscy musieli znać z widzenia, okazywał przepustkę ze zdjęciem.

- System bezpieczeństwa jest tu znakomity - skomentował, gdy Niemiec zapuścił silnik po trzeciej kontroli.

- Nawet Keitel i Jodl muszą pokazywać stałe przepustki, zanim zostaną wpuszczeni do środka - powiedział Guensche. - Jedynym wyjątkiem jest sam fuhrer.

Kiedy jechali z lotniska, otaczający ich zewsząd sosnowy las sprawiał przygnębiające wrażenie. Z wilgotnych gałęzi kapłała woda -nadeszło ocieplenie. Kłęby mgły snuły się między pniami jak armia duchów i wzmagaly uczucie przytłaczającego osamotnienia. Natomiast gdy dojechali do celu, Lindsaya zaskoczyła i zdumiała

prymitywna sceneria.

Po minięciu ogrodzenia z siatki wjechali w bezładne skupisko drewnianych domków i baraków, które wyglądały jakby je postawiono jednej nocy. Przypominały Lindsayowi wojskowy obóz przejściowy.

Wyraźnie największy nacisk położono na maskowanie.

Podobnie jak na pobliskim lotnisku, dachy przykryto umiejętnie siatką maskującą z wplecionymi w nią gałązkami. Ściany były pomalowane na brązowo i zielono. Guensche odwrócił się i wskazał budynek, do którego zmierzali.

- To agebaracke - wszystkie narady sztabowe odbywają się albo tutaj, albo w bunkrze fuhrera. Tamta kwatera należy do feldmarszałka Keitla, a ta do Jodla. Siedziba Martina Bormanna jest nieco dalej. O wilku mowa...

Przed drzwi baraku wyszedł niski, otyły mężczyzna ubrany w mundur partii nazistowskiej i w postawie pełnej szacunku przystanął z boku. Za nim pojawił się inny mężczyzna, również w uniformie partyjnym. Lindsay mimo woli zeszywniał cały, lecz po chwili rozluźnił mięśnie. Niski mężczyzna stanął u boku swego wodza i Lindsay zauważył ze zdziwieniem, że reichsleiter ledwo sięga Hitlerowi do ramienia.

Bormann dostrzegł już Lindsaya i powiedział coś do fuhrera wskazując przy tym na Anglika, po czym obaj zbliżyli się do Guenschego i jego towarzysza. "Mówi mu, kim jestem, to ciekawe" -pomyślał Lindsay. Potem za przykładem adiutanta wyrzucił naprzód prawe ramię i zastygł w tym geście. Jego głos nałożył się na głos Guenschego.

- Heil Hitler!

Fuhrer w odpowiedzi skinął im z ponurą miną. Nagle wyraz jego twarzy zmienił się diametralnie. Lindsay ze swoim aktorskim doświadczeniem mógł to wyjątkowo dobrze ocenić.

Cała odpychająca rezerwa nagle zniknęła. Hitler wyciągnął rękę i uściśnął dłoń Lindsaya. Jego uśmiech był ujmujący, a gdy przemówił, zwracając się do Anglika jak do starego przyjaciela, do którego żywi szczególną sympatię, w jego głosie nie było cienia afektacji ani zarozumiałości.

- Witam w moich skromnych progach, pułkowniku. Dłuższa rozmowa z panem sprawi mi wielką przyjemność. Przed wojną był pan jednym z niewielu Anglików, którzy naprawdę rozumieli, co próbuję zrobić. Czy mogę pana na razie przeprosić? Miałem męczący dzień i muszę odpocząć.

Po tych słowach odszedł. Za nim z baraku konferencyjnego wyszli dwaj mężczyźni w mundurach Wehrmachtu i ruszyli śladem wodza.

Guensche odezwał się, niemal nie poruszając wargami:

- Ten pierwszy to feldmarszałek Keitel. Zawsze bardzo oficjalny.

Ten za nim to generał Alfred Jodl.

Keitel był słusznego wzrostu, mocno zbudowany, głowę trzymał wysoko i miał równo przycięty wąsik. Przystanął przy nich na chwilę, a z jego zachowania przebijała arogancja i pycha.

Guensche wyprężył się w postawie na baczność.

- A więc to jest ten angielski dezertor z Berghofu. Masz być w pogotowiu, dopóki fuhrer nie zaszczyci cię krótką rozmową.

Wygłosiwszy ów dyktat Keitel odmaszerował. Generał Jodl był

człowiekiem zupełnie innego rodzaju. Nosił czapkę z daszkiem przekrzywioną zawadiacko na ucho, a gdy stanął, by przyjrzeć się Lindsayowi, w jego oczach ironia mieszała się z rozbawieniem. Miał szczupłą, gładko ogoloną twarz, zachowywał się z dystansem, lecz uprzejmie.

- Kto pana zdaniem wygrywa tę wojnę?

- W chwili obecnej chyba tylko jeden Bóg to wie...

- Szkoda w takim razie, że nie wziął Go pan ze sobą i nie przywiózł do nas na konsultację - odparł Jodl. Skinął głową Guenschemu. - Dzisiejsza konferencja nawet się nie zaczęła. Może to i lepiej, bo generator wyprawia dziwne harce. Na sali było ciemno choć oko wykol. - Powtórnie zwrócił się w stronę Lindsaya i znów go zaskoczył: - Ma pan coś ciekawego w tej paczce, którą tak pan tuli w objęciach, jakby zawierała brytyjskie klejnoty koronne?

- Plany operacyjne wojsk alianckich na froncie w północnej Afryce.

- Proszę przyjść do mnie za dwie godziny! Nikt inny pana o to nie zapytał? Nawet fuhrer? To dziwne, jemu rzadko zdarza się przeoczyć coś ważnego. Naprawdę powinien pan ze sobą sprowadzić boską opatrzność.

W mózgu Lindsaya kotłowało się od sprzecznych myśli. Jasno stała mu w pamięci scena z niedawnego krótkiego spotkania z Hitlerem.

Przywołując wspomnienie ich długiej rozmowy sprzed wojny, miał przedziwne wrażenie - jakby fuhrer przejaskrawiał swoją dawną osobowość...

Jodl zostawił ich i skrzywiony cynicznie odszedł. Lindsay, chcąc zlokalizować jego kwaterę, obrócił się i śledził go wzrokiem.

- Było do przewidzenia - odezwał się Guensche - że on pierwszy zauważy tę paczkę, choć mnie też zdziwiło, że fuhrer o nią nie zapytał. Aha, a oto, jak się domyślam, coś bardziej w pańskim guście.

Z drzwi baraku konferencyjnego wyszła smukła, ciemnowłosa kobieta o doskonałej figurze i zmierzała w ich stronę powoli, jakby chciała mieć czas na obejrzenie Lindsaya. Uniosta prawą rękę, pod lewym łokciem trzymała notatnik.

- Christa Lundt, najlepsza sekretarka fuhrera - szepnął Guensche. - Pytała o pana. Myślę, że ją pan zaintrygował. - Westchnął. - Ależ pan ma szczęście.

Siedzieli naprzeciwko siebie przy stoliku w kantine, a Chrście Lundt natychmiast udało się wytrącić Lindsaya z równowagi. Popijając drobnymi łyčzkami kawę rzuciła:

- Czy naprawdę jest pan sympatykiem nazistów, panie pułkowniku?

Pytanie zostało zadane w doskonałej angielszczyźnie. Aż do tej pory rozmawiali po niemiecku. Gdy został jej przedstawiony przez Guenschego, zaproponowała - ku jego zaskoczeniu - aby dotrzymał jej towarzystwa. Teraz siedzieli w kantine sami, jeśli nie liczyć usługującego za barem, który był za daleko, żeby ich podsłuchiwać., - Przed wojną należałem do Towarzystwa Przyjaźni Angielsko-Niemieckiej - odparł odbijając piłeczkę w jej stronę i wypił łyk nijakiej w smaku kawy.

Przyglądając się Chriście dostrzegł prosto zarysowany nos, stanowczy podbródek i wielkie, wolno odwracające spojrzenie oczy. W tyle głowy brzęczał mu dzwonek alarmowy. Lindsay był czujny i gotów do odparcia ciosu, chociaż nic w jego swobodnym zachowaniu na to nie wskazywało.

- Ale to, jak pan mówi, działo się przed wojną - ciągnęła w jego ojczystym języku. - Wiele wody przepłynęło pod wieloma mostami od tamtej pory.

- Czy można zapytać, gdzie nauczyła się pani tak doskonale mówić po angielsku? - zagadnął.

- I tak wykręcił się pan od odpowiedzi. - Na jej twarzy pojawił się powolny uśmiech, który promieniował ciepłem jak żar na kominku. - Kiedy miałam osiemnaście lat, spędziłam trochę czasu z pewną miłą rodziną w Guildford w hrabstwie Middlesex...

- Guildford leży w Surrey - wtrącił szybko..

- Więc jednak jest pan Anglikiem, a nie Niemcem, który udaje Anglika.

- A po cóż miałbym to robić, na miłość boską?

Znów się uśmiechnęła. Postanowił mieć się na baczności.

Takim uśmiechem każdego mogłaby owinąć sobie wokół palca. Mało tego, w mgnieniu oka znalazła dobrą odpowiedź na jego pytanie:

- Ponieważ świetnie mówi pan po niemiecku i, wybaczy pan to obcesowe stwierdzenie, z tymi jasnymi włosami ma pan tak teutoński wygląd...

- Wybitny przedstawiciel rasy panów?.

Robił teraz to, do czego przygotował go długi trening: jedną częścią umysłu uczestniczył w rozmowie, podczas gdy w drugiej

jego myśli biegły niezależnym torem. Ta inteligentna i atrakcyjna kobieta najwyraźniej brała go w krzyżowy ogień pytań, prowadziła przesłuchanie. Czy to Bormann napuścił ją na niego? Jakoś mu na to nie wyglądało, choć nie umiał powiedzieć dlaczego. Był głęboko zdumiony.

- Wybitny przedstawiciel Towarzystwa Przyjaźni

Angielsko-Niemieckiej - odpowiedziała wytrzymując jego spojrzenie. - W pana osobie kryje się coś tajemniczego, podobnie jak w dziwnych wydarzeniach, które poprzedziły pana przyjazd na ten koniec świata.

- Jakież to dziwne wydarzenia?

Mówił bez specjalnego zainteresowania, jakby z uprzejmości podtrzymywał rozmowę, lecz miał niepokojące przeczucie, że nie udało mu się wyprowadzić w pole swej rozmówczyni. Miała drobne, kształtne dłonie. Poruszała się z gracją. Jej głos był łagodny i kojący.

Zaczęła mówić ciszej, mimo że człowiek za kontuarem odszedł jeszcze dalej od nich i czytał gazetę.

- Na przykład wczoraj wszyscy słyszeliśmy bardzo głośną eksplozję, tuż przed planowanym powrotem fuhrera z Rosji. Powiedziano nam, że to lisy weszły na pole minowe. Wprawdzie takie przypadki już się zdarzały, ale ten wybuch był bardzo głośny i według mnie -a słuch mam dobry - zabrzmiał tak, jakby dochodził sponad lasu.

Później zaś okazało się, że samolot fuhrera przyleci z opóźnieniem.

- To wszystko razem niewiele znaczy - stwierdził Lindsay.

- Potem, po południu, w okolicy był duży ruch. Z całą pewnością słyszałam pojazdy gąsienicowe wjeżdżające w las. Dzisiaj fuhrer pojawił się jak zwykle na południowej naradzie - po to, by wkrótce ją przerwać. Coś nawaliło w generatorze, lampy przygasły i ledwie mrugały. Przy tak pochmurnej pogodzie prawie nie widzieliśmy się nawzajem.

- Widocznie urwał się dopływ energii. Jest wojna, jeśli umknęło to pani uwagi...

- Nie jestem skończoną idiotką, panie pułkowniku!

- Nie przepadam za formalnościami. Nazywaj mnie Ian. Mogę do ciebie mówić Christa?

- W porządku, Ian - ale tylko wtedy, gdy jesteśmy sami.

W innych przypadkach jestem dla ciebie fraulein Lundt. Martin Bormann z dziesięć razy próbował zaciągnąć mnie do łóżka - udało mu się to z większością sekretarek. Lepiej go nie drażnić. To najniebezpieczniejszy człowiek w Wilczym Szańcu. Co więcej, zarządza tutaj wszystkim, nie wyłączając dostaw energii.

- Czy to znaczy, że tylko on zna się na generatorze?

- No, nie. Keitel i Jodl interesują się obaj techniką i wszędzie wtrącają swoje trzy grosze. Nudzą się śmiertelnie w tym parszywym miejscu, tak jak my wszyscy. - Nie odrywała od niego wzroku. - Poza tym mamy tutaj uczulenie na szpiegów. Fuhrer jest przekonany, że na terenie Wilczego Szańca działa sowiecki agent.

- Spojrzała gdzieś za niego i twarz jej zastygła w maskę obojętności. - Właśnie zjawił się Bormann. Przyszedł do ciebie.

Na mnie już czas...

Lindsay leżał na przymocowanej do ściany pryczy i

podłożywszy ręce pod głowę patrzył niewidzącym wzrokiem na gruby, wzmocniony sufit. Bormann zaprowadził go do jego kwatery, małego drewnianego domku w sektorze drugim, gdzie znajdowały się prywatne siedziby Keitla i Jodla, równie skromne jak prymitywny barak przydzielony Anglikowi.

Zdumiewała go sceneria Wilczego Szańca, która żywo przypominała opisy obozów jenieckich. Leżąc obracał w pamięci każdy szczegół rozmowy z Christą Lundt. Czy można było dać wiarę choć jednemu jej słowu?

Po pierwsze, ten tajemniczy wybuch, który, według Christy, miał miejsce w powietrzu. Po drugie, ta dziwna historia z awarią światła podczas narady sztabowej. Po trzecie, jego krótkie spotkanie z Hitlerem, w którym było coś nierzeczywistego. Nagle przypomniał sobie bajeczkę Christy o sowieckim agencie w Wilczym Szanccu. To zupełnie rozwiało zaufanie, jakie mógł mieć do niej.

Grubo opatulona postać minęła położony najdalej na zewnątrz punkt kontrolny i zniknęła w zamglonym lesie. Stąpała po zmarzniętym śniegu z niemal kobiecą lekkością i prawie bezgłośnie.

W oddali rozległ się stłumiony odgłos, jakby wystrzał. Był to suchy trzask łamiącej się pod ciężarem lodu gałęzi, który często można było usłyszeć w zimowym lesie. Niewyraźnie rysująca się we mgle sylwetka nawet nie przystanąła. Kroczyła pewnie ścieżką przez pole minowe.

Oddaliwszy się pół kilometra od punktu kontrolnego przystanąła w kępie drzew i pochyliła się.

Nadajnik radiowy był ukryty w norze podobnej do kryjówki

leśnego zwierzęcia, przykrytej stertą gałęzi przysypanych śniegiem.

Człowiek wyjął z kieszeni notatnik i otworzył go na stronie z przełożoną już na język szyfru wiadomością.

Wrażliwe palce wysunęły teleskopową antenę radionadajnika o dużym zasięgu, który ukazał się spod gałęzi, i zaczęły wystukiwać meldunek. Wszystkie czynności wykonywane były metodycznie i bez pośpiechu. Po nadaniu wiadomości gałęzie zostały ułożone jak przedtem. Zakutana postać sięgnęła ręką do góry i potrząsnąwszy pokrytą białym puchem kciukiem strąciła chmurę śniegu, który zakrył wszystkie ślady.

Następnie powoli ruszyła z powrotem do punktu kontrolnego.

Wiele osób z personelu Wilczego Szańca miało zwyczaj spacerować po lesie, żeby uciec choć na krótki czas od klaustrofobicznej atmosfery, jaka panowała w głównej kwaterze wodza.

Pół godziny później Ian Lindsay włożył pożyczony mu przez Guenschego płaszcz wojskowy i wyszedł ze swego baraku, by rozprostować nogi. Było już prawie zupełnie ciemno. Mgła znów opadła na Wilczy Szaniec i wokół twarzy Lindsaya przepływały brudnoszare kłęby. Nagle zamajaczyła przed nim jakaś grubo odziana postać.

Feldmarszałek Keitel uniósł buławę gestem pełnym znużenia i poszedł dalej do swojej kwatery, nie zamieniwszy z Lindsayem ani słowa. Był to taki wieczór, kiedy świat w każdym budzi obrzydzenie.

Część druga

SIATKA LUCY

Rozdział dziesiąty

Lucerna, Szwajcaria.

W wiekowym mieście zapadła sucha, mroźna noc. Po zaśnieżonych ulicach w ciemnościach przemykało zaledwie paru przechodniów. Rudolf Roessler znajdował się w swoim przytulnym mieszkaniu na ostatnim piętrze starej kamienicy. Zdjął z głowy słuchawki i spojrzał na bloczek, w którym zapisał zaszyfrowaną wiadomość, przesłaną przed chwilą z Niemiec. Siedział pochylony i na wpół schowany we wnętrzu kredensu, gdzie znajdowała się skrytka z potężnym urządzeniem nadawczo - odbiorczym.

Roesslera można by sto razy minąć na ulicy nie zwróciwszy na niego uwagi. Niczym się nie wyróżniał, wyglądał jak zwyczajny mężczyzna w średnim wieku. Spoglądał przez grube szkła okularów na wiadomość, którą wkrótce wyśle do Moskwy. Nawet patrząc na nią w obecnej postaci - szwajcarscy specjaliści już dawno złamali szyfr - potrafił rozpoznać, że zawiera bieżące rozkazy operacyjne dla armii niemieckich na wschodnim froncie.

Myślał o Dzieciocie, agencie znajdującym się tak wysoko na szczycie faszystowskiego aparatu władzy, że mógł regularnie dostarczać plany taktyczne Niemców. Kim jest Dzieciot - tej

zagadki nie potrafił przeniknąć. Stała się jego obsesją.

Sam Roessler z pewnych względów też był ciekawą postacią.

Przede wszystkim - był Niemcem. Przed 1933 rokiem wydawał w Berlinie sztuki teatralne i redagował antynazistowską gazetę. W tych dawno minionych dniach, gdy stolica Niemiec była tygłem wszystkich narodowości Europy, nawiązał kontakty, które wiele lat później pozwoliły założyć jedną z najbardziej skutecznych siatek szpiegowskich II wojny światowej, siatkę Lucy.

- Anno, z chęcią napiłbym się gorącej kawy, zanim przekażę to do Moskwy - poprosił, okręcając się na obrotowym krześle.

Jego żona z uśmiechem skinęła głową i sięgnęła po dzbanek z kawą. Była ciemnowłosa, przystojną kobietą około czterdziestki, szczupłą; energiczną i niebywale kompetentną.

- Wiesz, o wiele za ciężko pracujesz - powiedziała stawiając dzbanek na piecyku. - Cała ta robota, w której siedzimy, powoduje ogromne napięcie.

- Anno, całkiem możliwe, że przyczyniamy się do tworzenia historii. Nasza działalność może nawet zmienić bieg wojny - jeśli tylko ci z Moskwy zechcą nas słuchać!

- Postępuj albo nie. Robisz, co w twojej mocy, reszta zaś nie od ciebie zależy. Siądźże przy stole, wypij kawę - gderła. - I nie dręcz się. Życie jest i tak dosyć skomplikowane...

Anna miała rację. Życie rzeczywiście było skomplikowane. Po dojściu Hitlera do władzy w 1933 roku Roessler uciekł do Szwajcarii, w ostatniej chwili uniknąwszy aresztowania. Gdy wojna podeszła bliżej, zawarł układ z Nachrichtendienst, szwajcarską wojskową służbą wywiadowczą. W zamian za pozwolenie na posiadanie

i obsługę nadajnika miał dostarczać Szwajcarom wiadomości, otrzymane przez dawne berlińskie kontakty.

Jeden z tych ludzi odszukał Roesslera tuż przed jego wyjazdem z Niemiec. Roessler nie znał nazwiska tego łącznika, ale był przekonany, że rozmawia z komunistą.

- Wojna jest pewna - powiedział ten człowiek. - Po jej wybuchu twoim zadaniem będzie odbieranie meldunków radiowych od Dzięcioła. Jest tak wysoko na górze, że gdybyś usłyszał gdzie -nie uwierzyłbyś własnym uszom. Przeszmuglujemy dla ciebie przez szwajcarską granicę mocny aparat nadawczo - odbiorczy. Dopilnuję, żebyś dostał wszystkie szyfry i dane techniczne o transmisji radiowej oraz nazwisko pewnego Szwajcara. On nauczy cię obsługiwać radiostację.

W 1943 roku łagodny Roessler, który dziesięć lat wcześniej spodziewał się, że życie upłynie mu na wydawaniu sztuk teatralnych, stał się szefem najważniejszej na świecie siatki szpiegowskiej.

Tamten człowiek w Berlinie dał mu jeszcze jedną instrukcję:

- Potrzebny ci kryptonim. Zdecydowaliśmy nazwać cię Lucy...

Stalin stał przy biurku w swoim biurze na Kremlu trzymając w ręku rozszyfrowaną wiadomość. Dwaj mężczyźni naprzeciwko niego zachowywali pełne szacunku milczenie..

Jednym z nich był bladolicy Ławrientij Beria z pince-nez na nosie, szef NKWD, Ludowego Komisariatu Spraw Wewnętrznych. Drugim był generał Żukow, mężczyzna o szerokich barach i potężnej, muskularnej budowie. Stalin podał meldunek Berii, wycofał się za

biurko, rozparł w fotelu i zapalił fajkę o wygiętej szyjce.

Mierząc Berię spod krzaczastych brwi spojrzeniem żółtawych oczu

odezwał się z silnym gruzińskim akcentem:

- To następna wiadomość od Lucy Przysłano ją przed chwilą.

- Kto to jest ta Lucy? - spytał Żukow z odcieniem

zniecierpliwienia w głosie.

- To was nie powinno interesować. Informacje pochodzą od

Dzięcioła, ważnego agenta w hitlerowskich Niemczech. Generale...

tu urwał, jakby stopień wojskowy Żukowa był rzeczą nietrwałą i

niepewną -... Żukow, zakładam, że wysyłacie regularnie zwiadowców

pod linię frontu? Żukow zeszywniał. To pytanie było niemal

obelgą. Z trudem opanował gniew i siłąc się na naturalny ton

odpowiedział:

- Generalissimusie, osobiście wydałem dyspozycje, żeby dniem i nocą patrolowano przedpola. Żołnierzom powiedziano, że nie mają po co wracać, dopóki nie wezmą jeńców, których można będzie przesłuchać.

- W takim razie powiedzcie mi - spytał Stalin łagodnie - czy wierzycie, że ta wiadomość i podany w niej plan operacyjny są prawdziwe?

Czekali. Beria o wyдутych wargach, który nauczył się nigdy nie otwierać ust, zanim Stalin nie skieruje bezpośrednio do niego jakiegoś pytania; podał meldunek Żukowowi. W kamiennym bezruchu szefa NKWD było coś złowieszczonego.

- Według ostatnich informacji, jakie otrzymałem; ten meldunek jest zgodny z prawdą, przynajmniej jeśli chodzi o wysunięte pozycje wroga - stwierdził Żukow patrząc wprost na

Stalina.

- Niemcy mogli dla pozorów rozmieścić na tych pozycjach nieliczne oddziały, tak aby ich rozkład zgadzał się z rozkładem sił podanym w tym meldunku - powiedział Stalin. Żukow westchnął. Nie cierpiał tych konferencji, w trakcie których padały różne podchwytliwe pytania, i w ogóle jakichkolwiek wezwań na Kreml. Przezornie stłumił westchnienie. To było. Tak typowe dla Stalina, ten absolutny brak zaufania. Zastanowił się, czy w głównej kwaterze Hitlera - gdziekolwiek ona się znajduje - również atmosfera jest tak gęsta od intryg. Nie miał zamiaru do reszty dać się pognębić.

- Owszem, to możliwe - potwierdził - ale poprzednie informacje Dzięcioła okazały się zadziwiająco dokładne. Można by przypuścić, że wysłała je ktoś z najbliższego otoczenia Hitlera. Żołnierz wyrabia sobie z biegiem czasu jakiś szósty zmysł w tych sprawach...

- Poczekamy jeszcze na parę tych meldunków, zanim zaczniemy na ich podstawie planować jakieś operacje.

Stalin opuścił wzrok i postukując fajką wysypał popiół do dużej popielniczki stojącej na biurku. Drobinę żaru spadły do kryształowej misy i zaświeciły czerwono w słabo oświetlonym pokoju. W Moskwie wciąż racjonowano energię elektryczną.

Generał Żukow zorientował się, że ten gest oznacza odprawę.

Wyszedł. Gdy tylko Stalin znalazł się sam na sam z szefem tajnej policji, wyjął z zanadru drugi meldunek i podał go Berii.

Nie patrząc na niego powiedział:

- Ta wiadomość przyszła z Londynu. Angielski oficer

lotnictwa, Lindsay, wyleciał z północnej Afryki na spotkanie z Hitlerem.

Podejrzewam, że Churchill znów zaczyna swoje stare sztuczki.

- Czy macie na myśli negocjowanie odrębnego układu pokojowego z Niemcami? - zasugerował ostrożnie Beria po błyskawicznym przejrzeniu meldunku.

- Nic takiego nie powiedziałem, prawda? Zobaczmy, jak się sprawy dalej potoczą.

Był to ulubiony zwrot Stalina, w którym wyrażała się jego taktyka grania na zwłokę, by móc przekonać się, skąd wiatr wieje. Wyrzekł te same słowa, gdy w czerwcu 1941 roku ze wszystkich stron zaczęły napływać na Kreml ostrzeżenia o zbliżającym się ataku Niemców.

- A jeśli to przypuszczenie jest zgodne z prawdą? - odważył się zapytać Beria..

- Wtedy możemy być zmuszeni do podjęcia drastycznych kroków.

Dwie godziny wcześniej w Lucernie Rudolf Roessler skończył nadawanie meldunku do Moskwy. Zamknął klapę maskującą skrytkę z nadajnikiem i zatrasnął drzwiczki kredensu, gdzie złożył jedyny sens swojej egzystencji.

Zachował ostrożność nawet podczas wizyty szwajcarskiego montera, który przyszedł założyć mu antenę z większym zasięgiem odbioru.

- Chcę wyraźniej słyszeć audycje brytyjskiego radia B.B.C -
podał niby mimochodem przygotowane z góry, nie budzące podejrzeń tłumaczenie, gdy monter rozpinął drut po gzymsie biegnącym wokół

pokoju.

Anna zajrzała przez drzwi do pokoju. Usłyszała znajomy trzask drzwiczek od kredensu.

- Poczekam na kuriera Massona - zaproponowała. - A ty idź do łóżka i spróbuj zasnąć. Zrobiłam kopię meldunku. Jest w tej kopercie. Zadzwoiłam do Willi Stutz, kiedy ty nadawałeś.

- Co ja bym bez ciebie zrobił? - westchnął Roessler.

- Umarłbyś z głodu!

- Cała ta wojna jest zupełnie zwariowana - ciągnął Roessler.

- Weź na przykład mnie. Jestem Niemcem, a odbieram meldunki od antyfaszystowskiego agenta, po czym przekazuję je do Moskwy, a kopię dostarczam wywiadowi szwajcarskiemu, zgodnie z naszą umową, na mocy której pozwolili mi działać w swoim kraju. Wszystko to jest pomyłone, nieprawdaż?

- Skoro tak uważasz...

- Odbieram meldunki od kogoś na samej górze, kogo na pewno nigdy nie znałem, ponoszącego okropne ryzyko. Odebrawszy informacje od tego tajemniczego Dziecioła, wysyłam je do równie enigmatycznego Kozaka. Czy ktoś tam w ogóle ich słucha? Jak na razie sytuacja Rosjan nie jest dobra...

- Gdy Moskwa zacznie cię słuchać, dowiemy się o tym natychmiast - oświadczyła Anna.

- Jakim sposobem, pytam?

- Jeśli to kiedyś nastąpi, wtedy Armia Czerwona rozpocznie marsz przez Europę. A teraz ostatni raz mówię po dobroci:

Rudolfie Roessler - idź do łóżka!

Rozdział jedenasty

Odpočząwszy nieco Heinz Kuby, sobowtór fuhrera, wezwał do swojej kwatery Martina Bormanna. Przyjął gościa ubrany w wojenny uniform Hitlera: ciemne spodnie i bluzę o wojskowym kroju. Kiedy Bormann wszedł i zamknął za sobą drzwi, Kuby chodził po pokoju z rękami założonymi do tyłu.

Reichsleiter dokładnie obejrzał człowieka, którego sam stworzył, i zdziwił się. Czuł się tak, jakby znalazł się w obecności prawdziwego fuhrera. Powitalne słowa aktora były również zupełnie w stylu Hitlera - aż nadto jak na gust Bormanna, który czekał na sposobność, żeby "poinstruować" Kubego.

- Pierwsza konferencja poszła dobrze, Bormann. Rozumiecie, oczywiście, moją taktykę? Mówiłem bardzo mało, skłaniając innych, żeby przedstawili sytuację na froncie wschodnim. Na następnym posiedzeniu zacznę wydawać rozkazy.

- To będzie szalenie niebezpieczne! - zaprotestował Bormann.

Rozejrzał się nerwowo po skromnie umeblowanym pokoju. - Mam nadzieję, że jesteśmy sami...

- Oczywiście! Sądziacie, że nie powziąłem środków ostrożności, zanim was tutaj wezwałem?

"Wezwałem". Bormann zeszywniał usłyszawszy to słowo: Sądził, że Kuby będzie się na nim w dużym stopniu wspierał i szukał rady we wszystkich kwestiach. Zamiast tego człowiek, który był teraz Adolfem Hitlerem, już zwracał się do niego z wyższością, jak przełożony. Hitler mówił dalej:

- Podstawowym zagadnieniem jest to, abym uchwycił ze szczegółami obecne dyspozycje wojskowe - jedynie wówczas będę mógł sprawować naczelną władzę...

- Naczelną władzę? - Bormann osłupiał ze zdziwienia.

-Przecież pan nie wie, jak kierować operacjami z udziałem milionów ludzi...

- Jeśli jeszcze raz mi przerwiecie, opuście ten pokój - zagroził Hitler. - Podczas pobytu w Berghofie cały czas przygotowywałem się na taką właśnie chwilę. - Podkreślał swoje słowa gwałtowną gestykulacją. - Studiowałem Clausewitza, von Moltkego - całą literaturę sztuki wojennej z tamtejszej biblioteki. Książki, które przeczytał mój poprzednik, ja również poznałem do tego stopnia, że mógłbym powtórzyć je z pamięci. Zapominacie, Bormann, że mam wyśmienitą pamięć do faktów.

- A jeśli ja panu nie pomogę?

- Mein Fuhrer! - syknęła zjawa. - Tak macie się do mnie zwracać zarówno prywatnie, jak publicznie. Myślicie, że możecie mnie wydać? Wy, którzy jesteście odpowiedzialni za sprowadzenie mnie do Wilczego Szańca? Jak uważacie, jak długo trwałaby wasza kariera?

- A jeśli ktoś przejrzy mistyfikację? - zapytał Bormann.

-Keitel? Jodl? Pokonaliśmy pomyślnie pierwszą przeszkodę, bo uszkodziłem generator, więc nikt w pokoju konferencyjnym nie mógł widzieć pana wyraźnie. Trzeba również brać pod uwagę ludzi, którzy tu przyjeżdżają - Goebbels, Goering...

- Jesteś głupcem, Bormann!

Hitler usiadł w fotelu, ręce kurczowo zacisnął na poręczach,

kosmyk włosów opadł mu ukośnie na czoło. Wbił oczy w Bormanna.

- Generałowie, którzy są w opozycji do mojej polityki, czekają tylko na okazję, żeby mnie usunąć - mnie i tych, którzy mnie popierają, włącznie z Keitlem i Jodlem. Ich pozycja - może życie - zależy od mojej nieprzerwanej egzystencji. A z całą pewnością dotyczy to ciebie. Podobnie jest z wszystkimi, którzy, jak to ująłeś, przyjeżdżają tutaj. - Więc jeśli ktoś będzie cokolwiek podejrzewał, na pewno nie puści pary z ust!

- Jestem przekonany, że ma pan rację... mein Fuhrer - dodał Bormann po chwili.

- Jesteś bez wątpienia głupcem - ciągnął w zamyśleniu Hitler, wciąż mierząc Bormanna swymi wyłupiastymi oczami. - Cały nasz sukces opierał się na propagandzie, która z kolei oparta została na mojej oryginalnej koncepcji Wielkiego Kłamstwa! Głosiłem ją - i udowaśniałem jej słuszność - wiele razy. Ludzie mogą podważyć małe kłamstwo. Kłamstwo na olbrzymią skalę tak ich ogłusza, że zaczynają wierzyć, iż musi być prawdą. Widzisz, jak to działa w drugą stronę?

- Gdyby mógł pan mi to wytłumaczyć...

Bormann wciąż stał, lecz fuhrer nie zaproponował mu, by usiadł.

W głowie reichsleitiera panował zamęt, znajdował się w stanie jakby hipnotycznego oszołomienia. Słuchał dalszych wywodów fuhrera:

- Wielkie Kłamstwo. Kto śmiałby choćby pomyśleć, że człowiek, który wygląda dokładnie tak jak fuhrer, zachowuje się dokładnie tak jak fuhrer, mówi dokładnie tak jak fuhrer, może być

kimś innym, a nie fuhrerem właśnie?!

Hitler zerwał się z fotela w charakterystycznym dla niego nagłym przyplýwie energii i znów zaczął chodzić po pokoju. Naraz złagodził szorstkie brzmienie swego głosu i stał się uosobieniem przyjaźni.

- Bormann, potrzebna mi twoja pomoc. Chcę, żebyś zawsze był przy moim boku. Czy mogę na ciebie liczyć?

- Oczywiście, mein Fuhrer! Zawsze!

Mały, pękaty Bormann poczuł, jak wypręża się w oczekiwaniu rozkazów. Podniósł rękę w faszystowskim salucie. Hitler zatrzymał się i chwycił go ujmującym gestem pod ramię. Uśmiechnął się znowu, a jego wypukłe oczy powilgotniały.

- Czy mógłbym zwrócić uwagę na problem psa? - napomknął Bormann.

- Nie będzie żadnego problemu. Zaprzyjaźniłem się z Blondi w Berghofie. Blondi ufa mi; psy instynktownie czują do mnie sympatię.

- Jedyne problem, jaki pozostał - zaczął z wahaniem Bormann
- nie da się chyba łatwo rozwiązać. Jeżeli kiedykolwiek wybierze się pan znów do Berghofu... Ewa Braun...

- Ta dama to jedyny problem, jakim nie powinieś sobie w ogóle zawracać głowy - zapewnił go Hitler z błyskiem rozbawienia w oczach. - A co do wizyt w Berghofie, to oczywiście, że będę tam jeździł. Czuję się tam najbardziej w domu, zważywszy fakt, że spędziłem w jego murach tyle lat... - Urwał. - Cieszę się, że poruszyłeś ten temat, Bormann. Zanim ludzie się do mnie przyzwyczają, wskazana jest zmiana otoczenia, która ich

zdezorientuje. Tak więc w najbliższej przyszłości wszyscy pojedziemy do Berghofu. Potrzebuję wypoczynku po miesiącach ciężkiej pracy w Wilczym Szańcu. Myślę, że jak na razie to wszystko.

Bormann wrócił na swoją kwaterę brnąc z wolna przez śnieg, w stanie wewnętrznego rozbitcia. Ostatnich parę dni było najbardziej pracowitym okresem jego życia. Podejmował mnóstwo decyzji jedną po drugiej, zbyt zaabsorbowany terażniejszością, żeby wybiec myślą w przyszłość.

Nie zdając sobie z tego jasno sprawy założył z góry, że Heinz Kuby stanie się w jego rękach miękką gliną, którą będzie mógł formować według swoich życzeń. Teraz stworzony przez niego "robot" rozpoczął niezależne życie i objawił własną wolę - a on nic nie mógł na to poradzić.

Od wybuchu II wojny światowej Adolf Hitler wiele razy dowiódł swego militarnego geniuszu, który dorównywał geniuszowi Cezara, Fryderyka Wielkiego i Wellingtona, i nie raz wydobył go z opresji.

Kwiecień 1940.

Hitler entuzjastycznie poparł zuchwały plan zaatakowania Danii i Norwegii, opracowany przez admirała Radera, i wydał rozkaz wprowadzenia go w życie, podczas gdy jego generałowie przewidywali klęskę.

Norwegia. Począwszy od położonego za kręgiem polarnym Nordkapu, półtora tysiąca kilometrów wybrzeża wychodzącego na otwarte morze - to samo morze, na którym znajdowała się brytyjska baza marynarki wojennej w Scapa Flow. Zamysł inwazji zakrawał na

szaleństwo, lecz Hitler pogardliwym machnięciem ręki zbył wszystkie ostrzeżenia i dał rozkaz rozpoczęcia operacji. Odniósł sukces.

Przed podjęciem ofensywy na Francję musiał rzucić na szalę cały swój autorytet, aby przeforsować w sztabie generalnym koncepcję szalonej szarży wojsk pancernych Guderiana przez Ardeny, które uważane były za przeszkodę nie do przebycia. Czołgi wyjechały na otwartą równinę i przerwały, front na Mozie, przetoczyły się przez mosty Sedanu i parły dalej i dalej nad kanał La Manche.

Brytyjczycy zostali odepchnięci za morze do ich wyspiarskiej fortecy, po kilku tygodniach walk upadła Francja. Te błyskotliwe sukcesy umocniły pozycję Hitlera w sztabie generalnym, dzięki czemu mógł mianować własnych, uległych wobec jego decyzji ludzi - Keitla i Jodla - na najwyższe stanowiska dowódcze.

Wszystko to przypominał sobie Bormann krocząc samotnie z nieruchomą twarzą tego brzemiennego w skutki marcowego popołudnia 1943 roku pod nisko nawistym niebem. Co niesie przyszłość? To pytanie nie dawało mu spokoju.

Na biurku generała Jodla leżały rozłożone plany operacyjne wojsk alianckich na obszarze Afryki Północnej. Od chwili, gdy Ian Lindsay przyniósł mu dokumenty, upłynęły dwie godziny. Jodl zużył ten czas na skontaktowanie się z naczelnym dowództwem wojsk niemieckich w Tunisie, które stały naprzeciw sił generała Alexandra. Jaki będzie werdykt? Lindsay siedział przed Jodlem i roztrząsał w myślach to pytanie, usiłując ukryć narastające w nim napięcie. Stopniowo zdawał sobie sprawę, że było coś pokrętnego w

zachowaniu i naturze Alfreda Jodla. Przetrawanie w Wilczym Szańcu, gdzie nieustannie toczyła się wojna podjazdowa, musiało wymagać nie lada przebiegłości.

- Przekazałem dowództwu w Tunisie treść tych planów i zasięgnąłem ich opinii na temat tego, co pan podaje za rozkazy operacyjne wojsk alianckich...

Jodl zrobił pauzę postukując lekko piórem w blat. Goła żarówka rzucała ostre światło na rozłożone na biurku dokumenty. Było wczesne popołudnie, lecz za oknem panował nieprzenikniony mrok, a gęsta mgła zaćmiła nieliczne światła. Jodl wyraźnie go podpuszczał, Lindsay czuł to i przezornie stłumił chęć, aby coś powiedzieć, cokolwiek, byle tylko przerwać pełną napięcia ciszę.

- Te dokumenty są swoistą rękojmią szczeroci pańskich intencji, czyż nie tak? - spytał Jodl po dłuższej chwili.

Lindsay wzruszył ramionami w geście absolutnej obojętności.

- O tym zadecydują inni. Jeżeli o mnie chodzi, czekam na rozmowę z fuhrerem.

- Może pan długo na to poczekać - odparł ostro Niemiec.

Żołądek Lindsaya wywinął kozła. Dobry Boże, coś pewnie nie grało w tych cholernych dokumentach. Chciał sięgnąć do kieszeni po papierosy. Znów powstrzymał ten odruch, gdyż - wiedział to na pewno - Jodl bacznie go obserwował i tylko czekał na najmniejszy objaw zdenerwowania.

Pióro wciąż wystukiwało swój rytm. Lindsay miał chęć wyrwać je Jodlowi z ręki i złamać na pół. Odchylił się na oparcie krzesła i ciasno splótł ręce, żeby oprzeć się pokusie.

- Może pan na to długo poczekać - powtórzył Jodl. - Widzi

pan, tak się składa, że znam listę oczekujących na audiencję u fuhrera i wiem, że jest długa na metr.

Lindsay skinął głową. Jego twarz nie zdradzała żadnych emocji, mimo że musiał dołożyć wszystkich starań, by nie okazać ulgi.

Zachowanie Jodla i złowieszczy dobór słów wzbudziły w nim przekonanie, że wkrótce zostanie aresztowany i poddany przesłuchaniu.

- Tunis twierdzi - podjął nagle Jodl, wciąż mierząc Lindsaya przenikliwym spojrzeniem - że wszystkie obecne dane co do rozkładu sił na afrykańskim froncie zgadzają się z dokumentami, które pan przywiózł.

Po raz drugi Anglik wysiłkiem woli zmusił się, by nie okazać, że kamień spadł mu z serca. Niech to diabli, trafił na niezłego spryciarza.

Był przekonany, że Jodl poddał go próbie. Niemiec złożył porządnie papiery i wsadził je do grubej koperty, którą przesunął na drugą stronę biurka.

- Oto pana paszport do Wilczego Szańca. Niech pan go dobrze pilnuje.

Na jego twarzy pojawił się szyderczy uśmiech i Lindsay wyszedłszy za próg jego kwatery wciąż nie wiedział, czy udało mu się pozyskać jego zaufanie, a przynajmniej liczyć na neutralność z jego strony.

Enigmatyczna osobowość generała Alfreda Jodla nie dawała się rozszyfrować.

Zamknął za sobą drzwi i stanął tuż za progiem. Wszystko

tonęło w gęstej, lodowatej mgle, która przenikała pod płaszcz i ziębiła niemal do szpiku kości. W powietrzu wisiała głucha cisza - nie zwykła cisza, a budzący lęk brak jakichkolwiek dźwięków.

Lindsay uświadomił sobie nagle, że to nie posępna aura jest przyczyną jego niepokoju. Gdzieś niedaleko dało się słyszeć skrzypnięcie buta. Lindsay stał nieruchomo, owinięty w szary koc mgły i wiedział, że nie jest sam. Jakaś ręka chwyciła go za ramię.

- Tylko cicho! - odezwał się łagodny, jakby senny głos Christy Lundt. Lindsay odgadł już, że to ona, po uścisku drobnej dłoni. - Chcę z tobą porozmawiać - ciągnęła - lecz nikt nie może nas zobaczyć. Czy wiesz, że jesteś obserwowany? Nie musimy teraz tego roztrząsać - po prostu staraj się nie robić hałasu. Pójdziemy do mojej kwatery.

Poprowadziła go wciąż trzymając za ramię. Lindsaya zaniepokoiła płynność, z jaką poruszała się we mgle, bezgłośnie jak zjawa.

Tylko zawodowcy umieli chodzić tak cicho. Jaka była jej prawdziwa rola?

- Jesteśmy na miejscu. Poczekaj, otworzę drzwi.

Nasłuchiwał i obserwował. Bez najmniejszego hałasu wsunęła klucz do dziurki, obróciła go i wyjęła. Musiała niedawno naoliwić zamek, bo otworzył się bez najmniejszego zgrzytu. Łagodnie pociągnęła Lindsaya do ciemnego wnętrza i poprosiła, żeby chwilę zaczekał.

Drzwi zostały ostrożnie zamknięte, klucz obrócił się w zamku, rozbłyśło światło. Stali w wąskim korytarzyku. Nagich

desek podłogi nie okrywał żaden chodniczek. Christa Lundt ruchem ręki zaprosiła go do pokoju, zapaliła światło i od razu podeszła do zasłony w oknie, aby sprawdzić, czy jest dobrze zaciągnięta.

- Kawy?

- Może później, na razie dziękuję. - Usiadł w fotelu, który mu wskazała pełnym wdzięku gestem. - Wspomniałaś, że jestem śledzony...

- Z rozkazu Martina Bormanna. Tego się oczywiście należało spodziewać. Wyznaczył jednego z esesmanów do śledzenia ciebie i meldowania o wszystkich twoich ruchach. Spotkałam tego typu, gdy stracił cię z oczu. - W jej głosie brzmiało rozbawienie. Usiadła blisko niego, założyła nogę na nogę i obiema rękami poprawiła lśniąca włosy. - Był trochę spanikowany. Powiedziałam mu, że z całą pewnością widziałam, jak szedłeś z wizytą do Keitla. Zapewne marznie teraz na kość pod kwaterą naszego szanownego feldmarszałka. Przy odrobinie szczęścia będzie tam tkwił całą noc.

- Dlaczego właśnie Bormann posyła psa moim tropem?

Powiedziałaś, zdaje się, że tego należało się spodziewać.

- On nikomu nie ufa. - Uśmiechnęła się. - Podejrzewam, że ma chwile zwątpienia nawet co do siebie samego. Sądzi, że jesteś brytyjskim szpiegiem i jest wściekły, że fuhrer zgodził się na spotkanie z tobą. - Podeszła do piecyka, na którym grzała się woda na kawę.

Mówiąc spoglądała na Lindsaya, jakby chcąc zbadać jego reakcję.

Zmienił temat rozmowy.

- Z pewnością ktoś tu cierpi na manię prześladowczą -
zauważył. - Pamiętam, że przytoczyłaś pogłoskę o jakimś sowieckim
szpiegu, który tu się ukrywa...

- Powiedziałaś, że to fuhrer jest przekonany, iż na terenie
Wilczego Szańca działa agent sowiecki, który zmylił system
bezpieczeństwa - poprawiła go. - Ktoś na bardzo wysokim
stanowisku.

- To się zdarza na wojnie.

Anglik postarał się, aby w jego zapewnieniu zabrzmiało
niedowierzenie. Wywołało to reakcję, jakiej oczekiwał. Christa
Lundt, zajęta właśnie precedzaniem kawy, odparła żywo:

- Ma podstawy, żeby tak myśleć. Za każdym razem, gdy
Wehrmacht zaczyna nową ofensywę, Rosjanie są przygotowani do jej
odparcia. Dziwne jest to, że sami nie kontratakują. Wydaje się
oczywiste, że gdyby znali plany naszych operacji, to staraliby
się nas zaskoczyć nagłym przeciwuderzeniem. Proszę - prawdziwa
kawa.

Nie ta lura z żołędzi, którą serwują w kantynie.

- Ile dokładnie osób zna decyzje taktyczne, jakie są tu
podejmowane?

Przysiadła na poręczu fotela i wypita łyczek kawy, jakby nie
słyszac pytania. Czyżby zapuścił sondę zbyt głęboko? Ta
dziewczyna zadziwiła go i drażniła. Nie mógł jej przejrzeć.
Najbardziej oczywistym wyjaśnieniem było, że dostała instrukcje,
aby wyciągnąć z niego, ile się da, a potem zameldować o tym...
komu? Bormannowi? Samemu fuhrerowi?

- Tylko kilka osób zna bieżące rozkazy operacyjne -

odpowiedziała, zaskakując go ponownie. - Sam fuhrer, rzecz jasna, ponieważ podejmuje wszystkie ważniejsze decyzje taktyczne.

Feldmarszałek Keitel. Martin Bormann jest obecny na każdej naradzie. Poza nimi jeszcze generał Jodl... - Ostatnie nazwisko dodała jakby po namyśle. - To chyba wszyscy.

- W takim razie lista podejrzanych jest krótka. Tylko to trio:

Bormann, Keitel i Jodl. - Lindsay położył głowę na oparciu fotela i wyciągnąwszy nogi skrzyżował je przed sobą, na pozór zupełnie zrelaksowany. - Kawa jest wyborna.

- A twoje trio jest śmieszne. Wszyscy oni stoją tak wysoko, że są poza wszelkim podejrzeniem.

- Największe sukcesy w historii odnosili szpiegowie, którzy zajmowali na tyle wysokie stanowiska, aby mieć dostęp do naprawdę ważnych informacji - i którzy byli, jak mówisz, poza wszelkim podejrzeniem. W czasach cesarstwa Austro - Węgier szef ich kontrwywiadu, pułkownik Redl, został przyłapany na przekazywaniu całych kilogramów tajnych dokumentów przeciwnej stronie.

- Po co przyleciałeś do Niemiec, Ian?

- Lubię podróże. W Anglii zaczęło robić mi się za ciasno i bałem się, że zgnuśnieję...

- Ach, więc prosto z Anglii poleciałeś do Afryki, a stamtąd do Berghofu?

Nie odpowiedział. Stopniowo zmieniał pogląd, że Christa jest wtyczką nasłaną na niego przez Bormanna lub kogoś innego. Wyczuwał, że jest cała spięta i mocno zaprzątnięta własnym bezpieczeństwem.

Christa Lundt brała udział we wszystkich naradach.

Zapisywała każde polecenie fuhrera - sama to przyznała wcześniej w kantynie.

Powinna znać odpowiedź na drugie z pytań, jakie sprowadziły go do Niemiec. Postanowił podjąć ryzykowną grę.

- Jedno mnie intryguje - zaczął. - Czy fuhrer naprawdę jest militarnym geniuszem, za jakiego się go uważa? Może tak naprawdę wojskami kieruje któryś z generałów? Keitel? Jodl?

- Chyba żartujesz. - Jej głos był pełen wzdrygnięcia. - Myślałam, że sam zdążyłeś to zauważyć. Ci dwaj są biernymi, posłusznymi satelitami Hitlera. Tylko fuhrer, i nikt więcej, jest naczelnym dowódcą.

Od początku wojny wszystkie istotne decyzje, które przyniosły nam tyle zwycięstw, były jego dziełem. To on jest mózgiem, który wszystkim kieruje.

- Podziwiasz go? - spytał.

- Wszyscy go podziwiamy. Nie tylko za jego geniusz. Jest bardzo uprzejmy - szczególnie wobec kobiet, wielkoduszny, łagodny i wyrozumiały. I to naprawdę fascynujące widzieć, jak on, człowiek z nizin społecznych, manipuluje swoimi generałami, którzy wszyscy odebrali świetne wykształcenie.

Lindsay wciąż wygodnie rozparty w fotelu rzucił ostro następne pytanie, jakby wymierzał cios:

- Dlaczego jesteś taka zdenerwowana? Nie zaprzeczaj - przekradałaś się tutaj jak duch, gdy szliśmy z kwatery Jodla.

Omamiłaś mnie, że to dla mojego bezpieczeństwa - ale chodziło o ciebie. Nie bałaś się o to, że ktoś mnie zauważy, lecz o własną

skórę! Dlaczego?

Wstała i zaczęła wolno chodzić po pokoju, nerwowo splatając dłonie i wyłamując palce. Wyglądała tak, jakby nie mogła się zdobyć na podjęcie życiowej decyzji. Zatrzymała się przed Lindsayem i utkwiała w nim wzrok.

- Bormann chce zrobić ze mnie kozła ofiarnego - powiedziała wreszcie. - Jestem tego pewna! Fuhrer nie przestaje mówić o zdrajcy, który ukrywa się w Wilczym Szańcu, a Bormann zawsze zaspokaja jego zachcianki, dzięki czemu osiągnął swoją pozycję. Ma zamiar ogłosić, że ja jestem sowieckim szpiegiem. To tylko kwestia czasu.

Muszę stąd jakoś uciec.

- Wiesz co? - Lindsay naśladując ją, powoli wymawiał słowa. - Jesteś dobra. Nie ma co, nawet bardzo dobra. To ci trzeba przyznać.

- Co, u diabła, chcesz przez to powiedzieć?

Poblądła z gniewu, zaciśnęła pięści. Widział, że jest o włos od rzucenia się na niego. Siedział nieruchomo, w milczeniu. Nie mogła znieść tej ciszy.

- Pytałam, co masz na myśli, do diabła?

- Tę bajkę o tym, że Bormann chce zrobić z ciebie kozła ofiarnego. Przecież to bzdura. Musiałby mieć jakieś dowody i ty o tym wiesz. Ale ciekawi mnie coś innego, mianowicie kwestia ucieczki, do której, jak mówi ci przeczucie, sytuacja może wkrótce dojrzeć. I to bardzo niedługo. Skąd ten pośpiech?

Christa Lundt załamała się. Usiadła na kanapie. Cała drżała. Był to przejmujący, patetyczny widok. Siedziała sztywno

wyprostowana, z nieruchomym wzrokiem, jak ktoś znajdujący się w transie hipnotycznym. Jej ramiona dygotały, jakby miotły nią dreszcze w gorączce.

Zacisnęła kurczowo dłonie o kostkach tak białych, że zdawało się, iż uciekła z nich krew. Przez długi czas nie wydała z siebie głosu.

Na drugim końcu kanapy siedział Lindsay z nieprzeniknioną twarzą. Nie wykonał żadnego gestu. Obserwował Christę uważnie.

W uszach brzmiało mu ostrzeżenie pułkownika Brownea z Ryder Street:

- To wszystko może się nie udać. Może pan nigdy nie dostać się przed oblicze fuhrera. Wówczas zastosują wobec pana wszystkie możliwe sztuczki - a mają ich duży repertuar. Nie można wykluczyć tortur. Mogą jednak użyć czegoś bardziej subtelnego. Mogą napuścić na pana kobietę, bo wtedy mniej będzie się pan miał na baczności.

Christa usiłowała odzyskać panowanie nad sobą. Wciąż patrząc nieruchomo przed siebie, z całej siły zacisnęła drobne dłonie. W kąciку jej prawego oka pojawiła się łza i spłynęła po policzku. Lindsay czekał, kiedy wyciągnie chusteczkę. Rozchyliła drżące wargi, zamknęła je i w końcu zaczęła mówić przez zęby, zaciśnięte równie mocno jak dłonie.

- Bormann, Jodl i Keitel wiedzą, że budzą największe podejrzania, i chcą je odwrócić na kogoś innego. A to właśnie ja robię dla fuhrera notatki do tych cholernych rozkazów. Koziół ofiarny jak na zamówienie! Na miłość boską, muszę uciec stąd, bo...

- Dlaczego zwracasz się o pomoc właśnie do mnie?

Mówiła teraz cicho, niemal szeptem. Położył ramię na oparciu kanapy i pochylił się, żeby usłyszeć następne słowa.

- Bo jestem przekonana, że przybyłeś tutaj, żeby się czegoś dowiedzieć. Gdy się tego dowiesz - znikniesz. O tak, jestem pewna, że uciekniesz. Jesteś takim typem mężczyzny, czuję to.

Pierwszy raz od momentu swego załamania spojrzała wprost na Lindsaya. Ostatnie zdanie wymówiła zupełnie spokojnie. Atak przerażenia, jeśli to było właśnie to, minął tak szybko, jak się pojawił.

Christa wyciągnęła skądś chusteczkę - Lindsay zbyt był pochłonięty obserwowaniem jej twarzy, żeby dostrzec skąd - wytarła oczy. W tej samej chwili ktoś zapukał lekko do drzwi wejściowych.

- Major Gustaw Hartmann z Abwehry - przedstawił się niespodziewany gość. - Mogę wejść do środka? Pogoda dziś w nocy jest raczej niełaskawa...

Lindsay zeszytniał. Nabrał pewności, że wszystko to zostało wyreżyserowane. Najpierw Christa Lundt czeka na niego przed kwaterą Jodla, aby zaciągnąć go do siebie. Potem inscenizuje załamanie nerwowe, by wytrącić go z równowagi i skłonić do zdjęcia maski, a gdy nie dał złapać się w pułapkę, oto na odsiecz przybywa Abwehra.

Lindsay był pewny, że ktoś za wszelką cenę próbuje go zdyskredytować, zanim dojdzie do jego spotkania z fuhrerem. Pytanie tylko, kto stoi za tą serią dziwnych przypadków: Bormann, Keitel czy może Jodl?

Hartmann był potężnym, dobrze zbudowanym mężczyzną, mierzącym przeszło metr osiemdziesiąt wzrostu. Nosił płaszcz wojskowy z szerokimi klapami. Z wyglądu dobiegał czterdziestki, miał kształtną głowę, krótkie, starannie przycięte wąsy, mocne rysy twarzy i uważne spojrzenie. Stojąc w otwartych drzwiach zdjął czapkę i czekał na zaproszenie do środka. Unosił się wokół niego wilgotny zapach mgły i sosnowego lasu.

- Chciał się pan ze mną zobaczyć, panie majorze? - zapytała Christa.

- Mam pewne rutynowe zadanie do wykonania. Chodzi o poddanie pani gościa drobnemu przesłuchaniu.

- Ma pan jakieś upoważnienie? I skąd pan wiedział, że on tu jest?

W bardzo przekonujący sposób udawała, że nigdy przedtem nie widziała Hartmanna na oczy. Człowiek z Abwehry wyjął jakiś dokument i podał go jej nie spuszczać oka z Anglika. Przejrzała papiery i zwróciła właścicielowi. Potem zaprosiła go gestem do środka i zamknęła drzwi.

- Niech pan lepiej wejdzie. Niebezpiecznie tak stać na progu.

Chyba pan wie, że przepisy bezpieczeństwa w Wilczym Szańcu są bardzo ostre.

- Zdążyłem to zauważyć od czasu, gdy przyleciałem tu z Berlina. - W głosie Niemca zadźwięczała nuta ironii. - Dowiedziałem się, że osoba, o którą mi chodzi, jest u generała Jodla, więc...

- Przyszedł pan tu za nami od jego kwatery i zaczął się

gdzieś w pobliżu - powiedziała dziewczyna ostrym tonem.

- Wydawało mi się, że natychmiastowe wtargnięcie będzie karygodnym brakiem uprzejmości - odparł gładko Hartmann. - Poszedłem do kantyny i po jakimś czasie wróciłem.

Uznawszy, że sprawa jest wyjaśniona, zaczął rozpinać płaszcz.

Lindsay zdecydował, że dosyć tego dobrego. Cała ta szopka z udziałem Lundt i Hartmanna - udawanie przez dziewczynę, że oficer Abwehry jest kimś obcym - była kłamstwem szytym zbyt grubymi nićmi. Wstał.

- Może pan nie zdejmować płaszcza, Hartmann. Nie odpowiem na żadne pytania, dopóki nie zobaczę się z fuhrerem. A w ogóle, to kto, u diabła, upoważnił pana do zadawania mi pytań?

- Nie wolno mi ujawnić nazwiska mojego rozkazodawcy - odrzekł sztywno Niemiec, lecz przestał odpinać guziki.

- A więc mnie nie wolno niczego panu powiedzieć. Jeśli będzie pan nalegał, udam się do najwyższej instancji i złożę na pana skargę.

Lindsay mówił opryskliwie, niemal arogancko. Stał wyprostowany, wyniosły i pełen pewności siebie, czekając na skutki swego bluffu.

Nie mógł sobie pozwolić na pertraktacje z niższymi szarżami. Gdy raz w nich ugrzęźnie, nigdy nie dotrze do fuhrera.

- Przysłuchanie ma być całkowicie dobrowolne - powiedział spokojnie Hartmann. Jego ciemne oczy wciąż uważnie badały twarz Anglika. - W takim razie możemy uważać tę sprawę za niebyłą.

Zapiął powoli guziki płaszcza, po czym podszedł bliżej i

rzekł cicho, konfidencjonalnie:

- Lepiej będzie, jeśli moja wizyta zostanie zachowana w tajemnicy.

To leży jak najbardziej w pana własnym interesie, pułkowniku Lindsay.

Możliwe, że od tej dyskrekcji zależeć będzie pana bezpieczeństwo. -Uklonił się Chrście, włożył czapkę i ciągnął dalej: - Powtarzam, moja obecność tutaj powinna pozostać tajemnicą. Jeśli ktoś zapyta was o to, po prostu zaprzeczcie.

- Nie rozumiem... - zaczęła Christa.

- O to właśnie mi chodziło. Dobranoc.

Christa zamknęła za nim drzwi. Zostali sami.

- Abwehra, III wydział.

- Oparła się plecami o drzwi i zmarszczyła brwi. - To znaczy, że on jest z kontrwywiadu. Śmierdząca sprawa.

- Myślałem, że pierwszy raz widzisz go na oczy - wypalił Lindsay. - Skąd wiesz, z jakiego jest wydziału?

- Bo oglądałam jego dokumenty, idioto! - Skrzyżowała ręce na piersiach i przeszła nerwowo przez pokój. - Jesteśmy jak schwytani w sieć, pułkowniku. A sieć zaczyna się zaciskać.

Rozdział dwunasty

Hartmann opuściwszy kwaterę fraulein Lundt szedł we mgle i właśnie znalazł się pod zawieszoną wysoko lampą, gdy nad jego uchem nagle zabrzmiał szorstki i apodyktyczny głos:

- Kim pan jest, do diabła?

- Major Hartmann z Abwehry! - odpowiedział nie mniej obcesowo.

Feldmarszałek Keitel zacisnął mocniej w rękę swoją buławę i zawołał najbliższego wartownika. Żołnierz przybiegł z karabinem gotowym do strzału. Trzej mężczyźni spotkali się twarzą w twarz pod strugą skierowanego w dół światła, przyćmionego kłębam szarych oparów. Żołnierz patrząc na feldmarszałka oczekiwał dalszych rozkazów.

- Czy macie broń? - spytał Keitel.

- Tylko lugera kalibru 9 milimetrów - odrzekł Hartmann. -I aby uprzedzić pana pytanie, broń jest naładowana. Chyba zgodzi się pan ze mną, że noszenie pustego pistoletu jest raczej bezcelowe?

Keitel zaniemówił z wściekłości. Będąc jedynie tubą fuhrera bez żadnej inicjatywy dowódczej, "drewnianą kukłą brzuchomówcy" -jak to określił pewien generał - weteran po wizycie w Rastenburgu -rekompensował to sobie terroryzowaniem wszystkich niższych rangą lub posiadających mniejsze wpływy.

- Rozbroić go! - rozkazał.

Zanim żołnierz zdążył zareagować, w rękę Hartmanna jakby za sprawą czarodziejskiej sztuczki pojawił się pistolet wymierzony w pierś wartownika.

- Rzuć karabin!

Ponura determinacja w głosie Hartmanna sprawiła, że wartownik odruchowo rozsunął zeszywniałe palce i upuścił karabin. Broń upadła na ziemię z grzechotem, który rozległ się

donośnie w ciszy Wilczego Szańca. Zdumiony Keitel po kilku nieudanych próbach odzyskał zdolność mowy.

- Czy zdajecie sobie sprawę, z kim macie do czynienia?

- Nie - rzekł Hartmann i po krótkiej przerwie dodał: - W tej cholernej mgle nie sposób kogokolwiek poznać. Ja się przedstawiłem.

Może łaskawie odwzajemni mi się pan tym samym, zanim użyję pistoletu. Nie dam się nabrać na takie pokrzykiwanie. To najstarszy chwyt świata. W końcu przysłano mnie tu dlatego, że w tym miejscu roi się od szpiegów.

- Feldmarszałek Keitel! Jestem Keitel...

- W tym kiepskim świetle można pana wziąć za kogokolwiek.

Jeśli mamy porozmawiać, to proponuję, żeby odesłał pan tego żołnierza, który, nawiasem mówiąc, niezbyt zręcznie obchodzi się z bronią. Wygląda na to, że tutejsza ochrona pozostawia wiele do życzenia.

- Możesz odejść! - warknął Keitel na wartownika. - Nie zapomnij tego cholernego karabinu - choć widzę, że nie na wiele ci się on przydaje. - Odwrócił się do oficera Abwehry. - Będzie pan uprzejmy pójść ze mną do mojej kwatery. Chcę z panem pomówić.

Hartmann uśmiechnął się do siebie i wsunąwszy lugera z powrotem do kabury ruszył w ślad za sztywno wyprostowaną postacią.

Wyciągnął fajkę i nie zapalając jej zgryzł zębami porządnie sfatygowany ustnik.

- Tu się nie pali! - oświadczył wyniośle Keitel, gdy weszli do jego biura.

Hartmann nie wyjął fajki z ust, lecz zdejmując czapkę

wyjaśnił:

- Prawie nigdy jej nie zapalam, więc nie ma obawy, bym zanieczyścił sterylną atmosferę tego wnętrza. Kiedy trzymam fajkę w ustach, łatwiej się koncentruję. Do tego z pewnością nie zgłasza pan zastrzeżeń.

W czasie ich przypadkowego spotkania na dworze rozpoznał Keitla niemal natychmiast, lecz będąc wytrawnym psychologiem wolał użyć wybiegu, żeby wzbudzić w dygnitarzu respekt, choćby zabarwiony niechęcią. Keitel był typowym przykładem szkolnego dręczyciela, prymusa, który podlizuje się nauczycielom, a życie reszty uczniów zmienia w piekło. Hartmann w swej karierze nieraz miał do czynienia z ludźmi tego typu, dużo częściej, niżby sobie tego życzył. Umiał sobie z nimi radzić. Sztuka polegała na tym, żeby od razu zbić ich z tropu i pozbawić pewności siebie.

- Kto wydał panu pozwolenie na wejście do strefy ochronnej?

-warknął Keitel.

Zdjąwszy czapkę i płaszcz wszedł za biurko i usiadł wyprostowany na obszernym krześle - musiało być takie, aby pomieścić jego pokaźne kształty. Zapomniał poprosić Hartmanna, żeby również usiadł. Oficer Abwehry zwlekał z odpowiedzią, aby spotęgować efekt.

- Jestem tu z rozkazu fuhrera. - Wyjął fajkę z ust, obejrzał uważnie jej główkę i znów wsunął ustnik w zęby: - Coraz częściej -zbyt często, żeby można było to dłużej ignorować - krążą plotki, że wewnątrz Wilczego Szańca działa sowiecki agent. Moim zadaniem jest go zidentyfikować. - Wyjął z portfela złożony arkusz papieru

i położył na biurku. - Oto mój rozkaz operacyjny. - Znów zrobił zagadkową pauzę. - Daje mi prawo przesłuchiwania wszystkich obecnych tu osób, niezależnie od ich rangi.

Keitel przeczytał dokument. Wyraz jego twarzy zmienił się, jakby ktoś nagle opuścił żaluzję. To zaintrygowało Hartmanna. Czy Keitel naprawdę, jak to głosiła fama, był tylko tępym automatem? A może za pozą aroganta i pyszałka kryło się coś zupełnie innego? Bardziej niebezpiecznego?

- Czy mogę usiąść? To miło z pana strony. Dziękuję.

Hartmann powiesił czapkę i płaszcz na przymocowanym do ściany wieszaku obok okrycia Keitla i usadowił się naprzeciw feldmarszałka po drugiej stronie rozległego blatu biurka. Keitel nic nie odpowiedział.

Wolno złożył arkusz papieru i przesunął go w stronę gościa, patrząc na niego uporczywie. Atmosfera w pomieszczeniu nieznacznie się zmieniła. Hartmann wyczuł, że pojawiło się w niej napięcie i niepokój.

- Ten dokument nadaje panu bardzo szerokie uprawnienia
-powiedział Keitel powoli.

- Zgadza się! - przytaknął dobrodusznie Hartmann. Założył nogę na nogę i rozparł się w krześle niczym uosobienie swobody.
-Mogę każdego przesłuchać i wydać decyzję o tymczasowym aresztowaniu. Proszę mnie zatem traktować jak przedstawiciela fuhrera.

"Znowu ta Abwehra" - pomyślał Keitel. Organizacja ta nie budziła niczyjej sympatii. Wszyscy się jej obawiali, tym bardziej że kompetencje Abwehry nie były jasno określone. Taki był styl

działania (jej szefa, admirała Canarisa, dzięki czemu ten szczywany lis miał znacznie większe pole manewru. Keitel postanowił nieco wysondować Hartmanna i zrobił się nagle przyjacielski, niemal serdeczny.

- No tak, naturalnie, ale to się rozumie samo przez się, że pana kompetencje nie obejmują osób najwyższych rangą w naczelnym dowództwie. Na przykład generała Jodla... - Albo i pana samego - wtrącił Hartmann miłym tonem.

- No cóż, tak, owszem...

- Zechce pan jeszcze raz przeczytać, co tu jest napisane - zasugerował jowialnie Hartmann. - "Niezależnie od stopnia" - czy nie ma tam takiego sformułowania? Z pewnością takie intencje miał fuhrer, skoro to on sam podpisał rozkaz.

Keitel zacisnął usta, z trudem hamując wybuch gniewu. Hartmann zauważył, że udało mu się opanować tylko niezwykłym wysiłkiem woli. Feldmarszałek spojrział na dokument, który wciąż leżał na biurku, lecz nie uczynił ruchu, żeby po niego sięgnąć. Nagle zmienił temat.

- Czy musi pan trzymać w zębach tę cholerną fajkę, gdy się pan do mnie zwraca?

- Jak już mówiłem, pomaga mi to w koncentracji. Każdy z nas potrzebuje czegoś takiego. Pan na przykład cały czas bawi się tą buławą, widać nasza rozmowa działa panu nieco na nerwy.

Keitel znieruchomiał i spojrział na buławę, którą obracał na blacie biurka. Zacisnął na niej z całej siły palce. Hartmann czekał, kryjąc rozbawienie. Keitel nie był pewien, czy ma odepchnąć od siebie buławę - co w pewien sposób byłoby

przyznaniem racji temu gnojkiowi z Abwehry - czy też dalej się nią bawić, ignorując beczelną uwagę. Takie drobne incydenty stanowiły chleb powszedni dla Hartmanna, który był specem w technikach śledztwa.

- Jest pan beczelny - stwierdził w końcu Keitel.

- Inni też tak uważali. To pewnie wina moich manier - albo zadania, jakie mam do wykonania.

Hartmann wyjął notes i ołówek, jakby szykując się do robienia notatek. Ustawił notes pod takim kątem, żeby Keitel nie mógł widzieć, co pisze. Swym zachowaniem dawał do zrozumienia, iż nie ma wątpliwości, że Keitel przystąpi do współpracy. Szybko zaczął zadawać pytania, nie pozwalając Keitlowi otrząsnąć się z wrażenia.

- Na naradach sztabowych fuhrer sam podejmuje wszystkie decyzje wojskowe. Pan potem pilnuje wykonania tych decyzji?

- Oczywiście. Ja i generał Alfred Jodl.

- Który również jest wtajemniczony we wszystkie postanowienia?

- Tak jest... - Keitel urwał i oparł koniec buławy o podbródek.

Hartmann czekał na następne słowa, domyślając się, że będą ważne.

Keitel wbrew swej reputacji stanowczo nie był tępą drewnianą kukłą: potrafił zdobyć się na subtelne wybiegi. To zdaniem Hartmanna czyniło całą sprawę daleko bardziej interesującą. - Powinien pan wiedzieć - dodał feldmarszałek po zastanowieniu - że jest jeszcze jedna osoba, która zawsze, bez wyjątków, bierze

udział we wszystkich naradach - Martin Bormann.

- On jest przecież od lat zaufanym sekretarzem fuhrera - wtrącił Hartmann, jakby nie widział w słowach Keitla nic godnego uwagi.

Jego ołówek był w ciągłym ruchu. Keitel byłby zdumiony, gdyby mógł zobaczyć rzekome zapiski - gryzmoły tworzące ni mniej, ni więcej tylko jego własną karykaturę. Hartmann posiadał błogosławioną umiejętność zapamiętywania z fotograficzną dokładnością wszystkich rozmów, w jakich brał udział.

- Więc - ciągnął - mamy pana, Jodla i Bormanna: trzech ludzi, którzy zawsze znają bieżące - i dotyczące najbliższej przyszłości - założenia taktyczne Wehrmachtu.

- Nie wziął pan pod uwagę jeszcze jednej osoby - zauważył jakby mimochodem Keitel. Coś knuł. Hartmann znów miał wrażenie, że opadła jakaś żaluzja. Takiej reakcji się nie spodziewał. Dobrze wiedział, na co Keitel pragnie skierować jego uwagę.

- Kogóż to? - zainteresował się.

- Chodzi o sekretarkę, Christę Lundt, która notuje wszystkie rozkazy fuhrera.

- W jakim wieku jest fraulein Lundt? - spytał Hartmann.

- Chyba tuż po dwudziestce. - Keitel wyglądał na zirytowanego i zdziwionego zarazem. - Jakie to ma znaczenie?

- Jest za młoda!

Oficer Abwehry pociągnął zamasyście ołówkiem, jakby wykreślał czyjeś nazwisko, i z trzaskiem zamknął notes. W rzeczywistości przekreślił nagryzmołoną przez siebie karykaturę Keitla z monoklem w oku. Odłożył notes i znów wyciągnął fajkę.

- Nie rozumiem - zaprotestował Keitel. - Co ma wspólnego wiek z wytropieniem hipotetycznego sowieckiego szpiega?

- Hipotetycznego? - rzucił ostro Hartmann.

- Nie ma pan dowodu na jego - czy jej - istnienie...

- Fuhrer żywi niezłomne przekonanie - to jego własne słowa - że w Wilczym Szańcu działa sowiecki szpieg, który przekazuje Armii Czerwonej szczegóły naszych operacji wojskowych. Podważa pan zdanie fuhrera?

To rzekłszy poruszył się na krześle, jakby chciał wyjść.

Sugestia, że Keitel kwestionuje osąd fuhrera, wywarła

nadzwyczajny efekt. Nie mógł zrobić nic lepszego, by poskromić

feldmarszałka i zmusić go do cofnięcia się za linie obrony.

Obserwował teraz swą ofiarę, trzymając w ręku fajkę i przesuając palce wokół krawędzi jej główki.

- Nie powiedziałem nic, co mogłoby nasuwać podobnie skandaliczne przypuszczenia! - oburzył się Keitel.

- Ze słowami różnie bywa, panie feldmarszałku, zwłaszcza gdy są powtarzane przez kogoś innego. Nikt nie wie tego lepiej ode mnie.

W końcu jestem specjalistą od przesłuchań. Czy to nie Richelieu stwierdził: "Wystarczy mi sześć linijek, które ktoś napisał, żeby go powiesić"?

- Wymienił pan fraulein Lundt - warknął Keitel.

- Nie. Pragnę z całym szacunkiem zauważyć, że to pan pierwszy wspomniał o tej dziewczynie. A jeśli chodzi o to, co tu ma do rzeczy jej wiek, to jesteśmy przekonani, że osoba, będąca na usługach Rosjan, musi być dużo starsza. To zapewne wtyczka,

którą sowieckie podziemie umieściło u nas wiele lat temu w nadziei, że któregoś dnia zajmie wybitne stanowisko, i która długo pięła się na zawrotne wyżyny władzy. Cierpi pan na zawroty głowy, panie feldmarszałku?

- Absolutnie nie, a ta rozmowa...

- Dobiegła końca - wtrącił szybko Hartmann wstając. Zdjął z wieszaka płaszcz i czapkę. - We właściwym czasie poinformuję oczywiście fuhrera o jej wynikach. Czy mogę życzyć panu dobrej nocy?

To był idealny ton, którym należało zakończyć spotkanie.

Hartmann wyszedł na wilgotny ziąb na zewnątrz i zamknął za sobą drzwi.

Keitel z pewnością dobrze zapamięta ostatnią enigmatyczną uwagę człowieka z Abwehry - uwagę obliczoną na wzbudzenie niepokoju w każdym, kto miał nieczyste sumienie.

- Mein Fuhrer - powiedział Bormann do Heinza Kubego, nowego Hitlera - pana poprzednik wydał polecenie, aby przysłano tu z Berlina oficera Abwehry w celu kontroli bezpieczeństwa. Ten oficer już przyjechał. To niejaki major Hartmann. Węszy teraz po całym terenie...

- Czy to znaczy, że tutejszy system bezpieczeństwa wymaga kontroli?

- Proponuję, żeby czym prędzej odesłać tego Hartmanna z powrotem do Berlina. Mógłby stać się dla pana niebezpieczny - to najsprytniejszy wywiadowca Abwehry.

Była pierwsza po północy. Hitler chodził tam i z powrotem po

swoim pokoju słuchając w milczeniu wywodów Bormanna. Często tak robił, a kiedy jego rozmówcy zabrakło słów, rozpoczynał nie kończący się monolog, w którym przedstawiał własne poglądy.

- Rozeszły się jakieś plotki o sowieckim agencie, któremu rzekomo udało się przeniknąć do Wilczego Szańca - ciągnął Bormann. - Pański poprzednik wyczuł intuicyjnie, że coś jest nie w porządku...

- Aha! Proponujesz, żebym odesłał tego Hartmanna z powrotem, gdy dopiero co przyjechał? I oddał tego Anglika, Lindsaya, w ręce gestapo? Mam odwołać dwie ważne decyzje, które fuhrer podjął na niewiele godzin przed moim przybyciem, i rozpętać w ten sposób masę plotek i pogłosek właśnie teraz, gdy dokładamy wszelkich starań, żeby wszystko wyglądało normalnie?

Bormann się przeraził. Zdał sobie sprawę z własnej krótkowzroczności. Jednocześnie zdumiał go bieg myśli Heinza Kubego i niesamowite podobieństwo jego rozumowania do rozumowania prawdziwego fuhrera, który zginął w katastrofie samolotu. Kuby wciąż chodził wielkimi krokami po pokoju i ciągnął swój monolog:

- Zrobimy wszystko dokładnie na odwrót. Lindsay ma tu zostać, traktowany z całym szacunkiem, dopóki nie będę gotów go przyjąć.

Przedtem - może po południu, po mojej drzemce - chcę się widzieć z Hartmannem. Do tego czasu ma on kontynuować swoje dochodzenie.

- Fuhrer wyposażył go w dokument, który nadaje mu bardzo szerokie uprawnienia. Może zadawać pytania wszystkim, nawet ludziom takim jak Jodl.

- To jeszcze lepiej! Muszę go koniecznie zachęcić, żeby jak najenergiczniej i najstaranniej prowadził przesłuchania! Czy nie rozumiesz, Bormann, że to następna rzecz, która działa na naszą korzyść?

To dochodzenie zaprzątne wszystkich i odwróci ich uwagę od mojej osoby. Nie mając czasu na zbyt wnikliwe obserwacje, zaakceptują mnie na zawsze! Żadnych więcej dyskusji.

Powiedziałem. To rozkaz fuhrera!

- Tak jest!

- Jeśli ten wywiadowca ma niemal pełną władzę... - Hitler zawiesił głos i spojrzał na swego niskiego, grubego sekretarza ze złośliwym półuśmiechem. Bormann zdziwił się jeszcze bardziej. Był to grymas charakterystyczny dla fuhrera, gdy ten znajdował się w kąśliwym nastroju, którego każdy mógł paść ofiarą. -... W takim razie - ciągnął Hitler - może, jeśli przyjdzie mu na to ochota, przesłuchać i ciebie.

- Oparłbym się temu, jako powiernik pana sekretów.

- Czy to znaczy, że w dokumencie jest specjalna klauzula, wyłączająca ciebie z tego dochodzenia?

- No, nie...

- Więc miejmy nadzieję, że wywiniesz się od aresztowania!

Bormann zamilkł, porażony perfidią nowego Hitlera i zręcznością, z jaką wykorzystywał on wszystkie możliwe okoliczności dla zabezpieczenia własnej pozycji.

Rozdział trzynasty

"Po pierwsze - zlokalizować tajną kwaterę fuhrera. Po drugie - ustalić, kto kieruje niemiecką machiną wojskową". Taki oto scenariusz otrzymał Lindsay z rąk pułkownika Brownea z SIS w biurze przy Ryder Street w Londynie, zanim opuścił bezpieczną przystań. Słowo "scenariusz" wydawało się całkiem na miejscu w Wilczym Szańcu, gdzie wszyscy odgrywali jakieś role: Dla Lindsaya atmosfera tego miejsca miała w sobie coś z atmosfery teatru.

W dwa tygodnie po przybyciu znał odpowiedzi na oba pytania, do których w Londynie przywiązywano taką wagę. Odpowiedź na pierwsze pytanie brzmiała: tajna kwatera Hitlera, Wilczy Szaniec, była ukryta w gęstych lasach Prus Wschodnich, w oparach zimowej mgły, które dzień zmieniały w noc. Na drugie - Hitler osobiście podejmował wszystkie ważne decyzje. Lindsay wynioskował to z kilku rozmów z Guenschem, adiutantem fuhrera, oraz tajemniczą Christą Lundt, z paru uwag, które rzucił Martin Bormann, i ze służalczego stosunku Keitla i Jodla do swego wodza.

- Po uzyskaniu tych informacji ma się pan przedostać do Monachium i nawiązać kontakt z naszym agentem - poinformował go Łaskawie Browne. - Proszę przyjść punktualnie o jedenastej rano w najbliższy poniedziałek przed Frauenkirche. Zapali pan papierosa i włoży go do ust lewą ręką. Zaciągnąwszy się kilkakrotnie rzuci go pan na ziemię i przydepcie lewą nogą. Agent sam zasygnalizuje swoją obecność i przedstawi się panu swoim imieniem, Paco. Odpowie pan: "Wtedy, w Rzymie". Od tej chwili przejdzie pan pod jego opiekę, a on przeprowadzi pana przez szwajcarską granicę.

- A przypuścmy, że zostanie zatrzymany przez gestapo? - spytał Lindsay.

Browne przekładał różne przedmioty na swym biurku, zwlekając z odpowiedzią. Nie przeoczył bynajmniej takiej możliwości, lecz nie lubił mówić nikomu w oczy nieprzyjemnej prawdy i zawsze wolał owijać ją w oględne słowa. Nigdy nie pracował w terenie.

- Rozważaliśmy i taką możliwość - powiedział nie patrząc na Lindsaya. Miał świadomość, że niezależnie od tego, jak długo potrwa wojna, on sam nigdy nie będzie musiał nadstawiać karku. Nie tak, jak siedzący naprzeciwko niego człowiek, który wyrusza "na drugą stronę" - za linię frontu, na terytorium wroga, gdzie wtrącony do jakiegoś obmierzłego lochu może zostać powoli zamęczony na śmierć przez gestapo. Odchrząknął i ciągnął dalej: - Gdyby do tego doszło i gdyby w trakcie przesłuchań powiedział im pan o naszym agencie, Paco, mogą zabrać pana przed Frauenkirche, żeby doprowadzić do spotkania. Wtedy zapali pan po prostu papierosa prawą ręką.

Jest pan w końcu praworęczny. Gdy zaciągnie się pan parę razy, zdusi go pan prawym butem. To będzie sygnałem ostrzegawczym dla Paco.

Agent pozostanie wówczas w ukryciu.

- Całkiem sprytne. - Lindsay odruchowo sięgnął po papierosa i wsunął go do ust. Nagle uprzytomnił sobie własny gest, zamartł z zapalniczką w dłoni i spojrzał na Brownea. Pułkownik jak zahipnotyzowany wpatrywał się w jego rękę.

- Hm, Paco - podjął Lindsay zapalając papierosa - to mężczyzna czy kobieta?

- Lepiej, żeby pan tego nie wiedział - odpowiedział Browne ;
zwiąźle.

Lindsay leżał wyciągnięty jak długi na pryczy w przydzielonej mu kwaterze. Wciąż miał przed oczami twarz Brownea w czasie incydentu z papierosem i malujący się na niej wyraz zgrozy.

Boże, jak proste wydawało się to wszystko w swojskim otoczeniu Ryder Street! Miał polecieć w pobliże Berghofu i tam wyskoczyć na spadochronie - co zrobił zgodnie z planem. Następnie przy odrobinie szczęścia i właściwym wykorzystaniu swoich umiejętności powinien uzyskać informacje potrzebne komuś na samej górze - na Downing Street, jak przypuszczał - i uciec do Monachium.

Godzinami ślęczał nad mapami tras kolejowych i planami miast, przez które miał przejeżdżać. Z położonego niedaleko Berchtesgaden Salzburga prowadziła do Monachium bezpośrednia linia kolejowa, a przejazd nią trwał w zwykłych warunkach nieco dłużej niż godzinę.

Cały plan Monachium miał w głowie. Po przybyciu do miasta zamierzał jak najszybciej skontaktować się z Paco, a potem przy pomocy tamtejszego podziemia przedostać się do Szwajcarii.

W tej chwili znajdował się przeszło tysiąc kilometrów na północny wschód od Monachium, zagubiony w pustkowiach Prus Wschodnich.

- Nie miał bladego pojęcia, jak, u licha, ma się dostać do Monachium, Paco, Szwajcarii. A za kilka godzin - po dwóch tygodniach szarpiącego nerwy oczekiwania - miał się spotkać z fuhrerem. Wciąż krążył myślami wokół Ryder Street, gdy drzwi otwały się cicho i do środka wsunęła się Christa Lundt. Zamknęła

drzwi i oparła się o nie całym ciężarem. Jej kształtne piersi falowały w rytm ciężkiego oddechu.

Zerwał się z pryczy i podszedł bliżej, przyglądając się dziewczynie uważnie.

- Co się znowu stało? - zapytał.

Christa była blada jak płótno, lecz gdy się odezwała, jej głos był niski i opanowany:

- Dlaczego mówisz "znowu", jakbym była histeryczką?

- Przejdź do rzeczy.

- Tak jakbyś... jakbyśmy nie mieli dosyć kłopotów z tym Hartmannem z Abwehry, który węszy po wszystkich kątach i w nieskończoność zadaje pytania. Siedzi tu już dwa tygodnie,...

- Do rzeczy - powtórzył.

- Przyjechało gestapo. Pytają o ciebie.

W jednej chwili wymiotło mu z głowy wszystkie myśli o Ryder Street.

Na wojnie wielkie wydarzenia często są następstwem drobnych, na pozór nieistotnych przypadków. Tego samego dnia, w którym Christa przyniosła Lindsayowi groźną wiadomość, pułkownik Browne znalazł się o włos od śmierci.

Była dziewiąta wieczór. Sam koniec marca. Browne był w drodze do swego biura na Ryder Street. Doszedł właśnie do szerokiej arterii Piccadilly i chciał przejść na drugą stronę. Znad rzeki podniosła się gęsta mgła, prawie nie widział, gdzie idzie. Przed chwilą o mało nie zabłądził na Dover Street.

Kiedy uniósł rękę, widział ją, lecz jej kontury były niewyraźne.

Wilgoć osiadła mu na skórze, ziąb przenikał do szpiku kości. Zdawało się, że wokół nie ma nikogo. Było bardzo cicho - gęsta szarawa zasłona tłumiła każdy dźwięk. Browne brnął przed siebie właściwie po omacku. Łatwo mógł zboczyć z chodnika i nieświadomie znaleźć się na środku ulicy.

Latarnie nie świeciły. Obowiązywało całkowite zaciemnienie. Przypadkowe pasmo światła zza źle zaciągniętej firanki od razu nikło i gubiło się we mgle. Browne zdał sobie sprawę z cichego mlaskania, jakie wydawały jego mokre buty. Nagle uprzytomnił sobie, że jego buty wcale nie są przemoczone. To ktoś inny...

Ktoś idący za nim. Tylko bez paniki! Odruchowo sięgnął do piersi, gdzie w kieszeni pod płaszczem przeciwdeszczowym schował papiery, które wyniósł z zebrania. Nie powinien nosić ich przy sobie, lecz chciał jeszcze raz je przejrzeć w ciszy swojego biura. Żałował, że nie przyszło mu do głowy zaprosić Tima Whelbyego, swojego zastępcę z Prae Wood, aby wybrał się z nim na drinka.

Wszystko wskazywało na to, że Whelby jest świetnym nabytkiem. Był spokojny, zawsze chętny do pracy i odwalał masę roboty. Na Ryder Street często zostawał po godzinach, długo po tym, jak wszyscy inni poszli do domów.

Browne zatrzymał się nagle i wytężył słuch. Niepokojący go dźwięk ucichł. Wszystko musiało być wytworem jego wyobraźni.

Przekłete nerwy! Starzał się i stawał zbyt podejrzliwy. Wyprostował plecy i ruszył przed siebie. Gdzież, u diabła, podziało się to przekłete Piccadilly?

I wtedy znów usłyszał ten sam odgłos, sunący w ślad za jego

miarowymi krokami. Był teraz tego pewny. Pożałował, że nie ma przy sobie rewolweru kalibru 38, zamkniętego na cztery spusty w jego biurku. Po cholere mu ta pukawka, żeby ją trzymał w szufladzie?

We mgle zamajaczył jakiś ogromny kształt, wypływający z oparów niczym potwór morski. Do uszu Brownea doszło powolne sapanie silnika. Za późno. Nie zdążył się zatrzymać i trafił prosto na boczną ścianę pełnącego piętrowego autobusu. Boleśnie rąbnął głową o blachę. Zawirowało mu przed oczami, a impet uderzenia odrzucił go do tyłu. Browne natrafił nogą na występ krawężnika, odzyskał równowagę i niezdarnie wyciągnął przed siebie rękę.

Czuł, że ma zakrwawione czoło. Nie rozumiał, jak to się stało.

Przeszło mu przez głowę, że być może cierpi na zaburzenia świadomości, i raptem nogi się pod nim ugięły. Dobry Boże! Szedł w poprzek Piccadilly nie zdając sobie z tego sprawy! Nagle z mgły wysunęła się jakaś ręka i mocno chwyciła go pod ramię.

- Nic panu nie jest? Wszedł pan pod autobus...

W tym głosie brzmiało szczere zatroskanie. Ten głos należał do Tima Whelbyego.

- Myśli pan, że w takim stanie wolno mi pić? - zastanawiał się głośno pułkownik Browne.

- Jedna brandy nie może zaszkodzić - odpowiedział Whelby swym łagodnym głosem.

Siedzieli w kącie pubu "Pod czerwonym lwem" niedaleko Jermyn Street. Whelby odprowadził swojego szefa do biura, gdzie ten,

wciąż jeszcze roztrzęsiony po wypadku, zamknął czym prędzej w sejfie noszone przy sobie dokumenty. Wtedy Whelby zaproponował, żeby poszli do pobliskiego pubu:

Browne pociągnął brandy i rozejrzał się wokół, by sprawdzić, kto poza nimi jest w pubie. Wnętrze było staromodne, z solidnym, wypolerowanym szynkwasem. Barman, który czyścił do połysku szklanki, stał za daleko od nich, by coś usłyszeć. Obok siedziała pogrążona w rozmowie para: amerykański żołnierz i dziewczyna, która wyglądała jak luksusowa prostytutka.

Gładko przepływający przez gardło alkohol rozgrzał Brownea i ukoił rozdygotane nerwy. Bolała go głowa, w miejscu uderzenia wyrósł mu guz. Browne zbierał się właśnie do podjęcia trudnej decyzji.

Whelby wyczuł to i zachowując milczenie pił swoją szkocką. "Jego obecność przynosi odprężenie - pomyślał Browne. - Wybrali do Prae Wood właściwego człowieka". Whelby kierował operacjami wywiadu w Hiszpanii i Portugalii. Pił dosyć dużo, lecz był w tym podobny do innych pracowników SIS, zagrzebanych w St Albans.

- Mogłem zginąć na miejscu - zaczął Browne trochę niewyraźnie. - A wówczas coś, co jest utrwalone tylko w mojej głowie - na ten temat nie ma żadnych dokumentów - przypadłoby wraz ze mną na zawsze.

- Taki wypadek na pewno już się więcej nie zdarzy - uspokajał go Whelby. Nie okazywał zainteresowania tajemnicą, o której wspomniał Browne. - Idę po następną porcję. Pan niech lepiej poprzestanie na tym jednym.

Pomimo bólu głowy Browne myślał logicznie. Ostatnie słowa

Whelbyego rozproszyły w nim wszelkie podejrzenia, że jego asystent próbuje go upić. Browne uznał, że może mu zaufać.

- Zdrowie! - Whelby wrócił z następną dużą whisky. - Niech mi pan da znać, gdy będzie pan chciał iść do domu.

- Podoba mi się tutaj. Można spokojnie pomyśleć, nie przeszkadzają telefony z Downing Street.

Pociągnął trochę brandy i poczuł się bodaj jeszcze lepiej nastawiony do Whelbyego. Porządny gość, który potrafi zachować sekret i nie wypaple go w jakimś klubie, skąd tajemnica rozejdzie się po całym Londynie. Browne widział wystarczająco dużo takich przypadków.

Długi język można przypłacić życiem. Obrócił się i spojrzał prosto w oczy Whelbyemu, który na tę lustrację odpowiedział nieśmiałym uśmiechem.

- Popracuje pan zapewne trochę u nas - odezwał się Browne, zwlekając z przystąpieniem do zasadniczego tematu.

- To zależy od tego, jak będę dawał sobie radę z robotą.

- To zależy ode mnie. Załazi pan Szwabom za skórę podgryzając generała Franco? Pewnie przed wojną spędził pan trochę czasu w Hiszpanii.

- To dawne czasy - odparł Whelby nie dodając nic więcej.

Browne wypił brandy do dna i wyprostował się. Podjął decyzję.

Zachowanie wyłącznie dla siebie wiadomości o operacji "Orle Gniazdo" było grubym błędem. Wolno obracał szklaneczkę w ręku.

- Wysłailiśmy gościa nazwiskiem Lindsay na spotkanie z Hitlerem.

Lindsay znał go przed wojną... - Urwał. Nie ma sensu opisywać ze szczegółami, w jaki sposób Lindsay przedostał się na teren Trzeciej Rzeszy. - Nasza rola polega na tym, że musimy zapewnić Lindsayowi drogę ucieczki, gdy spełni swoją misję. Ma dostać się do Monachium - miejscem kontaktu jest ta wielka, brzydka katedra z dwiema jednakowymi kopułami jak cebule...

- Frauenkirche - mruknął Whelby patrząc na drugi koniec sali.

Amerykański żołnierz z dziewczyną właśnie wychodzili.

- Był pan w Niemczech? - podchwycił Browne.

- Bardzo krótko - odpowiedział Whelby i zamilkł nie patrząc na swego towarzysza.

- Zgadza się, to Frauenkirche. Kiedy był pan w Niemczech?

Browne odczuł lekki niepokój. W jego głowie ostrzegawczy dzwonek zabręczał po raz pierwszy od chwili zderzenia z autobusem, które omal nie skończyło się tragicznie. Był o włos od decyzji sprawdzenia przeszłości swego asystenta. Whelby zrozumiał, że jego szefowi powoli mija nastrój do zwierzeń. Musiał dodać coś w formie tłumaczenia.

- Należałem do Towarzystwa Przyjaźni Angielsko-Niemieckiej.

Chciałem wiedzieć, co tam w Niemczech się wyprawia. To wszystko, jest w aktach.

- Oczywiście, naturalnie. - Browne zrozumiał, że posunął się za daleko. Uznał, że lepiej wyrzucić z siebie wszystko i pokazać Whelbyemu, iż uważa go za człowieka godnego zaufania. - Mamy w tym rejonie agenta, Paco - raczej niemądry pseudonim. Agent ma spotkać się z Lindsayem punkt jedenasta i będzie czekał tam na

niego w każdy poniedziałek. Przeprowadzi go przez granicę do Szwajcarii. Mówię to panu, bo ktoś jeszcze powinien o tym wiedzieć - w razie gdybym trafił w następny autobus!

Końcowy żart wywołał uśmiech na twarzy Whelbyego. Niedługo potem opuścili pub. Browne odtrącił pomocną dłoń, chociaż wychodząc potknął się na schodku. Czuł się okropnie i straszliwie bolała go głowa. Jedyne, czego pragnął, to położyć się do łóżka. Lecz na duszy było mu lekko. Świadomość, że Lindsay miał teraz dodatkowe zabezpieczenie, przyniosła mu wielką ulgę.

Cztery dni później Beria został ponownie wezwany do biura Stalina na Kremlu. Generalissimus, patrzący czerwonymi z niewyspania oczami sponad grubego nosa i obwisłych wąsów, podał szefowi NKWD rozszyfrowany meldunek, który nadszedł z ambasady sowieckiej w Londynie.

- Oto dowód na to, co zawsze twierdziłem: Brytyjczycy sondują możliwość zawarcia separatystycznego układu pokojowego z Hitlerem.

Ten Ian Lindsay to emisariusz Churchilla.

- Można by go zabić - zaproponował natychmiast Beria.

Likwidacja niewygodnych osób stanowiła dla niego rutynowe rozwiązanie każdego problemu. To bardzo upraszczało zawikłane sytuacje.

Stalin pokręcił głową i uśmiechnął się złośliwie.

- Jeszcze nie! Czyżbym był jedynym dalekowzrocznym człowiekiem w Związku Sowieckim? Trzeba wybiegać myślą dalej niż tylko do następnego ruchu w grze. W odpowiednim momencie mogę

zaszantażować Churchilla misją Lindsaya i nieco go przydusić.

Istnieje też inna możliwość. Zauważyliście, że w meldunku jest mowa o Monachium, przez które ma biec trasa jego ucieczki?

- Co nam to daje? - Beria zachęcił zwierzchnika do dalszych wynurzeń.

- Jeżeli powstanie taka potrzeba, możemy tak to załatwić, że zabiją go dla nas Niemcy!

Rozdział czternasty

Karl Gruber z gestapo był blady, niski i otyły. Miał wygląd człowieka, który rzadko bywa na świeżym powietrzu i większość czasu spędza za biurkiem. Kroczył w kierunku kwatery Bormanna w przepiśowym skórzonym płaszczu z paskiem i miękkim kapeluszu nasadzonym głęboko na szerokie czoło.

Bormann zza firanki obserwował jego nadejście bez odrobiny entuzjazmu. Każdy, kto miał powiązania z Himmlerem, był jego osobistym wrogiem. Ponadto powziął silną niechęć do nowego intruza z powodu jego wyglądu. Gruber szedł z rękami w kieszeniach, a jego oczy, przypominające oczy gada, przeczesywały teren, katalogując dane do raportu.

Rozkład budynków wewnątrz strefy ochronnej A był mu znany, dokładnie przestudiował plan przed wyjazdem z Prinz Albrechtstrasse w Berlinie i nauczył się go na pamięć. Gdy dotarł do kwatery Bormanna, zanim zdążył zapukać, ku jego zaskoczeniu drzwi otwały się i stanął w nich sam gospodarz.

- Tak? - zapytał nieprzyjaźnie.

- Gestapo. Karl Gruber, do pańskich usług.

- Wejść! Zamknąć drzwi!

Bormann ruszył przodem do swojego gabinetu, wszedł za biurko, usiadł i wskazał gościowi twarde krzesło. Wybrał je, ponieważ było wyjątkowo niewygodne. Gruber usiadł ostrożnie, jakby niepewny, czy krzesło wytrzyma jego ciężar, a gadzie oczy myszkowały na prawo i lewo robiąc w pamięci inwentaryzację całego wnętrza. Wyjął składaną legitymację ze złożonym arkuszem papieru w środku i podał Bormannowi. Będąc człowiekiem ostrożnym wołał pilnie przestrzegać wszystkich formalności w tym najświętszym ze świętych sanktuarium władzy.

- Oto moje papiery, Herr Reichsleiter - powiedział chrapliwym głosem. - Ten oddzielny dokument to upoważnienie na dokonanie wszechstronnej kontroli systemu bezpieczeństwa w Wilczym Szańcu...

- Umiem czytać - przerwał mu Bormann. - Będziecie musieli uważać, aby wasza obecność nie zawadzała innym... - Tu urwał złośliwie, wstrzymując się z podaniem informacji, która, jak wiedział, wyprowadzi z równowagi funkcjonariusza gestapo. Nieświadom zastawionej pułapki Gruber podjął temat.

- Postaram się nie rzucać w oczy - zapewnił. - Jestem tu, oczywiście, z rozkazu fuhrera...

- Wielkie nieba, wiem to przecież! Sam osobiście wysłałem do Berlina rozkaz, który was tu sprowadził.

Gruber zakończył właśnie ukradkowe oględziny pokoju, co nie umknęło uwagi gospodarza. Bormann wbił wzrok w gestapowca, rzucił papiery na drugą stronę biurka i zadał cios;

- Abwehra dotarła tu pierwsza. Jest u nas major Hartmann, który już od jakiegoś czasu bada tę samą sprawę.

- Abwehra...?!

- To właśnie powiedziałem. Czyżby słuch panu szwankował?

Bormann odczuł prawdziwe zadowolenie na widok konsternacji, jaka odmalowała się na tym tłustym świńskim ryju, lecz zadowolenie mącił niepokój. Po katastrofie samolotu ze Smoleńska reichsleiter znalazł się w położeniu bez wyjścia. Wybrnął za pomocą zręcznej mistyfikacji, która jak do tej pory się udawała. Najwięcej trudności nastęczała sprawa poruszona przez fuhrera tuż przed jego wyjazdem do Rosji.

Hitler intuicyjnie wyczuł obecność zdrajcy w Wilczym Szańcu, nie umiał jednak wskazać konkretnej osoby.

- Bormann - zwrócił się do swego sekretarza o pierwszej w nocy po zakończeniu narady sztabowej. - tutaj jest sowiecki szpieg, działa tuż pod moim nosem.

yyy le on tu jest. Musimy nakazać natychmiastową kontrolę systemu bezpieczeństwa.

- Może należy wzmocnić ogrodzenie? - podsunął Bormann. Nie zdążył powiedzieć nic więcej.

- On jest tu przez cały czas! - zagrział Hitler. - To jeden z nas, jakiś podlec, który przekazuje Armii Czerwonej nasze najnowsze dyspozycje, gdy tylko wydam instrukcje! Rozumiesz mnie teraz?!

Musimy znaleźć tę parszywą świnię i zaszlachtować. Śledztwo ma objąć wszystkich - nikt nie może zostać pominięty. Absolutnie nikt!

- Rozumiem - odparł niezgodnie z prawdą Bormann. Wkrótce został oświecony.

- Znajdź najlepszego oficera Abwehry w całej Rzeszy.

Takiego, który najlepiej zna się na swoim fachu. Napisz dokument

- ja to podpiszę - dający mu pełną władzę. Niech szuka zdrajcy.

Nikt - nikt! - nie jest wyłączony z tego dochodzenia! Jeśli chce

wziąć Keitla w krzyżowy ogień pytań, proszę bardzo! - Hitler

walnął pięścią w stół. Potem odwrócił się i spojrzał na swojego

zastępcę, nagle spokojny i uśmiechnięty.

Bormann odpowiedział szybko:

- Tak jest, mein Fuhrer...

- Ty także, mój drogi Bormann, pozwolisz się przesłuchać, jeśli będzie to konieczne. Nie możesz mieć szczególnych przywilejów, bo to ściągnęłoby na ciebie niechęć innych.

- Tak jest!

- Jeszcze nie skończyłem! - Nastrój Hitlera znów się zmienił. -Zażądasz też, by Berlin przysłał najlepszego fachowca z gestapo. Mają jednocześnie prowadzić dochodzenie - z równie szerokimi uprawnieniami.

Abwehra i gestapo - te organizacje były zaprzysiętymi wrogami. Łatwo zgadnąć, że dwaj funkcjonariusze będą prześcigać się w zacieklej rywalizacji, gdyż każdy z nich będzie chciał pierwszy odkryć sowieckiego szpiega. Była to ulubiona taktyka Hitlera - wykorzystywał rozbieżności pomiędzy instytucjami i poszczególnymi ludźmi, aby zmusić ich do większego wysiłku, zarazem trzymając w ryzach.

Czekając teraz na odpowiedź Grubera, Bormann przypomniał

sobie swój własny dylemat, gdy przyszłość całego reżimu nazistów spoczęła w jego rękach. Zastanawiał się, czy nie powinien odwołać śledztwa, lecz nie zrobił tego z obawy, że w stolicy powstaną jakieś podejrzenia co do sytuacji w Wilczym Szańcu. Była to ostatnia rzecz, jakiej pragnął. Ponadto zrozumiał natychmiast korzyści płynące z takiego obrotu sytuacji. Prowadzone przez wywiadowców dochodzenie zaprzętnie uwagę całego personelu. Ludzie będą mieli co innego na głowie, niż przyglądać się zbyt bacznie sobowtórowi fuhrera.

Niepokój o własną skórę skutecznie tłumi skłonność do krytycznego myślenia.

- Wolałbym - odparł rozważnie Karl Gruber - zostać zawiadomiony o obecności Abwehry przed swoim przyjazdem.

- Wyobrażacie sobie, że fuhrera obchodzą wasze zachcianki? -zadrwił Bormann. - Gdy zakończycie poszukiwania, złożycie raport nie do Berlina, lecz bezpośrednio mnie. A teraz możecie odejść!

Gruber wykonał rozkaz z wielką ulgą. W przegrzanej kwaterze Bormanna pocił się obficie. Zdjął wprawdzie kapelusz, aby okazać należny szacunek, lecz wciąż miał na sobie ciężki, skórzany płaszcz z paskiem ciasno ściągniętym na wydatnym brzuchu. Zdawało mu się, że czuje zapach swoich przeпоconych skarpetek.

Wyprężył się jak struna, wyciągnął ramię w nazistowskim pozdrowieniu, włożył kapelusz i wyszedł na dojmujący wilgotny ziąb.

- Herr Gruber, absolutnie nie mogę pana wpuścić na teren centrali łączności. Mam swoje rozkazy...

Oficer S.S blokował Gruberowi przejście grzecznie, lecz

nieustępliwie. Był wysoki i patrzył z góry na niskiego, pękatego funkcjonariusza gestapo. Blady zazwyczaj Gruber poczerwieniał.

- A ja mam swoje upoważnienia. - Ogarnęła go zimna furia.

-Zejsz mi z drogi, zanim każę was zaaresztować.

- Zostałem poinformowany o pana uprawnieniach - odrzekł hardo oficer S.S. - Nie obejmują one dostępu do centrali łączności.

A co do możliwości zaaresztowania mnie przez pana, obawiam się, że może być odwrotnie. Jeśli zrobi pan jeszcze krok, będę zmuszony zawołać wartę:

Gruber zauważył, że esesman patrzy gdzieś nad jego głową. Obrócił się jak fryga, żeby podążyć za jego spojrzeniem. Drzwi budynku, z którego przed chwilą wyszedł, były otwarte. Widać w nich było przysadzistą sylwetkę Martina Bormanna. Czy wyobraźnia Grubera płatała mu figle, czy reichsleiter naprawdę uśmiechał się złośliwie?

Gruber odmaszerował kipiąc gniewem. "Złóżcie raport nie do Berlina, lecz bezpośrednio mnie" - powiedział Bormann i dopilnował, aby jego rozkaz został wykonany, uniemożliwiając Gruberowi kontakt ze światem zewnętrznym. Ktoś zapłaci za to upokorzenie.

Przejrzał w pamięci listę nazwisk, którą ułożył sobie przed wyjazdem z Berlina - listę osób pracujących tu, na tym zapadłym, bagnistym pustkowiu. Christa Lundt, sekretarka fuhrera. Tak, zacznie od niej.

Da jej dobrą szkołę.

- A, Karl Gruber. Witamy w tym świetnym gronie.

Człowiek z gestapo obrócił się na pięcie, a twarz mu pociemniała.

Mimo że ziemia pokryta była chrzęszczącym pod nogami śniegiem, nie słyszał niczych kroków i to go zdenerwowało. Gdy zobaczył, kto go tak zniecacka zaskoczył, jego humor ani trochę się nie poprawił.

- Hartmann! Można wiedzieć, od kiedy tu się szwendasz?

- Dość długo, Karl, by zdobyć pewną przewagę. - Oficer

Abwehry zapalił fajkę obserwując swego konkurenta. - Wyglądasz na niezadowolonego. Czyżby cię nie dopuścili do dalekopisu?

- Tu coś jest nie w porządku, nie czujesz tego? -

zasugerował Gruber zmieniając temat. Może uda się wyciągnąć jakąś informację z przeciwnika?

- To ta mgła w lesie - wyjaśnił usłużnie Hartmann. - Stwarza przygnębiającą atmosferę i nasuwa myśli o bliskim końcu świata...

- Sądzisz, że przegrywamy wojnę? - wtrącił przebiegle

Gruber.

Wystarczy jedno jedyne zdanie o defetystycznym wydźwięku, a będzie miał Hartmanna w ręku.

- Ty to powiedziałeś - nie ja.

- Uważam, że powinniśmy połączyć swe siły i pracować razem, a potem, po zakończeniu misji, podzielić się sukcesem - oświadczył Gruber próbując nowego chwytu w nadziei, że wydobędzie z majora Abwehry wiadomości, które ten mógł uzyskać przed jego przyjazdem.

Hartmann to as w swoim fachu, Gruber nie był głupcem i zdawał sobie aż za dobrze sprawę z klasy tego opanowanego,

nieustępliwego wywiadowcy.

- Jak zrozumiałem, mamy pracować niezależnie. - Głos

Hartmanna wyrażał szczery żal. - Fatalny pech z tym dalekopisem.

Odwrócił się i odszedł. Jego ostatnia uwaga - tak jak zamierzał - wprawiła Grubera w szal. Człowiek ogarnięty furją popełnia błędy taktyczne. Hartmann z ręką na klamce drzwi kantyny obejrzał się za siebie. Gestapowiec wchodził do kwatery fraulein Lundt.

- Co pan robi?! Boże! To boli! Niech pan przestanie...

Christa Lundt właśnie zamierzała wziąć prysznic. Ubrana tylko w zawiązany luźno szlafrok, podniosła oburzone oczy na intruza.

Gruber wtargnął bez pukania do pokoju i brutalnie wykręcając dziewczynie rękę popchnął ją na kanapę.

- Zwracaj się do lepszych od siebie z większym szacunkiem - poradził chrapliwie wykręcając jej mocniej rękę na plecach. - To ty, dziwko, przychodzisz na wszystkie narady sztabowe. Tak?

Odpowiadaj!

- Tak - wyjąkała. Jeszcze przed chwilą świat był taki jak zawsze, a teraz nagle w miejsce normalnej rzeczywistości pojawił się ten obleśny grubas o przebiegłych, plugawych oczkach, który łakomie gapił się w wycięcie jej szlafroka. Jakże czuła się upokorzona! Jej piersi falowały, gdy wzdrygała się z bólu, a te małe oczka wciąż patrzyły na jej dekolt z wielkim zainteresowaniem.

- Gadaj! - Gruber trzymał ją w obezwładniającym chwycie. - Co robisz z notesem po przepisaniu rozkazów na maszynie i oddaniu

ich do zaszyfrowania?

- Zamykam go w szufladzie...

- W której szufladzie? Gdzie trzymasz klucz? Czy ktoś poza tobą może odczytać twoje stenogramy?

- Nie wiem...

- Myślę, że to złe podejście - dobiegł ich głos zza pleców

Grubera. Gestapowiec odwrócił się puszcżając Christę i sięgnął tłuścą ręką o serdelkowatych palcach po broń ukrytą w kaburze pod pachą.

Jego dłoń zatrzymała się w pół gestu. Przed nim stał

Hartmann w rozpiętym płaszczu, z fajką w zębach. - Tak już lepiej

- zauważył łagodnie major Abwehry. - Wpakowałbym ci kulkę, zanim byś dotknął kolby.

- Grozisz funkcjonariuszowi gestapo?

- A ja myślałem, że to ty mi grozisz. - Ten sam spokojny

ton. - W dodatku mam świadka. - Hartmann odwrócił się do Christy

Lundt, która skrzyżowała ręce na piersiach, chcąc zasłonić

dekolt, i rozcierała posiniaczone ramię. - Jak pani pamięta, mamy

umówione spotkanie. - Spojrzał na nią znacząco. - Przedtem

wolałaby pani zapewne zostać na chwilę sama i narzucić na siebie

jakieś ubranie.

Odczekał, aż dziewczyna wyjdzie z pokoju i zamknie za sobą

drzwi sypialni. Nagle cała jego łagodność zniknęła. Podszedł

blisko do gestapowca i przemówił niskim, ponurym głosem:

- Ty durny, nędzny śmierdzielu!

- Jak się tu dostałeś? Co to za bzdury o umówionym spotkaniu? - zaskrzeczał Gruber.

Drzwi wejściowe były zamknięte. Gruber nie wiedział, że Hartmann otworzył je, wśliznął się do środka i zamknął ponownie bez najmniejszego szmeru. Był wściekły, że mu przeszkodzono, i wstrząśnięty niesamowitą umiejętnością Hartmanna poruszania się jak duch.

- Odpowiedź na pierwsze pytanie brzmi: wszedłem tu tą samą drogą co ty. Jeśli chodzi o drugie: umówiłem się z fraulein Lundt na spotkanie, żeby zadać jej parę pytań w związku z moim dochodzeniem.

Twoje metody są raczej głupie - tak ją przeraziłeś, że nie stać jej było zapewne na żadną sensowną odpowiedź. Możliwe, że jedynym środkiem, jaki zazwyczaj stosujesz, jest bicie ludzi gumową pałką, ale tutaj nie na wiele ci się to zda., - Złożę na ciebie raport do reichsleitiera za przeszkadzanie mi w pełnieniu moich obowiązków!

- Przypuśćmy, że ja złożę na ciebie raport za usiłowanie gwałtu?

- Oskarżenie, które ja na pewno poprę! - zawołała Christa zza drzwi sypialni. Włożyła pośpiesznie bluzkę i spódnicę i właśnie kończyła rozczesywać długie, czarne włosy. - Przecież złapał go pan na gorącym uczynku, majorze Hartmann! Fuhrer otacza swój personel największą troską, więc rezultat jest łatwy do przewidzenia.

Hartmann miał znakomitą intuicję. Świetnie potrafił wybrać moment, w którym nie należy nic więcej mówić, w którym sama cisza może złamać człowieka. Twarz Grubera, miotanego gwałtownymi uczuciami, mieniła się w oczach. Patrzył to na majora Abwehry, to

na dziewczynę, która właśnie weszła do pokoju i spoglądała na niego z pogardą.

- Oboje wiecie, że to czysta bzdura! - wybuchnął. -

Potrząsnąłem nią tylko, żeby trochę zmądrzała...

- Kiedy była w samym szlafroku, co? Najwyraźniej chciała się wykąpać, gdy ty wpadłeś i rzuciłeś się na nią. Znajduję cię leżącego na niej na kanapie... - Hartmann wzruszył ramionami. -

Na razie opiszę zdarzenie, którego byłem świadkiem, poproszę fraulein Lundt, aby to podpisała, i zatrzymam raport w aktach.

Czy wyrażam się dosyć jasno?

Gruber podniósł kapelusz ze stolika, gdzie rzucił go po wyjściu do pokoju. Hartmann dostrzegł, że jego ręka była wilgotna, a na czole perliły się krople potu. Gestapowiec opuścił ich bez jednego słowa, zamykając za sobą cicho drzwi. Christa podeszła bliżej do Hartmanna.

- Mam wobec pana wielki dług, panie majorze. Podziękowanie wydaje się bladym wyrazem wdzięczności za wybawienie z takiej sytuacji. To obleśny brutal.

- Żadnych podziękowań, proszę. - Hartmann uniósł na znak protestu rękę z fajką, którą kurtuazyjnie wyjął z ust zaraz po wyjściu Grubera. - Ale naprawdę muszę z panią porozmawiać. Czy ma pani dość sił, by odpowiedzieć na kilka pytań? Dodam, że nie pani jednej będę je zadawać, jeśli jest to jakaś pociecha dla pani miłości własnej.

Przyjdzie kolej i na innych, włącznie z Bormannem, Keitlem i Jodlem.

- Powiem panu, co tylko pan chce wiedzieć. Teraz jest

odpowiednia pora. Ale może najpierw trochę kawy?

- Napiję się z największą chęcią.

Dziewczyna wyszła do sąsiedniego pomieszczenia, by przygotować kawę. Hartmann zdjął płaszcz i czapkę. Człowiek mniej sprytny od niego odmówiłby poczęstunku i od razu zaczął przesłuchanie, nie dając Chrście Lundt czasu na odzyskanie panowania nad sobą. Hartmann wolał mieć do czynienia z ludźmi odprężonymi - i jego plan podziałał daleko lepiej, niż oczekiwał. "Mam wobec pana wielki dług..." Podczas rozmowy z Gruberem Hartmann widział Christę Lundt idącą do swojej kwatery, dostrzegł spojrzenie Grubera rzucone w jej stronę i odgadł, kim najprawdopodobniej gestapowiec zainteresuje się w pierwszej kolejności. Wobec tego tak pokierował rozmową, żeby Gruber wpadł w gniew - a był dobrze znany ze swoich wybuchów furii. W naturze człowieka takiego jak Gruber leżało terroryzowanie wszystkich,, których uważał za gorszych od siebie; szczególnie kobiet.

Zgodnie z przewidywaniami poszedł prosto do Christy Lundt.

Sytuacja rozwinęła się lepiej, niż Hartmann się spodziewał.

Doszło do sceny kompromitującej, gdyż - dzięki czystemu zbiegowi okoliczności - Christa miała właśnie wziąć prysznic. Teraz na jakiś czas miał na Grubera dobrego haka.

Co ważniejsze jednak, zdobył sympatię Christy i wzbudził w niej chęć do współpracy. Z jego punktu widzenia wypadki nie mogły potoczyć się lepiej.

- Czy smakuje panu kawa? - spytała Christa kilka minut później.

- Doskonała! Chyba poproszę o służbowe przeniesienie pani do

mojego biura w Berlinie. Zakres obowiązków? Parzenie kawy!

Usiadła tuż przy nim na kanapie, by okazać, że mu ufa. Wyjął notes i ołówek. Były to narzędzia jej pracy, więc na ich widok nie powinna się spieszyć.

- Szybko pan przechodzi do rzeczy, panie majorze! - oceniła żartobliwie.

- Pierwsze pytanie. Gotowa? - Zrobił przerwę i uśmiechnął się, a potem, po otrzymaniu jej pozwolenia, zapalił fajkę.

Przeglądając się Chrście uważnie wypuścił pierwszą strzałę: -

Jakie wrażenie robi na pani ten Lindsay, który twierdzi, że przybył do Berghofu jedynie w celu spotkania się z fuhrerem?

Nie przywiązywał wagi do jej odpowiedzi. Tym, co zwróciło jego uwagę, był wyraz ostrożności, jaki pojawił się w przyjaznych do tej pory oczach.

Feldmarszałek Keitel chodził w kółko po biurze Jodla, nie mogąc ustać w miejscu.

- Jodl, odkąd fuhrer wrócił ze Smoleńska, atmosfera stała się wręcz nie do wytrzymania! Słyszałeś, co powiedziałem? Nie do wytrzymania!

Jodl o lisiej twarzy dostrzegł, że coś się stało już w chwili gdy Keitel, niezapowiedziany, wpadł jak burza do jego kwatery.

Keitel był czerwony ze złości. Nerwowo obracał buławę w rękach, a gdy wszedł, rzucił gwałtownie czapkę na stół. Jodl, który lepiej panował nad sobą, bacznie go obserwował.

- Czy wyodrębniłeś przyczynę? - spytał, starannie dobierając

słowa. Ilekroć mówiło się coś Keitlowi, nawet w zaufaniu, trzeba było liczyć się z tym, że każde słowo zostanie powtórzone fuhrerowi, jeśli Keitlowi będzie to odpowiadało.

- Czy to samo nie rzuca się w oczy? Mamy tu dwóch nieznośnych intruzów, którzy wtykają nosy we wszystko, co się dzieje...

- Mówisz o Hartmannie z Abwehry i Gruberze z gestapo?

Najlepszą taktyką przetrwania było zawsze zadawać pytania, jak najbardziej ograniczać własne wypowiedzi, a już broń Boże nie wygłaszać żadnych opinii. To była wiedza, jaką Jodl posiadał już dawno temu.

- A o kimże by innym? - wybuchnął Keitel. - Ten zarozumiały fajdak, Hartmann, dopiero co wziął mnie w krzyżowy ogień pytań.

Mnie! Szefa Oberkommando!

"Zarozumiały"? Jodl powściągnął uśmiech. Zdążył już zauważyć, że Hartmann był bez porównania mądrzejszy i bardziej niebezpieczny z dwójki wywiadowców. Wyraźnie uderzył w czuły punkt Keitla -próżność i świadomość własnego wysokiego stanowiska.

- Zaprotestowałeś? - spytał Jodl, wciąż mając się na baczności.

Z Keitlem nigdy nic nie było wiadomo. Czasami podejrzewał go, że świadomie udaje tępego aroganta.

- Jak mogłem zaprotestować? - pieniał się Keitel. - Sam fuhrer nadał mu nieograniczone pełnomocnictwa! Zaraz pewnie przyjdzie do mnie Gruber. Tłusty wieprz!

- Takim ludziom rzadko trafia się okazja, żeby wziąć w

obroty tych, którzy stoją od nich o niebo wyżej, jeśli chodzi o stanowisko - zauważył Jodl. - Wykorzystają więc tę szansę do końca, oddadzą raporty i wyjadą. Więcej o nich nie usłyszymy.

- Ta bzdura o sowieckim szpiegu w Wilczym Szańcu...

- Fuhrer dźwiga na sobie wielki ciężar...

- Nie wspomniałem nawet o fuhrerze!

Keitel podniósł czapkę, ścisnął mocniej buławę, rzucił

Jodlowi gniewne spojrzenie i wyszedł trzaskając drzwiami. Jodl nawet nie drgnął przy uwadze o sowieckim szpiegu. Teraz siedział bez ruchu i tylko wolno postukiwał palcami w stół, jakby nadawał sygnał alfabetem Morse'a.

Keitel powiedział prawdę. W klaustrofobicznej ciasnocie Wilczego Szańca panowała atmosfera napięcia. Dostatecznie przykre było przebywanie w tej niezdrowej, podmokłej okolicy, gdzie w gęstych, zasłaniających ich przed obcym wzrokiem sosnowych lasach leżały mokradła i jeziora. Ohydna mgła, wypęczająca podstępnie spomiędzy drzew, przyprawiała o depresję. A teraz na domiar złego wszystkich ogarnęła gorączka szukania szpiegów!

Jodl zauważył różnicę w stosunkach między ludźmi, jaka nastąpiła od przyjazdu Hartmanna i Grubera. Nieufność wisiała w powietrzu niczym szary opar. Rozmowy były wymuszone i ostrożne. Jodl miał pewność, że Hartmann - spryciarz - rozmyślnie stwarzał taki nastrój. Poddawał szpiega silnej presji psychicznej, tak aby stało się to dla niego nie do wytrzymania.

Nie do wytrzymania? Dziwne, że przyszło mu do głowy właśnie to wyrażenie, którego użył Keitel, wysapując gniew po badaniu Hartmanna. Jodl zerknął na zegarek. Niedługo południe. Pora

ruszać na naradę.

Wstał, włożył czapkę, obciągnął mundur i spojrzął w lustro zawieszony na ścianie. Czapka była jak zwykle nonszalancko założona na bakier. Nie wolno nic zmieniać w swoim wyglądzie. Fuhrer nie lubił zmian. Jodl miał przeczucie, że dziś światło dzienne ujrzy decyzja przegrupowania wojsk na froncie wschodnim.

Był wieczór tego samego dnia, w którym Keitel odwiedził Jodla.

W głębi sosnowego lasu, w kłębach mgły ktoś siedział skulony nad "norą".

Gałęzie maskujące otwór zostały odsunięte, spod nich ukazała się radiostacja dalekiego zasięgu. Przy świetle ślepej latarki - noc już zapadła, lecz księżyc jeszcze nie wzeszedł - wprawne palce skończyły wystukiwać meldunek, poprzedzony słowem "Wagner". To wskazywało, że meldunek dotyczy dyspozycji dla wojsk lądowych. Słowo "Olga" oznaczałoby meldunek o manewrach Luftwaffe.

Skulona postać, ledwo widoczna jak duch w zasnutym mgłą mroku, sprawdziła godzinę na zegarku i czekała. Rzadko zdarzało się, aby wysyłano meldunek w przeciwną stronę - ze Szwajcarii do Prus Wschodnich. Jeśli tak się stanie, to zostanie on nadany z Lucerny za dwie minuty. Minęło sto dwadzieścia sekund, które wydały się wiekiem.

Ręka sięgnęła do wyłącznika. Nagle urządzenie przemówiło...

RAHS. Sygnał wywoławczy Lucy. A jednak tej nocy nadeszła odpowiedź. Tajemnicza postać wetknęła latarkę pod pachę i przyszykowała notes i ołówek, by zapisać serię kropek i kresek

szyfru.

Przekaz był krótki.

Operator wyłączył urządzenie, przykrył je choiną, wstał i chwyciwszy za gałąź pobliskiego drzewa strząsnął z niej śnieg, żeby zatrzeć ślady.

Przeszedł kawałek leśną ścieżką przy wtórze cichego skrzypienia śniegu pod stopami i zatrzymał się obok wielkiego pnia. Z dziupli wydobył książkę szyfrów w wodoszczelnej saszetce. Kucnął, rozszyfrował wiadomość przyświecając sobie latarką, po czym włożył książkę szyfrów z powrotem do kryjówki i przepadł we mgle. Odebrana wiadomość była wyrokiem śmierci.

Głosiła: "Zlikwidować Anglika".

W dalekiej Lucernie Rudolf Roessler siedział przy kredensie, w którym była ukryta radiostacja. Zamrugał powiekami. Wydawało mu się, że przed oczami ma mgłę. Za plecami usłyszał czyjeś kroki.

Zamknął schowek i obrócił się na krześle.

- Och, to ty, Anno...

- A któżby inny? - Wysoka, energiczna kobieta uśmiechała się pokrzepiająco. - Masz tu kawę. Okulary ci zaparowały. Daj mi je.

Wstał, zamknął drzwiczki kredensu i trzymając w ręku kartkę papieru poszedł za żoną do bawialni. Wciąż oszołomiony, usiadł przy nakrytym sukniem stole i zaczął sączyć kawę, podczas gdy Anna z zapalem czyściła jego okulary.

- Ciągłe nie mogę wyjść z podziwu, gdy pomyślę o tych informacjach, które przysyła Dziecioł. Kto to może być?

- Lepiej, żebyśmy nigdy się tego nie dowiedzieli - i na

szczęście nie dowiemy się. Proszę, weź okulary. Dlaczego jesteś taki spocony?

Noc jest chłodna.

- Moskwa wysłała mi wiadomość dla Dzieńcioła. Przekazałem mu ją po odebraniu jego najnowszych danych o ruchach armii niemieckiej - które później podałem Kozakowi. Wiadomość od Kozaka przeznaczona dla Dzieńcioła jest zaszyfrowana innym szyfrem niż zazwyczaj, więc nie mam pojęcia, co puściłem w eter.

Anna zmarszczyła brwi. Ta nowa okoliczność zaniepokoiła ją, lecz nie chciała tego okazać.

- Dziś pierwszy raz odebraliśmy wiadomość z Moskwy. Myśleliśmy, że wszystkie transmisje będą w odwrotnym kierunku, od Dzieńcioła do Kozaka.

- Poinstruowano nas, jak postąpić w razie takiej ewentualności, gdy jeszcze byliśmy w Berlinie - przypomniał jej Roessler., Ustaliliśmy sygnały wywoławcze i tak dalej. Ale to narusza naszą umowę ze szwajcarską wojskową służbą wywiadowczą. Daliśmy im do zrozumienia, że transmisje odbywać się będą tylko w jedną stronę, więc co mam zrobić po tym ostatnim meldunku? Szwajcarom może się to nie spodobać.

- Chciałeś powiedzieć, że lepiej będzie, jeśli nie prześlemy tego, ostatniego radiogramu od Kozaka do Biura Ha?

- Jak ty byś postąpiła? - spytał z wahaniem, patrząc na nią z błagalnym wyrazem zagubionego spaniela.

- Zapomniałabym o całej tej sprawie - zdecydowała - i nie pisnęła o niej ani słowa Szwajcarom.

- Co ja bym bez ciebie począł, Anno?

- Dręczyłbyś się cały dzień!

- Dokąd idziesz?

- Zadzwoń do Biura Ha, żeby wysłali kuriera po meldunek od Dziećcioła. - Przed podniesieniem słuchawki odesłała go machnięciem ręki. - Lepiej, żebyś się tu nie kręcił, gdy przyjedzie kurier. Idź się przespać, to ci się wyraźnie przyda.

Śnieg sypał na ściany Kremla. O drugiej nad ranem w wiekowej twierdzy panowała cisza. Ławrientij Beria czekał, polerując pracowicie swoje pince-nez, aż otworzą się drzwi na końcu mrocznego pokoju.

Obok niego stał zaniepokojony i zirytowany generał Żukow, a jego biały mundur odcinał się w ciemnym pomieszczeniu wyraźną, jasną plamą.

- Dobry wieczór, towarzysze. Czy może raczej dzień dobry?

Północ już minęła, a przed nami następny dzień pełen zdarzeń, który trzeba pracowicie wykorzystać.

Z cienia wynurzył się Stalin. Beria zauważył, że generalissimus lubi podchodzić chyłkiem i zaskakiwać ludzi znienacka. Mały Gruzin o uschniętej lewej ręce i przebiegłych oczach trzymał w prawej dłoni kolejny z tych cholernych świstków. "Meldunek od Dziećcioła" - domyślił się Beria. Nienawidził siatek szpiegowskich, nad którymi nie miał kontroli.

- Proszę o opinię na temat treści meldunku, generale - zażądał Stalin. - Znów dotyczy on domniemanego niemieckiego planu operacyjnego na najbliższe dni.

Beria zachował kamienny wyraz twarzy, mrugał tylko powiekami

za szklami pince-nez. Niech Żukow pierwszy padnie ofiarą generalissimusa. Stalin był w jednym ze swoich najgroźniejszych nastrojów.

Mówił wtedy cichym głosem, przycajony niczym kocur podchodzący mysz. Żukow przeczytał meldunek i jak zawsze szczerze wypowiedział swoje zdanie:

- Ten agent wie, o czym mówi. Szczegóły dyspozycji wydanych niemieckiej armii pokrywają się dokładnie z moim obrazem ogólnej sytuacji na froncie. Informacja dotycząca sił wsparcia jest przypuszczalnie równie dokładna. Opierając się na tych wiadomościach proponuję rozpocząć kontrofensywę, zanim zaczną się odwilż. To zupełnie zaskoczy przeciwnika.

- Gwarantuje pan wielkie zwycięstwo? - badał Stalin pociągając wąsa i patrząc z ukosa na generała.

- Na wojnie nie ma gwarancji.

- Wobec tego poczekamy jeszcze trochę, dopóki nie będziemy mieć całkowitej pewności co do Dzięcioła i tego, że nikt nim nie manipuluje.

- Byłoby mi łatwiej wyrokować w tej sprawie, gdybym wiedział, kim, do diabła, jest ten Dzięcioł! - wybuchnął Żukow. -

I ile lat potrwa, zanim nabierzemy pewności...?

Beria wstrzymał oddech. Pilnował się, żeby nie spojrzeć na żadnego z nich. Istniały szanse, że Stalin każe aresztować Żukowa w ciągu najbliższych sześćdziesięciu sekund. Nastąpiła ciężka cisza, punktowana powolnym tykaniem dwustuletniego wysokiego zegara stojącego pod ;: ścianą.

- Proponuję, żebyście wrócili do sztabu generalnego armii

-oznajmił po długiej chwili Stalin bezbarwnym głosem. - I wstrzymać się na razie z atakiem. Kontynuować działania obronne, jak to ustaliliśmy wcześniej.

Począł, aż Żukow wyjdzie z pokoju, i zaprosił gestem szefa policji do pobliskiego stolika. Usiadł, wyciągnął fajkę i zapalił ją z wielką starannością. Przez cały ten czas jego oczy badały Berię, który pod stołem splótł wilgotne dłonie na kolanach.

- Pewnego dnia, Beria, będziemy musieli przywołać tych generałów do porządku. Na razie są nam potrzebni - żeby wygrać wojnę.

Wzmocnijcie obserwację Żukowa...

W Londynie na Ryder Street Whelby zamykał właśnie w szafce jakieś akta. Zbierał się do wyjścia do domu. Oprócz niego w pokoju był pułkownik Browne, który myślał na głos, chcąc sprawdzić, jak jego zastępca zareaguje na te wywody:

-... niektórzy ludzie są zdania, że wojna zbyt się przeciąga i powinniśmy pójść na jakąś ugodę z Niemcami... - Urwał. - Przy okazji, czy druga strona wyraziła jakieś zainteresowanie tym tematem, kiedy był pan ostatnio w Madrycie?

- Absolutnie żadnego - z miejsca skłamał Whelby.

- Tak tylko mi przyszło na myśl - wycofał się Browne i skinął głową, gdy Whelby z pewnym pośpiechem życzył mu dobrej nocy.

Tak się złożyło, że Whelby tego wieczoru był umówiony z Sawitskim. Każdy agent lubi mieć coś do zameldowania i dlatego Whelby podniósł przypadkową uwagę Brownea do rangi decyzji

politycznej brytyjskiego rządu.

- Wygląda na to, że Lindsay jest emisariuszem Churchilla, który ma negocjować traktat pokojowy - oświadczył w czasie krótkiego spotkania. - Browne sprawdzał niecałe dwie godziny temu, jak się odniosę do tego pomysłu.

Po powrocie do sowieckiej ambasady Sawitski znów osobiście zakodował wiadomość dla Kozaka i zaniósł ją do pokoju szyfrowego w podziemiach budynku przy Kensington Palace Gardens. Trzy godziny później rozszyfrowany meldunek leżał na biurku Stalina, który po raz drugi tej nocy "konsultował się" z Berią.

- Sytuacja w głównej kwaterze Hitlera jest coraz bardziej zawiślana - skomentował Stalin, gdy jego zausznik czytał wiadomość.

- Zawiślana? - spytał Beria.

- Zawiślana - powtórzył dobitnie Stalin. - Przebywa tam Dzięcioł, który może się okazać naszym najcenniejszym agentem w tej wojnie. Następnie mamy tego Anglika - jak przypuszczam, również wykwalifikowanego szpiega. Sądzę, że sprzyja nazistom. Przypuśćmy, że przy swoim doświadczeniu wykryje Dzięcioła? Musimy temu zapobiec za wszelką cenę.

- Zgadzam się z tym - rzekł Beria uroczyście. - Rozwiązanie samo się nasuwa...

- Wyślemy Dzięciołowi odpowiedni rozkaz.

W ten właśnie sposób doszło do przekazania Dzięciołowi via Lucy wiadomości:

Zlikwidować Anglika.

W poniedziałki czeka na niego agent aliantów przy

Frauenkirche.

Rozdział piętnasty

- To szaleństwo! - wykrzyknął Martin Bormann. - Błagałem fuhrera, żeby pozwolił mi wysłać eskortę, która towarzyszyłaby mu w dyskretnej odległości. A on uparł się na samotny spacer po lesie w towarzystwie tego Anglika!

Nie mógł ustać w miejscu, chodził niespokojnie po pokoju w kwaterze Christy Lundt. Ona siedziała sztywno na krześle stojącym najbliżej drzwi wyjściowych, żeby mieć możliwość szybkiej ucieczki na wypadek, gdyby reichsleiter zaczął się do niej umizgać.

- Jedyną ochroną fuhrera będzie Blondi... - Bormann ciągnął swoją tyradę. Pocił się obficie. Przystanął na chwilę i machnąwszy z irytacją ręką w kierunku okna spytał: - Co pani zdaniem dzieje się tam w lesie?

- Fuhrer zapewne wygłasza monolog, a pułkownik słucha.

Z pewnością nic bardziej niepokojącego.

Kwadrans wcześniej była świadkiem niezwyklej sceny. Lindsay siedział przy niej na kanapie i rozmawiali o coraz bardziej napiętej atmosferze, która tworzyła się w miarę jak Hartmann i Gruber prowadzili swoje odrębne dochodzenia.

Nagle drzwi otworzyły się i stanął w nich fuhrer z psem na smyczy.

Miał na sobie wojskowy płaszcz i czapkę z daszkiem. Spojrzał na nich zimnym, przenikliwym wzrokiem, a oni wstali. Raptem

rozkazał gwałtownie:

- Niech pan włoży płaszcz, pułkowniku. Porozmawiamy.

Pójdziemy do lasu, tam nikt nas nie podsłucha.

Zdumiony Lindsay ubrał się do wyjścia i wcisnął na głowę czapkę przypominającą rosyjską papachę. Dostał ją od Guenschego, który najwyraźniej wziął Anglika pod swoją opiekę. Poszedł za fuhrerem i razem zniknęli Chrście z oczu za pierwszym punktem kontrolnym.

Po minięciu ostatniej wartowni ruszyli wolnym krokiem, ramię przy ramieniu, szerokim przejściem między polami minowymi w sosnowym lesie, okrytym śniegiem. Ziąb przenikał do szpiku kości. Wokół panowała posępna cisza, przerywana jedynie głosem fuhrera:

- Twierdzi pan, że w Londynie działa partia pokojowa, lecz jak na razie nie mogą przełamać wpływu Churchilla. Czy Londyn zwariował? Co by się stało, gdybym zarzucił swoją wielką misję na wschodzie? Hordy komunistów załatyby całą Europę. Wielka Brytania i Ameryka stanęłyby twarzą w twarz z nieubłagany przeciwnikiem, którego jedynym celem byłoby ich zniszczenie. Nigdy więcej nie zaznaliby pokoju. Nawet gdyby zmuszono Sowietów na kilka lat do zaakceptowania jakiegoś podziału Europy, nigdy nie uwolnilibyście się od strachu - strachu, że wcześniej czy później ci barbarzyńscy Azjaci, zjednoczeni pod sztandarem komunizmu, tak urosną w siłę, że przytłoczą was swoją potęgą. Wtedy w Europie zapanuje drugie średniowiecze. Ameryka będzie odizolowana. Ogarnięcie Chin i Japonii przez bolszewicką plagę pozostanie tylko kwestią czasu. Ja jeden stoję między Zachodem a tymi barbarzyńcami.

- W Londynie i w Waszyngtonie są na wysokim szczeblu ludzie, którzy to dostrzegają - odparł Lindsay. Nie odrywał wzroku od fuhrera, żeby wychwycić każdą zmianę w wyrazie twarzy, każdą nutę w rwącym strumieniu słów.

- Więc dlaczego, na miłość boską, nie wezmą się do działania?!

- Jak dotychczas nie mają dostatecznych wpływów - wtrącił stanowczo Lindsay. - W zdobyciu ich pomogłoby jakieś wielkie niemieckie zwycięstwo na wschodzie.

- To nastąpi już wkrótce! Mówię panu, już wkrótce!! - Hitler podniósł głos, którego nie tłumiała nawet otaczająca ich mgła. - Niech pan tylko poczeka do lata! Lato 1943 roku zmieni bieg historii! - Nagle jego podniecenie opadło. Mówił teraz spokojnie, po przyjacielsku. - Więc diuk Dunkeith, pański stryj, przysłał pana do mnie jako emisariusza partii pokojowej? Moja intuicja powiedziała mi to, jak tylko usłyszałem o pana przybyciu.

Hitler miał zwyczaj odpowiadać na własne pytania. Lindsay szybko zauważył, że powinien ograniczyć swoje własne wypowiedzi do minimum. Niemiecki przywódca miał swój pogląd na wszystko i wymagał tylko potakiwania. Jak dotychczas Lindsay mógł stwierdzić, że Hitler jest dobrze poinformowany o ogólnej sytuacji w międzynarodowych kręgach politycznych. Szarpiąc za smycz, żeby poskromić psa, fuhrer ciągnął dalej:

- Mam dla pana konkretne propozycje pokojowe, które mają być przedstawione Churchillowi i innym pańskim przyjaciołom.

W zamian za zaprzestanie wrogich działań między naszymi państwami wycofam wojska niemieckie z Francji, Belgii i Holandii

- wszystkich terenów okupowanych w zachodniej Europie. Następnie dacie mi wolną rękę, żebym mógł skończyć ze Stalinem i całą tą ohydną doktryną. Amerykanie nie mogą działać bez pomocy Brytyjczyków i bez korzystania z bazy, jaką jest wasza wyspa.

- Takie propozycje mogą zainteresować samego Churchilla - ocenił Anglik. - On też zaczyna się niepokoić, jak daleko w głąb Europy posunie się Armia Czerwona.

- Propozycje muszą być dopracowane we wszystkich szczegółach.

Zostawię to Ribbentropowi. Czas, żeby coś zrobił w zamian za pieniądze, które bierze - stwierdził zgryźliwie Fuhrer. - Szkoda, że lorda Halifaxa wysłano do Waszyngtonu na stanowisko ambasadora - zamyślił się. - Był on jednym z przywódców frakcji pokojowej.

Czy nie tak?

- Pomyśleć tylko - powiedział ostrożnie Lindsay - że gdy Chamberlain został zmuszony do rezygnacji, pierwszą osobą, której ofiarował stanowisko premiera, był tenże sam Halifax. Gdyby to z nim miał pan się układać po Dunkierce...

- Wielka Brytania i Niemcy podałyby sobie ręce jako równorzędni partnerzy w krucjacie przeciw bolszewizmowi. Moskwa zostałaby starta z powierzchni ziemi. Jediną przyczyną, dla której zaatakowałem Francję, była konieczność zabezpieczenia sobie tyłów przed wielką kampanią przeciw Stalinowi. I wydaje się, że nikt nie rozumie moich pobudek...

Hitler stracił głos z wzruszenia. Przez kilka minut kroczyli w milczeniu. Ścieżka była miejscami porośnięta grubym, gąbczastym mchem, w którym zapadały się nogi - jakby szli skrajem bagna.

Wkoło unosił się zapach mokrych sosen, pokrytych paciorkami wilgoci.

Mieli już skręcić i zawrócić do Wilczego Szańca. Hitler zaczął kolejne zdanie, gdy nagle rozległ się strzał z karabinu. Lindsay na własne oczy zobaczył kulę, która wbiła się w pień drzewa oddalonego nieco od ścieżki, po jego prawej stronie. Na ziemię opadła chmura śniegu strząśnięta z gałęzi. Hitler stał po lewej ręce Lindsaya. Anglik powiedział szybko:

- Herr Fuhrer, proszę wracać jak najprędzej do Wilczego Szańca.

Ja spróbuję odnaleźć zabójcę.

- Przekłeta, tchórzliwa świnią! Nie umie nawet celnie strzelać...

Hitler odwrócił się gwałtownie i ruszył z powrotem drogą, którą tu przyszedł, z ramionami sztywnymi jak u marionetki, równo odmierzonym krokiem. Straciwszy z oczu sylwetkę fuhrera Lindsay stał bez ruchu pięć minut, uważnie nasłuchując. Hitler mógł myśleć, że uszedł cało z następnego zamachu na jego życie. Lindsay wiedział swoje. Kula była przeznaczona dla niego, nie dla niemieckiego przywódcy, którego ominęła z daleka:

Gdy tylko stawiał się na pierwszym punkcie kontrolnym, został aresztowany za współudział w próbie zamachu na fuhrera.

Christa Lundt podeszła do budynku, w którym trzymano Lindsaya, niosąc tacę zastawioną przykrytymi naczyniami. Drzwi zagroził jej stojący na warcie esesman z pistoletem maszynowym.

- Wstęp wzbroniony. Herr Gruber...

Spojrzała na niego ostro i wyniośle i powiedziała głosem,

który ciął jak biczem:

- To obiad więźnia. Przyniosłam go z polecenia fuhrera!

Chcecie wylądować na froncie wschodnim? Macie pięć sekund na zejście mi z drogi!

Wartownik się zawahał. Niezdecydowanie wyraźnie malowało się na jego twarzy. Christa uczyniła ruch, jakby chciała zawrócić i odejść.

Esesman odsunął się szybko na bok, tak zbity z tropu jej tupetem, że zapomniał sprawdzić zawartość naczyń. Dała mu gestem do zrozumienia, że powinien otworzyć drzwi.

- Macie maniery wieprzka - stwierdziła. - Zamknijcie za mną te cholerne drzwi.

Lindsay leżał wyciągnięty na kanapie i czytał gazetę. Na widok Christy poderwał się i uprzątnął stół, żeby miała gdzie postawić tacę.

Usiadła na kanapie i odezwała się ściszym głosem:

- Zjedz, póki gorące. Chodzą pogłoski, że próbowałeś zabić fuhrera. Powiedz, kto to wymyślił?

- To robota tego drania z gestapo. - Lindsay podniósł przykrywkę. Cielęcina z ziemniakami.

Padął z głodu. Zaczął jeść mówiąc z pełnymi ustami: - Gruber utrzymuje, że przeszukał moją kwaterę, gdy byłem w lesie. Pokazał zestaw fotokopii najnowszych rozkazów.

Twierdzi, że znalazł je schowane pod materacem łóżka. Świetna kryjówka, nie ma co!

- Nowe rozkazy? Mogłabym podważyć ten zarzut. Musiałbyś mieć dostęp do kopiarki.

- To nie wszystko. Smaczna ta cielęcina. - Lindsay wpakował następny kęs do ust. Zawsze korzystał z każdej sposobności, żeby się najeść na zapas. Była to zasada numer jeden w podręczniku szkoleniowym na Ryder Street. - Gruber zarzuca mi, że zwabiłem fuhrera w pułapkę, aby padł ofiarą zamachu...

- Fuhrer nie jest o tym przekonany - przerwała Christa.

-Gruber chciał odesłać cię natychmiast samolotem do swego biura w Berlinie, lecz fuhrer mu zabronił. Pozwolił posunąć się Gruberowi tylko do tego, by trzymał cię w zamknięciu, dopóki cały incydent nie zostanie zbadany.

- To już coś. - Lindsay wytarł usta serwetką i spojrzał na Christę. - Lepiej, żebyś wiedziała, że Gruber próbuje zrobić w tę sprawę nas oboje. Wysłał teleks do Berlina, by przysłali mu twoją kompletną teczkę personalną.

- O mój Boże!

Z twarzy Christy odplynęła cała krew. Objęła przegub swej ręki szczupłymi palcami, jakby ściskając niewidoczne kajdanki. Lindsay, wciąż nieufny, obserwował ją nalewając kawę z metalowego dzbanka.

- Czy w tych aktach jest coś obciążającego? - spytał obojętnym głosem.

- Gruber mógłby z tego zrobić ciężki zarzut. - Nagle odzyskała panowanie nad sobą. - Są w nich wymienieni ludzie, których kiedyś znałam, ludzie, którzy stali się podejrzani od czasu, gdy po raz ostatni sprawdzano moją przeszłość. Szczególnie mój były narzeczony, Kurt.

Został przeniesiony na front wschodni. Nikt nie wiedział o

naszym związku - tyle że był bliskim znajomym.

- Podejrzani o współpracę z podziemiem? Czy Kurt do nich należał?

Skinęła głową. Jej spokój był niemal irytujący.

- Teraz wiesz, dlaczego być może będę musiała uciekać. Całe wieki minęły od czasu, gdy mnie ostatnio sprawdzano.

- Sytuacja tutaj, w Wilczym Szańcu, jest nader skomplikowana - zauważył Lindsay. - Skomplikowane sytuacje można wyzyskać na swoją korzyść. Co wiesz o Gustawie Hartmannie? W tym agencie Abwehry jest coś dziwnego. Gdyby stał się naszym sojusznikiem, można by go namówić, żeby unieszkodliwił Grubera. Gestapo nienawidzi Abwehry, a ta odpłaca mu pięknym za nadobne. Zresztą z nich dwóch Hartmann jest o wiele mądrzejszy.

- Nie rozumiem, jak mógłbyś go nakłonić, żeby nam pomógł.

-Christa sprawiała wrażenie poirytowanej i zdenerwowanej. Albo była jedną z najlepszych aktorek na świecie, albo mówiła prawdę.

-W każdym razie - ciągnęła z niepokojem - ty sam znajdujesz się również w kiepskim położeniu.

- Jakby to powiedział fuhrer, stanąwszy w obliczu kryzysu

-czas, aby przyszło nam z pomocą nasze szczęście.

Nie minęła godzina, kiedy Christa była z powrotem. Zamknęła ostrożnie drzwi, rozejrzała się po pokoju i gestem obu rąk zadała nieme pytanie patrząc na zamknięte drzwi, prowadzące w głąb baraku.

- Jesteśmy zupełnie sami - uspokoił ją Lindsay.

- A więc mam najwspanialszą wiadomość pod słońcem!

-Porzuciwszy ostrożność podbiegła i usiadła tuż przy nim na

kanapie.

Chwyliła go za rękę i zbliżyła twarz do jego twarzy. -

Fuhrer podjął właśnie jedną ze swoich nagłych decyzji. On często tak robi, żeby zdezorientować nawet najbliższych współpracowników i dla ochrony przed zamachami. Wszyscy, nie wyłączając Bormanna, ostłupieli. Ian, mamy natychmiast wyjechać do Obersalzbergu! Hitler przenosi czasowo swoją główną kwaterę do Berghofu!

- Natychmiast, to znaczy kiedy? - spytał Lindsay.

- Za dwie godziny! Dochodzi tu bocznicą kolejową.

- Widziałem ją.

- Pociąg jest już podstawiony. Och, Ian, to wprost cudowne!

Ty też masz z nami jechać. Fuhrer uważa cię za jeden z możliwych kontaktów ze stronnictwem pokojowym w Anglii. Trochę szczęścia -tego, jak sam powiedziałaś, było nam trzeba!

Gdy tak siedzieli blisko, wytworzyło się między nimi napięcie zupełnie innego rodzaju niż dawniej. Ogromna ulga na myśl o opuszczeniu Wilczego Szańca przełamała zahamowania. Lindsay z wysiłkiem zwrócił myśli na sprawy praktyczne.

- Kiedy twoje akta przyjdą z Berlina?

- Najwcześniej jutro. Kierowniczka archiwum to moja przyjaciółka. Będzie zwlekać z ich przysłaniem tak długo, jak to jest możliwe.

- Kiedy najwcześniej te akta mogą dotrzeć do Berghofu?

- Pięć dni po naszym wyjeździe z Wilczego Szańca. A Gruber jedzie z nami.

Z jej głosu zniknął entuzjazm. "Zdała sobie sprawę, że niebezpieczeństwo odwlecze się nieco, lecz nie przestanie

istnieć" - stwierdził w duchu Lindsay. Był prawie przekonany, że Christa jest wobec niego szczerą i naprawdę ma kontakty z ruchem antynazistowskim.

- Nie martw się na zapas. - Tyle tylko odważył się powiedzieć.

Wciąż trzymała go za rękę. Pochyliła się i ustami musnęła jego usta. Po chwili objęła go ramionami i przywarła łapczywie do jego warg. Czuł ucisk jej jędrnych, kształtnych piersi. Wolno, z zaskakującą siłą odchyliła się w tył na kanapę pociągając go za sobą. Obejmowała go coraz mocniej. Lindsay odszukał lewą ręką guziki z boku jej spódnicy i rozpiął je zręcznie.

- Tak, tak, tak - szeptała oddychając ciężko. Tuliła się do niego z całych sił, jakby był jedyną oazą bezpieczeństwa w rozchwianym świecie.

Lindsay pierwszy się opamiętał.

- W każdej chwili ktoś może wejść i nas zaskoczyć - rzekł wstając.

Gdy wyszła, otworzył karton papierosów, który dała mu na pożegnanie. Zapalił jednego próbując ułożyć sobie wszystko w głowie.

Wyjazd do Berghofu... pociągiem... To oznaczało, że ostatnią stacją będzie prawdopodobnie Salzburg, a dalej kawalkada samochodów powiezie ich do górskiej fortecy. Salzburg! Na głównym szlaku do Monachium.

W Monachium miał umówione spotkanie z tajemniczym Paco, który przetrzymał go do Szwajcarii. Wystarczyło umiejętnie wykorzystać rywalizację między gestapo i Abwehrą, tak aby obie te

siły trzymały się nawzajem w szachu. Dziecinna zabawa, co?

Akurat! W mózgu Lindsaya wrzało od myśli, gdy pakował walizkę, również dostarczoną przez Christę.

Przynajmniej udało mu się zdobyć odpowiedź na dwa dręczące Ryder Street pytania. Jednak tym, co zrobiło na nim wstrząsające wrażenie, był niedawny spacer w lesie. Miał nieodparte uczucie, że fuhrer odgrywa jakąś rolę - że gra samego siebie.

Pozornie Hitler był tym samym Hitlerem, z którym długo gawędził w Berlinie przed wojną. Lecz jego gestykulacja, sposób chodzenia, nagłe zmiany nastroju - wszystko to było odrobinę przerysowane.

Jak u aktora, który przesadza i wpada w manieryzm. Lindsay był przekonany, że osoba, z którą rozmawiał podczas spaceru w lesie, to Doppelganger, sobowtór.

Wciąż pogrążony w myślach zatrzęsął zamki walizki. Kiedy ktoś zastukał mocno do drzwi, podskoczył niemal do sufitu.

- Kto tam?! - wykrzyknął.

- Hartmann.

- Proszę wejść - rzucił tonem aroganckim i pewnym siebie, jakby był ostatnią osobą, którą można by posądzać o to, że jest więźniem, podejrzanym o Bóg wie jakie zbrodnie.

Niemiec wszedł do środka, zamknął drzwi i spojrzał na walizkę.

- Widzę, że przygotował się pan do długiej podróży.

- Pytanie tylko, jak długiej? I którędy, na litość boską, mamy się przedostać z tych bagien do Alp Bawarskich?

- To poufna informacja. Chciałbym wiedzieć, po co odbył pan

swą ryzykowną wyprawę. Jestem pewny, że tego nikt naprawdę nie wie. Jak na razie...

- To informacja, w której nie ma nic poufnego - odparł Lindsay, podczas gdy oficer Abwehry przysiadł na kanapie.

-Przyjechałem wyłącznie w celu nawiązania kontaktu między fuhrerem i pewnymi wpływowymi osobami w Wielkiej Brytanii, które przewidują, że w niedalekiej przyszłości to Rosja stanie się naszym prawdziwym wrogiem.

Niemiec założył nogę na nogę, wyjął fajkę, ugniótł w niej tytoń i zapalił. Zwlekał z odpowiedzią, a jego szare oczy ani na chwilę nie oderwały się od twarzy Anglika. Lindsay wyczuł, że ma do czynienia z doświadczonym oficerem śledczym.

- A kim są te wpływowe osoby, o których pan mówi? - spytał w końcu Hartmann.

- To już jest poufna informacja. Proszę zapytać fuhrera.

Lindsay pilnował się, żeby odpowiadać krótko. Nie powinien rozwodzić się nad tematem i przede wszystkim nie powinien dać się wciągnąć w pułapkę swobodnej rozmowy. Na pozór Hartmann sprawiał wrażenie łagodnego, życzliwego człowieka, raczej inteligentnego urzędnika niż członka jednej z najbardziej zagadkowych instytucji w hitlerowskich Niemczech.

- Ta bzdurna historia, że jest pan zamieszany w próbę zamachu... - Hartmann urwał dając Anglikowi okazję do wygłoszenia jakiegoś komentarza. Lindsay w milczeniu zapalił następnego papierosa z paczki dostarczonej przez Christę. - Wygląda na to, że jest pan w dobrych stosunkach z Christą Lundt - podjął po chwili Hartmann, zmieniając nieoczekiwanie temat rozmowy.

- Przypuszczam, że budzę jej ciekawość, bo jestem

Brytyjczykiem.

- Od pana przyjazdu często dotrzymuje panu towarzystwa.

Dowiedziałem się, że wcześniej stroniła bardzo od ludzi.

- Skoro pan tak twierdzi..., Hartmann wstał.

- Prowadzimy szermierkę słowną. - Uśmiechnął się. - Mam nieodparte wrażenie, że przeszedł pan specjalne szkolenie, jak opierać się jakiegokolwiek formie przesłuchania.

- Czy pan nie miałby się na baczności, gdyby wokół pana węszyli ludzie tacy jak Gruber? - odparował Lindsay. - Nie żebym porównywał pana do gestapo...

Tym razem przyszła kolej na Anglika, by obserwować reakcję swego rozmówcy. Hartmann, który wystukiwał popiół z fajki do popielniczki, zatrzymał się w pół ruchu i spojrzał w górę na Lindsaya spod krzaczastych brwi. Nawiązał się między nimi jakiś kontakt, jakieś ukryte porozumienie.

- Porozmawiamy jeszcze w Berghofie - powiedział Hartmann prostując się i poprawiając pasek swego deszczowca. - Znał pan fuhrera przed wojną?

- Poznaliśmy się w Berlinie.

- Czy jako przybysz z zewnątrz wyczuwa pan coś osobliwego w atmosferze Wilczego Szańca?

- Owszem, od pana przyjazdu! I przyjazdu Grubera.

- Ten nastrój nieufności, ludzi zerkających przez ramię na innych, których znają od lat, jakby nawet tu, na samym szczycie władzy, wietrzyli jakąś zdradę?

- Pan powinien wiedzieć o tym więcej ode mnie.

- Czyżby...?!

Hartmann odwrócił się z ręką na klamce. Stał sztywno, z surową miną patrzył na Anglika i wyrzucał z siebie gwałtownie słowa:

- Czyżby?! - powtórzył. - Panie pułkowniku, niech pan nie udaje głupca! Znalazłem się tu niedawno, pierwszy raz w życiu. Pan spędził w tym miejscu przeszło dwa tygodnie! Fuhrer ma coś, co my w Niemczech nazywamy czuciem w końcach palców - umiejętność wyczuwania zmian nastroju, jeszcze zanim zorientuje się, co jest źródłem niepokoju.

Z całą skromnością muszę przyznać, że ja również jestem obdarzony podobnym instynktem. Czyżby naprawdę chodziło o przypuszczalnego sowieckiego szpiega? - Podeszedł kilka kroków do Lindsaya. - A może wyczuwam coś całkiem innego - nie wiedząc o co chodzi? Zanim przywieziono pana tutaj, wylądował pan w Berghofie. Co takiego pan tam dostrzegł?

Niech mi pan pomoże. Mogę być pożytecznym sprzymierzeńcem.

- Nie mam najmniejszego pojęcia, o czym pan mówi - odparł bez namysłu Lindsay.

- Dobrze! Ale uprzedzam pana: jeszcze porozmawiamy...

Pociąg fuhrera o dziwnej nazwie "Ameryka" jechał z dużą szybkością. Lodowaty powiew z otwartego okna - lub drzwi - ciągnął wzdłuż wagonu, gdy Lindsay zerknął w głąb korytarza i na jego końcu dojrzał słabo widoczną szczupłą sylwetkę. Wydawało mu się, że rozpoznał Christę. Zaczął biec.

Znajdowali się w górach, o wiele godzin drogi od Rastenburga

w Prusach Wschodnich. Zbliżała się północ. Z powodu obowiązującego zaciemnienia korytarz był słabo oświetlony. Umocowane na suficie niebieskie lampy rzucały upiorną poświatę. Zasłony we wszystkich przedziałach, które mijał, były zaciągnięte. Pasażerowie spali.

Lindsay nie mógł zasnąć i dzięki temu zauważył ze swojego przedziału znajomą kobiecą postać, przemykającą korytarzem. Otworzył więc cicho drzwi i wysunąwszy się na zewnątrz, zamknął je za sobą. Dziewczyna jakby się skradała, co obudziło jego ciekawość.

Teraz nagle poczuł niepokój.

Twarz stężała mu z zimna. Mroźny podmuch niósł z sobą wilgoć śniegu. Lindsay przypuszczał, że jada teraz przez Czechosłowację, może przez Tatry. Na korytarzu było wciąż pusto - tylko on i niewyraźna sylwetka na końcu wagonu. Zimny wicher dmuchał od strony drzwi.

Widział Christę. Jedną ręką ścisnęła poręcz, drugą przytrzymała szeroko otwarte drzwi wagonu. Jak zahipnotyzowana wpatrywała się w mrok nocy. W ogóle nie zauważyła jego nadejścia. Lindsay przeraził się widząc ją tak zawieszoną nad pustką.

Wyciągnął ręce chcąc ją złapać i wtedy go dostrzegła. Zrobiła krok przed siebie, w nicość. Chwyił ją za ramię, wciągnął z powrotem do wagonu i odepchnął pod ścianę. Wychyliwszy się na zewnątrz ujął klamkę ciężkich drzwi i zamknął je. Christa wciśnięta w kąt między toaletą i tylną ścianką wagonu naciskała już klamkę drugich drzwi, znajdujących się naprzeciwko. Chwyił dziewczynę brutalnie i poderwał w górę.

- Christa! Co ty wyprawiasz?! Chcesz się zabić?

- Ian! - wykrzyknęła z ulgą. Zadrżała. - Myślałam, że to Hartmann. Muszę opuścić pociąg, zanim do Grubera dojdzie treść tych akt z Berlina. Na każdej stacji są strażę. Mogę się wymknąć tylko wtedy; gdy pociąg jest w ruchu...

- Właż tutaj. - Wepchnął ją do toalety. - Co pewien czas wartownicy patrolują korytarze. Trochę tu ciasno, ale nie ma rady. - Zamknął i zablokował drzwi. Koła pociągu pod ich stopami wystukiwały miarowy, usypiający rytm. Posadził Christę na klapie sedesu i w świetle niebieskiej lampki strzepnął płatki śniegu z jej ubrania.

Miała na sobie skórzane buty do kolan, futro i rosyjską futrzaną czapkę. Ciepło grzejników z sąsiedniego przedziału przenikało do toalety i śnieg, który Lindsay stracił na podłogę, już zaczynał topnieć.

- Co tak naprawdę chciałaś zrobić? - zapytał. - Na pierwszy rzut oka wyglądało to na próbę samobójstwa, przy takiej prędkości...

- Pociąg jechał całkiem wolno, gdy podeszłam do drzwi i otworzyłam je - odparła z goryczą. - Wtedy nagle przyspieszył. Kiedy się pojawiłeś, byłam pewna, że to Hartmann, więc postanowiłam skoczyć ryzykując skręcenie karku. I tak niedługo może mnie to czekać.

Spojrzała mu w oczy. Badał wzrokiem jej piękną twarz, gdy tak wyzywająco zwróciła ją ku niemu. To była dziewczyna, z którą się kochał. Uświadomił sobie, że jej słowa zgadzały się z faktami.

W chwili gdy zauważył Christę za drzwiami przedziału, pociąg naprawdę toczył się bardzo powoli, pokonując strome wzniesienie.

Kiedy wstał i odsunął drzwi, szybkość niespodziewanie wzrosła. Pociąg dotarł na szczyt wzniesienia i przyspieszył jadąc w dół. Christa, która nie spuszczała z niego oczu, odezwała się znowu, jakby czytając w jego myślach:

- Właśnie dotarłam do drzwi i to diabelstwo się rozpędziło.

Gdybym wyskoczyła od razu, mogłoby mi się udać - jestem dosyć wysportowana...

- Sam to odkryłem nie tak dawno temu - wtrącił.

- Mówię poważnie - ofuknęła go. - Ale wiesz, jak to bywa - człowiek jest niepewny, waha się. Przynajmniej mnie się tak przydarzyło. Pociąg jechał wtedy już bardzo szybko. Miałam nadzieję, że znowu zwolni. Jesteśmy blisko granicy austriackiej, a ponieważ Austriacy mówią po niemiecku...

- Masz źle w głowie, wiesz o tym? Na zewnątrz musi być spory mróz. Lepiej zrobiłabyś czekając, aż dotrzemy do Berghofu. Jak sądzisz, ile masz czasu, zanim Gruber dostanie twoją teczkę personalną w swoje tłuste łapy?

- Co najmniej trzy dni... jeżeli będą spieszyć się z wysyłką.

- Wobec tego musimy się zmyć w ciągu najbliższych trzech dni.

Lindsay zaczął modlić się w duchu. Powiedział to wreszcie, odkrył maskę, oddając się tym samym w ręce Christy. Obserwował ją jak naukowiec badający preparat pod mikroskopem. Jeśli się mylił

- na co była jedna szansa na sto - i Christa umyślnie go zwodzi,

by oddać w ręce Grubera, mógł zrobić tylko jedno: udusić ją, a potem wyrzucić ciało z pociągu, dopóki jada przez ten zapadły kąt Europy.

Lindsay czuł, jak wilgotnieją mu dłonie. Ślizgałyby się, gdyby chciał porządnie uchwycić jej smukłą, piękną szyję. Będzie musiał uderzyć jej głową o rurę, która biegła pionowo po ścianie tuż za nią, żeby ją ogłuszyć.

- Czyli przez cały czas miałam rację myśląc, że możesz mi pomóc w...

Łzy - ulgi, zachwytu, wyczerpania? Lindsay nie miał pojęcia - zakręciły się w jej oczach, a po chwili zacisnęła szczęki z całej siły.

Wyrzebała spod futra chusteczkę i zaczęła wycierać twarz. To wciąż mogła być gra.

- Dlaczego musisz uciekać? - zapytał szorstko. - Chcę prawdy - żadnych więcej gier. Uczciwej, szczerzej prawdy.

- Mogliby połączyć mnie z działalnością podziemia. Kurt był podejrzany. Więc wysłali go do Rosji. Ale nikt nie był pewien.

- Mówiła krótkimi, urywanymi zdaniami - widocznie szok jeszcze nie minął - a jednocześnie zerknęła na niego, jakby niespokojna o swój wygląd.

"To niezwykle - pomyślał Lindsay - że kobiety, nawet owładnięte silnym uczuciem, wciąż mogą - zapewne inną częścią umysłu - sprawdzać efekt, jaki wywierają na mężczyźnie". Znów nabierając wątpliwości co do jej szczerości drążył głębiej:

- Czy chcesz powiedzieć, że pracowałaś dla podziemia?

- Wstąpiłam do ruchu oporu po śmierci Kurta. Co nie znaczy,

że dużo do tej pory zrobiłam.

- Co robiłaś? Co to była za organizacja? Komunistyczna?

- Boże, nie! - Christa wyglądała na zdumioną i przerażoną.

-Mówię o ludziach generała Becka - o wojsku. Od czasu do czasu Beckowi udaje się wysłać jednego ze swoich ludzi do Wilczego Szańca.

Zawsze pytają o szczegóły systemu bezpieczeństwa...

- Możesz równie dobrze być sowieckim szpiegiem - walnął jak obuchem.

- Boże! Jesteś nazistą! Wydasz mnie w ich ręce!

- Zamknij się na chwilę i daj mi pomyśleć. Nikt nie ma zamiaru cię wydawać.

Lindsay stał przed najtrudniejszą decyzją w życiu. Christa była godna zaufania i mogła okazać się bardzo użyteczna podczas ucieczki z Niemiec. Lecz dwójka zbiegów wielokrotnie zwiększała ryzyko. Gdy raz się z nią zwiąże, będzie za nią odpowiedzialny.

Nieodwracalnie.

A Lindsay był samotnikiem. Instynktownie unikał wplątywania się w ryzykowne przedsięwzięcia w towarzystwie czy to mężczyzn, czy kobiet. Co więcej, nigdy nie można było powiedzieć, jak te ostatnie zachowują się w ekstremalnie trudnej sytuacji - a takie sytuacje na pewno się zdarzą. Może trzeba będzie zabijać. Lindsay rozmyślał ponuro.

- Czy znasz trasę kolei z Salzburga? - Sformułował pytanie ostrożnie, wciąż powodowany przezornością.

- Do Wiednia? Znam ją dobrze - odpowiedziała. - I w drugim kierunku, do Monachium. Mieszkałam tam przed wojną. Jeśli

dostaniemy się do Berghofu, nigdy stamtąd nie uciekniemy.

- Moglibyśmy ukraść jakiś środek transportu - podsunął.

- To na nic by się nie zdało - za dużo szlabanów i wartowni.

Gdy nasza nieobecność wyjdzie na jaw, będą wiedzieć, którądy uciekamy, bo jest tam tylko jedna droga. Na pewno podniosą alarm, zanim odjedziemy na bezpieczną odległość. Wystarczy jeden telefon na punkt kontrolny, którego jeszcze nie minęliśmy.

- W takim razie to musi być Salzburg?

- To musi być Salzburg. To nasza ostatnia szansa...

Rozdział szesnasty

Tłusta ręka przylgnęła do pokrytej siwym mrozem szyby wtapiając niewielki otwór. W nim ukazała się panorama gór. Byli już w Austrii.

Martin Bormann patrzył na góry niewidzącym wzrokiem, wiercąc się niespokojnie na fotelu w wagonie restauracyjnym. Miarowy łoskot kół stawał się wolniejszy. Zbliżali się do Salzburga.

- Osobiście dopilnujcie wykonania tego polecenia - powiedział Bormann do mężczyzny siedzącego naprzeciwko niego przy stole.

- Pańskie życzenie jest dla mnie rozkazem - odparł unieżenie Gruber.

Bormann lubił pochlebstwa. Im więcej objawów czołobitności, tym lepiej. Gruber doszedł do wniosku, że nikt nie był bardziej czuły na tym punkcie niż reichsleiter. Siedzieli sami w luksusowo urządzonej wagonie.

Obrotowe fotele były miękko wyściełane i obite skórą. Reichsleiter niemal ginął w czeluściach swojego siedziska. Czubek jego okrągłej głowy nie wystawał ponad oparcie. Patrzącemu od tyłu fotel zdawałby się pusty. Bormann pozwolił myślom błądzić swobodnie.

Wkrótce znajdą się w Berghofie, gdzie łatwiej było o dyskrecję niż w mrocznym Wilczym Szańcu. Był żonaty, miał dziewięcioro dzieci.

Już od kilku tygodni nie spał z żadną kobietą. Miał chrapkę na wyniosłą, utrzymującą dystans Christę Lundt. Nie mógł przestać o niej myśleć. W Berghofie...

- Niepokoi mnie ten przeklęty podpułkownik RAFu - oznajmił funkcjonariuszowi gestapo. - Ponadto fuhrer jest wciąż przekonany, że w jego bezpośrednim otoczeniu kryje się sowiecki szpieg, który ryje pod nami.

- Przecież wciąż prowadzę dochodzenie... - zaprotestował Gruber.

Bormann przerwał mu pełnym zniecierpliwienia gestem.

- Będziecie osobiście odpowiedzialni za bezpieczeństwo w Salzburgu, kiedy opuścimy pociąg i przesiądziemy się do samochodów, aby dotrzeć do Berchtesgaden. Obejmiecie dowództwo - również nad oddziałem S.S. - Pochylił się i wbił wzrok w Grubera ponad małą lampkę z różowym kloszem stojącą na stole nakrytym do śniadania. - Będziecie uważali na tych, którzy po wyjściu z pociągu nie przyłączą się do kolumny transportowej.

- Mając do dyspozycji cały oddział S.S mogę pana zapewnić, Herr Reichsleiter, że nikt mi się nie wymknie.

- Jeszcze nie skończyłem! - warknął Bormann. - Chcę, byście kazali żołnierzom S.S wysiąść z pociągu, gdy tylko się zatrzyma. Tak żeby nikt tego nie zauważył! Mają się ukryć na dworcu. W ten sposób schwytamy w pułapkę każdego, kto zechce uciec. Zrozumiano?

- Oczywiście. - Gruber podniósł się z wahaniem. - Jeśli pan pozwoli, chciałbym od razu zająć się przygotowaniami.

- Dowódca S.S otrzymał już instrukcje.

Bormann odprawił Grubera krótkim gestem wciąż patrząc w okno.

Był zmęczony. Normalnie o tej porze dawno leżałby w łóżku. Fuhrer zatrzymał go w swoim przedziale. Lubił gawędzić przed udaniem się na spoczynek, który to zwyczaj Bormann przywykł naśladować.

Kilka minut później w wagonie pojawił się major Hartmann z małą walizeczką.

- S.S szukaje jakiś manewr. Bardzo by mi pomogło, gdybym wiedział o co chodzi - zauważył uprzejmym tonem Hartmann obierając jajko - na twardo.

Wagon zapełniał się pasażerami przybyłymi na śniadanie. Jodl rzucił jakiś dowcip oficerowi Abwehry, gdy przechodził obok ich stołu. Za nim maszerował sztywno Keitel nie odwracając głowy ani w prawo, ani w lewo.

- Proszę mówić ciszej - odrzekł Bormann z irytacją i obrócił się z fotelem. Stół za nimi był wolny, podobnie jak stół naprzeciwko.

Wszyscy instynktownie trzymali się jak najdalej od Bormanna.

- Nikt nie może nas usłyszeć - uspokoił go Hartmann. - Nie

jestem głupcem i widziałem jasno, że Gruber przeprowadza jakąś tajną akcję. Na szczęście nikogo nie było w pobliżu, gdy wyprawiał te błazeństwa...

- Te błazeństwa - odpalił z sarkazmem Bormann - dotyczą operacji, którą mu powierzyłem. Ma otoczyć dworzec w Salzburgu, aby nikt nie mógł się wymknąć.

Pociąg już nie jechał. Hartmann serwetką przetarł kawałek zaparowanej szyby. Jego spojrzenie padło na pusty peron. Nie skomentował tego, lecz brak choćby jednego kolejarza czy zawiadowcy wyglądał podejrzanie.

- Z rozkazu fuhrera? - spytał z wielką powagą.

- Z mojego rozkazu. Fuhrer jeszcze śpi. Wszyscy musimy zjeść śniadanie, więc nie ma powodu wcześniej go budzić. I tak nie wypocznie dostatecznie, lecz przynajmniej zażyje kilku godzin snu. Ja nie miałem takiej możliwości.

- Proszę zjeść śniadanie. To uspokoi pana nerwy.

Hartmann patrzył w talerz i widocznie nie dostrzegł wyrazu furii na twarzy reichsleitiera. Ten oficer Abwehry był dziwnym typem - o wiele za bardzo niezależnym, jak na gust Bormanna. Wielka szkoda, że miał w kieszeni świstek papieru z podpisem Hitlera, nadający mu te same uprawnienia co funkcjonariuszowi gestapo.

Bormann nalał kawy z dzbanka i ukradkiem zerknął na zegarek.

Za godzinę wszyscy zaczną wysiadać z pociągu. Pułapka będzie już zastawiona.

Lindsay, który dzielił przedział z Hartmannem, umyślnie nie otwierał oczu, dopóki Niemiec nie ruszył korytarzem na śniadanie.

Koła wciąż wybijały swój rytm w jego głowie, chociaż pociąg stał.

Domyślił się, że dojechali do Salzburga. Okna były zaparowane, co uniemożliwiało zobaczenie czegokolwiek na zewnątrz.

Pozwolił Hartmannowi wyjść, bo chciał, o ile to było możliwe, sam zjeść śniadanie i nie rozpraszać się rozmową. Czuł skurcz w żołądku, co było odznaką silnego napięcia. Niedługo on i Christa podejmą próbę ucieczki.

Chciał wytrzeć szybę rękawem, lecz to mogłoby przyciągnąć uwagę ewentualnego wartownika na peronie. Teraz, gdy dojechali do końcowej stacji, ochrona będzie czujna, a najdrobniejszy incydent przekazany wyżej.

Zdjął z półki niewielką walizkę ze swoimi rzeczami i wyszedł na korytarz. Było dziwnie cicho i pusto. Zza okien nie dochodził zwykły stacyjny zgiełk. W przedziałach, które mijał, nie było już nikogo.

Przeszedł wolno przez kilka wagonów i opanowało go uczucie, że jest w jakimś pociągu - widmie. Wreszcie w którymś wagonie powitał go aromat świeżych grzanek płynący z kuchni. Z otwartych drzwi przed nim wyłonił się człowiek w białym kitlu i szybko się oddalił, niosąc wyładowaną tacę.

Lindsay zatrzymał się przy drzwiach i zerknął do środka. Kuchnia była teraz pusta. W otwartej szufladzie leżały w rzędzie ostre noże.

Lindsay wybrał jeden - mocny, o długim ostrzu. Podciągnął nogawkę i wsunął nóż w wełnianą skarpetkę.

Znów ruszył niespiesznie przed siebie. Dobiegł go brzęk sztućców i gwar pomieszanych głosów. Nie można było jeszcze wyróżnić poszczególnych zdań. Pchnął obite drzwi i znalazł się w salonie restauracyjnym, którego przepych przypomniał mu zdjęcia przedwojennego Orient Expressu. Christa Lundt siedziała samotnie przy stole na samym końcu wagonu.

Miała na nosie okulary, jej stół założony był papierami. Gdy wszedł, na chwilę zwróciła ku niemu głowę, a potem znów zaczęła jeść, jednocześnie gryzmołąc notatki. Ostrzeżenie było jasne:

"Nie podchodź do mnie".

- Ach, panie pułkowniku, będzie pan musiał się pospieszyć, jeśli nie chce pan pościć. Fuhrer wkrótce wysiądzie z pociągu. A z nim my wszyscy.

Natychmiast poznał po ironicznym tonie, kto to mówi.

Hartmann.

Niemiec wskazał mu puste miejsce naprzeciwko siebie. Lindsay podjął szybką decyzję. W tej sytuacji nie należało upierać się przy samotności.

Stół Hartmanna był wprawdzie oddalony od stołu Christy prawie o połowę długości wagonu, co było nader niedogodne, lecz pomimo to usiadł.

- Siedzenie jest ciepłe. Miał pan już towarzystwo - zauważył.

- Jest pan niezwykle spostrzegawczy jak na lotnika niedoświadczonego w czynnościach wywiadowczych - stwierdził dobrodusznie Hartmann pochłonięty całą duszą obieraniem jajka ze skorupki.

Spojrzał w górę mrużąc szare oczy. - Może pan się czuć zaszczycony.

Przed panem moim towarzyszem przy śniadaniu był sam reichsleiter Bormann.

Lindsay po raz kolejny stwierdził w duchu, że musi się mieć na baczności przed tym niezwykle inteligentnym człowiekiem.

Wypowiedzi Hartmanna były lekko ironiczne i zawsze zawierały jakieś drugie dno, Do diabła, po której on w końcu stoi stronie?

- To musiało panu sprawić przyjemność - rzekł Lindsay.

- Jest tak powszechnie lubiany... Sądzę, że sprawia to jego osobisty urok. A, oto pana śniadanie. Proszę szybko zjadać. Nie ma pan za dużo czasu do chwili opuszczenia pociągu.

Lindsay jadł łapczywie, zachowując obojętną minę, podczas gdy w głowie wrzało mu od myśli. Przeklął w duchu zaproszenie do stołu, które go uwiązało do Hartmanna. Niemiec skończył już posiłek i siedział odprężony w fotelu. Zapalił fajkę i zza chmury dymu w milczeniu rozglądał się po wagonie restauracyjnym. Pasażerowie zdejmowali bagaże z półek i wychodzili przez drzwi znajdujące się za siedzeniem Anglika.

Lindsay nie miał pojęcia, jak się go pozbyć. W dodatku siedział tyłem do Christy, więc nie widział, co ona robi. Teraz, gdy zbliżał się najważniejszy moment, przeżywał katusze napięcia. Jednak kiedy uniósł filiżankę z kawą, ręka mu nie drżała.

Spojrzał od niechcienia przez ramię, gdy Jodl sięgnął po dobrze wypchaną teczkę i ruszył przejściem między stolikami. Christa wciąż siedziała przy swoim stole, lecz nie zaścięłały go już papiery, z których większość schowała z powrotem do teczki.

Teraz pracowała nad ostatnim dokumentem, nanosząc jakieś poprawki.

W chwili gdy się obejrzał, podniosła wzrok, objęła dłonią podbródek i położyła palec wskazujący na ustach. Na ułamek sekundy ich spojrzenia skrzyżowały się i znów spuściła oczy na akta. Była gotowa.

- Fuhrer już pewnie wsiadł do swego mercedesa - zauważył Hartmann. - To dlatego Bormann tak nagle się oddalił. On naprawdę wierzy, że jeśli nie będzie tkwił przy boku wodza od momentu, gdy ten rano otwiera oczy, ktoś inny może ukraść mu część jego wpływów.

Czy pan już idzie?

- Zamienię jeszcze słowo z Christą Lundt. Okazała mi wiele zainteresowania, kiedy przyjechałem do Wilczego Szańca.

- Oczywiście.

Hartmann uniósł się lekko, skłonił głowę i opadł z powrotem na fotel. Lindsay poczuł niebotyczną ulgę. Lecz wymówka, którą podał, była bardzo kiepska. Najgorsze w prowadzeniu rozgrywki z wytrawnym fachowcem było to, że zbyt dużo energii zużywało się na zachowanie pozorów opanowania. W wagonie pozostali już tylko oni dwaj i Christa, która wsunęła papiery do teczki i zatrzasnęła zamek.

Uśmiechnęła się ciepło, gdy Lindsay do niej podszedł.

- Dzień dobry, panie pułkowniku. Nie wiem, czy panu wybaczę to, że nie zjadł pan ze mną śniadania - zaszcebiotała na tyle głośno, aby jej słowa dotarły do Hartmanna. Otwarcie flirtowała z Lindsayem na oczach oficera Abwehry. Lindsay pomyślał z goryczą,

że było to o wiele lepsze zagranie niż jego własne. Pomógł jej włożyć futro. Bez krygowania się włożyła futrzaną czapkę, znów się do niego uśmiechnęła i pierwsza wyszła z wagonu restauracyjnego.

- Gdy znajdziemy się na peronie, idź za mną - ostrzegła go zatrzymując się na chwilę w pustym korytarzu. - Nie okazuj wahania.

Grunt to pewność siebie.

Lindsay był zdumiony. Porównywał ją w myśli do tej kobiety, którą widział w nocy, jak wychylała się z otwartych drzwi, drżąca i dygocąca ze strachu. Teraz, kiedy mieli podjąć przedsięwzięcie najeżone niebezpieczeństwami, była spokojna jak dziewczyna idąca na randkę ze swoim chłopcem. Role się odmiały: teraz ona jemu dodawała odwagi.

Minęli kilkoro otwartych drzwi wiodących na pusty peron, lecz Christa je zignorowała. Wokół nie było widać żywej duszy. Na dnie umysłu Lindsaya obudziło się jakieś przecucie, drażniące i budzące głęboki niepokój.

Christa szła przodem. Zauważył, że szwy na jej pończochach były idealnie proste. Idiotyczne spostrzeżenie w takiej chwili! Co go niepokoiło? Brak czegoś. Rzecz najtrudniejsza do uchwycenia. Szli dalej.

Nie ma nic bardziej przygnębiającego niż atmosfera w pociągu dalekobieżnym po przybyciu na miejsce przeznaczenia, podobna do nastroju w ogołocym z mebli domu. Puste przedziały były zaśmiecone porzuconymi gazetami i pismami. Niedopałki wysypywały się z popielniczek. Jedynym dźwiękiem był miarowy stukot obcasów

Christy.

Dotarli do końca kolejnego wagonu. Christa rzuciła okiem w otwarte drzwi i stanęła. Odwróciła się i spojrzała na Lindsaya, który wyglądał na cichy peron. Złapała go mocno za ramię.

- To jest to. - Jej głos był spokojny. - Widzisz tamte otwarte drzwi? Prowadzą do wyjścia na ulicę. Idziemy tędy. Nie wolno się zatrzymywać. Żadnych oznak zdenerwowania. Gotowy?

- Gotowy - rzekł Lindsay.

Po spędzeniu tylu godzin w ograniczonej przestrzeni pociągu peron wydawał się straszliwie rozległy i odkryty. Lindsay zdał sobie sprawę ze świeżości powietrza - lekkiego powiewu spływającego w dół z ośnieżonych szczytów. Po zadymionym zaduchu pociągu przyprawiało go prawie o zawrót głowy. Przeniknęło go uczucie uniesienia.

Otwarte drzwi kusily.

Christa zatrzymała się ponownie i zerknęła na lewo. Lindsay spojrzał w tamtą stronę. Ujrzał otwartą bramę i dachy samochodów stojących za nią. Główne wyjście. Jak okiem sięgnąć, nie było widać żadnego wartownika. Zaczerpnął głęboko tchu. Christa zdążyła już zrobić dwa kroki naprzód.

- Pozwolą państwo, że zaprowadzę was do waszego samochodu.

Jakaś ręka wychynęła znikąd i chwyciwszy Christę za łokieć skierowała ją w kierunku głównego wyjścia. Lindsay zamarł. Trzymał walizkę w lewej ręce, prawą miał wolną - mógł nią sięgnąć po nóż ukryty w skarpetce. Prowadząca Christę ręka należała do Hartmanna.

Niemiec poruszał się bezgłośnie jak kot. Po prostu

zmaterializował się nagle w powietrzu.

Uśmiechnął się do Anglika i spojrzał na niego uważnie. W jego szarych oczach była niema prośba. Lindsay skinął głową i wszyscy troje ruszyli peronem do głównego wyjścia. Wokół żadnych wartowników. Właśnie to Lindsay podświadomie zarejestrował. Gdyby był sam, sygnał niebezpieczeństwa dotarłby do niego dużo wcześniej.

"Taką cenę płaci się za dodatkową osobę na karku, która zaprzęta myśli" - stwierdził cierpko w duchu.

Szofer w mundurze otworzył przed nimi tylne drzwi szarego mercedesa. Hartmann gestem zaprosił Lindsaya, żeby usiadł obok Christy, a sam zajął miejsce z przodu przy kierowcy. Christa patrzyła wprost przed siebie. Teczkę trzymała na kolanach. Zaciskała na niej dłonie tak mocno, że zbieleły jej kostki.

Lindsay poczekał, aż szofer zapaści motor i samochód ruszy.

Dopiero wtedy odwrócił się szybko i wyjrzał przez tylną szybę. Pod ścianami budynku dworca, na całej jego długości, stał rząd esesmanów uzbrojonych w pistolety maszynowe. Dwóch z nich zajmowało miejsca po obu stronach wyjścia, do którego zmierzała Christa, zanim pojawił się Hartmann.

Rozdział siedemnasty

Był poniedziałek, gdy kawalkada samochodów ze świtą fuhrera wyjechała ze stacji w Salzburgu i skierowała się do Berghofu. Dzień był mroźny, śnieg nie padał.

W ten sam poniedziałek w Monachium sypał gęsty śnieg,

okrywając wielkie bliźniacze kopuły Frauenkirche białym całunem.

O jedenastej rano koło ogromnego kościoła pojawił się uliczny zmiatacz, który powłócząc jedną nogą pchał przed sobą osadzony na kółkach metalowy kosz na śmieci.

Kosz chwiał się, bo gumowe opony wytarły się aż do obręczy, a nawet sztucznej gumy brakowało w zamkniętej blokadą Trzeciej Rzeszy. Toczył się więc po nierównym bruku na zardzewiałych żelaznych felgach.

Gdy zegar wybił jedenastą, kaleka zatrzymał się, by trochę odpocząć. Śnieg wciąż sypał, miękkie płatki opadały na ziemię.

Wysoko na strychu agent o pseudonimie Paco lustrował przez lornetkę plac przed Frauenkirche.

Na kilka sekund szkła zatrzymały się na zmiataczu i ukryty obserwator nabrał pewności, że rzekomy kaleka jest na właściwej pozycji. Szkła przesunęły się dalej, zatrzymując się na sylwetkach kilku przechodniów, którzy ze spuszczonej głowami przeszli szybko koło kościoła., Paco sprawdzał, czy w okolicy nie kręcą się przebrani po cywilnemu agenci gestapo. Jednak wszyscy ludzie, których dostrzegł z góry, byli na to zbyt starzy. Niemcy stały się państwem starców i dzieci. Kwiat narodu walczył na froncie wschodnim, w Afryce lub stacjonował na terenach okupowanych.

Agent Paco wypatrywał również mężczyzny, który zapali papierosa lewą ręką, zaciągnie się nim kilka razy i przydepcze go lewą nogą.

Dziesięć minut po jedenastej stało się jasne, że to nie ten poniedziałek.

Paco opuścił punkt obserwacyjny na strychu. Zamiatacz ulic podjął swój mozolny marsz i skręcił w boczną uliczkę.

Kosz, który pchał przed sobą, był do połowy wypełniony śmieciami.

Pod ich grubą warstwą były ukryte świece dymne i granaty.

W ten sam poniedziałek w Londynie Tim Whelby siedział przy stoliku w foyer hotelu Regent Palace niedaleko Piccadilly, ukryty za dużą płachtą gazety "Daily Mail", otwartej na środkowych stronach.

Ze swego miejsca widział obrotowe drzwi wejściowe - idealna pozycja, by obserwować wszystkich, którzy wchodzili do środka.

O dziewiątej wieczorem przy kontuarze recepcji kręciło się wielu ludzi.

Mężczyźni w większości byli w mundurach i reprezentowali wszystkie rodzaje wojsk alianckich, wliczając w to wszędobylskich Amerykanów.

Wielu towarzyszyły angielskie dziewczyny.

Whelby w swej starej sportowej marynarce wyglądał jak typowy Anglik, który zażywa miłego relaksu, ale wewnątrz był cały spięty.

Jego kontakt, Sawitski, spóźniał się. Spojrzał na zegarek. Jeszcze trzy minuty i będzie musiał odejść. Kiedy zadzwonił pod zwykły numer, by umówić się z Sawitskim na spotkanie, w głosie Rosjanina brzmiało wzburzenie, jakby zaszło coś niezwykłego. To było całkiem do niego niepodobne.

Whelby położył swój wygnieciony płaszcz na krześle przy pobliskim stoliku, żeby zniechęcić tych, którzy chcieliby go

zająć. Jak zawsze, tak i tym razem umówili się gdzie indziej niż poprzednio. - Nigdy nie spotykali się dwa razy w tym samym miejscu ani o tej samej godzinie.

Regent Palace nadawał się znakomicie do tego celu, gdyż o tej porze kłębił się w nim tłum gości. Nawet gdyby pojawił się jakiś znajomy, Whelby mógł udawać, że po prostu chciał posiedzieć pół godzinki w przytulnym, ciepłym wnętrzu. Wciąż miał oczy utkwione w drzwiach wejściowych, gdy ktoś dotknął jego płaszcza i zabrzmiał przepaszający głos:

- Czy ten stolik jest zajęty? - To był Sawitski.

- Nie. Przepraszam...

Whelby z poirytowaną miną przełożył swój płaszcz na oparcie krzesła przy własnym stoliku i znów zasłonił się gazetą. Sawitski przy sąsiednim stoliku zajął krzesło najbliższe Whelbyego, rozłożył "Evening Standard" i za przykładem Anglika rozpostarł go przed sobą.

"Skąd, u diabła, on się tu tak nagle wziął?" - zachodził w głowę Whelby. Miał nadzieję, że Rosjaninowi nie przyszło do głowy czekać na porę spotkania w kabinie w toalecie. Policja i obsługa hotelowa miały to miejsce na oku ze względu na niepożądane praktyki, jakie tam niekiedy się odbywały.

- Przepraszam za spóźnienie. - Sawitski jakby czytał w jego myślach. - Byłem w restauracji. Nie mogłem się doczekać na rachunek.

Whelby chrząknął nie odwracając głowy. Niepotrzebnie się denerwował. Sawitski mówił z obcym akcentem, lecz hotel był pełen Polaków, Francuzów, trafiali się nawet Holendrzy. W takim miejscu

dziwna wymowa Rosjanina nie powinna zwrócić niczyjej uwagi.

- Moich przełożonych bardzo niepokoi ten Anglik z RAFu.

Ma pan jakieś wieści?

- Jak dotąd nic więcej - mruknął Whelby, ledwie poruszając ustami.

- Odebraliśmy meldunek - z samej góry - że Lindsay spędził ostatnie dwa tygodnie z fuhrerem. Dopiero co wyjechał do Berchtesgaden...

Whelby przewrócił stronę w gazecie, sięgnął po szklankę z piwem i wypił do dna. Słowa Sawitskiego wstrząsnęły nim. Skąd oni, do wszystkich diabłów, mogli wiedzieć, że Lindsay jest w Berghofie?

Otarł usta chusteczką i spoza niej powiedział:

- Jak to się łączy ze mną?

- Wchodzi tu w grę geograficzna strona zagadnienia. Z

Berchtesgaden najbliższej jest do Szwajcarii. Jesteśmy zdania, że gdy Lindsay będzie uciekał, skieruje się właśnie tam, a potem do Hiszpanii.

Wiemy, że ma pan pod kontrolą obszar Półwyspu Iberyjskiego.

- Czego się po mnie spodziewacie?

- Musi pan zrobić wszystko, żeby nie dotarł do Anglii żywy.

Sawitski spojrzął na zegarek, wstał z pośpiechem, jakby zdał sobie sprawę, że jest spóźniony, zapiął płaszcz i szybko odszedł.

Whelby odprowadzał go wzrokiem, dopóki nie zniknął w drzwiach obrotowych.

Sprawdził czas na swoim zegarku. Musiał dać Rosjaninowi trzy minuty na oddalenie się z tej okolicy, a potem również będzie

mógł odejść.

Nic w jego gładkiej twarzy i spokojnym spojrzeniu nie zdradzało szoku, jaki wywołało w nim otrzymane polecenie. To przekroczyło jego najśmielsze oczekiwania. "Musi pan zrobić wszystko, żeby nie dotarł do Anglii żywy".

Nowoczesne sposoby przekazywania informacji - oraz ich przechwytywania - nieraz zmieniały bieg wielkich wojen. Decydowały nawet o ich wyniku. Opracowany z biegiem czasu system Ultra, za pomocą którego prowadzono nasłuch z wiejskiego dworku w Bletchley, pozwolił aliantom przechwytywać od Niemców istotne informacje.

W czasie I wojny światowej tym, co zaważyło najbardziej na decyzji prezydenta Wilsona o przystąpieniu Ameryki do wojny, było złamanie przez specjalistów szyfru w telegramie Zimmermanna.

Został wysłany z niemieckiego Biura Spraw Zagranicznych przy Wilhelmstrasse do ambasadora w Meksyku i dowiódł ponad wszelką wątpliwość, że Niemcy zamierzały wykorzystać Meksyk jako bazę wypadową w wojnie przeciwko jego potężnemu sąsiadowi z północy.

Najbardziej niezwykłym czynnikiem, który przyczynił się do zwycięstwa aliantów w II wojnie światowej, była siatka Lucy. W nocy przed wyjazdem pociągu "Ameryka" z bocznicą w Wilczym Szańcu do Bawarii Dziecioł, posługując się ukrytym nadajnikiem, przekazał następnemu meldunek do Lucerny. -Był to jeden z tych zaszyfrowanych nieznanym kodem meldunków, które budziły niepokój Roesslera. Wysłuchał serii sygnałów i zanotował ciąg niezrozumiałych kresek i kropek.

- Następną wiadomość dla Kozaka napisana dziwnym szyfrem

- powiedział do Anny. - Ale tym razem przekażemy ją do Biura Ha.

Co to tak pachnie, duszone mięso? Właściwie to nie jestem głodny.

- Bądź łaskaw usiąść przy stole i zjeść to, co z takim nakładem starań przygotowałam. Gdybyś mógł zawsze postawić na swoim, utrzymywałbyś się przy życiu tylko kawą i brakiem snu.

- Przekazałem meldunek Kozakowi.

- Domyślam się! A teraz siadaj i jedz!

Kłopoty zaczęły się nazajutrz rano, gdy w ich mieszkaniu zjawił się osobiście szef szwajcarskiego wywiadu wojskowego, brygadier Masson.

Nawet Anna była zdumiona, gdy na uporczywe dzwonicie otworzyła drzwi i ujrzała go na progu. Powitała go jednak, jakby jego wizyta była najnaturalniejszą rzeczą na świecie.

- Proszę wejść, brygadierze Masson. Dostał pan ostatni meldunek?

- Tak, proszę pani. Zaszło coś poważnego.

- Co się tam dzieje, Anno? Kto przyszedł..

Róessler, o plecach przygarbionych od wielomiesięcznej pracy z radiostacją, gdy schylony uderzał w klucz, nasłuchiwał lub konserwował urządzenie, wszedł do bawialni i założył okulary za wielkie uszy. Zamrugął z niedowierzaniem.

- Brygadier Masson...

Szef szwajcarskiego wywiadu był wysokim mężczyzną po czterdziestce. Zamiast zwykłego munduru i czapki z daszkiem miał dziś na sobie cywilne ubranie. Gładko ogolony, o poważnym wyrazie twarzy, popatrzył uważnie na Roesslera i usiadł na wytartym fotelu, który wskazała mu Anna.

- Dostał pan ostatni meldunek? Pana postaniec odebrał go od nas - zapewnił go Roessler.

- Pana przyjaciel w Niemczech znów zmienił szyfr - poinformował Masson. - Nasi specjaliści nie mogą go złamać.

- Mówił mi pan to już wcześniej - Roessler gestem wyraził swą bezradność. - Ja również nie mam pojęcia, co jest w tych radiogramach.

- Musimy koniecznie poznać nazwisko tego informatora na samej górze faszystowskiego aparatu władzy. I to jak najszybciej!

Masson, który zazwyczaj był uosobieniem uprzejmości, dziś zachowywał się chłodno i apodyktycznie. Anna, która go bacznie obserwowała, miała wrażenie, że Masson jest zdenerwowany i stara się to ukryć. Pospieszyła ze stanowczą interwencją.

- Po tym wszystkim, co zrobiliśmy, nie możecie nas zastraszyć.

Proszę powiedzieć, o co panu chodzi albo zostawić nas w spokoju.

Masson wzruszył ramionami i sięgnął po kapelusz.

- Musimy się dowiedzieć, kim jest wasz przyjaciel w Niemczech - powtórzył. - Przeczuwamy niebezpieczeństwo.

- Kto ma być w niebezpieczeństwie? - wybuchnęła Anna.

- Rudolf zna naszego informatora tylko jako Dziećcioła - Der Specht!

Pytam pana raz jeszcze: co w tym ostatnim meldunku jest tak niepokojącego?

- Nasi specjaliści od szyfrów nie ponieśli zupełnej klęski - odparł Masson podnosząc się i kierując do wyjścia. - Odczytali w

tej wiadomości słowo "Szwajcaria".

Na początku kwietnia 1943 roku cały świat, nie uświadamiając sobie tego jasno, zdawał się trwać w oczekiwaniu. Wojna, w której brały udział miliony ludzi, wciąż mogła rozstrzygnąć się dwojako.

Zwycięstwo leżało jeszcze w zasięgu Trzeciej Rzeszy. Jeden potężny cios, wymierzony Armii Czerwonej, mógł zniszczyć komunizm. Czy zapadnie postanowienie o decydującym ataku?

W Londynie Tima Whelbyego, który dotychczas zamoczył tylko czubek palca w profesji zdrajcy, nękał niepokój i rozterki. Po raz pierwszy zażądano od niego, by własnymi rękami dokonał aktu brutalnej przemocy. Mówiąc krótko - morderstwa. Cekał na następny znak.

W ukrytym w bawarskich górach Berghofie Martin Bormann czekał z trwogą, czy jego protegowanemu uda się dokonać największego oszustwa w historii. Jeśli mu się powiedzie, naziści pozostaną przy władzy. W razie klęski dojdzie do wojskowego zamachu stanu i przejścia rządów przez generałów pod wodzą Becka.

W Berghofie był jeszcze jeden człowiek, który czekał - czekał na okazję ucieczki. Wciąż dręczyła go myśl, że związanie się z Christą Lundt krępuje mu ruchy. Nie rozstrzygnął jeszcze problemu, jak dwoje ludzi może uciec z najbardziej strzeżonego obiektu w faszystowskich Niemczech.

W staromiejskiej dzielnicy Monachium agent pułkownika Brownea, Paco, czekał na następny poniedziałek. Czy Anglik dotrze na czas do stolicy Bawarii, aby stawić się w umówionym terminie? Każdy tydzień opóźnienia zwiększał niebezpieczeństwo, lecz Paco cierpliwie trwał na posterunku.

W Moskwie syn gruzińskiego szewca zwlekał z decyzją, czy można ufać raportom Dziećcioła i podjąć działania wojskowe na podstawie meldunków, które napływały via Lucerna.

- Najbardziej niepokoi mnie to, że Anglik pojechał z Hitlerem do Berghofu - oświadczył Stalin Berii, gdy siedzieli we dwóch w jego biurze na Kremlu. - Szkoda, że pierwsza próba zabójstwa spełzła na niczym.

- Z wcześniejszych raportów Dziećcioła zrozumiałem, że ten Lindsay nie reprezentuje oficjalnie Churchilla - odparł ostrożnie Beria.

Stalin zmierzył szefa tajnej policji pogardliwym spojrzeniem, pyknął z fajki i odłożył ją do popielniczki. Zanim odpowiedział, odchylił się do tyłu i splótł ręce na piersi.

- Kiedy Hitler znajdzie sposób, żeby ściągnąć na nasz front czterdzieści niemieckich dywizji, które teraz stacjonują w zachodniej Europie, będziemy zgubieni! Rozumiesz, Beria? Zgubieni! - powtórzył z naciskiem. - A oto dowiaduję się, że ten Anglik jest cały i zdrowy i pojechał z Hitlerem do Berghofu. To całkiem jasne, że udało mu się wkraść w jego łaski. Może właśnie w tej chwili negocjuje z nim warunki odrębnego układu pokojowego. Cokolwiek się zdarzy, trzeba go zabić, zanim zdoła wrócić do Anglii. Zabić za wszelką cenę!

Składam na ciebie odpowiedzialność za jego losy.

Stalin również czekał.

Rozdział osiemnasty

Od przybycia fuhrera do Berghofu minęło pięć dni. Lindsay rozmyślał posępnie. Była sobota, po niej nastąpi niedziela i poniedziałek, a on wciąż nie miał planu ucieczki, który pozwoliłby stawić się na spotkanie z Paco w Monachium. Ucieczka była sprawą najwyższej wagi. Musiał jak najszybciej dotrzeć do Londynu. Jaką potężną broń dostałby Churchill do ręki, gdyby mógł rozgłosić na cały świat, że na miejscu Hitlera osadzono sobowtóra.

- Przydzielę tu panu kwaterę - oznajmił szorstko Bormann, gdy dotarli do Berghofu. - Fuhrer wyraził zgodę na poddanie pana drobiazgowemu przesłuchaniu. - Kończąc tym optymistycznym akcentem reichsleiter zostawił Anglika samego.

Niespodziewanie ulokowano go w tym samym wielkim pokoju, w którym podczas swego poprzedniego pobytu przez szparę w drzwiach ujrzał lustrzane odbicie fuhrera, ćwiczącego przemówienie. Widział Hitlera, który w kręgu zwierciadeł grzmiał na cały głos i gestykulował gwałtownie, obserwując efekt w wielkich taflach luster. Teraz wszystkie zwierciadła znikły.

Lindsay, gdy tylko został sam, zbadał wyfroterowaną na wysoki połysk podłogę. Lustra były ciężkie i miały masywne, ozdobne ramy.

Nóżki, na których się opierały, powinny zostawić wgłębienia w parkiecie. Nie znalazł nic. Ktoś zadał sobie wiele trudu, by zatrzeć wszystkie ślady.

W powietrzu pozostał lekki zapach pasty. Gładka podłoga lśniła.

Lindsay podejrzewał, że przed pastowaniem została

wywiórkowana.

Otworzył szufladę u dołu ciężkiej szafy. Zawierała książki Clausewitza, von Moltkego i Schlieffena - klasyków sztuki wojennej. Wiele książek miało pozaginane kartki, podkreślone zdania. Oprócz nich znalazł nie używany kalendarz na rok 1943. Odruchowo schował go do kieszeni.

Christa Lundt odwiedziła Lindsaya niedługo po tym, jak rozpakował swoje nieliczne rzeczy. Weszła bez pukania, zamknęła drzwi i położyła palec na ustach, zanim zdążył powiedzieć coś na powitanie.

Następnie przez pół godziny sprawdzała cały pokój.

- Nie ma mikrofonów - oznajmiła w końcu. - Możemy rozmawiać.

- Oczywiście byłeś już wcześniej w Berghofie? Tak myślałem.

Czy widziałaś kiedyś ten pokój?

- Nigdy! Tej części zawsze pilnie strzeżono, została odcięta od reszty Berghofu. Można tu było wejść tylko za zgodą poprzedniego komendanta, tego, który popełnił samobójstwo.

- Popełnił samobójstwo? Kiedy to się zdarzyło?

- Jakies dwa tygodnie temu. To musiało nastąpić wkrótce po twoim wyjeździe do Wilczego Szańca. Mówię o komendancie Mullerze.

- Muller! - Lindsay chodził po pokoju ze zmarszczonymi brwiami. - Spotkałem Mullera, gdy byłem tu poprzednio. Ten człowiek nigdy w życiu nie popełniłby samobójstwa. Co tu się, u diabła, dzieje? - Zatrzymał się i spojrzał na Christę. - W jaki sposób to zrobić?

- No... - Christa zawahała się, a Anglik czekał w milczeniu.

-Najpierw nadszedł raport, że miał wypadek. Spadł z zewnętrznego

tarasu Kehlsteinu, z wysokości stu dwudziestu metrów. Kehlstein, czyli Orle Gniazdo, to zameczek, który zbudowano dla fuhrera na szczycie góry. Wjeżdża się tam windą, szybem wydrążonym w skale... - urwała.

- Mów dalej - ponaglił ją.

- Przypuszczano, że komendant Muller pośliznął się na lodzie i wypadł za balustradę, gdy samotnie wyszedł na taras.

- Po co miałby to robić o tej porze roku?

- Nigdy nie słyszałam, żeby tam w ogóle kiedykolwiek chodził.

Potem doszły nas plotki, że historia z wypadkiem miała ukryć fakt, iż się zabił.

- Kogo wyznaczono na jego miejsce? A tak przy okazji, kto mianował jego następcę?

- Na miejsce Mullera został wyznaczony pułkownik Jaeger, który był dowódcą miejscowego oddziału S.S. - Jej twarz złagodniała. -Pułkownik Jaeger jest twardym żołnierzem, żołnierzem z krwi i kości, lecz to przyzwoity człowiek. A jeśli chodzi o to, kto go mianował -Martin Bormann osobiście zajmował się całą tą sprawą.

- Skąd o tym wiesz?

- Czyżbym była świadkiem w sądzie? Bierzesz mnie w krzyżowy ogień pytań? - oburzyła się Christa.

Usiadła na krześle, założyła nogę na nogę i zaczęła przyglądać się swoim paznokciom. Lindsay przysunął sobie krzesło, obrócił je i usiadł okrakiem, kładąc ręce na oparciu. Spojrzał na Christę z bliska prosto w oczy. Wysunęła podbródek milcząco

uparcie i usilnie starała się patrzeć wszędzie, tylko nie na niego.

- Rozgrywa się tu jakaś skomplikowana intryga, którą usiłuję wyjaśnić - powiedział cicho. - Możliwe, że w grę wchodzi morderstwo. A więc pytam raz jeszcze. Skąd o tym wiesz?

- Ponieważ sama przekazałam do Berghofu ten cholerny rozkaz Bormanna, w którym potwierdzał tymczasową nominację Jaegera na stanowisko komendanta! - wyrzuciła z siebie.

- I ta instrukcja pochodziła wyłącznie od Bormanna? Nie od fuhrera?

- Owszem! - odparła przez zaciśnięte zęby. - Bormann sam dodał słowa "z rozkazu fuhrera". Hitler wtedy jeszcze nie wrócił z rosyjskiego frontu. To było wówczas, gdy lot się przeciągnął i samolot wylądował na innym lotnisku. Chciałby pan wiedzieć coś jeszcze, panie pułkowniku?

- Wątpię, czy masz jakieś inne pożyteczne informacje - odpowiedział Lindsay lekkim tonem, przewidując, że to ją dotknie do żywego.

- Nic oprócz tego, że z fuhrerem stało się coś bardzo dziwnego od czasu, kiedy wrócił z Rosji! To sprawa czysto kobiecej intuicji.

Gdybym powiedziała ci, o co chodzi, wyśmiałybyś mnie i powiedział, że to babskie przeczucia...

Lindsay wyjął paczkę papierosów i zapalił jednego, przez cały czas patrząc na Christę. Kilka razy głęboko się zaciągnął. Zwlekał z odpowiedzią, aż twarz dziewczyny zarumieniła się z gniewu.

- Nie - odparł w końcu. - Nie zacząłbym się śmiać. Jesteś jego sekretarką i jesteś inteligentna - to zwykłe stwierdzenie faktu.

Potraktowałbym więc twoje odczucia bardzo serio, tym bardziej że dziwnym trafem zbiegają się z moimi spostrzeżeniami, które do niczego mi nie pasują. - Zawahał się lekko przed wypowiedzeniem następnego zdania. - Zastanawiam się, czy nie jesteśmy świadkami jednego z największych oszustw w historii.

Jej oczy rzuciły mu ostrzeżenie. Siedziała twarzą do wejścia, które było za jego plecami. Lindsay w dalszym ciągu palił papierosa. Nie słyszał otwierania drzwi, lecz usłyszał, jak ktoś je zamknął.

- Wygląda na to, że zawsze znajduję was razem. Jakże miło widzieć objawy takiej sympatii między niemiecką dziewczyną a angielskim oficerem, gdy na świecie szaleje wojna.

Znajomy głos należał do majora Gustawa Hartmanna z Abwehry.

- Zdaje się, że powiedział pan coś o jednym z największych oszustw w historii? - ciągnął Hartmann. - Czy zechciałby mnie pan oświecić, czego dotyczy to niezmiernie intrygujące oświadczenie?

Christa wyszła z pokoju i Lindsay został sam z Hartmannem.

Niemiec usiadł i zapalił fajkę. Spoglądając na Anglika wydmuchiwał kłęby niebieskawego dymu, który zawisł pomiędzy nimi jak woal.

- Czy to oficjalne przesłuchanie? - spytał Lindsay.

- Nazwijmy to po prostu pogawędką dwóch ludzi, jakich zetknęły na krótko ze sobą zmienne losy wojny.

- Chodziło mi o sowieckiego szpiega, którego pan szuka -

rzucił Anglik i nie dodał nic więcej.

Hartmann czekał na ciąg dalszy, dając mu tym samym kilka sekund do namysłu, i wreszcie stwierdził:

- Niezupełnie rozumiem, jaki jest związek między tymi dwiema sprawami..

- Jeśli rzeczywiście w otoczenie fuhrera dostał się sowiecki szpieg, to udał mu się największy oszukańczy trik w historii - odrzekł Lindsay.

Hartmann ugniół tytuł w fajce i spojrzał przenikliwie na Lindsaya.

Na chwilę opadła z niego maska i Lindsay dostrzegł prawdziwą twarz majora Abwehry - niezmordowanego tropiciela, który nigdy się nie poddawał. To spostrzeżenie miał sobie kiedyś przypomnieć.

- Pan coś wie - powiedział Niemiec z namysłem. - Jest pan znacznie sprytniejszy, niż ktokolwiek sądzi. No, może z wyjątkiem fuhrera. On ma niemal kobiecy instynkt, jeżeli chodzi o ludzi.

Po co przybył pan do Niemiec, panie pułkowniku?

- Przecież pan wie - w związku z próbą zawarcia jakiegoś porozumienia między Wielką Brytanią i Trzecią Rzeszą. Moi mocodawcy wychodzą z założenia, że prawdziwym zagrożeniem jest Rosja...

- I tak - przerwał Hartmann - znowu zatoczyliśmy pełne koło i wróciliśmy do punktu wyjścia. Nie widzę potrzeby, aby dalej trwonić pański i mój czas.

Wstał, a na jego twarzy odbił się smutek i rezygnacja. Wyszedł z pokoju bez jednego słowa, zamykając bezszelestnie drzwi.

Poruszał się z kocią zwinnością. Lindsay przypomniał sobie jego niespodziewane pojawienie się na peronie stacji w Salzburgu. Wszystko wskazywało na to, że przypadkowo ocalił ich wówczas przed wielkim niebezpieczeństwem, jakim groziło wejście w drzwi strzeżone przez S.S. A może zrobił to nieprzypadkowo? Hartmann był wielką niewiadomą.

Zaniepokojony czymś, czego nie potrafił określić, również wyszedł z pokoju. Ustawiony przez Jaegera pod jego drzwiami wartownik patrzył, jak idzie korytarzem do okna na jego końcu. Lindsay wiedział, że esesman nie będzie interweniował, dopóki ma go w zasięgu wzroku.

Okno wychodziło wprost na znajdujący się w dole wjazd do Berghofu. Lindsay czuł na karku wzrok wartownika. Zapalił papierosa, patrząc na ośnieżony krajobraz. Szyba nie była zaparowana. Ktoś przetarł wielką szklaną tafelę. Wszystko tu było utrzymywane w nienaganej czystości. Nagle Lindsay zastygł z papierosem na wpeł podniesionym do ust. Znał już drogę ucieczki z Berghofu.

- Mam plan, jak podejść Anglika, żeby go. Wypróbować
- powiadomił Grubera pułkownik Jaeger.
- Czy uzyskał pan pozwolenie na przeprowadzenie tego planu?
- zapytał funkcjonariusz gestapo.

Stali na tarasie widokowym Kehlsteinu, gdzie poza nimi nie było nikogo. Pomimo skórzanej płaszczki z kołnierzem postawionym wokół tłustej szyi, gruby gestapowiec zdążył już zmarznąć w porywach lodowatego górskiego wichru.

Jaeger, w pełnym umundurowaniu, z czapką naciśniętą głęboko

na wysokie czoło, zdawał się niewrażliwy na temperaturę. Widoczny spod daszku czapki orli nos i zaciśnięte usta wyrażały zdecydowanie. Był urodzonym dowódcą, emanującym pewnością siebie, nawet jego głos był ostry i stanowczy.

- Sam Martin Bormann wyraził nieoficjalną zgodę na wprowadzenie planu w życie.

- Nieoficjalną? - Gruber zawiesił głos, jakby domagał się dalszych informacji.

Jaeger się zachnął. Uprzedzał tego gnojka jedynie po to, aby trzymał się na uboczu i nie spartaczył wszystkiego wkraczając w krytycznym momencie.

- Dał mi ustną zgodę - wyjaśnił. - Ze strony reichsleitery tyle mi wystarczy. Myśli pan, że przyzwyczajony jestem odbierać wszystkie instrukcje na piśmie?

"Od Bormanna tak by należało" - pomyślał Gruber, lecz powstrzymał się od komentarza. Osiągnął wysokie stanowisko w gestapo dzięki temu, że zawsze dbał, by każde jego działanie miało oficjalne poparcie przełożonych, najlepiej w obecności świadków.

Gruber zdecydował się nie stawiać Jaegerowi przeszkód z dwóch względów. Jeśli plan się powiedzie, będzie mógł go przedstawić jako wspólne przedsięwzięcie, swoje i Jaegera. Jeśli zakończy się kląpą, Gruber,..... wystąpi z pozycji krytycznej i odetnie się od wszelkiej odpowiedzialności za ten - jak to określił - "nieprzemyślany wyskok".

- Kiedy ma pan zamiar wprowadzić swój plan w życie? - spytał.

- Jutro, w niedzielę! - odparł natychmiast Jaeger.

Gruber oddałby wszystko za możliwość kontynuowania tej rozmowy w przytulnym cieple któregoś z luksusowo urządzonych pomieszczeń Kehlsteinu za ich plecami. Lecz stojąc na krawędzi urwiska w tej napowietrznej lodowni unikali niebezpieczeństwa, że ktoś ich podsłucha. Wcisnął ręce w rękawicach głęboko w kieszenie płaszcza i silił się, aby opanować dreszcze. Jaeger był człowiekiem, który gardził wszelką słabością. Zaczął z zapalem przedstawiać swój plan:

- Usuniemy wartę sprzed jego kwatery. Nie wyda się to zbyt dziwne, biorąc pod uwagę, że to niedziela. Lindsay pomyśli, że ochrona tutaj jest rozprężona. Słyszałem, że często wychodzi ze swojego pokoju i spaceruje po korytarzu...

- Tak, tak! Pułkowniku, mogę prosić pana o zwięzłość? Mam obowiązki, które nie mogą dłużej czekać.

Gruber był przemarznięty do szpiku kości. Zaczął podejrzewać, że pułkownik S.S z rozmysłem wystawia go na te tortury zimna. I miał rację. Jaeger bez pośpiechu ciągnął wyjaśnienia:

- Schody prowadzą do głównego hallu i dalej do wyjścia.

Podstawimy pusty samochód, tak aby był widoczny z okna na końcu korytarza na jego piętrze. Wszyscy wartownicy będą trzymać się z dala od tej części Berghofu.

- Proszę mówić dalej.

- Wielki Boże! Jeszcze pan nie rozumie? Jeśli on czyha na jakąś okazję ucieczki, uchwyci się tej szansy, wsiądzie w samochód i odjedzie.

Podejrzewam, że może nawet w towarzystwie fraulein Lundt.

Nie zauważył pan, że spędzają razem dużo czasu? Wydam swoim ludziom wyraźne rozkazy...

- Więc według pana teorii odjadą samochodem. Jak daleko?

- Zdejmiemy wartę z pierwszego punktu kontrolnego na drodze do Salzburga.

- A dajmy na to, że naprawdę uda im się uciec? Nie, będą musieli przedostać się przez następne dwa szlabany.

- Chcę usunąć również posterunki przy drugim i trzecim szlabanie.

Droga do Salzburga stanie otworem!

- Na miłość boską, człowieku, pan oszalał! - sapnął Gruber.

Jaeger uśmiechnął się, spoglądając z góry na swego niskiego towarzysza. Twarz Grubera stawała się sinoniebieska z zimna.

Pułkownik dobrze się bawił. Zaczął mówić dalej:

- Tyle tylko, że w obu tych miejscach zostaną ukryte silne oddziały. - Wskazał ręką niski murek oddzielający ich od przepaści głębokiej na sto dwadzieścia metrów. - To tutaj komendant Muller popełnił podobno samobójstwo, nieprawdaż? - zauważył.

- To był wypadek - rzekł Gruber, zaskoczony tym nieoczekiwanym zwrotem w rozmowie.

- Rzymianie strącali ludzi ze Skały Tarpejskiej...

- Co to ma znaczyć? - spytał Gruber ostro.

- Po prostu myślę na głos. Może wrócimy do windy?

Jaeger ruszył pierwszy nie czekając na odpowiedź. Jego ostatnia uwaga zasiała niepokój w umyśle Grubera. Pod pewnymi

względami taktyka Jaegera była całkiem podobna do metody Hartmanna -również lubił wytrącać przeciwnika z równowagi.

Nastał brzask, niosąc zapowiedź obfitych opadów śniegu.

Ołowianoszare chmury wisiały nisko, przesłaniając szczyty. Górski pejzaż, widoczny z okna na piętrze, był pełen posępnej grozy.

Pierwszą rzeczą, jaką dostrzegł Lindsay po zerwaniu się o świcie i pospiesznym ogoleniu, była nieobecność wartownika pod jego drzwiami. Normalnie warty zmieniano co osiem godzin. Czyżby w niedzielę mniej ludzi sprawowało służbę? Zszedł cicho po schodach do głównego hallu.

Na dole zastał tę samą nienaturalną ciszę. Nigdzie ani śladu wart.

Podszedł do olbrzymich podwoi wiodących na zewnątrz i obejrzał je dokładnie, szukając systemów alarmowych. Znów naszło go wspomnienie z kursu szkoleniowego na Ryder Street. Pewien elektryk mówiący czystą gwarą londyńską wprowadzał go w tajniki swojej sztuki:

- Szukaj, chłopie, ukrytych przewodów. Nie ma przewodów, nie ma alarmu. Jak będziesz miał do czynienia z S.S, to sobie zakarbuuj, że oni robią wszystko na siłę: nie wysadzają nosa poza lufę pistoletu.

Za to Abwehra to cwaniaki. Mają swoje tradycje, a to znaczy, że umieją być cierpliwi. No i na koniec nasi starzy przyjaciele z gestapo.

Po tych gagatkach można spodziewać się wszystkiego, z systemami alarmowymi włącznie..

Jednakże ochrona w Berghofie nie należała do gestapo.

Lindsay położył dłoń na wielkiej klamce i nacisnął. Powoli otworzył masywne drzwi; poruszały się cicho na dobrze naoliwionych zawiasach. W każdej chwili spodziewał się, że ktoś wymierzy mu w twarz lufę automatu.

Wciąż nic...

Lindsay wyjrzał na zewnątrz czując, jak mróz szczypie go w twarz.

W polu widzenia nie było nikogo. Widać polegają całkowicie na punktach kontrolnych, położonych w niższych partiach drogi do Salzburga. Zamknął drzwi i usłyszał za sobą cichy szelest. Jakimże był głupcem sądząc, że główne wejście pozostawiono bez straży!

Odwrócił się, wdzięczny losowi przynajmniej za to, że przyłapano go w środku, a nie na dworze. Zachodził w głowę, jak wytłumaczyć swoją obecność tutaj. Zamiast wartownika ujrzał wpatrzoną w niego Christę Lundt. Stała w otwartych drzwiach, prowadzących z hallu do jakiegoś pokoju. Była ubrana w spodnie narciarskie i zamszową ciepłą kurtkę. Położyła palec na ustach i skinęła na Lindsaya, by się zbliżył.

Znaleźli się w dużej poczekalni. Christa zamknęła drzwi, oparła się o nie całym ciężarem i odetchnęła głęboko. Lindsay obszedł pokój dookoła. Widział go po raz pierwszy. Nie było tu innych drzwi ani kominka, gdzie mogły być ukryte mikrofony. Kiedy znów się odwrócił do Christy, stała wciąż w tej samej pozie. Zaniepokoił go wyraz determinacji w jej oczach.

- Moglibyśmy spróbować dzisiaj - powiedziała. - Na zewnątrz stoi samochód. Chyba go widziałeś z okna korytarza na piętrze?

- Nie widziałem. - Lindsay się zdziwił. - A przecież

zszedłem na dół zaledwie kilka minut temu...

Podszedł do okna. Nie wierzył własnym oczom. Przed budynkiem stał zaparkowany wielki, szary mercedes przysypany śniegiem. Wóz był pusty, a jego przednia szyba oszroniona.

Christa podeszła do Lindsaya, który nie odrywał oczu od samochodu. Wzięła Anglika pod ramię i przytuliła się do niego. Przypomniał sobie, jak czułe spojrzenie rzuciła mu, gdy wzywała go do siebie z hallu, i jego niepokój jeszcze się pogłębił. Czy ta dziewczyna nie przywiązała się do niego zbyt mocno?

Przeklął samego siebie za to, że wtedy w Wilczym Szańcu uległ pożądaniu. Dla niego ten akt nie był niczym ważnym, tylko odreagowaniem skrajnego napięcia. Dla niej widocznie znaczył coś więcej.

- Szczęśliwie oboje wstaliśmy tak wcześnie - wyszeptwała.

-Nie ma potrzeby zapalać silnika i ryzykować, że ktoś usłyszy, jak odjeżdżamy. Widzisz? Droga biegnie w dół z boku, a przednie koła stoją na krawędzi spadku. Wrzucimy bieg, zwinimy hamulec, popchniemy wóz i wskoczmy do środka. Potoczy się jakiś kilometr w dół, zanim będziesz musiał włączyć motor.

- Nie mogłem zobaczyć tego samochodu z okna na górze.

Dostrzegłbym go, gdyby był zaparkowany nieco dalej na prawo, lecz wówczas nie stałby na skraju stromizny.

- O czym ty mówisz, na litość boską? Wiem, że to okropne ryzyko, ale...

- Zastanawiam się, kiedy go tutaj zaparkowano.

- Och, mogę ci to powiedzieć. Niecałe dziesięć minut temu.

Dwóch esesmanów wypchnęło go z garażu na tyłach zamku i podtoczyło wokół budynku na to miejsce, a potem odeszli - do koszar, jak się domyślam.

Popatrzył na nią uważnie.

- Chciałbym to wyjaśnić do końca. Co się właściwie zdarzyło?

Mówisz, że wartownicy pchali wóz? Po co bezsensownie tracili energię?

Dlaczego nie wyjechali nim z garażu i nie zaparkowali tutaj?

- Bo mogliby obudzić fuhrera, głupcze! Wiesz, że chodzi spać o zwariowanej porze, około trzeciej nad ranem, i nie wstaje wcześniej niż o jedenastej. A jego sypialnia mieści się tuż za rogiem, akurat tam, gdzie musieliby przejechać.

- Nikogo tu nie ma. Ani jednego wartownika. Czy to normalne o tej porze w tej części Berghofu?

- Skąd mam wiedzieć? Zazwyczaj przebywam w innej części zamku. No i nie wstaję tak wcześnie., Lindsay czuł ciepło jej ciała. Był w kłopotliwym położeniu: lubił ją, ale nic więcej, i jej sympatia budziła w nim zażenowanie. Przemyślał jej słowa. Na pozór wytłumaczenie było przekonujące. Cały personel fuhrera był odpowiednio wytresowany, aby oszczędzać mu najmniejszych niedogodności czy niewygód.

- To wszystko jest nam bardzo na rękę - stwierdził.

-Samochód, który tylko na nas czeka... Zbyt piękny zbieg okoliczności.

- Przyniosłam ze sobą moją walizkę. Ty też spakuj się szybko, żebyśmy mogli odjechać, zanim ktoś się pojawi.

Napięte nerwy sprawiły, że mówiła coraz bardziej

niecierpliwie.

Chciała natychmiast działać. Przynajmniej nie należała do kobiet, które wahają się w decydującym momencie.

- Ciekawe, ile benzyny jest w baku - zastanowił się analizując w myśli, czy przyznać jej rację.

- Rany boskie! Wyjdź i sprawdź!

- Zostań tutaj - ostrzegł. - Pod żadnym pozorem nie opuszczaj tego pokoju aż do mojego powrotu. Gdzie jest twoja walizka? Za tym kredensem? Zostaw ją tam na razie. Jeżeli mnie złapią i znajdą cię tutaj, powiedz, że nie mogłaś spać i chciałaś wyjść na spacer.

Wyłożony marmurem główny hall był wciąż pusty i niesamowicie cichy. Lindsay ruszył w stronę wyjścia. Zatrzymał się przy wielkich drzwiach i nasłuchiwał. Odczekał trzy minuty patrząc na zegarek.

Jeśli ktoś obserwował go z ukrycia, nie mógł się nie poruszyć i zdradziłby swoją obecność jakimkolwiek dźwiękiem - zaczerpnięciem oddechu lub skrzypnięciem buta, wywołanym przez nieostrożny ruch zdrętwiałej w bezruchu nogi. W końcu Lindsay nabrał przekonania, że jest sam.

Otworzył drzwi i wyszedł.

Twardy, ubity śnieg ułatwiał marsz, więc Lindsay ruszył długimi krokami w stronę mercedesa. Na kogo czekał ten wóz? Zatrzymał się z ręką na klamce przednich drzwiczek od strony pasażera. Nagle podniósł oczy na okna górnych pięter, wypatrując jakiegoś poruszenia w którymś z nich - odsuwającego się cienia, drgnięcia zasłony.

Nic.

To niesamowite. Czyżby to był zwykły szczęśliwy traf? Takie przypadki się zdarzały, szczególnie podczas wojny. Wówczas nie należało marnować ani chwili, tylko działać. Może Christa miała rację? Nacisnął klamkę i drzwiczki się otworzyły. Niezamknięte?

Kiepsko się spisywała ochrona na tym odludziu.

Pochylił się, zajrzał do środka i sprawdził wskaźnik paliwa.

Pełny bak. Na miejscu obok kierowcy był nawet plik map drogowych.

A na tylnym siedzeniu leżał schmeisser z pełnym magazynkiem.

Lindsay zamknął drzwiczki nie dotykając niczego.

Wracając do zamku zatarł swoje ślady, starannie omijając słabo już widoczne odbicia butów dwóch esesmanów, którzy podtoczyli samochód na to miejsce. Christa miała rację. Gdyby zwolnił hamulec i przerzucił bieg na luz, wystarczyłoby lekkie pchnięcie, żeby mercedes stoczył się po spadzistej drodze, która okrążyła górę i zniknęła w zaśnieżonej dali.

Kiedy wrócił do hallu, miał przemarznięte ręce. Oparł się plecami o zamknięte drzwi, żeby chusteczką zetrzeć śnieg z butów, gdy nagle coś usłyszał. Stłumiony odległością huk rozszedł się po górach, jak głębokie dudnienie wolno zbliżającego się czołgu.

Lindsay przytrzymał się kurczowo klamki i obejrzał przez ramię.

Po drugiej stronie doliny chmura białego pyłu znaczyła miejsce wielkiej lawiny. Nadchodziła wiosna. Ruszył spod drzwi i wrócił do Christy, drżącej z napięcia przed wielką próbą.

Pułkownik Jaeger z podniesioną do oczu lornetką stał w otwartym oknie jednego z pomieszczeń w budynku, w którym

kwaterowali żołnierze. Skierował szkła w miejsce, gdzie droga z Berghofu łamała się w ostry zakręt i nikła za górską ścianą.

Obok stał jego zastępca, Alfred Schmidt, wysoki, szczupły mężczyzna w okularach bez oprawek, wyglądający na intelektualistę.

Niespokojnie przestępował z nogi na nogę, jego obcasy stuknęły o podłogę. Jaeger z irytacją opuścił lornetkę.

- No, Schmidt, co to ma znaczyć? - zapytał gniewnie.

- Martwi mnie to, że Anglik mógł w ogóle nie zobaczyć samochodu. Gdybyśmy przesunęli go parę metrów dalej, widziałby go jak na dłoni z tego okna na korytarzu...

- I cholernie szybko by się zorientował, co się święci - warknął Jaeger.

- Skoro zależy mu na ucieczce, skorzysta z pierwszej nadarzającej się okazji.

- Ty z nim nie rozmawiałeś. Ja tak! - uciął ostro Jaeger. - Jeśli przeholujemy, zwęszy pułapkę. Niedocenianie przeciwnika jest zawsze błędem.

- No cóż, jeśli rzeczywiście połknie haczyk, nie ujedzie daleko - zauważył Schmidt.

Spojrzał przez okno na stojące w szyku parami cztery motocykle i na czekających uzbrojonych esesmanów. Ci, którzy siedzieli w przyczepkach, trzymali pistolety maszynowe gotowe do strzału.

- Co ma znaczyć to "jeśli"! - wybuchnął Jaeger. - Jójczysz jak stara baba!

- Wciąż jestem zdania, że powinniśmy obserwować, co się

dzieje od frontu - upierał się Schmidt. - Moglibyśmy umieścić na piętrze obserwatora w jednym z pokoi, których okna wychodzą na główne wejście.

- Powodzenie całej akcji zależy od tego, żeby nasz obiekt miał pewność, że nie jest obserwowany. Ruszymy dopiero wtedy, gdy samochód dotrze do tego zakrętu. A teraz zamknij się, na litość boską!

Daj mi się skupić.

Rozdział dziewiętnasty

W wielkiej poczekalni Lindsay i Christa kłócili się zaciekle.

Dziewczyna na zmianę błagała i wymyślała Anglikowi, usiłując zmusić go do działania, a on odpowiadał lakonicznymi uwagami lub milczeniem.

- Weźmy ten samochód! - prosiła. - Za dziesięć minut już nas tu nie będzie! - Złapała Lindsaya za klapy, wspięła się na palce, tak że ich twarze znalazły się na tej samej wysokości, i szarpiąc go mówiła dalej: - Słuchaj mnie! Czy ktoś cię widział, gdy byłeś na zewnątrz?

- Nie.

- Sprawdziłeś, czy samochód jest pilnowany?

- Tak, ale...

- Żadnych "ale", na miłość boską! Te akta, które Gruber

zamówił z Berlina, dotrą tu lada dzień. Chcesz, żebym skończyła w obozie koncentracyjnym?

Ujął ją łagodnie za nadgarstki i uwolnił się z jej uchwytu.

Nie wypuszczając rąk dziewczyny pchnął ją na krzesło i zmusił, żeby siedziała spokojnie.

- To wszystko jest za łatwe i za wygodne - rzekł. - Nikogo nie ma w budynku, nikogo na zewnątrz...

- Dziś jest niedziela!

"Co za cholerna pokusa" - pomyślał Lindsay. Nie można było wybrać lepszej pory. Gdyby uciekli dzisiaj, nazajutrz mógłby skontaktować się z Paco. Przy niewielkiej dozie szczęścia, mając przy sobie Christę, która znała miejscowe warunki, powinien bez problemu dojechać z Salzburga do Monachium. Zaczął myśleć na głos:

- Poznałem Jaegera i mam pewne pojęcie, co mógłby wykombinować. Gdyby chciał zastawić na nas pułapkę, obmyśliłby właśnie coś w tym stylu.

- Wtedy zaparkowałby samochód w takim miejscu, byś mógł go zobaczyć z okna na korytarzu. Mówiłeś, że nie było go stamtąd widać.

- To prawda.

- A widzisz!

- Gdybym był na miejscu Jaegera - Lindsay upierał się przy swoim - postarałbym się, żeby moich zamiarów nie można było zbyt łatwo przejrzeć. I nie wystawiłbym obserwatorów tam, gdzie mogliby zostać zauważeni. Wycofałbym się i zaczął czekać...

- Czekać! Czekać! Czekać! To wszystko, o czym potrafisz

myśleć!

- Pamiętam swoje spotkanie z Hitlerem przed wojną.

Przeprowadziliśmy bardzo długą rozmowę. Powiedział mi wtedy między innymi, że w obliczu kryzysu zawsze czeka na rozwój wypadków, aż dostrzeże jakiś znak, który mu wskaże, jak powinien dalej postąpić.

Jestem widać nieco do niego podobny.

- Brak ci jego zdecydowania - odparowała z goryczą.

- Zauważyłem wielką ciężarówkę z pralni, która przyjeżdża co dzień ze świeżą pościelą, - a zabiera brudną. Wartownicy są przyzwyczajeni do widoku tej ciężarówki. Obserwowałem ich z mojego okna na korytarzu. Czy ona przyjeżdża w niedziele?

- Skąd ja mam wiedzieć? - spytała nadąsana. - Przecież pracuję w innej części Berghofu. Dlaczego tracisz czas na rozmyślania o tej ciężarówce?

- Przyjeżdża każdego dnia z chwalebą teutońską punktualnością, zawsze o jedenastej rano. - Lindsay spacerował wolno tam i z powrotem, a Christa kręciła się nerwowo na krześle.

- Jest w niej tylko kierowca, sam jeden, bez żadnych wartowników, niski grubas w kombinezonie.

Wyciąga z tyłu wielkie bele z upraną pościelą i znosi do zamku.

Potem wynosi białe worki załadowane brudną bielizną, rzuca je na platformę, zatrzaskuje klapę i odjeżdża. Na boku ciężarówki wypisana jest nazwa jakiejś firmy w Salzburgu. A my chcemy się dostać właśnie do Salzburga.

- Gdzie pojedziemy dalej? - spytała.

- Później się dowiesz... - Postanowił twardo, że ujawni jej ostateczny cel ich podróży dopiero w ostatniej chwili. - Ta ciężarówka z pralni mogłaby nas wywieźć stąd na wolność - ciągnął. - Widziałem z okna jej wnętrze. Została tam cała góra nie wyładowanych worków, pod którymi moglibyśmy się schować. A na punktach kontrolnych tak się już pewnie przyzwyczaili do widoku ciężarówki, że nie będą jej przeszukiwać, przynajmniej dopóki nie zaalarmują ich z Berghofu.

Gdzie powinnaś być o jedenastej rano? I - póki o tym pamiętam - czy masz jakieś pojęcie, jak dużo czasu zabierały jazda do Salzburga.

Załóżmy, że ciężarówka nie zajeżdża nigdzie więcej po drodze?

- Widziałam raz, jak odjeżdżała - powiedziała z namysłem Christa. - Kierowca prowadzi jak szaleniec. Pewnie bardzo mu się spieszy do zakończenia pracy. Przypuszczam, że dotarlibyśmy do Salzburga po godzinie jazdy. A jeśli chodzi o to, gdzie powinnam być, to mam dzisiaj wolny dzień. Traudl zrobi notatki z południowej konferencji.

- Więc czym byś się normalnie zajmowała?

- Czytałabym, odpoczywała, robiła pranie i prasowała u siebie w pokoju. Nikt się mną nie interesuje. - Podniosła wzrok. Na jej twarzy nie widać już było takiego napięcia. - Natomiast twoją nieobecność mogą szybko zauważyć.

- Musimy się zdać na łaskę losu. Gruber męczył mnie wczoraj pytaniami i odszedł zdeglustowany. Może zostawią mnie dzisiaj w spokoju. Niedziela. O ósmej przynioszą mi śniadanie, pół godziny

później zabierają tacę, a obiad jest dopiero o wpół do drugiej.

- Więc ciężarówka będzie jechała godzinę - Christa zaczęła rozpatrywać szczegółowo sytuację. - To oznacza, że dotrzemy do Salzburga w południe. Sprawdziłam pociągi i do Wiednia, i do Monachium, skoro tak skrzętnie ukrywasz, dokąd pojedziemy dalej.

Mam nadzieję, że pewnego dnia zaufasz mi...

W jej głosie brzmiała nie uraza; lecz wyczekiwanie. Lindsay znowu się zastanowił, co ta dziewczyna do niego czuje.

- Muszę ochraniać pewnych ludzi - odrzekł krótko.

- Rozumiem. Dotrzemy do Salzburga około południa.

Niezależnie od dalszego kierunku podróży będziemy mieli bardzo mało czasu.

Ekspres do Wiednia odchodzi o dwunastej piętnaście, a do Monachium o wpół do pierwszej. Jeśli to ma być Monachium, możemy się wymknąć w samą porę, zanim zauważą, że ciebie nie ma. Ekspres przyjeżdża na miejsce o pierwszej trzydzieści, dokładnie wtedy, gdy przynoszą ci obiad. Natomiast pociąg do Wiednia jedzie grubo ponad trzy godziny.

- Będziemy musieli zaryzykować - powiedział Lindsay cicho.

-Jest wiele niewiadomych. Na przykład, czy wóz z pralni dojeżdża w pobliże stacji.

- I czy przyjeżdża w niedzielę - przypomniała mu. - Spotkamy się tu później?

- Tak, w miarę możliwości punktualnie o dziesiątej czterdzieści pięć.

- Nadal uważam, że powinniśmy porwać ten samochód. -Wstała i podeszła do okna. - Wiemy, że jest pod ręką.

Podszedł, stanął z tyłu za nią i pokrzepiająco uściśnął ją za ramiona.

- Wóz z pralni i kropka. Namysliłem się.

- Zgoda. - Odwróciła się, podniosła oczy i wyjęła z kieszeni żakietu lugera kalibru 9 milimetrów. - Wzięłam to z takiego miejsca, że długo nie odkryją jego braku. Mam zapasowy magazynek. Oddam ci obie te rzeczy tuż przed wyjazdem... - zawahała się.

- O co chodzi, Christa?

- Ian, chcę, żebyś mi coś przyrzekł. Jeśli nas złapią, obiecaj, że mnie zastrzelisz. Następną kulę możesz przeznaczyć dla siebie. -Odwróciła się, jej głos drżał. - Gdybyśmy musieli odejść... chciałabym odejść razem z tobą.

Poczuł się okropnie. Nie wiedział, jak ma zareagować, co powiedzieć. Był zupełnie bezradny. Wyciągnął dłoń, żeby dotknąć jej pleców, lecz w końcu opuścił rękę. Jej uczucie dla niego było głębsze, niż przypuszczał, a on nie mógł odwzajemnić się tym samym.

- Najpierw przekonajmy się, czy wóz z pralni przyjeżdża w niedzielę - rzekł szorstko i wyszedł z pokoju.

- Wprowadźcie ten cholerny samochód z powrotem do garażu -powiedział ochryłym głosem pułkownik Jaeger.

Była dziesiąta rano. Padał gęsty śnieg, pod białym całunem zniknęła dolina i góry za nią. Jaeger długo stał w jednej pozycji, koncentrując się całą duszą na obserwowaniu ostrego zakrętu, i zdrętwiał. Był zawiedziony i zły.

- Moglibyśmy jeszcze trochę poczekać... - zaczął Schmidt.

Nie były to chyba najwłaściwsze słowa. Jaeger odwrócił się i

napadł na swego podwładnego:

- Oszalałeś? Parę godzin temu krytykowałeś mnie za to, że nie zaparkowałem tego parszywego mercedesa pod samym progiem!

A teraz chcesz, żebyśmy tkwili tu na darmo, diabli wiedzą jak długo!

Na dworze ludzie z batalionu motocyklowego zamarzają na śmierć.

Rób, do jasnej cholery, co ci każę!...

Schmidt wypadł z koszar, odesłał żołnierzy, którzy siedząc na motorach zabijali ręce, żeby przywrócić krążenie krwi w skostniałych dłoniach, i z nerwowym pośpiechem wrócił do komendanta. Pułkownik Jaeger przemierzał pokój długimi krokami, przystając co pewien czas,, aby ogrzać się przy staroświeckim piecyku na drzewo.

- Zabierają samochód - powiedział Schmidt bez tchu.

- Bormann będzie uradowany wielkim sukcesem, jaki odniósł cały ten pomysł - skomentował Jaeger z wściekłością.

- Czy to był jego pomysł? - dociekał Schmidt wycierając okulary jedwabną chusteczką. Zaparowały mu, choć tak krótki czas spędził na zewnątrz. Temperatura spadała szybko.

- Teraz, gdy nic z niego nie wyszło, to będzie mój pomysł.

Znam Bormanna. On nigdy jasno nie formułuje rozkazów. A ten nie został wydany z polecenia fuhrera.

Urwał słyszając warkot silnika mercedesa. O klasie samochodu najlepiej świadczył fakt, że silnik zaskoczył po tylu godzinach postoju na dworze przy takiej cholernej pogodzie.

- Ci ludzie mieli pchać wóz z powrotem! - złościł się

Jaeger.

- Udzielę nagany sierżantowi...

- Och, nie zwracaj tym sobie głowy! Co to ma za znaczenie.

Cała ta operacja okazała się farsą. Idę coś zjeść.

- Panie pułkowniku - zaczął ostrożnie Schmidt - wszystkie trzy punkty kontrolne są wciąż w pełnym pogotowiu. Czy powinienem do nich zadzwonić i odwołać rozkazy?

Jaeger zatrzymał się w drzwiach koszarowej kantyny i rozważył propozycję. Płatki śniegu zaczęły oblepiać szyby w oknach, zasłaniając widok na zewnątrz. Pogoda nie zapowiadała się wesoło.

- To dobry pomysł - stwierdził. - Ludzie niepotrzebnie trzymanych w pogotowiu tracą bojowość. Powiedz im, że mają wolne, niech odpoczną trochę. A potem przyjdź i zjedz ze mną śniadanie.

Omówimy sytuację. Muszę się przygotować do rozmowy z Bormannem, żeby móc stawić mu czoło! - Westchnął. - Niedziela! Nigdy nie znośm niedziel, nawet gdy byłem małym chłopcem.

Lindsay usłyszał słaby dźwięk zapuszczanego silnika samochodowego. Usłyszał go, ponieważ przezornie zostawił drzwi swojego pokoju lekko uchylone, kiedy dyżurny zabrał tacę po śniadaniu.

Dzięki temu od razu by się zorientował, gdyby przed jego drzwiami wystawiono wartę. Dotychczas nikt się nie pojawił. Nie mógł wiedzieć, że Jaeger, oprócz odesłania zwykłych wart dla łatwiejszego zwabienia go w pułapkę, wysłał większość swego oddziału poza Berghof, aby zabezpieczyć punkty kontrolne i stworzyć rezerwową grupę uderzeniową w pobliżu Salzburga.

Lindsay po raz kolejny spojrzął na zegarek. Punkt dziesiąta. Za trzy kwadranse miał spotkać się z Christą w poczekalni. Otworzył szerzej drzwi i wyjrzał na pusty korytarz. Poruszając się szybko i cicho podszedł do okna i popatrzył w dół. Mercedes zmienił miejsce, teraz mógł go stąd zobaczyć.

Wóz stał grzejąc silnik. Dwóch esesmanów czyściło zamarznąłą przednią szybę, co jakiś czas przyciskając rękawice do szkła, żeby roztopić lód. Niewidoczny kierowca włączył wycieraczki, które z początku pracowały nierówno, lecz po chwili wpadły w jednostajny rytm.

Lindsay kryjąc się za zasłoną patrzył, jak dwaj żołnierze S.S wsiadają z tyłu. Samochód zatoczył półkole i wyjechał z pola widzenia w stronę koszar. Lindsay czekał, lecz na dole nic więcej się nie działo.

O dziesiątej trzydzieści sprawdził korytarz, schody i główny hall.

Upewnił się, że są puste, wymknął się na dół z walizką i wszedł do poczekalni. Christa już tam była i chodziła z kąta w kąt, próbując opanować narastającą panikę.

Lindsay obrzucił ją bacznym wzrokiem. Schował walizkę za dużą komodę, która stała nieco odsunięta od ściany. Pomyślał, że sam poradziłby sobie znacznie lepiej, lecz nie mógł teraz zostawić Christy.

Wciąż powracała mu w pamięci rada, której udzielił mu pułkownik Browne:

- Podczas ucieczki niech pan się nie da skusić i z nikim się nie wiąże - to dziesięciokrotnie zwiększa ryzyko złapania. Widać

to jasno ze statystyk.

Chrzanić statystyki! Musiał przedostać się z Christą do Szwajcarii.

Tam będzie mógł ją zostawić z czystym sumieniem. Niemiecki był jej ojczystym językiem, więc bez trudu ukryje się, wtopi w miejscową ludność i w spokoju doczeka końca wojny.

- Samochodu już nie ma. Zabrali go - powiedziała Christa z rozdrażnieniem. - Zapewne twoim zdaniem to dowodzi, że był on zastawioną na nas pułapką.

- Naprawdę nie wiem. Może ktoś miał zamiar z niego skorzystać i rozmyślił się ze względu na pogodę.

- Mówisz to tylko po to, żeby mnie ugłaskać.

Przeszedł trzema długimi krokami przez pokój i chwycił ją za ramiona. Jego oczy patrzyły na nią twardo, a głos był niski i brutalny.

- Słuchaj no! Za niecałe pół godziny wychodzimy przez te drzwi - o ile wóz z pralni w ogóle się pojawi. Musimy ukryć się z tyłu ciężarówki, tak żeby kierowca nas nie zauważył, i od tej chwili nie będzie już odwrotu...

Sięgnął ręką w dół i podciągnął prawą nogawkę, odsłaniając nóż, który ukradł z kuchni w pociągu fuhrera.

- Może będę musiał poderżnąć gardło kierowcy - ciągnął. -A już na pewno gdzieś na trasie ucieczki dojdzie do zabijania.

Więc, moja panienko, jeśli się nie weźmiesz szybko w garść, będziesz dla mnie tylko ciężarem.

- Trzymałam się dobrze w Salzburgu, gdy wysiedliśmy z pociągu - odparła cicho. - To był zwykły pech, że Hartmann

wtrącił się i nas zatrzymał. Teraz też wszystko będzie w porządku, gdy tylko wyruszymy. Nie zawiodę cię, Ian, tylko to czekanie tak działa mi na nerwy.

- Wobec tego witamy na pokładzie.

Pożalował swego wybuchu. Miała całkowitą słuszność. Dowiodła już, że można na niej polegać. Sprawdziła się w krytycznej sytuacji i tym należało się kierować.

- Zostaniesz tutaj ze mną? - spytała.

- Tak.

- Nie musisz. Jakoś sama dotrwam. Będzie bezpieczniej, kiedy zaczekasz na górze, w razie gdyby ktoś sprawdzał twój pokój. Jeśli zechcą mnie obszukać, mam lugera.

- Oba sposoby niosą z sobą pewne ryzyko - powiedział rzeczowym tonem, jakby ona najmniej się tu liczyła. - Udało mi się zejść na dół tak, że nikt mnie nie zauważył. Drzwi mojego pokoju są zamknięte. Jeśli umieszczą tam wartownika, dojdzie do wniosku, że jestem w środku. Zawsze tak było. A gdybym teraz wrócił do pokoju, musiałbym jakoś się obok niego przemknąć i znowu zejść na dół.

W takich sytuacjach nie ma idealnej metody działania. - Uśmiechnął się. - Możesz dalej chodzić w kółko.

O dziesiątej czterdzieści pięć poprosił Christę, żeby dała mu lugera i zapasowy magazynek. Zatknął pistolet za pasek pod marynarką.

Znów czekali. Żadne z nich nie umiało wymyślić nic sensownego do powiedzenia.

Trudno określić, które z nich częściej zerkało na zegarek.

Minuty ciągnęły się w nieskończoność jedna po drugiej. Dziesiąta pięćdziesiąt.

Na dworze wciąż padał śnieg, lecz już mniej gęsty. Lindsay modlił się, aby padał jak najdłużej. Zła pogoda i fakt, że na dziś przypadał dzień odpoczynku, mogły zatrzymać wszystkich wystarczająco długo w ich pokojach. Oboje jednocześnie sprawdzili godzinę. Ich oczy się spotkały.

Dziesiąta pięćdziesiąt dziewięć.

Ktoś powiedział, że czas jest rzeczą względną. Cokolwiek miał na myśli, jedno było pewne - nigdy sześćdziesiąt sekund nie upływało tak wolno. Żadne z nich się nie poruszyło. Stali w bezpiecznej odległości od okna nad głównym wejściem. Wybiła jedenasta.

Lindsay przechylił głowę i nasłuchiwał dźwięku silnika nadjeżdżającej ciężarówki. Nic, tylko cisza ciężka jak ołów. Śnieg walił gęściej, wielkie płatki opadały w dół, obracały się wolno w miniaturowych saltach. Minuta po jedenastej.

- Nie przyjeżdża... - zaczęła Christa.

Lindsay uciszył ją krótkim gestem i nadal słuchał z natężeniem.

Christa nie mogła ustać spokojnie. Zaciskała i rozwierała drobne dłonie. Anglik trwał całkiem nieruchomo, koncentrując się tylko na jednym. Na czekaniu. Istne piekło. Psychiczna wyzymaczka.

Uniósł dłoń, znów nakazując ciszę. Jego ręka zawisła w pół gestu.

Dobiegł go daleki odgłos szybko zbliżającego się samochodu.

"Prowadzi jak szalencie" - powiedziała wczoraj Christa.

Unieruchomiwszy dziewczynę gestem na miejscu, przysunął się do okna ostrożnie, by nie poruszyć zasłony.

Za kurtyną śniegu zamajaczył jakiś kształt, który po chwili wypadł pędem z białego woalu i wykonał karkołomny skręt z poślizgiem o sto osiemdziesiąt stopni, zwracając się przodem do wjazdu. Lindsay ujrzał na wprost przed sobą zamknięty tył ciężarówki z klapą, odsuwaną w górę jak żaluzja. Wóz z pralni jednak przyjeżdżał w niedzielę.

Lindsay wyglądał przez paru-centymetrową szparę w drzwiach poczekalni na główny hall. Kierowca był ubrany w kombinezon i białą kurtkę, na głowie miał czapkę z daszkiem. Otworzył jedno z ciężkich skrzydeł drzwi wejściowych i wtoczył się do środka dźwigając na ramieniu wielki, biały wór. Zniknął w pomieszczeniu na końcu hallu.

- Tył ciężarówki jest otwarty! - zawołała Christa, która prowadziła obserwację z okna.

- Ruszamy!

Oboje nieśli walizki. Lindsay otworzył drzwi na oścież i wypchnął dziewczynę przed sobą. Pamiętał o tym, żeby zamknąć drzwi poczekalni. Christa już wybiegła z budynku. Nie wiadomo było; jak szybko kierowca wróci. Lindsay pobiegł lekko po marmurowej posadzce ze śladami śniegu, który osypał się z butów kierowcy, i wypadł na zewnątrz.

Na dworze było cieplej, niż przypuszczał. Śnieg sypał teraz rzadziej, małymi płatkami. Christa pamiętała o jego ostrzeżeniu i przemknęła na palcach, zagłębiając w śniegu tylko czubki butów.

Ruszył w trop za nią długimi krokami, starając się zostawiać jak najmniejsze ślady, żeby kierowca ich nie zauważył.

Podciągnął się i wskoczył na platformę. W tej samej chwili usłyszał ciche wołanie dziewczyny:

- Tutaj, w głębi!

Zaszyła się za stertą worków z bielizną tuż przy ścianie szoferki.

Nie widział jej w półmroku i to dodało mu odwagi. Jeśli dopisze im szczęście, kierowca nie odkryje ich obecności, chyba że wyciągnie worek z samego tyłu.

Lindsay zagrzebał się pod stertą, a Christa przysunęła się do niego.

Leżał na swojej walizce, uwierała go w plecy, lecz zmiana pozycji mogła być teraz niebezpieczna. Sięgnął pod marynarkę i wyciągnął lugera.

-Po co ci pistolet? - zaszepotała Christa tuż przy jego uchu.

-Chyba, go nie zabijesz:

- Tylko w przypadku, gdyby nas znalazł. Wtedy sam siądę za kierownicą i odjedziemy.

- Miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie.

Ucichła. W tej chwili zabicie kierowcy byłoby wyjściem ostatecznym. Później Lindsay nie miałby skrupułów, lecz zrobienie tego teraz, kiedy wóz stał przed Berghofem, przedstawiało zbyt wielkie ryzyko.

Ktoś mógłby usłyszeć strzał. Musieliby ukryć ciało. Gdyby Lindsay siedział za kierownicą, jak przedostaliby się przez punkty kontrolne?

Czuł, że Christa sztywnieje. Kierowca wracał po nowy ładunek.

Usłyszeli łomot jego butów, gdy stukał nimi o krawędź platformy, żeby otrzepać śnieg. Tonąc pod warstwą worków słyszeli, jak szpera -zdawałoby się - bardzo blisko nich. Lindsay miał nadzieję, że, jeśli do tego dojdzie, zdoła zlikwidować kierowcę ciosem lufy w skroń i nie będzie musiał strzelać.

Rozległ się głuchy łoskot, gdy kierowca zeskokczył na ziemię z następną partią, a potem kroki. Jego ciężkie buty powinny zatrzeć ich ślady. Lindsay miał nerwy napięte do ostatnich granic. Zdawało mu się, że dostawa pościeli niemiłosiernie się przedłuża. Każda upływająca sekunda zwiększała groźbę, że ktoś zauważy jego nieobecność.

Jeszcze trzy razy kierowca wędrował tam i z powrotem, wynosząc teraz z zamku worki brudnej bielizny, które ciskał beztrosko na tył ciężarówki. Za trzecim razem Lindsay ujrzał coś, od czego krew ścięła mu się w żyłach.

Kierowca właśnie zbliżał się do ciężarówki. Lindsay dostrzegł przez przerwę między workami wystawiony na cały widok czubek lewego buta Christy. Worek, który poprzednio go zasłaniał, ześliznął się na bok. Kierowca musiałby być ślepy, żeby nie zauważyć buta.

Nadeszła fatalna chwila. Lindsay zacisnął rękę na kolbie lugera.

- Rany boskie, co za parszywa pogoda! - mamrotał do siebie kierowca wdrapując się na platformę. Był człowiekiem metodycznym i chciał sprawdzić, czy wszystkie worki z brudną bielizną są na

samym tyle pudła. Wyprostował się, spojrzął w głąb samochodu i trzymając ostatni worek z brudami uspokajał oddech.

- Skończone, Hans? Dobrze ci się prowadzi przy takiej pogodzie?

Powinni ci zakazać wstępu na wszystkie drogi oprócz autostrad.

Zza rogu wyszedł - zbyt późno, by dostrzec coś niepokojącego - wartownik i nabijał się z kierowcy, który wciąż stał trzymając worek.

Teraz obejrzał się przez ramię i krzyknął:

- Gunther, możesz sobie naszczać w spodnie! Będę z powrotem w Salzburgu, zanim minie południe. Chciałbyś się przejechać?

- W taką pogodę? Cholera, ty to jesteś stuknięty! Na punktach kontrolnych będziesz musiał zwolnić, chyba że przedtem nakryjesz się kołami.

Lindsay wstrzymał oddech. Wciąż widział wystający czubek buta Christy. Nie odważył się jej o tym powiedzieć. Kierowca zaraz go zauważył, zawołał wartownika...

Wór z brudną bielizną przefrunął w powietrzu i wylądował na nodze Christy, zakrywając ją zupełnie. Znajomy łomot obwieścił, że kierowca zeskoczył na ziemię. Rozległ się przeciągły grzechot opuszczanej klapy, a po nim zapadła ciemność.

Pochylony nad kierownicą Hans włączył światła przeciwmgielne i zapuścił silnik. Wrzucił bieg, zwolnił ręczny hamulec i wystartował jak do rajdu, wpierając nogę w pedał gazu. Ciężarówka ruszyła w dół po pełnej zakrętów drodze.

Ukryta pod stosem worków Christa złapała Lindsaya za ramię i

uczepiła się go kurczowo, gdy wóz zaczął kotłować się gwałtownie z boku na bok. Ciężarówka rozpędzała się coraz bardziej. Worki chroniły ich przed potłuczeniem, lecz czuli tuż pod sobą ślizgające się koła. Lindsay zgadywał, że zbliżają się do ostrego zakrętu. Spodziewał się, że Hans zmniejszy szybkość.

Hans przyspieszył. Przetarł kawałek przedniej szyby, lecz reszta była wciąż zaparowana. Niesamowite żółte pasma światła z reflektorów przeciwmgielnych ukazały ostry zakręt, który rósł w oczach. Hans ani myślał zdjąć nogę z gazu.

Lindsay trzymał Christę w ciasnym uścisku. Pocztał, jak tylne koła wpadają w poślizg. Hans pozwolił ciężarówce toczyć się własnym rozpędem, nie próbując hamować. Trzymał równo kierownicę i szedł, z poślizgiem, dopóki wóz nie zwolnił, a wtedy łagodnie dodał gazu.

Ostry zakręt był już za nim. Przydeptał pedał i ruszył jak burza do pierwszego punktu kontrolnego.

Christa i Lindsay, wciąż wczepieni w siebie, byli miotani wstrząsami.

Czoło Anglika zrosił pot. Dziewczyna bała się odetchnąć z przerażenia.

- On nas zabije - jęknęła.

- Poślizg na tylnych kołach - powiedział Lindsay głosem pełnym napięcia. - Świetnie sobie z nim poradził. Powiem ci teraz, gdzie się udajemy - do Monachium.

- W takim razie musimy wsiąść do drugiego ekspresu - tego, który odjeżdża z Salzburga o wpół do pierwszej. Jeśli na niego zdążymy, o wpół do drugiej dotrzemy do Monachium. O tej porze

przyniosą ci obiad do twego pokoju w Berghofie i podniosą alarm.

Dokładnie wtedy, gdy my będziemy dojeżdżać do miejsca przeznaczenia. Bormann szybko zacznie działać. Rozpuści za nami listy gończe po całej Bawarii.

- Dojedźmy najpierw do Salzburga - zaproponował Lindsay -a potem będziemy się martwić co dalej. W dodatku w Monachium muszę odczekać prawie całą dobę, zanim będę mógł nawiązać kontakt.

Nie mam najmniejszego pojęcia, w jakiej dziurze się zaszyć do tego czasu.

- Ja wiem! Kurt miał kryjówkę na strychu, która wciąż chyba istnieje.

- W jakiej części Monachium? - spytał jakby od niechcienia.

-Blisko Feldherrnhalle czy może w pobliżu Frauenkirche?

- Tuż przy Frauenkirche. Dom stoi w małej uliczce. Warunki są bardzo skromne, lecz ciotka Kurta, która tam mieszka, nienawidzi nazistów. Wysłali jej męża do obozu pracy. To jeden z powodów, dla których Kurt wybrał to miejsce... - Urwała. -

Stajemy. Chryste!

Pierwszy punkt kontrolny.

Skulony w szoferce Hans zaklął na widok tarasującej drogę przegrody, solidnej niczym szlaban graniczny: Czy te matole na warcie nie miały w taką pogodę nic lepszego do roboty? Było ich nawet jakby więcej niż zwykle.

Zahamował, lecz silnik wciąż pracował na wysokich obrotach.

Gdy odkręcił szybę, zauważył z pewną ulgą podchodzącego do wozu oficera S.S. Hans nigdy nie zniżał się do tego, by wysiadać z szoferki na rozmowę z jakimś pozał się Boże wojakiem, którego

dopiero co capnęli do służby.

- Próbujesz pobić rekord, Hans? - zapytał oficer o szczupłej twarzy. - Widzieliśmy, jak zjeżdżałeś z góry. Skończy się na tym, że skręcisz kiedyś kark.

- Spóźnię się na drugie śniadanie. Co to za zamieszanie? Po co ten cały cyrk?

- Przeszukujemy wszystkie samochody. Próbne ćwiczenia. Taki rozkaz dostaliśmy z Berghofu wczoraj wieczór.

- No to zwijajcie się, a potem podnieście ten cholerny patyk!

- Jesteś jak zawsze uprzejmy, co, Hans?

Każde słowo rozmowy słyhać było wyraźnie we wnętrzu ciężarówki. Lindsay znów ścisnęła kolbę lugera. Podczas rewizji ładunku na pewno zostaną odkryci. Czy zdobędzie się na to, żeby z zimną krwią przytknąć lufę do głowy Christy i nacisnąć spust? Nigdy jeszcze nie zabił kobiety.

Znów zabrzmiał przeciągły grzechot, towarzyszący podnoszeniu klapy. Do środka wtargnęło świeże powietrze, jeszcze bardziej obniżając temperaturę. Christa ostrożnie ujęła go za rękę z pistoletem, uniosła ją powoli i przytknęła koniec lufy do swej skroni. Lindsay zwlekał z pierwszym ściągnięciem spustu. Czy będą kłuć worki bagnetami?

Odgłos szurania, a potem ciężki, głęboki oddech. Ktoś wgramolił się na platformę ciężarówki. Lindsayowi zwilgotniała dłoń, w której trzymał pistolet. Christa leżała bez ruchu. O czym, u diabła, musiała myśleć w takiej chwili? Lindsay nigdy nie czuł się tak bezsilny. Nie cierpiał tego uczucia.

Ciężkie stąpięcia butów, coraz bliżej. Na zewnątrz gwar rozmów kilku ludzi. Czuł napięte mięśnie Christy. Biedaczka była sparaliżowana ze strachu. Dźwięki szybko następowały jeden po drugim. Podzwanianie i łoskot wozu na gąsienicach gdzieś obok. Znajomy już grzechot spuszcanych drzwi. "Spadaj, Hans, wrębać swoje śniadanko". Zmiana biegów. Zwolnienie hamulca. Ciężarówka ruszyła.

- Hans! - ryknął ktoś. - Możesz jechać bez zatrzymywania przez dwa następne szlabany.

Byli w drodze.

Rozdział dwudziesty

W Berghofie fuhrer wstał o zwykłej późnej porze - około jedenastej przed południem, zaledwie parę minut po ucieczce Lindsaya i Christy do Salzburga. Położył się spać zgodnie ze swoim zwyczajem o trzeciej po północy.

Jego sypialnia, która łączyła się przez garderobę z sypialnią Ewy Braun, była urządzona ze spartańską prostotą. Jedyną ozdobą był duży olejny portret matki, namalowany według starej fotografii.

Ogolił się i ubrał bez pomocy ordynansa, Krausego. Włożył spodnie i brązowy szlafrok z opaską ze swastyką na ramieniu. Jego strój był równie niewyszukany jak późne śniadanie, zawsze takie samo: dwie filiżanki mleka i zwieback, czarne suchary, których czasem zjadał i dziesięć. Do tego kilka kawałków czekolady - był przekonany, że dodaje mu energii.

Jadł sam, na stojąco, wertując przy tym ostatnie doniesienia DNB, niemieckiej agencji informacyjnej. W ciągu pięciu minut skończył śniadanie i był gotów do zmagania się z trudami nowego dnia.

W południe udał się na naradę, w której brali udział Bormann, Keitel, Jodl i inni wyżsi oficerowie, i na samym wstępie wygłosił niezwykle uwagę:

- Mam dziwne przeczucie, że zaszło coś niepokojącego.

- Cóż by to mogło być, mein Fuhrer? - mruknął przypochlebnie Bormann.

- Gdybym wiedział, to bym wam powiedział! A teraz zaczynamy...

W charakterystycznej pozie, splótnszy ręce na brzuchu, słuchał Jodla, który nakreślił obecną sytuację na froncie wschodnim. Nic nie mówił, tylko od czasu do czasu kiwał głową, jakby z aprobatą. Jego milczenie wytworzyło nastrój napięcia.

W pewnej chwili odszedł od stołu konferencyjnego, na którym rozłożono wyrysowaną w dużej skali mapę sowieckiej Rosji. Stał przy oknie i wyjrzał. Patrzył w stronę Salzburga. Po chwili wrócił do stołu.

Kiedy Bormann dowiedział się o ucieczce Anglika, wpadł w szatał.

Narada zakończyła się nagle o wpół do drugiej. Hitler spojrzął gniewnie na swoich generałów i wyszedł bez słowa. Ponieważ była to niedziela, kucharz przygotował posiłek Lindsaya parę minut wcześniej, chcąc jak najszybciej skończyć obowiązki, po których czekało go kilka godzin wytchnienia. Tacę zaniesiono

do pustego pokoju o pierwszej dwadzieścia pięć.

- Wielki Boże, Jaeger - wściekał się Bormann - ładnie wygląda pana czujność! Najpierw zastawia pan na Lindsaya pułapkę, z której nic nie wychodzi, a potem daje mu uciec!

- Dysponowałem ograniczoną liczbą ludzi - stawiał mu czoło pułkownik. - Cały oddział wartowników został rozproszony na dużym obszarze, żeby zastawić pułapkę, która, o ile się nie mylę, była pana pomysłem.

To zastopowało Bormanna w połowie tyrady. Zrozumiał, że wszedł na grząski grunt. Jeśli fuhrer zarządzi dochodzenie, ta hiena z S.S gotowa zrzucić na niego część odpowiedzialności za to fatalne zdarzenie.

- Jakim sposobem udało mu się wymknąć? - zapytał wyższego od siebie o głowę komendanta.

- Czy mogę coś powiedzieć? - wtrącił Schmidt, który trzymał się dwa kroki za swoim przełożonym.

Bormann rzucił spojrzenie na szczupłą twarz oficera w okularach bez oprawek. Te okulary wzbudziły w nim niechęć, bo przypomniały mu jego zaprzysiężonego wroga, Himmlera. Schmidt miał przenikliwy umysł analityka. Współ z Jaegerem tworzył niebezpieczną parę - jego wkład stanowiła praca umysłowa, podczas gdy Jaeger sprawdzał się w działaniu. Bormann skinieniem głowy pozwolił mu mówić.

- Obawiam się, że możemy otrzymać kolejną złą wiadomość - poinformował go Schmidt. - W towarzystwie Lindsaya widywano często fraulein Lundt. Wygląda na to, że jej również nie ma.

- Uciekli we dwoje!

- Przypuszczam - ciągnął Schmidt - że jest tylko jeden sposób ucieczki, z którego mogli skorzystać. Ciężarówka z pralni.

Przyjeżdża codziennie o jedenastej. Pora się zgadza.

- A punkty kontrolne?! - wrzasnął Bormann.

- Pogotowie zostało odwołane, gdy nasz plan z przynętą w postaci mercedesa w sposób oczywisty spalił na panewce - wtrącił się Jaeger.

Bormann zwrócił uwagę na słowo "nasz" i nagle się uspokoił.

Schmidt skorzystał ze sposobności, żeby przedstawić pewną propozycję.

Wiedział, że Jaeger będzie mu nieskończenie wdzięczny, gdy uda mu się skierować furię Bormanna w inną stronę.

- Kierowca tej ciężarówki może coś wiedzieć. Czy mam do niego zadzwonić?

Po upływie zaledwie paru minut Schmidt skontaktował się z kierowcą pod jego domowym numerem. Podał słuchawkę reichsleiterowi, który baczył, żeby nie wprawić Hansa w panikę.

- Co, co? Brakowało munduru oficera S.S... Mówi pan, że skład, do którego odwozi pan rzeczy, jest blisko stacji...

widziano parę idącą w kierunku stacji... oficera S.S z

dziewczyną... ekspres do Monachium...

Niech pan chwilę poczeka. - Spojrzał na Schmidta. - Kolejowy rozkład jazdy. Szybko! Pociąg do Monachium o wpół do pierwszej...

- Zamienił jeszcze kilka słów z kierowcą i zakończył rozmowę.

Metodyczny Schultz znalazł już rozkład jazdy i wertował go. Po chwili trafił na właściwą stronę; Bormann w tym momencie polecił Jaegerowi:

- Dajcie mi na linię dowódcę monachijskiego S.S. Chcę z nim pomówić. Z ciężarówki zginął wysłany do prania mundur oficera S.S.

No, Schmidt?

- Jeśli zdołali wsiąść do pociągu - a ta Lundt prawdopodobnie to załatwiła dla nich obojga - wyjechali z Salzburga o dwunastej trzydzieści i znaleźli się w Monachium o pierwszej trzydzieści.

Bormann spojrzął na zegar. Pierwsza trzydzieści dziewięć.

- Miejmy nadzieję, że pociąg się spóźni. To się często zdarza ostatnimi czasy.

- Mam na linii dowódcę jednostki S.S w Monachium. Nazywa się Mayr - odezwał się Jaeger zasłaniając dłonią słuchawkę.

- Mówi Bormann. Mayr? Dwoje uciekinierów z Berghofu...

Anglik i Niemka... rysopisy... podejrzewamy, że wyjechali z Salzburga ekspresem dwunasta trzydzieści, który właśnie powinien przyjechać do Monachium. Mężczyzna może nosić mundur S.S...
Otoczyć stację!

- Pociąg będzie miał spóźnienie - powiedziała Christa. - To przez to, że staliśmy tak długo w Rosenheim.

Lindsay pożyczył od niej małe lusterko, żeby się przejrzeć. Miał na sobie mundur oficera S.S, który wystawał z jednego z worków na ciężarówce. Dostrzegła go Christa. Poza plamą na lewym rękawie był nieskazitelnie czysty. Pasował na niego lepiej, niż się spodziewał, tylko trochę cisnął przy kołnierzyku. Lindsay nałożył czapkę tak, by ocieniała górną część jego twarzy i rozejrzał się po wagonie pocztowym, do którego wsiedli ukradkiem

w Salzburgu. Spojrzał na zegarek.

Pierwsza czterdzieści. Dziesięć minut spóźnienia.

Pociąg wolno toczył się po zwrotnicach. Lindsay popatrzył na Christę, która stała przy drzwiach z walizką w ręku. Ustalili, że wysiądą, gdy tylko pociąg stanie. Od jakiegoś czasu manipulował nożem przy zamku, próbując podważyć skobel. Już był gotów dać za wygraną, gdy poczuł, jak skobel się podnosi i opada ze szczękiem poza zapadką.

- Dojeżdżamy - rzekła spokojnie Christa. - Jest tu cały system zwrotnic w miejscach skrzyżowania torów.

- Przejdź na sam koniec wagonu - rozkazał Lindsay.

- Znam tę stację. Jest olbrzymia...

- Do cholery, rób, co ci każe!

Obrzuciła go gniewnym spojrzeniem, lecz posłuchała. Lindsay zajął miejsce przy przesuwanych drzwiach, z nożem w prawej, a walizką w lewej ręce. Wśliznięcie się do wagonu pocztowego w Salzburgu okazało się łatwe. W Monachium mogło być bardziej niebezpiecznie.

Ekspres z Salzburga wtaczał się na stację w Monachium. Na peronie stał major S.S Hugo Bruckner, krzepki mężczyzna średniego wzrostu. Swoje obowiązki traktował bardzo serio. Żywił szczególną nienawiść dla dezertersów, którą wyniósł z długiego okresu służby na wschodnim froncie. Dezertersy zazwyczaj podróżowali pociągami, a ich ulubioną kryjówką był wagon pocztowy.

Koło Brucknera przesuwwały się kolejne wagony, w których pasażerowie - żołnierze i cywile - już otwierali drzwi, gotowi wysiąść i zmieszać się z tłumem na peronie. Bruckner zeszytniał,

gdy jego wzrok padł na luźny skobel w drzwiach wagonu pocztowego.

Wszystko wskazywało na to, że major S.S. zdobędzie następną partię mięsa armatniego do karnej kompanii na froncie wschodnim - nieuniknionego miejsca przeznaczenia dla dezertków, których złapano podczas ucieczki..

Pociąg się zatrzymał.. Bruckner stał na skraju peronu i zauważył, że drzwi były uchylone o parę centymetrów, tworząc szparę dość dużą, żeby ktoś ukryty wewnątrz mógł obserwować otoczenie. Mrok panujący w wagonie pocztowym sprawiał, że Bruckner nie mógł zajrzeć do środka, lecz nie widział powodów, dla których miałby się bać jakichś parszywych dezertków. Szarpnięciem odsunął drzwi i wszedł do środka.

Na pierwszy rzut oka wagon był pusty. Bruckner spojrzął w prawo i dostrzegł Lindsaya, oddalonego od niego o dwa kroki. Był tak zaskoczony tym widokiem, że na chwilę znieruchomiał - najmniej spodziewał się tu znaleźć oficera S.S.

Prawa ręka Lindsaya wystrzeliła w górę i ópadła w straszliwym ciosie. Ostrze noża zsunęło się po obojczyku ofiary i zagłębiło niżej aż po rękojeść. Lindsay odskoczył do tyłu, Bruckner chrząknął jakby z zaskoczenia i zatoczył się w głąb wagonu.

Christa z dłonią przyciśniętą do ust patrzyła, jak esesman pada na plecy z nożem sterczącym mu z piersi niczym rekwizyt teatralny.

Na jego mundurze pojawiła się czerwona plama, która rozszerzała się szybko. Lindsay podłożył ramię pod głowę ofiary, ostrożnie, żeby się nie ubrudzić, zawlókł ciało na koniec wagonu

i porzucił w kącie, gdzie dotychczas byli ukryci.

Z gorączkowym pośpiechem przykrył trupa workami z pocztą.

Christa wyrzała na zewnątrz i zeskoczyła na peron. Chwyć jej walizkę i skocz za nią. Gdy dogonił dziewczynę, ujrzał, że twarz ma białą jak papier.

- Chyba zaraz zwymiotuję... - wyjąkała.

- To zwykła opóźniona reakcja. Weź się w garść! Mówiłaś, że znasz tę stację, więc bierz się za swoją część roboty i wyprowadź nas stąd.

Jego brutalność odniosła właściwy skutek. Christa ochłonęła i, cisnąwszy mu wrogie spojrzenie, przyspieszyła kroku.

- Popatrz na te wózki pocztowe, które jadą naprzeciwko nas - powiedziała nagle. - Za chwilę będą przy wagonie z pocztą.

Zabicie Niemca było dla Lindsaya czynnością zupełnie odruchową.

Nie miał czasu do namysłu, choć przecież przewidywał, że wcześniej czy później do tego dojdzie. Natomiast wąż wózków pocztowych sunących coraz bliżej po peronie był okolicznością nieprzewidzianą.

Nie mieli szans na wydostanie się ze stacji, zanim ciało zostanie odnalezione...

Christa szła długimi, szybkimi krokami, niemal biegła. Zbliżyli się już do końca peronu. Przy barierkach nie było kontrolerów, bowiem bilety sprawdzano w pociągu w czasie przejazdu. Obejrzał się.

Kawalkada wózków, ciągnięta przez jednego pracownika, a pchana od tyłu przez drugiego, była już bardzo blisko wagonu

pocztowego.

Oboje przeszli za barierkę i wchłonął ich ruchliwy tłum w przejściu.

Christa wsunęła Lindsayowi rękę pod ramię i poprowadziła go w stronę wyjścia. Pasażerowie widząc mundur S.S usuwali im się z drogi. To ułatwiało poruszanie się, lecz ściągało na nich uwagę.

- Jak daleko stąd do mieszkania twojego narzeczonego?

- Niedaleko. Pięć minut tramwajem.

- Jeśli podniesiono już alarm, będą szukać dwóch osób:

mężczyzny z dziewczyną. Musimy się rozdzielić.

- Dobrze.

Nie spierając się otworzyła w marszu torebkę i poinstruowała go:

- Wsiądziemy do tego samego tramwaju. Ja wsiądę pierwsza, żeby ci pokazać, co masz robić. Masz tu monetę, którą opłacisz - przejazd.

Wsiada się z przodu, wysiada z tyłu, więc usiądź gdzieś za mną.

Jej zachowanie znów go zdumiało. W sytuacjach pełnych napięcia była wręcz niewiarygodnie opanowana, wybiegała myślą naprzód i nie zapomniała o najdrobniejszym szczególe. Krótkie załamanie po zabójstwie oficera S.S było całkiem zrozumiałe - makabryczny widok Niemca zataczającego się w tył z nożem sterującym mu z piersi każdego przyprawiałby o mdłości.

- Idę pierwsza - uprzedziła. - O Boże! Zobacz, przyjechało S.S!

Nie odchodź teraz!

Rzeczywiście, nadjechały silne oddziały S.S. Na osobisty telefon Bormanna miejscowy dowódca S.S, Mayr, szybko i sprawnie zarządził akcję i teraz rozmieszczał swoich żołnierzy wokół stacji.

- Otoczyć dworzec! - rozkazał. - Opasać kordonem dzielnicę!

Sprawdzać wszystkie dokumenty, miejcie szczególnie oko na ludzi w mundurach S.S. Macie szukać oficera w towarzystwie dziewczyny.

Sam reichsleiter podkreślił, że trzeba ich koniecznie złapać.

Akcję podjęto systematycznie. Pierwsza partia żołnierzy wysypała się z ciężarówki przed głównym wejściem dokładnie w chwili gdy Christa, a za nią Lindsay, wyszli przez boczne drzwi.

Christa ruszyła prosto do tramwaju, do którego wsiadali ostatni pasażerowie. Kupiła bilet i przeszła przez zatłoczony wagon. Nie było miejsc siedzących, więc musiała stać.

Lindsay wsiadł jako ostatni. Odebrawszy bilet zaczął torować sobie drogę w kierunku miejsca niedaleko za Christą. Jakiś kulawy mężczyzna, który siedział z nogą wystawioną na środek przejścia, spojrzał na niego z obawą i wolno się podniósł, ustępując mu miejsca.

Anglik omal nie kazał mu usiąść z powrotem, lecz przypomniał sobie o mundurze, jaki miał na sobie. Opadł więc na siedzenie i popatrzył przed siebie. Christa obejrzała się przez ramię i odetchnęła z ulgą. Drzwi się zamknęły, zabręczał dzwonek i tramwaj odjechał.

Właśnie skręcał przed stacją w główną ulicę, gdy Christa

spostrzegła przez tylną szybę esesmana, który stanął przed następnym tramwajem i zatrzymał go. Jadące w odwrotnym kierunku ciężarówki pełne żołnierzy S.S mijały ich wagon i rykiem klaksonów zmuszały kierowców samochodów do zjechania na krawężnik.

Za ciężarówkami nadciągnęły z hałasem trzy motocykle z przyczepkami. Christa zastanawiała się, czy oboje z Lindsayem zdążą wysiąść na następnym przystanku, zanim ten, kto dowodził tymi siłami, pomyśli o wysłaniu motocykli w pościg za ich tramwajem.

Zdawało jej się, że nigdy żaden tramwaj nie toczył się bardziej ospale niż ten, którym jechali. Z wysiłkiem zachowała obojętny wyraz twarzy, gdy poczuła na sobie wzrok jakiegoś żołnierza. Mężczyzna w mundurze wstał.

- Proszę usiąść, fraulein. Wygląda pani na zmęczoną. Długą pani miała podróż?

- Dziękuję - obdarzyła go krótkim uśmiechem - ale wysiadam na następnym przystanku.

Ta krótka rozmowa była wielce niefortunna, a mogła okazać się nawet niebezpieczna. Niemiecki sierżant, któremu się wyraźnie spodobała - poznała to po jego oczach - na pewno przypomni ją sobie na przesłuchaniu. Co gorsza, zapamięta również przystanek, na którym wysiadła.

Tramwaj się zatrzymał. Podniosła walizkę i przeszła obok sierżanta bez jednego spojrzenia w jego stronę. Lindsay odczekał, póki nie zaczęła schodzić po stopniach, wstał szybko i ruszył za nią. Stanąwszy na zatłoczonym chodniku zerknął do tyłu. Tramwaj,

którym jechali, otoczył patrol wojskowych motocykli. Do wagonu wchodził oficer S.S, najwyraźniej z zamiarem wylegitymowania wszystkich pasażerów.

Nigdy nie można było przewidzieć, w jakim fuhrer będzie nastroju.

Tym razem przyjął wiadomość o wymknięciu się dwójki zbiegów z pociągu w Monachium z zadziwiającym spokojem, a nawet z rozwagą.

Zdjął okulary (nigdy nie pozwalał, żeby go w nich fotografowano), odłożył papiery, które studiował, i słuchał napuszonych wywodów Bormanna.

- Mayr nie zadziałał dostatecznie szybko. Potwierdza to jego telefoniczny meldunek ze stacji w Monachium. Uciekinierzy podróżowali w wagonie pocztowym. Zabili oficera S.S, Brucknera, którego ciało tam znaleziono, i zbiegli.

- Dezerterzy często jeżdżą wagonami pocztowymi - zauważył Hitler.

- Mayr doniósł także, że tramwaj, który wkrótce potem odjechał przed stacji, został zatrzymany przez patrol motocyklowy. Przed chwilą wysiadło z niego dwoje pasażerów, mężczyzna w mundurze oficera S.S i kobieta - bez wątpienia była to Christa Lundt. Świadkowie z tramwaju dostarczyli dokładnych rysopisów...

- Potrzebne nam one teraz jak musztarda po obiedzie - skrzywił się Hitler.

Siedział na tapczanie i bawił się okularami. Spojrzał na

Jaegera i Schmidta. W pokoju byli również obecni Keitel i Jodl.

Stawili się, aby wyjaśnić do końca kwestie, których nie rozstrzygnięto na południowej naradzie. Do tej pory zachowywali dyskretne milczenie.

- Co pan o tym sądzi, Keitel? - spytał nagle fuhrer.

- Nie uciekną daleko.

- Mayr zarządził rewizje w domach w całym mieście -
wybuchnął Bormann. - Zgadzam się z feldmarszałkiem...

- Dlatego, że żaden z was nie wie, o czym mówi - wtrącił bez ogródek Jaeger. - Mayr ma przed sobą ogromne zadanie do wykonania.

- Przy dobrych chęciach na wszystko znajdzie się sposób - stwierdził fuhrer. Sformułowanie to było zarazem niezłym podsumowaniem jego własnej kariery.

Gdy w godzinę później Mayr wrócił do koszar, otrzymał dziwny telefon. Podniósł słuchawkę i przedstawił się. Na linii znów był Berghof.

- Mówi Bormann! Dotarła do mnie informacja, że Lindsay ma się spotkać z agentem aliantów przed Frauenkirche...

Głos był dziwnie stłumiony. Zdaniem Mayra w ogóle nie przypominał głosu Bormanna, mając jednak do czynienia z takim rozmówcą, niezbyt mądrze było kwestionować jego tożsamość.

Słuchał dalej:

-... Agent czeka w miejscu spotkania o jedenastej w każdy poniedziałek. Proszę wydać stosowne rozkazy i pod żadnym pozorem nie wspominać nikomu o tym telefonie. Z rozkazu fuhrera!

Wciąż zdumiony, Mayr odłożył słuchawkę. Poniedziałek wypadł

nazajutrz. Będzie czekał na tego agenta pod Frauenkirche.

Rozdział dwudziesty pierwszy

- W samą porę - orzekła Christa. - Jesteśmy na miejscu, z dala od głównej ulicy.

- Przeszukają całą dzielnicę - ostrzegł Lindsay. - Kontrola tramwaju to dopiero początek.

Stali w ciasnej uliczce biegnącej między staroświeckimi fasadami domów. Jedyne wąski pasek nieba wysoko nad ich głowami świadczył, że wciąż jest dzień. Cuchnęło kotami. Kamienie bruku były oślizłe, a budynki wyglądały jak rudery przeznaczone do rozbiórki. Christa wyjęła z torebki klucz i wsadziła go do zamka w nowych, solidnych drzwiach, nabijanych żelaznymi ćwiekami, lecz zatrzymała się na chwilę przed ich otwarciem.

- Kurt przyjechał tutaj kiedyś na urlop i potem drugi raz, gdy musiał się ukrywać. Mieszka tu jego ciotka Helga. Jak ci już mówiłam, jej męża wysłano do obozu pracy. Żywi głęboką nienawiść do nazistów. Twój mundur ją przestraszy. Poczekaj na drugim piętrze, a ja z nią pomówię.

Weszli do środka i zatrzasnęli drzwi. Na klatce zapanowały nieprzeniknione ciemności. Lindsay piął się po omacku po wąskich schodach, trzymając się lepkiej poręczy. Po drodze liczył piętra. Na drugim przystanął, Christa poszła dalej. Zmarszczył nos czując zapach stęchlizny. Dom robił wrażenie nie zamieszkanego. Czyżby ciotka Kurta była tu jedyną lokatorką? Nad nim skrzypnęły otwierane drzwi i na podest przesączyło się światło.

Usłyszał szept. Ukradkowa wymiana zdań pasowała do atmosfery tego miejsca. Z otwartych drzwi na piętrze, gdzie stał Lindsay, bił przenikliwy odór moczu. Lindsay zajrzał do środka i w mętym świetle, padającym z pokrytego grubą warstwą brudu okienka, dostrzegł toaletę, w której od dawna nie spuszczano wody.

- Ian! Chodź na górę!

To głos Christy. Gdy wchodził na wyższe piętro, jego ręka nie przylepiła się już do poręczy. Widocznie ktoś ją ostatnio czyścił. Przy boku Christy stała kobieta w starszym wieku, o ostrych rysach i mocno zaciśniętych ustach. Zignorowawszy mundur Lindsaya, z marsową miną studiowała jego twarz.

- Czy on ma jakiś dowód tożsamości? - spytała.

- Masz? - zwróciła się do niego Christa. - To ciocia Helga.

Jest bardzo ostrożna.

- Trzeba być ostrożnym w tych czasach - wtrąciła ponuro kobieta. - Krąży plotka, że istnieje podziemna siatka, która przemycza alianckich lotników do Szwajcarii. Gestapo próbuje infiltrować ich organizację i podstawia własnych agentów, udających Brytyjczyków lub Amerykanów.

- Mam swoją legitymację z RAFu - zaczął Lindsay.

- A dlaczego jej panu nie zabrali? - spytała podejrzliwie ciocia Helga biorąc z jego ręki książeczkę w twardej okładce. Przejrzała ją uważnie, porównując zdjęcie z twarzą właściciela. - Christa powiedziała mi, że był pan więziony.

- Zabrali mi ją... - próbował się tłumaczyć Lindsay i pochwycił ostrzegawcze spojrzenie Christy. Powinien się

ograniczyć do minimum informacji. - Pracownik gestapo o nazwisku Gruber trzymał ją u siebie dwa dni, pewnie po to, żeby zrobić kopię do akt.

- Oddali mu ją na rozkaz z góry - rzekła szybko Christa. - Jest podpułkownikiem lotnictwa i mieli pewnie nadzieję, że wydostaną z niego cenne informacje...

- Proszę! - Helga fartuchem wytarła z legitymacji swoje odciski palców i trzymając ją przez materiał podała gwałtownym gestem Lindsayowi. - Niech pan wejdzie do środka. Musi mi pan oddać ten mundur, żebyśmy go mogła spalić.

- Smród będzie straszny - zauważył Lindsay siląc się na dowcip, lecz Helga pozostała surowa i wyniosła.

- Teraz pali się wszystkim, byle było ciepło. Całe nasze życie upływa w smrodzie. - Zatrzasnęła drzwi wejściowe, zamknęła je na wszystkie zamki, wzięła żelazny pogrzebacz, uniosła pokrywkę piecyka i podsyciła tłący się ogień. Lindsay miał wrażenie, że skorzystała z pretekstu, by uzbroić się w jakieś narzędzie. Jej kolejne pytanie potwierdziło jego podejrzenia.

- Skąd pan wziął ten esesmański mundur?

- Ciociu Helgo! - zaprotestowała Christa. - To ja go dla niego zdobyłam, nieważne jak. Musisz mu zaufać. Byłam w Anglii, więc sprawdziłam go dokładnie przy naszym pierwszym spotkaniu. Pokaż mu kryjówkę.

- Też, co to Kurt ją zrobił dla siebie i nigdy mu się na nic nie przydała? - spytała Helga z goryczą. - Dobrze, ale wprawdzie muszę spalić ten mundur kawałek po kawałku.

Zdawało się, że ma na tym punkcie obsesję. Lindsay zgadywał,

że jest młodsza, niżby o tym świadczył jej wygląd. Bóg jeden wiedział, przez co przeszła.

- Tym razem w przypadku jakiegoś alarmu zostaniemy ostrzeżeni - zauważyła Helga - Pewien mój przyjaciel ze wsi wstawił nowe drzwi wejściowe, tak mocne, że wytrzymają strzał z armaty. Będą teraz musieli zadzwonić i czekać na dole. Gdy przyszli po Kurta, po prostu wyważyli drzwi.

Do kryjówki wchodziło się przez przemyślnie ukrytą klapę, osadzoną w suficie tuż przy poprzecznej belce. Helga przyniosła z kuchni przenośne schodki i weszła na nie trzymając w ręku nóż o cienkim ostrzu.

- Trzeba wsunąć czubek noża obok tego haka w belce - wyłumaczyła. - Pchnąć ukośnie, jakby zabierał się pan do kobiety. - Lindsay spojrzał na Christę, która odwróciła wzrok i zaczerwieniła się po uszy. - Czubek noża - ciągnęła Helga - naciska metalowy pręt, który Kurt przymocował do klapy. Kiedy się popchnie... o, właśnie!

Kwadratowy fragment pozornie jednolitego sufitu uniósł się odsłaniając czarny otwór. Helga opuściła klapę na miejsce i zeszła na dół. Prowadząc ich z powrotem do kuchni powiedziała zrzędliwie:

- Jak jesteście głodni, mogę wam dać trochę cieczy bez koloru i smaku, którą nazywamy zupą. Przynajmniej jest gorąca.

- Zaakceptowała cię! - szepnęła Christa.

O trzeciej po południu, dokładnie godzinę po ich przybyciu do Isniącego czystością mieszkania Helgi, zjawił się oddział policji, który miał polecenie przeszukać cały budynek.

Brzęk wielkiego dzwonka w kształcie puszek nad drzwiami mieszkania rozległ się z nagłością serii karabinu maszynowego. Christa przełknęła resztkę wodnistej kawy i zerwała się od stołu.

- Do diabła, co to jest?

- Dzwonek przy drzwiach wejściowych - odparła lakonicznie Helga.

Otworzyła okno i wychyliła się mocno, żeby spojrzeć w dół na uliczkę. Machnęła ręką i krzyknęła coś, czego Lindsay, który również wstał, nie dosłyszał. Cofnąwszy głowę do mieszkania, poszła do kuchni i wróciła z przenośnymi schodkami.

- Wygląda na to, że na dole jest cała policja z Monachium.

Zostańcie na strychu, dopóki nie zastukam trzy razy w klapę kijem od szczotki. Niech pan nie zapomni swoich papierosów.

Lindsay z nożem w ręku wdrapał się na schodki. Prymitywny zamek udało mu się otworzyć za pierwszym razem. Wziął od Christy swoją walizkę. Helga sprzątała ze stołu filiżanki i talerze, zostawiając tylko swoje nakrycie.

Dzwonek znów zaczął terkotać. Lindsay wrzucił na górę walizkę Christy, a ona w tym czasie zebrała niedopałki papierosów, zawinęła je w kawałek gazety i wsunęła do kieszeni płaszcza.

- Moja czapka! - zawołał z góry Lindsay.

Wcisnęła ją na głowę i wbiegłszy na schodki chwyciła rękę Lindsaya, który wciągnął ją na strych. Wróciła Helga, zabrała schodki, po czym pojawiła się powtórnie z laską o okrągłej gałce.

Kuśtykając ruszyła w stronę drzwi. Idąc spojrzała na dwie twarze zerkające w dół.

- Reumatyzm - powiedziała oschle. - Schodzenie z tyłu pięt
zajmuje mi całą wieczność.

Po raz pierwszy od ich przybycia przejawiała coś w rodzaju
poczucia humoru. Lindsay zamknął klapę i namacał rygiel. Zasu-
nął go i czekał.

Kłapa kryjówki była zrobiona z sękatych desek, podobnie jak
cały sufit. Biedny Kurt dokazał wielkiej sztuki maskując wejście.

Christa włączyła małą latarkę, którą wzięła z kuchni.

Poddasze było malownicze. Miało ukośny sufit, utworzony
przez schodzące się pod ostrym kątem skrzydła dachu, i ułożoną na
belkach drewnianą podłogę. W dwóch małych, facjatkowych okienkach
wisały grube zasłony, które nie przepuszczały światła dziennego.
Były tu nawet dwa śpiwory. Christa usadowiła się na jednym z
nich.

- Usiądź na drugim - poradziła. - Podłoga skrzypi.

- Znasz dobrze to miejsce?

- Tak. - Skinęła głową. Na jej twarzy odmalowała się
tęsknota.

Lindsay domyślił się, że spędziła tu dużo czasu z Kurtem,
zamknięta w tej małej, ciasnej kryjówce, która była ich całym
światem. Ledwie zdążył się wyciągnąć na śpiworze, gdy usłyszeli z
dołu głosy, dochodzące zaskakująco wyraźnie. Zjawiła się policja.

W pokoju poniżej Helga strofowała surowo sierżanta Berga,
pięćdziesięcio-letniego mężczyznę o wydatnym brzuchu i bujnym
wąsie.

Miał ze sobą dwóch ludzi, którym nakazał przeszukać
mieszkanie.

- Człowiek nawet nie może zjeść nędznego posiłku bez tego, żebyście go nie nachodzili - utyskiwała Helga, opierając się ciężko na lasce. - Powinno być na to jakieś prawo.

- To my jesteśmy prawem - przypomniał jej uprzejmie Berg.

- No to powinno być prawo na wasze prawo!

- Szukamy kobiety i mężczyzny - wyjaśnił Berg pojednawczym tonem. - Mężczyzna jest ubrany w mundur S.S...

- Nie wpuściłabym żadnego esesmana za próg tego domu! Może myślicie, że go nakarmiłam i ugościłam? Po moim trupie!

- Helgo, zrozum, ja tylko wypełniam swój obowiązek.

- No to powiedz im, żeby się tak nie ciskali po kuchni.

Słyszę, jak grzechoczą talerzami.

W tej właśnie chwili z klapy w suficie wypadł sęk. Lindsay zbyt mocno przycisnął ucho do drzewa, żeby lepiej słyszeć. Zdrętwiał z przerażenia. Podczas krótkiej przerwy w rozmowie wyraźnie usłyszał, jak sęk, stuknął o podłogę w pokoju poniżej. Usłyszał to także Berg.

- Co to było? - zapytał.

W ostatnim błysku latarki Anglik zauważył, jak Christa zaciska kurczowo dłoń. Potem zgasiła światło. Nie dotykając desek wyrzwał jednym okiem przez dziurę po świeżo wypadłym sęku. Miał świetny widok na pokój.

W chwili gdy sęk upadł, Berg stał tyłem do Helgi i wyglądał przez okno. Helga westchnęła i przesunęła swoją laskę o dziesięć centymetrów, stawiając jej czubek na sęku. Berg odwrócił się i patrzył na nią podejrzliwie. Nie uśmiechał się już. Natychmiast przedzierzgnął się w oficjalnego przedstawiciela władzy.

- To znów ten piecyk! - syknęła Helga. - Czasami udaje mi się dostać marny kawałek prawdziwego drzewa, którym mogę w nim napalić! - ciągnęła z gryzącym sarkazmem. - Czy to też jest sprzeczne z prawem?

Lindsay, patrzący przez swoją dziurkę, wstrzymał oddech. Sęk był większy niż czubek laski. Wystarczyło, żeby Berg spojrzął w dół... Jego następną reakcją będzie spojrzenie w górę. Nie nosił okularów, więc pewnie miał doskonały wzrok.

Helga, z cierpko zaciśniętymi ustami, wytrzymała wzrok Berga, a potem znów zaczęła mówić, tonem wyraźnie napastliwym:

- Jeszcze żeście nie zajrzeli do tego dużego kredensu. Może wasz esesman chowa się za moimi paroma łachami. No, ruszaj, ośle, tam jest dużo miejsca!

Berg był tak zirytowany, że podszedł do kredensu i otworzył drzwiczki. Helga schyliła się błyskawicznie, podniosła sęk i pokuśtykała do piecyka. Jedną ręką uzbrojoną w pogrzebacz podniosła fajerkę, a drugą szybko wrzuciła sęk do środka. Berg zamknął drzwiczki kredensu i odwrócił się.

- Helga, nie podoba mi się to ani trochę więcej niż tobie.
Ten człowiek w mundurze S.S jest Anglikiem...

- Pewnie! I ma zakrzywiony nos i bliznę na prawym policzku.

- Widziałaś go!

- Berg, dałeś się nabrać, ty stary głupcze! - Wybuchnęła starczym, podobnym do gdakania śmiechem, wymachując mu laską przed nosem w geście komicznej groźby. - Czas, żeby cię odesłano na zieloną trawkę! Łypnęła gniewnie na dwóch policjantów, którzy wychynęli kolejno z sypialni i kuchni. Obaj potrząsnęli przecząco

głowami. Helga wycelowała laskę w stronę drzwi wyjściowych i warknęła na nich:

- Znacie drogę, czy pogubiliście się w tym luksusowym apartamencie?

Berg gestem nakazał im wyjść, zamknął drzwi i wrócił na środek pokoju. Stał dokładnie pod klapą, w której widniała dziura po sęku.

Gdyby tylko spojrzął w górę... Lindsay zeszywniał z napięcia. Czy on wiedział o istnieniu strychu?

Niemiec wsadził rękę do kieszeni płaszcza, wyjął okrągłą puszkę i podał ją Heldze.

- Mój brat przyjechał tydzień temu z Tunezji na urlop. Przejęli angielską ciężarówkę, która zabłądziła w górach. Cała była załadowana tym dobrem - angielską kawą. Lyons. To w rewanżu za kłopot, jaki sprawiłem...

- Ooo, przekupstwo! I czarny rynek, a jakże! - Helga wyciągnęła szponiastą rękę i złapała puszkę. - Łajdak z ciebie, Berg, wiesz o tym? Może pierwszy kubek wypiję za twoje zdrowie.

- No to idę, ale żeby ci oszczędzić dalszych kłopotów, zostawię dokument, że dom został przeszukany. - Wyjął z zanadru arkusz papieru, rozłożył go na stole, wpisał datę, złożył podpis i oddał Heldze. - Gdyby zjawiono się tu S.S, pomachaj im przed nosem tym papierkiem. Oprócz mnie podpisał go szef monachijskiej policji.

- Odprowadzę cię na dół. Nie, nie spieraj się! Wolę sama porządnie zamknąć i zaryglować drzwi wejściowe. Nie dałbyś wiary, jacy ludzie pętają się po tej uliczce po zmroku.

- Zapewniam cię, że uwierzyłbym we wszystko - odrzekł Berg z głębokim przekonaniem.

Drzwi zamknęły się i w mieszkaniu zapanowała nienaturalna cisza.

Christa głośno odetchnęła z ulgą i wyciągnęła obolałe kończyny.

Zdrętwiała od siedzenia cały czas w tej samej pozycji.

- Omal nie wrzasnęłam, kiedy wypadł ten sęk - powiedziała.

- Skąd wiesz o tym?

Chwyliła go za rękę i skierowała ją w górę. Lindsay zobaczył nad sobą rozmazaną plamę światła na spadzistym dachu, światła padającego z pokoju poniżej. Powiedział jej, co się stało.

- Dzielna z niej kobieta - zauważył. - Teraz poszła się upewnić, że naprawdę wychodzą. Dopóki jej nie ma, chcę ci powiedzieć parę rzeczy, które powinnaś wiedzieć, w razie gdyby coś mi się przytrafiło, zanim dotrzemy na jutrzejsze spotkanie. Umówiony jestem przed Frauenkirche dokładnie o jedenastej...

Podał jej szczegóły nawiązania kontaktu z agentem Paco. Skuliła się przy nim w ciemności i słuchała z uwagą. Po chwili poruszył następny temat:

- Jeśli zdarzy się tak, że sama przedostaniesz się z Paco do Szwajcarii...

- Przedostaniemy się oboje albo żadne z nas - zaprotestowała gwałtownie.

- Jest wojna. Na miłość boską, słuchaj, co mówię. Alianckie dowództwo chce znać położenie tajnej kwatery fuhrera. Możesz im to wyjaśnić lepiej ode mnie. Druga wiadomość, na jakiej im

zależy, to kto naprawdę kieruje armią niemiecką. Wiem już, że to sam fuhrer...

Przerwał nie wiedząc, czy powinien kontynuować.

- Chodzi o coś jeszcze, prawda? - spytała cicho. - Coś, co dotyczy fuhrera.

- Mów dalej.

- Od kiedy wrócił z tej podróży do Smoleńska, stał się dziwny.

Nie sądzę, żeby inni ludzie to zauważyli, bo wszyscy za bardzo się go boją - łącznie z Keitlem i Jodlem. Od swego powrotu albo słucha i nic nie mówi, albo na nich wrzeszczy. Nawet chodzi jakby trochę inaczej. Poza tym są inne drobiazgi, tak nieuchwytnie, że tylko kobieta może je zauważyć. To niesamowite, ale czułam się jak w obecności jego brata bliźniaka. Tylko że on nie miał brata bliźniaka...

- Powiedziałaś "nie miał", w czasie przeszłym. To uczucie musi być mocne. Zwróciłem uwagę, że nie wymieniłaś Bormanna razem z Keitlem i Jodlem.

- Bormann też dziwnie się zachowywał od tamtej pory. Na naradach sztabowych za każdym razem, gdy patrzyłam na fuhrera i próbowałam zrozumieć, na czym polega różnica, natykałam się na wzrok Bormanna.

Obserwował mnie jak kot mysia dziurę - jakby próbował coś zgadnąć.

- Coś o fuhrerze?

- Nie! O mnie, chciał na czymś mnie przyłapać - czy zauważyłam zmianę.

- Z mianę. Christa, trafiłaś w sedno! Podstawili fałszywego fuhrera! Zrobił to Bormann, jestem tego pewny. Gdy byłem pierwszy raz w Berghofie, widziałem groteskową scenę...

Opowiedział jej o tym mężczyźnie, jak gestykulował i wrzeszczał na cały głos w kręgu zwierciadeł. W pewnym momencie Christa, która tuliła się do niego, wyprostowała się. Zamarła w bezruchu.

- Kiedy to było? - spytała po dłuższej chwili. - Mówiłam ci, że ta część Berghofu była, zawsze odizolowana od reszty przez komendanta Mullera.

- Gdy w Berghofie zobaczyłem odbicie Adolfa Hitlera w lustrach, prawdziwy fuhrer był o półtora tysiąca kilometrów stamtąd, w Smoleńsku.

- Więc ich jest dwóch? Czy to możliwe, Ian?

- Nie wiem. Wszystko co wiem, to że tak wyglądają fakty.

Z kolei twoje słowa potwierdzają, że Hitler, który wysiadł z samolotu po powrocie ze Smoleńska, nie był tym samym Hitlerem, który tam poleciał.

- Czy to jakiś spisek? - zastanawiała się na głos.

- Ludzie zawsze myślą o spiskach i konspiracji, a prawda bywa często całkiem prosta. Co utrzymuje w całości cały gmach władzy nazistów, co powstrzymuje generałów przed militarnym przewrotem?

- Fuhrer.

- Więc fuhrer musi pozostać na swoim stanowisku, cokolwiek się zdarzy. Bormann, Goebbels, Goering, Ribbentrop i wszyscy inni

- nie mówiąc już o Keitlu i Jodlu, całym aparacie S.S i gestapo -

będą żyli tak długo, jak długo żyje fuhrer!

- Myślisz, że...

- Daj mi skończyć. Gdyby nawet któryś z nich zaczął podejrzewać zamianę, czy ośmieliłby się pisać choć słówko na ten temat? Przyjąłby to po prostu do wiadomości, choćby ze względu na własny interes.

- A generałowie, którzy nie zgadzają się z Hitlerem? Na przykład Guderian.

- Jak często tacy ludzie widują fuhrera, odkąd zamknął się w Wilczym Szańcu i siedzi tam bez przerwy, z wyjątkiem wypadów do Berghofu?

- Bardzo rzadko, to prawda. Poza tym oni spodziewają się ujrzeć przed sobą właśnie fuhrera i nawet nie podejrzewają, że to mógłby być ktoś inny - powiedziała Christa wolno.

- Możliwe więc, że nigdy nie wpadnie im do głowy, iż jego miejsce zajął sobowtór, zwłaszcza jeśli przekonująco odgrywa swoją rolę. A sądząc z tego, co widziałem za pierwszym razem w Berghofie, ten anonimowy osobnik ma masę czasu na doskonalenie się w swojej sztuce.

- Jest jeszcze Ewa Braun - przypomniała mu Christa. - Ona od razu poznałaby się na oszustwie.

- Jaki byłby jej los po śmierci fuhrera? A przy okazji - co to za typ dziewczyny?

- Ładna lala o pustej głowie. Większość czasu spędza na makijażu i nie myśli o niczym poza strojami. Jest próżna i często narzeka, że fuhrer za mało się nią zajmuje.

- Tamten drugi był cały czas na miejscu i mógł uprzyjemnić

jej wolne chwile podczas długich okresów nieobecności fuhrera.

Mogli nawet być kochankami - wysunął przypuszczenie Lindsay. -

Cóż by się z nią stało, gdyby zabrakło fuhrera? - powtórzył.

- Zostałaby sama jak palec i prawdopodobnie wylądowałaby w rysztole - odpowiedziała Christa bez najmniejszego wahania.

-Żony dygnitarzy partyjnych, Ribbentropa, Goebbelsa i innych, nienawidzą jej. Boże święty, zaczynam sądzić, że możesz mieć rację. To by również tłumaczyło, dlaczego komendant Muller postarał się, aby nikt nie miał wstępu do tej części Berghofu.

- I dlaczego komendant Muller miał tak zwany wypadek, mniej więcej w tym samym czasie, gdy Bormann musiał dokonać zamiany.

Jestem pewny, że Muller został zamordowany. To nie było w jego stylu popełnić samobójstwo albo wypaść za balustradę. Zdaje się, że wspomniałaś kiedyś o jakiejś głośnej eksplozji w lesie, która nastąpiła właśnie wtedy, gdy oczekiwaliście powrotu fuhrera ze Smoleńska.

- To było jak wybuch bomby...

- Jego samolot musiał się rozbić - domyślił się Lindsay. -

Kto wyjechał na lotnisko na przyjęcie samolotu, który wkrótce potem przyleciał?

- Martin Bormann.

- Brunatna Eminencja. Zawsze jest u boku swego pana - i ma w rękę ogromną władzę dzięki formułce "Z rozkazu fuhrera". Tylko komuś mającemu taką władzę mogło się to udać.

- Myślisz, że katastrofa samolotu fuhrera była przypadkowa?

-spytała Christa.

- Jaka była wtedy pogoda?

- Straszna. Mgła sięgała czubków drzew. Powiedziano nam, że samolot skierował się na inne lotnisko.

- Jestem lotnikiem. Widziałem tę mgłę w Wilczym Szańcu.

Lądowanie w takich warunkach graniczyłoby z samobójstwem.

- Fuhrer zawsze był niecierpliwy. Prawdopodobnie zmusił pilota do lądowania.

- Zdajesz sobie sprawę, co to znaczy, jeżeli mamy rację?

Bormann wyśle hordy ludzi, którzy zrobią wszystko, byle tylko nas dopaść i zastrzelić na miejscu. Wiemy za dużo, żeby żyć.

Rozdział dwudziesty drugi

Nadszedł przełomowy poniedziałek - dzień spotkania z Paco.

Christa i Lindsay na wypadek wizyty S.S spędzili tę noc na strychu w śpiworach.

- Ależ szaro na dworze, spójrz - powiedziała Christa.

Odsunęła zasłonę malutkiego facjatkowego okna. Lindsay podszedł bliżej i wyrzał. Nad okolicznymi dachami górowały dwie gigantyczne kopuły kryte miedzią, powleczone zielonym nalotem.

Christa wskazała na nie mówiąc:

- To jest Frauenkirche.

- Dostyc blisko. Według planu, który oglądałem w Londynie, z przodu jest wielki plac. Czy o jedenastej rano będzie się tam kręcić dużo ludzi?

- Gospodynie domowe wędrujące od sklepu do sklepu, żeby trafić tam, gdzie właśnie była dostawa towaru. Ludzie rozchwytyją wszystko, gdy tylko się pojawi. Czy dzisiaj idziemy razem?

Będziesz już przecież w cywilnym ubraniu.

- Tak.

Nie był to zbyt dobry pomysł, bo mogli natknąć się na jakieś patrole, które z pewnością będą szukać kobiety i mężczyzny, ale Lindsay wyczuł, że Christa chce mieć go przy sobie, by dodać sobie otuchy.

Nie znał zresztą zamiarów Paco. Jeśli by mieli uciekać samochodem, to lepiej trzymać się razem, by móc wsiąść bez chwili zwłoki.

O wpół do jedenastej zjedli skromne śniadanie; które podała Helga. Wzbogaciła je hojnie dwoma dużymi kubkami kawy, tej od sierżanta Berga.

- Nie traci pani czasu - zauważył Lindsay.

Helga wstała znacznie wcześniej od nich. Rozłożyła esesmański mundur na sąsiednim stole i pocięła go nożycami o ząbkowanych brzegach na małe kawałki do spalenia. Metalowe guziki schowała do papierowej torebki.

- Wylądują w ścieku trzy kilometry stąd - wytłumaczyła.

Przy piecyku stało stare drewniane krzesło, na którym leżała wielka siekiera. Helga wskazała je ręką.

- Porąbię je na trzaski, wtedy łatwiej będzie spalić materiał.

Potem wybiorę popiół do innej torby i wyrzucę go do śmieci, też spory kawałek od mojego mieszkania.

Dała Lindsayowi do przymierzenia trochę starych rzeczy. Spodnie pasowały na niego, ale marynarki były przyciasne i miały trochę za krótkie rękawy.

- Nic nie szkodzi - stwierdziła Helga. - Dzisiaj w Niemczech nosi się wszystko, co wpadnie w ręce. Kłopot będzie z pana twarzą.

- Moją twarzą?

- Wygląda pan za młodo, mogą pana wziąć za dezertera.

-Przyniosła laskę, dzięki której wystawiła do wiatru Berga. -
Niech pan to weźmie i utyka. Był pan ciężko ranny i zwolniono pana z wojska jako niezdolnego do dalszej służby. W Anglii też pewnie jest podobnie - na ulicach roi się od kalek.

Lindsay wołał jej nie pozbawiać złudzeń. Brytyjska armia w przeciwieństwie do Wehrmachtu nie dostała się w tryby wojny z Rosjanami, która z ludzi robiła sieczkę. Nie walczyła z Kozakami, którzy, zamiast brać jeńców, w pędzie ścinałi szablami uniesione ręce.

Przyjrzał się w lustrze. Był zdumiony zmianą, jaka w nim zaszła.

Przyczyniły się do tego również jego jasne włosy, które nadawały mu iście germański wygląd. Wsunął lugera za pasek, zostawił marynarkę rozpiętą, by mieć większą swobodę ruchów, i zapiął płaszcz tylko na jeden guzik.

- To były rzeczy Kurta? - spytał cicho.

- Tak. Berg wiedział, że on tu jest, ale przymykał na to oko. "Do diabła - powiedział - wojna i tak jest zwariowana". Czy Anglik, który by spotkał Niemca na ulicy, od razu by go znienawidził? Albo odwrotnie? - Wyprostowała się. - Ty jesteś Anglikiem. I jak, nienawidzisz mnie?

- Na litość boską, po tym, co pani dla mnie zrobiła...

- Idźcie lepiej, bo się spóźnicie na spotkanie - rzuciła surowo przerywając mu w pół zdania.

Christa uściskała ją, podniosła walizkę i wybiegła z oczami pełnymi łez. Lindsay wziął swój bagaż i spojrzał na Helgę, która podniosła już siekierę i machnąwszy nią kazała mu odejść. Schodząc z trudem po upiornych schodach słyszał, jak zamyka od środka drzwi. W uszach zabrzmiało mu echo jej słów: "... bo się spóźnicie na spotkanie".

Ciotka Kurta zachowała się doskonale. Pożegnała ich krótko, jakby zwyczajnie szli coś załatwić, choć dobrze wiedziała, jakie napięcie musi ich dręczyć przed tym spotkaniem z niewiadomym.

Wysoko na strychu, którego okno wychodziło na Frauenkirche, agent Paco nastawił ostrość w lornetce i wolno omiótł wzrokiem Neuhauser - Kaufingerstrasse, zatrzymując się dłużej na placu przed wielkim kościołem. Przy jego wejściu kręcił się uliczny zamiatacz z wytartą miotłą w rękę. Obok stał niewinnie wyglądający kosz na śmieci. Zamiatacz powłócząc nogą sprzątał chodnik.

Paco sprawdził czas. Dziesiąta pięćdziesiąt pięć. Jeżeli angielski agent pojawi się dzisiaj, nastąpi to za pięć minut. Jak do tej pory nie dostrzegł w okolicy nic podejrzanego - przeszło tylko parę kobiet, brnąc w śniegu od sklepu do sklepu. Często zrywały się o szóstej rano, żeby jak najwcześniej wyjść na zakupy.

Paco zszedł po kręconych schodach z punktu obserwacyjnego na parter. Miał na sobie wytworny płaszcz z astrachanu * i równie efektowną czapkę, naciągniętą głęboko na czoło. W tym stroju

wydawał się dość tęgi i sprawiał wrażenie człowieka zamożnego.

Ze skrytki na parterze wyjął futerał skrzypiec. W środku leżał schmeisser z pełnym magazynkiem.

Christa szła pierwsza płataniną brukowanych uliczek. Lindsay podnosząc wzrok dostrzegał przelotnie od czasu do czasu bliźniacze zielone kopuły. Było to dla niego wskazówką, że zbliżają się do miejsca spotkania. Jak, u diabła, Paco miał zamiar bezpiecznie ich stąd wydostać? Rozmyślał o tym już od jakiegoś czasu. Skręcili w kolejny zaułek.

- Stop! Schowaj się! - Christa rzuciła ostrzeżenie i sama wcisnęła się w niszę jakichś drzwi.

Lindsay usłuchał, wsuwając prawą rękę pod marynarkę i zaciskając ją na kolbie lugera. Spojrzał na wylot uliczki, która dochodziła do większej arterii.

Przez prześwit przesunęła się jadąca wolno ciężarówka pomalowana w plamy kamuflażowe. Lindsay dostrzegł nawet wystające spod budy lufy karabinów, trzymany przez siedzących w środku żołnierzy.

Spojrzał na zegarek. Dziesiąta pięćdziesiąt osiem! Zanosił się na to, że się spóźni. Czy Paco będzie czekał - o ile się w ogóle stawi?

- Już dobrze! - krzyknęła Christa i ruszyła dalej.

- Skąd wiedziałaś? - spytał doganiając ją.

- Po jakimś czasie poznaje się odgłos silnika wojskowej ciężarówki. Mam tylko nadzieję, że nie obstawiają w tej chwili placu przed Frauenkirche.

- Tutaj często muszą się kręcić wojskowe wozy - powiedział

pokrzepiająco. - Daleko mamy jeszcze?

- Musimy przejść na drugą stronę tej ulicy, skręcimy w następną uliczkę - i już będziemy na miejscu.

- Teraz ja idę pierwszy. Jeśli będą jakieś kłopoty i tylko jedno z nas będzie mogło uciec z Paco, padło na ciebie.

- Nie! Nie mogłabym cię zostawić!

- Nie bądź taką cholerną kretynką i chociaż ty nie sprawiaj mi kłopotu!

Wyprzedził ją, lecz zdążył jeszcze zauważyć wyraz jej twarzy.

Christa była wstrząśnięta. Nigdy dotychczas tak się do niej nie odezwał. Wyszedł na ulicę, rozglądając się na obie strony. Przed pobliskim sklepem uformowała się długa kolejka, do której spiesznie dołączali następni ludzie. Nie było policji. Nie było wojska.

Przeszedł na drugą stronę i skręcił w wąską przecznicę. Za nim szybko stuknęły obcasy Christy, próbującej dotrzymać mu kroku. Zatrzymał się w uliczce i odwrócił. Objął Christę na chwilę, niezgrabnie, bo przeszkadzała mu trzymana w ręku walizka.

- Przepraszam - powiedział łagodnie - ale ktoś musi dotrzeć do Londynu z tą informacją. To bardzo ważne.

- Rozumiem.

Uśmiechnęła się dzielnie. Pocałował ją krótko, a ona zagryzła usta, żeby powstrzymać łzy.

- Nie będę dla ciebie ciężarem, Ian, przyrzekam.

- Ciężarem?! Dobry Boże, bez ciebie nigdy nie dotarłbym aż tak daleko. Chodź, musimy się naprawdę pospieszyć. Czy ten dzwon

bije jedenastą?

- Tak. Frauenkirche jest na końcu uliczki.

"W takich chwilach można się spodziewać nerwowego napięcia i gwałtownych emocji - pomyślał Lindsay krocząc szybko cienistą uliczką z Christą deptającą mu po piętach. - I nie zawsze starcza zimnej krwi, by je opanować. Żeby tylko ona się nie zakochała. To już byłoby doprawdy za wiele szczęścia naraz".

Wyszli na otwartą przestrzeń. Dotąd przemykali się jak szczury wąskimi zaułkami i ten odkryty plac wydał się im przerażający.

Człowiek czuł się tu bezbronny, zewsząd wystawiony na atak. Lindsay przystanął, żeby rozejrzeć się wokół.

Ogromny gmach Frauenkirche piętrzył się, zasłaniając niebo, po ich prawej stronie. Przed nimi przejechał wolno, warkocząc silnikiem, volkswagen z pokracczym, przymocowanym do maski zbiornikiem na paliwo syntetyczne. Trochę dalej stał zielony mercedes. Szofer w liberii otworzył właśnie tylne drzwi przed jakąś postacią w eleganckim płaszczu z astrachanu i wysokich butach.

Bliżej Frauenkirche parkował przy chodniku duży wóz dostawczy z otwartą maską, pod którą grzebał kierowca. Nic nie działało teraz sprawnie przez dłuższy okres czasu. Większość wykwalifikowanych mechaników była na froncie. Niedaleko jakiś człowiek zmiatał bruk, powłócząc nogą. Lindsay podszedł pod fasadę Frauenkirche, lewą ręką włożył do ust na pół wypalonego papierosa, zaciągnął się nim parę razy i zgasił niedopałek obcasem lewego buta.

Niebo przestaniały wiszące nisko szare chmury. Zaczęła padać lekka, przejmująco zimna mżawka, która rozsnuła nad miastem mglisty welon. Ta posępna aura fatalnie działała na nerwy. Lindsay zastanawiał się, jak długo może tak stać bez wzbudzania czyichś podejrzeń.

Zielony mercedes ruszył z miejsca i szybko jechał w ich kierunku.

Lindsay patrzył, jak się zbliża - wydawało się mało prawdopodobne, żeby...

- Dokumenty!

- Uwóżaj, Ian...! - Usłyszał desperacki krzyk Christy. - Za tobą!

Sukinsyny, schowali się w kościele. Dwóch esesmanów. Wyższy z nich butnie wyciągał rękę po żądane dokumenty. Drugi, niski i tłusty, przycisnął łokciem pistolet maszynowy i wymierzył lufę w Lindsaya.

Lindsay obrócił się błyskawicznie, w ułamku sekundy dostrzegł obu żołnierzy, gdy nagle jego uwagę odwrócił jakiś ruch przy Frauenkirche. Kierowca wyjął głowę spod maski wozu dostawczego, a z tyłu wyskakiwali uzbrojeni w karabiny ludzie w szarych mundurach.

W którą stronę uciekać?

Wtem rozległ się przeraźliwy pisk opon i zgrzyt hamulców. Zielony mercedes wjechał na brzeg chodnika tuż obok nich. Pasażer z tyłu otworzył gwałtownie drzwiczki.

Zamiatający ulicę inwalida nagle przestał kuleć, rzucił miotłę i zaczął grzebać w swoim koszu na kółkach. Wyprostował się

trzymając w obu rękach jakieś przedmioty. Lindsay rozpoznał w nich ręczne granaty.

Przeleciały w powietrzu i upadły przed nawałą szaro ubranych żołnierzy z wozu dostawczego. Odgłos głuchych detonacji niósł się po placu. Żołnierze padli na wszystkie strony w dziwnych akrobatycznych pozach, wyrzucani w górę jak bezwładne kukły, koziółkowali upuszczając karabiny. Zamiatacz rzucił trzeci pocisk, który upadł niemal w tym samym miejscu, i chmura ciemnego dymu zastoniła ciężarówkę i dziesiątkowanych żołnierzy. Świeca dymna...

Z tyłu mercedesa wysunęła się czyjaś ręka i złapała go za przegub.

Jakiś głos krzyknął rozkazująco po angielsku:

- Wsiadaj, durniu! Chcesz, żebyśmy wszyscy zginęli?

- Najpierw dziewczyna...

Lindsay odwrócił się, żeby chwycić Christę i rzucić ją w razie potrzeby głową naprzód do środka wozu. Nie było jej przy nim. Nagle ujrzał straszliwy widok. Zawył jak dzikie zwierzę.

Cisnął walizkę na chodnik. Owinięta w płaszcz z astrachanu postać, która rzuciła mu ostre polecenie, wciąż wczepiała się w jego lewą rękę żelaznym uściskiem. Lindsay drugą ręką wydobył lugera i wycelował. Był niemal oszalały z przerażenia.

Jeden z esesmanów - ten niski, opasty wieprzek - kierował już pistolet maszynowy w stronę Lindsaya, chcąc przeciąć go na pół serią.

Lecz na linii ognia stanęła Christa. Zastłaniała go własnym ciałem.

Esesman nacisnął spust i wpakował w nią połowę magazynka.

Upadła do przodu, obejmując rękami brzuch. Krew zalewała chodnik.

Ponad skulonym ciałem dziewczyny stał gruby esesman.

Podniósł lufę.

Lindsay strzelił mu dwukrotnie w twarz. Trafił. Jego ręka nawet nie drgnęła.

Wystrzelił po raz trzeci, ale w tym momencie człowiek w mercedesie, trzymający go za drugą rękę, szarpnął gwałtownie i strzał poszedł w bok. To nie miało znaczenia. Zabójca leżał już na chodniku obok swojej ofiary.

- Jeśli natychmiast nie wsiądziesz, własnoręcznie cię zastrzelę - warknął ktoś po angielsku. - Ona nie żyje, nie widzisz tego?

Wsiadł do samochodu i zatrzasnął drzwiczki. Teraz zaczął uświadamiać sobie, co dzieje się wokół. Zamiatacz chwycił jego walizkę i wskoczył na miejsce koło kierowcy. Ruszyli.

Lindsay obrócił się i spojrzał błędnym wzrokiem przez tylną szybę.

Zobaczył Christę po raz ostatni - podziurawioną kulami, skuloną sylwetkę na chodniku. Miał nadzieję, że zginęła natychmiast. Jej smukłe nogi, były rozrzucone pod dziwnym kątem.

- Ocaliła mi życie - powiedział.

To stwierdzenie nikogo nie zainteresowało. Napędzany potężnym silnikiem mercedes jechał w wariackim tempie po ulicach Monachium.

Człowiek w futrzanym płaszczu, siedzący obok Lindsaya,

trzymał na kolanach pistolet maszynowy, a na podłodze leżał otwarty futerał skrzypiec, z którego zapewne go wyjął.

Lindsaya przestało obchodzić, czy uda im się zmylić tropy. Myślał wciąż o Chrście, która zasłoniła go niczym żywa tarcza, mimo że kilka chwil wcześniej tak szorstko ją potraktował. Wóz zwolnił skręcając w pustą ulicę, a potem zarzucając nieco wjechał w ślepy zaułek.

Jakaś ręka dotknęła jego dłoni. Spuścił wzrok i zdał sobie sprawę, że wciąż ściska lugera, którego dała mu Christa. Zupełnie o nim zapomniał. W głosie jego towarzysza zabrzmiała dezaprobata.

- Jest wciąż odbezpieczony.

- Dobra! Dobra!

Zasunął bezpiecznik i wbił wzrok przed siebie. Byli już prawie przy końcu zaułka. Dostrzegł otwarty garaż. Samochód wjechał do środka, stanął. Szofer wyskoczył zza kierownicy na betonową podłogę, zamknął drzwi garażu. Nikt nie odezwał się słowem. Zapłonęło górne światło.

W powietrzu czuć było smród benzyny.

Postać w futrzanym płaszczu i czapce obeszła samochód i spojrzała bacznie na Lindsaya. Była tego samego wzrostu co on.

- Mieliśmy zabrać tylko ciebie. Kim była ta dziewczyna?

-Pytanie zostało zadane ostrym tonem.

- Niemka, sekretarka Hitlera. Bez jej pomocy nie mielibyście czego zabierać.

- C'est la guerre...

Postać w płaszczu z astrachanu ściągnęła z głowy czapkę, odsłaniając gęste, jasne włosy, kształtny nos, mocno zarysowany

podbródek i zielonkawe oczy. Lindsay ujrzał przed sobą kobietę. Mogła mieć dwadzieścia kilka lat. Trzymała się bardzo prosto i była piękna.

- Jestem Paco - przedstawiła się. - Pierwsza część zadania za nami. Teraz musimy jedynie przerzucić cię za linię frontu. Banalnie proste, co?

Rozdział dwudziesty trzeci

- Utworzymy specjalny ośrodek dowodzenia, którego jedynym celem będzie wytropienie dwojga uciekinierów! Ja sam obejmę dowództwo! - perorował z namaszczaniem Bormann. Nosił jak zwykle swój partyjny mundur, ze spodniami wsuniętymi w wysokie buty. Jego kwadratowa, nalana twarz była zaczerwieniona. Urwał w połowie zdania widząc, że fuhrer skrzywił się z dezaprobatą.

- Ależ, Bormann - powiedział łagodnie i z pewnym rozbawieniem - tu nie chodzi o walkę z Żukowem i jego sowieckimi dywizjami.

Mówimy o dwojgu ludziach.

Narada wyraźnie utknęła w miejscu, schodziła na czczej gadanie, a cały ten bałagan był winą rechsleitiera. Bormann poruszył kwestię Lindsaya, a w dodatku zaprosił na to spotkanie niewłaściwych ludzi. W Berghofie ośmiu mężczyzn siedziało w wielkim salonie, za którego słynnym panoramicznym oknem rozciągał się bajkowo piękny pejzaż.

Keitel i Jodl siedzieli obok siebie na sofie, mało się troszcząc o ukrycie swej irytacji. Pozostałą czwórkę stanowili

pułkownik Jaeger ze swoim zastępcą Schmidtem, przedstawiciel gestapo, Gruber, i Gustaw Hartmann z Abwehry.

- Tak jest, mein Fuhrer - przytaknął pośpiesznie Bormann.

Odchylił się w tył na krześle i skrzyżował przed sobą krótkie, grube nogi. W tej chwili rozległ się przeraźliwy dzwonek telefonu.

Bormann poderwał się i przycisnął słuchawkę do ucha.

- Tak, Mayr, tu Bormann. Złapaliście ich?

Zapanowała cisza, gdy słuchał relacji. Hartmann, obserwując jego twarz, mógł z całą pewnością przepowiedzieć, co się stało. Umierał z chęci zapalenia fajki, lecz w obecności Hitlera nie było o tym mowy.

Ach, mniejsza o to! Mina reichsleitiera stanowiła widok jedyny w swoim rodzaju, co wynagrodziło Hartmannowi zakaz palenia.

- Mayr, to niemożliwe! - zaprotestował Bormann. - Nie dzwoniłem do was z żadnymi danymi o spotkaniu Lindsaya z agentem aliantów! Co tam się dzieje? Dlaczego nie sprawdziliście rozmowy?

Zaczekajcie chwilę...

Zasłonił pulchną dłoń mikrofon i oszołomiony spojrzął na pozostałych.

- Ktoś z Berghofu zadzwonił do Mayra podając się za mnie.

-Jego wzrok zatrzymał się na Keitlu i Jodlu.

Keitel z brodą opartą na czubku buławy wpatrywał się w przestrzeń, jakby Bormann w ogóle nie istniał. Jodl założył ręce na piersi i mierzył Bormanna ponurym spojrzeniem. Atmosfera była napięta. Bormann wrócił do rozmowy.

- Słuchajcie, Mayr! - wybuchnął. - Mówicie, że ktoś podający się za mnie powiedział wam o tym spotkaniu, że podjął pan odpowiednie działania i że Lindsay się pojawił - przyjmuję więc, że go macie...

Dobrze, mówcie dalej...

Pozostali mężczyźni siedzieli w milczeniu. Fuhrer oglądał swoje paznokcie ze znudzoną miną. Hartmann zachowując nieruchomą twarz radował się w duchu całą sceną.

- Czy dobrze słyszałem? Dziś przed południem? - W głosie Bormanna brzmiało niedowierzanie. - Proszę chwilę poczekać.

-Podniósł wzrok. - Przed Frauenkirche była masakra, wielu żołnierzy zostało zabitych.

- Daj mi słuchawkę! - warknął Hitler.

Nastąpiła jedna z jego raptownych zmian nastroju. Obojętność znikła bez śladu. Wyprostował się energicznie.

- Mówi fuhrer. To trwa zbyt długo. Opowiedzcie w kilku słowach, co się stało.

Słuchał z uwagą, od czasu do czasu kwitując treść relacji krótkim "tak" lub "nie". "To obala kolejny mit o fuhrerze

-pomyślał Hartmann - jako o osobie niezdolnej do słuchania

innych". Wyciągnął fajkę i nie zapalając wsadził ją w usta.

Hitler, gdy temat go interesował, był jednym z najuważniejszych słuchaczy na świecie.

- Zróbcie, co w waszej mocy, Mayr - powiedział fuhrer na zakończenie. - Zarzucie wielką sieć, zgodnie z waszą propozycją:

Ten Anglik nie może opuścić Niemiec. Chciałbym, aby go wzięto żywcem. Proszę regularnie zdawać Bormannowi sprawę z

postępów.

Zróbcie, co w waszej mocy, Mayr.

Założywszy ręce do tyłu zaczął chodzić nerwowo po ogromnym salonie. Ułynęło kilka długich minut.

- Zdarzył się okropny wypadek - rzekł wreszcie. - Christa Lundt, moja ulubiona sekretarka, została zastrzelona.

- Przez tego Anglika... - wpadł mu w słowo Bormann.

- Nie! - Hitler rzucił mu pogardliwe spojrzenie. - Byłbym wielce wdzięczny, gdybyście siedzieli cicho, Bormann, dopóki nie skończę mówić. A może i panów zainteresuje, że Christa została zabita przez żołnierza S.S.

Hartmann spojrzał na twarz pułkownika Jaegera i na własne oczy ujrzał, jak odpływa z niej krew. Fuhrer wykorzystał tragiczną wiadomość, żeby wprawić w drżenie niemal wszystkich obecnych. Teraz zatrzymał się przed Gruberem, który zaczął podnosić się z miejsca.

- Siadać! - warknął Hitler. - Opierając się na informacji otrzymanej przez telefon, zastawiono dziś rano pułapkę. Nieobecność gestapo rzucała się w oczy, tak jakby nie mieli pojęcia, co się dzieje pod ich nosem.

Odwrócił się nagle i wbił oczy w Hartmanna. Oficer Abwehry odpowiedział mu nieruchomym spojrzeniem, ściskając w zębach pustą fajkę. Nastrój Hitlera zmienił się z tą samą zaskakującą szybkością.

Fuhrer zwrócił się do Hartmanna spokojnym tonem:

- Czy Abwehra wiedziała cokolwiek o tej sprawie? O jakimś spotkaniu wyznaczonym Lindsayowi w centrum Monachium?

- Absolutnie nic, mein Fuhrer. W przeciwnym razie pan byłby pierwszą osobą, która by się o tym dowiedziała.

To akurat niekoniecznie musiało być prawdą, lecz sposobność zakasowania gestapo i S.S była zbyt dobra, żeby ją przegapić. Fuhrer skinął głową, jakby chciał powiedzieć, że tego właśnie się spodziewał, a potem krótkim gestem odprawił zebranych.

- Radźcie sobie z tym według własnego uznania, Bormann.

Zostawiam tę pożałowania godną historię w waszych rękach. Proszę dopilnować, żeby rodzinie Christy Lundt wysłano w moim imieniu kwiaty i kondolencje. Idę odpocząć do swojego pokoju.

Hitler wyszedł w asyście Keitla i Jodla, a w salonie rozpętała się wielka bitwa między dwiema organizacjami, z których każda chciała wywalczyć sobie prawo do ścigania Anglika. Gestapo i S.S w osobach swoich przedstawicieli - Grubera i Jaegera - skoczyły sobie do oczu w obecności milczącego Hartmanna.

Był to typowy chwyt Bormanna, przejęty od fuhrera - występowanie w roli arbitra i wygrywanie antagonizmów pomiędzy różnymi ośrodkami władzy. Bormann ustalił podstawowe reguły gry wydawszy Mayrowi przez telefon nowe instrukcje.

- Mayr, ten podpułkownik RAF - u, Lindsay, jest szpiegiem.

Należy go na miejscu zastrzelić. Zrozumiano? Z rozkazu fuhrera!

Rzucił słuchawkę i Hartmann niemal oczekiwał, że wypręży się w nazistowskim salucie. Zdecydował, że pora na jedną z jego rzadkich interwencji.

- Herr Reichsleiter, ten rozkaz jest błędny. Fuhrer osobiście powiedział Mayrowi, że chce mieć więźnia żywego.

- To było wcześniej - warknął Bormann. - Później, gdy w pełni zdał sobie sprawę z powagi sytuacji, powiedział mi wyraźnie, żebym postępował według swego uznania. Wy też, Hartmann, macie swój udział w tej sprawie. Przysłuchiwaliście Lindsaya, znacie go.

Od tej chwili poświęćcie się wyłącznie zlokalizowaniu tego angielskiego szpiega. Macie go ścigać choćby na koniec świata...

- W takim razie potrzeba mi dużo pieniędzy - wtrącił szybko Hartmann.

- Będziecie mieli do swojej dyspozycji nieograniczone fundusze.

Gruber, jakie środki proponujecie podjąć?

- Zarządzić blokadę całego Monachium: Wszystkie drogi wyjścia muszą zostać odcięte.

- To nie wystarczy - przerwał Jaeger. Rozłożył na stole mapę Bawarii i dźgnął w nią palcem. - W jakim kierunku może udać się Lindsay? To jest klucz do całej operacji i sądzę, że znam odpowiedź.

- No? - ponaglił go Bormann.

- Do Szwajcarii! Musimy obsadzić gęsto naszymi oddziałami teren między Monachium i granicą szwajcarską. Wszystkie pociągi na tym obszarze powinny być pod nadzorem specjalnych grup inspekcyjnych ubranych po cywilnemu. To wymaga skoncentrowania naszych sił. Trzeba ustawić zapory na każdej drodze wiodącej do granicy.

Wszystkie lotniska muszą być dyskretnie - powtarzam: dyskretnie -strzeżone, żeby wpaść w pułapkę.

- Po co zawracać sobie głowę lotniskami? - zaproponował

Gruber.

- Zapomniał pan, że Lindsay jest lotnikiem? - Jaeger

spojrzał na niego ze szczyptą pogardy. - I że przewieziono go z Berghofu do Wilczego Szańca junkersem 52? Mógł wykorzystać ten czas na obserwację, jak prowadzi się ten typ samolotu.

- Rozumiem - wymamrotał Gruber i przycichł.

Hartmann, który siedział w milczeniu i pykał z fajki, mimo woli podziwiał energię i zdolności organizacyjne pułkownika S.S. Jednakże jego własne przedwojenne doświadczenie prawnika specjalizującego się w sprawach kryminalnych skłaniało go do poszukiwania konkretnych dowodów, a nie przesłanek. Zadał więc pytanie:

- Opiera pan cały plan na przypuszczeniu, że Lindsay uda się do Szwajcarii?

- Czy to nie jest logiczne? - natarł na niego Jaeger. -

Starąłem się postawić w sytuacji przeciwnika, tak jak na froncie.

Ma pan coś do dodania?

- Wolę posłuchać pańskich precyzyjnych planów - odparł dwuznacznie major Abwehry.

- Wy, Hartmann - wtrącił Bormann - macie działać w pojedynkę. Liczymy, że skontaktujecie się via Berlin z agentami Abwehry na terenie Szwajcarii. Wszystkie informacje, jakie otrzymacie, mają być przekazane pułkownikowi Jaegerowi.

- Proszę mi powiedzieć, co dokładnie zdarzyło się dziś rano w Monachium? Użył pan słowa "masakra".

- Mayr spieprzył robotę. Oto, co dokładnie zaszło...

Hartmann słuchał z uwagą szczegółowego sprawozdania Bormanna z rozmowy telefonicznej z Monachium. Pułkownik Jaeger zdążył się już ponownie połączyć z Mayrem i bombardował go gradem rozkazów.

Gdy Bormann dotarł do końca opowieści, Hartmann zmarszczył brwi w zamyśleniu, co rozdrażniło reichsleitiera.

- O co znów chodzi, Hartmann?

- Ten opis brzmi niepokojąco. Ucieczka Anglika została zaplanowana błyskotliwie, jak operacja wojskowa. Zamiatacz ulic obrzuca naszych ludzi granatami i świecami dymnymi - znać w tym rękę profesjonalisty.

- Tak nazywacie ten bandycki napad?! - wrzasnął Bormann.

-Zginęło wielu naszych ludzi!

- Co więcej - ciągnął Hartmann - nie mamy rysopisów tej trójki, która zdmuchnęła nam Lindsaya sprzed nosa pomimo starannie przygotowanej pułapki. Wygląda na to, że przywódcą jest człowiek ubrany w płaszcz i czapkę z astrachanu. Brak dokładniejszego opisu.

Poza nim mamy zamiatacza i szofera w mercedesie. O ich wyglądzie również nic nie wiemy. Skąd, do diabła, wytrzasnęli mercedesa?

- Najwyraźniej go ukradli! - wtrącił Gruber, który za wszelką cenę chciał się włączyć do rozmowy.

- Możliwe, Gruber - przytaknął ugodowo Hartmann. - Spodziewam się, że gestapo, mające olbrzymi budżet i nie wiedzieć ilu pracowników, wie coś o grupach z podziemia działających w rejonie Monachium. Może podzieli się pan z nami tymi informacjami?

Gruber, który nagle znalazł się w centrum uwagi, poczuł się nieswojo. Bormann patrzył na niego wyczekująco. Jaeger właśnie skończył rozmowę z Monachium i również wpatrywał się w niego.

- Krąży wiele plotek, musimy je sprawdzić. W czasie wojny... zaplątał się.

- Gruber! - Głos Bormanna ociekał sarkazmem. - O tym, że jest wojna, wiem i bez waszych informacji. Wszyscy pracujemy w tych samych warunkach, lecz mimo to wykonujemy swoje obowiązki.

- Mam na myśli jakąś konkretną grupę, Gruber - nalegał łagodnie Hartmann. - Mogą to być sabotażyści - a w takim razie można do nich dojść po śladach materiałów wybuchowych. Jeśli to szpiegdy, wasza sekcja nasłuchu mogła wykryć nielegalne transmisje radiowe. W przypadku komunistów łatwo trafić na antynazistowską propagandę. Więc?

Nawet Bormann, choć niechętnie, musiał czuć podziw widząc, jak oficer Abwehry przypiera Grubera do ściany. Gruber wciągnął głęboko powietrze. Jego twarz była mokra od potu.

- Nie wiadomo nam o żadnej takiej grupie - warknął. - Zabójcy najwyraźniej przybyli skądś z daleka, przejęli Anglika i uciekli...

- Najwyraźniej! - ryknął Jaeger. - Skąd mogli wiedzieć, który dzień wybrać na akcję? Lindsay był w Niemczech dość długo, a większość tego czasu spędził w Wilczym Szańcu! To jasne, że ci ludzie czekali w Monachium, aż się do nich przedrze - a gestapo nie miało pojęcia o ich istnieniu! Karygodna niekompetencja!

- Powtórzę tę obelgę reichsfuhrerowi Himmlerowi - wysapał gniewnie Gruber. - Pańska uwaga graniczy ze zdradą stanu.

- Niech tam! - Jaeger machnął pogardliwie ręką. - Gdy pan będzie gawędził z Himmlerem, ja skieruję swoją energię na bardziej pożyteczne tory. Spróbuję nie tylko wytropić tego Anglika, lecz również zgarnąć tę trójkę dywersantów i szpiegów, którzy działali pod pana nosem!

Tylko Hartmann dostrzegł chytre zadowolenie na twarzy Bormanna. Powstały konflikt był wodą na młyn jego taktyki dzielenia i neutralizowania władzy potencjalnych rywali. Gruber i Jaeger łypali na siebie gniewnie. Bormann zainterweniował, tym razem łagodnym i rzeczowym tonem:

- Zgadzam się, że obmyślony przez pułkownika Jaegera plan zablokowania szwajcarskiej granicy brzmi rozsądnie: Z drugiej strony jestem pewien, że gestapo, które dysponuje tak potężną siłą, będzie miało istotny wkład w powodzenie całej akcji. Uważam spotkanie za skończone.

Trzej mężczyźni wyszli z salonu. Hartmann został sam. Wstał i pochylił się nad dużą mapą, rozłożoną przez Jaegera na stole. Będąc samotnikiem, nabrał zwyczaju mruczenia do samego siebie w celu uporządkowania myśli.

- Ostatnią rzeczą, jakiej można się spodziewać, jest powrót Lindsaya i jego wybawców do Salzburga... W końcu Lindsay tylko co stamtąd wyjechał... To zależy od tego, na ile są bystrzy...

Ustnikiem fajki przesunął po trasie z Monachium do Salzburga i dalej. Następnym dużym miastem był Wiedeń.

- Pułkownik Lindsay, teraz jest pan bezpieczny. Pasuje pan do rysopisu, jaki nam przekazano - oznajmiła Paco po wymianie

hasła, z którym Browne zapoznał go w Londynie.

- A gdybym nie pasował? - spytał Lindsay.

- Ja bym cię udusił. - Tej pokrzepiającej odpowiedzi udzielił człowiek w liberii szofera. - To cichy sposób i nie marnuje się kul.

- Nie waż się tak więcej odzywać do naszego gościa! -

krzyknęła na niego Paco, która najwyraźniej kierowała grupą. - Jest ważną osobistością i bratankiem brytyjskiego księcia.

Od chwili gdy Lindsay został wciągnięty do mercedesa, który po szalonym rajdzie przez miasto skrył się w garażu, minęło pół godziny.

Paco otworzyła zamaskowane drzwi w szafie z tyłu garażu. Za nimi znajdowały się schody prowadzące do piwnicy. Był tam duży pokój z dwiema piętrowymi pryzkami, stojącymi pod przeciwległymi ścianami.

Kiedy tajne drzwi zostały zamknięte - wykonano je z arkusza grubej blachy i masywnych desek, tak aby nie można było wykryć różnicy w wypełnieniu ścian, choćby ktoś opukiwał je długo i wytrwale - Paco przedstawiła swoich towarzyszy.

- To jest Bora - rzekła wskazując szofera o posępnym wyrazie twarzy. - Dobrze mówi po angielsku. Bora, przywitaj się, Bora dorównywał wzrostem Lindsayowi i miał około trzydziestki. Żle mu z oczu patrzyło i Anglik od razu poczuł do niego niechęć. Na szczęście był na tyle przewidujący, że wyciągając rękę naprężył mięśnie, gdyż Bora miał uścisk zapaśnika i włożył w niego całą siłę.

- Spokojnie, Bora - powiedziała cicho Paco. - Widziałam to.

- Zdaje się, że bora to porywisty, suchy wiatr znad

Adriatyku -zauważył Lindsay.

- Teraz już wiesz, dlaczego daliśmy mu taki pseudonim

-stwierdziła i odwróciła się do drugiego mężczyzny. Ten miał około czterdziestki, ogorzałą twarz i wesoły błysk w przebiegłych oczach. -To jest Milić. Również zna angielski, lecz nie spodziewaj się cudów.

- Milić jest bardzo zadowolony spotkać Anglika... Dziewczyna zastrzelony przez Niemcy była bliski przyjaciel?

- On chce wiedzieć, czy byłeś w niej zakochany - wtrąciła Paco z charakterystyczną dla siebie bezpośredniością - Więc jak, byłeś?

- Nie - odparł zwięźle Lindsay.

- Ale myślę, że ona cię kochała - ciągnęła Paco ciepłym głosem, dziwnie kontrastującym z energicznym zachowaniem i dumną, wyprostowaną postawą. Jej nieruchome, czujne oczy obserwowały go bacznie.

- Takie tragedie się zdarzają - odparł wymijająco Lindsay.

- "Jakże często jedno kocha, a drugie tylko kochać się daje".

Wasz pisarz, Somerset Maugham, powiedział chyba coś w tym rodzaju. - Nagle zmieniła temat. - Powiem ci co nieco o sobie.

Paco (był to rzecz jasna pseudonim) miała dwadzieścia siedem lat.

Jej matką była Angielka, a ojcem Serb, profesor filologii na belgradzkim uniwersytecie. Spędziła kilka lat w Godolphin, angielskiej szkole z internatem, studiowała w Szwajcarii, a potem

wróciła do Jugosławii.

Znała świetnie angielski, niemiecki i serbskochorwacki.

- Moi rodzice zginęli podczas bombardowania Belgradu. W ciągu jednej nocy zostałam sierotą. Nie ma co się rozczulać, panie pułkowniku, to się przydarzyło wielu ludziom również w Anglii. Przyłączyłam się do partyzantów. W Jugosławii kobiety są przyzwyczajone do obchodzenia się z bronią niemal tak samo jak mężczyźni. Moja znajomość niemieckiego okazała się przydatna, dzięki niej mogę działać w Trzeciej Rzeszy.

- Musicie mieć jakąś drogę łączności, by kontaktować się z Londynem - spróbował wysondować Lindsay.

- Nie wszystko musisz wiedzieć - powiedziała Paco szorstko.

-Ale parę informacji o ludziach, od których zależy teraz twoje życie i których życie w krytycznej chwili może zależeć od ciebie

- ułatwi nam działanie w grupie. Pragnę zauważyć, panie pułkowniku, że jest pan nowicjuszem w tej niebezpiecznej grze.

- W końcu uciekłem z Berghofu! - warknął Lindsay.

- To prawda. - Przyglądała mu się swymi zielonkawymi oczami.

- Uważam to za jak najlepszy omen na przyszłość. - Znów wróciła do surowego, rzeczowego tonu. - Bora. Ma na swoim koncie wielu Niemców i nikomu nie ufa. Jego żona zginęła podczas tego samego nalotu co moi rodzice. Moim zdaniem jako bojownik odnalazł swoje prawdziwe powołanie. Dawniej był stolarzem i robił piękne krzesła. Trudno w to uwierzyć, co?

- Wydaje ci się to zabawne, Paco? - rzucił zaczepnie Bora, przerywając czyszczenie pistoletu maszynowego.

- Wydaje mi się dziwne, że wykorzystujesz teraz swoją

zręczność przy montowaniu urządzeń wybuchowych. Kiedyś tworzyłeś, teraz niszczysz.

- Taka jest wojna.

Dziewczyna ani trochę nie przejęła się napastliwością Bory.

Gdy zapalała papierosa, Lindsay uderzył niezwykle spokoj, który zdawał się jej nigdy nie opuszczać. Przyglądała jasne włosy - patrząc na trzeciego członka oddziału.

- Milić z kolei - ciągnęła łagodniejszym tonem, zdradzającym dużą sympatię - był kamieniarzem i pracował kiedyś w kamieniołomach. Nie ma pojęcia, co się stało z jego żoną i dwójką dzieci.

Wojna wybuchła, kiedy jego rodzina była na wakacjach w Zagrzebiu.

Milić jest bardzo silny i świetnie umie panować nad sobą, jeżeli rozumiesz, o co mi chodzi.

- Chyba tak - odrzekł Lindsay nie patrząc na Borę.

- Musimy działać szybko i wydostać cię z Niemiec, zanim ich wspaniały aparat ścigania zdąży się pozbierać i zorganizować. Nie później niż dziś w nocy.

- To szybko - przyznał Lindsay.

- Mam nadzieję, że wystarczająco szybko. Możesz tu zostać.

Milić i ja musimy wyjść, żeby sprawdzić co się święci, zanim przerzucimy cię w bezpieczne miejsce.

- Można spytać, gdzie to jest?

- W Szwajcarii.

Pułkownik Jaeger podparłszy się pod boki lustrował wnętrze

głównego dworca w Monachium. Zimny wiatr, który porywał ze sobą śmieci leżące na torach, przenikał na wskroś. Jaeger był zadowolony, że ma na sobie podbity futrem płaszcz wojskowy. Właśnie podszedł jego zastępca, Schmidt, zabijając ręce dla rozgrzewki.

- Wszystkie zapory na trasach do Szwajcarii zostały obsadzone - powiadomił swego przełożonego. - Jak zawsze rozpaczliwie brakuje nam ludzi, lecz mamy pewność, że zbiegom nie uda się prześliznąć szosą.

- Ani kolejną - dodał Jaeger. - Do każdego pociągu jadącego do Szwajcarii wsiądzie specjalna grupa. Mają rysopis Anglika i rozkaz sprawdzania dokumentów wszystkich pasażerów, niezależnie od tego, jak wyglądają. Możemy złowić jeszcze inne ciekawe ryby w tę sieć...

Urwał. Schmidt podążył za jego wzrokiem. Jeden z patroli właśnie zatrzymał wysoką, młodą blondynkę w kosztownym, skórzanym płaszczu i pasującej do niego czarnej, futrzanej czapce, nasadzonej na czubek głowy. Zerknęła w ich stronę, napotkała spojrzenie Jaegera i dalej prowadziła rozmowę z dwójką żołnierzy.

- Piękna - rzekł z podziwem Jaeger. - Może tej damie przyda się niewielka pomoc z mojej strony.

Zostawił uśmiechającego się cynicznie Schmidta i ruszył w jej stronę. Pułkownik znany był z sokolego oka, jeśli chodzi o kobietą urodę. Na widok Jaegera żołnierze wyprężyli się służbiście i zaszalutowali.

- Czy ma pani jakieś kłopoty? - spytał uprzejmie.

- Ci ludzie przyczepili się do mnie. - Paco obdarzyła go

przeciągłym spojrzeniem. - Baronowa Werther - przedstawiła się
-jestem siostrzenicą generała Speidla...

- Sam się tym zajmę - Jaeger odprawił swoich ludzi krótkim gestem i nie odrywając oczu od Paco, niedbale podniósł rękę do czapki, gdy mu zaszalutowali na pożegnanie. - Prowadzimy poszukiwania angielskiego szpiega - wyjaśnił - i dlatego moi ludzie czasami okazują nadmierną gorliwość.

- Czy według pana wyglądam na szpiega, panie pułkowniku?

-spytała Paco kokieteryjnie.

- Oczywiście, że nie, pani baronowo - zapewnił z ukłonem Jaeger. Dziewczyna z miejsca wywarła na nim wielkie wrażenie, a uważał się za coś w rodzaju konesera płci pięknej. Na ogół nastawiony był raczej sceptycznie do całej propagandy wyższości aryjskiej rasy, co uznawał za dęte frazesy, lecz teraz, gdy patrzył na blond zjawisko, po raz pierwszy przyszło do głowy, że może być w tym jakiś sens. - Skoro ma pani wojskowe koneksje, może wolno mi będzie zaprosić panią na obiad, abym mógł dać jakieś zadośćuczynienie za niewygody, na jakie była pani narażona. Mam zarezerwowany na stałe stolik w Czterech Porach Roku...

Sam był nieco zaskoczony tym nieoczekiwanym zaproszeniem, a jeszcze bardziej zdumiało go, że niemal z zapartym tchem czeka na jej odpowiedź. Bez pośpiechu obrzuciła go badawczym wzrokiem, rozważając propozycję. Jaeger nabrał pewności, że usłyszy odmowę.

- Czy taki jest naprawdę powód pańskiego zaproszenia, panie pułkowniku? Aby wyrazić przeprosiny?

Rozmyślnie kazała mu czekać i trzymała go w niepewności.

Było to śmieszne, lecz naprawdę zależało mu, by lepiej ją poznać

- zawojowała go zupełnie.

- To będzie dla mnie zaszczyt - odparł szczerze - wejść do Czterech Pór Roku w pani łaskawym towarzystwie. Chodzi o zwykły obiad - słowo oficera.

- I dżentelmena? - Paco uśmiechnęła się, żeby nie wyczuł w jej żartobliwej odpowiedzi ładu ironii. - Będzie mi bardzo miło przyjąć pana zaproszenie... na obiad - dokończyła spokojnie.

- Alfredzie - zwrócił się Jaeger do Schmidta - to jest baronowa Werther, siostrzenica generała Speidla. Przejmij dowodzenie operacją.

My idziemy na obiad do Czterech Pór Roku. Pomyślnych łowów!

Paco skinęła lekko głową w odpowiedzi na wojskowy ukłon Schmidta, a jej oczy spotkały się przelotnie z oczami szczupłego zastępcy Jaegera, ukrytymi za szklami bez oprawek. W tym człowieku było coś, co ją niepokoiło.

Pułkownik był typem pogodnym, ognistym, pełnym radości i chęci używania życia, roztaczającym ciepło - mężczyzną, jakiego kobieta może zrozumieć, nawet jeśli czasami ma go wyżej uszu. Paco wyczuła, że ten drugi należał do zupełnie innego gatunku.

- Kim był ten człowiek, któremu pan mnie przedstawił?
- spytała, gdy Jaeger wyprowadził ją ze stacji i zbliżali się do czekającego samochodu.

- To Schmidt, mój zastępca - odpowiedział niecierpliwie Jaeger. - Porządny człowiek, lecz raczej nie w pani guście. Przed wojną był policjantem! No, za parę minut znajdziemy się przy wygodnym stoliku w Czterech Porach Roku, gdzie będziemy mogli

bliżej się poznać...

Mały dzwonek alarmowy w głowie Paco nie przestawał brzęczeć.

Rzeczywiście przed wojną Schmidt pracował w policji. Był obdarzony specyficznym szóstym zmysłem, który zostałby z pewnością wysoko oceniony przez fuhrera, i dużą inteligencją. Kapitan Alfred Schmidt pełnił funkcję szefa policji w Dusseldorfie.

Z nadejściem wojny 1 września 1939 roku naturalną kolejną rzeczą powinien trafić do gestapo. Schmidt, znakomicie obeznany z pracą policji i służb bezpieczeństwa w różnych państwach, przyznawał rację tworzenia specjalnej instytucji tajnej policji do ochrony kraju. Wiedział, że w Anglii istnieje Wydział Specjalny, w Stanach Zjednoczonych -FBI, i tak dalej.

Lecz gestapo zdążyło już zyskać sobie określoną reputację; mówiąc bez ogródek, nie pachniało Schmidtowni zbyt dobrze. Aby uniknąć wcielenia w szeregi tej organizacji, zgłosił się na ochotnika do S.S. Mimo że wojna trwała już kilka lat, nie utracił swego instynktu policjanta.

Przed wszystkim nikt nie sprawdził dokumentów "baronowej".

Schmidt widział, że przed przybyciem Jaegera nie okazała żołnierzom z patrolu żadnych papierów. Zauważył przeciągłe spojrzenie rzucone na jego szefa. Pułkownik - żywił do niego szczerzy szacunek i przywiązanie - jadł obecnie obiad z kobietą, której tożsamość stanowiła wielką niewiadomą.

Schmidt był w rozterce. Chcąc sprawdzić w kartotece personalia towarzyszkę Jaegera musiał użyć "pewnego" telefonu, co oznaczało jazdę do koszar S.S, a pułkownik pozostawił mu dozór

nad stacją.

Może był przesadnie podejrzliwy, może mu się wydawało, lecz -podobnie jak Paco - Schmidt wyczuł szóstym zmysłem, że coś tu nie gra. Oceniał, że mając tak piękną towarzyszkę Jaeger zapewne przepadnie co najmniej na dwie godziny. Zdecydował się.

- Klaus! - zawołał. - Przejmij nadzór nad akcją. Niedługo wrócę.

Pojechał do koszar, wyskoczył zza kierownicy i pognął do swego biura na piętrze. Linie były zajęte, więc połączenie się z główną ; siedzibą gestapo w Berlinie zajęło mu dwadzieścia minut.

Poprosił do , telefonu szefa gestapo, Heinricha Mullera.

- Jest przerwa na obiad - poinformował go znudzony głos.

-Wyszedł. Jeszcze raz, kto dzwoni?

- Zastępca pułkownika S.S Jaegera z Monachium. Z kim rozmawiam? To bardzo pilna sprawa.

- Nazywam się Brandt. Przydzielono mnie tutaj tymczasowo.

Nie, nikogo więcej nie ma. Powiedziałem panu, że wyszli na obiad.

- W takim razie pan musi się tym zająć. Czy może pan coś dla mnie sprawdzić w głównej kartotece? To dobrze. Potrzebuję informacji o niejakiej baronowej Werther, siostrzenicy generała Speidla. Jak długo to potrwa? Nie jest pan pewny? Wielkie nieba...!

Umówił się z Brandtem, że ten przetelefonuje z powrotem informację sekretarce, i odłożył słuchawkę.

- Gdy nadejdzie odpowiedź od tego półgłówka, Brandta

-powiedział do sekretarki - przepisz ją na maszynie. Zamów gońca

na motorze, żeby czekał. Daj mu wiadomość w zapieczętowanej kopercie i powiedz, że ma gnać na złamanie karku na dworzec, żeby mi ją oddać.

Wrócił na stację i z ulgą usłyszał od Klause meldunek, że podczas jego nieobecności nic nie zaszło. Teraz pozostawało tylko czekać na odpowiedź. Jeżeli istotnie coś tu nie gra, będzie mógł zadzwonić do Jaegera do Czterech Pór Roku.

Rozdział dwudziesty czwarty

Była czwarta, gdy goniec wiozący zalakowaną kopertę dla kapitana Alfreda Schmidta zatrzymał się przed głównym dworcem w Monachium. Ponieważ Jaeger jeszcze nie wrócił, jego zastępca przypuszczał, że pułkownik musi się naprawdę świetnie bawić w towarzystwie baronowej.

- Bałwan! - Schmidt zaklął pod nosem. Zobaczył, jak motocyklista, jadący z zawrotną szybkością, hamuje ostro. Maszyna wpadła w poślizg i omal nie wyrzuciła jeźdźca ponad kierownicą w królestwo niebieskie. A wszystko z idiotycznej chęci popisania się przed grupą żołnierzy S.S, którzy obserwowali jego przyjazd.

- Sierzancie, jeżeli jeszcze raz zobaczę takie zachowanie, zostanieie zdegradowani!.

- Przepraszam, panie kapitanie - powiedział potulnie goniec i podał mu kopertę. Miał zamiar wyłgać się, że noga ześliznęła mu się z hamulca., Lecz coś we wzroku Schmidta ostrzegło go, że lepiej milczeć.

Schmidt wziął kopertę. Rzucił okiem nad ramieniem gońca,

zesztywniał nagle i polecił szybko:

- To wszystko, sierżancie! Natychmiast wracajcie do koszar!

Z mercedesa, który zajechał przed chwilą, właśnie wysiadł Jaeger.

Był wyraźnie w świetnym humorze. Zatrzymał się przy esesmanach i powiedział coś, co pobudziło ich do śmiechu. Cieszył się dużą popularnością wśród żołnierzy. Schmidt, pragnąc jak najszybciej ukryć kopertę, w razie gdyby nie było w niej nic inkryminującego, rozdarł ją pospiesznie i wyciągnął arkusik papieru.

Podjął spore ryzyko. Żaden wyższy oficer, nawet tak koleżeński jak Jaeger, nie przyjąłby z zadowoleniem faktu, że podwładny węszy w jego sprawach prywatnych. Schmidt usłyszał kolejny wybuch śmiechu, tym razem Jaegera, szybko przebiegając wzrokiem treść wiadomości od Brandta.

Dwoje zwiadowców przyniosło alarmujące wieści. Pierwszy wrócił do piwnicznej kryjówki Milić. Był ubrany w kombinezon malarza pokojowego i wyświechtaną czapkę z daszkiem. Z poważną miną zdjął czapkę, skinął Anglikowi i podrapał się po gęstwie siwych włosów.

- No? - ponaglił go Bora.

- Wyjazd do Szwajcarii to pułapka - odezwał się Milić swoim kulawym angielskim, aby Lindsay mógł go zrozumieć. - Jedziemy tam i jesteśmy w więzieniu gestapo...

- Dlaczego? - spytał niecierpliwie Bora. - Podaj jakieś szczegóły.

- Ja pojechać na rowerze trzy drogi na południe. Na każda droga bariera. Dużo żołnierze. Patrzą w dokumenty, mają telefony.

- Więc pozostaje dworzec - warknął Bora. - Wywieziemy go pociągiem.

- Nie pociągiem. - Milić potrząsnął głową. - Na dworzec ja patrzeć pociągi do Szwajcarii. Ludzie - nie w mundury - jadą te pociągi. Sprawdzają papiery...

Urwał na widok Paco, która właśnie weszła i zamknęła za sobą tajne drzwi. Zdjęła futrzaną czapkę i rzuciła ją na skrzynię. Patrząc na Lindsaya poprawiła oburącz jasne włosy. Nie mógł nic wyczytać z jej twarzy.

- Mamy problem - powiedziała spokojnie. - Przejazd do Szwajcarii jest zablokowany. Zamknęli granicę. Próba przedostania się tamtędy to nieunikniona wpadka. - Urwała. - Właśnie zjadłam doskonały obiad w towarzystwie pułkownika S.S, Jaegera...

- Co takiego?! - Bora poderwał się na równe nogi, patrząc na Paco, jakby podejrzewał ją o pomieszenie zmysłów. Jego oczy przesunęły się błyskawicznie na drzwi i z powrotem na dziewczynę.

- Mogli iść za tobą! Lepiej od razu się stąd wynośmy, o ile już nie jest za późno.

- Bora... - Położyła mu ręce na ramionach i spojrzała prosto w oczy. - Myślisz, że jestem amatorką? Z całą pewnością nikt mnie nie śledził. Zastosowałam wszystkie środki ostrożności, chociaż były zgoła niepotrzebne. A teraz usiądź i słuchaj!

Odwróciła się do Lindsaya i podsunęła mu pod nos dużą kopertę.

Wziął ją, wyjął znajdujące się w środku dokumenty i

przeczytał. Na każdym arkuszu widniało godło niemieckiego orła trzymającego w szponach swastykę. Wszystkie nosiły podpis: "Egon Jaeger, pułkownik S.S".

- Mój Boże, to papiery tranzytowe do Wiednia. Dlaczego do Wiednia?

- No to teraz ty słuchaj! Dostałam od tego pułkownika Jaegera przepustki dla siebie i służących, którzy ze mną podróżują.

- Jak ci się to udało? - spytał Lindsay.

- Nie poszłam z nim do łóżka - bo widzę, że to masz na myśli.

Czy obeszłoby cię, gdybym to zrobiła?

Lindsay nie odpowiedział od razu. Czuł się niepewnie pod spojrzeniem zielonkawych oczu, które patrzyły na niego z kpina, i nie wiedział, jak ma zareagować. Zagryzł usta i zmienił temat.

- Te przepustki są wystawione na podróż pociągiem.

- Nie rozumiesz? - Trąciła go lekko w pierś, jakby zniecierpliwiona jego tępotą. - Niedawno przyjechałeś z Salzburga do Monachium. Do Wiednia jedzie się z Monachium również przez Salzburg. Zauważyłam na dworcu, że nikt nie obserwuje wiedeńskich ekspresów. Niemcom nigdy nie przyjdzie do głowy, że mógłbyś pojechać z powrotem tam, skąd przyjechałeś.

- Jedna z przepustek jest wystawiona na jakiegoś Franza Webera, szofera.

- Ty będziesz Weberem. Musisz przymierzyć tę liberię, którą miał na sobie Bora, gdy porwaliśmy cię spod Frauenkirche. Na pewno będzie pasowała. Jesteście podobnego wzrostu i budowy.

Mówisz płynnie po niemiecku. Odwiesz nas na stację. Umiesz prowadzić?

- Tak. Jaki wóz? - spytał Lindsay.

- Mercedes, rzecz jasna. Nie mamy nic innego, a baronowa powinna podróżować w wielkim stylu. W Monachium jest pełno służbowych zielonych mercedesów, a w zamieszaniu, jakie wywołaliśmy, z pewnością nikt nie zapisał numerów rejestracyjnych.

- A Bora i Milić?

- Wsiądą z tyłu. Bora jest moim lokajem. Milicia wysadzimy w jakiejś cichej uliczce blisko stacji. Będzie musiał przedostać się na własną rękę.

- A ty jesteś kim?

- Baronową Werther, a kimże by innym! Będę siedzieć przy tobie, żeby móc cię pilotować do dworca.

- Przypuśćmy, że oni zechcą sprawdzić tę fikcyjną baronową?

- Ależ ona naprawdę istnieje! Znam ją dobrze, studiowałyśmy razem w Szwajcarii przed wojną. Jeszcze jakieś pytania?

- Co się stanie, jeśli komuś przyjdzie do głowy sprawdzić jej rysopis?

- To byłby fatalny pech. Słuchaj, Lindsay; dzięki tym dokumentom zmyjemy się szybko i sprawnie. Nikt nie ma pojęcia, dokąd się udajemy.

- A dokąd się udamy po przyjeździe do Wiednia?

- Wszystko we właściwym czasie. - Już drugi raz Paco okazała rezerwę w wyjawianiu informacji.

Tym razem Lindsay się zbuntował.

- Nie podoba mi się to. Mam do przekazania swoim
zwierzchnikom pilną wiadomość niezwyklej wagi...

- Tobie się nie podoba! - Bora uniósł się gniewem. Twarz mu
wykrzywił brzydki grymas. - Jesteś dla nas niebezpiecznym
ciężarem.

Nie masz doświadczenia w konspiracji, a my mamy brać na
siebie ryzyko niańcząc cię przez całą drogę...

- Zamknij się! - rozkazała Paco. Chwyciła Lindsaya za ramię,
pociągnęła do kąta piwnicy, usiadła na skrzyni i zmusiła go, żeby
usiadł obok niej. Zniżyła głos. - Ludzie, których reprezentuję,
zawarli umowę z Anglikami: tyle a tyle karabinów i amunicji za
wywiezienie ich agenta z Niemiec. Proszę cię, nie utrudniaj nam
zadania. Bora ma rację, chociaż jest zbyt popędliwy. Podróż do
Szwajcarii to samobójstwo. Musimy jechać do Wiednia, a stamtąd
dalej.

- Okay. W takim razie kiedy jedziemy? Czy to też ściśle
tajne?

- Lindsay... - Położyła mu dłoń na ramieniu. - Nie miej do
mnie urazy. Złapiemy o ósmej wieczorem pociąg, który będzie w
Wiedniu o jedenastej. To ekspres.

- Bogu dzięki. Ruszajmy jak najprędzej. Spędziłem w tej
piwnicy tylko kilka godzin, ale już tak się czuję, jakby ściany
waliły się na mnie.

- Teraz myślisz jak Bora. To dobrze. - Przerwała na chwilę.
-W razie jakiegoś nagłego zagrożenia, gdybyśmy musieli się
rozdzielić, pójdiesz z Miliciem. On cię nigdy nie zostawi. I
lubi cię.

- A Bora mógłby rzucić mnie na pastwę losu?

- Nie myślmy o przykrych sprawach.

Lindsay wywnioskował z tej rozmowy, że Paco - nie wyrażając tego jasno - podzielała jego zdanie: największym niebezpieczeństwem, jakie im groziło, była możliwość, że ktoś sprawdzi rysopis baronowej, zanim wydostaną się z Trzeciej Rzeszy.

Rozmowa Paco z Lindsayem miała miejsce o czwartej po południu.

Właśnie o czwartej po południu goniec dostarczył Schmidtowni wiadomość na monachijskim dworcu. Schmidt przeczytał krótki maszynopis i złożony arkusik schował go do kieszeni w chwili, gdy Jaeger po paru żartach z żołnierzami ruszył w jego stronę.

Wiadomość głosiła:

"Baronowa Werther, siostrzenica generała Speidla, jest dziedziczką wielkiej fortuny, córką magnata stalowego. Jej ojciec jest bliskim znajomym marszałka Rzeszy, Goeringa. Brandt."

Schmidt odczuł wielką ulgę, lecz w głębi duszy dręczyło go przekonanie, że coś przeoczył. Odsunął od siebie tę myśl, kiedy jego przełożony klepnął go po ramieniu. Jaeger wyglądał na człowieka mającego za sobą ze wszech miar zadowalający posiłek.

- Wszystko w porządku, Schmidt? Dobrze. Pracuj gorliwie na następnym awans. Nie do pomyślenia, jakie gratki przytrafiają się niekiedy wyższym oficerom.

Mrugnął znacząco i rozejrzał się po hali promieniejąc satysfakcją i dobrym humorem.

- Domyślam się - Schmidt sondował ostrożnie - że pana

towarzyszka okazała się osobą... interesującą?

- Interesującą!? - Jaeger zniżył głos. - Mówię ci, przyjacielu, ta dziewczyna ma coś w sobie takiego, od czego krew się burzy.

Jestem w siódmym niebie.

- Zobacz ją pan ponownie?

- Ależ oczywiście! Najdalej za tydzień. Na początku wszystkie udają, że są niedostępne - przynajmniej te, które naprawdę warto zdobyć!

- Ona mieszka w Monachium?

- Naprawdę nie wiem. - Jaeger obserwował dwóch esesmanów, przejętych swoją rolą, jak grubiańsko popędzają jakąś staruszkę, która nie mogła znaleźć dokumentów. - Eej, wy tam! Ta pani mogłaby być waszą matką, a nawet babką. Miejcie trochę cierpliwości, zanim znajdzie swoje dokumenty. Karne bataliony tylko czekają na chętnych. - Odwrócił się do Schmidta. - O czym. Mówiłeś?

- Pytałem tylko, gdzie mieszka pani baronowa.

- Jakoś się nie zgadało. - W oczach pułkownika pojawił się szelmowski błysk. - Mieliśmy inne tematy, które zaabsorbowały nas całkowicie. Obiecała zadzwonić do mnie do koszar w ciągu najbliższego tygodnia. Dałem jej swój prywatny numer.

Jaeger oparł ręce na biodrach i zaczął nucić pod nosem "Lili Marlene". "Nieźle go trafiło" - pomyślał Schmidt. Rzadko zdarzało mu się widywać szefa w takiej euforii. Dziewczyna musiała go chyba zaczarować.

- Jadłeś obiad? - odezwał się nagle pułkownik. - Tak

myślałem, że nie. Uciekaj. Ja będę miał oko na wszystko.

Schmidt odszedł i usiadł za kierownicą samochodu. Wolno pojechał do koszar, wciąż myślami błędząc gdzieś daleko.

Pułkownik zaś był rozmarzony. Liza, baronowa, powiedziała mu, że jedzie do Wiednia, aby złożyć wizytę wujowi, lecz nie spodziewa się zostać u niego dłużej niż dwa, trzy dni.

- Jadę tam wyłącznie z poczucia obowiązku - wspomniała. - I wrócę, gdy tylko zacznę się nudzić, a to nastąpi szybko.

Przypomniał sobie, jak spojrzała na niego sponad kieliszka z winem.

Był szczęśliwy mogąc wystawić jej papiery tranzytowe, które oszczędzą jej natrętnych wypytywań. Kiedy zobaczył przed chwilą tych dwóch osłów, prześladowujących starą kobietę, utwierdził się jeszcze w przekonaniu, że postąpił słusznie.

Schmidt prowadził całkiem automatycznie, odtwarzając w myśli treść wiadomości przesłanej z berlińskiej siedziby gestapo przy Prinz Albrechtstrasse. Potwierdzała ona, że baronowa Werther istnieje, że jest dziedziczką fortuny oraz siostrzenicą generała Speidla. Nie udzielała jednak odpowiedzi na jedno pytanie, które zapomniał zadać.

Dojechawszy do koszar Schmidt pobiegł do swojego biura i kazał swojej sekretarce znów połączyć się z Brandtem. Czekał niecierpliwie przy biurku, bawiąc się nerwowo piórem, świadom, że sekretarka bacznie go obserwuje. Udał, że czyta raport. Ku jego zdumieniu połączenie nastąpiło szybko.

- Znowu dzwoni Schmidt z Monachium. Odebrałem pana depeszę, Brandt, i bardzo panu za nią dziękuję. Niestety zapomniałem o

czymś: o szczegółowym rysopisie baronowej Werther. To również sprawa pierwszorzędnej wagi. Chcę mieć odpowiedź najpóźniej o siódmej.

Rozdział dwudziesty piąty

Szef S.S, Mayr, obejrzał dokładnie trójkę podróżnych, udających się do Wiednia. Tak się złożyło, że gdy przyjechali na dworzec, stał akurat przy barierce w wejściu. Zauważył kosztowny strój dziewczyny i równie wytworny bagaż, który niósł za nią szofer w liberii, oraz kulejącego lokaja - niewątpliwie inwalidę wojennego. Właśnie otwierał usta chcąc coś powiedzieć, gdy Paco uśmiechnęła się do niego i wyjęła z torebki plik papierów.

- Widzę, że jest pan z S.S - powiedziała - więc z pewnością zna pan mojego przyjaciela, pułkownika Jaegera.

Na słowo "przyjaciel" położyła specjalny nacisk. Po usłyszeniu nazwiska Jaegera zachowanie Mayra nagle uległo zmianie. Wysoki, szczupły oficer S.S na służbie przeistoczył się w miłego pana po czterdziestce. Skłonił się i zdjęwszy czapkę wsunął ją pod ramię.

- Oczywiście! Moim obowiązkiem jest sprawdzać dokumenty pasażerów, więc raczy mi pani wybaczyć niewygodę...

- Niech pan spojrzy na zegar! - krzyknęła Paco. - Jeżeli przez pana spóźnię się na ekspres do Wiednia, uznam to za więcej niż niewygodę. Mam papiery tranzytowe dla mnie i mojej służby, podpisane osobiście przez pułkownika Jaegera. Proszę się spieszyć.

Mayr zerknął na zegar, zobaczył podpis Jaegera na przepustkach i pozwolił Paco wejść na peron.

- Życzę bezpiecznej podróży - dodał na pożegnanie.

Lindsay taszcząc walizki przeszedł koło niego ze spuszczonym wzrokiem i podążył za Borą i Paco. Dziewczyna szła szybko wzdłuż pociągu, dopóki nie znalazła pustego przedziału. Otworzyła drzwi wagonu, wsiadła i rozejrzała się po korytarzu. Nie było na nim nikogo.

- Świetnie sobie poradziłaś - powiedział Lindsay kładąc walizki na półkę. Ekspres wyjeżdżał ze stacji. Podziw Lindsaya był szczery - Paco zastosowała odpowiednią dawkę zarówno butnej pewności siebie, jak i kobiecych chwytów.

- Jedna przeszkoda za nami - odrzekła Paco. Zdjęła futrzaną czapkę i poprawiła fryzurę.

- Skąd wzięłaś ten wspaniały bagaż i przyodziewek z prawdziwej wełny dla Bory?

- Nie twoja sprawa - warknął Bora.

- Nie żołądkuj się - napomniwała go Paco łagodnie. -

Włamaliśmy się do willi na przedmieściach Monachium i ukradliśmy te wszystkie rzeczy. Nic nie robi na wyższych oficerach większego wrażenia niż bogactwo, które oznacza władzę.

- A co z biletami? - spytał nagle Lindsay. - W Niemczech kontrolerzy sprawdzają je w czasie jazdy.

Paco wyjęła z torebki trzy bilety na pierwszą klasę i wręczyła je Lindsayowi.

- To szofer załatwia takie sprawy. Poza tym dobrze mówisz po niemiecku. Szybko się uczysz, skoro pamiętasz o takich

drobiazgach.

Kupiłam je na stacji dziś rano, gdy zobaczyłam, że szwajcarskie pociągi są kontrolowane.

- To są bilety powrotne...

- A więc w razie gdyby zanim wysiądziemy z pociągu Jaeger chciał mnie sprawdzić, będzie to dowód na to, że mam zamiar wkrótce wracać, tak jak mu powiedziałam. Żałuję tylko, że nie udało się uniknąć powołania się na jego nazwisko przed tym oficerem S.S. Mogą przez to ustalić godzinę naszego odjazdu i pociąg, którym podróżujemy.

- Czy to ważne? - rzekł niedbale Bora. - Już za trzy godziny będziemy w Wiedniu.

Lindsay wyjrzał na korytarz. Dostrzegł śmieciarza w kombinezonie i kolejarskiej czapce, który zamiatał korytarz. Był to Milić. Mrugnął do Lindsaya i poszedł dalej w kierunku lokomotywy.

- To, że musiałam wymienić nazwisko Jaegera, może mieć duże znaczenie - powiedziała Paco do Bory. - Czy nie rozumiesz? Gdy siedzieliśmy w piwnicy, Lindsay poruszył kwestię, co by się stało, gdyby ktoś zechciał sprawdzić mój rysopis.

Ekspres nabierał rozpędu, koła stukotały w usypiającym rytmie.

Lindsay milczał. Trzy godziny do Wiednia...

Schmidt zasnął przy biurku z twarzą ukrytą w zagięciu łokcia.

Obok stała taca z resztkami posiłku. W wielkim gmachu

panowała głęboka cisza. Nagły, przenikliwy dzwonek telefonu wyrwał Schmidta ze snu. Spojrzał na zegar. Chryste! Dziesiąta czterdzieści pięć.

- Schmidt przy...

Nie zdążył powiedzieć nic więcej. Brandt wszedł mu w słowo, a jego głos był zdumiewająco rzeński. Brzmiała w nim również nuta satysfakcji.

- Mam rysopis baronowej Werther. Wymagało to trochę zabiegów. Jako powód podałem, że musimy wyjaśnić pewną pomyłkę. Nie wspominałem nic o panu.

Schmidt zmienił zdanie o Brandcie. Pracownik gestapo wykazał się dyskrecją, jakiej się po nim nie spodziewał. Wiadomość sprawiła mu ulgę: to wyłączało Jaegera ze sprawy. Jego ołówek zawisł nad blokiem do notowania.

- Dziękuję panu, w pełni to doceniam. Lepiej niech tak zostanie.

Więc...

- Brunetka, nieco przy kości. Wzrost: metr pięćdziesiąt. Wiek: dwadzieścia dziewięć lat. Nosi okulary - bez nich jest ślepa jak kret.

Czy to się panu na coś przyda?

- Tak, to mi będzie bardzo pomocne. - Schmidt postarał się, aby w jego głosie nie zabrzmiało przerażenie. - Jestem panu głęboko wdzięczny i przepraszam, że zatrzymałem pana tak długo w pracy.

- Długie godziny pracy to dobra wymówka, gdy wracam do domu nad ranem. Mam po drodze mały objazd - stwierdził Brandt

znacząco.

Schmidt odłożył słuchawkę i zrobiło mu się niedobrze. Inny podwładny na jego miejscu wykorzystałby informację, żeby wykończyć szefa i oczyścić sobie drogę do awansu. Schmidtowni ten pomysł nawet nie zaświtał w głowie. Okręcił się na obrotowym krześle, słysząc dźwięk otwieranych drzwi. Do środka zajrzał Jaeger, za nim stał Mayr.

- Mam wiadomość dotyczącą baronowej Werther - rzekł enigmatycznie Schmidt. - Chciałbym zamienić z panem słówko na osobności.

Jaeger powiedział coś do Mayra, wszedł do pokoju i zamknął drzwi. Był wciąż w szampańskim humorze. Ściągnął rękawiczki i wraz z czapką rzucił je na biurko. Odwrócił twarde, drewniane krzesło i siadł na nim okrakiem, kładąc ręce na oparciu.

- Wyglądasz na zmartwionego, Schmidt. Nigdy się nie martw.

Problemy mają to do siebie, że na ogół rozwiązują się same. Nigdy nie należy robić niepotrzebnego zamieszania. To jedna z ulubionych maksym fuhrera.

- Oto rysopis baronowej Werther.

Jaeger przeczytał wydartą z bloku kartkę. Większość ludzi zaczęłaby tracić czas podając w wątpliwość źródło informacji, dlatego też Schmidt wolał osobiście zająć się tą sprawą, by wykluczyć możliwość pomyłki. Jaeger jednak nic nie powiedział, tylko oddał mu kartkę.

- Zostałem wystawiony do wiatru, i to. Jak! Kimkolwiek ona może być, jest wspaniała. Dałem jej przepustki na przejazd dla niej i jej tak zwanych służących!

- Czy w aktach są kopie? - spytał szybko Schmidt. - Przejazd dokąd?

- Niestety nie ma, przyjacielu. Przejazd pociągiem, z Monachium do Wiednia.

Urwał, gdy otworzyły się drzwi. Mayr wszedł do środka i zamknął je za sobą. Wyglądał na zaskoczonego.

- Przepraszam, ale właśnie o tym myślałem. Czy dobrze słyszałem, że panowie wspomnieli baronową Werther?

- Tak - odparł bez namysłu Jaeger i czekał.

- Widziałem ją dziś wieczorem, jak wsiadała ze swoją świtą do wiedeńskiego ekspresu. Pokazała mi przepustki na przejazd, które pan podpisał. Prawdziwa z niej piękność...

- Co to była za świta? - spytał Jaeger jakby mimochodem.

- Szofer w liberii - nie potrafię go opisać, miał czapkę z daszkiem wciśniętą na czoło i był obładowany walizami. Drugi wyglądał jak jeden z tych służących, których widuje się w wiejskich posiadłościach. Utykał, więc zapewne został ranny na wojnie. Czy to ważne? a

- Czysta ciekawość - uspokoił go czym prędzej Jaeger. - Czy towarzyszył jej ktoś jeszcze?

- Nie, z całą pewnością nie.

- Który pociąg? O której godzinie? - spytał Schmidt.

- Odjechał punktualnie o ósmej wieczorem. Nie ma chyba żadnego powodu do obaw?

- W świetle tego co usłyszeliśmy, nie - odparł Jaeger.

- W takim razie idę spać. Do zobaczenia rano.

Gdy za Mayrem zamknęły się drzwi, Schmidt był już w drugim

końcu pokoju. Złapał z półki kolejowy rozkład jazdy i przekartkował go szybko, a potem przesunął palcem w dół strony. Jego palec się zatrzymał. Schmidt spojrzął na zegar. Dziesiąta pięćdziesiąt jeden.

- Jeszcze nie dojechał. - Z trudem się opanował, by nie odetchnąć głośno. - Będzie na miejscu za dziewięć minut, o jedenastej wieczorem. Kogo tam znamy...?.

- W Wiedniu? Antona Kahra - dowódcę tamtejszego S.S. To mój stary kumpel, byliśmy razem na froncie wschodnim.

Schmidt znalazł zastrzeżony numer, podszedł do telefonu i poprosił o połączenie w pierwszej kolejności. Trzymał słuchawkę przy uchu, kiedy operator łączył się z Wiedniem. Jaeger, opanowany jak w przededniu bitwy, snuł rozważania na głos:

- Mayr będzie siedział cicho, nawet jeśli będę musiał powiedzieć mu całą prawdę. To on nie przeszkodził im wsiąść do pociągu. Ale dziwi mnie brak trzeciego mężczyzny, bo było ich przecież troje, gdy porwali Lindsaya sprzed Frauenkirche...

- Kahr na linii - Schmidt podał szefowi słuchawkę i patrzył na zegar słuchając szybkiej i zwięzłej rozmowy Jaegera. Kiedy Jaeger odłożył słuchawkę, była dziesiąta pięćdziesiąt cztery.

- Sześć minut do przyjazdu ekspresu - stwierdził Schmidt.

- Kahr i jego ludzie będą czekać w ukryciu na peronie. Naszą baronową czeka mała niespodzianka.

Rozdział dwudziesty szósty

Wysiedli na dworcu Westbahnhof i na peronie wmieszali się w

tłum pasażerów. Paco wskazała Lindsayowi przechowalnię bagażu i stanęła w miejscu, skąd mogła go obserwować. Kilka minut wcześniej, gdy pociąg podjeżdżał do stacji, Bora znowu zaczął stwarzać kłopoty.

- Zostawisz walizki w przechowalni dworcowej - mówiła Paco do Lindsaya. - Poczekaj, aż ci dadzą kwit z numerkiem. Tu są pieniądze, którymi zapłacisz. Nie wrócimy po ten bagaż.

- Więc dlaczego nie zostawić walizek tutaj? - spytał z irytacją Bora.

- Bo szybko by je znalazł jakiś tragarz czy sprzątaczkę, a w przechowalni bagażu nie zwrócą niczyjej uwagi przez długi czas. - Paco spojrzała na Lindsaya. - Jedziemy teraz do Grazu, stolicy austriackiej prowincji Styrii. Stamtąd ruszymy na południe i przekroczymy jugosłowiańską granicę w Spielfeld - Strass. Wśród partyzantów w Jugosławii jest kilku alianckich agentów.

Lindsay poczuł niemal niemożliwe do opanowania pragnienie ucieczki, gdy austriacki urzędnik wziął od niego walizki, lecz zmusił się do pozostania na miejscu. Zdawało mu się, że mozolne wypisywanie kwitu trwa całą wieczność. W końcu otrzymał kwit i podał pieniądze.

Kiedy wyszedł z przechowalni bagażu, peron, na który padało ponure światło z lamp o stożkowatych kloszach, był już pusty.

Lindsay poczuł się nagi i bezbronny. Podeszedł do Paco, która paliła papierosa., - Gdzie są tamci? - spytał.

- Pojadą drugą taksówką. Jeśli ktoś będzie o nas później wypytywał, dowie się o dwóch jadących oddzielnie parach: dwóch mężczyznach i mężczyźnie z kobietą. Nie tego będą szukać.

- Jesteś czymś zdenerwowana - domyślił się.

Wyszli z dworca na wielką, otwartą przestrzeń. Ruch na ulicach był niewielki, widać było głównie pojazdy wojskowe. Paco wciąż szła przed siebie. Oddalili się o spory kawałek, zanim wezwała taksówkę.

- Pociąg przyjechał piętnaście minut wcześniej - powiedziała. - Za kwadrans jedenasta.

Rada wojenna, jak określił to Bormann, odbyła się w Berghofie nazajutrz kwadrans po dwunastej w południe. Zwołano ją w piekielnym pośpiechu - Jaeger, Schmidt i Mayr przylecieli z Monachium.

Hartmann również brał udział w konferencji.

Gdy wylądowali na lotnisku w Salzburgu, czekały już na nich samochody, które wywoziły ich za miasto i dalej, w góry, po zdradliwych, krętych drogach. Na miejsce narady wyznaczono wielki salon z ogromnym oknem widokowym, przewodniczył jej fuhrer we własnej osobie. Ku uldze i sporemu zaskoczeniu Jaegera Hitler przyjął wiadomości spokojnie.

- Więc Anglik prześliznął wam się między palcami - powiedział beznamiętnie. - Zawsze mówiłem, że Anglicy to ludzie twardzi i niebezpieczni. Wielka szkoda, że jak dotąd nie posłuchali głosu rozsądku i nie sprzymierzyli się z nami.

- Wyłącznie ja jestem osobiście odpowiedzialny za tę klęskę... zaczął Jaeger, a Bormann natychmiast rzucił się na to niczym jastrząb.

- W takim razie poniesiecie za to odpowiednią karę!

- Bormann! Proszę...! - Fuhrer uniósł pojednawczo rękę. O tej porze Hitler, który nie miał w zwyczaju kłaść się spać przed trzecią po północy, był najświeższy spośród wszystkich obecnych.

- Zrzucanie na kogoś winy nie prowadzi do niczego. Musimy działać

- postanowić, w jaki sposób możemy wytropić Lindsaya i sprowadzić go z powrotem tutaj.

Kłęska - to było właściwe słowo. Czysty przypadek, jakim był przyjazd ekspresu piętnaście minut przed rozkładem, spowodował, że dowódca wiedeńskiego S.S, Kahr, zastał na stacji pustki. Ani śladu uciekinierów. Jego ludzie przetrząsnęli wszystkie kąty, włącznie z przechowalnią bagażu.

- Jeden fakt wydaje się interesujący - odważył się zabrać głos Hartmann.

Bormann znów zaszarżował jak byk:

- Ta sprawa nie dotyczy już Abwehry...

- Bormann, proszę! - powtórzył fuhrer ze stoicką cierpliwością. - Chciałbym usłyszeć, co major Hartmann ma do powiedzenia.

- Ze słów Mayra wynika, że najwidoczniej przy odjeździe z Monachium grupa miała ze sobą dwie kosztowne walizki - zaczął Hartmann. - Te walizki zostały znalezione w przechowalni bagażu w Wiedniu. Rysopis szofera w liberii, który oddał je na przechowanie, . Pokrywa się z rysopisem szofera, którego Mayr widział na dworcu ; w Monachium. Walizki zawierają ekskluzywną garderobę kobiecą.

- Nie myślcie chyba, że po nie wrócą? - zdziwił się fuhrer.

- Nie - zgodził się Hartmann. - Porzucili je. Jestem

przekonany, że grupą kieruje ta kobieta, która z taką pewnością siebie podała się za baronową Werther:

- Kobieta! Na litość boską...! - Zawołał Bormann głosem pełnym pogardy. Irytowało go, że Hartmann znalazł się w centrum zainteresowania, a Hitler słucha go z taką uwagą. Znowu został skarcony.

- Bormann, bądźcie cicho! Zdarzały się przypadki, że Anglicy wysyłali swoje agentki jako łączniczki, które miały nawiązać kontakt z francuskim podziemiem. Wykazały się one niemałą odwagą i zuchwałą przedsiębiorczością. Proszę mówić dalej, Hartmann.

- Zagadka polega na tym, co teraz zrobią i dokąd się skierują.

- Wiedeń to istny labirynt - zauważył Hitler. - Nikt nie wie o tym lepiej ode mnie. Spędziłem tam w niedostatku moją młodość.

Jeśli znają miasto, mogą się tak ukryć, że nie znajdziemy ich przez długie lata.

- Jeśli naprawdę mają taki zamiar - powiedział Hartmann -a podejrzewam, że tak nie jest. - Zapalił się do tematu. Całkiem (machinalnie wyciągnął fajkę i machał nią podkreślając znaczące punkty swojej wypowiedzi. - Przyjmijmy, że kobieta jest ich przywódcą.

Z pewnością nie brakuje jej zimnej krwi. Mam wrażenie, że na każdym etapie działała zgodnie z opracowanym wcześniej planem. Nie było żadnych oznak panicznej ucieczki na oślep. Na podstawie tych danych, a zawsze należy oceniać ludzi na podstawie istniejących przesłanek, można wnioskować, że będzie miała określony plan, jak dotrzeć do następnego miejsca na trasie.

Pozostaje tylko wydedukować, gdzie to jest i zjawić się tam wcześniej.

Odchylił się na oparcie krzesła i o mało co nie zapalił fajki.

Zreflektował się i schował ją pośpiesznie do kieszeni.

- W pana ustach brzmi to bardzo prosto - rzucił Bormann.

- Musimy podjąć decyzję! - Hitler w nagłym przypiływie energii zerwał się z miejsca i zaczął chodzić tam i z powrotem z rękami założonymi do tyłu. - Gruber i jeszcze jeden funkcjonariusz, który przyleciał z Berlina, jadą już do Wiednia.

Jaeger i Schmidt pojedą tam za nimi, tworząc drugą grupę. Major Hartmann również.

- Tylu ludzi tylko po to, żeby złapać jednego Anglika?

-Bormann osłupiał.

Rozwój wypadków zupełnie sparaliżował inicjatywę reichsleitiera, który dotychczas zawsze wiedział, jakie podjąć następne kroki.

Fuhrer nawet nie usłyszał jego słabego protestu i mówił żywo dalej, a jego głos nabierał mocy:

- W ten sposób będą ich ścigać trzy niezależne siły - gestapo, S.S i Abwehra. Ta, której nie uda się złapać tych dywersantów, może zwijać manatki! Bormann, wyposażycie ich we wszystkie potrzebne fundusze, sprzęt i broń. Choćbyście mieli być na nogach przez całą noc!

Zatrzymał się, założył ręce na piersiach i zmierzył wzrokiem grupkę mężczyzn słuchających w milczeniu. Nie był to właściwy moment, żeby mu przerywać.

- Chcę, żebyście wszyscy znaleźli się w Wiedniu jeszcze przed świtem, będziecie wówczas mieli cały dzień na przeczesanie miasta.

I pamiętajcie, panowie, że gestapo już tam jest - o jeden krok przed wami.

Hitler, wciąż w tej samej pozie i z surowym wyrazem twarzy, patrzył, jak czterej oficerowie S.S i Abwehry pospiesznie opuszczają pokój. Gdy został sam z Bormannem, jego zachowanie zmieniło się nie do poznania. Rzucił się na fotel i wybuchnął gromkim śmiechem.

- Bormann, widziałeś ich miny? To będzie wyścig: kto pierwszy złapie Anglika? Nic tak nie pobudza ludzi do działania jak rywalizacja.

Wiesz, kto według moich przewidywań wytropi nasze ofiary?

- Gruber.

- W żadnym wypadku! - Ten pomysł wywołał u Hitlera następny wybuch wesołości. - Hartmann - sapnął, doszedłszy nieco do siebie. - Ten chytrus zna się na rzeczy. Podsunął nawet innym pewną wskazówkę, ale oni byli zbyt tępi, żeby ją zrozumieć. - Przestał się śmiać. Znow wpadł z jednej skrajności w drugą. Wyprostował się w fotelu i rzucił szorstko: - Co tu jeszcze robicie, Bormann?

Tamci czekają na was na dole! Opóźnicie ich wyjazd!

Bormann - niski, pękaty, śmieszny w swoich wysokich butach - pomknął po lśniącej posadzce w stronę drzwi. Na progu zatrzymał się na chwilę.

- Mein Fuhrer, pan powiedział, że Hartmann dał im wskazówkę?

- Walizki, które tamci porzucili! Walizki z kosztowną
kobietą garderobą. A teraz spiesz się!

Słuchał cichnącego tupotu butów Bormanna na spiralnych
schodach, a potem z szerokim uśmiechem rozparł się w fotelu.
Odezwał się cichym głosem, żeby wypróbować jej słuch. ; - Ewa,
możesz już wejść. Ty mała figlarko, znowu podsłuchiwałaś, co?

Samolot transportowy typu Kondor, wiozący Jaegera, Schmidta
i Hartmanna, wylądował na lotnisku pod Wiedniem o drugiej w nocy.

Przy pasie czekał samochód, który miał ich zawieźć do
stolicy Austrii.

Bormann był dziwnym człowiekiem, lecz nawet jego wrogowie -
to znaczy prawie wszyscy ludzie oprócz fuhrera - przyznawali, że
jest świetnym organizatorem.

Schmidt siedział z przodu koło kierowcy, a Jaeger i oficer
Abwehry zajmowali miejsca z tyłu. W czasie dłużącej się jazdy do
miasta Hartmann pogrążył się w myślach. Jego milczenie
rozdrażniło pułkownika S.S, który miał bardziej otwartą naturę.

- Jak ma pan zamiar się zabrać do tego niewykonalnego
zadania? - spytał.

- Gdzie najpierw jedziecie? - odpowiedział pytaniem na
pytanie Hartmann.

- Do koszar S.S, na konsultację z Kahrem. Może pan jechać z
nami.

- Jeśli nie uzna pan tego za niegrzeczne, wolałbym, żeby
wysadził mnie pan przy Westbahnhofie - zaproponował Hartmann. -
Sądzę, że ten porzucony przez nich bagaż wciąż tam jest?

- Tak przypuszczam. Co to panu da?

- Tego nie mogę wiedzieć, póki go nie zobaczę, prawda?

-odparł Hartmann.

- Ależ z pana małomówny sukinsyn - stwierdził uprzejmie

Jaeger.

- Lecz, jeśli można dodać - wtrącił odwracając się Schmidt

-również przebiegły..

Schmidt poczuł, że z tym eks - prawnikiem łączy go jakaś więź koleżeństwa. Metody Hartmanna nie różniły się zbyt od metod, którymi on sam się posługiwał, gdy jeszcze był szefem policji w Dusseldorfie w tych jakże odległych czasach. Zdawać by się mogło, że to było sto lat temu.

Hartmann wysiadł z wozu przed dworcem. Było dokładnie wpół do trzeciej. Skierował się do przechowalni bagażu wyjmując z portfela dokument, który dostał od Bormanna. Upoważniał on go do przesłuchiwania wszystkich ludzi, niezależnie od zajmowanego stanowiska.

Z rozkazu fuhrera.

- Właśnie schodzę z nocnej zmiany - stwierdził opryskliwie pracownik przechowalni bagażu.

- Oto moje upoważnienie - rzekł Hartmann krótko. - Czy wy jesteście tym człowiekiem, który przyjmował bagaż zatrzymany przez S.S?

Tak, pracownik był tym człowiekiem. Tak, mógł opisać pasażerów,. którzy oddawali bagaż. Hartmann palił fajkę i słuchał w milczeniu rysopisu szofera. Nie mógł tego stwierdzić z całkowitą pewnością, lecz był przekonany, że pod liberią szofera

krył się Lindsay. Poprosił o pokazanie walizek.

Spędził nieco czasu starannie przeglądając ich zawartość, przy czym dbał o to, żeby składać rzeczy z powrotem tak, jak je znalazł.

Był schludny z natury. Obie walizki zawierały kompletną podrózną garderobę kobiecą. Ubrania były eleganckie i bardzo drogie.

Hartmann znieruchomiał, gdy jego zwinne palce natrafiły na zwinięty płaszcz z astrachanu.

Płaszcz i czapka z astrachanu! W szczegółowym raporcie na temat grupy porywaczy spod Frauenkirche była wzmianka o podobnie ubranym mężczyźnie. Siedział z tyłu mercedesa i wciągnął Lindsaya do środka. Okazuje się, że była to kobieta...

- Znalazł pan jakieś ciekawe poszlaki, panie majorze?

Hartmann spojrzał przez ramię i zobaczył za sobą Schmidta.

Oficer S.S uśmiechnął się i przyjaźnie skinął ręką.

- Jaeger wysłał mnie, żebym zobaczył, co pan knuje. Zrobiłem to bez zbytej niechęci, bo jestem równie ciekawy.

- Baronowa Werther - albo raczej osoba, która się pod nią podszyła - brała udział w masakrze pod Frauenkirche. To jest futro i czapka, które miała wtedy na sobie, czapkę na pewno dobrze naciągnęła na uszy. Stąd nikt nie zauważył, że była to kobieta. A teraz pozbyła się wszystkich swoich fatałaszków. Czy to panu coś mówi, Schmidt?.

- Że nie będzie ich więcej potrzebowała.

- Proszę iść dalej za tą myślą, a doprowadzi pana do logicznego wniosku - naciskał Hartmann.

- Utknąłem.

- Odnajdziemy Anglika nie koncentrując poszukiwań na nim samym, lecz na baronowej, jak ją dalej będę nazywał. Musimy przewidzieć jej ruchy. Przypuszczam, że niełatwy z niej przeciwnik.

Schmidt! Ona zmienia przebranie, przechodzi na inny plan. Do tej pory podróżowała jako arystokratka. Tym razem może uciec się do drugiej skrajności - występować jako wieśniaczka.

- Żeby nas wprowadzić w błąd? Nasz rysopis stanie się fałszywy.

- Częściowo tak - zgodził się Hartmann z błyskiem w ciemnych oczach. Przypominał Schmidtowi ogara, który złapał trop. - Lecz ten fakt może mieć bezpośredni związek z miejscem, dokąd się udaje.

Takie przebranie może być konieczne ze względu na otoczenie.

Nie obrazi się pan, gdy podsunę mu pewną sugestię?

- Mój Boże, nie! - Proszę uprzedzić obserwatorów na wszystkich dworcach autobusowych i kapitanów wszystkich statków pływających po Dunaju, żeby szukali grupki wieśniaków - trzech mężczyzn i dziewczyny.

Zdaje się też, że jest tu inna stacja...

- Sudbahnhof. Stamtąd odchodzą pociągi do Grazu w stronę ; granicy z Jugosławią.

- Obserwujcie tę stację.

Schmidt spojrział na wielki zegar zawieszony pod belką stropową. ! Była za piętnaście trzecia.

Cały dworzec Sudbahnhof, na ile można było dostrzec przez

żółtawą mgłę, która czepiała się wszystkiego jak pajęczyna, był zniszczony i sprawiał wrażenie opuszczonego. Nawet wykorzystywane pomieszczenia były w najlepszym razie zaniedbane. W brudnych kłębach mgły majaczyły ponure ruiny zabudowań niczym wielkie, spróchniałe zęby. Lindsayowi to pustkowie przypominało pobożowisko, już dawno opuszczone przez znużone armie.

Paco i Lindsay przyjechali na stację taksówką, która przechylała się na jedną stronę pod ciężarem pokracznego urządzenia na paliwo syntetyczne. Kiedy wóz stanął na środku zdawałoby się opuszczonego rumowiska, Paco zapłaciła i odczekała, aż taksówka zniknie w szarym półmroku.

- Resztę drogi przejdziemy na piechotę - powiedziała energicznie. - Jeśli odnajdą kierowcę i zaczną go o nas pytać, nie będzie mógł ich naprowadzić na nasz ślad.

- Dokąd miałby ich zaprowadzić? - Lindsay zastanawiał się, jakim cudem Paco orientowała się w terenie. - Nie tak sobie wyobrażałem Wiedeń Straussów.

- To jedna z ubogich dzielnic. - Paco szła przodem. Stawiała długie kroki. - Całkiem możliwe, że Hitler poznał ją dobrze w latach młodości. Możesz na własne oczy się przekonać, że takie otoczenie jest w stanie obudzić w człowieku desperacką chęć wybicia się.

Gdy brnęli przez otwartą, zastaną kawałkami gruzu przestrzeń, z mgły przed nimi wyłoniło się dwóch chłopaków. Nędznie ubrani, ; z gołymi głowami, sprawiali odrażające wrażenie. Jeden z nich trzymał, w ręku kawałek żelaznej rurki. Zamachnął się, chcąc jednym druzgocącym ciosem zmiażdżyć czaszkę

Lindsaya.

Anglik powstrzymał Paco lewą ręką i kopnął napastnika z całej siły w krocze. Chłopak wrzasnął, rzucił mordercze narzędzie i skulił się, jęcząc przeraźliwie. Drugi zniknął. Lindsay znów podniósł nogę, oparł stopę na ramieniu klęczącego bandziora i pchnął mocno. Chłopak poleciał w tył i padł rozciągnięty między kawałkami gruzu i potłuczonego szkła. Z jego głowy ciekła krew.

- Biegiem! - warknął Lindsay. - I schowaj to.

To było nożem o krótkim ostrzu, który Paco wyciągnęła nie wiedzieć skąd. Ruszyli spieszenie dalej w mrok, a Lindsay ciągnął:

- Gdybyś zasztyletowała jednego z nich, policja zaczęłaby węszyć.

Tylko tego nam brakuje.

- Wiem. Ale...

- I pozbądź się tego noża.

- Nie spodziewałam się...

Paco urwała w pół zdania. "Musi być diabelnie wykończona" -pomyślał Lindsay. Wiedział, co chciała powiedzieć. Bała się, że on nie da sobie rady z tymi dwoma bandziorami. Po chwili ochłonęła.

- Szybko się uczysz. - Wsunęła mu rękę pod ramię i stała się znów dawną Paco z nieco drwiącym uśmiechem na ustach. - Może nawet uda ci się przeżyć. Ale posłuchaj, wolałabym, żebyś w przyszłości nie mógł rozpoznać domu, w którym zatrzymamy się na noc.

Lindsayowiomal się nie wyrwało, że co do tego nie powinna żywić obaw. Podeszli do dwupiętrowego, odrapanego budynku. W

wirującej mgłę Lindsay zobaczył, że tynk obłaził ze ścian wielkimi płatami.

Odcyfrował słowo "Gasthof, lecz nazwa gospody już dawno się zatarła.

Była to istna rudera. Podarte, wystrzępione zasłony zwisały krzywo w oknach. Gdzieś blisko słychać było stłumiony łoskot lokomotyw przetaczających wagony towarowe. Czyżby znajdowali się tak niedaleko Sudbahnhofu? Weszli do sieni i Lindsay zamknął wypaczone drzwi.!

Ku jego zaskoczeniu nie wydały żadnego dźwięku. Zawiasy były dobrze naoliwione. Paco podeszła do zbitego z surowych desek kontuaru, za którym siedział żyłasty starzec mający na sobie wytartą ze starości szarą kamizelkę: W powietrzu unosił się zapach wilgoci, pleśni i starego moczu. Ile też godzin będą musieli siedzieć w tej szcurzej norze? - Znasz mnie, jestem Paco - powiedziała dziewczyna do starca, spokojnym, pewnym siebie tonem. - Czekam na dwóch mężczyzn. , - Co was tak długo zatrzymało? , Na trzeszczących schodach pojawił się nagle Bora. Zza niego ciepło uśmiechał się Milić. Bora lekko, bezszelestnie zbiegł po stopniach. Na dole stanął i wbił wzrok w Lindsaya. Anglik miał już dość aroganckiego Serba i odwzajemnił ostre spojrzenie. Bora odwrócił się do Paco.

- W okolicy zaszło coś podejrzanego...

- Zamknij gębę i nie gładź przy obcych o takich sprawach!

-Tym razem głos zabrał staruszek zza podnoszonej lady recepcji.

Sądząc z opryskliwego tonu, żywił do Bory równie mało sympatii co Lindsay. Następnie zwrócił się do Paco: - Policja już

tu była.

Zajrzeli ! do rejestru gości i poszli w diabły. Już tu nie wrócą. Szukają zabójców. ! - Zabójców? - spytała cicho Paco.

- Dwóch młodych facetów po cywilnemu, pewnie są to jacyś dezercerzy. Napadli dwóch żołnierzy i obrobili do czysta.

Zaatakowali ich gazrurkami. Jeden żołnierz kojfnął, drugi leży w szpitalu. Ten, który przeżył, podał policji dokładne rysopisy. Nie ma co, zrobiło się tu trochę gorąco.

- Gdzie są moje walizki? - bezceremonialnie przerwała mu Paco.

- Pokój numer 17. Twoi przyjaciele już jedną zabrali. Dałem ich do dwudziestki. Wy dwoje będziecie razem...?

Rzuciwszy to pytanie w przestrzeń, recepcjonista spojrzał ponad ramieniem Paco na Lindsaya. W zachowaniu starca nie było żadnych obleśnych podtekstów, a tylko rzeczowość hotelarza. Lindsay milczał.

- Razem - powiedziała Paco.

- Forsa z góry.

- Wiem! Wliczone w to jest ostrzeżenie na wypadek powrotu policji. W porę, żebyśmy mogli uciec. A drzwi frontowe są wciąż otwarte... ? - Już je zamykam! - Recepcjonista podniósł klapę w kontuarze, powłócząc nogami podszedł do wejścia, wsunął w dziurkę wielki klucz, obrócił go i zaczął zasuwać rygle. Lindsay naliczył cztery. Starzec zerknął na niego i mrugnął porozumiewawczo. - Musieliby je rozwałać armatą - powiedział. - Solidne drewno cisowe.

Paco odliczyła gruby plik banknotów. Wzięła klucz i skinęła

na Lindsaya. Bora i Milić poszli przodem. Odczekała, aż dojdą do końca długiego korytarza, skąd recepcjonista nie mógł dosłyszeć ich słów, i powiedziała:

- Bora, o wpół do piątej rano łapiemy pociąg z Sudbahnhofu do Grazu, więc prześpijcie się trochę. Nie mieliście kłopotów po drodze?

- Jechaliśmy gruchotem, który nawalił podczas jazdy. Trzy kilometry szliśmy na piechotę. Niepokoi mnie ten zamordowany żołnierz. Rano w całej okolicy może się już roić od gestapo.

- Dlatego właśnie jedziemy pierwszym rannym pociągiem. Idź spać, Bora.

Lindsay poszedł za Paco wąskim korytarzem do pokoju numer 17.

Pokój był większy, niż się spodziewał. Przez nie osłonięte okno wpadało do środka mętne światło. Lindsay podszedł do okna i wyjrzał.

Dostrzegł niewiele - ślepą ścianę naprzeciwko i wąską uliczkę poniżej.

Starannie zaciągnął zasłony i Paco zapaliła światło, nagą żarówkę o mocy czterdziestu watów.

- Dzięki, że nie wspomniałeś o tych dwóch zbirach, na których trafiliśmy. - Opadła na brzeg wielkiego łóża. - To na pewno oni zabili tego żołnierza. Recepcjonista wpadłby w panikę, a Bora dostałby zawału.

- Dużo zapłaciłaś temu facetowi z recepcji. Byłem zdumiony.

Czy jest godny zaufania?

- To cena za dyskrecję. Dostał tyle pieniędzy, że możemy mu

zaufać. Śmieszne, co? Za taką sumę moglibyśmy nocować u Sachera.

- Dlaczego więc tam nie poszliśmy? Tu jest tak obskurnie...

- Lindsay, wiele jeszcze musisz się nauczyć. Przecież gdyby jakimś fatalnym trafem doszli naszym śladem do Wiednia, najpierw sprawdzą wszystkie luksusowe hotele, takie, w których zatrzymałaby się baronowa Werther. Nie wspominam już o kłopotach z zameldowaniem. A stąd do Sudbahnhofu mamy trzy kroki. Boże, jestem kompletnie wykończona. Wyjmij moją walizkę z tej dużej szafy.

Umeblowanie pokoju było proste, żeby nie powiedzieć prymitywne: wielka szafa o nie domykających się drzwiach, pęknięte lustro, szerokie łóżce z wezglowiem, z którego łuszczyła się politura, poobijana miednica, wydzielająca dziwny zapach.

Lindsay położył walizkę na łóżku i usiadł na samym jego brzegu.

- Od tej chwili jesteśmy wieśniakami - powiedziała Paco.

-Zanim położymy się spać, przebierzemy się w nowe ubrania, żeby móc w razie czego od razu uciec po pożarowych schodach. Są na końcu korytarza.

Słaniając się ze zmęczenia, Lindsay założył strój, który Paco wyjęła z walizki - grubą koszulę z wytartym kołnierzykiem, wielokrotnie łataną spodnie z zielonego sztruksu i ciężką, wytartą marynarkę.

Paco była szybsza i zanim skończył się przebierać, zaszyła się pod pierzynę i głęboko zasnęła. Znużony wgramolił się na drugą stronę łóżka uważając, żeby jej nie obudzić. Zamknął oczy i zapadł w błogie zapomnienie.

Była trzecia nad ranem. W wiedeńskim garnizonie S.S

wszystkim skupionym wokół stołu oczy same się zamykały. Jeden tylko Gustaw Hartmann wydawał się niestrudzony, jakby mógł obywać się bez snu przez dowolnie długi czas.

Właśnie zabrał głos Gruber. Przy nim siedział nowy współpracownik, Willi Maisel, szczupły, trzydziestoletni mężczyzna ze strzechą ciemnych włosów, który cieszył się reputacją niezwykle przebiegłego człowieka.

- Ta banda dywersantów, która porwała Anglika, zabiła niedawno niemieckiego żołnierza przy stacji Sudbahnhof! - wydekłamał Gruber, wprawiając się w podniecenie. - Już po raz drugi wymierzili morderczy cios...

- Psiakrew! - zaklął pułkownik Jaeger. - Tylko bez teatralnych chwytów! Nie o tej porze.

Siedzący przy nim Schmidt podniósł oczy do nieba i rzucił ołówek na stół. W chwili ciszy stuknięcie zabrzmiało jak wystrzał z pistoletu.

- Materiał dochodzeniowy kieruje podejrzenia w inną stronę - odważył się zaprzeczyć Willi Maisel. - Mamy dokładne rysopisy dwóch napastników, - młodych ludzi, którzy według mnie wyglądają na dezerterów. To nie ma nic wspólnego z Lindsayem i jego przyjaciółmi.

- Dzięki za poparcie - rzekł Gruber zjadliwie. - Ja przynajmniej podjąłem jakieś konkretne kroki, a podejrzewam, że nikt inny nie mógłby się pochwalić tym samym...

- O, a jakież to kroki? - spytał dobrodusznie Hartmann.

- Agenci gestapo i sieć ich płatnych informatorów sprawdzają właśnie wszystkie luksusowe hotele w mieście. Ta pseudobaronowa

na pewno lubi wygodne życie. Morderczyni i dziwka!

- Gratuluję - rzekł Hartmann z poważną miną. - Jestem pewny, że zaangażowanie pańskich ludzi w tej misji okaże się niesłuchanie owocne.

- Ogłaszam koniec posiedzenia. - Jaeger wstał i kopnięciem odsunął swoje krzesło pod ścianę. - Chcę się trochę przespać. Rano zaczniemy na nowo.

Schmidt podszedł do Hartmanna, oglądając się na Grubera i Maisla, którzy wciąż siedzieli przy stole rozmawiając o czymś z pochylonymi ku sobie głowami. Odczekał, dopóki nie wyjdą na korytarz, i zapytał:

- Czy pana zdaniem ta gadanina Grubera ma sens - ta jego obsesja z Sudbahnhofem?

- To Maisel potrafi myśleć - odparł enigmatycznie Hartmann.
- On pracuje głową, natomiast Gruber reprezentuje tylko brutalną siłę fizyczną. Doskonale dobrany zespół. Razem zajdą daleko!

- Wykręca się pan od odpowiedzi - stwierdził Schmidt bez złośliwości, gdy wyszli na korytarz.

- Sudbahnhof znajduje się w dzielnicy robotniczej. To jeden z najuboższych rejonów miasta. Dobranoc.

Schmidt patrzył, jak major z Abwehry schodzi po źle oświetlonych schodach i znika w półmroku. Domyślał się, że Hartmann podsunął mu tymi słowami jakiś trop, lecz był zbyt zmęczony, żeby zgadnąć, co to było.

- Ty leniu, obudź się! Spałeś całą wieczność! - Paco potrząsała Lindsaya za ramię.

Czuł się tak, jakby miał głowę wypchaną watą. Otworzył oczy.

Miał wrażenie, że tylko co zasnął. Czy ta mozolna wędrówka, wciąż dalej, dalej i dalej, nigdy się nie skończy? "Chryste! - westchnął. Wciąż wierzę, że jednak uda nam się dotrzeć do Szwajcarii".

- Która godzina? - zapytał siadając z wysiłkiem i spuszczać nogi na podłogę.

- Czwarta. Pociąg odjeżdża za trzydzieści minut. Przełknij coś.

Przyniosłam ci śniadanie. Śniadanie składało się z kawałka czarnego chleba, który smakował jak posypane popiołem trociny. Był też poobijany kubek zawierający jakąś ciecz. Lindsay nawet nie silił się, by ją zidentyfikować. Usiadł przy małym stoliku i spojrzał na Paco.

Miała na głowie spłowiałą chustkę zawiązaną pod brodą, którą przykryła swoje jasne włosy. Gruby, krótki kaftanik i suto marszczona spódnica z taniego materiału dopełniały stroju. Wyglądała w nim na dużo tęższą.

Skończył jeść chleb i przełknął resztki płynu.

- Bierzemy to ze sobą? - wskazał na odrapaną, starą walizkę stojącą na podłodze. ;

- Tak, ty ją będziesz niósł. Przeberzemy się znowu, gdy dotrzemy do kryjówki w Grazu. Jeżeli na dworcu trzeba będzie coś mówić, zostaw to mnie. Mam już bilety. Gotowy?

- Nie! Ruszajmy...

Wziął ze stołu robociarską, miękką czapkę i naciągnął ją na czoło. Czuł się nieswojo w nowym ubraniu, nie tylko dlatego, że w

nim spał.

Uszyto je ze sztywnego materiału, który krępował ruchy.

Podniósł już walizkę, gdy nagle pochwycił swoje odbicie w pękniętym lustrze szafy.

- Zapomniałem się ogolić.

- Masz zapuścić bokobrody, tumanie! Jesteś wieśniakiem.

Niektórzy ludzie nie myślą o najprostszych rzeczach.

- Rany boskie, przestań zrędzić!

- To już lepiej - stwierdziła. - Chcę, żebyś był czujny.

Wychodzimy schodami pożarowymi. Recepcjonista mówi, że główne wejście obserwuje policjant.

Schody pożarowe były zardzewiałą metalową drabinką, wiszącą na słowo honoru na tylnej ścianie budynku. Wiodły w wąską uliczkę, którą Lindsay widział po przyjeździe z okna ich pokoju.

; - Te schody nie wyglądają najlepiej...

- Dalej! - syknęła.

Jedna z metalowych poprzeczek złamała się pod jego ciężarem.

Bora i Milić czekali na dole. Lindsay zauważył, że Bora również niósł wiekową walizkę. Obaj byli przebrani za chłopów.

Paco wyminęła ich i wyszła z uliczki na otwartą przestrzeń.

Lindsay poszedł w jej ślady.

Szary opar. Cała dzielnica, tonąca w mroku, który powoli rozjaśniał się świtem, zdawała się spowita w dym. Były to pozostałości nocnej mgły. Przeszli obok kamienic dla biedoty i Lindsay po raz pierwszy zobaczył posępną budowlę Sudbahnhofu. Bardziej przypominała mu więzienie niż halę dworcową.

Przygarbione postacie sunęły w stronę budynku jak duchy.

Wszedł za Paco do hali kasowej, gdzie tłum skulonych z zimna ludzi stał w kolejkach do okienek. Wyszli na peron. Pociąg już czekał, na wagonach wywieszono tablice z nazwą stacji docelowej: "Graz".

Nagle Lindsay zobaczył Grubera, szefa gestapo z Berghofu.

Złapał Paco mocno za ramię i siłą zatrzymał w miejscu.

Wiedział, że jest wściekła, lecz nie obchodziło go to. Gruber! W jednej chwili opadły z niego resztki senności, smak obmierzłego śniadania poszedł w zapomnienie. Rozejrzał się po zatłoczonym peronie.

- Rób, co mówię, i nie kłóć się, do cholery! - syknął dziewczynie do ucha.

- Co ty wyprawiasz? - wyszeptwała., - Nie ruszaj się przez chwilę!

Nie puszczał jej ramienia, chcąc nie chcąc musiała się zastosować do jego polecenia. Dwaj młodzi mężczyźni, którzy szli niespiesznie w ich stronę, stanęli jak wmurowani. Byli to bandyci, którzy napadli ich wczoraj. Lindsay, czując przez skórę bliską obecność Grubera po lewej stronie, patrzył na nich nieruchomym wzrokiem.

Ten, który uciekł, zobaczył go pierwszy. Powiedział coś do towarzysza i obaj spojrzeli uważnie na Lindsaya. Odwrócili się i rzucili do ucieczki; przewracając po drodze jakąś staruszkę.

Zrobiło się zamieszanie.

- Halt! - wrzasnął ochryple Gruber. - Stać, mówię, albo zaczniemy strzelać!

Przebiegł tuż przed Lindsayem z lugerem w ręce, a za nim

dwóch również uzbrojonych w pistolety funkcjonariuszy. Cała trójka stanęła i wymierzyła broń w zbiegów. Lindsay naliczył sześć strzałów. Jeden z uciekających wyrzucił obie ręce w górę jak lekkoatleta przerywający taśmę mety i runął na peron głową naprzód. Drugi krzyknął, złapał się za lewą nogę i osunął na kolana..

- Chodź! Teraz!

Lindsay poganiając Paco wsiadł za nią do pociągu, obejrzał się, dostrzegł Milicia i Borę tuż za sobą i popchnął Paco wzdłuż korytarza.

Znalazła pusty przedział i opadła na miejsce przy drzwiach. Zamknął drzwi. Bora i Milić weszli do innego przedziału.

- To był Gruber z gestapo - powiedział cicho, kładąc walizkę na półce. - Przesłuchiwał mnie, zanim uciekłem z Berghofu. - Nie było sensu mówić Paco o istnieniu i lokalizacji Wilczego Szańca. -Te dwa rzezimieszki myślały, że za chwilę ich wydam. Zobaczyli mnie, zobaczyli Grubera, który ma swoją przynależność do gestapo wypisaną na twarzy. Wpadli w panikę, na co ja liczyłem. To znakomicie odciągnęło od nas uwagę. Masz jakieś pytania?

Usiadł, a ona przyglądała mu się uważnie z odchyłoną do tyłu głową. Wciąż oddychała ciężko z wysiłku. Nagle się uśmiechnęła.

- Naprawdę szybko się uczysz, Lindsay.

Wieść o tym, że gestapo zastrzeliło jednego z zabójców niemieckiego żołnierza i zatrzymało drugiego, obiegła cały Wiedeń lotem błyskawicy.

Gruber postarał się nadać swemu triumfowi jak największy rozgłos.

Gestapo zdobyło punkt przewagi nad S.S i Abwehrą. Gruber nie przewidział jednak, że dzięki nagłośnieniu sprawy już w dwadzieścia cztery godziny później Hartmann zjawi się w siedzibie gestapo, gdzie ocalały dezerter miał zostać poddany przesłuchaniu.

Hartmann nie miał żadnych trudności z przekonaniem funkcjonariusza na służbie, aby ten wpuścił go do więzienia. Wystarczyło, że zamachał mu przed nosem dokumentem wystawionym przez Bormanna. W tym czasie Gruber siedział u siebie w biurze próbując połączyć się z Berghofem.

- Jestem major Hartmann - oficer Abwehry przedstawił się dezerterowi, leżącemu z obandażowaną nogą na pryczy w celi.
-Zdajesz sobie sprawę ze swojego położenia? Będziesz sądzony i skazany na podstawie zeznań żołnierza, który przeżył wasz bestialski napad.

- Ale to Gerd go zabił! - zaprotestował młodzieniec.

- Jeżeli mam ci pomóc - przerwał mu Hartmann - musisz powiedzieć mi wszystko, co zdarzyło się na Sudbahnhofie. Nie mogę zrozumieć, dlaczego rzuciliście się do ucieczki. Nikt was przecież nie rozpoznał.

- Ten facet i dziewczyna zauważyli nas...

Dezerter urwał, jakby powiedział za dużo. Hartmann nachylił się nad nim i uniósł ostrzegawczo palec.

- Mam mało czasu. Jestem z Abwehry. Jak cię tu zostawię, zostaniesz sam na sam z gestapo. Co za facet, co za dziewczyna?

- Wczoraj wieczorem zatrzymaliśmy ich blisko Sudbahnhofu.

Najdziwniejsze, że byli zupełnie inaczej ubrani, tak że

pewnie nie rozpoznałbym ich na stacji, gdyby ten facet nie gapił się prosto na mnie.

Major Abwehry wydobyl z niego całą historię w dziesięć minut.

Więzień widział tych ludzi, jak wsiadali do pociągu do Grazu.

Hartmann wstał, zawołał strażnika, wyszedł z celi i opuścił siedzibę gestapo. Zdecydował z niechęcią, że przed udaniem się do Grazu musi donieść o swych odkryciach Bormannowi.

Rozdział dwudziesty siódmy

Tak zwane Biuro Ha, czyli szwajcarska agencja wywiadowcza współpracująca z Lucy, mieściło się w willi Stutz, osiem i pół kilometra od przedmieścia, gdzie mieszkali Roesslerowie.

Dwupiętrowy dom z fasadą ozdobioną stiukami był dyskretnie położony na samotnym cyplu wychodzącym w jezioro i nie rzucał się w oczy. Z zewnątrz wyglądał na rezydencję zamożnego Szwajcara.

W jego otoczeniu nigdy nie widziało się wojskowych mundurów -podwójnej bramy z kutego żelaza pilnowali wartownicy w cywilu.

Roger Masson wezwał Roesslera na rozmowę do swojego biura w willi Stutz o północy. Późna pora została wybrana umyślnie, dzięki temu Roessler mógł dotrzeć do siedziby biura nie zauważony. W tym czasie - o czym Masson doskonale wiedział - w Szwajcarii roilo się od niemieckich agentów, którzy przenikali

przez granice.

Kiedy Roesslera wpuszczono do pokoju i jego pochylona sylwetka ukazała się w drzwiach, Masson siedział sztywno za swoim biurkiem.

Już sam ten fakt wprawił Roesslera w zdenerwowanie - nie było to podobne do Massona, który zazwyczaj witał go bardzo przyjaźnie.

Gdy tylko Roessler usiadł, Szwajcar natarł na niego gwałtownie:

- Jest pan Niemcem. Zawarliśmy porozumienie, w którym zostało jasno ustalone: będzie pan mógł obsługiwać radiostację pod warunkiem, że przyśle pan do mnie kopię każdego meldunku od Dzięcioła.

- Nie dostałem nowych meldunków.

- Chce pan, żebym uwierzył, że Dzięcioł od przeszło miesiąca nie daje znaku życia? W takim razie może siatka została rozbita? Czy sądzi pan, że Dzięcioł został złapany przez gestapo? To wszystko jest w najwyższym stopniu niezadowolające. Czy miał pan kiedyś do czynienia z Amerykaninem o nazwisku Allen Dulles?

- Nigdy o kimś takim nie słyszałem - powiedział Roessler z głębokim przekonaniem.

Masson odchylił się na oparcie krzesła. Ten amerykański agent *, któremu udało się jakiś czas temu przedrzeć do Szwajcarii z okupowanej Francji, sprawiał cholerne kłopoty. Jeździł sobie otwarcie po kraju, nie usiłując się nawet ukrywać. Dosłownie rozgłaszał swoje istnienie na cztery strony świata. Niemcy już wiedzieli o jego pobycie w Szwajcarii. Masson myśląc o

tym obserwował swojego gościa, który niespokojnie rozglądał się po pokoju. Okna były zasłonięte długimi do podłogi kotarami, a wszystkie dźwięki dodatkowo tłumiła mgła, napływająca od jeziora.

- Naprawdę dziwi mnie ta nagła przerwa w działalności

Dzięcioła - powiedział nagle Masson.

- Myśli pan, że mnie to nie dziwi? W dodatku zbliża się pora letniej kampanii na radzieckim froncie, więc Moskwa powinna chciwie czekać na szczegółowe wiadomości o planach operacyjnych Wehrmachtu. Hitler mógłby ich zniszczyć, mając do dyspozycji duże siły.

- Wiem. No cóż, zobaczymy. Może pan iść.

Po wyjściu Roesslera Masson siedział samotnie za biurkiem przez całą godzinę. Jeśli Hitler wygra na froncie wschodnim, jego następnym celem może stać się Szwajcaria. W jednym z meldunków, którego specjaliści od szyfrów wciąż nie mogli rozpracować, znalazła się ta niepokojąca wzmianka o Szwajcarii. Działalność Lucy - gdyby kiedyś wyszła na jaw - byłaby dla Niemców wyborną prowokacją i pretekstem do podjęcia wrogich kroków. Masson wciąż nie wiedział, czy powinien pozwolić Roesslerowi działać dalej.

W końcu kwietnia 1943 roku Dzięcioł wznowił swoje transmisje.

Masson nie mógł wiedzieć, że ten fakt łączył się z powrotem Hitlera i jego świty do Wilczego Szańca. Wśród ludzi, którzy wsiedli do pociągu fuhrera o nazwie "Ameryka", byli: reichsleiter Martin Bormann, butny feldmarszałek Wilhelm Keitel i uprzejmy, lecz przebiegły generał Jodl.

"Ameryka" prychając miarowo parą zbliżała się do Wilczego

Szańca. Bormann wszedł do wagonu restauracyjnego. Hitler, który siedział przy jednym stole z Keitlem i Jodlem, właśnie ukończył swój skromny obiad, składający się z czarki zupy selerowej.

- Mein Fuhrer, są wiadomości o angielskim uciekinierze, Lindsayu - oznajmił Bormann zajmując pusty fotel. * Allen Dulles był szefem amerykańskiego wywiadu w Europie.

- Złapali go? Mam nadzieję, że żywego.

- No, nie - jeszcze nie został złapany. Ale Hartmann zameldował, że cała grupa przedziera się do Jugosławii. Idzie ich śladem.

- Ach, jednak Hartmann! - Hitler bawił się kosztem Bormanna.

- Pamiętam, że w Berghofie chcieliście powierzyć tę misję wyłącznie gestapo i S.S. Czy to nie ja nalegałem, że Hartmann powinien przyłączyć się do poszukiwań?

- To była jedynie pańska decyzja, mein Fuhrer, która jeszcze raz potwierdziła pańską nieomylność w ocenie sytuacji. - Bormann przypochlebiał się słuźalczo.

Jodl omal się nie zakrztusił wyjątkowo soczystym kęsem wieprzowiny, którym się właśnie delektował. Robiło mu się niedobrze, gdy widział, jak reichsleiter płaszczy się przed fuhrerem. Jodl był jednym z nielicznych ludzi, którzy odważali się stawiać czoło Hitlerowi.

Sławny był pewien przedwojenny incydent, gdy Jodl wdał się w krzykliwą kłótnię z fuhrerem, otwarcie mu się przeciwstawiając.

- Nie wiem, jak możecie przełknąć to mięso - spostrzegł Hitler. - Dieta wegetariańska... - Zdawało się, że rozpocznie długi wykład, ale przerwał i znów zaczął wypytywać Bormanna: -

Więc Lindsay i jego pomocnicy nie skierowali się do Szwajcarii, czego byliście tacy pewni: Ten drogi bagaż pozostawiony na Westbahnhofie powinien być was ostrzec, Bormann. Zmienili skórę. Gdzie zdaniem Hartmanna udają się teraz?

- Jeden z brytyjskich agentów został zrzucony na spadochronie, aby nawiązać kontakt z jugosłowiańskimi bandytami.

- Co to za agent? Czy będzie szukał Lindsaya? - zainteresował się Jodl.

- Hartmann nie podał dalszych informacji z wyjątkiem tego, że idzie ich tropem - odrzekł Bormann.

Keitel zachował milczenie, na pozór zupełnie zaabsorbowany posiłkiem i widokami za oknem. Pogoda zapowiadała jeden z pierwszych ciepłych dni wiosny.

- Jugosławia? - powtórzył w zamyśleniu Hitler. - Zastanawiam się, czy oni zdają sobie sprawę, co ich tam czeka. Przekraczają bramy piekieł...

O drugiej trzydziści dnia następnego "Ameryka" od dawna stała na boczniczy toru kolejowego prowadzącego do Wilczego Szańca.

Hitler i jego świta rozlokowali się w swoich kwaterach wewnątrz strefy ochronnej A. Z jednym wyjątkiem.

Jakaś postać szła samotnie przez ciemny las sosnowy w stronę sterty choiny. Zwinne ręce zdjęły kilka gałęzi, maskujących skrytkę z radiostacją. Wystukany szyfrem na klawiszu meldunek składał się z dwóch części.

Pierwsza podawała nowy plan operacyjny wojsk niemieckich, który ustalono na wieczornej naradzie pod przewodnictwem fuhrera.

Druga część, nadana specjalnym szyfrem, przekazywała doniesienia Hartmanna co do obecnego miejsca pobytu i prawdopodobnego celu podróży podpułkownika Lindsaya.

Po ukończeniu nadawania maskujące gałęzie zostały odłożone na miejsce i mała, ślepa latarka zgasła. Dzieciotł znów nawiązał łączność z Lucy.

Na Kremlu człowiek ma wrażenie, jakby znalazł się w mieście wewnątrz miasta - mniejszej replice ukrytej w większej, jak w matrioszkach, rosyjskich lalkach z malowanego drewna. Kto przez wielkie wrzeciądze wjeżdża na ogromny dziedziniec otoczony średniowiecznymi budowlami i zabytkowymi kościołami, ten jakby się cofnął o parę stuleci w przeszłość.

O piątej rano 1 maja Ławrientij Beria w bardzo podłym nastroju siedział z tyłu czarnej limuzyny - czarny był jedynym kolorem znanym sowieckim fabrykantom luksusowych samochodów - i próbował zgadnąć, jaki nagły powód mógł skłonić Stalina do wezwania go o tej nieludzkiej porze. Beria był notorycznie niewyspany.

Generalissimus, świeżo ogolony i zapięty na wszystkie guziki, czekał na szefa NKWD w swoim gabinecie, mieszczącym się w budynku biurowym. Stojąc wskazał Berii krzesło. Taka sytuacja kompensowała niski wzrost Stalina i wprawiała jego gościa w zakłopotanie.

- Ten Anglik, Lindsay! - zaczął Stalin gniewnym, zjadliwym tonem. Przez kilka chwil chodził po ponurym pokoju. Beria zamarł w bezruchu. Rzadko widział generalissimusa w stanie takiego wzburzenia. - Uciekł do Jugosławii... - ciągnął Stalin,

wypowiadając słowo "uciekł" z gryzącym sarkazmem. - Beria, czy naprawdę myślicie, że ucieczka z Berchtesgaden bez cichej zgody fuhrera leży w ludzkich możliwościach?

- Wobec tego natrafiliście zapewne na ślad jakiegoś spisku?

- spytał ostrożnie Beria i czekał. Był przyzwyczajony do tego, że Stalin używa go jako płyty rezonansowej dla własnych myśli, zwłaszcza w chwilach dużego zdenerwowania. Powietrze, w którym unosiła się charakterystyczna woń, kojarzona przez starych wyjadaczy z Rosją, a będąca mieszaniną ludzkiego potu, ohydneho smrodu mydła i środków dezynfekujących, naelektryzowane było napięciem.

- Otrzymałem kolejny meldunek, w którym mowa nie tylko o tym, że Anglik przedziera się do Jugosławii, lecz również - posłuchajcie tego, towarzyszu - że będzie tam próbował skontaktować się ze szpiegami, zrzuconymi na spadochronach przez naszych tak zwanych sojuszników. Widzicie chyba jasno, co nastąpi dalej?

- Może moglibyście mi to wyjaśnić - poprosił Beria.

- To wszystko to perfidna sztuczka kapitalistów! - Twarz Stalina nagle pociemniała. - Lindsay bez najmniejszych wątpliwości jest pokojowym emisariuszem, wysłanym przez Churchilla! Ustalił warunki z Hitlerem i teraz wraca, by zawiadomić o nich Londyn.

Hitler stara się jak może, żeby ukryć to przede mną, i dlatego odsyła Lindsaya w ten sprytny, zakamuflowany sposób. Ukrywa swoje prawdziwe zamiary nawet przed najbliższymi współpracownikami.

Wyobrażacie sobie tę atmosferę intryganctwa i braku zaufania, jaka musi panować w głównej kwaterze Hitlera, gdzie wszyscy najchętniej by się pozagryzali?

Beria mógł to sobie wyobrazić aż za dobrze, lecz był na tyle ostrożny, aby tego nie powiedzieć. Ten opis pasował doskonale do atmosfery Kremla.

- Chyba istnieje jakieś rozwiązanie tego problemu? - odważył się zapytać.

- Już podjąłem kroki, żeby załatwić się raz na zawsze z naszym podpułkownikiem Lindsayem - oznajmił Stalin.

W Londynie 2 maja padało, co nie było wielką niespodzianką.

Nieustająca mżawka mogła przemoczyć do suchej nitki każdego, kto spędził pięć minut pod gołym niebem. Tim Whelby był właśnie pod gołym niebem.

Ubrany w spłowiały prochowiec stał późnym wieczorem w niepięknym otoczeniu stacji kolejki podziemnej Charing Cross i udawał, że czyta gazetę. Oprócz wilgoci dokuczał przejmujący ziąb. Whelby drżał z zimna zerkając na zegarek. Dziesiąta. Co do sekundy. Za kolejne trzy minuty wróci do domu.

- Nadeszła pilna depesza od Kozaka.

Szept, który rozległ mu się nad uchem, był zupełnym zaskoczeniem.

Sawitski pojawił się jakby znikąd i stojąc o krok od Anglika otrzepał na niego swój parasol. Odwrócił się i przeprosił normalnym głosem.

- Nic nie szkodzi. I tak byłem doszczętnie przemoczony - odrzekł sarkastycznym tonem Whelby. Zniżył głos. - Proszę mówić

szybko, niedaleko jest patrol policji.

- Nasz podpułkownik kieruje się do Jugosławii. Domyślamy się, że ma zamiar nawiązać tam kontakt z jednym z alianckich łączników.

- Jest sam? - Whelby nie potrafił ukryć zaskoczenia. Do tej pory złożył z poszczególnych informacji całkiem kompletne dossier Lindsaya. Wiedział z pewnością, że oficer RAFu władał płynnie niemieckim, lecz nikt nie wspomniał o serbskochorwackim. Cała sprawa wyglądała nader nieprawdopodobnie. - To pewna wiadomość?

- Wszystkie moje wiadomości są pewne - odparł Rosjanin z lekką irytacją. - I jeśli już o tym mowa, to nie, nie jest sam.

Spiknął się z grupą alianckich agentów. Wydostali go z Niemiec.

- Co według pana mogę zrobić w tej sprawie? - spytał ostro Whelby. - Mój rejon to Półwysep Iberyjski. Miał jechać przez Szwajcarię do Hiszpanii. Wtedy mógłbym coś zdziałać.

- Nie może żywy dotrzeć do pułkownika Brownea. Nawet gdyby pan musiał przechwycić go osobiście. To polecenie z samej góry. Ja umyвам ręce.

- Na pana miejscu zrobiłbym to samo - powiedział Whelby ze szczyptą goryczy. Na miłość boską, czy oni tam myślą, że on jest szkolonym mordercą?

Tkwiący w zapadłym kącie południowej Austrii podpułkownik Lindsay nie miał zielonego pojęcia, ile wrogich stronnictw chciało dobrać mu się do skóry. Po stronie niemieckiej do goniącej go sfory należeli pułkownik Jaeger i jego zastępca, Schmidt, gestapo w osobach Grubera i przewyższającego go

inteligencją współpracownika, Williego Maisla, oraz major Hartmann z Abwehry.

Stalin był informowany na bieżąco o posunięciach Anglika. On również robił wszystko, co leżało w jego mocy, aby doprowadzić do rychłego zlikwidowania Lindsaya.

Pozostawało miejsce budzące największą ufność: Londyn - ziemski raj, do którego Lindsay rozpaczliwie próbował dotrzeć. Czekał tu Tim Whelby z poleceniem, żeby zrobić wszystko, aby podpułkownik RAFu nie pożył dostatecznie długo, by móc złożyć raport o swojej wizycie u fuhrera.

W obecnym stadium wszystkie wiodące postacie w tej wielkiej grze żyły w stanie chronicznego niepokoju. Stalin pocił się na samą myśl o tym, że alianci mogą zawrzeć separatystyczny pokój z Niemcami.

Rogera Massona nachodziła w snach koszmarna wizja, której nie mógł się pozbyć - najazdu Hitlera na Szwajcarię, gdy dowie się on o działalności Lucy. Roessler martwił się, ponieważ wszystko wskazywało na to, że stracił zaufanie swoich szwajcarskich protektorów.

Wyłumaczeniem tego tak dojmującego uczucia zagrożenia był fakt, że w maju 1943 roku Niemcy wciąż mieli spore szanse na wygranie wojny. Mieli odpowiednie środki, żołnierzy - i generałów -którymi mogli zniszczyć sowiecką Rosję.

W Londynie Tim Whelby był aż nadto świadom powagi sytuacji.

Jego ostatnia rozmowa z Josipem Sawitskim wstrząsnęła nim. Kiedyś przelotnie spotkał Lindsaya, ale ledwie go zauważył wśród innych ludzi, którzy wydawali mu się wówczas ważniejszymi

obiektami do obserwacji i zjednywania sobie ich sympatii.

Wkrótce po spotkaniu przy Charing Cross podczas rozmowy z szefem napomknął:

- Kiedy ostatnio jechałem do Madrytu, słyszałem o krążącej plotce, jakobyśmy mieli badać możliwości zawarcia separatystycznego pokoju z Hitlerem na określonych warunkach.

- Tak? - Pułkownik Browne pochylił się nad zastanym papierami biurkiem, jakby temat ani trochę go nie interesował. - Kto ci to powiedział?

- Pewien informator, którego nazwiska wolę nie przytaczać.

Odrzekłem mu, że to kompletna bzdura. W jaki sposób powstają te plotki?

- Pewnie tak jak wszystkie inne.

- Ten sam informator powiedział mi - ciągnął Whelby, wymyślając dalszy ciąg historii w miarę opowiadania - że Lindsay został wysłany do Hitlera z misją pokojową i negocjuje teraz z nim traktat pokojowy.

- Naprawdę? - Ton jego szefa wyrażał szczere zdumienie z powodu usłyszonej rewelacji. Pułkownik Browne sięgnął po następny dokument.

Whelby zrezygnował. Uznał, że kontynuowanie tematu jest niebezpieczne. Cały szkopał był w tym, że nie udało mu się jeszcze pozyskać całkowitego zaufania Brownea, tak aby ten odsłonił mu prawdziwą rolę Lindsaya.

Po dotarciu do pełnego zabytków przeszłości Gazu Paco, Lindsay oraz Bora i Milić nie marnowali czasu. Przyjechali dobrze po zmroku.

Wtopili się w tłum spieszących do wyjścia pasażerów i opuścili stację nie niepokojeni przez nikogo.

- Ani śladu służby bezpieczeństwa czy patroli policji - zauważył Lindsay.

- To zupełna głusza, daleko od zgiełku wojny - odrzekła Paco idąc naprzód. - Nie ma tu taksówek, a ostatni autobus odjechał godzinę temu. Możesz chyba przejść pieszo trzy kilometry, w końcu cały dzień spędziłeś na siedząco!

- Człowiek czuje się tu zupełnie inaczej. - Obejrzał się na Borę i Milicia, którzy szli za nimi w pewnej odległości. Księżyc błyszczał na bruku deptanym przez stulecia stopami wielu przechodniów. - Równie dobrze mógłby to być kraj, w którym panuje pokój, taki jak Szwajcaria.

- Nie uderzaj w zbyt patetyczny ton, bo wkrótce możesz się rozczarować - ostrzegła. - Zasyjemy się tutaj na jakieś trzy tygodnie, na wypadek gdyby obserwowali granicę. Potem przejdziemy do Jugosławii przez punkt graniczny w Spielfeld - Strass i może to się okazać niezbyt wesołą wycieczką.

- Idziemy wszyscy razem?

- Tylko ty i ja. Przebierzemy się w serbskie stroje. Bora i Milić odciągną uwagę straży, żeby łatwiej nam było przejść.

- Powinienem pójść z nimi... - zaczął.

- Do cholery, masz robić to, co ci się mówi! To mój rewir. Jesteś paczką, którą mamy dostarczyć do jednej z alianckich placówek wojskowych.

- Może mam przeproszać za to, że żyję?

- Tylko nie zacznij się roztkliwiać nad sobą. Obejdę się bez

biadolenia.

Podczas tej słownej utarczki Paco ani razu nie podniosła głosu, jakby prowadziła zwykłą rozmowę. Zerknęła na Lindsaya z ukosa. On patrzył uparcie przed siebie.

- Ocaliłeś nasze skóry, wtedy na Sudbahnhofie, gdy wepchnąłeś mnie do pociągu. Tworzymy zgrany zespół, Lindsay. - Chwyliła go za ramię. - Jesteśmy już wszyscy wyczerpani, dlatego musimy szczególnie uważać. Właśnie minęliśmy dwóch austriackich policjantów w cywilu.

- W ogóle ich nie zauważyłem.

- Bo zbyt byliśmy zajęci kłótnią. Zachowywaliśmy się jak zwyczajne małżeństwo. Widziałam, jak jeden z tych tajniaków się uśmiechnął i rzucił jakąś uwagę na nasz temat., - Ty przebiegła diablico!

- Miło słyszeć słowa uznania. - Ścisnęła go za ramię i przyspieszyła kroku.

Spojrzał na nią z podziwem. Z premedytacją wywołała tę sprzeczkę, żeby bez problemów minąć policjantów. Jej szybkość orientacji i pomysłowość zdumiewały go wciąż na nowo. Pomyślał, że właśnie dlatego oddział Paco przetrwał tak długo.

- Co robiłaś przed wojną? - spytał. - Niewiele o tobie wiem.

- Pracowałam w agencji reklamowej w Belgradzie. Byłam, jak to nazywają w Londynie, kierowniczką działu księgowości. Aby przetrwać w takiej pracy, trzeba umieć dawać sobie radę z różnymi typami ludzi.

- Potem wstąpiłaś do partyzantki?

- Najpierw przyłączyłam się do tych parszywych czetników.

Oni popierają monarchię, co mnie również całkiem odpowiadało. Do czasu gdy odkryłam, że kolaborują z Niemcami. Przeszłam do partyzantów, bo oni naprawdę walczą z okupantem. To wszystko.

Okres nużącego oczekiwania spędzili w starym domu nad rzeką Murą w centrum Grazu. Ten dom, stanowiący ich przystanek na trasie, zamieszkiwało starsze małżeństwo. Paco poinstruowała Lindsaya, żeby nie odzywał się do nich ani słowem. Okno jego niewielkiej sypialni wychodziło na rzekę i dziwaczną wieżę z zegarem, stojącą na zboczu stromego wzgórza na drugim brzegu.

Sypiał źle, rzucał się i obracał z boku na bok na nieznanym łożku. Przez okno, które zostawiał otwarte, żeby móc usłyszeć nadejście policji, napływało chłodne, nocne powietrze. Zastanawiał się potem, gdy już opuścili to miejsce, czy te trudności w zasypianiu były wywołane złymi przeczuciami. Przejście granicy w Spielfeld - Strass okazało się bowiem cholernie ciężką przeprawą.

Część trzecia

BAŁKAŃSKI KOCIOŁ

Rozdział dwudziesty ósmy

Spielfeld - Strass przez czterdzieści lat się nie zmieniło. Wygląda dziś tak samo, jak w roku 1943 - kiedy Paco i jej towarzysze przyjechali tam w pociągu składającym się z sześciu

wagonów ciągniętych przez prastarą lokomotywę parową. Wygląda bardziej na mały, niepozorny przystanek niż stację graniczną.

Lindsay wysiadł w ślad za Paco i zobaczył inny pociąg stojący na bocznicy. Na tablicach ze stacją docelową był napis "WIEN SUDBHF". Przeszli przez tory okryte porannym szronem i weszli do małego budynku stacji przez drzwi oznaczone "Ausgang". Najwyraźniej nikt nie miał zamiaru odbierać od nich biletów, które kupili w Grazu.

Paco bez widocznego pośpiechu przeszła przez budynek dworca.

Minęli betonowe schodki i znaleźli się na otwartej przestrzeni.

Stacja była położona na niewielkim wzniesieniu. Zeszli nieco niżej do Spielfeld, składającego się z kilku domów i posterunku policji, piętrowego budynku ze spadzistym dachem krytym dachówką i małą facjatką, która przypominała gołębnik. Nad wejściem były napisy "Gendarmerie" i "Postenkommando".

Wszystko to odbiegało zupełnie od oczekiwań Lindsaya.

Przerzucił walizkę do lewej ręki i zrównał się z Paco.

- Ani śladu żołnierzy czy umocnień przygranicznych...

- Poczekaj, aż dojdziemy do samego przejścia. To niedaleko.

- Gdzie się podzieli Bora i Milić?

- Wciąż tylko pytania i pytania! Znowu zaczynasz. Poszli

inną drogą, żeby w razie jakichś kłopotów na granicy zacząć akcję dywersyjną i odciągnąć od nas uwagę.

Lindsay nic na to nie powiedział. Przypomniał sobie, jak raz wszedł do kuchni w domu w Grazu. Milić pakował tam właśnie do torby swój ekwipunek, który składał się z granatów ręcznych i

czegoś, co przypominało świece dymne. Prawdopodobnie wyjął to wyposażenie z jakiegoś tajnego schowka na broń. Lindsay nie pytał.

- Nie zatrzymuj się! - ostrzegła Paco. - Idź dalej i nie zwracaj uwagi na wóz policyjny.

Posterunek znajdował się przy rynku. Po drugiej stronie pustego placu rósł wielki orzech ze zwieszonymi smutnie nagimi gałęziami, na których siedziały rzędy ptaszków. Za drzewem kryła się stara gospoda o zblakłych, poszarzałych ścianach. Na froncie był napis "Gasthof Schenk".

Wszędzie panował niewiarygodny spokój. Wokół było pusto, widać inni pasażerowie skierowali się w przeciwną stronę. Lindsayowi ten spokój wydał się podejrzany, niepokoiła go też bliskość posterunku.

Po płytach chodnika spacerowały brązowe kury, trzęsąc czerwonymi grzebieniami. Ptaki ćwierkały z zapamiętaniem, poza tym słychać było jedynie grzechot kul bilardowych, który dochodził z otwartego okna gospody. Dochodziła jedenasta, niebo było jak wzburzone morze szarych chmur - w powietrzu pachniało zbliżającym się deszczem.

W policyjnej furgonetce, zaparkowanej pod orzechem, siedziało dwóch mundurowych żandarmów. Przechodząc przed wozem, który miał na masce z przodu duże, białe litery "Polizei", Lindsay czuł obserwujące go dwie pary oczu. Choć żandarmi nie poruszyli się, wiedział, że śledzą go wzrokiem. Czekał na metaliczny szcęk otwieranych drzwiczek.

Paco odezwała się dopiero, gdy doszli do polnej drogi. Z

tytu za nimi rozległ się lekki trzepot i Lindsay omal nie podskoczył. To jakieś ptaszki zerwały się do lotu.

- Ci goście nie zniżyliby się, żeby rozmawiać z takimi jak my - powiedziała świetnie udając gwarę londyńską. - Ze zwykłymi wieśniakami...?!

Przebrali się w nowe stroje jeszcze przed wyjazdem z Grazu. Paco miała teraz na sobie serbski kubraczek i spódnicę, a na głowie ciasno zawiązaną kolorową chusteczkę, która zakrywała jej włosy. Lindsay był ubrany jak serbski chłop. Idąc za radą Paco nie golił się od jakiegoś czasu, toteż zapuścił bujne bokobrody.

Minęli wysoki zielony pagórek i szli pustą polną drogą. Jedynym dźwiękiem, jaki doszedł do ich uszu, był stłumiony gwizdek parowozu, po którym nastąpił brzęk przetaczanych wagonów.

- Jeżeli nas zatrzymają, Milić i Bora będą musieli rozpętać formalną bitwę - zauważyła Paco jakby mimochodem. - W razie kłopotów postaraj się trzymać jak najdalej od strażników. Jesteśmy na miejscu.

Kiedy dochodzi do rozlewu krwi, przeraża nie tyle fakt, że giną ludzie, ile nagłość, z jaką takie sytuacje następują.

Lindsay i Paco minęli zakręt polnej drogi i znaleźli się przed posterunkiem granicznym, twarzą w twarz z wojną. Było tu rojno od niemieckich wartowników; ubranych w polowe, szarozielone mundury. Żołnierze starali się rozruszać, żeby przepędzić poranny chłód. Co chwila przystawali tupiąc po zmarzniętej na kamień ziemi, pokrytej grubą warstwą szronu i lodem, w jaki ścięły się kałuże. Zabijali ręce, żeby pobudzić w nich krążenie krwi. W porównaniu z położoną niedaleko stacją temperatura była tu niższa

o dziesięć stopni.

Wstęga szyn prowadziła na południe, na Bałkany, tam, gdzie toczyła się wojna. Na bocznicę stał wagon towarowy. Kilku mężczyzn wyładowywało drewniane skrzynki z wojskowej ciężarówki i wносиło je do wagonu. Lindsay zeszywniał, lecz Paco, która trzymała go pod ramię, nie pozwoliła mu się zatrzymać.

Drewniane skrzynki miały kształt prostopadłościanów i napisy z liter odbitych przez szablon. W takich skrzynkach transportowano amunicję. Wagon był załadowany prawie do pełna. Wartownicy patrolowali tor po obu stronach, trzymając w pogotowiu pistolety maszynowe.

- Zjawiliśmy się w złym momencie - mruknął Lindsay.

- Właśnie że w dobrym - odpowiedziała Paco półgłosem. - Całą ich uwagę pochłania ten wagon.

Lindsay spojrzął na otaczające kotlinę trawiaste wzgórza z kępami drzew na szczycie. Próbował wyobrazić sobie, gdzie zajęłby pozycję, gdyby był na miejscu Milicia i Bory. Obaj przepadli bez śladu.

Paco wyjęła jakieś wyświechtane dokumenty i wraz z Lindsayem stanęła na końcu kilkuosobowej kolejki wieśniaków, którzy udawali się do Jugosławii.

Dwie stare kobiety przed nimi rozmawiały w śpiewnym języku, pełnym syczących dźwięków. Lindsay słyszał go pierwszy raz w życiu.

- To po serbskochorwacku - wyszeptła Paco. - Przyzwyczaj się do tej mowy, bo będziesz jej długo słuchał.

"Dziwne - pomyślał Lindsay - z jaką spokojną pewnością

siebie mówiła o dotarciu do tej ziemi obiecanej - Jugostawii".

Posterunek graniczny mieścił się w małej, drewnianej. Budce.

Bardzo przypominała Lindsayowi stróżówki nocnych dozorców w Anglii. Przed posterunkiem stał młody kapitan, który uważnie sprawdzał dokumenty wszystkich podróżnych.

- Miej się na baczności - uprzedziła Paco. - Najgorsi są ci młodzi.

- A najlepsze są te młode - wysilił się na żart, nadrabiając miną.

Paco naprawdę budziła podziw. On sam był napięty jak struna, którą wystarczy potrącić, by zadźwięczała. Nagle dostrzegł, dlaczego młodemu oficerowi przydzielono tak spokojną funkcję z dala od frontu. Jego pusty lewy rękaw był przypięty do ramienia - kapitan nie miał jednej ręki. Lindsay zauważył usta zaciśnięte w wyrazie goryczy. Mogli mieć tu ciężką przeprawę.

Kolejka przesuwiała się naprzód. Za. Budką, w odległości jakichś stu metrów, stał porządnie ułożony sąg drzewa. Paru kawałków użyto do rozpalenia przy budce ogniska, które trzaskało wesoło.

Kapitan machnął ręką przepuszczając jakiegoś wieśniaka przez granicę. Ocalenie było tak blisko: wystarczyło minąć szlaban i przejść kawałek wiejską drogą, gdzie zaczynało się już terytorium Jugostawii.

Teraz przed nimi w kolejce do kontroli granicznej zostały tylko dwie stare kobiety. Lindsay nigdy w życiu nie czuł się równie bezbronny. Doświadczenia z Wilczego Szańca, z Berghofu czy noc spędzona w chylącej się ku ruinie gospodzie przy Sudbahnhofie

nie mogły się z tym równać. Czuł się straszliwie odsłonięty, wystawiony na atak ze wszystkich stron.

- Moim zdaniem ciotka trzyma się świetnie. Szybko doszła do siebie po tak ciężkiej chorobie. A jak ty myślisz? - spytała Paco po niemiecku, spokojnym tonem.

Zaskoczyła go. Rozglądał się właśnie wokół, próbując zapamiętać szczegóły topograficzne. Zdał sobie sprawę, że to pytanie było przeznaczone dla uszu oficera, który sprawdzał dokumenty.

- Uważam, że nasza wizyta u niej była stratą czasu - odparł w tym samym języku.

Dwie stare kobiety przed nimi dostały z powrotem swoje dokumenty, a Niemiec przyglądając się uważnie Paco wziął od niej papiery.

Uśmiechnęła się do niego, ale - jak się tego Lindsay spodziewał - na oficera nie wywarło to najmniejszego wrażenia..

- Te dokumenty nie są w porządku - powiedział, zaledwie rzuciwszy na nie okiem.

Na szczycie zielonego wzgórza położonego najbliżej przejścia granicznego znajdowało się trzech ludzi. Jeden z nich już nie żył.

Był to niemiecki żołnierz, który jeszcze niedawno zajmował tę kluczową pozycję ostrzału, leżąc na ziemi za karabinem maszynowym. Nie usłyszał Milicia przekradającego się między drzewami. W chwili gdy zaczął podejrzewać, że nie jest sam, Milić wbił w niego nóż. Sztuka poruszania się w terenie, której uczoneo żołnierzy w obozach szkoleniowych, była nędzną amatorszczyzną w

porównaniu z niesamowitymi umiejętnościami Serbów. Bora zajął miejsce zabitego i rozciągnął się na ziemi za ustawionym na trójnogu karabinem.

Przy nim w zimnej trawie położył się Milić. Szklą lornetki polowej skierował na Lindsaya i Paco, czekających na kontrolę dokumentów.

Obok niego leżały w schludnym rzędku granaty, które wyjął ze zdjętego z pleców płóciennego tornistra. W następnym rzędzie ułożył świece dymne.

- Tamci na dole mają chyba jakieś kłopoty - zauważył w pewnej chwili.

- Co się mogło stać? - warknął Bora. - Powinni przejść bez kłopotu. Zaufaj Paco.

- Właśnie dała znak - odrzekł spokojnie Milić.

Wyraźnie widział przez szklą lornetki, jak Paco uniosła dłoń do chustki, zawiązanej na głowie. Był to umówiony sygnał: "Jesteśmy w niebezpieczeństwie". -- Żadne z was nie ma specjalnej pieczętki, wymaganej od niedawna - poinformował Paco kapitan ze straży granicznej.

- Ależ, panie kapitanie, te dokumenty zostały podstemplowane wczoraj w Grazu...

- Chciałaś pewnie powiedzieć, że zostały tam wczoraj sfałszowane!

Paco podniosła rękę, jakby chcąc poprawić chustkę na głowie, a potem podjęła tłumaczenie i wyciągnąwszy następne papiery skupiła na sobie uwagę kapitana. Stała się jeszcze bardziej pewna siebie i nieco arogancka.

- Jesteśmy specjalnymi wysłannikami, nie powiadomiono pana o tym? Powinniśmy zostać przepuszczeni bez zadawania żadnych pytań. Te dokumenty, jak pan widzi, podpisał pułkownik Jaeger z S.S w Berghofie...

Lindsay znów rozejrzał się po kotlinie i otaczających ją wzgórzach, podczas gdy kapitan, zerknąwszy na orła ze swastyką w nagłówku dokumentów, zaczął uważnie czytać przepustki tranzytowe.

Na szczycie najbliższego wzgórza pojawiła się sylwetka niskiego, krępego mężczyzny. Podniósł prawą rękę i rzucił wysokim łukiem jakiś przedmiot, który upadł tuż przy grupie strażników. Rozległ się głuchy huk. Wybuch rozrzucił żołnierzy jak kręgle. Nadleciał drugi granat. Lindsay pięścią uderzył w pierś Niemca trzymającego dokumenty. Oficer przewrócił się i wpadł do wnętrza budki strażniczej. Lindsay chwycił Paco za rękę i pociągnął ją za sobą. Zaczęli biec.

- Za ten stos drzewa! - krzyknął. Na spokojnym dotychczas punkcie granicznym wybuchła panika, żołnierze biegali wokół jak przerażone mrówki. - Musimy się schować - ten wagon z amunicją...!

Przewrócił ją na ziemię. Kule z pistoletu maszynowego zaczęły odłupywać drzazgi z wierzchołka stosu. Lindsay wyrztał ostrożnie i zobaczył, jak następny granat opisuje łuk i trafia dokładnie w cel - wagon amunicyjny. Świat rozleciał się na kawałki w ogłuszającej eksplozji. Grunt pod ich stopami, chociaż ścięty mrozem i stwardniały na kamień, dygotał jak podczas trzęsienia ziemi. Lindsay przykrył Paco swoim ciałem, by osłonić ją przed spadającymi kawałkami stali i drewna. Sąg drzewa pozostał

nienaruszony.

Lindsay przesunął się nieco i zaryzykował jeszcze jedno spojrzenie zza tej osłony. Wagon i część torów zniknęły. Zniknęli też wartownicy, którzy pilnowali transportu. Pozostali żołnierze ustawili się w tyralierę i zaczęli podchodzić ku szczytowi wzgórza, z którego rzucono granaty.

Milić, skulony w ukryciu, cisnął w dół zbocza świece dymne.

Wybuchły tuż przed zbliżającym się szeregiem żołnierzy.

Między nimi a szczytem wzgórza wyrosła ściana dymu. Bora, wyciągnięty jak długi za niemieckim karabinem maszynowym, usiłował przeniknąć wzrokiem ciemną zasłonę. Z dymu wynurzył się pierwszy Niemiec.

Przystanął. Czekał. Zaraz pojawili się następni.

Lindsay ocenił sytuację w kotlinie. Nadal panował tu bezład, słychać było niewyraźnie wykrzykiwane rozkazy. Budka posterunku granicznego również zniknęła, zmieciona eksplozją.

- Idziemy - powiedział do Paco. - Nikt nie pilnuje drogi do Jugosławii. Co będzie z Miliciem i Borą?

- Sami dadzą sobie radę. Tak ustaliliśmy. Dołączą do nas później.

- Rób to co ja. Będę biegł zyzakiem, wtedy trudniej trafić.

Trzymaj się w pewnej odległości za mną.

Spojrzał po raz ostatni i zaczął biec. Paco ruszyła jego śladem, trzymając się skraju drogi. Lindsay zbiegał w kotlinę, uskakując na boki. Dostrzegł ich żołnierzy na prawym końcu tyraliery posuwającej się w górę zbocza.

Zatrzymał się i podniósł do ramienia karabin. Zaczął

starannie mierzyć. Celował nieco przed Anglikiem, próbując przewidzieć jego następny ruch. Ściągnął lekko cyngiel. Był strzelcem wyborowym, dlatego szedł na flance.

Bora skręcił gwałtownie lufę karabinu maszynowego, kierując ją na snajpera. Nacisnął spust. Długo trzymał na nim palec śląc serię wzdłuż niemieckiej tyraliery. Strzelec na skrzydle padł martwy.

Miarowy grzechot karabinu maszynowego trwał jeszcze jakiś czas, potem ucichł. Żołnierze - wszyscy, którzy chwilę wcześniej podchodzili pod szczyt wzgórza - leżeli rozciągnięci na zboczu. W kotlinie nie było śladu życia. Czarny dym unosił się wolno z wielkiej dziury, ziejącej w miejscu, gdzie stał wagon amunicyjny. Ciężarówka, z której wyładowywano skrzynie, również znikła z powierzchni ziemi. Na Spielfeld - Strass spłynął straszliwy spokój.

- Ten incydent nosi wyraźny znak firmowy ściganej przez nas grupy - stwierdził Hartmann wyciągając fajkę.

Junkers 52, na którego pokładzie on i Willi Maisel lecieli z Wiednia do Grazu, zaczął zniżać swój lot. Hartmann całymi tygodniami bezskutecznie przeczesał okolice Grazu w poszukiwaniu uciekinierów i w końcu wrócił do stolicy Austrii. Ostatnie wydarzenia potwierdziły jego przewidywania. Przed wejściem na pokład junkersa zadzwonił do Bormanna. Słyszał, jak Bormann powtarza jego słowa komuś w pokoju, a potem głosy Jodla i Keitla. Przepisy bezpieczeństwa i tajności informacji były w wykonaniu reichsleitiera czystą farsą.

- Znak firmowy? - powtórzył zaintrygowany Maisel.

- Mam na myśli ich modus operandi - powtórzyli taktykę, jaką zastosowali przed Frauenkirche. W przysłanym z Grazu raporcie o ataku w Spielfeld - Strass była mowa o granatach i świecach dymnych.

To samo, co w Monachium.

- Rozumiem. Więc pan sądzi...

- Ja nic nie sądzę, mój drogi Maisel, ja wiem! Lindsay i jego eskorta przekroczyli dziś rano w Spielfeld - Strass granicę jugosłowiańską. Próbowałem ostrzec Bormanna, że ich celem nie musi być Szwajcaria.

- W rezultacie my sami udajemy się do Jugosławii, do bałkańskiego kotła, jak to określa Wehrmacht - stwierdził bez entuzjazmu Maisel.

- Świetne określenie. Można tam się ciężko poparzyć, zanim człowiek zauważy, co się święci - odparł pogodnie Hartmann. -Poza tym to ja muszę jechać do Jugosławii. Pan, Maisel, ma całkowitą swobodę ruchów.

- Muszę spełnić swój obowiązek - rzekł z uporem funkcjonariusz gestapo.

Koła podskoczyły, gdy dotknęli ziemi, i samolot potoczył się pasem lądowiska. Na pobliskim budynku był napis "Graz Flughafen".

Hartmann w skrytości ducha bawił się widocznym przestraszonym Maisla. W Wiedniu gestapowiec wsiadł do samolotu w ostatniej chwili przed startem, wysłany - z czego Hartmann świetnie zdawał sobie sprawę - przez Grubera, żeby miał na oku oficera Abwehry i prowadzone przez niego dochodzenie.

Hartmann zawsze wolał działać samodzielnie. Poczynił już plany, jak przy pierwszej sposobności zgubić Maisla. Gdy wysiedli z samolotu i Maisel ruszył w stronę zabudowań lotniska, Hartmann postawił walizkę i przeciągając się oświadczył, że musi trochę rozprostować nogi.

- Idę napić się kawy, język mi wysechł na wiór - odparł na to Maisel i poszedł.

Hartmann poczekał, aż gestapowiec zniknie z pola widzenia, podniósł walizkę i skierował się do stojącego niedaleko małego fieselera storcha. Obok samolotu stał pilot i palił. Kiedy Hartmann zbliżył się do niego, szybko zgasił papierosa.

--- Gustaw Hartmann - przedstawił się jowialnie major Abwehry. - Dzwoniłem z Wiednia, żeby zamówić lot do Spielfeld - Strass.

- Jestem do pańskich usług, panie majorze. Erhard Noske. Mogę wziąć pańską walizkę?

- Paliwo nabrane? Gotów do natychmiastowego startu?

- Oczywiście, panie majorze! Pańskie rozkazy były wyraźne.

Pięć minut później Willi Maisel, z kubkiem kawy w ręku, dojrzał przez okno mały samolocik, który wystartował, nabrał wysokości i obrał kurs na południowy wschód. Przetykając resztki płynu, smakującego jak prawdziwa kawa - ci wieśniacy w leśnej głuszy umieli o siebie zadbać - pobiegł do wieży kontrolnej.

- Co to za samolot, który właśnie wystartował? Kto był na pokładzie? Dokąd leci? - Wszystkie loty są objęte ścisłą tajemnicą wojskową - odpowiedział mu starszy mężczyzna, kontroler lotów. - A pan kim jest?

- Jestem z gestapo! - Maisel wyjął swoją legitymację. -

Chcecie, żebym zaczął was pytać w bardziej ostry sposób?

- Pasażerem jest major Gustaw Hartmann z Abwehry. Leci na lotnisko położone najbliżej Spielfeld - Strass...

- Sukinsyn!

- Bardzo przepraszam, przecież odpowiedziałem na pana pytanie.

- Nie wy! - Przynajmniej taką mam nadzieję - rzucił oschle Maisel.

Pas lotniska pojawił się pod nimi nagle, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Całą trasę z Grazu przebyli w gęstych, szarych chmurach deszczowych. Hartmann, który nie lubił latania, większość czasu spędził odtwarzając w pamięci wszystko, co wiedział o topografii ich trasy, aby się upewnić, że na obszarze między Grazem i granicą nie ma gór. Spadli w dół jak kamień.

Lądowisko - pas zwykłej ziemi porośniętej zeschłą trawą - podścieliło im się pod koła. Znaleźli się na stałym gruncie, zanim Hartmann zdążył oswoić się z faktem, że lądują. Na lotnisku stał mercedes, w którym siedziało dwóch ludzi.

- Bardzo skutecznie działacie, Noske - pochwalił Hartmann wygrzebując się z kabiny i biorąc swój bagaż z rąk pilota. -
Widzę, że dopilnowaliście, żeby zamówiony przeze mnie wóz czekał już na lotnisku. I to z szoferem. Ten drugi to ochrona?

- Nie mam pojęcia, co to za ludzie - odrzekł Noske.

- Ach tak? Rozumiem - stwierdził posępnie Hartmann i niespiesznie zapalił fajkę.

Podszedł wolnym krokiem do mercedesa, zatrzymując się, żeby

rozgrzać fajkę, by ciągnęła należycie. Nad zmarzniętymi, poprzecinanymi bruzdami polami hulał lodowaty wiatr. Niech sobie trochę na niego poczekają. Pułkownik Jaeger - on to bowiem był -ze Schmidtem u boku powitał go wylewnie:

- Niech pan wskakuje do tyłu! Podwiozę pana do Spielfeld - Strass.

Tam pan jedzie, rzecz jasna?

- Rzecz jasna. - Hartmann usadowił się wygodnie nie okazując zdziwienia, jakby się spodziewał, że esesmani będą go oczekiwać.

- Od kiedyż to S.S zaczęło podsłuchiwać moje rozmowy telefoniczne? - podjął, kiedy Jaeger wyjechał na nierówną, pełną dołów, piaszczystą drogę, prowadzącą do najbliższej szosy. - Skorzystałem z telefonu w waszych koszarach, żeby uniknąć szpiegowania przez Grubera, a tu proszę!

- Powinien pan to traktować jako komplement - odparł Jaeger.

- Pana reputacja, jeśli chodzi o rozwiązywanie nierozwiązywalnych problemów, jest znana w całym kraju.

- Wie pan co? Jak będziemy tracić tyle energii na szpiegowanie się nawzajem, to zanim się obejrzymy, alianci i Rosjanie wygrają tę wojnę.

- Podejrzewa pan, że Lindsay przekroczył granicę w Spielfeld-Strass?

- On lub ktoś inny - stwierdził Hartmann wymijająco.

- Właśnie stamtąd przyjechaliśmy. - Jaeger zmienił ton, w jego głosie zadźwięczała ponura nuta. - Nie do wiary, co za jatki...

- Czego się pan spodziewał, skoro ktoś rzucił zapałkę na

wagon amunicyjny?

- To nie była zapalniczka, a granat - burknął Jaeger i jego oczy spotkały się z oczami Hartmanna we wstecznym lusterku. - W tej masakrze zginęło wielu żołnierzy Waffen S.S.

- Gdy Goering robił naloty dywanowe na Belgrad, również zginęło wielu ludzi.

Jaeger był tak wściekły, że nadepnął z całej siły hamulec i odwrócił się do tyłu.

- Po której właściwie pan jest stronie? Tito?

- Zanim zaczęła się ta krwawa rzeź, którą nazywamy wojną, byłem prawnikiem - powiedział łagodnie Hartmann. - Czasem pracowałem dla strony skarżącej, innym razem dla obrony. W ten sposób człowiek uczy się dostrzegać punkt widzenia innych. Czy pojedziemy dzisiaj do Spielfeld - Strass?

Jaeger zdjął nogę z hamulca i ruszył pełnym gazem po krętej " wiejskiej drodze. Minę miał ponurą. Rozsadzał go gniew. Starannie unikał wzroku Hartmanna we wstecznym lusterku. Oficer Abwehry z niezmaconym spokojem palił fajkę.

Schmidt odwrócił się na chwilę i spojrzał na niego przelotnie z cieniem uśmiechu na twarzy. Spojrzenie to mówiło wyraźnie: "Ty przebiegły sukinsynu!" Hartmann pomyślał, że właśnie przed Schmidtem trzeba mieć się na baczności. Ten przedwojenny policjant był nastawiony na szukanie motywów ludzkich zachowań i domyślił się od razu, że Hartmann z premedytacją sprowokował prostodusznego Jaegera, żeby zniechęcić go do dalszej rozmowy.

Jaeger przez całą drogę nie przerwał milczenia. W końcu wóz

minął stację kolejową i dojechał do kotliny, w której stał kiedyś punkt graniczny Spielfeld - Strass.

Katastrofa wydarzyła się o wpół do dwunastej. Teraz była trzecia ' po południu. Osadzony na platformie gigantyczny dźwig, wykonawszy swoje zadanie, wolno sunął w kierunku Grazu, ciągnięty przez lokomotywę parową. Saperzy skończyli już pracę. Stali popijając piwo.

Ułożono nowe tory, przywracając połączenie biegnące z Austrii na południe do Zagrzebia. Hartmann wysiadł z samochodu i znów wyprowadził Jaegera z równowagi swoim pierwszym spostrzeżeniem:

- Z taką organizacją powinniśmy mimo wszystko wygrać wojnę.

- To niezmiernie ważne połączenie kolejowe. Musi zostać utrzymane - odparł Jaeger szorstko. - Tym szlakiem idzie całe zaopatrzenie dla dwudziestu dywizji, które prowadzą walki z oddziałami partyzanckimi. Dwadzieścia dywizji! Macie pojęcie, co moglibyśmy zrobić z takimi siłami, gdybyśmy mogli je przerzucić na front rosyjski?

- Może fuhrer powinien był ominąć Jugosławię, zamiast iść przez nią - zasugerował Hartmann.

- I zostawić aliantom przyczółek do zaatakowania z flanki?

- Wciąż jeszcze mogą w tym celu wykorzystać Hiszpanię.

Neutralni partnerzy - oni są warci tyle złota, ile ważą. Nie angażują naszych cennych wojsk w działania lokalne. Proszę mi powiedzieć, czy ktoś przeżył?

- Na skraju kotliny wzniesiono wielki płócienny namiot.

Hartmann zauważył sanitariusza wchodzącego do środka. Jaeger

skinął w tamtą stronę.

- Jedynym, który przeżył, jest niejaki kapitan Brunner.

Niezwyczajnie jest to, że gdy rozpętało się to całe piekło, był w małej, drewnianej budce. Budka rozleciała się w kawałki, ale on wyszedł z tego z kilkoma guzami i szokiem. Tak mi powiedzieli przez telefon.

- Chyba zamienię z nim kilka słów.

Hartmann ruszył w stronę namiotu. Jaeger dołączył do niego, a za nim Schmidt. Major Abwehry stanął i wyjął fajkę z ust. Jego głos i postawa świadczyły, że nie żartuje.

- Ja sam z nim porozmawiam. Czy to rozsądne, żeby nachodzić ofiarę szoku całą naszą ekipą? Poczuj się przytłoczony, może nawet , posądzić nas, że chcemy go aresztować. Bormann z pewnością spróbuje zważyć na kogoś winę za ten pogrom. Kto się najlepiej nadaje na kozła ofiarnego? Jedyny, który przeżył.

- W porządku - zgodził się niechętnie Jaeger. - Porozmawiamy z nim później. - Tu odezwało się jego wrodzone poczucie humoru. - Chyba że powtórzy nam pan szczegółowo relację Brunnera, i to co do słowa!

- Oczywiście! - Ton Hartmanna wyrażał zdziwienie, że Jaeger dopuszczał jakąkolwiek inną możliwość.

Idąc do zaimprovizowanego szpitala polowego oficer Abwehry sprawdził, czy ma w kieszeni papierosy. Już dawno odkrył, że działały cuda, jeśli chodzi o przełamywanie lodów u przesłuchiwanym. Z namiotu wyszedł sanitariusz.

- Czy pana pacjent może palić? - zagadnął go Hartmann. - I czy mogę zadać mu parę pytań?

Sanitariusz, mężczyzna po pięćdziesiątce o pochylonych ramionach, popatrzył na niego z niedowierzaniem.

- Zwykle nikt nie pyta o zgodę, tylko bez ceregieli pakuje się do środka. - Wyglądał, jakby z trudem oswajał się z całkiem nowym zjawiskiem. - Tak, ranny może palić, prawdę mówiąc, wzdycha za papierosem. Szok szybko ustępuje. Powiedziałbym, że rozmowa z panem dobrze mu zrobi.

Brunner leżał na noszach ułożonych na dwóch skrzyniach. Plecy miał podparte poduszkami, które utrzymywały go w pozycji siedzącej.

Obserwował czujnie przybysza, gdy ten przysunął sobie jakąś skrzynię, żeby na niej usiąść. Kiedy prowadzący śledztwo siedzi, przesłuchiwany czuje się mniej zagrożony.

Ranny miał zabandażowaną rękę, więc Hartmann zapalił papierosa i wsunął mu go w usta. Brunner wciąż jeszcze patrzył nieufnie. Skinął głową w podziękowaniu za papierosa.

- Jestem z Abwehry - zaczął Hartmann.

Natychmiastowa zmiana w nastroju była niemal zabawna. Mężczyzna na noszach dosłownie opadł z ulgą na poduszki.

- Spodziewałem się gestapo.

- Cóż, ma pan dzisiaj szczęście - jeśli nie liczyć tego...

-Hartmann wskazał zabandażowaną rękę. - Koniec końców przeżył pan. - Spojrzał na pusty lewy rękaw. - Front wschodni? Tak też myślałem. Pewnie pan uważał, że spełnił już swój obowiązek wobec Rzeszy i będzie mógł wieść ciche życie aż do końca tej przeklętej wojny.

Hartmann miał dar mówienia właściwych rzeczy, czy to z

powodu prawniczej praktyki, czy też - co bardziej prawdopodobne - ze względu na wrodzoną znajomość ludzkiej natury. Dostrzegł, że oczy Brunnera zabłyśły, a jego rezerwa wyraźnie stopniała.

- Ma pan zupełną rację - zgodził się żarliwie Brunner. - A tu znienacka cały świat dziś rano wylatuje w powietrze. Wie pan, że tylko ja uszedłem z życiem? Miałem przyjaciół w tym oddziale. Gdyby to było w Rosji... Ale w tej dziurze, o której nikt nigdy nie słyszał... To przecież tylko kropka na mapie. Wszystko to robota tej suki, tego jestem pewny. - Proszę mi opowiedzieć o tej... suce - rzekł Hartmann przymilnie.

Tu popłynęła wartko opowieść o zdarzeniach poprzedzających wybuch, po którym "cały świat wyleciał w powietrze". Hartmann słuchał nie przerywając. Poczęstował tylko Brunnera następnym papierosem, ranny tym razem sam go sobie przypalił. Opis mężczyzny i kobiety z fałszywymi dokumentami, zatrzymanych przez Brunnera na kilka sekund przed katastrofą, wzbudził w Hartmannie wątpliwości.

- Jakiego koloru włosy miała dziewczyna? - spytał w końcu.

- Nie mam pojęcia. Były schowane pod taką chustką, jakie noszą wieśniaczki.

- I mówiła płynnie po niemiecku?

- Tak płynnie jak pan i ja.

Rysopis mężczyzny, który towarzyszył dziewczynie, był mniej dokładny. Hartmann miał prawie pewność, że to mógł być Lindsay, lecz nie była to pewność stuprocentowa. Poza tym Brunner nie dostrzegł żadnego z partyzantów, którzy zaatakowali posterunek.

- Pierwszy raz zapuścili się tak daleko na północ. - Ranny

zamyślił się. - Nie mogę zrozumieć dlaczego. Może ich celem był wagon amunicyjny...

- Czy było powszechnie wiadomo, że ten wagon ma być dzisiaj załadowany?

- Boże, nie! Nie uwierzyłby pan, w. jakiej tajemnicy trzyma się te sprawy. Dowiadujemy się o tym dopiero wtedy, gdy podstawiają wagon i zajeżdża ciężarówka.

- Więc partyzanci nie mogli w żaden sposób wiedzieć z góry, że wagon będzie tu dzisiaj?

- Jak się tak zastanowić, to nie.

- Gdzie pana wysyłają? - spytał Hartmann wstając i szykując się do wyjścia.

- Już od kilku miesięcy mam zaległy urlop. Nasz dowódca w Grazu to przyzwoity człowiek. Mój dom jest daleko stąd.

Flensburg.

Zna pan to miejsce?

- Nad duńską granicą - powiedział Hartmann, po czym poprawił się z cierpkim uśmiechem: - To znaczy tam, gdzie była duńska granica przed rokiem 1940. Gdy pan tam dojedzie, niech pan złoży u miejscowego komendanta podanie o stałe zwolnienie z wojska.

Odsłużył pan już swoje dla ojczyzny. Powodzenia, Brunner.

Czysty przypadek sprawił, że Hartmann po wyjściu z punktu opatrunkowego spotkał tego samego sanitariusza, jak ze zmarszczonymi brwiami szedł spieszonym krokiem. Trzymał w ręku jakiś papier.

- Coś pana kłopotczy? - zagadnął Hartmann..

- Mam polecenie, żeby zatrzymać tu pacjenta, kapitana

Brunnera.

Właśnie chciałem go wysłać do Grazu.

- Skąd to opóźnienie?

- Jakiś funkcjonariusz gestapo, Gruber, leci z Wiednia, żeby go przesłuchać. Ma tu być za trzy godziny.

Hartmann zareagował natychmiast.

- Bezwłocznie wyprawcie Brunnera samolotem do Grazu!

Zamówcie przez radio następną maszynę, żeby czekała w pogotowiu.

Ma go stamtąd zawieźć prosto do Flensburga w Szlezwiku -

Holsztynie, przez Frankfurt.

- Ale co z Gruberem?

- Wydaję te instrukcje z rozkazu fuhrera. - Hartmann pokazał dokument, podpisany przez Martina Bormanna. - Proszę to przeczytać. Czy ktoś zna tu wasze nazwisko?

- Nie. Wszystko odbyło się w takim pośpiechu... Przyjechałem prosto z Grazu.

- Proszę jechać tam z powrotem razem z Brunnerem i dopilnować, żeby zapakowano go bezpiecznie do samolotu do Flensburga. Jest waszym pacjentem. Tego nigdy nie otrzymaliście.

- To mówiąc Hartmann wyjął sanitariuszowi z ręki depezę, przysłaną przez Grubera, zgniół ją w kulkę i. Schował do kieszeni. - Nie mogę wyjawić powodu, dlaczego natychmiastowa ewakuacja Brunnera jest bezwarunkowo konieczna. To polecenie pochodzi od fuhrera. Zrozumiano?

Sanitariusz ostrożnie oddał mu po przeczytaniu dokument wydany przez Bormanna. Hartmann włożył go do portfela i poszedł z powrotem na stację, żeby dowiedzieć się, kiedy odchodzi następny

pociąg do Zagrzebia. Oddalił się z posterunku granicznego nie zauważony przez Jaegera i Schmidta, którzy siedzieli na ziemi z plecami opartymi o mercedesa i jedli żywnościowe racje wojskowe, jakie dostali od saperów.

- Pociąg do Zagrzebia odjeżdża za pięć minut - oznajmił Hartmannowi naczelnik stacji Spielfeld - Strass. - Teraz, gdy naprawiono tory, przywrócony został normalny rozkład jazdy.

Na małej, sennej stacyjce zapanowała frontowa atmosfera. W kabinie lokomotywy oprócz maszynisty i palacza stali żołnierze Waffen S.S, uzbrojeni w pistolety maszynowe. Jeden człowiek z ciężkim karabinem maszynowym siedział na tendrze. W wagonie pocztowym na końcu pociągu ukrył się cały pluton żołnierzy - jeden z nich wystawił głowę w hełmie na chwilę przed zatrzaśnięciem drzwi. Żeby mniej rzucać się w oczy, Hartmann wybrał pusty przedział trzeciej klasy z niewygodnymi, drewnianymi ławkami. Po upływie pięciu minut pociąg ruszył na południe. Hartmann schylił nisko głowę, gdy sapiąca lokomotywa toczyła się wolno przez naprawiony odcinek szyn w kotlinie.

Mercedes odjechał. Prawdopodobnie Jaeger wpadł w furję, kiedy się zorientował, że splątano mu takiego figła, i ruszył na poszukiwanie Hartmanna. Zaimprovizowanego szpitala polowego również nie było.

Sanitariusz z Brunnerem znikli ze Spielfeld - Strass, jakby za sprawą czarów.

Nareszcie sam! Hartmann zapalił fajkę i oparł plecy o twardą ławkę. Musi coś później zjeść. Potrafił obywać się przez długi czas bez jedzenia. Na stacji wypił dwie butelki wody mineralnej w

małej wojskowej kantynie.

- No, lepiej nie mogłem się spisać - powiedział na głos.

- Całkowicie się z panem zgadzam, panie majorze.

Hartmann bardzo powoli odwrócił głowę i podniósł wzrok na kogoś, kto patrzył na niego z góry z pełnym satysfakcji uśmiechem.

Był to Willi Maisel, funkcjonariusz gestapo, którego zgubił na lotnisku w Grazu, i który wyglądał na równie zadowolonego z siebie, jak on sam przed chwilą.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

- W Mariborze wsiądziemy w pociąg do Zagrzebia - szepnęła Paco do Lindsaya.

- Gdzie, do diabła, jest ten Maribor?

- To następna stacja za Spielfeld - Strass. Oczywiście dzisiaj, gdy tory są zniszczone, pociągi z Grazu nie będą przychodzić.

Siedzieli z tyłu chłopskiego wozu, zaprzęzonego w dwa konie.

Przed nimi piętrzył się stos narąbanego drzewa, a za plecami powożącego wieśniaka siedzieli Bora i Milić. Po rozbiciu posterunku granicznego dogonili Paco i Lindsaya na polnej drodze.

Wczesnym popołudniem utrudzeni szli wciąż przed siebie, kiedy z bocznej, porytej koleinami dróżki wyjechała chłopska fura. Paco namówiła woźnicę w jego rodzimym języku, żeby ich podwiózł.

- Jechaliśmy pociągiem do Zagrzebia - opowiadała - ale w

Spielfeld - Strass zepsuła się lokomotywa. Naprawa ma potrwać wiele godzin, a my mamy spotkanie, na które musimy się koniecznie stawić.

Wymówiła ostatnie zdanie w znaczący sposób. Stary chłop z wąsami i szpakowatymi włosami przez chwilę bacznie jej się przyglądał, a potem bez słowa machnął ręką, żeby wsiadali.

- Co mu powiedziałaś? - mruknął Lindsay, gdy już się usadowili na wozie.

- Myśli, że chcemy się przyłączyć do jakiegoś oddziału partyzanckiego. Nienawidzi faszystów, jak większość chłopów, którym Niemcy rabują dobytek. Woli jednak nie znać żadnych szczegółów.

Wóz, ciągnięty przez mocne konie, toczył się w zdumiewająco szybkim, równym tempie po pustej drodze. Nie było na niej żadnych niemieckich patroli ani posterunków. Lindsay wciąż czuł jakiś niepokój, lecz nie mógł sprecyzować, co go dręczy.

- Naprawdę nie ma najmniejszej możliwości, że jakiś pociąg przejedzie przez Spielfeld - Strass? - dopytywał się.

- Czy ty zawsze tak się zamartwiasz i wątpisz we wszystko?
-zdumiała się Paco. - Sam widziałeś, w jakim stanie były tory, gdy uciekaliśmy stamtąd.

- Chyba masz rację - odparł Lindsay, wciąż nie przekonany.
-Zawsze się zamartwiam, chyba że siedzę w myśliwcu.

- Myślałam, że wtedy właśnie nie brak powodów do zmartwień.

- Człowiek jest zbyt zajęty, musi widzieć wszystko naokoło, szczególnie ogon. - Spojrzał na nią. - Poza tym myśli tylko o sobie samym...

- Jak mam cię rozumieć? - spytała patrząc wprost przed siebie, - To po prostu taka luźna uwaga.

- Śmieszny z ciebie człowiek, Lindsay. Ach, mniejsza z tym, wkrótce przekażemy cię jednej z alianckich ekspozytur w partyzantce i pozbędę się ciebie.

Lindsay zauważył z goryczą, że w jej głosie brzmi nieklamana ulga.

Wóz czasami szarpał i trząsał na wybojach, a wtedy wpadali lekko na siebie. Lindsay czuł w takich chwilach, jak ciepłe i sprężyste jest jej ciało pod grubym kubrakiem.

Zerkała na niego co jakiś czas, chcąc sprawdzić, jaki ma wyraz twarzy, lecz teraz on utkwiał wzrok w drodze za nimi. Bora, który schował pistolet maszynowy w torbie uszytej z barwnego kilimu, przysiadł na stercie drzewa i bezustannie obserwował drogę. Ich przewoźnik nie odzywał się do nich ani słowem i siedział przygarbiony z lejcami w ręku. Na łagodnie kołyszającym wozie czas mijał jak we śnie.

- Dojeżdżamy do Mariboru - mruknęła Paco. - Pozwolisz, że ja wezmę na siebie wszystkie rozmowy. Od tej chwili można rozmawiać tylko po serbskochorwacku. Masz być głuchoniemy. - W jej głosie zabrzmiała nuta rozbawienia. - Zdobądź się na wysiłek i graj matolka...

Chłop wysadził ich przed małą stacją, gdzie znów rozdzielili się na pary. Paco zagadnęła zawiadowcę - starca o powykręcanych stawach - kiedy odchodzi najbliższy pociąg do Zagrzebia. Lindsay słuchał tej samej melodyjnej, świszczącej mowy, z którą zetknął się pierwszy raz w kolejce do przejścia granicznego.

Paco podziękowała zawiadowcy, wzięła Lindsaya pod ramię i zaprowadziła go na peron z ubitej nierówno ziemi, gdzie czekali wieśniacy z dużymi tobołami. Przezornie nie odzywała się, zanim nie znaleźli się na samym końcu stacji.

- Dlaczego widzi się tu głównie starców? - zapytał Lindsay ze zdziwieniem. - Dostrzegłem to od razu po przyjeździe - nigdzie ani śladu młodych ludzi. W Niemczech jest to zrozumiałe, ale tutaj?

- Powód jest ten sam - powiedziała zwięźle. - Młodzi są w górach, z partyzantami, lub w oddziałach czetników. Niech to cholera, Lindsay, miałaś rację! To zupełnie nieprawdopodobne, ale pytałam staruszka dwa razy. Następny pociąg do Zagrzebia przybędzie normalnie - i jedzie przez Spielfeld - Strass! Będziemy musieli postanowić, co dalej.

- Nigdy nie należy lekceważyć przeciwnika. Lepiej przepuśćmy ten pociąg i złapmy kolejny.

- Kolejny będzie jutro. O ile w ogóle przyjedzie! W dodatku w miasteczku stacjonuje niemiecki garnizon. Mieścina jest mała, nie znam tu nikogo. Znajdujemy się na terytorium Chorwacji. Jak tu będziemy siedzieć, mogą nas złapać podczas zwykłej rutynowej kontroli. Dlaczego mamy nie wsiadać do tego pociągu?

- Paco, nie wiemy, kto nim będzie jechał. Kogo za nami wysłali?

Bo możesz być pewna, że wysłali kogoś moim tropem. Pułkownika Jaegera? Grubera? Hartmanna? Wybieraj, kogo wolisz.

- Mam nadzieję, że to nie Jaeger. Na pewno rozpoznałby mnie . Nawet w tym przebraniu. W Monachium spędziliśmy ładnych parę

godzin w Czterech Porach Roku, kiedy wyłudziłam od niego te przepustki na przejazd.

- Nigdy mi nie mówiłaś, jak ci się to udało.

- Znów ta sama śpiewka. Już raz ci powiedziałam, że nie musiałam się z nim w tym celu przespać, a to ci chodzi po głowie, prawda? Zresztą Jaeger jest człowiekiem honoru - żołnierz z krwi i kości, który myśli głównie o swoich obowiązkach. Takie przynajmniej odniosłam wrażenie. Kobiety to tylko jego hobby. Nie rozumiem, dlaczego wciąż mnie o niego pytasz?

- Więc jesteś gotowa ryzykować podróż tym pociągiem ze Spielfeld - Strass?

- Tak, skoro w przeciwnym razie musielibyśmy do jutra kręcić się po Mariborze! Na pewno nic nam nie grozi. Przemieszczaliśmy się tak szybko, że już dawno stracili nasz ślad.

W Londynie Tim Whelby spotkał się wieczorem z Sawitskim.

-Gdy punktualnie o dziewiątej wszedł do zatłoczonego pubu przy Tottenham Court Road, zaskoczony ujrzał Rosjanina siedzącego w kącie nad małym kuflem. Pierwszy raz zdarzyło się, że jego łącznik przybył wcześniej na spotkanie.

Whelby zamówił przy barze podwójną szkocką i przeciskając się między ludźmi dotarł do stolika Sawitskiego. Zatrzymał się przy wolnym krześle, na którym Sawitski położył swój kapelusz.

- Nie ma pan nic przeciwko temu, że tu usiądę? Ciasno dzisiaj.

- Proszę bardzo.

Whelby wlał w gardło połowę zawartości szklaneczki i

zauważył, że Rosjanin patrzy na niego z dezaprobatą. Do diabła z tym nadętym pedantem, który i tak tylko latał na posyłki! Whelby przełknął jeszcze trochę whisky i odstawił szklaneczkę na blat.

- Lindsay przeszedł przez granicę z Jugosławią - usłyszał.
- Niemcy kiepsko sobie radzą, prawda? Kiedy to się stało?
- Wczoraj wczesnie rano.

Whelby był mocno poruszony. Niby machinalnie ujął w rękę szklanę, umyślnie nie podnosząc jej do ust. W towarzystwie Sawitskiego nigdy nie należało zdradzać żadnych oznak podniecenia. Whelby nie miał wątpliwości, że wysłał on regularnie do Moskwy raporty oceniające jego, Whelbyego, przydatność jako agenta.

W duszy jednak dręczyło go pytanie, jak, u diabła, ta wiadomość mogła tak szybko dotrzeć do sowieckiej ambasady przy Kensington Palace Gardens. Musieli mieć jakiś naprawdę wyjątkowy system łączności. Szybkość, z jaką przekazywano bieżące informacje, nasuwała wniosek, że pochodzą one od kogoś w samych Niemczech.

- A dokąd waszym zdaniem on się teraz skieruje? - spytał Sawitskiego.

- To proste - do jednej z alianckich placówek wojskowych, współpracujących z partyzantami. W każdej chwili może zostać ewakuowany drogą powietrzną. Dużo szybciej, niż się tego spodziewamy. Musi pan go koniecznie zatrzymać, zanim złoży raport w Londynie.

- Dziękuję, ale mnie pan urządził - skrzywił się Whelby.
- Przepraszam, co to znaczy?

- Już mi pan mówił, że koniecznie trzeba go powstrzymać.

Wolałbym jednak znać powód.

- Otrzymał pan instrukcje. Powód, jaki się za nimi kryje, to nie pana sprawa. Wasi ludzie otrzymali pewnie od Lindsaya meldunek z najświeższymi wiadomościami?

- Jeśli nawet, to nic mi o tym nie wiadomo.

- Musi pan się wywiedzieć - ale dyskretnie, rozumiano?

- Nie ma co, bardzo to wszystko zachęcające - rzekł spokojnie Whelby. - Pamięta pan, mam nadzieję, że mój obszar to Hiszpania i Portugalia. Niech pan po powrocie zajrzy w atlas, a przekona się, że te kraje dzieli od Jugosławii dość znaczna odległość.

- Mówi pan tak, żeby zadanie wyglądało na trudniejsze, bo gdy pan je wykona, sprawi to dużo większe wrażenie.

- Zgadza się - powiedział Whelby. - Ujął pan to znakomicie.

Dawno zapadł już zmrok, gdy osłonięte reflektory lokomotywy pociągu ze Spielfeld - Strass omiotły peron stacji Maribor.

Hartmann wymówił się potrzebą zażycia świeżego powietrza i, zostawiwszy Maisla w przedziale, wyszedł na korytarz. Opuścił okno i wyjrzał na zewnątrz.

Fajka - jego znak rozpoznawczy - spoczywała schowana w kieszeni. Na głowie miał starą sukienną czapkę z daszkiem, całkiem podobną do tych, jakie nosiło wielu jugosłowiańskich robotników.

Nawet jego przyjaciele z pewnej odległości nie rozpoznaliby w nim majora Gustawa Hartmanna z Abwehry.

Miał doskonały wzrok, który szybko przyzwyczajał się do ciemności. Gdy pociąg wtaczał się wolno na stacyjkę, Hartmann obserwował tłumek ludzi na peronie. Przypominał sobie szczegółowo rysopisy pary legitymującej się dokumentami, zakwestionowanymi przez kapitana Brunnera tuż przedtem, zanim "cały świat wyleciał w powietrze".

Na samym początku peronu, w miejscu gdzie powinna zatrzymać się lokomotywa, stali Paco i Lindsay. Słaniając się niemal z wyczerpania patrzyli na podjeżdżający pociąg. Nieco wcześniej zaryzykowali i wymknęli się ze stacji, żeby dostać coś do jedzenia i do picia w małej kafejce naprzeciwko dworca. Rachunek był skandalicznie wysoki, ponieważ właściciel podał im mięso, które kupił na czarnym rynku.

- Prześpię całą drogę do Zagrzebia - westchnęła Paco.

-Użyczysz mi swojego ramienia jako poduszki, co?

- Będziemy się zmieniać - zdecydował krótko Lindsay. - Jedno z nas musi czuwać w razie jakiegoś niebezpieczeństwa.

- Wiem, wiem! W tym pociągu na pewno jedzie cała dywizja pancerna, która ma za jedyne zadanie nas odnaleźć! - Przerwała i opamiętała się. - Przepraszam, padam ze zmęczenia. To dlatego, że za dużo mam na głowie. Miałeś zupełną rację. Ustalimy jakieś wachty.

O Boże, Lindsay, jeszcze jak miałeś rację!

Obok nich przesunęła się lokomotywa. Ujrzeni uzbrojonych po zęby żołnierzy w kabinie maszynisty i karabin maszynowy, ustawiony na tendrze. Nie dostrzegli natomiast mężczyzny w przedostatnim wagonie, który wychylił przez okno głowę w

sukiennej czapce z daszkiem i obserwował ich uważnie.

Pułkownik Browne pracował jeszcze w swoim biurze przy Ryder Street, kiedy Whelby wrócił tam wieczorem pod pretekstem zabrania jakichś zapomnianych dokumentów. Browne od pewnego czasu nabrał zwyczaju odrabiania zaległej papierkowej roboty wtedy, gdy wszyscy już opuścili budynek.

W miarę jak wypadki wojenne nabierały tempa, coraz więcej czasu w ciągu dnia zabierały mu jałowe narady. Browne obwinał o to Amerykanów, którzy zdawali się wierzyć jedynie słowu mówionemu.

Odłożył pióro i wyprostował zdrętwiałe plecy.

- Proszę usiąść, Whelby. Może drinka?

- Dziękuję, właśnie wypitem parę w pubie na Tottenham Court Road. Rozmawiałem z pewnym oficerem lotnictwa o nazwisku Lindsay. Chyba nie jest to żaden krewny tego podpułkownika, który poleciał do Berchtesgaden?

- Wątpię. Nasz Lindsay jest jedynakiem.

- Nadeszły o nim jakieś wieści od jego wyjazdu?

Browne, zmęczony ponad miarę ludzkich możliwości, przez chwilę nie odpowiadał i Whelby zauważył jego wahanie.

- To nie jest mięczak - stwierdził wreszcie krótko pułkownik. -Wkrótce o nim usłyszymy.

- Takie wyczekiwanie musi być denerwujące - drążył temat Whelby.

- Nie więcej niż tuzin innych spraw.

Whelby znalazł się w kropce. Wiedział, że struktura

dowodzenia w rejonie Morza Śródziemnego uległa ostatnio zmianie. Kwatera Główna sił sprzymierzonych w Algierze pod dowództwem Eisenhowera i Alexandra nadzorowała operacje w północnej Afryce, w tym ostatni etap kampanii tuniskiej, realizowany przez 8 armię Montyego.

Lecz dywersyjne operacje na Bałkanach, w Grecji i Jugosławii, były kierowane przez dowództwo na Bliskim Wschodzie z Kwaterą Główną w Kairze. Whelby nie widział sposobu na potrącenie w rozmowie o Kair, ponieważ o tym, gdzie jest Lindsay, wiedział tylko od Sawitskiego.

Będzie musiał po prostu czekać na korzystny rozwój wypadków.

- Coś pana gryzie? - spytał Browne.

- Tak, myśl o łóżku. Dobranoc, sir.

Do Bormanna w Wilczym Szańcu wieści o przypuszczalnej ucieczce Lindsaya do Jugosławii dotarły z dwóch źródeł. Gdy Hartmann chwilowo zgubił Williego Maisla na lotnisku w. Grazu, gestapowiec natychmiast zadzwonił do Grubera do Wiednia.

- Ten śliski drań Hartmann wymknął mi się. Leci sam na pokładzie fieselera storcha do Spielfeld - Strass, żeby zbadać to zajście na przejściu granicznym. Myśli, że Lindsay tam właśnie przekroczył dziś granicę...

- Jakie zajście? - spytał ostro Gruber. - Czy ma jakieś dowody na poparcie tej zwariowanej teorii?

Gruber znał dobrze ostrożność Martina Bormanna i wiedział, iż będzie musiał przytoczyć przekonujące dowody na poparcie tej wersji wydarzeń, która łatwo mogła okazać się plotką. Dostyc już

było fałszywych alarmów.

- Partyzanci napadli na punkt graniczny - wyjaśnił Maisel i streścił całą akcję. - Hartmann skojarzył to z Frauenkirche, gdzie użyto granatów ręcznych i świec dymnych... Ta sama technika.

To przekonało Grubera na tyle, że doszedł do wniosku, iż nieprzekazanie tego raportu Bormannowi byłoby nierozsądne. Mógł podkreślić, że referuje tylko informację podaną przez Williego Maisla.

Jeżeli nastąpią jakieś reperkusje, będzie można zrzucić odpowiedzialność na Maisla.

Od razu zadzwonił do Bormanna. Reichsleiter słuchał w milczeniu.

Gruber wiedział, że teraz z kolei Bormann rozpatruje usłyszane wiadomości pod względem ewentualnego wpływu, jaki mogą one mieć na jego pozycję.

- Przekażę wasz meldunek fuhrerowi - oznajmił wreszcie Bormann, ostrożnie nie wyjawiając, że już otrzymał relację bezpośrednio od Hartmanna. - Chociaż oczywiście incydent w Spielfeld - Strass nie jest ostatecznym dowodem na słuszność teorii, że Lindsay przedarł się do Jugosławii.

- To pomysł Maisla - podkreślił Gruber. - Z kolei on opiera swoje wnioski na rozmowie z majorem Gustawem Hartmannem.

- Ach, Abwehra! Kto by dziś miał zaufanie do tego gniazda szpiegów!

Najwyraźniej kimś takim był fuhrer. Gdy Bormann obwieścił Hitlerowi nowiny, ten zażądał wielkiej mapy południowej Europy,

którą sam rozpostarł na wielkim stole w sali konferencyjnej.

Palcem prześledził trasę z Monachium do Wiednia przez Salzburg.

- To ma sens - oznajmił. - Bormann, zamknęliście wszystkie szlaki z Monachium do Szwajcarii? Tak?.

- Ta droga ucieczki sama się narzucała.

- Grupa, która próbuje przeszmuglować Lindsaya, to zawodowcy.

- Nie mamy na to żadnych dowodów... - zaproponował Bormann.

- Zapomnieliście, co się zdarzyło pod Frauenkirche? -
wybuchnął Hitler. - Tylko zawodowcom mogło się to udać!
Wystrychnęli na dudka ludzi, którzy specjalnie tam na nich
czekali! Co się dzieje dalej?

Hartmann przeszukuje bagaż, który porzucili na wiedeńskim
Westbahnhofie - są to najprawdopodobniej walizki tak zwanej
baronowej Werther. W Monachium Mayr widział, jak niósł je rzekomy
szofer baronowej, gdy wsiadali do wiedeńskiego ekspresu. Zgadza
się, Jodl?

Dwaj pozostali mężczyźni, obecni przy tej rozmowie, generał
Alfred Jodl i feldmarszałek Wilhelm Keitel, do tej pory słuchali
w całkowitym milczeniu. Jodl skinął głową.

- Taki wniosek sam się nasuwa, mein Fuhrer - odpowiedział
ostrożnie.

- Następnie - ciągnął z podnieceniem Hitler - kolejnego dnia
rano mamy ten napad przy Sudbahnhofie. Podczas śledztwa jeden z
dwóch morderców niemieckiego żołnierza zeznał, że widział tych
ludzi, kobietę i mężczyznę, jak wsiadali do pociągu jadącego do
Grazu. A gdzie prowadzi droga na południe od Grazu? Do

Spielfeld-Strass, a tam ma miejsce dużo poważniejszy incydent.

Zgadza się, Keitel?

- To logiczne, mein Fuhrer.

- Hartmann przekazuje nam teraz swoje spostrzeżenie, że napad na punkt graniczny nosi wyraźnie ten sam znak firmowy - zręczne sformułowanie - co akcja pod Frauenkirche. W obu wypadkach mamy do czynienia z tą samą taktyką i rodzajem broni.

Hitler wyprostowanymi rękami oparł się o stół i spojrzał po twarzach trzech mężczyzn, słuchających go w zupełnej ciszy.

Skrzywił się.

- Mam do czynienia z pięcioma milionami bolszewików na froncie wschodnim, codziennie muszę podejmować decyzje, jak zniszczyć te barbarzyńskie hordy, i jakby tego było za mało, spada na mnie rola detektywa, który ma odkryć drogę ucieczki Lindsaya! A jedynym człowiekiem, który mi w tym pomaga idąc jego tropem i który w ogóle myśli, jest Hartmann! Panowie, konferencja skończona.

W jego głosie brzmiała bezgraniczna pogarda. Skończył, wyszedł z pokoju i zniknął w głębi korytarza.

Równie skomplikowaną drogą wieści o przypuszczalnej trasie ucieczki Lindsaya dotarły do Londynu. W zaledwie kilka godzin po zakończeniu przez Hitlera narady Rudolf Roessler otrzymał w swoim mieszkaniu w Lucernie szyfrowaną specjalnym kodem depezę od Dzięcioła.

Natychmiast nadał ją do Kozaka w Moskwie, gdzie Stalin raz jeszcze wezwał do siebie bladolicego Berię z pince - nez na nosie.

W milczeniu podał szefowi tajnej policji meldunek o Lindsayu.

Zgodnie ze swoją taktyką powiadamiał Berię o każdym sygnale od Lucy, aby w razie niepomyślnego rozwoju wydarzeń odpowiedzialność zrzucić na niego.

- Uważacie, że ten Lindsay spróbuje skontaktować się z jedną ze szpiegowskich agentur aliantów? - podsunął Beria.

- Oczywiście, to jedyny możliwy wniosek - zauważył cierpko Stalin. - We właściwym czasie wyślą specjalny samolot, żeby zabrać go do Algierii, a stamtąd do Londynu. Nie mam zaufania do Tity, on by go nie zlikwidował, co więc mamy robić?

- Nasz agent w Londynie będzie musiał dopilnować, żeby Lindsay nigdy nie dotarł do swego szefa.

- Dobrze. - Stalin wyjął meldunek z miękkiej, jakby bezwładnej dłoni Berii. - Kiedy będziecie wychodzić, przyslijcie tu mojego osobistego szyfranta.

W półmroku rozproszonym tylko światłem osłoniętej stożkowym abażurem lampy na biurku Stalin ułożył wiadomość, starannie dobierając słowa. Gdy pojawił się szyfrant, Stalin wciąż siedział pochylony nad biurkiem nie zauważając jego wejścia. Wreszcie wyprężony na baczność oficer zobaczył rękę, która wysunęła się ku niemu z kręgu światła lampy podając kawałek papieru.

- Wyślijcie to natychmiast Sawitskiemu do naszej ambasady w Londynie.

Ten zawiły splot wypadków wyjaśnia, dlaczego sowiecki agent, Sawitski, ku zdumieniu Tima Whelbyego przybył wcześniej od niego na spotkanie w pubie na Tottenham Court Road.

W całej swej karierze Sawitski po raz pierwszy odebrał od Kozaka depezę ze słowem "Pilne". Rosjanin był wdzięczny losowi, że dzięki zwykłemu zbiegowi okoliczności okresowe spotkanie z prowadzonym przez niego agentem zostało ustalone na ten właśnie wieczór. Organizowane w pośpiechu awaryjne kontakty były wielce niebezpieczne.

Sawitski dziękował Bogu, że zdołał odbić piłeczkę Timowi Whelbyemu. Wszędzie - w Waszyngtonie, Londynie, Wilczym Szańcu, Wiedniu i Moskwie - życie było w gruncie rzeczy takie samo. Gdy dostawało się granat bez zawleczonej, przekazywało się czym prędzej ten śmiercionośny upominek w inne ręce.

Pociąg stanął na stacji Maribor. Hartmann wrócił do przedziału i zastał Williego Maisla zdejmującego walizkę z półki. Gestapowiec zapiął górny guzik płaszcza dla ochrony przed nocnym chłodem.

- Mam nadzieję, że pan nie wysiada? - spytał Hartmann ze stosowną nutą pozornego zainteresowania.

- Muszę powiadomić Grubera o rozwoju wydarzeń, choć właściwie nic się nie dzieje. Mogę do niego zadzwonić z miejscowej placówki wojskowej. Z pewnością czeka już jak na szpilkach na następny raport, który mógłby zanieść Bormannowi.

- Ja raczej zostanę w pociągu, pojedę do Zagrzebia - rzucił Hartmann od niechcienia. Usiadł i zapalił fajkę.

- Jak pan uważa. Ja sądzę, że to strata czasu.

Hartmann poczekał, aż Maisel wysiądzie, a potem wrócił na korytarz i znów opuścił okno. Wyjrzał na peron w samą porę, by

zauważyć Paco i Lindsaya znikających w wagonie za lokomotywą.

Pociąg wyjechał już ze stacji w Mariborze i sunął w mroku nocy na południe, gdy Willi Maisel dotarł do placówki wojskowej, zamachał wartownikowi przed nosem swoją legitymacją i podjął próbę dodzwonienia się do Grubera do Wiednia.

Operator poinformował go, że dla celów bezpieczeństwa wszystkie rozmowy muszą być łączone przez miejscowy garnizon w Grazu.

Maisel podał swoje nazwisko i czekał. Nagle uświadomił sobie, że jest głodny jak wilk. Do pokoju, w którym siedział, napłynął zapach gotowanego jedzenia. Drgnął zaskoczony, kiedy w słuchawce odezwał się szorstki głos.

- Czy mówi Willi Maisel?

- Tak, prosiłem już o połączenie z...

- Tu pułkownik Jaeger. Co robicie w Mariborze, Maisel?

- Wysiadłem z pociągu, który przyjechał ze Spielfeld -

Strass.

Jechałem razem z majorem Hartmannem z Abwehry...

- Poproście go do telefonu.

- Powiedziałem, że jechałem z nim. To było mniej więcej godzinę temu. On został w pociągu..

- Dlaczego? Gdzie ma zamiar się teraz udać? Czy trafiliście na jakiś ślad Lindsaya?

Jaeger rzucał pytania, jakby wydawał rozkazy żołnierzom tuż przed atakiem. Maisel przeklął parszywy traf, który zetknął go z pułkownikiem S.S. Zresztą nie miał żadnych informacji, a podzielenie się tą niewiedzą nic go nie kosztowało.

- Hartmann postanowił jechać do Zagrzebia. Nie mam pojęcia dlaczego - to w ogóle nie ma sensu. Nie znaleźliśmy żadnych śladów Lindsaya.

- Zaczekajcie chwilę przy telefonie!

Jaeger zakrył ręką mikrofon i odwrócił się do stojącego obok Schmidta. Krótco streścił mu rozmowę.

- Spróbuj ty coś z niego wyciągnąć - zaproponował.

- Dzień dobry, Maisel, mówi Schmidt. Czy mogę pana prosić o szczegółowy opis wypadków? Co dokładnie zrobił Hartmann?

- Nic! - Maisel był zaintrygowany i porządnie zirytowany.

-Gdy pociąg dojeżdżał do Mariboru, wyszedł na korytarz i wyjrzał przez okno. Powiedział coś o zaczerpnięciu świeżego powietrza.

- Z której strony wagonu wyglądał? Na peron?

- Tak, zgadza się.

Maisel zaczął się zastanawiać, czy czegoś nie przeoczył, lecz nie mógł pojąć, co to, u diaska, mogło być. Dlaczego, do cholery, nie zejść z linii i nie dadzą mu połączyć się z Wiedniem?

- Proszę, niech pan uważnie pomyśli - ciągnął Schmidt. - Czy Hartmann miał zamiar pozostać w pociągu, zanim wyszedł na korytarz i wyjrzał przez okno?

- Ani trochę. Dopiero po powrocie do przedziału. To mnie zaskoczyło...

- Dziękuję, Maisel. Skoro pańska tożsamość została sprawdzona, przekażę pana operatorowi, który połączy pana z Wiedniem. Wszystkie rozmowy są kontrolowane od czasu tej masakry w Spielfeld - Strass.

- Ilu ludzi zginęło...?

- Zgłasza się operator. Do widzenia, Maisel.

Schmidt odłożył słuchawkę i spojrzał na pułkownika. Jaeger właśnie pociągnął łyk koniaku z flaszki, którą nosił na biodrze, i podsunął ją swojemu zastępcy, a gdy ten potrząsnął głową, nałożył z powrotem zakrętkę i odezwał się:

- Mam nadzieję, że zbiłeś go z tropu? Wydobyłeś coś z niego?

- Będzie się głowił, dlaczego tak szybko skończyłem rozmowę - zamiast zastanawiać się, do czego zmierzałem. Sądząc po głosie był wyczerpany, co stwierdzam z zadowoleniem.

- Lubię, gdy przeciwnik jest w takim stanie - przyznał Jaeger z pewną satysfakcją. - Wyczerpany! No więc...

- To bardzo interesujące: Hartmann wyjrzał przez okno, gdy wjeżdżali na peron w Mariborze, i dopiero potem oświadczył, że jedzie dalej do Zagrzebia. Myślę, że dostrzegł kogoś na peronie, kogoś, kto czekał na pociąg.

- Możliwe, że masz rację. Ten sprytny drań zawsze chodzi własnymi drogami. Pociąg jedzie z Mariboru do Zagrzebia przeszło sześć godzin. Może by tak wyprzedzić długim skokiem naszego skrytego przyjaciela, Gustawa Hartmanna?

- Bezpośredni lot stąd do Zagrzebia i powitanie go na dworcu? - zaproponował Schmidt.

- Jesteś jasnowidzem, mój drogi - powiedział radośnie Jaeger. - No, na co jeszcze czekasz? Zamawiaj samolot i od razu lecimy do Zagrzebia.

Rozdział trzydziesty

Heljec, dowódca oddziału partyzanckiego, działającego na północ od Zagrzebia, wybrał na zasadzkę głęboki wąwóz w pobliżu miejsca o nazwie Zidani Most.

Heljec miał trzydzieści lat, był wysokim, dobrze zbudowanym mężczyzną o gęstych, czarnych włosach, ciemnych, bystrych oczach, słowiańskich kościach policzkowych, mocno zarysowanym nosie i wydatnej szczęce. Przed wojną był inżynierem, specjalistą od budowy zapór. Teraz poświęcił swoje życie destrukcji. Stał na krawędzi wąwozu trzymając w prawym ręku zdobycznego schmeissera, z Vlatko Jovanoviciem, swoim zastępcą, przy boku.

- Niedługo chyba będzie świtać - powiedział. - Która godzina
- Dochodzi trzecia. Pociąg powinien zaraz przyjechać. Ludzie są na stanowiskach. Wiedzą, co mają robić.

- Muszą unieszkodliwić wartowników w kabinie maszynisty i obsługę karabinu maszynowego na tendrze, a potem zabić żołnierzy ukrytych w wagonie pocztowym na końcu pociągu. Nie brać jeńców.

Nie możemy sobie na to pozwolić.

- Wszystko zostało ustalone - zapewnił go Vlatko. - O nic się nie martw.

- W dniu, kiedy przestanę się martwić, ten oddział przestanie istnieć - powiedział Heljec. Miał ochryply głos - wypalał osiemdziesiąt papierosów dziennie.

Trudno byłoby znaleźć dwóch ludzi, którzy bardziej by się różnili wyglądem i temperamentem. Heljec czuł się w warunkach wojennych jak ryba w wodzie. W oddziale budził szacunek swoją zuchwałą odwagą i wytrzymałością. Potrafił przemierzać

pięćdziesiąt kilometrów dziennie w terenie całkowicie niedostępnym dla Niemców.

Niski i baryłkowaty Vlatko Jovanović, z zawodu szewc, miał pięćdziesiąt lat i był łagodnym, dobronurzym człowiekiem. Wojna i zniszczenia przerażały go, lecz uważał, że walka jest koniecznością.

Jego spokój i dokładność, cechy, które wyrobił sobie pracując przez dwadzieścia pięć lat w Belgradzie jako pierwszorzędnym szewc, doskonale uzupełniały dziką energię Heljeca.

- W Mariborze zrobiłeś dobrą robotę - stwierdził Heljec nie odrywając wzroku od zakrętu szyn na dnie wąwozu. W tym miejscu biegły one stromo pod górę, co musiało wpłynąć na spowolnienie pędu pociągu.

- Zwykła rutyna, po prostu kwestia stałej czujności.

- Droga powrotna była trudna.

Heljec oczekiwał od swoich ludzi cudów wytrwałości, lecz nigdy nie zapominał o tym, aby im później wyrazić uznanie. Jovanović skinął okrągłą głową i podkręcił wąsa. Wspaniałe wąsy były najbardziej charakterystyczną cechą w jego wyglądzie.

- Musieliśmy tylko mieć się na baczności - odpowiedział.

Cała operacja napadu na pociąg była eksperymentem, na który Tito wyraził osobistą zgodę. Dla jej potrzeb zapuścili się głęboko w kraj nienawidzonych Chorwatów. Jej celem było sprowokowanie niemieckiego dowództwa do mocniejszego obsadzenia tego rejonu Jugosławii, który obecnie trzymany był lekką ręką i w większej części opanowany przez czetników.

Udana akcja na północ od Zagrzebia wywoła wstrząs, którego fale poruszą niemieckie władze wojskowe i mogą dotrzeć nawet do Berlina.

Heljec dobrze zdawał sobie sprawę z wysokiej stawki w tej grze.

Czekał z radością, by móc zadać wrogowi dotkliwy cios. To było warte zachodu.

- Nasze siły powinny być wystarczające... - odezwał się Heljec.

- Czterdziestu ludzi - uspokoił go znowu Vlatko. - Wszyscy umieszczeni w strategicznych punktach. No i mamy nad Niemcami przewagę nie tylko liczebną. Napoleon powiedział kiedyś: "Zbierz swoje siły - nawet słabsze od przeciwnika - w miejscu, w którym będziesz miał nad nim przewagę, i wówczas uderz z całej mocy. Oto tajemnica wygranych wojen".

- Masz całkowitą rację - zgodził się Heljec. - Ja tylko jak zwykle obawiam się jakichś niespodzianek., - Dlatego zrobiłem w Mariborze rozpoznanie, by dokładnie zaplanować akcję.

Nie dodając tego na głos, Vlatko stwierdził w myśli, że wykonał naprawdę trudne zadanie. Dobrze, że na peronie było dużo ludzi, mogli się wmieszać w tłum i bez przeszkód obserwować pociąg, który właśnie przyjechał ze Spielfeld - Strass. Będąc człowiekiem dokładnym, Vlatko policzył wagony. Było ich osiem, razem z wagonem pocztowym na końcu składu.

Niemcy wiedząc, że w okolicy roi się od szpiegów, zachowali dużą ostrożność. Żadnemu z żołnierzy Waffen S.S nie pozwolono wyjść na peron dla rozprostowania zdrętwiałych nóg. Vlatko, który

był kiedyś dostawcą ręcznie sztych butów dla członków rodziny królewskiej, był jednak niezwykle spostrzegawczy. Zwracał uwagę na to, czego nie było.

Zaintrygowany faktem, że nie wyładowano żadnej poczty, oparł się leniwie o ścianę budynku dworca i czekał. Po - jakimś czasie jego cierpliwość została wynagrodzona. Dowodzący oddziałem oficer odsunął o kilka centymetrów drzwi wagonu i wyjrzał na zewnątrz.

Zanim drzwi zasunęły się z powrotem, Vlatko w świetle latarni na zewnątrz wagonu dostrzegł stłoczone w środku niemieckie mundury.

- Jak szybko pociąg odjedzie do Zagrzebia? - spytał jakiegoś kolejarza.

- Minie co najmniej pół godziny. Może dłużej. Muszą nabrać wody.

- Więc zdążę się jeszcze czegoś napić, jak znajdę jakąś otwartą knajpę?

- Wypij też jednego za moje zdrowie.

Vlatko wymknął się ze stacji, wsiadł na rower, który schował przedtem w pobliskiej uliczce, i wyjechał z miasteczka. Dotarł do stojącej na uboczu chłopskiej chałupy, gdzie znajdowała się ukryta radiostacja. Nadał krótki meldunek do Heljeca.

Wykonawszy to zadanie przesiadł się z roweru na wiekowy motocykl i z warkotem ruszył w nocnych ciemnościach zawiłą trasą, która biegła rzadko uczęszczanymi bocznymi drogami. Zdążył przed przyjazdem pociągu dotrzeć do oddziału Heljeca, zaczajonego nad wąwozem.

W tym okresie wojny partyzancki system łączności był bardzo

dobrze zorganizowany. Niemcy napadli Jugosławię w kwietniu 1941 roku. Dwa lata później partyzanci dysponowali całą siatką kurierów, podróżujących na rowerach i motocyklach. Poza tym mieli dużą liczbę nadajników radiowych, z których korzystali tylko w wyjątkowych przypadkach, przez co niemieckie wozy radiolokacyjne nie zdołały dotychczas wykryć ani jednej partyzanckiej radiostacji. Jak powiedział Vlatko - była to kwestia rutynowej ostrożności.

- Zachowałem na koniec jedną niepomyślną wiadomość

-powiedział Vlatko z wahaniem.

- O co chodzi? - chrapliwie spytał Heljec. - Wiesz, że chcę, żebyście od razu mówili mi o trudnościach.

- Na to możemy niewiele poradzić.

- Wykrztuście to wreszcie, człowieku, na miłość boską!

- Widziałem w Mariborze Paco, jak wsiadała do pociągu. Chyba był z nią jakiś mężczyzna.

- Do tego właśnie pociągu? Myślisz, że to był Anglik, za którego mamy dostać broń?

- Możliwe. Nie mogłem jej ostrzec.

- Oczywiście, że nie! Musi sama dać sobie radę... - Tym razem Heljec się zawahał, co rzadko mu się zdarzało. - Do którego wagonu wsiadła? - spytał po chwili milczenia.

- Do najbardziej zagrożonego, tuż za lokomotywą i tendrem z niemieckim karabinem maszynowym.

Heljec milczał długo, pogrążony w myślach. Paco była najlepszą kurierką, jaką znał. Umiała - i była na to gotowa - dostać się w miejsca, na myśl o których każdy mężczyzna ścierpłby

ze strachu.

Na miłość boską, przecież dopiero co wprowadziła całą grupę na terytorium Trzeciej Rzeszy i wyprowadziła ich stamtąd!

- To urodzona szczęściara - powiedział wreszcie.

- Mówisz tak, żeby oszukać sumienie.

- Niech cię diabli, cała akcja jest już przygotowana! -

Heljec wybuchnął gniewem, wyładowując na swoim zastępcy dręczący go niepokój. Dlaczego Vlatko powiedział mu coś takiego w ostatniej chwili? Lepiej, żeby się o tym w ogóle nie dowiedział.

"To znaczy -lepiej dla mnie" - poprawił się w myśli. Heljec zawsze się starał być uczciwy wobec samego siebie.

- Idź na dół i powiedz grupie, która ma zaatakować

lokomotywę i tender, żeby użyli granatów tylko w ostateczności.

Niech strzelają z pistoletów maszynowych.

- Za późno. Pociąg już nadjeżdża...

Paco siedziała w kącie przedziału, przy wyjściu na korytarz, przodem do kierunku jazdy. Zamknęła oczy, głowę oparła na ramieniu Lindsaya. Lindsay zorientował się, że sprawia mu to przyjemność.

Pociąg pełził pod strome wzniesienie.

W przedziale było ciasno, wieśniacy siedzieli ramie przy ramieniu, większość z nich spała. Przejście między ławkami wypełniała plątanina nóg. Lindsayowi przeszło przez myśl, że w razie jakiegoś niebezpieczeństwa zajmują dobrą pozycję - tuż przy drzwiach.

Sprawdził godzinę, ostrożnie podciągając mankiet rękawa, żeby nie obudzić dziewczyny. Dziesięć po trzeciej. Powinien był

obudzić Paco o trzeciej. Wcześniej ustalili, że będą spać na zmianę, żeby jedno stale czuwało. Zdecydował, iż pozwoli jej pospać dalej.

- Oszukujesz - mruknęła. - Widziałam, która godzina. Miły z ciebie drań.

- Śpij dalej, ja nie jestem wcale senny.

- Kłamczuch, miły kłamczuch... - stłumiła ziewnięcie. -

Gdzie jesteśmy? Dlaczego jedziemy tak wolno?

- Z tego co widzę, przejeżdżamy przez jakiś wąwóz.

- Następną stacją będzie Zidani Most, a potem Zagrzeb.

- Skoro tak twierdzisz...

- Lindsay, dobrze się śpi przy tobie.

- I ona teraz mi to mówi, przy tych wszystkich ludziach!

Przysunęła się bliżej i patrzyła na niego spod w półprzymkniętych powiek.

- Lindsay, może zgodzę się na twoją propozycję dalszej drzemki.

Wiesz co? Masz na mnie demoralizujący wpływ. Chyba nawet lubię być demoralizowana... - Mówiła tak cicho, że nikt nie mógł usłyszeć.

Zamknęła oczy i natychmiast znów je otworzyła czując, jak Lindsay sztywnieje. Jej łagodny ton zmienił się nagle w ostry szept. - Co się stało?

- To głupie. Wydawało mi się, że widziałem kogoś na torach.

Pierwsza faza ataku zaczęła się, gdy jeden z ludzi Heljeca wskoczył na stopień wolno toczącego się wagonu przed wagonem pocztowym.

Prześliznąwszy się na sam jego koniec wyjął granat zza paska, wyrwał zawleczkę, położył granat na złączach i zeskoczył.

Granat wybuchł między dwoma wagonami ze stłumionym, głuchym hukiem. Złącza prysnęły i wagon pocztowy zaczął toczyć się po stromiźnie z powrotem w dół. Przy końcu pociągu inny mężczyzna dwukrotnie zapalił i zgasił latarkę, dając sygnał drugiej grupie do natarcia na lokomotywę i tender.

Dowódca oddziału Waffen S.S, ukrytego wewnątrz wagonu pocztowego, zareagował w jedyny możliwy sposób - odsunął drzwi, żeby zobaczyć, co się dzieje. W otworze pojawiło się kilka luf pistoletów maszynowych, lecz w tej samej chwili do wagonu wrzucono pięć granatów. Seria wybuchów wstrząsnęła drewnianym pudłem, które nabierało coraz większej szybkości.

Tyłne koła uderzyły w gruby pień, leżący w poprzek na torach, wjechały na niego do połowy, a potem wagon pocztowy wypadł z szyn i runął na bok. Zaczął płonąć. Ze szczątków nie wygrzebał się nikt żywy.

Na przodzie pociągu błyski latarki dały sygnał do drugiej fazy ataku. Niemiecki żołnierz, skulony za karabinem maszynowym, zobaczył w ciemności jakieś ruchome, niewyraźne sylwetki. Nacisnął spust nieświadom, że na tendrze tuż za jego plecami wylądował granat.

Karabin zaczął terkotać. Granat eksplodował z głośnym hukiem.

Wybuch podniósł Niemca i jego broń w powietrze i cisnął na tory. Na stopnie po obu stronach lokomotywy wspięły się ciemne postacie.

Dwaj Niemcy chwycili za broń, ale żaden nie zdążył wystrzelić. Ostrza noży cicho i sprawnie zagłębiły się w ich piersiach. Atak trwał krócej niż sto sekund.

- Wychodzimy!

Lindsay chwycił z półki obie walizki, a Paco gwałtownym szarpnięciem otworzyła drzwi. Złapała swój bagaż i namacała w ciemności stopień. Nie miało sensu łamać teraz nogi.

Znieruchomiła przy wagonie; Lindsay zeskoczył i stanął obok niej.

Wokół panował nieopisany chaos. Ludzie tłocząc się i potykając wysypywali się z pociągu wśród krzyków przerażenia. Słychać było łoskot otwieranych drzwi, uderzających o ściany wagonów, i wrzaski kobiet. Koszmar dopiero się zaczął.

- Musimy oddalić się od pociągu - zdecydował Lindsay.

- To akcja partyzantów - stwierdziła Paco.

- Do jasnej cholery, włącz pod górę!

Chwycił ją za ramię i pociągnął na usianą kamieniami stromiznę, która przypominała górskie zbocze. Na wagonie w połowie długości składu zabłysło światło wielkiego reflektora. Pomogło im omijać wielkie głazy, wdrapywali się coraz wyżej. Promień przesywając ciemności oświetlił grupę partyzantów i nagle gdzieś od strony pociągu zagrzecotały serie pistoletów maszynowych.

- Wśród pasażerów też byli Niemcy! - wydyszała Paco.

Grad kul ściał grupę ludzi oświetlonych przez potężny reflektor.

Lindsay kątem oka dostrzegł sylwetki padające na ziemię pod

groteskowym kątem i staczające się w dół zbocza.

Paco widząc to, przystanęła.

- Właż dalej! - rozkazał ciągnąc ją za sobą..

Wkrótce nadszedł bezlitosny, straszliwy odwet. W pobliżu reflektora zaczęły wybuchać granaty, wiele z nich upadło między pasażerów pociągu, unieruchomionych w dole zbocza. Wśród huku wybuchów i terkotu pistoletów maszynowych rozległy się krzyki bólu i przerażenia.

Partyzanci zalali wszystko ogniem chcąc wybić Niemców do nogi.

Kilku przerażonych uciekinierów brnęło w złym kierunku wciąż trzymając się w smudze światła reflektora, aby tylko oddalić się od pociągu. Lindsay zobaczył, jak spadają następne granaty i wybuchają pomiędzy ogarniętymi paniką wieśniakami.

- Zgaście serią ten cholerny reflektor, durnie! - warknął do niewidzialnych napastników.

- Muszą zabić wszystkich Niemców - szepnęła Paco.

Nagle zrobiło się cicho, jakby niewidoczny dowódca zarządził wstrzymanie ognia. Potem padły trzy szybkie strzały z karabinu.

W niesamowitej ciszy Lindsay usłyszał brzęk sypiącego się szkła. Światło przygasło i znikło.

- Chwała Bogu! - zawołał wstrząśnięty. - Wy to nazywacie wojną? Czy to przypadkiem nie czetnicy?

Przystanęli w dwóch trzecich wysokości ściany wąwozu, gdyż nogi ze zmęczenia odmówiły im posłuszeństwa. Rzecz dziwna; ale wciąż taszczyli swoje walizki. Lindsay rozejrzał się. Wokół nich piętrzyły się głazy. Byli częściowo osłonięci.

- Nie - powiedziała Paco. - To partyzanci. Czelnicy

kolaborują z Niemcami...

- Co za makabryczna rzeź! Widziałaś tych chłopów? Jednej kobiecie odstrzelili całe ramię.

- Tak właśnie musimy walczyć.

- A jakiś czas po skończeniu wojny, usłyszemy o dzielnych partyzantach, którzy walczyli w górach, zaś o rzeziach takich jak ta słuch zaginie. Jeżeli tak wyglądają te wasze obmierzłe Bałkany, możecie je sobie zatrzymać.

- Ty głupcze!

Uderzyła go w twarz. Lindsay z zimnym rozmysłem oddał policzek, aż zapiekła ją skóra.

- Jeśli to jest język, który tutejsze kobiety rozumieją, to proszę bardzo. A teraz idziemy na górę.

Spodziewał się, że Paco zacznie mu wymyślać, a tymczasem w milczeniu ruszyła za nim po stromym zboczu. Z czeluści wąwozu dochodziło ich niekiedy echo pojedynczego strzału z pistoletu.

Lindsay pomyślał, że pewnie to partyzanci dobijają rannych Niemców. Nagle gdzieś blisko nich rozległ się strzał z karabinu. Odpowiedź była natychmiastowa. Kilka metrów przed Lindsayem upadł granat. -Potężny wybuch wstrząsnął ścianą wąwozu. Lindsay spadł w czarną pustkę.

- To wstrząs mózgu. - Obcy głos wymawiał angielskie słowa powoli, jak ktoś, kto dobrze zna język, lecz rzadko się nim posługuje.

Zarys pochylonej nad Lindsayem postaci nieco się wystrzył.

Wtem wszystko stało się bardzo wyraźne.

Lindsay leżał na ziemi oparty o głaz, pod plecami miał coś miękkiego, co przypominało złożony koc. Zobaczył klęczącą obok Paco. Dziewczyna przyglądała mu się uważnie.

- Lindsay, słyszysz mnie? - odezwała się cicho. - Świetnie.

To jest doktor Maćek, lekarz z prawdziwego zdarzenia.

- Ona ma na myśli - wtrącił Maćek z rozbawieniem w głosie - że znam ten zawód, bo uprawiałem go przed wojną. Potrzebuje pan dużo spokoju. - Miał około czterdziestu lat, czarne włosy, krótki, wojskowy wąsik i ciemne oczy o intensywnym, niemal hipnotycznym spojrzeniu.

Podobnie jak inni ludzie, których Lindsay widział w świetle postawionej na ziemi, palącej się z sykiem latarni, Maćek nosił coś pośredniego między chłopskim przyodziewkiem i mundurem wojskowym. Mimo to wyglądał schludnie, w przeciwieństwie do swoich towarzyszy.

- Jeszcze jeden Niemiec? Wykończyć go - powiedział ktoś w miejscowym języku, głosem rozkazującym i energicznym. Lindsay nie zrozumiał ani słowa, ale widział, kto to mówi. Potężny mężczyzna stał za Maćkiem, przesłaniając niemal całkiem światło latarni. Istny olbrzym ze strzechą czarnych włosów i pistoletem w ręku.

Lindsay ku swemu przerażeniu ujrzał, że dwóch partyzantów prowadzi znajomą postać. Więzień wyglądał na wyczerpanego, ale mimo to i mimo skrępowanych z tyłu rąk szedł wyprostowany, miarowym krokiem. Był to major Gustaw Hartmann. Czoło miał zakrwawione. Olbrzym dłonią z pistoletem wykonał wymowny gest.

- Paco, na litość boską, powstrzymaj go! To major Hartmann z Abwehry. - Lindsay poczuł, że musi go uratować. W każdej chwili

znowu mógł stracić przytomność. - Chcę z nim porozmawiać, on może przekazać cenne informacje...

- Heljec! Zostaw go! - Paco błyskawicznie poderwała się na nogi. Dowódca partyzantów odwrócił twarz do niej. - Mówię poważnie! - ciągnęła. - On jest z Abwehry.

- To Niemiec.

- Heljec... - W kręgu światła z latarni pojawił się niski człowieczek o okrągłej twarzy. To był Vlatko Jovanović. - Paco zasłużyła sobie na to, żeby wstawić się za tym więźniem.

- Ja dowodzę tym oddziałem! - Heljec znów podniósł pistolet.

-Nikt nie ma tu specjalnych praw. Ani ty, ani Paco. Ja tu rozkazuję.

- W takim razie rozstrzygniemy ten spór w tradycyjny sposób.

Vlatko wyjął nóż o długim, zakrzywionym ostrzu. Lindsay walczył z ogarniającą go słabością, zdumiony odwagą małego grubaska. Paco wpadła w furję. Podeszła do olbrzyma tak blisko, że niemal nadepnęła mu na palce i podniosła na niego płonący wzrok.

- Możemy policzyć, kto zadał dzisiaj Niemcom większe straty -twój oddział czy moja grupa! Tobie chodzi tylko o to, by wybić się w oczach Tity. Jak śmiesz mówić, że nie mam żadnych praw! Kto wprowadził grupę daleko w głąb terytorium Trzeciej Rzeszy, żeby uratować Anglika? Kto siedział parę godzin z pułkownikiem S.S w restauracji w samym centrum Monachium, żeby zdobyć przepustki na przejazd?

Roześmiała mu się prosto w twarz. Potem rozejrzała się wokół.

Partyzanci otoczyli ich, ciekawi wyniku rozprawy.

- Wasz dowódca jest bardzo odważny na swoim własnym podwórku

- mówiła dalej z druzgocącą pogardą. - Można by pomyśleć, że odważy się postawić jedną ze swoich wielkich stóp w Niemczech.

- Nie mówię po niemiecku... - zaczął Heljec.

- Ja też nie, ale byłem z nimi w Niemczech - odezwał się ktoś stojący w kręgu partyzantów.

Milić, który wydostał się z pociągu razem z Borą, mówił spokojnie, tylko wąsy mu drżały. Lufa jego pistoletu maszynowego była wymierzona prosto w Heljeca..

- Masz się odzywać do Paco z większym szacunkiem - ciągnął.

- Abwehra to nie to samo, co gestapo - tak jak partyzanci różnią się od czetników. Heljec, chcesz się zachowywać jak czetnik?

Nie pozwolę na to.

- Masz zamiar przejąć tu dowództwo, Milić?

- Nie, jeżeli nie będziesz się upierał przy mordowaniu jeńców, którzy mogą pomóc Ticie w opracowaniu strategii na przyszłość.

Podczas tej pełnej napięcia wymiany zdań Hartmann z wciąż skrępowanymi rękami stał nieruchomo, a jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć. Patrzył prosto na Lindsaya, jakby chciał przekazać mu ważną wiadomość.

Po ostatnim oświadczeniu Milicia nastąpiła długa chwila milczenia.

Z głębi wąwozu dochodziły jęki rannych, czuć było smród prochu.

Heljec wepchnął pistolet za pasek.

- Musimy szybko się wycofać, zanim dotrą tu niemieckie oddziały zmotoryzowane - rzekł. - Jeniec może chodzić, więc weźmiemy go ze sobą. Tito zdecyduje o jego losie. Zróbcie nosze dla Anglika.

- Podniósł głos. - Co się z wami wszystkimi dzieje?

Powiedziałem: ruszamy!

Paco bez słowa odwróciła się do niego plecami i znów uklękła przy Lindsayu. Położyła mu uspokajająco dłoń na ramieniu.

- Doktor mówi, że masz wstrząs mózgu. Zaniesiemy cię. Nie! Żadnych sprzeciwów! Jesteś cennym towarem - za ciebie jednego mamy dostać mnóstwo broni. Taka była umowa.

Lindsay otworzył usta, chcąc coś powiedzieć, i spadł w mroczną otchłań. Znow stracił przytomność.

- On cierpi na zapalenie gruczołów chłonnych. Widzicie te obrzęki po obu stronach szyi? I ta gorączka...

Do Lindsaya dotarły starannie wypowiedane angielskie słowa, choć wciąż był nieco zamroczony. Powtórzyła się poprzednia scena, jak w teatralnej sztuce, w której grał już przedtem.

Otworzył oczy i wszystko dookoła było zamazane. Nad nim pochylały się dwie postacie, mężczyzna i kobieta. Po chwili zobaczył wyraźniej najpierw same postacie, a potem wszystko wokół. Zamrugał powiekami. Niech to diabli! Spoczywał na ziemi w tej samej półsiedzącej pozycji, oparty o coś plecami.

- Jak się czujesz? - spytała Paco.

- Parszywie, cholernie parszywie. Nie przejmuj się, bo jeszcze mi się pogorszy.

- Widzę, że wraca panu poczucie humoru - stwierdził doktor

Maćek. - Odbywałem praktykę w szpitalu św. Tomasza w Londynie.

Lubiłem Brytyjczyków i mistrzostwo ich niedopowiedzeń. Czy dobrze to sformułowałem?

- Tak - powiedział Lindsay. - Gdzie, u diabła, jesteście? Jak daleko od tego straszego wąwozu?

- Bardzo daleko - odparła Paco. - To było miesiąc temu.

Miałeś... - Miesiąc! - Lindsay poczuł lęk. Czyżby tracił zmysły? Co się działo przez ten cały czas? Nie pamiętał nic od napadu na pociąg i starcia Paco z Heljecem, które miało miejsce niedługo później.

Heljec!

Przynajmniej pamiętał imię tego sukinsyna. To go trochę uspokoiło.

Paco wzięła jego rękę w obie dłonie i zaczęła mówić swoim niskim, ciepłym głosem:

- Miałeś wstrząs mózgu. Odłamek granatu trafił cię w czoło.

Wszyscy po kolei nieśli cię na prowizorycznych noszach.

Czasami upierałeś się, że pójdziesz sam.

- A teraz - wtrącił pogodnym tonem doktor Maćek - mój pacjent, który prawie wyleczył się ze skutków wstrząsu mózgu i kontuzji, złapał zapalenie gruczołów chłonnych. Ma pan te dwie guły po obu stronach szyi i musi pan leżeć...

- Niech mnie szlag trafi, jeśli to zrobię! - Lindsay z wysiłkiem podniósł się i stanął na chwiejnych nogach. Paco wsunęła mu w rękę jakiś kij. Ścisnął go machinalnie i ku swemu zaskoczeniu stwierdził, że jego dotyk jest jakby znajomy.

- Milić zrobił dla ciebie tę laskę - powiedziała. -

Przeszedłeś w zamroczeniu szmat drogi na swoich trzech nogach.

Ale teraz słuchaj doktora Maćka. - W jej głosie pojawiła się drwiąca nuta. - On praktykował u św. Tomasza, więc możesz mu zaufać.

Pokuśtykał kilka kroków przez nierówny, skalisty teren.

Przed jego oczami roztoczył się ponury, dramatyczny krajobraz.

Znajdowali się na małym płaskowyżu wysoko w górach. Na jego skraju rysowały się ruiny starej fortecy, tak zniszczonej, że ledwo można ją było odróżnić od skał, na których niegdyś ją wzniesiono.

Zbliżało się południe, powietrze było klarowne i suche, a postrzępiony łańcuch dalekich gór wyglądał na tle bezchmurnego nieba jak wycięty z arkusza metalu. Wymarzone warunki na latanie.

Lindsay czuł jednak jakąś niejasną obawę. Coś niesprecyzowanego nie dawało mu spokoju. Kamień, przy którym ułożyli go Paco i Maćek, leżał na skraju zarośli kosodrzewiny. Na całym płaskowyżu pod zrujnowaną fortecą rosły tu i ówdzie karłowate drzewka. Zdał sobie sprawę, że instynktownie trzyma się w ich cieniu, jakby chciał się przed czymś ukryć. Zostawił w tyle Paco i doktora i opierając się na lasce ruszył spiesznie, nierównymi krokami w stronę fortecy, gdzie - był tego pewien - miał kwaterę Heljec.

- Poczekaj na nas! - zawołała Paco. - O Boże, on rwie przed siebie jak koń wyścigowy.

Lindsay znowu to usłyszał. Raptownie zatrzymał się pod drzewem o gęstym listowiu. To był warkot silnika małego samolotu. Słyszał ten dźwięk w chwili, gdy odzyskał przytomność, lecz jego

uwagę rozproszyła rozmowa z Maćkiem i ogólne poczucie zagubienia.

- Ukryjcie się, żeby nie widziano was z tego samolotu

-przestrzegł pozostałą dwójkę, która właśnie go dogoniła., - To

niemiecki storch - zaczęła tłumaczyć Paco z irytującą

cierpliwością. - Można się przyzwyczać do tego dźwięku, wiesz...

- A wiesz, że on być może niesie śmierć?

Gwałtowność jego pytania, nagły przyływ energii i

niewiarygodny pośpiech, z jakim zdążył do fortecy, oszołomiły

Paco i Maćka do tego stopnia, że przez jakiś czas milczeli.

Sprawiło to Lindsayowi wielką ulgę. Mógł wsłuchać się w ciszę

swoim wyczulonym uchem pilota.

Znieruchomiał z głową przechyloną na ramię. Sądząc po

odgłosie silnika, samolot leciał bardzo wolno. Prawie z

najmniejszą możliwą szybkością. Niewiele brakowało, żeby silnik

się zadławił. Tak jak myślał, samolot zakreślał krąg - wokół ich

płaskowyzu.

Opierając się obiema rękami na kosturze dla utrzymania

równowagi zadart głowę szukając jakiegoś prześwitu w gałęziach,

przez który mógłby dostrzec samolot. Wtem zobaczył maszynę

przechyloną w powietrzu. Pilot z twarzą przesłoniętą goglami

patrzył uważnie w dół.

- Czym się tak przejmujesz? - spytała Paco. - Nad Jugosławią
ciągle latają niemieckie samoloty.

- Czy słyszeliście w pobliżu taki samolot wtedy, gdy
odzyskałem przytomność?

- Tak, coś latało.

- A ile razy mały niemiecki samolot przeleciał dzisiaj nad

tym terenem? Pomyślcie, na litość boską!

- Ejże...! - Zaprotestowała Paco.

- Chyba sześć razy - przerwał jej Maćek. - Ten raz jest szósty.

- A jest dopiero jedenasta. - Lindsay spojrział na zegarek.

- Nakręcałam go dla ciebie - zwróciła mu uwagę Paco.

- Sześć razy. Już rozumiem! Leciał nisko, jakby wiedział, czego szuka, gdzie może znaleźć swój cel. Słyszycie, odlatuje.

- Mówiłam ci... - zaczęła znowu Paco.

- Musimy ostrzec Heljeca, że szykują duży atak bombowy, a może nawet desant na spadochronach. Trzeba się natychmiast stąd ewakuować. - Lindsay mówił tonem nie znoszącym sprzeciwu. - Ilu ludzi tu kwateruje?

- Trzydziestu, cały oddział - odparła Paco. - Słuchaj, Lindsay, nie ma sensu wszczynać paniki...

- Nie! To ty słuchaj! Heljec może być ekspertem od napadów na pociągi, strzelania do Niemców - nie wyłączając jeńców, jeśli nawiną mu się pod rękę - i poświęcania życia cywilnego motłochu ku większej chwale komunizmu! Nie ma co, piękna przyszłość czeka tych nielicznych biednych sukinsynów, co przeżyją, w waszym komunistycznym raju, o ile taki istnieje. Na tym Heljec może się zna, ale, do cholery, jeżeli w grę wchodzi samoloty, to mógłby się ode mnie czegoś nauczyć! Wiem, co należy uznać za ostrzeżenie. Przeżyłem coś takiego wiele razy, gdy przedzierałem się pieszo do Dunkierki po tym, jak mnie zestrzelili. Gdzie jest Heljec?

- W formie - odpowiedział krótko Maćek.

Odgłos silnika samolotu zwiadowczego ucichł i z oddali brzmiał teraz jak bzykanie pszczoły w letni dzień. Lindsay chwycił Paco za ramię, złapał mocno laskę i popchnął dziewczynę przed sobą do wejścia fortecy. Choć był wycieńczony, świadomość wiszącego nad nimi straszliwego niebezpieczeństwa sprawiała, że jego organizm produkował adrenalinę w zdumiewającym tempie.

W forcie Heljec i Jovanović pochylali się nad mapą rozłożoną na dużym kamieniu. Pod rozsypującym się murem leżał Hartmann.

Z boku szczęki miał pokaźnego, świeżego siniaka. Uśmiechnął się cierpko do Anglika.

- Jak zarobiłeś tego siniaka, Hartmann? - odezwał się Lindsay po niemiecku, nie zwracając uwagi na Heljeca, który poderwał się na równe nogi i patrzył na niego gniewnym wzrokiem.

- Próbowałem ostrzec tego tępego osiłka. Przed chwilą był tu samolot zwiadowczy i zanim się obejrzymy...

- Wiem. Zostaw to mnie. - Odwrócił się do Paco, wciąż ignorując Heljeca, w którym wyraźnie narastała złość. Wskazał laską na Serba i powiedział: - Paco, mówiłaś kiedyś, że ludzie często nie myślą o najprostszych rzeczach. Wówczas nie oceniłem zbyt wysoko tej uwagi. Powiedz teraz temu nierozgarniętemu brutalowi, co go czeka, jeśli nie zarządzi natychmiast generalnego alarmu i ewakuacji.

Powiedz mu, że jestem lotnikiem i znam się na wojnie powietrznej.

Za chwilę pozostaną tu tylko trupy!

Paco zaczęła szybko tłumaczyć. Nawiązała się ożywiona rozmowa.

W pewnym momencie dziewczyna tupnęła gniewnie nogą. Lindsay chodził tam i z powrotem podpierając się laską, zdenerwowany tą niepotrzebną stratą cennego czasu. Do dyskusji włączył się Jovanović.

Paco zwróciła się do Lindsaya:

- Powiedz jeszcze raz, dlaczego musimy stąd uciekać, ale z ogniem!

Heljec będzie cię obserwował.

Powtórzył to, co mówił wcześniej. Raz. Drugi. Trzeci. W końcu natarł na olbrzymia, podnosząc groźnie laskę.

- Przetłumacz, że jak nie weźmie się szybko do działania, tym kijem wbiję mu trochę rozumu do głowy! - krzyknął na cały głos.

Zdążyła powiedzieć tylko kilka słów, gdy Jovanović przerwał jej i tłumacząc coś machnął ręką w kierunku płaskowyżu za fortem.

Skończył mówić i zwinął mapę. Heljec wybiegł i zniknął im z oczu.

- Przekonałeś go, gdy zagroziłeś; że go pobijesz - stwierdziła Paco. - Wynosimy się stąd.

Gdy wyszli z fortu, Lindsay ze zdumieniem zobaczył, że wszędzie wokół - jakby wyrosli spod ziemi - pojawili się partyzanci wyskakujący z niewidzialnych do tej pory okopów. Poszedł za Paco na skraj płaskowyżu, skąd teren opadał stromo dużymi uskokami.

Dziewczyna zatrzymała się, żeby mu pomóc, lecz gestem nakazał jej iść dalej.

- Pokazuj mi tylko drogę. Dam sobie jakoś radę. Dobry Boże, oto i Bora. Widać szatan dba o swoje dzieci.

Zejście było trudne i Lindsay na wpół staczał się po wielkich, naturalnych stopniach, utworzonych przez wysunięte partie skał. Po chwili odzyskał jakoś równowagę. Paco wciąż się oglądała, lecz on uparcie ją poganiał, pewien, że zostało im niewiele czasu na wydostanie się z płaskowyżu.

Przypomniał sobie o walizce. Wtem poniżej dostrzegł Borę, który ją niósł, a jeszcze niżej człowieka obarczonego drugą, zapewne należącą do Paco. Schodząc po diabelskim urwisku pomyślał o Hartmannie i obejrzał się. Niemiec był kilka metrów w tyle. Eskortował go Milić z pistoletem maszynowym w ręku. I wtedy wyczulonym uchem pochwycił pierwszy daleki odgłos nadlatującej flotyli powietrznej.

Oddział partyzancki zszedł z płaskowyżu ciągiem głębokich żlebów i wąwozów. Część z nich zamieniała się zimą w rwące potoki. Lindsay wynioskował to widząc wypolerowane małe kamyczki na ich dnie.

Zbliżyli się już wystarczająco do krętego wąwozu, który był ich celem, aby Lindsay mógł dostrzec na przeciwległym zboczu ciemne jamy - wejścia do jaskiń. Tam znajdą schronienie i kryjówkę, kiedy zacznie się bombardowanie. Jeśli dojdą do nich na czas.

Milić krzyknął coś do Paco i dziewczyna przystanąła na chwilę.

Hartmann trzymał się tuż za Lindsayem, który w gorączkowym pośpiechu potykał się i ślizgał w drodze na dół, odzyskując

równowagę za pomocą laski.

- Powiedz Niemcowi, że jeśli spróbuje dać jakiś znak samolotom, zastrzelę go natychmiast - uprzedził Milić.

- Rany boskie, przecież to on właśnie pierwszy próbował ostrzec Heljeca, że nadlatują! - Głos Paco ciął jak biczem. -
Wracaj z powrotem do swych kamieniołomów, jeżeli nie potrafisz nic więcej!

I zamknij się. Nie mamy wiele czasu!

Powtórzyła Lindsayowi treść rozmowy i ruszyła w dalszą drogę, zwinna jak kozica. "To prawda - pomyślał Lindsay. - Nie mamy wiele czasu". Byli już prawie na samym dole, ale odgłos zbliżających się samolotów urósł tymczasem do złowrogiego ryku.

Wąwóz był korytem rzeki. Zielona woda pieniała się wokół głazów, lecz jej poziom zdążył już nieco opaść po zimie. Paco poczekała na Lindsaya, chwyciła go za ramię i przeprowadziła po kamieniach na drugą stronę. Niejasno uświadamiał sobie, że na lewo i prawo partyzanci mknęli przez rzekę i znikali w jaskiniach. Skupił całą uwagę na kamieniach pod nogami wyszukując miejsca do postawienia stopy.

Wkrótce znaleźli się na drugim brzegu.

Wciąż ściskając jego ramię Paco pociągnęła go na niewysoki stok, pełen kamieni, które turlały się i grzechotały pod nogami. Po chwili pojawiło się przed nimi wysokie na dwa i pół metra wejście do jaskini i Paco wepchnęła go do środka. Zatrzymali się w mroku. Było tu dużo chłodniej niż na zewnątrz.

Paco oddychała głęboko, jej piersi unosiły się gwałtownie. Zorientowała się, że Lindsay na nią patrzy i odwróciła wzrok.

Obok nich pojawił się Hartmann z Miliciem depczącym mu dostownie po piętach.

- Zdejmij mi z karku tego zapaleńca - rzucił Niemiec oschle i usiadł na jednym z wielkich kamieni, którymi usłane było dno jaskini.

Zdrowy rozsądek nakazywał wycofać się w najdalszy kraniec pieczary. Ciekawość - ta sama, która wyciągnęła londyńczyków na ulice w 1940 roku i sprawiła, że gapili się z zadartymi głowami na niemieckie bombowce - zatrzymała ich przy wejściu. Niemal natychmiast stali się świadkami ponurego zdarzenia.

Któryś z partyzantów w wąwozie, skulony za ogromnym głazem, skierował karabin w niebo. Nagle obok pojawił się Heljec, podniósł pistolet i zastrzelił go na miejscu. Następnie przeskoczył po kamieniach na drugi brzeg i zniknął w otworze innej jaskini.

- Parszywy morderca! - wybuchnął Lindsay.

- Heljec wydał wyraźny rozkaz - powiedziała cicho Paco. -Nie wolno nam się zdradzić ani jednym strzałem.

Ledwo przebrzmiały jej słowa, Lindsay usłyszał dźwięk, którego wspomnienie przeniosło go do Francji, do roku 1940. Był to przeszywający, wysoki wizg silnika samolotu. Wyrzął ostrożnie. Nad podszczytowym plateau ze zrujnowaną fortecą, w której mieściła się kwatera Heljeca, wznoszącą się za nim jak górski wierzchołek, pojawił się pierwszy samolot, a zaraz za nim drugi.

Pierwsza maszyna, podobna z tej odległości do małej, czarnej strzałki, położyła się na boku i z ogromną szybkością pikowała

niemal pionowo w dół. Na płaskowyż posypała się wiązka bomb. Huk wybuchów odbił się ogłuszającym echem na krańcach wąwozu.

W powietrze wyleciał grad skalnych odłamków. Ściana fortecy zachwiała się i zsunęła w żleb, rozpadając się na tysiące kawałków. Na jej miejscu podniosła się chmura pyłu.

- Wielkie nieba! - powiedział ze zgrozą Lindsay. - To stukasy - bombowce nurkujące. Gdybyśmy byli teraz tam na górze...

Napowietrzna armada, która zdawała się przesłaniać całe niebo, metodycznie obrzuciła bombami cały płaskowyż wzdłuż i wszerz.

Potem jej dowódca zmienił taktykę.

- Dostrzegli jaskinie! - krzyknął Lindsay. - Schować się w głębi!

Do pieczary wbiegła pędem skulona postać. To był doktor Maćek.

Zobaczył Lindsaya i wydawało się, że się zdziwił. Poganiany przez Paco schronił się wraz z nimi na samym końcu jaskini za obwałowaniem z głazów. Bomby spadły na dno wąwozu, jedna z nich wybuchła blisko wejścia ich jaskini. Do środka wleciały odłamki skalne, ostre jak kawałki szrapnela, odbijając się z grzechotem od ich osłony.

Lindsay siedział skulony z Paco po prawej, a Maćkiem po lewej stronie. Poczł, że zaczyna się opóźniona reakcja po wyczerpującym wysiłku. Ogarnęła go słabość, nie mógł opanować dygotu rąk i nóg. Maćek położył mu łagodnie rękę na czole i spojrzał na Paco marszcząc brwi.

- Dobra - warknął Lindsay, który dostrzegł jego zafrasowaną

minę. Nie ufał lekarzom. - O co chodzi?

- Zużył pan wszystkie siły na zejście z tej góry. Mówiłem, że jest pan ciężko chory. Mówiłem, że potrzebuje pan odpoczynku, musi pan leżeć...

- Więc powinni znieść mnie na rękach - dokończył sarkastycznie Lindsay. - Myśli pan, że zdążylibyśmy wtedy tu dotrzeć?

Ostatnim obrazem, jaki zachował mu się w pamięci, był widok stojącego za Maćkiem Hartmanna. Niemiec przyglądał mu się, przy akompaniamencie kanonady wybuchów, wypełniających wąwóz piekielnym hukiem i kurzem wpadającym do jaskini. Lindsay ponownie stracił przytomność.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Kursk to małe rosyjskie miasteczko na południe od Moskwy, o którym wcześniej mało kto słyszał. Jednak w czerwcu 1943 tu miała miejsce decydująca bitwa, która rozstrzygnęła o wyniku II wojny światowej.

Tu właśnie klin ogromnego radzieckiego przeciwnatarcia wbił się głęboko w niemiecką linię frontu. Na zdobytym przyczółku Armia Czerwona zgrupowała wyborowe dywizje, gotowe do dalszego ataku.

Na terenie, na którym skoncentrowano siły przed natarciem, panował niebezpieczny tłok. Znajdowały się tu czołgi T-34, sowieckie działa samobieżne nowego typu, piechota, składająca się z doświadczonych weteranów, oraz dywizje pancerne. Ściśnięte na

ograniczonej przestrzeni wojska w sile nie mniej niż miliona ludzi czekały na rozkaz.

A Stalin wciąż się wahał.

W Wilczym Szańcu nie było żadnych objawów wahania. Fuhrer podjął decyzję, a jego najzdolniejszy dowódca, feldmarszałek von Kluge, w pełni poparł jego plan: uprzędzić atak przeciwnika, odciąć klin wysunięty przed resztę sowieckich wojsk i zamknąć w ciągu paru dni milion Rosjan w gigantycznym kotle.

- To otworzy nam drogę do Moskwy - ciągnął von Kluge na naradzie w południe 1 czerwca. - Stalinowi nie pozostaną już żadne siły, które mógłby rzucić przeciwko nam. Weźmiemy Moskwę, główny węzeł bolszewickiej sieci kolejowej, i to będzie koniec całej Rosji.

- Zaczniemy ofensywę 5 czerwca - zgodził się Hitler.

-Następnie, gdy Rosjanie zostaną rozgromieni, przerzucimy sto dwadzieścia dywizji do Francji i Belgii. Wtedy wszystkie próby inwazji ze strony sił anglo - amerykańskich skończą się klęską. Panowie, rozpoczynamy operację "Cytadela". Tak postanowiłem.

Spojrzał wokół stołu na twarze Martina Bormanna, Keitla i Jodla, którzy kolejno skinęli głowami. "Cytadela" oznaczała Kursk. Po jego upadku bramy Moskwy miały stanąć otworem.

Hitler zakończył naradę i polecił Bormannowi, żeby poszedł za nim.

Opuścił Lagebaracke i wrócił do swej kwatery, gdzie rzucił czapkę na stół i sadowiąc się w fotelu kazał swemu sekretarzowi zamknąć drzwi.

- Musisz przyznać, Bormann, że teraz wszyscy biorą mnie za

tego, kim jestem. "Cytadela" to największa operacja, jaką Niemcy przeprowadziły w ciągu całej tej wojny.

- Mein Fuhrer - zaczął Bormann - niepokoi mnie tylko jedno.

Wciąż nie ma wiadomości o zlikwidowaniu lub pochwyceniu Lindsaya.

- A kogo on obchodzi? Jak niby mógłby mi zaszkodzić?

Bormann zwrócił uwagę, że padło słowo "mi", nie "nam". Od kiedy nowy Hitler zastąpił starego, Bormann, który spodziewał się, że będzie dowolnie manipulował Heinzem Kubym, odkrył, że pełni przy nim taką samą podrzędną rolę, jak przy prawdziwym fuhrerze. Więcej - uświadomił sobie, że nie może w związku z tym zrobić nic, co nie pociągnęłoby za sobą jego własnej zguby.

- Starannie przestudiowałem akta Lindsaya - upierał się przy swoim. - Był kiedyś aktorem, a to znaczy, że potrafi zauważyć w zachowaniu poszczególnych ludzi charakterystyczne dla nich cechy.

No i zawarł bardzo bliską znajomość z tą dziwką, Christą Lundt.

Zanim oboje uciekli, przyłapałem ją, jak się panu przyglądała. Myślę, że wykryła, iż coś jest nie w porządku.

- Co więc proponujesz? - wtrącił niecierpliwie Hitler.

- Wysłać pułkownika Jaegera z powrotem na Bałkany w nadziei, że uda mu się trafić na ślad Lindsaya.

- Jaeger musi z powrotem objąć komendę w swojej jednostce przed "Cytadelą" - odparł szorstko fuhrer. - Do tej operacji potrzebni nam są wszyscy doświadczeni frontowcy, jakich możemy zgromadzić.

Miejmy tylko nadzieję, że ten sowiecki szpieg, który zdaniem

Hartmanna ukrywa się wśród nas, nie przekáže Rosjanom wiadomości o naszych zamiarach. Wszystko zależy od elementu zaskoczenia.

Wieczorem atmosfera w ukrytym wśród sosen Wilczym Szańcu wyraźnie zgęstniała. Zanościło się na następną parną, wilgotną noc i wszystkich przytłaczało napięcie przed rozpoczęciem wielkiego manewru, od którego tak wiele zależało.

Przez trzy kolejne punkty kontrolne przeszło niezależnie od siebie trzech najwyższych rangą członków sztabu. Żaden z nich nie byłby zadowolony, gdyby spotkał któregoś z kolegów. Jodl uważał Keitla za nadętego bufona, który sprawował stanowisko niewspółmiernie wysokie w stosunku do umiejętności. Martin Bormann posiadał pewną uniwersalną cechę - nie znosili go wszyscy oprócz fuhrera i jego suki, Blondi. Keitel zaś miał Jodla za osobnika pokrętnego, za kogoś, z kim nawiązanie bliższej przyjaźni nie wchodziło w rachubę. Był to dla niego oficer, wobec którego należało przynajmniej zachować dystans.

Zdarzyło się więc tak, że ci trzej mężczyźni poszli każdy w swoją stronę, szukając przed następną konferencją krótkiego wytchnienia od klaustrofobii, jaką budził Wilczy Szaniec.

Kwadrans po jedenastej w nocy w lesie panował gęsty mrok.

Wprawne ręce otworzyły schowek z potężną radiostacją, ukryty w stercie choiny. Wiadomość, nadana przy świetle kieszonkowej latarki, była niezwykle długa. Potem operator położył gałąź na miejsce i wrócił w samą porę na kolejną konferencję o północy.

- Anno, jestem wykończony - zawołał Rudolf Roessler zamknąwszy skrytkę w kredensie, gdzie trzymał swój nadajnik. -
Czuję, że zbliża się coś bardzo ważnego.

- Skąd to wiesz? - spytała Anna podając mężowi kubek z kawą.

- Przed chwilą odebrałem od Dziećcioła najdłuższy jak dotychczas meldunek, nadany zwyczajnym szyfrem. - Wypił łapczywie kawę. - Natychmiast przekazałem go do Moskwy. Podejrzewam, że dotyczy planów operacyjnych jakiejś ważnej bitwy.

- Cóż, zrobiłeś wszystko, co w twojej mocy - rzekła zdecydowanie Anna - więc pozostaje nam tylko czekać na wynik.

Roessler przekręcił się w obrotowym krześle i spojrzał na żonę z twarzą pobrużdżoną ze zmęczenia.

- Z dotychczasowych wydarzeń wynika, że Stalin nie robi pełnego użytku z informacji, które mu nadsyłam. Czy on w ogóle nabierze kiedyś do mnie zaufania?

- Kursk! To może być olbrzymia pułapka, w której znajdziemy zgubę... - Generalissimus urwał i zamyślił się.

Był wczesny ranek. W niewielkim biurze na Kremlu stali obok siebie porywczy generał Żukow i spokojniejszy, mający głębszy umysł marszałek Wasilewski, szef Sztabu Generalnego. W pokoju panował półmrok, paliła się tylko jedna lampa na biurku. Po słowach Stalina zapanowało pełne napięcia milczenie.

Stalin trzymał w ręku długi radiogram od Dziećcioła, przekazany przez Lucy. Nigdy dotychczas nie otrzymał z tego źródła tak szczegółowych rozkazów operacyjnych dla armii niemieckiej. Masa bojowa, jaką zdołał zebrać Wehrmacht, robiła straszliwe wrażenie. Oczywiście jeżeli dane te odpowiadały prawdzie. Generalissimus jeszcze raz przeczytał powoli depezę, powtarzając na głos niektóre informacje:

- Dywizje pancerne... Tygrysy, pantery, działa pancerne typu

Ferdynand... Generał Model ma zaatakować od północy, generał Hoth od południa... Sama śmietanka niemieckich dowódców.. i ogromna koncentracja ich doborowych dywizji. To kolosalna siła. Gdyby to była prawda, moglibyśmy wydać odpowiednie dyspozycje, żeby ich zniszczyć.

- Chciałbym zapytać - zaczął spokojnie Wasilewski - jak się przedstawia dotychczasowy dorobek siatki szpiegowskiej

Dzięcioł-Lucy?

- Informacje zawsze okazywały się prawdziwe.

- Więc tak może być i tym razem. W którymś momencie będziemy musieli zebrać się na całą odwagę i przyjąć, że Lucy mówi prawdę.

- Żukow?

Generalissimus stał, tak jak inni. Spojrzał z ukosa na generała.

Wasilewski westchnął w duchu. Stalin znów uciekał się do swej starej sztuczki: zachęcał rozmówców, by zajęli wyraźnie określone stanowiska, aby później, w razie niepowodzenia, móc to wykorzystać przeciwko nim.

Stalin nigdy nie zatracił przebiegłości, która była częścią jego gruzińskiej natury. Mając charakter skłonny do zdrad i oszustw, wszędzie dopatrywał się szalbierstwa. Działalność Lucy mogła być wybiegiem Hitlera, zastawiającego na Armię Czerwoną olbrzymie sidła, skąd nigdy by się nie wydostała. Żukow, jedyny generał potrafiący zdobyć się w obecności Stalina na wyrażenie odmiennego zdania, nie - wahał się.

- Dzięcioł twierdzi, że dzień rozpoczęcia działań wyznaczono na 5 czerwca - czyli za trzy dni - odezwał się porywczo. -

Twierdzi również, że atak ma nastąpić o godzinie piętnastej, co jest dla Niemców porą nietypową, i dlatego brzmi to bardzo prawdopodobnie, gdyż będą nas chcieli zaskoczyć. Proszę pozwolić mi na natychmiastowy powrót do Kwatery Głównej, abym mógł wydać dyspozycje. Informacje od Dziecioła uważam za prawdziwe.

- Bierzecie na siebie pełną odpowiedzialność za tę decyzję?

- Tak!

- Musimy głębiej rozważyć ten problem, towarzysze - odrzekł generalissimus. - Przygotujcie się na długą noc.

Po południu 5 czerwca o drugiej trzydzieści pułkownikowi Jaegerowi zaczęła dawać się we znaki stara rana w nodze. Siedział w otwartym włazie wieży wielkiego czołgu, pantery, jako dowódca szwadronu dywizji pancernej w nacierającej z północy 4 armii generała Modla, która miała wymierzyć druzgoczący cios w podstawę rosyjskiego "kciuka" i połączyć się z 9 armią generała Hotha, atakującą od południa. Obie miały wspólnymi siłami amputować "kciuk" i zamknąć w okrążeniu wojska nieprzyjaciela.

Był parny, gorący dzień. Jaeger spojrzął na zegarek i zlustrował nie kończące się szeregi czołgów stojących w bitewnym szyku. Ta rana w nodze zawsze odzywała się przed jakimś wielkim starciem. We włazie najbliższego czołgu dostrzegł Schmidta, który ocierał pot z czoła.

- Za pół godziny naprawdę zrobi się gorąco! - krzyknął jowialnie. - Oszczędzaj pot na później.

Z najbliższych wozów rozległy się śmiechy. Jaeger miał dar rozładowywania prostym dowcipem nieznośnego napięcia w chwilach przed atakiem.

- Pułkowniku! - odkrzyknął Schmidt. - Widać pan się poci
inaczej! We właściwej chwili zacznie pan wypacać piwo!

To wywołało kolejny wybuch śmiechu. Jaeger, który był
przeciwieństwem sztywnego, pruskiego oficera, zawsze był gotów
prześcigać się w docinkach ze swymi żołnierzami, niezależnie od
stopnia.

Punktualnie o trzeciej dał kierowcy rozkaz przez laryngofon:

- Naprzód! I nie zatrzymuj się, dopóki nie zobaczysz białek
oczu samego generała Hotha!

Ogromne pojazdy ruszyły na południe z chrzęstem masywnych
gąsienic. Ziemią wstrząsnęły głuche tąpnięcia, gdy ciężka
artyleria otworzyła ciągły ogień zaporowy. Przed panterą Jaegera,
która wysunęła się na przód rozrzuconej szeroko pancерnej sfory,
rozciągały się aż po horyzont bezkresne stepy Rosji. Jaeger
skierował swój czołg na wprost, ignorując rozpryskujące się wokół
pociski, które zaczęły rycć kraterami w spalonej słońcem ziemi. Parł
byle dalej przed siebie, aż do połączenia z Hothem, gdy zamkną
się kleszcze, zamykając cały olbrzymi klin Armii Czerwonej w
pułapce.

Feldmarszałek von Kluge miał tego parnego dnia pod swoją
komendą przeszło pół miliona żołnierzy. W skład jego wojsk
wchodziło siedemnaście dywizji pancernych, wyposażonych w
monstrualne wielkie nowe typy tygrysów i panter oraz działa
samobieżne ze wsparciem zmotoryzowanej piechoty. Była to
największa siła, jaką kiedykolwiek rzucono do natarcia na jeden
cel: "Cytadelę".

Godzina zero - wyznaczona na trzecią po południu - powinna

całkowicie zaskoczył przeciwnika, przyzwyczajonego do ataków o świcie. Zanim Żukow pojmie, co się dzieje, znajdzie się w okrążeniu.

Dodatkowym manewrem dezorientującym było jednoczesne natarcie 2 armii, składającej się z sześciu dywizji pancernych i dwóch piechoty, na czubek "kciuka". Atak ten miał odciągnąć oddziały przeciwnika z rejonu właściwej bitwy.

Jaeger ujrzał przed sobą, wcześniej niż się spodziewał, dwa sowieckie czołgi T-34 jadące mu naprzeciw w odstępie około dwustu metrów.

Przejętny dowódca nakazałby zmniejszyć szybkość i czekać, aż dogonią ich posiłki. Jaeger nie był przejętnym dowódcą.

- Zwiększ szybkość! - rozkazał.

Widział, jak dwie wielkie lufy, przypominające poziome słupy telegraficzne, przesuwały się biorąc go na cel. Robiły to zbyt wolno, gdyż działonowi absolutnie nie mogli się spodziewać, że pantera dalej będzie gnała pełnym gazem nie zbaczając z kursu, prosto między dwa czołgi nieprzyjaciela.

Lufy zaczęły sunąć szybciej, szykując się na strzał z bliskiej odległości. Jaeger wyliczył czas precyzyjnie. Na chwilę zanim lufy znieruchomiały, rzucił w mikrofon:

- Jedź tym samym kursem. I cały gaz! Do samej dechy!!

Pantera z rykiem skoczyła naprzód nabierając pełnej szybkości.

Lufy sowieckich czołgów nie nadążyły za nią. Jaeger wjeżdżał już między dwa T-34, od ich pancerzy z każdej strony dzieliło go pięćdziesiąt metrów. Dowódcy w obu czołgach kazali działonowym

skręcić działa jeszcze bardziej. Jaeger wciąż parł do przodu.

Sowieccy dowódcy jednocześnie dali komendę:

- Ognia!

Sekundę wcześniej czołg Jaegera wyjechał spomiędzy nich, tak że lufy dwóch T-34 wymierzyły w siebie nawzajem. W tej chwili wystrzeliły z nich pociski i rozległy się dwa wybuchy. Jaeger obejrzał się i zobaczył, że oba czołgi zaczęły się palić, z ich wież wydostawały się płomienie.

Dotychczas nie oddał ani jednego strzału.

- Jedź tym samym kursem.

Zauważył, że oba T-34 początkowo jechały jeden za drugim, a dopiero potem rozdzieliły się, żeby nie tworzyć jednego celu.

Jaeger widział wyraźnie ślady gąsienic i skierował swoją panterę ich tropem.

Trzymając się trasy, po której przejechały T-34, mógł być pewien, że nie wjedzie w pole minowe. Jego przezorność została nagrodzona w chwilę później, gdy usłyszał serię wybuchów.

Trzy pantery znajdujące się po obu jego stronach zostały uszkodzone lub zniszczone. Jedna z rozerwaną gąsienicą znieruchomiła na polu bitwy. Dwie inne płonęły. Jaeger podał przez radio komendę reszcie swego szwadronu:

- Jechać moim śladem. Nie zbaczać nawet o włos. Przejazd przez duże pole minowe.

Coś go w tych słowach zaniepokoiło. Instynktem wyczuł, że coś jest nie w porządku. Te pola minowe...

Rosjanie w ciągu jednej nocy zakopali na równinie około czterdziestu tysięcy min. Każda mogła unieszkodliwić panterę lub

tygrysa.

Rozmieścili je we wszystkich sektorach, w których spodziewali się ataku dywizji pancernych. Wczesnym rankiem 2 czerwca Stalin ostatecznie zdecydował się dać wiarę meldunkom Dzięcioła. Otrzymałszy oficjalne przyzwolenie, sowieccy generałowie dokonali całkowitego przegrupowania wojsk w klinie pod Kurskiem, zmieniając je w największą militarną pułapkę bez wyjścia, jaką zna historia.

Niemcy wciąż walczyli zażarcie. Nisko nad polem bitwy prześlizgiwały się stukasy, których działka pokładowe unieszkodliwiły wiele T-34. Na ogromnej równinie odbywały się zaciekle pojedynki czołgów, lecz Hitler stracił swój główny atut - zaskoczenie.

Nie trzeba wielkich umiejętności, żeby wygrać bitwę, gdy zna się dokładnie zamiary przeciwnika. Dwaj ludzie, którzy naprawdę przeważyli szalę zwycięstwa w bitwie pod Kurskiem na stronę Rosjan, nie byli świadkami tego zniszczenia. Dzięcioł przebywał w Wilczym Szańcu w Prusach Wschodnich. Przygarbiony, niedbale ubrany Rudolf Roessler siedział w małym pokoiku w Lucernie..

Nawet w tych warunkach zwycięstwo nie przyszło łatwo. Walki trwały z całą siłą od 5 do 22 czerwca, dopóki pole bitwy nie zmieniło się w pobojuwisko. Straty po obu stronach były ogromne. Niemieccy lekarze i sanitariusze porównywali szpitale polowe do rzeźni.

Przez długie dni i noce trwał ogłuszający huk ognia artylerii, dział czołgowych i bomb. Splugawiona ziemia zmieniła się w pustynię, na której porzrucane leżały strącone samoloty,

rozbite czołgi i trupy ludzkie.

Pułkownik Jaeger przeżył tę masakrę i uratował Schmidta.

Siedząc w wieży czołgu pośród chaosu i zgiełku walki zobaczył, że dwie jadące przed nim pantery z jego szwadronu zostały trafione, a potem dostrzegł jak Schmidt, trafiony kulą snajpera, stacza się z wieży.

- Stać! - rozkazał.

Ześliznął się na osmaloną ziemię i pobiegł w stronę czołgu Schmidta, który najechał na minę. Długi pas gąsienicy zsunął się i spadł z rolek na ziemię. Schmidt leżał na boku. Podniósł wzrok.

- Niech pan się stąd zabiera, szefie! Zaraz po mnie przyjdą sanitariusze.

- Stul pysk i nie ruszaj się!

Jaeger dźwignął Schmidta i zaczął nieść do swojego czołgu.

Gdy do niego dotarł, poczuł tępe uderzenie. Podsadził Schmidta w górę.

Z wieży wychylił się radiotelegrafista, żeby pochwycić rannego.

- Pułkowniku! Pańska noga! - wrzasnął przekrzykując nieustający, otępiający zmysły grzmot, który nie cichł ani na chwilę.

- Wciągnij Schmidta do środka! Ja wejdę sam. To rozkaz!

Górna część nogawki jego spodni nasiąkła krwią, odezwał się pierwszy skurcz bólu. Kolejna kula bzyknęła i odbiła się o bok pancerza. Cholerny snajper znów dawał znać o sobie. Jaeger zaciskając zęby wciągnął się jak najspieszniej na wieżę, wgramolił do środka i zatrzasnął właz.

- W Wilczym Szańcu jest szpieg - oznajmił Jaeger. - I mam zamiar przyłapać tego sukinsyna, jak tylko stąd wyjdę.

Znajdował się wraz ze Schmidtem w drugim z kolei szpitalu. Minął tydzień od zakończenia bitwy. Powołując się na fuhrera pułkownikowi udało się załatwić przetransportowanie ich obu do Monachium.

Nieprzypadkowo wybrał właśnie to miasto na miejsce swojej rekonwalescencji.

- Dlaczego jest pan o tym tak przekonany? - zaciekał się Schmidt.

- Z powodu Kurska!

- Owszem, przegraliśmy bitwę, ale to jeszcze nie oznacza, że przegraliśmy wojnę.

- Obawiam się, przyjacielu - powiedział Jaeger posępnie - że to właśnie to oznacza. Pod Kurskiem zmienił się bieg historii, choć nie jest to może oryginalne stwierdzenie. Powinniśmy byli wygrać, lecz bolszewicy znali wcześniej nasze plany operacyjne. Po skończonej bitwie dopchałem się do feldmarszałka von Klugego, który też jest tego zdania. Fuhrer miał rację - w Wilczym Szańcu kryje się wysokiej klasy sowiecki szpieg.

- Cóż, niewiele może pan teraz na to poradzić - zauważył Schmidt.

Leżeli w małej, dwuosobowej salce szpitalnej i obaj leczyli się z ran.

Jaeger otrzymał postrzał w prawe udo, a kula zagłębiła się w ciało zaledwie kilka centymetrów od starej blizny, pamiątki z ostatniego etapu kampanii francuskiej w 1940 roku.

Lekarz zaproponował, żeby po zakończonej kuracji złożył podanie o zwolnienie z armii jako niezdolny do dalszej służby wojskowej.

Zasłużył na miano inwalidy wojennego, jego organizm jest wycieńczony po tylu walkach... Jaeger zareagował tak gwałtownie, że mało brakowało, a lekarz musiałby położyć się do jednego z własnych szpitalnych łóżek. Pułkownik chwyciwszy stojącą obok kulę odrzucił przykrycie i spuścił zdrową nogę na podłogę., -
Może z pana jest dobry lekarz, ale cholernie kiepski psycholog! -
ryknął. - Mam do wykonania pewne zadanie i, psiakrew, wykonam je!
- dokończył wygrażając kulą. Ściągnął z pościeli zabandażowaną nogę, wstał opierając się na kuli i pokuśtykał w stronę lekarza najwyraźniej w złych zamiarach.

Lekarz cofał się przed nim, dopóki nie oparł się o ścianę.

- Panie pułkowniku, powinien pan leżeć...

- Powiniennem być w bałkańskim kotle i szukać tropu człowieka, dzięki któremu jestem tu, w szpitalu, dzięki któremu tysiące moich towarzyszy zostało martwych pod Kurskiem wśród kurzu i much.

Mam dla pana tylko jedno polecenie, doktorze - niech pan mi przywróci jak najszybciej swobodę ruchów.

- Mogę to uczynić tylko wtedy, kiedy będzie pan odpoczywał i leżał w łóżku.

Lekarz zbladł jak płótno widząc furię Jaegera. Pułkownik przytrzymał się ręką łóżka Schmidta, a drugą wznosił do góry kulę, żeby dobitniej podkreślić swój rozkaz.

- Zgoda, ale pod jednym warunkiem. Każdego dnia mam dostawać

coraz więcej ćwiczeń, żebym mógł zostać jak najszybciej
zwolniony. Chyba słyszał pan o tym, że jest wojna.

- O to samo proszę ja również - wtrącił Schmidt. - Ma pan
mnie zwolnić tego samego dnia, co pana pułkownika.

- Chyba to będzie możliwe - zgodził się ostrożnie lekarz.

-Pańska rana piersi ładnie się goi. Całe szczęście, że kula
przeszła na wylot omijając wszystkie ważniejsze organy...

Urwał w połowie zdania. Do pokoju weszła pielęgniarka.

Stanęła i otworzyła szeroko oczy. Nie grzeszyła urodą i była dość
aroganka z natury, a Jaeger już pierwszego dnia po przyjęciu do
szpitala musiał ją ostro osadzić na miejscu.

- Odbywamy ważną naradę - powiadomił ją teraz z poważnym
wyrazem twarzy. - Nie jest to właściwy moment na podawanie
kaczek.

- Ma pan gościa, pułkownika. Jakiegoś pana Maisla. Twierdzi,
że pan go oczekuje.

- I mówi świętą prawdę, więc proszę go natychmiast wpuścić.

- Panie doktorze, czy coś się stało? - spytała.

- Doktor nie czuje się dzisiaj zbyt dobrze - odparł Jaeger
swoim najbardziej dobrodusznym tonem. - Proszę spojrzeć, jak
pobladł.

Zapisałbym mu odpoczynek, względnie kilkudniowy pobyt w
łóżku.

- Czy to prawda, że chciał się pan ze mną widzieć, panie
pułkowniku? - upewnił się Willi Maisel.

Funkcjonariusz gestapo, ze strzechą czarnych włosów nad
szczupłą twarzą, nosił dobrze skrojony granatowy garnitur.

Patrzył badawczo to na Jaegera, to na Schmidta. Nie zapytał ani słowem o ich stan zdrowia.

- Gdzie, do wszystkich diabłów, jest teraz ten podpułkownik RAFu Lindsay? - wyszczał groźnie Jaeger.

Willi Maisel siedział na krześle przysuniętym do łóżka pułkownika i popijał cieczech, którą w szpitalu nazywano kawą w nadziei, że to podniesie jej smak. Jaeger zdążył już z niego wyciągnąć, co było przyczyną jego początkowo pełnego rezerwy zachowania. Przyczyną był Gruber.

Grubera, który wciąż przebywał w Wiedniu, doprowadzała do szału nieustająca nawała telefonów Martina Bormanna z Wilczego Szańca. Nie bacząc na ogólnie przyjęte normy, reichsleiter gnębił go dzwoniąc o każdej porze dnia i nocy. Jedną z jego ulubionych godzin na telefonowanie była trzecia nad ranem i Gruber zaczynał się czuć jak jeden z jego własnych aresztantów, których umyślnie pozbawiano snu.

- Jest u kresu sił - tłumaczył Maisel. - Gdy doszło do niego, że chciał się pan ze mną widzieć, klął jak furman. Był w strachu, że przekażę panu jakieś informacje...

- Dlaczego?

Jaeger był. Zaintrygowany. Doprawdy, działały się dziwne rzeczy.

Maisel, chociaż cwaniak kuty na cztery nogi, robił wrażenie, że wdzięczny jest losowi za wyrwanie się z siedziby gestapo i możliwość rozmowy z kimś ze świata zewnętrznego.

- Moim zdaniem Bormann wyładowuje na nim swoją złość i szykuje go na kozła ofiarnego.

- Do czego mu to potrzebne?

- Bo nikt nie może wpaść na ślad Lindsaya. Czasami Bormann wydaje się na wpół żywy ze strachu, że Lindsay mógł już dojechać do Londynu. Jodl i Keitel również. Ci obaj niezależnie od siebie dzwoniли do Grubera w tej - samej sprawie, co jest dosyć dziwne.

- Wie pan może, dlaczego? - spytał Jaeger.

- Z tego co zrozumiałem, fuhrer chce się ponownie spotkać z Lindsayem. Pewnie podjął taką decyzję po Kursku. Wciąż krążą plotki, że Hitler rozpaczliwie pragnie dogadać się z Churchillem.

- Więc im więcej ludzi będzie szukało Lindsaya, tym lepiej.

Wtedy jest większa szansa, że go znajdą - wtrącił Schmidt.

Jaeger uśmiechnął się pod nosem. Ta na pozór niewinna uwaga miała utorować drogę jemu samemu i Schmidtowi z powrotem w szeregi poszukiwaczy. Maisel nie poznał się na podstępie.

- Tak, na to wychodzi - zgodził się.

- Dokładnie kiedy i gdzie widziano ostatnio Lindsaya? - spytał Jaeger.

- W gruncie rzeczy nie widziano go od tej nocy, gdy rozmawiałem z panem z Mariboru. Lecz nasi ludzie z wywiadu, działający na Bałkanach, wciąż donoszą o nowych pogłoskach. Jasnowłosa dziewczyna i Lindsay podróżują z partyzanckim oddziałem, prawdopodobnie tą samą bandą, która zaatakowała pociąg, zanim dojechał do Zagrzebia. Co dziwne, dochodzą nas wciąż słuchy, że jest z nimi major Hartmann, cały i zdrow. Wiemy, że jechał tym samym pociągiem...

- Hartmann! - Jaeger nie wierzył własnym uszom. - Ten cwany sukinsyn ocalał! Czy wiadomo coś więcej o dziewczynie?

- Tyle tylko, że ma dwadzieścia kilka lat, jest bardzo ładna i podobno nazywa się Paco. To oczywiście pseudonim. Ponadto cieszy się dużym mirem u dowódcy oddziału. A teraz słyszymy, że do Jugosławii przybyła aliancka misja wojskowa w pełnym składzie.

Przylecieli z Tunezji i jak przypuszczamy zostali zrzućeni na spadochronach. Na Bałkanach nic nigdy nie wiadomo z całą pewnością.

Jaeger siedział w milczeniu jeszcze jakiś czas po tym, jak Willi Maisel wyszedł z salki szpitalnej. Schmidt, przyzwyczajony do humorów swojego szefa, nie przerywał ciszy. Raptem Jaeger otrząsnął się z zamyślenia, jakby podjął decyzję. Odrzucił przykrycie, sięgnął po kulę, wygramolił się z łóżka i zaczął jak co dzień chodzić od ściany do ściany.

- Anglicy dzielnie walczyli pod Dunkierką - zaczął wreszcie.
-Schmidt, pamiętasz, stali jak mur, za który nie mogliśmy się przedrzeć.

Fuhrer ma rację, musimy się z nimi sprzymierzyć. Nigdy nie powinien pozwolić temu tłustemu matołowi, Goeringowi, na bombardowanie Londynu. Jeśli Rosjanie wygrają wojnę, będą przez długie pokolenia stałym zagrożeniem dla całego zachodniego świata.

- To fatalna perspektywa - zgodził się Schmidt - ale cóż możemy na to poradzić?

- Kluczem do całej sprawy jest Lindsay - odparł Jaeger. - Ty i ja musimy go znaleźć. Będzie to wyścig z czasem. Jeśli się nie pospieszymy, aliancka placówka wojskowa załatwi jego przerzut samolotem za granicę. Jeżeli znane jest położenie tej placówki,

moglibyśmy ich jakoś przed tym powstrzymać. To nasze pierwsze zadanie.

Mówił to bardziej do siebie niż do Schmidta. Rozmyślał na głos krocząc powoli dokoła salki i starając się obyć w miarę możliwości bez pomocy kuli.

- W jaki sposób to zrobimy? - spytał Schmidt.

- Zadzwonię do Bormanna, poproszę, by udzielił mi w imieniu fuhrera oficjalnego poparcia na wysłanie instrukcji do miejscowego dowódcy Luftwaffe, żeby ściągnął wszystkie samoloty w rejon, w którym działa aliancka misja. Niech obrzucają ich bombami; ile wlezie, żeby nie mogli się pozbierać i ani na chwilę zaprzestać ucieczki, a wówczas Lindsay nie zdoła do nich dotrzeć przed nami.

- Wciąż nie rozumiem, dlaczego Lindsay ma być kluczem w tej sprawie.

- Uderzyła mnie jego inteligencja. Przypomnij sobie, jak uciekł z Berghofu z Christą Lundt w tej ciężarówce z pralni. Nie chwycił przynęty w postaci mercedesa, którą podsunęliśmy mu pod nos wcześniej tego. Samego dnia. Nieźle wywiódł nas w pole ten czort!

Sądzę, że w ciągu dwutygodniowego pobytu w Wilczym Szańcu dużo się dowiedział. Mógł nawet z pomocą tej Lundt odkryć, kto wśród przebywających tam osób jest sowieckim szpiegiem. A tego łajdaka chcę sam osobiście nafaszerować ołowiem!

- Na to ma pan niewielkie szanse - stwierdził Schmidt.

- Całe życie wykorzystywałem właśnie niewielkie szanse.

Rozdział trzydziesty drugi

Dowódca brygady Fitzroy Maclean był jedną z barwniejszych postaci II wojny światowej i z pewnością zdobyłby sobie sympatię pułkownika Jaegera. Przybył na Bałkany w czasie, gdy Jaeger wracał do zdrowia w monachijskim szpitalu.

Maclean dosłownie wskoczył w bałkański kocioł na spadochronie, lądując nocą w Bośni z resztą swojego zespołu przy blasku ognisk rozpalonych przez partyzantów. Przybył, by skontaktować się z Titą.

Cel w końcu osiągnął, lecz wkrótce po przyjeździe Niemcy zaczęli mu niemiłosiernie deptać po piętach.

Ostrzeliwano go z samolotu z karabinu maszynowego. Obrzucano bombami. Oddział, do którego dołączył, musiał być w nieustannym ruchu i często ledwo udawało mu się uciec przed niemieckimi oddziałami zmotoryzowanymi. To gościnne powitanie zawdzięczał właśnie Jaegerowi.

W godzinę po wizycie Williego Maisla w szpitalu pułkownik zadzwonił do Wilczego Szańca, by porozmawiać z Martinem Bormannem. Nie bawił się w długie wstępy.

- Za kilka tygodni wypiszę mnie stąd. Wtedy udam się w pościg za Lindsayem.

- Znakomity pomysł, pułkowniku - przytaknął Bormann z patosem. - Możecie liczyć na moje pełne i nieograniczone poparcie w tej sprawie. Anglika należy zatrzymać za wszelką cenę, żywego lub martwego. Wyślę panu podpisane przeze mnie pełnomocnictwo.

- W tej chwili chcę mieć numer telefonu dowódcy Luftwaffe na

obszar Jugosławii plus pana oficjalne poparcie dla rozkazów,
które mu wydaję.

- Załatwmy to natychmiast...

Na drugim końcu linii następiło jakieś zakłócenie, słycać
było pospieszną wymianę zdań, a potem zgłosił się fuhrer we
własnej osobie.

- Pułkowniku Jaeger! Moim życzeniem jest, by przyleciał pan
tutaj, gdy tylko będzie panu wygodnie. Pragnę własnoręcznie pana
odznaczyć za niezwykle dokonania w bitwie pod Kurskiem. Gdyby moi
generałowie okazali choć połowę pańskiego zdecydowania i odwagi,
odnieśliśmy wspaniałe zwycięstwo. Wracając do Lindsaya -trzeba
go sprowadzić tu z powrotem żywego i w dobrym zdrowiu. Od tego
zadania, które osobiście panu poruczam, może zależeć wynik całej
wojny.

- Dołożę wszelkich starań, mein Fuhrer - odrzekł krótko
Jaeger.

Hitler oddał słuchawkę Bormannowi. Reichsleiter zdążył już
wyszukać numer telefonu, o który prosił Jaeger, i przyrzekł
zadzwoić do właściwego dowódcy Luftwaffe. "Trzeba przyznać temu
łajdakowi, że przynajmniej jest kompetentny" - przyznał w myśli
Jaeger.

Zakończył rozmowę i odłożył słuchawkę na widełki. Odwrócił
się z cynicznym uśmiechem do Schmidta, który siedział na brzegu
łóżka i czekał na wieści.

- Wszystko poszło po naszej myśli. Bormann dał nam swoje
pełne i nieograniczone poparcie...

- W kwestii jak najszybszego poddania się aliantom?

- To samo przyszło mi do głowy. Nawiasem mówiąc, w Wilczym Szańcu dzieje się coś dziwnego. Zanim fuhrer wziął słuchawkę, słyszałem jakieś głosy i jestem pewien, że oprócz Bormanna byli tam Keitel i Jodl. Z jakiej racji ich wszystkich tak interesuje Lindsay?

- Myśli pan w tej chwili o sowieckim szpiegu?

- Tak. - Jaeger podjął swój spacer. Kuśtykając o kuli wokół salki dodał z podejrzaną dobroduszością: - Och, jeszcze jeden drobiazg, o którym powinnieneś wiedzieć! Hitler chce, abyśmy pochycili i dostarczyli mu Lindsaya, cytuję: "żywego i w dobrym zdrowiu". Koniec cytatu.

- Z Bałkanów? Rany boskie!

- Sprawa może być łatwiejsza, niż się wydaje. Podpułkownik Lindsay jest w tej chwili prawdopodobnie w gościnie u partyzantów, a może nawet już nie żyje. Daję wiarę tym pogłoskom, o których mówił Maisel. Pewnie powinienem leczyć się na głowę. Zresztą jeszcze jedna rzecz podnosi mnie na duchu...

- A mianowicie?

- Pogłoska o pewnej jasnowłosej damie, która cieszy się takim autorytetem w jednym z oddziałów partyzanckich i która mocno przypomina baronową Werther, przedmiot mojego gorącego podziwu. - Uśmiechnął się z autoironią. - Jedyne łóżko, do jakiego doprowadziła mnie znajomość z tą blondynką, to łóżko szpitalne.

- Wciąż się zastanawiam, gdzie jest Gustaw Hartmann
-rozważał Schmidt.

- A! Wreszcie mówisz do rzeczy. Byle znaleźć Hartmanna, a

natrafimy na Lindsaya. Hartmann to twarda sztuka. Jego nie tak łatwo zabić.

Od ponad trzech miesięcy naloty bombowe zmuszały ich do przenoszenia się z jednej kryjówki do drugiej. Anglik i Niemiec siedzieli obok siebie na szczycie stożkowatego wzgórza, na występie skalnym, który tworzył jakby naturalne siedzisko. Z błękitnego nieba lał się żar. Oślepiające słońce stało w zenicie. Kilka metrów dalej od dwóch mężczyzn była szczelina skalna, która mogła posłużyć za kryjówkę, gdyby znów pojawiły się nad nimi znienacka samoloty z czarnymi krzyżami na kadłubach. Niemcowi wojenne wysiłki jego współbraci obrzydły niemal tak samo jak Anglikowi.

- Co oni twoim zdaniem kombinują? - zastanawiał się Hartmann.

Partyzanci poganiani ostro przez Heljeca podważali żelaznymi łomami wielkie głazy, przetaczali je z mozołem i ustawiali nad krawędzią urwiska. Niżej biegła droga, która wiła się jak cienka nitka.

- Pewnie planują następny napad na jakąś kolumnę wozów niemieckich i następną krwawą rzeź, żeby nie zmarnować dnia.

- Spodziewasz się wyjść cało z tego wszystkiego? - spytał Hartmann wyciągając z kieszeni wytarty, skórzany kapciuch. Wyjął z niego szczyptę tytoniu, włożył ją do cybucha i ugniół poplamionym na brązowo palcem wskazującym.

- A ty? I jakim cudem udaje ci się stale zaopatrywać w tytoń?

- Kupuję go od partyzantów, którzy zabierają go zabitym

przez siebie niemieckim żołnierzom.

Dostrzegł pełen niesmaku grymas Lindsaya. Zapalił fajkę i pykał z niej przez kilka minut. Potem znów się odezwał wystudiowanym swobodnym tonem:

- Przyjacielu, to są Bałkany. Nie sądzę, żebyś zdawał sobie w pełni sprawę, gdzie się znajdujemy. Od wieków Chorwaci zabijali tu Serbów i vice versa. Bułgarzy z kolei nienawidzą z całej duszy Greków, a ci odwzajemniają im się tym samym. Hitler w ogóle nie powinien tknąć tej części świata. To miejsce, gdzie albo się zabija, albo jest się zabijanym. Wracając do twojego pierwszego pytania, to mam nadzieję przeżyć. Palenie fajki bardzo rozjaśnia umysł. Co takiego dziwnego odkryłeś w fuhrerze, gdy byłeś w Wilczym Szańcu?

- Odwiedziłem go przed wojną w Berlinie. Zwrócił na mnie uwagę z powodu moich powiązań z brytyjską arystokracją. Ja swego czasu byłem aktorem, umiem więc dostrzec cechy charakterystyczne dla pewnych ludzi - drobiazgi, które zwykle uchodzą uwagi ogółu.

- Rozumiem. Mów, proszę, dalej.

- Gdy pierwszy raz spotkałem Hitlera w Wilczym Szańcu, wyglądał jak ten sam człowiek, ale wyczułem, że to nie on. Christa też uważała, że od kiedy wrócił ze Smoleńska, zaszła w nim jakaś dziwna zmiana. No i od tego czasu Bormann nieustannie ją obserwował:

- Co naprawdę chcesz przez to powiedzieć? - nalegał łagodnie Hartmann.

- Po prostu, że zaszła jakaś zmiana...

- A tak naprawdę uważasz, że Hitler, który wrócił spóźniony

ze Smoleńska, nie jest tym samym człowiekiem, który tam wyjechał?

Pytanie zostało postawione jasno i wyraźnie. Lindsay rozłożył ręce w bezradnym geście.

- Uważam, że podstawili sobowtóra.

Hartmann poddał Lindsaya bezlitosnemu przesłuchaniu, szukając luk w jego teorii. Lindsay przyjął to z zadowoleniem, ponieważ w ten sposób mógł obiektywnie sprawdzić prawdopodobieństwo zdarzenia, które sam wciąż podawał w wątpliwość. Opowiedział majorowi Abwehry o groteskowej scenie, jaką widział podczas swego pierwszego pobytu w Berghofie.

- A w tym czasie prawdziwy fuhrer odbywał wizytę na froncie wschodnim - stwierdził Hartmann.

- Podałem ci przecież daty.

- A co z Ewą Braun? Jej nigdy w życiu nie zdołałby oszukać.

- Myślę, że nie było takiej potrzeby - wyjaśnił Lindsay. -

Tego samego wieczoru w Berghofie widziałem ją przelotnie z tym mężczyzną, obejmującym ją w pół, jak szli razem do jej sypialni.

- Miała romans z dublerem? To by się zgadzało z jej charakterem.

Jest płytka i kapryśna.

- Tak, nie ulega też wątpliwości, że jej pozycja zależy całkowicie od fuhrera, prawda? Gdyby zniknął ze sceny politycznej...

- Wtedy żegnaj, Ewo Braun. Nie ciesz się sympatią - szczególnie wśród żon nazistowskich dygnitarzy. - Hartmann stopniowo dawał się przekonać. - To tłumaczyłoby coś jeszcze - dorzucił z namysłem.

- Co mianowicie?

Hartmann pykając z fajki oparł się wygodnie plecami o skałę.

Rozejrzał się, by sprawdzić, czy w pobliżu nie ma żadnego partyzanta.

- Pogrom pod Kurskiem. Hitler wciąż ma nadzór nad strategią militarną. W pierwszych latach wojny dał się poznać jako geniusz -w ataku na Polskę, błyskawicznej kampanii w Danii i Norwegii. To Hitler podjął decyzję o natarciu pod wodzą Falkenhörsta, wbrew opinii swoich generałów. W 1940 roku poparł zuchwały plan Mansteina i rozkazał Guderianowi wprowadzić go w życie. Sztab naczelnego dowództwa omal nie dostał zbiorowego ataku nerwowego. Tymczasem zamiast oczekiwanej katastrofy odnieśliśmy całkowite zwycięstwo.

- Zrobił błąd pod Stalingradem - przypomniał mu Lindsay.

- To mity! Jodl mówił mi, że Hitler był pewny, iż Stalin koncentruje armie za Donem, lecz nasz wywiad, ta banda Gehlena, upierał się, że atak ma nastąpić w okolicy Smoleńska, setki kilometrów na północ. Generałowie zgodzili się z ich zdaniem. Hitler raz dał za wygraną i pozwolił im rozegrać to po swojemu. Lecz jak wytłumaczysz fakt, że dubler, który przebywa obecnie w Wilczym Szańcu, jest w stanie wykonywać obowiązki naczelnego dowódcy? - spytał Hartmann.

- Gdy powtórnie przyjechałem do Berghofu, dano mi ten sam pokój, w którym kiedyś widziałem człowieka z lustrami. Usunęli stamtąd wszystkie ślady, lecz przegapili szufladę u dołu szafy.

Znalazłem w niej całą kolekcję książek - Clausewitza, von Moltkego i inne.

- Te same książki, które, o ile mi wiadomo, studiował fuhrer
-potwierdził Hartmann. - Nowy Hitler musiał szczegółowo
opracowywać swoją rolę pod każdym względem, może nawet przez
kilka lat. To oczywiście musiało obejmować te same podręczniki
sztuki wojennej, które czytał prawdziwy Hitler. Lecz brakuje mu
zdolności poprzednika i dzięki temu Stalin ma wygraną w kieszeni.

- Więc uważasz, że mam rację?

- Tak; z jeszcze jednego powodu. Hitler zrezygnował zupełnie
z wygłaszania przemówień publicznych - a był w tym mistrzem.

Dzięki temu został wyniesiony na szczyt władzy. Jeżeli to
fałszywy fuhrer, wszystko staje się jasne. On nie ośmieliłby się
naśladować w tym Hitlera, ponieważ mogłoby mu się to nie udać.
Tak, to może wszystko tłumaczyć. Idzie tu Paco...

- Chcecie zobaczyć, jak silna jest nasza wola walki z
Niemcami? - spytała Paco. - Chodźcie ze mną.

Poprowadziła ich w dół zbocza do krawędzi urwiska, gdzie
partyzanci skończyli ustawiać wał głazów.

- To nie mój pomysł - powiedziała. - To Heljec upierał się
przy tej... demonstracji.

- Demonstracji? - powtórzył Lindsay.

- Demonstracji bojowego ducha w partyzantach. Próbowałam go
od tego odwieść, ale uparł się przy swoim. Tak więc obejrzyjcie
to sobie.

Heljec stał za rzędem głazów z grupą swoich ludzi. Do paska,
tak jak wszyscy partyzanci, miał przywieszony granaty. Zwyczaj
ten ścinał Lindsayowi krew w żyłach. Wszyscy tam byli.

Sympatyczny Milić o okrągłej twarzy uśmiechnął się do Lindsaya.

Ponury Bora na jego widok spojrzął w bok. Doktor Maćek miał nieszczęśliwy wyraz twarzy (Lindsay zastanawiał się, dlaczego).

Zastępca Heljeca, Vlatko Jovanović, za plecami dowódcy spojrzął na Paco i z rezygnacją wzruszył ramionami. Co się tu, u licha, dzieje?

Sam Heljec wydawał się wręcz uradowany. Skłonił ich, żeby podeszli bliżej i wskazał miejsce między dwoma ogromnymi głazami, skąd spojrzeli w otchłań pionowego urwiska. Położył nawet rękę na ramieniu Anglika i powiedział coś do Paco.

- Chce, żebyś obserwował drogę - przetłumaczyła Paco. - Już nadchodzą - dodała.

Krętą drogą szła marszowym krokiem kolumna maleńkich figurek.

Gdy zbliżyła się i znalazła wprost pod nimi, Heljec znów coś powiedział i podał Lindsayowi lornetkę polową: Hartmann miał swoją własną.

- Chce, żebyś się przyjrzał - rzekła krótko Paco.

Zaintrygowany Lindsay nastawił ostrość. Ze zdumieniem zobaczył, że w kolumnie szły same kobiety, w wieku od dwudziestu do czterdziestu lat, uzbrojone we wszelką możliwą broń.

Miały zatknięte za paski pistolety i noże u boku. Wiele z nich trzymało karabiny, kilka pistolety maszynowe. Przywiązane powszechnym zwyczajem do pasków ręczne granaty kołysały się wokół ich talii, jak jakieś odrażające ozdoby.

Nosiły partyzanckie czapki z czerwonymi plamkami, które były zapewne pięcioramiennymi komunistycznymi gwiazdami. Ten nieskończenie długi wąż, prący niezmiernie do przodu, sprawiał

niesamowite wrażenie. Żadna z kobiet nie podniosła wzroku przechodząc koło pionowej, urwistej skały, chociaż Lindsay był pewny, że wiedziały o obecności swoich towarzyszy broni na górze.

- Kto to jest? - spytał opuszczając lornetkę.

- Brygada Amazonek - odparła Paco bezbarwnie.

Heljec zaczął mówić z podnieceniem. Odwróciła się do niego i coś odpowiedziała z płonącym wzrokiem. Jej głos był lodowaty. Zaczęli się kłócić. W pewnym momencie Paco potrząsnęła głową, a wtedy na twarzy Heljeca pojawił się brzydki grymas. Podniósł pistolet i skierował lufę na Lindsaya. Z uwagi na obecność Hartmanna Paco przeszła na niemiecki, odwracając się plecami do dowódcy partyzantów:

- Heljec chce, żebym powiedziała wam obu, co następuje:

Brygada Amazonek to mieszkanki małego miasteczka, które zaatakowała kompania niemieckich żołnierzy. Wszyscy mężczyźni z tej miejscowości zginęli w bitwie. Wtedy kobiety utworzyły tak zwaną Brygadę Amazonek, przeszły szkolenie bojowe u partyzantów i udały się w pościg za kompanią, która napadła na ich miasto. Rozumiecie obaj, że opowiadam wam tę historię na życzenie Heljeca?

- Opowiedz ją wreszcie - zniecierpliwił się Lindsay.

- Znalazły Niemców uwięzionych w wąwozie. Myślały, że to ci, których ścigały. Niemcy byli otoczeni, nie jedli od wielu dni i znajdowali się w stanie skrajnego wyczerpania. Poddali się...

- Mów dalej - rzekł cicho Lindsay.

- Kiedy Niemcy się poddali, te kobiety wykastrowały ich co do jednego swoimi nożami. Heljec nie wie, że mówię wam jeszcze

jedną rzecz. To nie była ta sama kompania. Ci Niemcy nie mieli z tym nic wspólnego. Teraz Heljec zorganizował paradę Amazonek, żeby pokazać wam, jak wszyscy jego ludzie walczą z wrogiem, kobiety na równi z mężczyznami. Czasami żałuję, że przyłączyłam się do nich.

Hartmann słuchał z ponurym wyrazem twarzy. Heljec podniósł swój pistolet i przytknął koniec lufy do jego czoła. Powiedział coś do Paco.

- On chce, żebyś jeszcze raz przyjrzał się tym kobietom
-wytłumaczyła Paco. - Mówi, że jeżeli tego nie zrobisz, naciśnie spust.

- Powiedz temu parszywemu mordercy, że proszę bardzo.

Hartmann rzucił lornetkę do stóp przywódcy partyzantów. Lindsay zobaczył, jak Heljec ściąga lekko spust. Paco wybuchnęła potokiem niezrozumiałych dla Anglika słów. Nigdy jeszcze nie słyszał w jej głosie takiej pogardy. Heljec nacisnął spust.

Rozległ się suchy trzask.

W komorze nie było naboju. Hartmann stał nieporuszony. Twarz miał białą jak papier. Heljec odsunął lufę i powiedział krótkie zdanie.

- On mówi, że jesteś bardzo odważnym człowiekiem -
przetłumaczyła Paco.

- Powiedz, że nie mogę odwzajemnić komplementu - odpalił Hartmann.

Wcisnął obie dłonie do kieszeni kurtki i odszedł w kierunku skały, na której siedzieli wcześniej. Paco i Lindsay poszli za nim.

Hartmann usiadł i spojrzał na Lindsaya.

- Wiesz, dlaczego trzymam ręce w kieszeniach? Trzęsą się tak, że nie mogę nad tym zapanować. Mało brakowało, a zrobiłbym z siebie przedstawienie...

- Musimy jak najszybciej uciec tym sukinsynom - powiedział Lindsay gwałtownie.

Ten incydent wytworzył pewną więź między Niemcem i Anglikiem.

Paco nie próbowała nawet protestować po wypowiedzi Lindsaya. Zaczęli myśleć o ucieczce.

Rozdział trzydziesty trzeci

Sierżant Len Reader został przyprowadzony do obozu przez patrol pod dowództwem Milicia. Zapadły już ciemności, które okryły wszystko czarnym płaszczem. Bardziej dokładne byłoby stwierdzenie, że to sierżant Reader przyprowadził trzech partyzantów, którzy go znaleźli.

Reader ubrany w brytyjski mundur wojskowy wmaszerował na czele grupy, jakby nimi dowodził. Miał dwadzieścia siedem lat, orli nos, bystre oczy, był gładko ogolony i promieniował wręcz pewnością siebie.

- Kto dowodzi tą nieszczęsną zgrają? - spytał butnie.

- Jest pan Anglikiem!

Lindsay zerwał się na równe nogi. Trzymał w ręku miskę; właśnie bez specjalnego entuzjazmu jadł kolację. Reader nie okazał zaskoczenia.

Zwrócił się do ziomka takim tonem, jakby ich spotkanie było rzeczą najnaturalniejszą w świecie:

- Londyńczyk z dziada pradziada. Sierżant Len Reader, Królewski Korpus Łączności. Hydraulik z zawodu. "Z tej to racji -powiedzieli mi - zrobimy z ciebie operatora radiowego, Reader".

Poza tym zawsze staję okoniem. Czy pan nie jest przypadkiem pułkownikiem lotnictwa Lindsayem?

- Przypadkiem jestem.

- Sir! - Reader podrzucił rękę do czapki w, według. Swego przekonania, najbardziej służbistym salucie. - Czy ktoś z tych facetów, co się cisną wokół nas, rozumie po angielsku?

- Tylko dziewczyna imieniem Paco. Nie ma jej tu w tej chwili.

- Znaczy, jak coś powiem, tylko pan potapie się, o co biega?

Reader trzymał w ręku stena i Lindsay zaczynał rozumieć, w Jaki sposób udało mu się zatrzymać przy sobie swoją broń. Z pasa sierżanta zwisały worki z amunicją, które zdawały się wypchane do granic możliwości. Ekwipunku dopełniał plecak.

- Tak, sierżancie. I jest to właściwy moment na mówienie.

- Miałem dołączyć do brygadiera - znaczy się Fitzroya Macleana. On wyskoczył ze swoją paczką z pierwszej maszyny. Ja byłem w grupie, która leciała drugim samolotem. Skoczyłem przepisowo, jak się patrzy, a wtedy ten mój sakramencki parasol musiał odbić od reszty. No więc widzę, że jestem sam jak sierotka. Aż tu nagle bęc! spada pojemnik z moją radiostacją! Mało mi nie rozwalił makówki.

- Może mi pan powiedzieć, co ten brygadier Maclean robi w

tej części świata?

- Myślę, że panu mogę powiedzieć - skoro część naszej roboty miała polegać na załadowaniu pana do samolotu i odwiezieniu tam, skąd pan przyjechał... - Reader zniżył głos. - To jest do Tunezji. Głównym zadaniem Macleana było skontaktować się z tutejszym szefem partyzantów. Lepiej nie wymieniać jego nazwiska w gromadzie tych wszystkich gapiów. No więc łąziłem po okolicy całe dnie, kryjąc się przed Szwabami i różnymi miejscowymi, którzy najwyraźniej skumali się z wrogiem. Niezła krewa, jeśli chce pan znać moje zdanie...

- To czetnicy - mruknął Lindsay. - Tutejsi mieszkańcy, którzy współpracują z niewłaściwymi ludźmi.

- Tak, tak, mieliśmy cynk. Słuchałem takiego wykładu - o ocenie sytuacji, jak to nazywają te nadęte typki z wywiadu.

Słoweńcy, Chorwaci, Serbowie i Bóg wie kogo jeszcze tu brakuje. Istny gulasz różności. Przynajmniej ci, którzy na mnie trafili, nie dostali w swoje łapy nadajnika - dodał Reader z pewnym zadowoleniem.

- Co się z nim stało? To może być bardzo ważne...

- Zakopałem go, no nie? Tuż przed ich przyjściem. Mógłbym zaprowadzić pana do tego miejsca, to z pół kilometra stąd. Ale o tym lepiej na razie ani pary z gęby, co?

- Tak, sierżancie, nie pisnę słówka. Możliwe, że w sprzyjającej chwili poproszę pana o wysłanie meldunku do centrali. Jak udało się panu zachować tego stena? Spodziewałbym się, że Milić skonfiskuje go na miejscu.

- Jeśli mówi pan o tym grubasku, to owszem, próbował. Nie

mógłbym powtórzyć ani słowa z jego gadaniny, ale za to on mnie zrozumiał.

- Jak pan tego dopiął, sierżancie?

- Wcelowałem mu gnata w brzuch, odbezpieczyłem i powiedziałem, że jak nie zabierze swoich parszywych łap, to dostanie pół magazynka ołowiu na śniadanie.

- Pewnie zrozumiał o co chodzi, mimo że słabo mówi po angielsku?

- Jeszcze jak! - Sierżant Reader spojrzął po twarzach cisnących się wokół partyzantów. - Nieźli obszarpańcy, co? Żadnej dyscypliny.

Szybko doprowadziłbym ich do porządku.

- Jestem tego pewny, sierżancie. - Lindsay ściszył głos.

-Chcę, żeby pan coś sobie zapamiętał na wypadek, gdyby mnie coś się przydarzyło. W prawej kieszeni mojej marynarki jest mały, czarny notes w skórzanej oprawie, który zabrałem z Berghofu. Prowadziłem coś w rodzaju dziennika, spisywałem w nim wszystkie swoje spostrzeżenia z pobytu w Niemczech. Włączając w to nazwisko człowieka, który jest, jak sądzę, sowieckim szpiegiem w głównej kwaterze Hitlera.

Ten notes musi dotrzeć do pułkownika Brownea z SIS na Ryder Street, w Londynie.

- Póki ja tu jestem, nic się panu nie przytrafi - oznajmił pogodnie Reader - więc niech pan mu go sam da.

- Lecz gdyby naprawdę coś się stało - nalegał Lindsay - niech pan weźmie moje zapiski i zrobi wszystko, żeby dotarły do Londynu.

- Pułkownik, może obaj wybierzemy się na spokojną przechadzkę i trochę sobie pogadamy?

Rozdział trzydziesty czwarty

Przysiedli na stojącym samotnie głazie. Sierżant rozejrzał się przezornie po wzgórzu, a potem zadał pytanie, które przyprawiło Lindsaya o największy wstrząs w życiu:

- Masz jakiś dowód na potwierdzenie, kim jesteś, bracie? Nie mierzę do ciebie z tego gnata dla żartów.

- Co, u diabła...

- Możemy sobie darować święte oburzenie, pułkowniku - przerwał mu Reader spokojnym, lecz nie wróżącym nic dobrego tonem. - Siedzę w tej podziemnej robocie dość długo, żeby nie wierzyć własnej babce, o ile nie potrafi się wylegitymować. No, już!

- Proszę - odparł Lindsay ze znużeniem, wyciągając swoją legitymację RAFu. - Zwykle nie próbuję udawać ważniaka, ale...

- No więc teraz też daj sobie spokój. Pistolet w garści to najlepszy argument. To kolejna rzecz, jakiej nauczyłem się w Grecji.

Tam też jest pochraniony dom wariatów. Tyle że nazywają się EDES albo ELAS. Jedni to rojaliści, a drudzy komuniści, a wszyscy bardziej się palą do podrzynania gardeł sobie nawzajem niż do walki ze Szwabami. Całe Bałkany to jeden wielki burdel.

Gawędząc w ten sposób Reader badał bardzo starannie dokumenty Lindsaya, sprawdzając nawet między palcami grubość i fakturę papieru.

- Podejrzewa pan, że ta legitymacja może być fałszywa? -
spytał sarkastycznie Lindsay.

Odpowiedź Readera wprawiła go w osłupienie. Spojrzał na pozornie flegmatycznego sierżanta, jakby widział go pierwszy raz w życiu.

- Zgadłeś. Chłopcy z gestapo mają całą drukarnię pod numerem dziewiętnym przy Prinz Albrechtstrasse, w Berlinie. Pracują jak najęci dzień i noc, robiąc fałszywe dokumenty. Niektóre przeznaczone są dla wtyczek, które mają rozpracować podziemną trasę uciezkową lotników RAFu z Brukseli do hiszpańskiej granicy. Wiesz co, chłopie?

Przeszedłeś próbę. Całe twoje szczęście. Gdyby nie to, czułbym się w obowiązku wpakować ci kulkę. Poza tym tak się składa - ciągnął z chłodnym uśmiechem - że nie ma pan nade mną aż tak wielkiej przewagi, jeśli chodzi o stopień wojskowy. Jestem majorem.

Z wywiadu wojskowego.

Lindsay schował swój dowód tożsamości z powrotem do kieszeni.

Zauważył całkowitą zmianę akcentu Readera. W przeciwieństwie do londyńskiej gwary, którą się dotychczas posługiwał, teraz mówił jak człowiek z wyższym wykształceniem.

- Wiedziałem, że jest w panu coś nieprawdziwego - odparł spokojnie. - Wybacz pan, ale pana kreacja była nieco naciągana.

Byłem kiedyś zawodowym aktorem, całe wieki temu.

- Myślałem, że jestem całkiem dobry. - Reader wyglądał na nieco skonsternowanego. - Jakie zrobiłem błędy?

- Takie, jakich zwykle człowiek się pozbywa w Królewskiej Akademii Dramatycznej. Przesadna gestykulacja, akcent i tak dalej.

Sekretem powodzenia jest oszczędność środków wyrazu, osiągnięcie maksymalnego efektu przy minimum ekspresji. Sztuka pozornego braku wyrazu może zaprowadzić daleko.

- Celem mojej maskarady było wyprowadzenie w pole tej całej hałastry. To mi się udało. Co za okropna zbieranina! Dosłownie nurzają się we krwi. Przynajmniej niektórzy z nich. Gdyby nie wojna, nie wiedzieliby, co ze sobą począć.

- Musimy pamiętać, że te tereny przez wieki były kolebką wojny.

Po co to przebranie, panie majorze?

Podnieśli się i ruszyli wokół szczytu wzniesienia. Milić i jego ludzie z dala obserwowali niepewnie ich powolny spacer. Kłęby dymu przyplęły z pobliskiego zbocza jak chmura gazu trującego, niosąc ze sobą zapach podobny do swądu palącego się mięsa. Reader zmarszczył długi, czujny jak u wyżła nos.

- Całe Bałkany śmierzdzą. Dosłownie. Po co to przebranie? Do Londynu dotarło dosyć informacji, żeby wyrobić sobie jakie takie pojęcie o tutejszych stosunkach. Nikt tu nikomu nie ufa. Obcy przybysze automatycznie stają się podejrzani. Całkiem jak w przeciętnym angielskim miasteczku. Po dwudziestu latach zaczną poznawać pana na ulicy, i to też nie na pewno! Może pan sobie

wyobrazić reakcję Tity, gdyby dotarło do jego uszu, że wywiad wojskowy przysłał tu swojego człowieka? Z tego cośmy załapali, to największy neurotyk z nich wszystkich.

Lindsayowi dosyć przypadło do gustu wyrażenie "załapali".

Podczas spaceru Reader nie mógł utrzymać rąk spokojnie. Jego palce błądziły po kolbie stena. Pewnie brakowało mu dotyku jego ciasno zwiniętego parasola firmy Dunhill. Chyba że...

Lindsay dalej go badał, zadając pytania pozornie od niechcienia:

- Czy mógłbym się dowiedzieć, co pana tutaj sprowadziło?

Z jakiego powodu dał się pan zdegradować do stopnia sierżanta?

- Też dla kamuflażu. Byliśmy zdania, że sierżant sprawi dobre wrażenie. Da mi to pewien autorytet wobec miejscowych, a oficer nie wchodził w rachubę. Komuniści zrobiliby się bardzo podejrzliwi, gdyby spadła im z nieba taka persona. Może pan do tej pory zdążył sam się o tym przekonać?

- Właściwie nie. Miał mi pan powiedzieć, co sprowadza pana do tego ziemskiego raju.

- Czyżby? - W głosie Readera pojawiła się kpiąca nuta. - A, rzeczywiście, pytał pan o to. Okay, już wszystko wyjaśniam. To co powiedziałem panu wcześniej - w mojej doskonałej gwarze londyńskiej - to bajka. Mam być, cholera, damą do towarzystwa i wywieźć pułkownika Lindsaya z Bałkanów. Powiedzieli mi:

"Reader..." - O jakich osobistościach pan teraz mówi?

- Bardzo ładny zwrot. Sam Wielki Mogoł, czyli pułkownik Browne. Nikt inny.

- Wciąż pali te paskudne cygara?

- Jak tylko uda mu się je dostać. Przesyła panu
pозdrowienia.

Myślałem, że miło je będzie panu usłyszeć na tym wygnaniu.

- Więc pan wcale nie jest radiotelegrafistą? - zauważył
Lindsay posępnie. - I nie mamy żadnej łączności ze światem
zewnątrznym?

- Przepraszam łaskawie. - Kpina przerodziła się w łagodne
oburzenie. - Zanim przeniesiono mnie do wywiadu, byłem w
łączności.

Pierwsze miejsce w grupie pod względem szybkości nadawania.

- I rzeczywiście tu w okolicy jest zakopany nadajnik?

- Może się pan założyć o własne życie. - Reader urwał, a
potem podjął sardonicznym tonem, znów wpadając w gwarę: - Jak tak
pomyśleć, bracie, to właśnie tak jest - twoje życie zależy od
blaszanego pudełka, pełnego przewodów i innych takich. Musimy cię
stąd wyciągnąć. Jedyne co trzeba zrobić, to wysłać w tajemnicy
sygnał radiowy, znaleźć pas, na którym mogłaby wylądować dakota z
Afryki, i samą dakotę. Małe piwo, no nie?

- Panie majorze, właśnie coś sobie uświadomiłem. - Lindsay
nagle zmienił temat. - Tak usilnie pan nalegał, żebym się
wylegitymował, a ja jeszcze nie widziałem pana papierów. - Już
myślałem, że pan nigdy nie zapyta...

W ich polu widzenia pojawiła się Paco. Pomówiła chwilę z
Miliciem, a potem samotnie ruszyła w kierunku dwóch Anglików i
właśnie znajdowała się o jakieś sto metrów od nich. Lindsay
obejrzał książeczkę wojskową, którą podał mu Reader. Otworzył

twardą, brązową okładkę i przerzucił strony, podnosząc kilkakrotnie wzrok.

- Ta jasnowłosa dziewczyna to Paco - mruknął. - Mówi po angielsku lepiej od pana. Prawdę mówiąc, jest pół - Angielką. Pomyślałem, że lepiej, by pan o tym wiedział, zanim ją pan pozna. Dla pana własnego dobra. Ona należy do partyzantów.

Reader wziął książeczkę, którą Lindsay podał mu w wyciągniętej ręce, i jednym zręcznym gestem ukrył ją gdzieś pod mundurem.

Lindsay zorientował się, że w pamięci błądzi mu coś, co sam Reader powiedział mu wcześniej.

"Chłopcy z gestapo mają całą drukarnię pod numerem dziewiątym przy Prinz Albrechtstrasse... Pracują jak najęci... robiąc fałszywe dokumenty..." - Panie pułkowniku - odezwał się Reader ni w pięć, ni w dziewięć - powiedziałbym, że pan jest po uszy zakochany w tej dziewczynie. Prawda?

- O czym pan mówi, u diabła? - warknął Lindsay.

- Fakt pierwszy: sposób, w jaki wymówił pan jej imię. Fakt drugi: podczas naszej rozmowy prawie nie odrywał pan od niej oczu, odkąd się pojawiła w zasięgu wzroku. Obserwował pan każdy jej ruch, jakby widział pan boginię. Fakt trzeci: wyraz pańskiej twarzy, gdy poruszyłem ten temat. Można z niego jasno wyczytać: "Pilnuj swojego nosa".

- Więc dlaczego pan tego nie zrobi, sierżancie? - odpalił Lindsay.

- To mógłby być właściwy moment, żeby zwać tej bandzie wieśniaków - zasugerował Reader, ani trochę nie zmieszany reakcją

swojego towarzysza. - Są teraz zbici w gromadę dość daleko od nas.

Najpierw pójdziemy tam, gdzie zakopałem nadajnik...

- Mogę obejrzyć tego stena?

Pytanie było tak niespodziewane, że Reader odruchowo podał broń. Lindsay po zastosowaniu tej prostej sztuczki cofnął się o kilka kroków i chwycił pistolet pewną ręką.

- Uwaga! - W głosie Readera brzmiał szczerzy niepokój.

-Właśnie pan zwolnił bezpiecznik, a magazynek jest pełen.

- Wiem. Trzymam pana na muszce. Pułkownik Browne jest nałogowym palaczem, ale pali papierosy. Nigdy w życiu nie miał w ustach cygara.

- Miałem wielką nadzieję, że mnie pan na tym przyłapie...

- Naprawdę, sierżancie? Można spytać czemu?

- Tak jak ci już mówiłem, chłopie. - Reader znów zaczął używać okropnego żargonu. Kątem oka Lindsay dostrzegł zbliżającą się Paco. Musiał temu sukinsynowi przyznać, że miał refleks. Reader trajkotał dalej: - Kazali nam cholernie uważać w tej kupie gnoju.

Nikt tu nie jest tym, kim jest, dopóki go ze. Trzy razy nie sprawdzą, a i wtedy nie robią słodkich min. Te cygara wymyślił sam pułkownik, że to niby pytanie próbne. Tak naprawdę mógłby pan być Bóg wie kim, skoro aliancka placówka jest głównym celem Szwabów. Musiałem mieć pewność. Bez obrazy...

Urwał, bo podeszła Paco. Z przesadną kurtuazją zdjął czapkę z głowy i wbił w dziewczynę beczelny wzrok. Paco odwzajemniła to spojrzenie.

- A kogóż my tu mamy, panie pułkowniku? - odezwał się

Reader. - Jak mi powiedzieli, że jest pan gdzieś w Bałkanach, nie spodziewałem się, że zobaczę tu istną Wenus. Mam rację, chłopie?

Murowane, że tak...

- To jest sierżant Len Reader - przedstawił go Lindsay

-który, jak już może zauważyłaś, ma zwyczaj wyrażać swoje myśli bez osłonek i rzadko kiedy przerywa to zajęcie. Reader, poznaj Paco.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Wymienili uścisk rąk. Senne oczy Paco badały Readera, który podczas tych oględzin stał się dziwnie niespokojny.

- Czy mogę już zabrać rękę? - spytała Paco. - Mam tylko dwie.

- Tysięczne przeprosiny, madam. Nie chciałem pani obrazić, ale człowiek traci głowę, jak spotka w tej głuszy kogoś takiego jak pani.

Do tego mówiącego po angielsku jak sama królowa.

Przynajmniej jakaś odmiana po tym seplenieniu, jakie słyszałem od chwili przyjazdu.

- A kiedy pan przyjechał, sierżancie Reader? - spytała Paco.

- Wszystko w porządku - zapewnił ją Lindsay. - Sprawdziłem go.

- Pomimo to chciałabym wiedzieć, kiedy, jak i dokładnie w którym miejscu on się tu pojawił.

Lindsay dopiero teraz uświadomił sobie, że do obowiązków Paco w partyzanckim oddziale należał również wywiad. Uderzyła go ironia sytuacji - dziewczyna nie miała pojęcia, że bada

człowieka, który sam niewątpliwie został wspaniale przeszkolony w trudnej sztuce przesłuchiwania.

- Trudno powiedzieć kiedy, parę dni temu. Gdzie - to pani powie Mickey. Ja nie mam zielonego pojęcia. A jak - skoczyłem na spadochronie. Czułem się, jakbym wisiał na tych linkach nad Czarną Dziurą w Kalkucie. Jeszcze coś chciałaby pani wiedzieć, moja pani pedantko? Grupę krwi? Mogę pani pokazać mój pieprzyk, jak nie jest pani wstydliva.

- Mickey?

- Pewnie chodzi mu o Milicia. To on go przyprowadził - wyjaśnił Lindsay.

Paco jakby tego nie słyszała. Wciąż patrzyła uważnie na Readera odwzajemniającego jej się spojrzeniem, które Lindsay określiłby jako nader bezczelne. Wyczuł, że pomiędzy tą dwójką narasta wrogość.

- Milić mówi - powiedziała Paco powściągliwie - że znalazł cię wędrującego w środku nocy. Nie widział żadnego spadochronu.

- No bo zakopałem go pod kamieniami! Myśli pani, że rzuciłbym go byle gdzie, żeby go znaleźli Niemcy? Ani bym się obejrzał, a już cała pieprzona dywizja pancerna następowałaby mi na pięty. Pierwszą rzeczą, jaką się robi, jak już wylądujesz na tyłku na terytorium wroga, jest schowanie spadochronu.

- Wiem.

- No to dlaczego pani pyta, jak rany?! - Reader uniósł się oburzeniem. - Przyjeżdżam tu, żeby wam pomóc, a wy traktujecie mnie jak ostatniego oprycha i maglujecie pytaniami. Dlaczego zrobiłeś to? Dlaczego nie zrobiłeś tego? Mój szef oszaleje ze

szczęścia, jak się o tym dowie...

- A kto jest twoim szefem? - spytała ostro Paco.

- Brygadier Fitzroy Maclean. - Reader przysunął swoją twarz do twarzy Paco. - I wie pani, co pani powiem? On więcej razy był w ogniu, niż pani zjadła gorących obiadów. Zaczęliśmy bić się z Hitlerem w 1939 roku. Wy włączyliście się do zabawy trochę późno, co?

- Myślę, że to wystarczy, sierżancie - wtrącił Lindsay.

- No to każ swojej dziewczynie się ode mnie odczepić albo troszkę wyjdę z nerw. Coś mi się wydaje, że to by jej się nie podobało.

Po tych słowach Reader odebrał Lindsayowi swojego stena i odmaszerował równym krokiem. Paco odczekała, aż się oddali na tyle, by nie mógł słyszeć i powiedziała:

- Lindsay, nie ufam temu człowiekowi.

- Dlatego, że nie przypadliście sobie do gustu? Przebył długą drogę, żeby...

- To najbardziej pospolita metoda uniku - ciągnęła. -

Wszczęć kłótnię i przerwać rozmowę, gdy ktoś cię wypytuje i pytania stają się niebezpieczne.

- On się po prostu jeszcze nie oswoił z atmosferą, jaka tu panuje.

Spadł z nieba parę dni temu.

- Jesteś tego pewny? Milić spotkał go, jak włączył się po okolicy.

Nikt nie widział go ze spadochronem, a on jest dziwnie drażliwy na tym punkcie. I dlaczego nazwał mnie twoją dziewczyną?

To pytanie, rzucone od niechcienia w trakcie rozmowy na inne tematy, zupełnie zaskoczyło Lindsaya. Paco stała bardzo blisko niego, a on niemal bólem reagował na tę bliskość. Nagle uczucia, które w sobie tłumił i spychał na samo dno świadomości, wypłynęły na powierzchnię. Niech diabli porwą Readera razem z jego głupimi uwagami i rzuć go w czeluście piekielne!

Stał nieruchomo, nie patrząc na nią. Czekwała w milczeniu. Wiedział, że ona obserwuje go równie uważnie, jak niedawno Readera. Wyjął jednego z nielicznych papierosów, jakie mu jeszcze pozostały, i zapalił ostaniając płomyczek we wgłębieniu dłoni przed nasilającym się powiewem.

- Czy mógłbyś mnie poczęstować? - zapytała spokojnie Paco.

- Proszę, wypal tego.

Miał ochotę wsunąć go jej do ust, lecz powstrzymał się.

Nawet tak drobny gest był zbyt intymny. Wysunął w jej stronę dłoń z papierosem i ucieszył się; że ręka mu nie drży. To było istne piekło. Paco zaciągnęła się szybko parę razy i otworzyła puszkę Pandory:

- Lindsay, lubię cię... - Urwała. - Nawet bardzo. Ale to wszystko. Przykro mi...

- Mnie również.

Nie wiedział, jak udało mu się wykrztusić cokolwiek. Obawiał się, że jego ton jest wymuszony, nienaturalny. Paco była bardzo spostrzegawcza. Bóg jeden wie, że zrobił, co w jego mocy, żeby ukryć swoje prawdziwe uczucia. Jeśli dalej będzie ciągnęła ten temat, zdradzi się z nimi na pewno.

- Wciąż bardzo starannie omijasz mnie wzrokiem.

- Patrę na Readera, który kręci się tu w pobliżu. Sama mówiłaś, że mu nie ufasz..

- Teraz ty zmieniasz temat. Jakie będzie twoje następne posunięcie? Może wywołasz między nami sprzeczkę?

Odwrócił się gwałtownie i spojrzał jej prosto w oczy.

- Więc co byś chciała ode mnie usłyszeć?

- Chodźmy na spacer. Chcę z tobą porozmawiać.

Wzięła go pod ramię. Poczł ciepło bijące od jej ciała.

Ruszyli przed siebie, a ona zaczęła mówić:

- Nie wiesz o mnie zbyt dużo. Nawiasem mówiąc - nie ma nikogo innego. Ale chyba wojna stępiła moją wrażliwość. Widziałam tyle okropieństw, że właściwie przestałam czuć cokolwiek. To mnie martwi, martwi bardziej, niż możesz sobie wyobrazić. Wiem, co ty czujesz, i chciałabym czuć to samo. Ale nic z tego. A szybki numer na sianie po zmroku nie pomoże żadnemu z nas. Myślałam, że lepiej będzie postawić sprawę jasno. Zrobiłam błąd, widzę to teraz. Wojna nie uczy subtelności.

Puściła jego ramię, schyliła się, żeby zgasić niedopałek o skałę, i wrzuciła go do kieszeni.

- Oto pierwsza partyzancka zasada - powiedziała innym już, rzeczowym tonem - nigdy nie zostawiaj żadnych śladów.

Odeszła. Zza chmur wyjrzało słońce i zapaliło błyski w jej pięknych, jasnych włosach. Nigdy nie była bardziej pociągająca niż w tej chwili.

Lindsay zatrzymał się nad krawędzią przepaści. Skalna ściana miała trzysta metrów wysokości, u jej podnóża piętrzyło się rumowisko głazów. Z tej wysokości zdawały się nie większe niż

otoczaki.

Lindsay musiał jeszcze raz ułożyć sobie wszystko w głowie i przypomnieć o najważniejszym. Był w posiadaniu bezcennej informacji - ukrytej w jego pamięci i w notesie - która musi dotrzeć do Londynu. Mogła zaważyć na losach całej wojny. Jego naczelnym celem był powrót na terytorium aliantów.

Te rozważania okazały się słabą pociechą. Został upokorzony.

Paco wiedziała. Teraz zdał sobie sprawę, że tym, co podtrzymywało go na duchu, była jej rzekoma nieświadomość jego uczuć.

- Moglibyśmy się teraz urwać, pułkowniku - usłyszał czyjś głos. - Znalazłem niewidoczny parów, który prowadzi do doliny.

Zbyteczne chyba dodawać, że był to głos sierżanta Lena Readera.

Rozdział trzydziesty piąty

- Ten cholerny dureń, który dowodzi kolumną, powinien zostać rozstrzelany - powiedział Jaeger z pasją do Schmidta. - Jugosławia to nie Francja, nawet nie Rosja. - By zrozumieć tutejsze warunki, trzeba się cofnąć do Wellingtona i wojen napoleońskich w Hiszpanii - oraz doświadczeń z hiszpańskimi partyzantami.

[W 1807 roku Napoleon obalił Burbonów i osadził na tronie hiszpańskim Józefa Bonaparte. Opór narodu hiszpańskiego przeciw nowej władzy przybrał postać partyzantki. Walki toczyły się do 1814 roku, pochłaniając znaczną część sił i środków Francji.

(Przyp. Tłum.)]

Wprowadzi nas prosto w zasadzkę.

- Przynajmniej przekonał go pan, by umieścić moździerz na końcu kolumny - odrzekł Schmidt.

- Żeby tego dopiąć, musiałem podetknąć mu pod nos pełnomocnictwo podpisane przez fuhrera - warknął Jaeger. - Niech pan spojrz tylko, jak stłoczona jest cała kolumna. Powinna iść w rozciągniętym szyku, podzielona na części, w dużych odstępach.

Znajdowali się na południe od Zagrzebia. Wokół zaczął zapadać zmrok jak złowieszcza chmura. Wojskowa kolumna, utworzona przez czołgi, działa samobieżne i zmotoryzowaną piechotę, zagłębiała się w wąski, kręty wąwóz. Po obu stronach wyrosły strome, wysokie ściany. Jaeger zmarszczył brwi i podniósłszy do oczu zawieszoną na szyi lornetkę skierował ją na wał wielkich głazów, leżących wzdłuż prawej krawędzi wąwozu.

Jechali w transporterze półgąsienicowym, ostatnim wozie w chaotycznej kolumnie. Przed nimi pełzły dwie ciężarówki o płóciennych budach, które wiozły obsługę moździerzy. Panowała głęboka cisza, zakłócana tylko warkotem pracujących na wolnych obrotach silników.

Jaeger siedział sztywno wyprostowany, jak posąg, ze szklami skierowanymi na wał głazów wysoko nad nimi.

- Te cholerne kamienie są jakieś dziwne - powiedział do Schmidta. - Sam popatrz.

- Czego mam szukać? - spytał Schmidt zerkając przez szkła.

- Oznak jakiegoś ruchu tam na górze, choćby nieznaczących.

Ten rząd głazów to dziwny kaprys geologiczny. Jest ich zbyt

wiele. Są zbyt regularnie rozmieszczone. Wszystkie są ustawione na samej krawędzi.

Ten skończony głupiec, Schrenk, powinien wystać na górę patrol, zanim się tutaj wpakował. Według tej mapy wąwóz ma ponad cztery kilometry długości. Nie podoba mi się to ani trochę...

Przyłączyli się do kolumny, ponieważ był to jedyny sposób na dostanie się w głąb Jugosławii. Jaeger wśród jeńców miał nadzieję znaleźć partyzantów i pragnął wypytać ich o miejsce przebywania Lindsaya i dziewczyny, o której przyzwyczaił się myśleć jako o baronowej.

Schrenk dowodził ekspedycją karną. Kolumnę wysłano na poszukiwanie widmowej Brygady Amazonek. Jakiś informator powiedział Schrenkowi, że przechodziły tą drogą zaledwie kilka godzin temu.

Jaeger nie przysporzył sobie przyjaciół demonstrując sceptycyzm graniczący z pogardą.

- Ten informator - zaczął - czy to miejscowy?

- Serb - odparł Schrenk. - Chciwy na pieniądze. Do tej pory jego informacje zawsze okazywały się prawdziwe.

- Czy to znaczy, że można mu ślepo ufać?

Schrenk oddalił się w gniewie i obaj pułkownicy już nie widzieli się, odkąd kolumna przed siedmioma godzinami wyruszyła w drogę. Co pewien czas na tył kolumny przyjeżdżał kurier na motocyklu z "dowodami", że są na właściwym tropie, w rodzaju porzuconych barchanowych majtek, partyzanckiej czapki z naszytą czerwoną gwiazdą i przyczepionym pasemkiem włosów.

- Sieją nimi jak na zamówienie. - Taki był jedyny komentarz

Jaegera.

- Ciągłe uważam, że to dobra pora, żeby spróbować uciec

-powtórzył Reader. - Lada chwila zrobi się ciemno. W parowie, który znalazłem, nikt nie trzyma straży.

Lindsay rozejrzał się ostrożnie po szczycie wzgórza.

Pozornie wszystko wskazywało na to, że Reader ma rację. Zmrok zapadał szybko, jak to zwykle bywa na tej szerokości geograficznej.

Partyzanci poganiani przez Heljeca zaczęli zajmować stanowiska za wałem głazów. Grube, drewniane drągi miały posłużyć im za dźwignie.

Wepchnęli ich końce pod głazy, ustawione rzędem na krawędzi urwistej ściany wąwozu, którym niedawno maszerowały Amazonki.

- Więc jak? - warknął niecierpliwie Reader. - Bierzymy nogi za pas, czy nie może się pan oderwać od tej Paco?

- Po prostu nie uśmiecha mi się popełnienie samobójstwa. Pan nie zna tych, jak ich pan nazywa, wieśniaków, sierżancie. Umieją schować się w zagłębieniu w ziemi, stopić się z tłem skał. Są wszędzie, lecz nie dostrzega się ich - aż do chwili, kiedy jest już za późno.

- Myślę, że jednak chodzi tu o Paco.

- Niech pan myśli, co się panu podoba - odparł spokojnie

Lindsay, nie dając się sprowokować. - Heljec z całą pewnością wie o tym rzekomo niewidocznym parowie. Przekona się pan, że mam rację, jak wpakują panu nóż między łopatki.

- Jak pan uważa... zresztą i tak straciliśmy już okazję.

Mamy towarzystwo.

W fioletowym zmierzchu, który gęstniał z każdą chwilą, Lindsay dostrzegł zbliżającego się Milicia, który niósł pistolet maszynowy.

Obok niego szła Paco.

- Heljec rozkazał, żebyście obaj podeszli i patrzyli. - W jej głosie była nuta dezaprobaty. - Sierżant Reader ma na pewien czas powierzyć swojego stena Miliciowi. Heljec polecił nam skonfiskować mu broń, bez względu na to, do czego zamierza jej użyć. Postuchajcie go, na litość boską - dla mojego dobra.

- Niech mu pan odda tego stena - rzekł Lindsay wstając.

- Dam mu garść kul w brzuch!

- Nie udawaj większego durnia, niż musisz, do cholery!

Reader, obejrzyj się za siebie. Jesteśmy otoczeni. Ostrzegałem, że ci ludzie wyrastają jak spod ziemi.

- Boże wszechmogący!

Zaledwie kilka metrów od nich stało w półkolu kilkunastu partyzantów. Ich uzbrojenie stanowiło urozmaiconą kolekcję, a wszystkie lufy celowały w Readera. To było nawet wymowniejsze niż ich milczenie. Reader z przekleństwem oddał stena Miliciowi.

- Teraz pójdzicie z nami, bardzo cicho. Heljec chce, żebyście obaj zobaczyli na własne oczy, jak walczą partyzanci.

Poszła przodem ku krawędzi wąwozu, gdzie partyzanci siedzieli skuleni za ścianą głazów. Lindsay ruszył za nią. Gdy podeszli bliżej, dostrzegł Hartmanna. Właśnie miał zapytać Paco, co stało się z Niemcem.

Hartmann stał na tyle wyprostowany, na ile to było możliwe w jego sytuacji. Ręce miał skrępowane z tyłu. Odwrócił głowę i

spojrzał na Lindsaya. W jego wzroku była znów jakby niema wiadomość, którą próbował przekazać Anglikowi.

- Czy to naprawdę konieczne? - warknął Lindsay.

- Mów ciszej - syknęła. - Heljec dał wyraźny rozkaz. Do wąwozu wjeżdża niemiecka kolumna wojskowa. Dlatego Brygada Amazonek przechodziła tędy tak otwarcie. To pułapka, a Niemcy dali się w nią złapać. Spójrz w dół, tylko nie podchodź za blisko do krawędzi! - ostrzegła.

Z głębi wąwozu dobiegał pomruk wielu wolno pracujących silników. Wyrzawszy za brzeg urwiska Lindsay zobaczył czoło kolumny, wyglądającej z tej wysokości jak długi wąż zabawek, który wił się wzdłuż krętego wąwozu. Światła starczyło akurat na to, by dostrzec, że była to silna grupa uderzeniowa.

Przed głównym trzonem konwoju jechały wozy opancerzone i motocykle. Za nimi ciągnęły czołgi z lufami maksymalnie odsuniętymi w bok lub podniesionymi do góry, jadąc jeden tuż za drugim. Nawet dla oka Lindsaya, niedoświadczonego w kwestiach walki na ziemi, nie w powietrzu, ta potężna kawalkada wyglądała na bezużyteczną. Nie było mowy o tym, aby lufy dział mogły zostać skierowane pod takim kątem, żeby razić ludzi Heljeca, rozstawionych na niebotycznie wysokiej ścianie wąwozu.

Teraz zrozumiał sens wysiłku, jakiego wymagało podtroczenie głazów do krawędzi, powód obecności grubych jak sosnowe pnie drągów, które partyzanci podsadzili pod skały, i dlaczego czekali w pogotowiu, po dwóch, trzech przy każdej gigantycznej dźwigni.

Niemiecki dowódca niewątpliwie zdecydował się na duże ryzyko, bo w tym kraju było ustaloną regułą, że Wehrmacht nie

podejmował nocą żadnych działań. Miał pewnie nadzieję przemknąć się przez wąwóz pod osłoną mroku i wyjść na otwartą równinę, która rozciągała się dalej na południe.

Z militarne go punktu widzenia było to szaleństwo. W wąwozie musiało dojść do masakry. Hartmann, zmuszony przez Heljeca do oglądania przyszłej klęski swoich pobratymców, stał blisko Lindsaya.

Rozdzielała ich Paco. Nachylił się, chcąc wyjrzeć dalej za kraj urwiska.

Ukradkiem zrobił krok do przodu i w tejże chwili Paco stanęła mocno obcasem na jego stopie.

- Szukasz szybkiej śmierci, szaleńcze? - szepnęła.

- Co się stało? - spytał Lindsay półgłosem.

- Twój Niemiec to dzielny chwyt. Próbował strącić na dół kamień. Mogłaby się osunąć spora ilość żwiru, a to ostrzegłoby kolumnę na dole. I tak są skazani na pewną zagładę... W jej głosie nie było śladu podniecenia ani triumfu - tylko niezmierne znużenie na myśl o nadciągającej katastrofie i rozlewie krwi.

Heljec przebiegł bezgłośnie jak kot wzdłuż linii swoich ludzi. Łagodnym, delikatnym ruchem dotykał po kolei łokci mijanych partyzantów, stojących przy drągach. Był to sygnał do rozpoczęcia ataku.

Poza wąwozem pozostała już tylko jedna ciężarówka piechoty, dwie z obsługą moździerzy i transporter półgąsienicowy, który zamykał kolumnę. Za minutę mieli się znaleźć wraz z resztą w wąskim przesmyku.

Jaeger odebrał od Schmidta swoją lornetkę polową i uparcie

patrzył w górę jak człowiek ogarnięty obsesją, przyciskając mocno oprawkę do twarzy. Przesuwające się pod nimi gąsienice parły naprzód mieląc grunt. Przez ułamek sekundy Jaeger myślał, że ze zmęczenia ma omamy.

Olbrzymi głaz zaczął się chwiać, a potem kołysać w tył i w przód.

Po chwili cały kamienny wał wpadł w dygot, jakby wstrząsany wibracjami trzęsienia ziemi. Na linii zetknięcia skały z niebem, wciąż trochę widocznej, pojawiła się wyrwa. Głaz runął w dół.

Uderzył w skalny występ, zarykoszetował całą swoją ogromną masą w przeciwną ścianę wąwozu, odbił się od niej z hukiem i spadł pionowo na dno wąwozu, prosto na wieżę czołgu. Siedzący w otwartym włazie dowódca został zgnieciony na miazgę, głaz zgruchotał wieżę i rozpląszczył podwozie.

Masa pogiętego żelastwa zatrzymała całą część kolumny, która jechała za nią w tyle. W dół spadały następne głazy i nabierając niezwykłej szybkości lądowały na załadowanych ludźmi ciężarówkach.

Zewsząd rozległy się rozdzierające, zawodzące jęki i krzyki. Noc wypełniły wrzaski miażdżonych, przerażonych, ogarniętych paniką ludzi. Najgorsze do zniesienia było przenikliwe, upiorne wycie.

Jaeger zareagował natychmiast. Wyskoczył z transportera, rzucił się biegiem do jadącej przed nimi ciężarówki wiozącej załogi moździerzy i wskoczył na stopień.

- Halt! Zatrzymać ten cholerny samochód! - wrzasnął.

Przerażony kierowca wcisnął z całej siły pedał hamulca, o

mało nie zrzucając Jaegera na ziemię.

Jeszcze jednemu człowiekowi udało się wyjść cało. Dziwnym zbiegiem okoliczności był to kurier na motocyklu, który wcześniej przywiózł Jaegerowi "dowody" na to, że Amazonki przeszły przez wąwóz.

W swoim pośpiechu, aby dotrzeć do Jaegera, przekroczył surowy zakaz zaciemnienia - co groziło postawieniem przed sądem wojskowym - i jechał z włączonym na długie światło reflektorem. Schmidt trzymając w pogotowiu pistolet maszynowy obserwował ze stojącego transportera, jak zbliżająca się plama reflektora lawiruje między skałkami, którymi usiana była gardziel wąwozu. Jakąż, u diabła, wiadomość mógł przynosić?

- Pułkownik Jaeger... - Kurier zahamował z poślizgiem i dyszał ciężko. - Jest pan teraz najstarszym oficerem... Pułkownik Schrenk nie żyje.

- Złap oddech, człowieku.

- Nic mi nie jest, panie pułkowniku.

- Wszystkim oficerom w kolumnie przekażcie moje rozkazy.

Mają być natychmiast wykonane. Zostawić pojazdy, czołgi, wszystko.

Zabrać tylko przenośne uzbrojenie. Rozumiecie?

- Tak jest, panie pułkowniku.

- Ci żołnierze, którzy ocaleli, mają zająć pozycje na wschodnim stoku - wschodnim. Zrozumiano?

- Tak jest, panie pułkowniku.

- Każę rozstrzelać każdego, kto nie posłucha następnego rozkazu.

Pod żadnym pozorem nie wolno otwierać ognia do wroga. Proszę powtórzyć instrukcje.

Z oddali dochodziły odgłosy kolejnych spadających głazów, kamieni uderzających w metal, i chaotycznie prowadzonego ognia. Jaeger ze spokojem, cierpliwie odczekał, aż kurier powtórzy rozkazy niemal słowo po słowie.

- Ruszajcie - rzekł w końcu. - I powodzenia.

Motocyklista odjechał, przecinając mrok smugą światła.

- Nic nie rozumiem... - zaczął Schmidt, który wskoczył do ciężarówki za pułkownikiem.

- Przeciwnik też nie zrozumie - odparł z ponurą satysfakcją Jaeger. - Teraz my z kolei weźmy się do roboty, żeby sprawić tym czającym się u góry bandytom przykrą niespodziankę.

Rozkazał załogom moździerzy wysiąść z ciężarówek i wyładować cały sprzęt. Następnie polecił im rozproszyć się i zająć pozycje na wschodnim stoku, naprzeciw krawędzi wąwozu, na której usadowili się partyzanci. Ruszył za nimi. Wciąż lekko utykał, lecz poruszał się po nierównym terenie zaskakująco zwinnie.

- Nie otwierać ognia, póki nie wydam rozkazu. Celujcie tuż za ten wał głazów. Bez pośpiechu.

"To ten Jaeger, jakiego zawsze znałem - pomyślał Schmidt idąc śladami szefa. - Stanowczy, opanowany, nie działa pochopnie, choćby wokół rozpętało się piekło".

Rzeczywiście, wokół rozpętało się piekło. Z powodu głupoty Schrenka zaskoczenie było całkowite. Głazy wciąż waliły się w dół i miażdżyły pojazdy z dudniącym brzękiem. Następnie z góry spadł deszcz granatów. Słychać było śmiercionośny huk rozpryskujących

się metalowych gruszek.

Jednak zdezorganizowani żołnierze, którzy w chaosie niemal przekształcili się w beładnie uciekający tłum, pod komendą Jaegera zaczęli zajmować wyznaczone pozycje. Jaeger poczekał, aż ostatni moździerz zostanie ustawiony w odpowiednim miejscu, i wydał rozkaz:

- Zbadaj odległość. Pojedynczym ognia!

Paco pożyczyła od Milicia lornetkę noktowizyjną. Skierowała ją na ledwo widoczną niemiecką kolumnę. Partyzanci, złani potem z wysiłku, z całej siły napierali na drągi i strącali dalsze głązy za krawędź wąwozu. Przy Paco stał Hartmann, wciąż ze związanymi rękami. Jego strażnicy zostawili go i zajęli się rzucaniem granatów w czarną pustkę.

Przy drugim boku miała Lindsaya, który w pewnej chwili obejrzał się i zobaczył tuż za sobą Readera. Jego twarz była dziwnie pozbawiona wyrazu. Paco wciąż obserwowała dno wąwozu. Niebieskawe światło księżyca rozproszyło nieco ciemności. Nad skałami zawisła flara, wystrzelona przez Niemców. Paco wytrzymała wzrok.

- Mój Boże, ten człowiek na końcu wąwozu wygląda jak Jaeger!

- Wydaje ci się - stwierdził Lindsay.

- Chyba powinniśmy się cofnąć - odezwał się niespodziewanie Hartmann. Wskazał ruchem głowy wzniesienie, które od krawędzi wąwozu dzieliła spora odległość.

- Hartmann chce, żebyśmy stąd odeszli - Lindsay powtórzył Paco słowa Niemca. - Myślę, że on ma cholernie dobry powód...

- Słyszałam go.

- No to zrób coś, na miłość boską!

- Zgoda. Widziałam już aż za dużo jak na jedną noc..

Ujęła Hartmanna mocno pod ramię i pomagając mu iść ruszyła spiesznie w górę zbocza. Lindsay szedł za nimi, Reader z tyłu.

Nikt nie próbował ich zatrzymać. Partyzanci byli całkowicie zaabsorbowani tym, co działo się w dole. Heljec, w stanie euforii, zagrzewał swoich ludzi do dalszych zniszczeń.

Jaskrawoniebieska flara wciąż rozświetlała noc, gdy pierwszy, próbny pocisk z moździerza uderzył w wielki głąz.

- Zobaczycie, co będzie teraz - powiedział Hartmann nie przerywając biegu. Paco pomagała mu utrzymać równowagę.

-Zwłaszcza jeżeli tam na dole naprawdę jest Jaeger...

Masakrowanie Niemców, uwięzionych w wąwozie, przebiegało bez przeszkód, proces unicestwienia toczył się niemal leniwie. Wtedy wybuchł pierwszy pocisk. Załódze Jaegera parę sekund zajęło wprowadzenie poprawki celowniczej i przeniesienie celu nieco wyżej.

Heljec, stary wyjadacz, oprócz wielkiej radości czuł pewne zdumienie. Wyjaśnił swoje wątpliwości Milicjowi:

- Nie stawiają żadnego oporu. To dziwne.

- Przyłapaliśmy ich niemal ze spuszczonej portkami:

- Ale nie strzelają nawet z karabinów - ani jednego strzału... Co to było?

To było próbnym strzałem z moździerza. Jakimś cudem ludzie, znajdujący się najbliżej miejsca wybuchu, wyszli z tego bez szwanku.

Siła eksplozji poszła w tył, w stronę przeciwległej ściany

wąwozu.

Flara zaiskrzyła się z trzaskiem i zgasła. Ruch nad brzegiem urwiska zamarł na chwilę, gdy partyzanci oswajali się z nagłą ciemnością, jaka ich ogarnęła. Potem z całą energią nastąpił kontratak Jaegera.

Znajdujący się niżej na przeciwległym stoku pułkownik słyszał huk wybuchów, lecz nie mógł zobaczyć, gdzie padają. Ocenił, że powinny spaść sto metrów za krawędzią wąwozu. Jego ocena była prawidłowa.

Zaskoczeni partyzanci wbiegli prosto pod ogień zaporowy, z którego zasięgu chcieli uciec.

Na szczycie wzniesienia Paco obejrzała się i zobaczyła ludzi Heljeca padających z rozrzuconymi rękami na twardą ziemię. Teren nadawał się idealnie do ostrzału mózdzierzowego - wzniesienie było usiane na wpół zagrzebanymi w gruncie kamieniami, które stokrotnie zwiększały śmiertelność moc pocisków. Odłamki skał i metalu gwizdały w powietrzu lecąc z ogromną prędkością i cięły jak ostrza noży.

Hartmann ponowił ostrzeżenie:

- Nie oddalany się dostatecznie szybko - on będzie kładł ogień zaporowy coraz dalej...

- Co za cholerna głupota! - warknęła Paco. - Stań na chwilę.

Wyjęła nóż zza paska i przecięła więzy na przegubach Niemca: Coś upadło ciężko tuż koło Lindsaya. To był okrągły, podobny do Falstaffa Milić, z roztrzaskaną głową. Wciąż ścisnął w ręku stena.

Reader schylił się, wydarł broń z martwej dłoni i wyjął

zapasowe magazynki, wystające z kieszeni marynarki zabitego.

- Pospieszcie się, na rany boskie! - krzyknął Hartmann przez ramię.

Zaczęli biec. Zdawało się, że Hartmann przejął od Paco przywództwo grupy. Lindsayowi przemknęła przez głowę myśl o ironii całej sytuacji - oto oficer Abwehry, który wyprowadza ich w bezpieczniejszy teren spod ognia swoich rodaków.

W tej chwili Jaeger kazał załogom moździerzy podzielić się na dwie grupy i posuwać na przemian w górę zbocza, windując ze sobą broń.

Tak więc jedna grupa prowadziła ogień, a druga przesuwała się o sto metrów w górę, skąd mogła razić pociskami na większą odległość.

- Druga drużyna! Otworzyć ogień! Ładowniczy wsuwali pociski w gładkie, złowrogie lufy dział, które wyrzucały je na odległość pół kilometra. Jaeger mógł opierać się tylko na domysłach, ponieważ w żaden sposób nie był w stanie zobaczyć z dołu, co działo się nad przeciwległą, wysoką ścianą wąwozu, na wzgórzu. Otuchą napawał go fakt, że nikt już nie zrzucił pozostałych głazów, jakby na krawędzi wąwozu nie pozostał nikt żywy.

Nabrałby jeszcze więcej otuchy, gdyby mógł zobaczyć wzniesienie.

W ciągu ostatnich pięciu minut - od chwili, gdy Heljec dał sygnał do ataku - zniszczenie całej kolumny zdawało się nieuniknione. Teraz partyzanci w bezładzie i przerażeniu biegli pod kolejne fale pocisków.

- Gdyby te gnojki miały choć trochę oleju w głowach,

uciekaliby z powrotem w stronę wąwozu - wydyszał Reader do Lindsaya. Obaj, ramię przy ramieniu, pędzili co tchu.

- Musimy dojść do grzbietu wzgórza i zejść w bok - krzyknął Hartmann. - Każdy pocisk, który doleci tak daleko, spadnie w ten drugi wąwóz!

Paco biegła przy nim, uważając, żeby się nie potknąć. Mogłoby jej zabraknąć czasu, by się podnieść. Usłyszała gdzieś blisko złowieszczy . Syk i wybuch szrapnela, którego duży odłamek mógł obciąć głowę mężczyźnie - lub kobiecie. Linia ognia była straszliwie blisko, zdawało się, że pełźnie tuż za nimi. Było za późno...

- Hartmann złapał Paco za ramię i zmusił do zwolnienia kroku.

Dotarli na drugą stronę wzniesienia, gdzie stok opadał do kolejnego wąwozu. Niemiec dostrzegł wąski parów o stromych ścianach, biegnący w dół jak początek koryta strumienia. Pociągnął Paco za sobą, ślizgając się na żwirze. Wyschnięte koryto strumienia wiło się między wielkimi głazami.

Dopadli przewieszanej skały, wysuniętej daleko w przód, która tworzyła nad ich głowami naturalny dach. Hartmann zatrzymał się ciężko dysząc, puścił ramię Paco i spojrzał za siebie. Lindsay był o parę kroków dalej. Reader pędził tuż za nim, potykając się na nierównym terenie i wymachując stnem dla zachowania równowagi.

- Tutaj odsapniemy - powiedział Hartmann. - W tym miejscu jesteśmy bezpieczni przed moździerzami. Usiądź na tym kamieniu.

Paco drżała. Hartmann osunął się na sąsiedni kamień, wyjął

chusteczkę i wytarł pot z czoła. Lindsay, milczący i zamknięty w sobie, przysiadł również, podczas gdy Reader oparł się bezwładnie o tylną ścianę ich niszy.

- Zaraz będziemy musieli biec dalej i to szybko - oznajmił Hartmann. - Czy jest jakaś okrężna droga, która prowadzi z wąwozu do tego parowu? - spytał Paco.

- Tak. To wzgórze przypomina romb oddzielony drogami od reszty terenu. W miejscu gdzie Niemcy weszli do wąwozu, jest rozwidlenie dróg.

- Więc Jaeger może wycofać się stamtąd do tego rozwidlenia, obrać inną drogę i wtedy znajdzie się w tym parowie pod nami, który musimy przejść, żeby uciec?

- Ma pan rację - powiedziała Paco, obserwując bacznie Hartmanna. - Tylko że nie wierzę, żeby Jaeger mógł nas dogonić. Niemcy nie wymyślą takiego manewru. Musi panować u nich okropne zamieszanie.

- Jeśli to Jaeger, to na pewno wpadnie na ten pomysł - odrzekł Hartmann z przekonaniem.

Lindsay znajdował się jakby w stanie szoku. Być zamkniętym w kabinie spitfirea to jedna sprawa, a zupełnie inna - znaleźć się w ogniu walki na ziemi. Doświadczył tego po raz pierwszy. Wbrew logice przeklinał swój brak doświadczenia, dzięki któremu to Hartmann wyratował Paco. Poczul do niego głęboką niechęć.

Sięgnął odruchowo po papierosa i jego dłoń w kieszeni natrafiła na twarde brzeg notesu. To było najważniejsze, tylko to się liczyło.

Musi dostarczyć wiadomość do Londynu. Lecz myśl ta tylko

przeleciała mu przez głowę i znikła. Teraz, gdy patrzył na Paco, nie obchodziło go ani trochę, jakie będą dalsze losy doniosłej tajemnicy.

Partyzanci, którzy uszli cało, dotarli do grzbietu wzgórza i zbiegali innymi żlebami do wąwozu. W przerwach między miarowymi wybuchami pocisków, brzęcącymi jak rytm marsza żałobnego wybijany na wielkim bębnie, Hartmann słyszał z lewej i z prawej strony szurgot ślizgających się stóp i osypujące się kamienie. Wstał.

- Musimy stąd odejść, zanim złapią nas w pułapkę.

"Niesamowite - pomyślał Lindsay - w jak naturalny sposób przejął komendę nad ich małą grupką. Nawet Paco zaakceptowała jego przywództwo. A biedny Milić, któremu zostało pół głowy, był martwy. Milić, który nie znając słowa po niemiecku pojechał do Monachium, jako uczestnik ekipy ratunkowej". Czyjaś ręka złapała go za ramię i brutalnie potrząsnęła.

- Do cholery, wpadł pan w trans czy co? Tamci są już w połowie drogi...

Był to oczywiście Reader. Zawsze Reader.

- Przejmij komendę, Schmidt - powiedział Jaeger. Stał z tyłu transportera i studiował przy świetle osłoniętej latarki mapę terenu. - Niecały kilometr za nami jest rozwidlenie dróg.

Pamiętasz?

Skręciliśmy w prawo. Według mapy droga na lewo okrąży górę z drugiej strony.

Mam zamiar złapać w potrzask całą tę cholerną bandę.

- Dotrze pan tam na czas?

- Dlatego właśnie utworzyłem ten zmotoryzowany oddział.

Jaegerowi dwukrotnie udało się dopiąć rzeczy na pozór nieosiągalnej. Najpierw - dzięki sprytnemu wykorzystaniu moździerzy - przekształcił potencjalne zniszczenie całej kolumny w klęskę partyzantów, a teraz sklecił naprędce zmotoryzowaną jednostkę bojową: transporter półgąsienicowy z karabinem maszynowym i pluton sześciu motocykli z przyczepkami, w których siedzieli żołnierze uzbrojeni w pistolety maszynowe i granaty.

Transporter był pełen piechurów, podobnie wyposażonych. Jaeger był całkowicie pewien, że tym razem czeka ich walka z małej odległości, może nawet bezpośrednie zwarcie. Gdy pierwsza para motocykli skierowała się w stronę rozwidlenia dróg, udzielił Schmidtowi ostatniej instrukcji:

- Za wszelką cenę wyciągnij ludzi z tej śmiertelnej pułapki, w którą nigdy nie powinni wpaść. Zapomnij o wozach, zostaw czołgi.

Najważniejsze to ratować ludzi! Muszą się szybko wycofać - porządnie rozproszeni - dopóki nie przedrą się na równinę poniżej.

Przegrupujcie się tam, a ja dołączę do was, gdy będę mógł.

- Życzę szczęścia, szefie.

- Szczęście nie ma tu nic do rzeczy! - krzyknął Jaeger, gdy transporter wykonał obrót o sto osiemdziesiąt stopni. - Ważna jest siła ognia, szybkość poruszania się i trafienie we właściwe miejsce.

Zanim odwrócił głowę, by spojrzeć w kierunku jazdy, Schmidt kopnął już starter pożyczonego motocykla i ruszył w szybki objazd

wzdłuż kolumny, żeby wydać rozkaz ewakuacji.

Tymczasem wśród uciekających zdarzył się przedziwny incydent.

Z początku Lindsay w ogóle nie mógł pojąć jego sensu.

Schodzili potykając się za Hartmannem na dno krętego parowu.

Droga biegnąca dołem stanowiła ziemny trakt usłany kamieniami.

Lindsay podejrzewał, że w zimie płynął tędy rwący potok.

Przeszli przez drogę jako ostatni. Bardziej doświadczeni partyzanci byli już po drugiej stronie i wspinali się na przeciwległe strome zbocze.

Słychać było silniki niemieckich motocykli. Wkrótce mogli je zobaczyć.

Wypadły zza zakrętu, oślepiając światłami.

Paco poczekała, aż znaleźli się kilkaset metrów nad drogą.

Dotarli do progu skalnego przy wejściu mrocznej jaskini, gdy wyciągnęła lugera spod żakietu i wymierzyła go w Hartmanna.

- Jeżeli zrobisz cokolwiek, żeby dać znać swoim o naszej obecności, zastrzelę cię.

- No to strzelaj! - Hartmann zaczął się trząść ze śmiechu.

Lindsay myślał, że Niemiec załamał się nerwowo nie wytrzymując wielkiego napięcia. Lecz Niemiec nagle spowaźniał i wyciągnął rękę po pistolet.

- Jak myślisz, kto was wyciągnął z tej góry? Kto przewidział, co się stanie? Kto dopiero co uratował was przed pociskami? Oddaj mi natychmiast ten pistolet.

Ujął lufę i wyjął łagodnie lugera z zaciśniętej dłoni Paco.

Odwrócił go w rękę i szybkim ruchem przystawił koniec lufy do

czaszki Readera.

- Oddaj stena Lindsayowi. Masz na to trzy sekundy. Już zacząłem liczyć... dwa...

Reader pozwolił skonfiskować sobie broń. Dwaj mężczyźni patrzyli na siebie bez mrugnięcia powiek. Hartmann wskazał ruchem ręki wewnątrz jaskini. Reader wzruszył ramionami i wolno zagłębił się w jej mrok. Hartmann znów skinął, tym razem do Lindsaya.

- Idź za nim. Miej go na oku. Weź stena...

- Dlaczego? - spytała Paco.

- Na wszelki wypadek, żeby go nie podkusiło wygarnąć do wroga. Przeżyjemy tylko kryjąc się. Tam jest coś więcej niż motocykle...

Pierwszy raz od rozpoczęcia ciężkiej, mozolnej wspinaczki Paco usłyszała jakiś inny, bardziej złowrogi dźwięk, wybijający się ponad urywany warkot nadjeżdżających motocykli. Turkot i zgrzyt gąsienic.

Czołg? Pojazd opancerzony?

W miotaniu się motocykli było coś makabrycznego, a zarazem groteskowego, niemal komicznego. Gnały w przód i w tył jak ogarnięte paniką mrówki, nie pozostając w jednym miejscu dłużej niż sekundę.

Pędziły kawałek naprzód, zatrzymywały się z piskiem, obracały na ślizgających się kołach i jechały z powrotem. Powtarzało się to raz za razem. Przez cały ten czas metaliczny brzęk gąsienic przybliżał się coraz bardziej.

- Cofnij się od krawędzi - zakomenderował Hartmann.

Nie poprzestając na słowach chwycił Paco za ramię i

przyciągnął bliżej wejścia jaskini. W samą porę. Żołnierze w przyczepkach zaczęli omiatać dolną część stoku zaciekłymi seriami z broni maszynowej.

Potem zauważyli uciekających partyzantów wyżej na zboczu.

Rozległ się krzyk jakiegoś mężczyzny, krzyk podobny do wydawanych przez Niemców w sąsiednim wąwozie. Lindsayowi przyszła do głowy posępna refleksja, że odgłosy przypominają tamtą rzeź, tylko teraz odwróciły się role i kto inny jest ofiarą.

Koziołkujące ciało z rozrzuconymi rękami i nogami przeleciało w powietrzu obok jaskini i sturlało się w dół, by zatrzymać się o kilkaset metrów niżej.

Terkot pistoletów maszynowych nie ustawał. Strzelcy przeczesywali seriami całe zbocze. Grad ognia nasilał się coraz bardziej, lecz to był jedynie wstęp. Pułkownik Jaeger, mając w pamięci tamten wąwóz, szykował się do popisowego numeru.

Tego samego dnia w Lucernie było bardzo cicho. Niski mężczyzna w średnim wieku z okularami na nosie zamknął drzwi wejściowe biura swej małej firmy wydawniczej Vita Nova Verlag. Pracował tego dnia do późna, żeby odrobić zaległości. Miał na sobie płaszcz i miękki kapelusz. Przeszedł przez ulicę na przystanek tramwajowy i czekał cierpliwie.

Było zimno i wilgotno. Spojrzał na zegarek i skierował wzrok w stronę, z której powinien nadjechać tramwaj. Wydawało mu się, że jest sam na przystanku, jednak wrażenie to i panująca wokół cisza były zwodnicze.

- To on - oznajmił swojemu towarzyszowi człowiek schowany we

framudze wejścia do sklepu. Obaj wyglądali jak zwyczajni przechodnie. - Każdego dnia robi to samo i idzie do domu tą samą trasą.

Nawet dzisiaj, gdy jest spóźniony. To chyba wariat.

- Nigdy nie zmienia drogi? Jesteś tego pewien? - spytał ostrym tonem wyższy mężczyzna.

- Obserwujemy go od tygodnia. W ogóle nie zachowuje się jak zawodowiec.

- Jesteś pewien, że to Rudolf Roessler? Tak niepozornie wygląda...

Może to ktoś do niego podobny? Wszyscy mamy sobowtórów. Czy opowiadałem ci, jak kiedyś...?

- Jedzie jego tramwaj. - W głosie niższego mężczyzny pojawiła się nuta podniecenia. - Bądź gotowy. Inni są na swoich miejscach?

- Jasne.

Tramwaj podtoczył się ospale do przystanku. Zaczęło padać, drobna, wilgotna mżawka była jak wilgotny powiew napływający od jeziora. Roessler z roztargnieniem zapiął górny guzik płaszcza, co nie miało sensu, skoro za chwilę miał znaleźć się w wagonie.

Tramwaj stanął, na jego bokach błyszczały kropelki wilgoci.

Roessler wsiadł i, jak to miał w zwyczaju, usiadł z tyłu. Jakaś kobieta wskoczyła do wagonu i usiadła przy nim, co wzbudziło w nim irytację, bo lubił być sam. Zerknął ukradkiem w bok.

- Anna!

- Ciii! Nie podnoś głosu. Jesteś śledzony. Widzisz tych dwóch ludzi na siedzeniu przy drzwiach wyjściowych, tych, którzy

wsiedli na tym samym przystanku?

Roessler był zdumiony. Najpierw to nie mające precedensu pojawienie się jego żony - nigdy wcześniej nie spotkał jej w drodze z pracy do domu - a teraz ta absurdalna historia, jakby żywcem wzięta z melodramatu. Żeby powrócić do świata konkretów, zabrał się do pospolitej, codziennej czynności - czyszczenia zakapanych deszczem okularów rogiem chustki. Ledwo jednak zaczął, jego żona odebrała mu je.

- Daj mi to. Zaszmarujesz je jeszcze bardziej.

Bez okularów świat przekształcił się w rozmazaną plamę. Roessler wyteńczył wzrok patrząc na niewyraźne sylwetki dwóch mężczyzn, siedzących tyłem do nich. Nie zauważył nawet, jak wsiedli. Anna wyjęła z torebki bibułkę i zaczęła czyścić szkła.

- Co się dzieje? - spytał. - Nie rozumiem, przecież jesteśmy w Szwajcarii. Jesteśmy bezpieczni...

- Uważaliśmy, że jesteśmy bezpieczni - poprawiła go Anna.

Podążyła mu okulary. Z ulgą włożył je na nos i świat wrócił na swoje miejsce, wszystko znowu stało się ostre i wyraźne. Po szybie spływały małe kropelki deszczu. Roessler śledził wzrokiem kręty ślad jednej z nich. Był przerażony.

- O czym ty mówisz? - zapytał. - Powiedziałaś, że ktoś mnie śledzi. Kto?

Jego płaszcz pachniał wilgotną wełną. Powinien założyć prochowiec.

Lecz wcześniej w ciągu dnia...

- Nie wiem - odpowiedziała Anna ściszym głosem: - Kilka dni temu zauważyłam, że jacyś ludzie szli za tobą rano, gdy

wyszedłeś do pracy. Patrzyłam przez firankę, jak podążasz do tramwaju. Po drugiej stronie ulicy stało dwóch mężczyzn i na pozór zwyczajnie rozmawiali. Padał wtedy silny deszcz. Żaden z nich nie miał parasola i obaj mokli. To wydało mi się dziwne.

- Uroiłeś sobie to wszystko - burknął.

- Czekaj, aż skończę! Potem możesz mówić, że to moje urojenia.

Patrzyłam dalej. Przeszedłeś przez ulicę i gdy oddaliłeś się nie więcej niż sto metrów, oni zaczęli za tobą iść. Kiedy zniknąłeś za rogiem, pobiegli, żeby cię dogonić.

- Ci sami, co siedzą tu w tramwaju?

Zaczął jej wierzyć, choć pragnął z całej duszy, żeby to była nieprawda. Po ucieczce z Niemiec przed wojną poczuł się bezpieczny, jak tylko przekroczyli granicę Szwajcarii.

- Nie ci sami. To inni...

- A widzisz! - Odprężył się. - To tylko zbieg okoliczności.

Mówiłem ci, że to wszystko jest wybrykiem twojej wyobraźni.

- Jacyś ludzie obserwują nasze mieszkanie dzień i noc...

Tramwaj zatrzymał się na przystanku, drzwi się otworzyły, część ludzi wysiadła, do środka wszedł jeden mężczyzna, drzwi się zamknęły, ruszyli. Dwaj ludzie, których pokazała mu Anna, pozostali na swoich miejscach, nie zamieniwszy ze sobą ani słowa. Roessler podniósł wzrok na zawieszone ukośnie lustro, które miało pomagać pasażerom podczas wsiadania i wysiadania. Jeden z tych mężczyzn na podwójnym siedzeniu patrzył wprost na niego. Roessler odwrócił wzrok. Czuł się, jakby wpadł w środek koszmaru.

- Jesteśmy na miejscu - powiedziała Anna. - Wsiądź, jakby

nic się nie stało. Nie patrz na nich. Nie potknij się na schodkach.

Dojechali do przedmieścia Wesemlin, gdzie od 1933 roku wynajmowali małe mieszkanie. "Anna jest taka silna" - pomyślał Roessler.

Ruszyła pewnym krokiem w kierunku wyjścia, przystanęła, żeby mógł ją dogonić, potem zeszła na bruk ulicy. Na chodniku Roessler zobaczył w odbiciu swoich świeżo wypolerowanych okularów dwóch mężczyzn, którzy wysiedli pośpiesznie na parę sekund przed zamknięciem automatycznych drzwi. Była to jedna z najgorszych chwil w jego życiu.

Rozdział trzydziesty szósty

Jaeger bardzo umiejętnie wyliczył moment drugiej fazy ataku.

Siekące dolną część zbocza serie z pistoletów maszynowych zmusiły partyzantów do ucieczki i gorączkowej wspinaczki pod górę. Jaeger stał za potężnym reflektorem, który nie został jeszcze wprowadzony do akcji. Podoficer o nazwisku Olden siedział przy obrotowym karabinie maszynowym o zasięgu dużo większym niż pistolety maszynowe.

- Olden, powinniśmy dać im się rozproszyć - ostrzegł Jaeger.

-Przygotuj się na chwilę, gdy zapalę reflektor.

- Będę gotowy, panie pułkowniku.

W głosie Oldena brzmiała zaciętość. Podczas masakry w pierwszym wąwozie stracił towarzyszy broni, z którymi służył na rosyjskich pustkowiach. Jednego czy dwóch znał nawet jeszcze z

Francji, od 1940 roku.

Transporter ruszył naprzód wśród zgrzytu i hurkotu gąsienic.

Jaeger obrócił potężny szperacz jak najdalej na prawo.

- Będę przesuwiał powoli światło z prawa na lewo? - zawołał do Oldena. - Może poderwę je trochę do góry albo opuszczę.

- Zrozumiałem, panie pułkowniku.

Olden skrzył lufę karabinu maksymalnie w prawo. Musieli ze sobą współgrać, żeby osiągnąć najlepsze rezultaty. Był zadowolony, że pułkownik operuje reflektorem. Jaeger był czujny i lodowato opanowany w takiej chwili. Znakomicie widział w ciemnościach.

Rozbłysło światło. Silny promień, podobny do reflektora obrony przeciwlotniczej, rozjaśnił zbocze. - Rozproszeni na całej jego przestrzeni ludzie wyglądali stąd jak małe mrówki. Z zaskoczenia popełnili fatalny błąd odwracając głowy i dając się oślepić blaskiem. Karabin Oldena zaczął terkotać.

Siedzący w transporterze widzieli padające maleńkie postacie.

Krzyki zaskoczonych na otwartej przestrzeni partyzantów ginęły w hałasie silnika, zgrzycie gąsienic i terkocie karabinu. Promień szperacza pełził na lewo zatrzymując się niekiedy, przesuwając w dół lub do góry, a plująca pociskami lufa posuwała się za nim jak sprzężona, synchronizując swoje ruchy z ruchami świetlnej plamy.

Heljec, który wysoko na stoku prowadził grupę ludzi parowem, zatrzymał się. Chwycił karabin człowieka, który szedł za nim, kazał grupie iść dalej i wdrapał się z głębokiej szczeliny z

powrotem na zbocze. Odsunął bezpiecznik i patrzył.

Wybuchła panika. Partyzanci rozbiegli się na wszystkie strony jak króliki, aby ująć przed niosącym śmierć kręgiem światła. Najważniejszą sprawą było zgaszenie tego przeklętego reflektora. To nie będzie łatwe.

Dowódca transportera był sprytnym sukinsynem. Co chwila zmieniał szybkość, z jaką poruszał się pojazd, żeby ten ruchomy cel stał się jeszcze trudniejszy do namierzenia.

Heljec przycisnął mocno kolbę do ramienia. Wycelował dwadzieścia metrów przed transporterem i czekał. Bez światła strzelec, obsługujący karabin maszynowy, będzie jak ślepy. Cierpliwie czekał, aż pojazd dopełni do miejsca, w którym znajdzie się na jego linii ognia.

Reflektor obrócił się bez ostrzeżenia. Przed chwilą jego potężny promień przeszukiwał zbocze na lewo od Heljeca. Nagle poruszył się, poderwał gwałtownie i zatrzymał. Na Heljeca padł pełny blask wielkiego świetlnego oka.

Heljec rzucił broń i upadł na ziemię, a potem zaczął się turlać.

Obracał się jak dziecięca zabawka, z niesamowitą szybkością. Dłonie położył na głowie, a łokciami zasłonił twarz. Doturlał się do krawędzi parowu, przewinął przez nią, zleciał dwa metry w dół i upadł ciężko.

Karabin Oldena zaczął pluć ogniem w chwili, gdy Heljec dotoczył się do brzegu parowu. Kiedy partyzant zniknął z pola widzenia, nad jego głową świsnęły skalne odłamki, odłupane przez kule. Leżał tam, gdzie upadł, z głową na obtłuczonym ramieniu, i

słuchał rytmicznej kanonady. "Marnuj swoje cholerne kulki, durniu jeden..." Olden i Jaeger byli przekonani, że mają na swoim koncie następną ofiarę. Sylwetka z karabinem upadła w ułamek sekundy po tym, jak seria Oldena dogoniła wędrujący promień.

- Przerwać ogień! - rzucił Jaeger Oldenowi i zgasił reflektor.

Z punktu widzenia taktyki wojskowej miał rację. W pełni wykorzystał element zaskoczenia. Spowodował ciężkie straty wśród partyzantów. Widok człowieka, który mierzył z karabinu, był przestrogą, że panika wywołana zaskoczeniem zaczyna mijać. Znakomicie widoczny transporter półgąsienicowy sam mógł stać się potencjalnym celem.

- Przetrzepaliśmy im skórę! - krzyknął. - A teraz wynośmy się stąd do diabła i dołączmy do reszty naszych na równinie.

- Może powinniśmy minąć nasz dom, żeby wprowadzić w błąd tych, co za nami idą - zaproponował Roessler.

Jego okulary znów zaparowały. Był zagubiony i przygnębiony.

Mimo swoich wybitnych zdolności radiotelegrafisty i nieugiętej odwagi, jaką okazywał podczas swej pracy, w obecnej sytuacji był bezradny.

W przeciwieństwie do jego żony.

- Nie bądź niemądry - odparła. - Oni doskonale wiedzą, gdzie mieszkamy. Nie dajmy im poznać, że ich zauważyliśmy. Zachowujmy się tak jak zawsze.

- To może być bardzo niebezpieczne. Anno! - zawołał nagle.

-Spójrz na ten zaparkowany samochód. Nie można zajrzeć do środka.

- Nawet nie próbuj. Zachowuj się normalnie. Po prostu przejdź przez ulicę do naszego domu.

Mówiła z pozorną pewnością siebie. Rzeczywiście, samochód -stojący dokładnie naprzeciwko bramy ich domu - miał w oknach ciemne zasłonki z gęstej siatki.

- Kawy! - powiedział Roessler, kiedy znaleźli się w mieszkaniu.

- Już nastawiam wodę.

Roessler nie miał żadnych nałogów oprócz picia kawy, którą pochłaniał całymi litrami. Podeszedł niespokojnie do okna.

- Uważaj, żeby nie poruszyć zasłony! - ostrzegła Anna.

- Co teraz zrobimy? Ci dwaj z tramwaju stoją na deszczu z rękami w kieszeniach. To naprawdę okropne. A dziś wieczorem mam nawiązać łączność z Dzieciątkiem...

- Po kawie poczujesz się lepiej. Musimy skontaktować się z Massonem.

Roessler rozchmurzył się nieco, gdy Anna wspomniała szefa szwajcarskiego kontrwywiadu. Wtem zamarł przy oknie. Zamrugał, zdjął okulary, założył je z powrotem i patrzył z niedowierzaniem na ulicę.

Wreszcie krzyknął z podnieceniem:

- Anno, brygadier Masson jest tutaj! Właśnie wysiadł z tego samochodu. Idzie do nas.

- W biały dzień! - Jego żona pojawiła się w drzwiach z dzbankiem kawy i filiżankami na tacy. - Musiałeś się pomylić.

Brygadier Roger Masson, ubrany po cywilnemu, przeszedł pustą ulicę i nacisnął dzwonek przy drzwiach wejściowych na dole.

Roessler włączył guzik zwalniający zatrząsk, nawet nie sprawdzając przez głośnik tożsamości gościa. Otworzył drzwi mieszkania, zanim Szwajcar wspiął się po schodach. Zwykle pogodna twarz Massona była poważna.

- Powinien pan upewnić się, kto dzwoni - napomniał Roesslera łagodnie. - Muszę was prosić, żebyście od tej chwili byli nad wyraz ostrożni. Sprawy się zmieniły, i to nie na lepsze.

Masson starannie dobierał słowa. Wizyta w mieszkaniu Roesslera była ryzykownym posunięciem. Musiał obudzić jego czujność, lecz nie powinien wprawiać go w panikę.

Szef szwajcarskiego wywiadu wojskowego był nerwowy i skrępowany, co usiłował ukryć pod maską pogodnego zachowania. Fakt, że był ubrany po cywilnemu, pogarszał jeszcze sprawę, bowiem Masson swobodniej czuł się w mundurze.

- Napije się pan kawy? - spytała Anna. - Proszę dać mi płaszcz, powieszę go. Jest wilgotny.

- To bardzo uprzejmie z pani strony.

Masson zdjął okrycie, podszedł do okna i wyjrzał na ulicę. Roessler stanął obok. Jego oczy za okularami błyszczały jak w gorączce.

- Ktoś mnie śledzi. Od kilku dni. Anna pierwsza to dostrzegła...

- Od tygodnia - poprawił go Masson z typową dla siebie dokładnością. - To moi ludzie - zmieniają się przez całą dobę. To zwykły środek ostrożności dla pana ochrony.

- Dlaczego teraz? Czy coś się stało?

- Nie powiedziałbym, żeby moment, w jakim podjęliśmy te

środki ostrożności, miał jakieś szczególne znaczenie. Po prostu pana praca jest tak ważna, zarówno dla nas, jak dla Rosjan...

Masson usiadł w fotelu przy małym stoliku, na którym Anna postawiła jego filiżankę. Roessler zajął stojące obok krzesło i łąpczywie pił kawę, nie spuszczać wzroku z twarzy Szwajcara.

- Mamy rok 1943 - powiedział po opróżnieniu filiżanki do połowy. - Minęły przeszło dwa lata, od kiedy Hitler napadł na Rosję.

Co się ostatnio takiego wydarzyło, co sprawiło, że moja praca stała się... tak ważna, żeby użyć pańskiego wyrażenia. Musi pan zatrudnić wielu cennych pracowników, żeby strzec mnie przez całą dobę, jak to pan sam powiedział.

Masson z trudem odprężył się i uśmiechnął z dodającym otuchy wyrazem niebieskich oczu. Roessler okazał nieoczekiwaną przenikliwość - nie mówiąc już o Annie. Całe szczęście, że przyszedł dzisiaj ich odwiedzić. Od chwili gdy przekroczył próg ich mieszkania, wyczuł, że atmosfera się zmieniła. Zauważył ostrożność u Anny, coś zbliżonego do paniki u Roesslera. Machnął ręką, jakby bagatelizując usłyszaną uwagę.

- Przedtem mieliśmy okropnie mało ludzi. Nieoczekiwanie przydzielono mi więcej pracowników, więc wreszcie mogę otoczyć pana opieką odpowiednią do wagi pana pracy.

Wypił tyk kawy. Anna przysiadła na poręczy krzesła męża. Masson z ulgą zauważył, że Roessler usiłuje przybrać fałszywie skromną minę.

"Stara to prawda, że pochlebstwem można wiele osiągnąć" - pomyślał Masson. Ostrożnie rozwinął temat:

- Może byłoby dobrze, gdyby pan zmieniał trasę i pory swoich wizyt, gdy przychodzi pan do nas do Willi Stutz. Dzięki temu moi ludzie chodząc za panem nabędą trochę praktyki. Niech pan do tego podchodzi jak do gry.

- Dobrze, będę tak robił.

Roessler podniósł do ust filiżankę, którą Anna właśnie na nowo napełniła, wciąż rozpromieniony po pochwałach Massona. Wyraz gorączkowego niepokoju zniknął. "Jakim dziwnym człowiekiem jest ten Niemiec - pomyślał szef szwajcarskiego wywiadu. - Z wyglądu niepozorny człeczyzna w średnim wieku, którego nigdy nie zapamiętałoby się mijając go na ulicy". To oczywiście była wielka zaleta.

Masson uznał, że udało mu się dopiąć swego. Lepiej będzie, jeżeli odejdzie, zanim nastąpi jakiś niefortunny zwrot w rozmowie. Im prędzej, tym lepiej. Dopił kawę, podziękował Annie za następną filiżankę i wstał uśmiechając się uprzejmie.

- Cóż, Hans, myślę, że mi się udało - powiedział Masson, sadowiąc się na przednim fotelu limuzyny.

Westchnął i spojrzał w okna mieszkania Roesslera, gdy kierowca zawrócił na środku ulicy, co w tym miejscu było niedozwolone, i skierował wóz do Willi Stutz. Roessler był doprawdy dziwnym człowiekiem.

Kierowcą, jedyną poza Massonem osobą w wielkim wozie, był kapitan Hans Hausamann. Przed wojną prowadził agencję, która zapewniła mu bezcenne kontakty w całej Europie aż po Finlandię:

Po wybuchu wojny Hausamann został zwerbowany przez

naczelnego dowódcę szwajcarskiego wywiadu, generała Guisana. Jego kontakty zawodowe stały się gotową siatką informacyjną, dzięki której szwajcarski sztab zapoznawał się na bieżąco z rozwojem wypadków na całym kontynencie. Obecnie Hausamann kierował ściśle tajną siatką wywiadowczą, której nici zbiegały się w willi Stutz, znanej jako Biuro Ha.

- Westchnąłeś - zauważył Hausamann. - Miałeś z nimi ciężką przeprawę?

- Nawet nie. Na początku chłodno mnie przyjęli, ale przekonałem R.R., że nadzór nad nim, prowadzony przez naszych ludzi, jest zwykłym środkiem ostrożności.

- I kupił to?

- Chyba tak. - Masson zamyślił się na chwilę. - Z Anną trudniejsza sprawa. Wie, że dzieje się coś złego, ale możemy liczyć na nią, że uspokoi R.R.

Inicjałami R.R. określali Rudolfa Roesslera. Nie był to pseudonim - ktoś zaczął go tak nazywać i forma powszechnie się przyjęła.

- Czy jesteś pewien Anny? - nalegał Hausamann. - Znasz ją dobrze.

- Konspirujemy razem za plecami R.R. - Masson uśmiechnął się lekko. - Wiem, że jedyną jej troską jest spokój męża, więc w razie jakiegoś kryzysu zawsze tworzymy wspólny front. A Bóg świadkiem, że teraz jest właśnie taka chwila...

Resztę drogi przebyli w milczeniu. Odległość do dzielnicy Kastanienbaum, gdzie samotny cypel wychodzi w jezioro, wynosi nie więcej niż osiem kilometrów. Pół kilometra dalej Hausamann

zatrzymał wóz przed willą Stutz. To bardzo spokojne miejsce.

Podobnie jak Bletchley w Anglii, gdzie działała Ultra. To samo można było powiedzieć o Prae Wood przy St Albans, siedzibie sekcji V SIS, gdzie Whelby miał swoje biurko.

Człowiek w tyrolskim kapeluszu, ciemnym deszczowcu i skórzanych butach otworzył bramę z kutego żelaza. Limuzyna podjechała do głównego wejścia, a skrzydła bramy zamknęły się za nią.

- Myślałem właśnie o tym - powiedział Masson - że gdy zacząłem pracować w wywiadzie, miałem szczytne ideały. Nie przypuszczałem wcale, iż większość życia spędzę wmawiając ludziom, że jestem szczerzy, mówiąc im same kłamstwa. Nawet jeśli polegają one tylko na ukrywaniu prawdy.

- Nie rozumiem, co masz na myśli - odparł Hausamann, który zawsze wyrażał się jasno i wprost.

- R.R, gdy go zostawiłem, był w siódmym niebie. Jak by się zachował, gdyby wiedział, że w Szwajcarii roi się teraz od niemieckich agentów, którzy mają za zadanie go wyśledzić? Przynajmniej możemy się pocieszać, że Niemcy - w szczególności Schellenberg, dzięki Bogu za to - nie mają pojęcia, gdzie szukać.

Masson nie wiedział o tym, że było to prawdopodobnie najbardziej naiwne oświadczenie w całej jego karierze.

N.D.A F.R.X... N.D.A F.R.X... N.D.A F.R.X...

Była dokładnie północ, kiedy Roessler, skulony i na wpół ukryty w kredensie z radiostacją, wystukał sygnał wywoławczy moskiewskiego Centrum. Nawet sowieccy agenci tak wówczas określali NKWD.

Roessler otrzymał meldunek od Dziecioła i teraz próbował przekazać go do Moskwy. Gdy tkwił skurczony nad radiostacją, obok niego pojawiła się filiżanka kawy. Anna postanowiła zaparzyć wieczorem mężowi dodatkową porcję, gdyż wciąż nie miała pewności, czy całkowicie otrząsnął się ze strachu.

Niepotrzebnie się martwiła. Dla Rudolfa Roesslera, kiedy zaszył się w swoim ciasnym stanowisku pracy, istniało tylko to: nadajnik, radiogram i sygnały wysyłane w eter. Prawdę mówiąc w ogóle zapomniał już o wizycie Rogera Massona.

Powtórzył sygnał wywoławczy jeszcze dwukrotnie. Tak jak to uzgodniono, nadawał go na paśmie 43 milimetrów. Wystukiwał kluczem kropki i kreski, a jego uderzenie było pewne, takie jak zwykle.

Następnie zgodnie z procedurą zmienił pasmo na 39 milimetrów.

Czekał. Wypił pół filiżanki smolistej kawy. Był zajęty. Był szczęśliwy.

Czuł się tak, jakby miał władzę nad całym światem.

N.D.A OK QSRS... N.D.A OK QSRS...

Moskwa odpowiadała na jego wezwanie. Znowu czekał. Po kilku sekundach nadeszła seria liter i cyfr w grupach po pięć znaków, co miało utrudnić rozpoznanie szyfru wybranego dla tej transmisji.

Roessler zapisał wiadomość i dopiero potem zaczął nadawać ostatni meldunek od Dziecioła o najnowszych niemieckich planach operacyjnych. Wciąż nadawał na paśmie 39 milimetrów. W świecie wszystko wróciło do normy.

N.D.A. F.R.X... N.D.A FRX... N.D.A FRX...

Sygnal brzmiał wyraźnie w drezdeńskim Ośrodku Kontroli łączności. Walter Schellenberg, szef Sicherheitsdienst, służby bezpieczeństwa S.S, słuchał go przez dodatkową parę słuchawek, podczas gdy szef sekcji, Meyer, osobiście zapisywał przekaz przechwycony w eterze., - Nadawanie ustało. Zgubiliśmy go. To jest ten podejrzany sygnał wywoławczy?

- Tak - potwierdził Meyer. - Wytropienie go zabrało mi całe miesiące. Wszystko, co mogę powiedzieć w tej chwili, dysponując obecnym sprzętem, to że nadajnik jest umiejscowiony gdzieś na linii Madryt - Genewa - Lucerna - Monachium.

- Nie może pan tego jakoś zawęzić?

- Jeśli chce pan, żebym zgadywał - a obecnie nie będzie to nic więcej - powiedziałbym, że ośrodek nadawczy jest położony gdzieś pomiędzy Genewą a Monachium.

- I to jest dziki nadajnik? - upewniał się Schellenberg.

- Sprawdziłem listy wszystkich naszych sygnałów wywoławczych - a są ich setki - i nie jest to żaden z nich. Nadaje ciągle ten sam człowiek. Nauczyłem się rozpoznawać jego uderzenie.

- Niech pomyślę chwilę...

Walter Schellenberg otrzymał stanowisko szefa SD po Reinhardzie Heydrichu, kiedy ten wysoki funkcjonariusz służby bezpieczeństwa Rzeszy został zabity przez grupę zamachowców, zrzuconych do Czechosłowacji na spadochronach specjalnie w tym celu.

Słusznego wzrostu, przystojny i elegancko ubrany - zawsze po cywilnemu - był jednym z niewielu prawdziwych intelektualistów

wśród funkcjonariuszy nazistowskiego aparatu władzy i wolał wykorzystywać w swej pracy raczej umysł niż ciężkie, podkute buty.

Całkowicie z własnej inicjatywy, choć przy pełnej aprobachie Hitlera, Schellenberg przydzielił sobie zadanie wykrycia sowieckiego szpiega, działającego - jak był o tym przekonany - na terenie Niemiec i przekazującego Kremlowi wszystkie szczegóły militarnych operacji fuhrera.

Doświadczony łowca szpiegów, postawiony przed takim zadaniem, skupia swoją uwagę na najstabszym punkcie ich pracy: systemie łączności. Ta metoda często przynosiła sukcesy w przeszłości. Wymagała cierpliwości i wytrwałości - cech, które Schellenberg posiadał w dużym stopniu.

- Trzeba będzie użyć waszych udoskonalonych wozów radiopelengacyjnych - zasugerował.

- Namierzając sygnał z dwóch różnych miejsc mamy szansę określić dokładnie źródło nadawania - zgodził się Meyer. - Czy mógłbym zaproponować, gdzie powinniśmy je umieścić? - spytał.

- Proszę mówić, zastosujemy się do pańskich słów - zapewnił go szef SD.

Meyer pomyślał, że Schellenberg to wspaniały facet. Mimo swej wysokiej rangi zwracał się do innych jak do równych sobie. Zawsze się uśmiechał, był ujmujący, uprzejmy i w niczym nie przypominał oprychów, którzy przyjeżdżali z Berlina i rządzili się jak szare gęsi.

Co prawda wywinięta dolna warga świadczyła o pewnej bezwzględności, lecz tylko taki człowiek mógł dźwignąć wielką

odpowiedzialność. Schellenberg przysunął sobie krzesło, usiadł i czekał cierpliwie, aż szef sekcji zastanowi się nad jego pytaniem.

Dla Schellenberga Meyer był cennym narzędziem, którym należało się postugiwać delikatnie i uważnie, jak stradivariusem.

W rękach Meyera spoczywały losy wojny. Gdyby wytropił ten dziki nadajnik, byłoby jeszcze możliwe, że szala zwycięstwa przechyli się na drugą stronę. Schellenberg był przekonany, że tą właśnie drogą najbardziej chronione niemieckie sekrety przedostają się do Moskwy.

- Strasburg - zawyrokował w końcu Meyer, podniósłszy wzrok znad wielkiej mapy Europy, na której prześledził trasę Madryt - Genewa - Monachium. - Umieściłbym ruchomy system nasłuchowy właśnie w tym miejscu.

- Wraz z kolejnym pół tuzinem ludzi oddanych do pana wyłącznej dyspozycji?

- To ogromnie by mi pomogło i oszczędziło nam wiele czasu.

- Właśnie czasu najbardziej nam brakuje. Ma pan rację. Więc ten sygnał wywoławczy zawsze pojawia się na paśmie 43 milimetrów?

Tylko sygnał i nic więcej?

- Tak jest. Pewnie operator przy nadawaniu głównego przekazu przechodzi na inną długość fali. Musimy ją odnaleźć. Powinni się tym zająć dodatkowi ludzie.

- Doskonale, doskonale! Pozostawiam to panu, Meyer. Ponieważ obejmie pan kierownictwo większego oddziału, otrzyma pan awans i podwyżkę, co się rozumie samo przez się.

To był następny element taktyki Schellenberga. Mając do

czynienia z ludźmi, którzy byli ważni dla jego celów, zawsze dbał o to, żeby zostawiać ich w dobrym nastroju, przepelnionych wdzięcznością.

W ten sposób umacniał ich lojalność.

Słowa Meyera miały bardzo istotne znaczenie; potwierdziły coraz silniejsze przekonanie Schellenberga nie tylko o talentach Meyera, który powinien znaleźć dziki nadajnik, lecz również o związku Sowietów z tą sprawą.

SD - służba bezpieczeństwa S.S - znała metodę postępowania sowieckich agentów przy łączności radiowej: po nadaniu sygnału wywoławczego na ustalonej fali i nawiązaniu łączności zmieniano długość fali na inną, na której nadawana była właściwa wiadomość.

Schellenberg obrzucił jednym szybkim spojrzeniem duże pomieszczenie, podzielone na szklane, nie przepuszczające dźwięków kabiny.

W każdej z nich siedział kontroler radiowy, prowadząc nasłuch na przydzielonej mu długości fali. Drezno miało najlepszy system kontroli sygnałów, jaki istniał wówczas na świecie.

Schellenberg wyszedł z budynku nie zamieniając z nikim słowa.

Wkrótce siedział obok swego adiutanta, Franza Schaubu, w samochodzie i jechał na lotnisko.

Czekał tam na nich samolot do Berlina.

- Jestem prawie pewny, że to Szwajcaria, Franz. Przeczynałem to od początku, nie wiem, z jakiego powodu. Rzuć tam jeszcze więcej agentów. Chcę, żeby skoncentrowali się na śledzeniu ludzi Massona. Gdy tylko Meyer dostarczy mi dowodu, będę miał Massona w garści. Ale dlaczego właśnie Szwajcaria? - dodał z

rozdrażnieniem.

Podobnie jak w większości dziedzin działalności człowieka, na bieg wielkich wojen często mają wpływ pojedyncze jednostki o silnej indywidualności.

Na przełomie lata i jesieni roku 1943 układ sił całkowicie sprzyjał Związkowi Sowieckiemu. Spodziewano się, że do końca roku Armia Czerwona powinna o własnych siłach odnieść generalne zwycięstwo i dotrzeć aż nad kanał La Manche. Wszystko na to wskazywało.

Na froncie wschodnim licząca dwa miliony żołnierzy armia niemiecka walczyła z pięcioma milionami Rosjan. Przy takiej przewadze mniej odporne i mniej zaprawione w bojach wojsko uległoby przeciwnikowi.

Ponadto tym razem niemiecką machiną wojenną kierował z Wilczego Szańca pseudo - Hitler, obdarzony nikłą częścią militarnego geniuszu swego poprzednika. Główne podobieństwo między nimi polegało na tym, że nowy fuhrer również zawsze chciał za wszelką cenę postawić na swoim.

Oprócz tych korzystnych okoliczności, dzięki którym Stalin miał wygraną jak podaną na talerzu, tajemniczy Dzieciół przekazywał (via Lucy) na Kreml ruchy każdej niemieckiej dywizji. Wszystko to sprawiało, że zwycięstwo powinno być dziecinną zabawką. A jednak były student seminarium duchownego w Gruzji wciąż natrafiał na opór. Niemcy walczyli jak lwy.

W Dreźnie Herbert Meyer, otrzymawszy dodatkowy przydział ludzi, harował dzień i noc, aby zlokalizować dziki nadajnik. Miał trzydzieści lat, powinien być teraz w piechocie lub dywizji

pancernej, lecz podobnie jak Goebbels chromał na jedną nogę..

Na jego długim jak tyczka ciele tkwiła mysia główka. Z powodu swojej łagodności był w szkole przedmiotem drwin rówieśników, którzy przezywali go "Mysza". Znienawidzone przezwisko prześladowało go również w dorosłym życiu. Możliwe, że właśnie ono walczyło przyczyniło się do wybrania przez niego samotniczego fachu zegarmistrza.

Przeznaczenie płata często figle szarym, zwykłym ludziom. Umiejętność obchodzenia się z precyzyjnymi instrumentami zaprowadziła nieśmiałego Myszę do wielkiego kompleksu nasłuchowego w Dreźnie.

Był wymarzoną osobą dla wytropienia Lucy. Los, za pośrednictwem Waltera Schellenberga, wyznaczył mu jedyną w swoim rodzaju rolę: miał zdecydować o biegu II wojny światowej.

Mysza czekał teraz na wiadomość o rozmieszczeniu dużego zespołu wozów radiopelengacyjnych w alzackim Strasburgu. Wtedy będzie mógł wziąć się do roboty i przyszpilić nieuchwytny nadajnik i jego operatora, którego ochrzcił pseudonimem "Duch".

W Lucernie Duch - czyli R.R - w dalszym ciągu podtrzymywał swe siły kawą i czterema godzinami snu na dobę. Rano łapał tramwaj do Vita Nova Verlag, ostentacyjnie ignorując pętającą się w pobliżu obstawę, która co dzień zmieniała stanowiska obserwacyjne. Przeżywał skromne posiłki.

Wszystkie te banalne czynności były jedynie wstępem do prawdziwej pracy, zaczynającej się późnym wieczorem. Nadchodzące od Dzieciota meldunki stały się dłuższe, więc zarówno ich odbiór, jak i nadawanie do Moskwy zabierało więcej czasu.

Na swój własny, cichy sposób, otoczony troskliwą opieką oddanej mu Anny, R.R był szczęśliwy. Szwajcarzy uznali go za osobę na tyle ważną, że zapewnili mu na wszelki wypadek ochronę. Od bitwy pod Kurskiem wiedział, że Stalin odbiera jego depesze. Czego jeszcze mógłby chcieć od życia?

- Niemcy przysyłają wciąż nowych agentów - oznajmił Masson Hausamannowi, gdy tylko przyjechał do willi Stutz i rzucił płaszcz przeciwdeszczowy. - Szykują jakąś ważną akcję.

W tym okresie szef szwajcarskiego wywiadu, brygadier Roger Masson, był jak najdalszy od zadowolenia z życia. Hausamann zakręcił się na obrotowym krześle, odwracając się od biurka załanego papierami.

- Co robią ci agenci? - spytał dociekliwie i usłyszał odpowiedź, jakiej najmniej się spodziewał:

- Nic! Kompletnie nic! Wszyscy siedzą beczynnie w hotelach w Bernie, Genewie czy Bazylei. Z tego co wiem, w Lucernie jeszcze nie, za co Bogu niech będą dzięki! Oni na coś czekają, Hans, to samo rzuca się w oczy!

Hausamann wsunął w zęby ołówek, obrócił go i zapytał:

- Na co?

- To jest najgorsze w tym wszystkim, że nie wiem! Śmierdzi mi to Schellenbergiem i jakąś jego przebiegłą intrygą.

- Mógłbyś ich wszystkich wyrzucić - zauważył Hausamann. On właśnie tak by postąpił.

- A wtedy przyślą nowych! I zdarzyć się może, że następnym razem nie namierzemy ich wszystkich. Może prześlizną się przez oczka sieci i nic nie będziemy wiedzieć o ich obecności tutaj. A

to, Hans, byłoby bardzo niebezpieczne!

- Co Schellenberg może kombinować na tym etapie gry?

- Jest coś jeszcze, co mi się nie podoba...

Masson chodził wokół pokoju, jakby pozostawanie w jednym miejscu dłużej niż parę sekund miało ściągnąć na niego klątwę.

Hausamann nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek widział go w stanie takiego niepokoju.

- Znasz ostatni rozwój wypadków, Hans? Schellenberg przysłał mi przez Gizeviusa, niemieckiego wicekonsula, prywatną wiadomość, że chciałby zaaranżować bardzo krótkie spotkanie, najchętniej na szwajcarskiej ziemi. To istna wojna nerwów. A może nie tylko? Może on ma jakiegoś asa w rękawie?

- Poczekaj, aż go wyrzuci.

Masson wciąż nie słuchał. Hausamann założyłby się o każdą sumę, że nie dotarło do brygadiera nic z tego, co on mówił.

- Jestem pewien, Hans, że to wszystko w jakiś sposób dotyczy Lucy. Znam dobrze Schellenberga. Jeśli on kiedykolwiek odkryje, że ochrania człowieka, który przekazuje Moskwie niemieckie plany operacyjne, powinniśmy od razu uciekać w góry, bo Wehrmacht następnego dnia wyłamie nasze frontowe drzwi...

- Nigdy nie mogłem zrozumieć - zaczął Hausamann energicznie, rozmyślnie zmieniając temat - dlaczego Dzieciół nadaje swoje meldunki za pośrednictwem Lucy. Dlaczego nie wysyła ich wprost do Moskwy?

- Mnie również zawsze to dziwiło - odrzekł Masson. - Pewnie przesadnie się denerwuję. Schellenberg też nigdy sobie tego nie skojarzy.

- Wiesz, Schaub - zwrócił się Schellenberg do swojego adiutanta w berlińskim biurze - chyba jednak nie mam racji co do tej szwajcarskiej siatki. Niemożliwe, żeby odważyli się trzymać u siebie kogoś, kto przekazuje Rosjanom meldunki naszego sowieckiego szpiega. Linia, którą Meyer narysował na mapie, przebiegała przez Monachium.

- Myśli pan, że on stamtąd nadaje? - spytał Schaub.

- Gdy Meyer rozwiąże zagadkę, jest duża szansa, że odpowiedź będzie brzmiała: Monachium, a może któreś z jego przedmieść. Do tego czasu powinniśmy naśladować nieskończoną cierpliwość naszego wspaniałego Meyera i skierować uwagę na inne sprawy, jak powiedziała by fuhrer.

Ani Rogerowi Massonowi, ani Walterowi Schellenbergowi nie śniło się nawet, kiedy powstał plan tego systemu łączności. Lucy -czyli R.R - służył w rzeczywistości do przekazywania wiadomości między Dzięciołem i Moskwą w obu kierunkach.

W żargonie sowieckiego wywiadu określano Lucy jako "ślepy zaułek", zabezpieczenie prawdziwego źródła sygnałów. W przypadku gdyby niemiecki nasłuch zlokalizował Lucy, byłby przekonany, że wrogi agent kryje się właśnie tam, co odwróciłoby ich uwagę od Dzięcioła, działającego na wyżynach nazistowskiego aparatu władzy.

Ta dywersyjna taktyka została wymyślona jeszcze w latach trzydziestych, gdy na czele aparatu bezpieczeństwa stał Jagoda, poprzednik Jeżowa i Berii.

Rosjanie rzucili wiele ziarna w głąb różnych państw. Część - jak się tego spodziewali - spadła na skałę i zmarniała.

Natomiast nasiona, które wydały owoce, zatruwały studnie Zachodu.

Należał do nich Tim Whelby, pnący się w Londynie po szczeblach kariery dzięki swemu urokowi osobistemu oraz nawykowi oszczędnych wypowiedzi i uważnego słuchania cudzych słów. Należał do nich również Dzięcioł, perła wśród agentów, który wdarł się na same szczyty w hitlerowskich Niemczech.

Rozdział trzydziesty siódmy

- Nie znam się na tych choróbskach - gadał Len Reader.

-Trochę kiepsko się czuje, i tyle. Nie nadaje się do takich kawałów.

To jeden z tych niebieskookich chłoptasiów z bitwy o Anglię, a to było sto lat temu. Może potrzebna mu baba - dodał mrugając znacząco.

- Ty bydlaku...! - Syknęła Paco.

Kłęczała przy Lindsayu i ocierała jego rozpalone od gorączki czoło wilgotną, zimną szmatką. Na wstrętą aluzję Readera poderwała się gwałtownie. Zamachnęła się, żeby uderzyć go w twarz. Złapał w powietrzu jej nadgarstek i wyszczerzył zęby.

- Nie mów tylko, że się w nim durzysz, nie dam się na to nabrać.

Jesteś prawdziwą kobietą i potrzebny ci prawdziwy mężczyzna...

- Zakłóca pan spokój mojego pacjenta. - W wejściu do opuszczonej szopy odezwał się łagodny głos. Reader odwrócił się i zobaczył przed sobą doktora Maćka, który z uśmiechem patrzył na

niego przez swoje binokle. - Nie mogę na to pozwolić. Zdaje pan sobie sprawę, że jeśli wezwę Heljeca, zastrzeli pana jak psa?

Przykro mi, że wyrażam się tak brutalnie...

- Chrzanić was, wy wszarze! Reader czerwony z gniewu puścił rękę Paco. Wyszedł szybko, wciąż uzbrojony w swojego stena.

- Właśnie wyrzucił pan za drzwi specja od brutalności - powiedziała Paco masując ściśnięty przez Readera przegub. - Od początku nie podobał mi się ten człowiek..

- Jak się czuje nasz pacjent? - spytał Maćek podchodząc bliżej.

Spoważniał. Spojrzał na Lindsaya, leżącego z zamkniętymi oczami na sienniku, naprędce sporządzonym z wypchanego słomą worka. -Poci się jak mysz, jak to się mówi. Raczej niemiłe sformułowanie.

Paco patrzyła, jak Maćek bada Anglika. Od wąwozu, w którym pułkownik Jaeger odwrócił role i rozgromił oddział Heljeca, dzieliło ich już wiele kilometrów i wiele tygodni podróży. Stan Lindsaya pogarszał się z dnia na dzień. Trawiła go gorączka i stał się tak słaby, że za namową doktora Maćka sklecono prowizoryczne nosze, na których dwóch partyzantów niosło chorego.

Ich ostatnim miejscem postoju - jednym z wielu na trasie - była uboga góraska wioska. Kamienne, niskie chaty przycupnięte jedna obok drugiej oblepiały zbocze góry. Ich mieszkańcy uciekli przed nadejściem niemieckiej ekspedycji karnej i oddział Heljeca po ostrożnym zwiadzie zaanektował je na swoją kwaterę.

Stan liczebny oddziału się poprawił. Heljec znów miał pod swą komendą tylu ludzi co przed pogromem, jaki urządził Jaeger. W

chwilach przytomności Lindsay widział wciąż nowych przybyszów:

Było to niesamowite: zdawali się zjawiać zewsząd. Powiedział o tym Paco.

- Heljec ma reputację walecznego dowódcy, który nigdy nie daje za wygraną - rzekła ze znużeniem w głosie. - Ludzie ściągają do niego nawet z daleka, jak tylko zdobędą jakieś uzbrojenie. Broń i amunicja to wkupne, bez którego nikogo nie przyjmie.

Tamtego wieczora był z nimi Gustaw Hartmann. Włączył się do rozmowy. Wydawał się przygnębiony, co mu się rzadko zdarzało.

- Widzisz, Lindsay, oni to lubią. Lubią walczyć. Zabijać. W tym przeklętym dole kloacznym Europy już od stuleci trwają nieustanne wojny. Tutejszych ludzi nie obchodzi, kto jest ich przeciwnikiem, byle nie ustawało zabijanie. Poczytaj historię Bałkanów. Gdy nie mają pod ręką wroga, biją się między sobą. Chorwaci z Serbami, i tak dalej.

Usłyszałem najświeższe wiadomości. Dla ciebie są dobre, dla mnie złe, lecz całej naszej trójce nie wróżą nic dobrego...

- Nie rozumiem - powiedziała Paco.

Do tej pory wszyscy troje - Lindsay, Anglik, Hartmann, Niemiec, i Paco, pół - Angielka, pół - Serbka - prawie się zaprzyjaźnili. Doktor Maćek nie stał się jeszcze pełnoprawnym członkiem klubu, lecz był na prawach gościa.

- Reader wie wszystko - wyjaśnił Hartmann. - Nocami ukrywa sprytnie swój nadajnik, a w ciągu dnia przewozi go na jednym z mułów. Przekupił złotem poganiacza kolumny mułów. Tak więc Reader ma kontakt ze światem. Rosjanie odrzucili wojska Wehrmachtu na całej linii frontu. Dla ciebie, Lindsay, jest to pozornie dobra

wiadomość. Dla mnie oficjalnie to zła wiadomość. Rozumiesz?

- Nic a nic - odparła za Lindsaya Paco. - Na sam koniec powiedziałeś, że dla nas trojga jest to straszne.

- Wierzysz w kryształową kulę?

Hartmann wyjął fajkę i poszał tęsknie jej ustnik. Nie było mowy o tym, żeby mógł ją zapalić. Heljec zastrzelił jednego ze swoich ludzi, który po zapadnięciu zmroku, gdy ochłodziło się znacznie, rozpałił ognisko, żeby ogrzać skostniałe ręce.

- Kryształową kulę? W której można zobaczyć przyszłość?

-Paco z przechyloną głową zerknęła podejrzliwie na Niemca.

Polubiła Hartmanna. - Czy któryś z was to potrafi?

- Bywa, że w snach widzimy różne rzeczy, i to takie, że człowiek dałby sobie rękę uciąć, by ich nigdy nie oglądać.

- Teraz mówi o snach. - Paco demonstracyjnie rozłożyła ręce i spojrzała na Lindsaya, opartego o skałę. - Po prostu stroi sobie ze mnie żarty...

- Kiedy ludzie za czterdzieści lat obejrzą się wstecz - ciągnął Hartmann - zrozumieją, jak katastrofalnym błędem było pozwolenie, aby Stalin zagarnął połowę, a może i większość Europy. Życie jeszcze nie narodzonych pokoleń zostanie zwichnięte przez tę wojnę.

- Oto głos mędrca - rzekła Paco kpiąc sobie z niego.

- Daj mu mówić - wtrącił Lindsay.

- Mędrco, praw dalej.

- Ludzie zapominają o przeszłości - mówił Hartmann. - Dziś Anglia walczy z Niemcami. Niegdyś jej wielkim wrogiem była Francja, a jeszcze wcześniej Hiszpania. Myślę, że Niemcy są

naturalnym sojusznikiem Anglii i przyjdzie dzień, gdy Anglicy to sobie uświadomią.

To samo można powiedzieć o Niemcach. Lecz jak duża część Europy - tej kolebki cywilizacji - będzie wtedy utracona na zawsze?

- Cały dzisiejszy poligon walk - odpowiedział Lindsay i stracił przytomność..

- Whelby, chciałby pan wypuścić się gdzieś za granicę? - spytał pułkownik Browne.

- Na jak długo, sir?

Whelby z trudem opanował się, by nie okazać, jak wstrząsnęła nim propozycja Brownea. Perspektywa utraty stanowiska zastępcy Brownea i zesłania na jakąś odległą placówkę z dala od centrum operacyjnego nie odpowiadała mu ani trochę.

Otrzymał nagle wezwanie na Ryder Street, pomimo że dochodziła północ. Wyglądało na to, iż on i Browne są jedynymi osobami w budynku, nie licząc dozorczy na parterze, który otworzył Whelbyemu frontowe drzwi i zamknął je za nim.

- Pojedzie pan do Kairu - powiedział pułkownik.

Browne był czymś zdenerwowany. Przechadzał się po biurze z rękami założonymi do tyłu i rzucał swemu gościowi spojrzenia z ukosa, jakby usiłując podjąć jakąś decyzję.

- Czy to wyjazd na stałą placówkę, sir? - odważył się spytać Whelby.

- Nie. Krótka wizyta, inspekcja. Wyczuwam tam atmosferę letargu. Od kiedy Monty wyparł Rommla z północnej Afryki i

dokonał razem z Janekami inwazji na Sycylię i Włochy, Kair przemienił się w cichy zaścianek z dala od wielkich wydarzeń. Ta inercja znajduje odbicie w meldunkach z tamtejszej placówki.

Potrzebuję informacji.

I to cholernie szybko.

- Na jaki temat?

Znów wahanie i szybkie, ukradkowe spojrzenie. Whelby zaś, przeciwnie, był całkiem spokojny. Wiedział, że Browne nie lubi okresów jego nieobecności, gdyż naraża go to na niewygodę. Whelby tak się urządził, aby stać się niezastąpionym w codziennej pracy wydziału.

- Chodzi o Lindsaya - powiedział nagle Browne. - Krążą słuchy, że nie czuje pan do niego zbyt sympatii.

- Spotkałem go tylko dwa czy trzy razy. Wydał mi się zdolnym facetem.

- Chcę żeby pan tam pojechał i choćby spod ziemi zdobył informację, co się z nim stało. Z pewnością musieli mieć od niego jakąś wiadomość, dobrą czy złą. Jak nie, niech lepiej ją zdobędą... - Browne urwał i po chwili postanowił mówić dalej. - To polecenie od samego Pana Boga... tego, który pali cygara.

To właśnie wtrąciło Brownea w stan takiego rozkojarzenia. "Gdzie jest Lindsay? - usłyszał. - Ma wrócić. Koszta nie grają roli.

Natychmiast podjąć działania".

"Boże wszechmogący - pomyślał Browne - dobrze mu mówić "natychmiast". Przy dużym szczęściu może za miesiąc uda mi się zdobyć jakąś wiadomość". Whelby siedział na pozór odprężony,

starannie kryjąc triumf, gdy usłyszał, jaką misję wyznaczył mu pułkownik. Browne zaś ciągnął dalej:

- Pana ojciec jest arabistą i zna dobrze Bliski Wschód. Coś z tego musiał panu przekazać. Pański samolot wylatuje jutro wieczorem z Lyneham w Wiltshire. I ani słowa o tej podróży, jakby nigdzie pan nie wyjeżdżał. Niech pan podpisze wcześniej listę obecności na dowód, że był pan przez cały czas w Londynie.

- Czy będę podróżował pod własnym nazwiskiem? - spytał Whelby.

Na zewnątrz zupełnie spokojny, w głowie miał taki sam zamęt jak Browne. Odlot za dwadzieścia cztery godziny! W jakiś sposób musiał wcześniej skontaktować się z Sawitskim.

- Ależ skąd! - obruszył się Browne. - Na czas trwania tej misji nazywa się pan Peter Standish.

Wyjął coś z kieszeni na piersi. O biurko piasnął brytyjski paszport i koperta. Whelby podniósł dokument i obejrzał, wciąż niedowierzająco.

Mr Peter Standish. Narodowość: urodzony obywatel brytyjski. Jego zdjęcie - okropne, jak zwykle. Wytarli nawet złote godło na okładce, tak że paszport miał wygląd dokumentu noszonego i używanego od lat.

- Standish to nazwisko trochę jak z Buchana, nie sądzi pan? - zauważył Whelby chowając paszport do kieszeni.

[Sir John Buchan - szkocki arystokrata, mąż stanu, historyk i autor opowiadań sensacyjnych "39 kroków" i "Zielony płaszcz". (Przyp. Tłum.)]

- Uważaliśmy, że nieźle pasuje do pana osobowości - odparł

Browne i uśmiechnął się. - W tej kopercie jest nazwisko pana łącznika, egipskie pieniądze i list polecający. Czego jeszcze mógłby pan sobie życzyć?

Amerykański bombowiec liberator, "Glenn Miller", dotarł do lotniska Kair Zachód godzinę po zmierzchu. Kiedy wielka maszyna przechyliła się na skrzydło przed podejściem do lądowania na egipskiej ziemi, Tim Whelby przeciągając się prostował obolałe kończyny.

Podróż przebiegła parszywie, nie zmrużył nawet oka. W wielkim kadłubie nie było foteli. Każdy pasażer otrzymał śpiwór, w którym turlał się i ślizgał przy wstrząsach samolotu. Obok Whelbyego leżał brytyjski generał - major z czerwonymi naszywkami.

- Pewnie jest pan jakimś jajogłowym z armii, którego wysyłają w teren? - spytał.

Whelby uśmiechnął się tylko i opanował ziewnięcie. Ubranie miał wymięte, był nie ogolony i całą noc przeleżał bezsennie, myśląc, jaki to byłby paradoks, gdyby właśnie teraz ten samolot został zestrzelony przez niemieckiego myśliwca. Jeśli Niemcy by wiedzieli, kto jest na pokładzie, z pewnością zgromadziliby wszystkie możliwe jednostki latające, aby odszukać i rozbić "Glenna Millera" w pył.

- Ale pewnie nie powinienem pytać? - sumitował się generał.
-Wie pan, jest nas z dwunastu w tym pudle i żaden z nas nie ma pojęcia, kim są jego sąsiedzi. Myślałby kto, że mamy na pokładzie szpiega.

Liberator zniżał się gwałtownie. Na spotkanie wybiegła im

wyprażona słońcem pustynia koloru ochry. Koła dotknęły podłoża, nastąpił nieprzyjemny wstrząs, a potem samolot wytracił szybkość sunąc gładko po pasie i zatrzymał się. Ustał ciągły, świdrujący w uszach odgłos silnika i dokuczliwa wibracja. Whelby spojrzął na nieruchome, zmęczone twarze pozostałych pasażerów.

Ktoś od zewnątrz otworzył luk wyjściowy. Do środka wpadło świeże powietrze, wypierając gęsty zaduch, w którym było pod dostatkiem dwutlenku węgla, niewiele zaś tlenu. Pasażerowie gramolili się ze śpiworów jak owady wypętlające z kokonów.

- Pan Peter Standish! Sir! Proszę, niech pan pozwoli, ma pan wsiąść pierwszy...

"Wspaniały sposób na utrzymanie mojego przyjazdu w tajemnicy" - pomyślał Whelby sarkastycznie. Sięgnął po swą niewielką walizkę i unikając ciekawych oczu przeszedł na sztywnych nogach przez samolot.

Pod otwartymi drzwiami zobaczył przymocowaną metalową drabinkę. Zszedł na dół i pierwszą rzeczą, jaka go uderzyła, była cisza pustyni. Dureń, który wyrzaskiwał na cały głos jego nazwisko, czekał na niego na dole.

- Major Harrington ze służby bezpieczeństwa, do pańskich usług, sir. Zechce pan ze mną pójść do tamtego budynku? Och, no i witamy w Egipcie! To pana pierwsza wizyta? Uch! Nie powinienem o to pytać.

Whelby nie wierzył własnym oczom. Harrington wystąpił jak należy w nienagannym drelichu koloru khaka, porządnie zapiętej koszuli i szortach zaprasowanych w kant, jakby parodiował kolonialnego oficera Imperium Brytyjskiego. Ręce i kolana miał

opalone na mahoniowy kolor, pasujący do jego twarzy. A ten wąs! Whelby widział rysunki, karykatury w pismach z Bliskiego Wschodu, które przedstawiały porucznika lotnictwa Latawca o sumiastych, podkręconych na kształt kierownicy od roweru wąsach. Harrington naprawdę paradował z takim wąsem!

- Czy to było mądre rozgłaszać tubalnie wszystkim wokół moje nazwisko? - spytał Whelby, gdy szli ramię przy ramieniu po twardej, spieczonej ziemi.

- Lepsze to, niż podkradać się tajemniczo. Po tak gromkim obwieszczeniu mało kto zapamięta pana twarz, nie mówiąc już o nazwisku. Zapomną, zanim dojadą do Kairu.

Whelby uprzytomnił sobie, że po ciężkiej podróży stracił nieco samokontrolę. Ten wąsaty major w żadnym razie nie był głupim bufonem, na jakiego wyglądał. Po wejściu do budynku Harrington sprawdził paszport Whelbyego i zapoznał go z nowinami.

- Wysyłamy do Jugosławii dakotę po Lindsaya. Można powiedzieć, że przyjechał pan w samą porę.

- Skąd wiecie, gdzie on jest? Czy to znaczy, że dotarł do alianckiej placówki wojskowej? Nawiązaliście z nim łączność radiową? - pytał Whelby. Łamał wszystkie reguły, jakie zwykle stosował, ale przynajmniej starał się mówić z przerwami, powoli, sennym głosem, przeciągając wyrazy, jakby od niechcienia.

- Pozwoli pan, że ja również zachowam dla siebie swoje małe sekrety, sir. Bez obrazy. No, jesteśmy na miejscu. Bardzo przytulny pokój. Czuje pan wzrost temperatury? Mamy tutaj wiele zestawów ubrań w różnych rozmiarach, proszę się przebrać. Usmaży się pan w tym, w czym pan przyjechał, a w dodatku wygląda pan

równie dyskretnie jak skorpion na czapacie.

[Czapaty - wschodnie placki z mąki i wody, pieczone na blasze. (Przyp. Tłum.)]

Whelby musiał przyznać, że człowiek o zwodniczym wyglądzie bufona znał się na organizacji. Zostawszy sam w skromnie umeblowanym pokoju o cementowej podłodze, wybrał odpowiednie rzeczy z kolekcji ubrań, rozłożonej na wspartym na krzyżakach stole. Właśnie skończył się przebierać, gdy ktoś zapukał do drzwi.

- Proszę wejść! - krzyknął.

- Powiedziałbym, że jak na urodzonego dżentelmena wygląda pan całkiem po tutejszemu - ocenił Harrington życzliwie.

- Widziałem przez okno, że inni pasażerowie odjechali autobusem.

Czym ja mam jechać?

Whelby zapinając na guziki kieszenie na piersiach swojej bluzy przyjrzał się baczniej Harringtonowi. Pretensjonalny wąs wprowadzał obserwatora w błąd - odwracał uwagę od przebiegłych szarych oczu, które zdawały się rejestrować każde najmniejsze poruszenie. Whelby pomyślał, że te oczy rozpoznałyby go nawet po dziesięciu latach, choćby przebrał się w arabski burnus.

- Aha, transport. - Harrington podkręcił wąsa jak komik w musicalu. - Jedziemy jeepem. Ja prowadzę, pan podziwia widoki.

Przed bitwą pod El - Alamejn Monty zlikwidował wszystkie wozy służbowe. Chyba kazał je wrzucić do Morza Śródziemnego.

Uznał, że to zbyt wygodny. No, wystarczy słowo i ruszamy!

- Mam spotkać się w hotelu Shepheard z porucznikiem

Carsonem.

- Właściwe posunięcie. Przed chwilą mówiłem z Jockiem - to Carson. Zadryndałem do niego, kiedy pan się przebierał. Chciał znać dokładną godzinę pańskiego szczęśliwego lądowania. Znalazł pan kibelek tam, za tymi drzwiami? Nie ma co, szybko się pan zadowolił.

Idziemy. Dalej w drogę!

"W tym kryje się jakaś tajemnica" - pomyślał Whelby, gdy jechali przez pustynię żuźlową drogą, pokrytą warstwą drobnego piasku. Major Harrington przywozi go z lotniska, a porucznik Carson czeka w hotelu. Coś mówiło Whelbyemu, że nastąpiła tu mała żonglerka stopniami wojskowymi, jak przetasowanie kart. Miał silne wrażenie, że to właśnie "Jock" trzyma tu wszystko w garści.

- Widać już piramidy - gawędził Harrington. - Spostrzeżenie roku, co? Może pan wejść na tę tutaj. Cheopsa. - Pokazał prowadząc jedną ręką. - Turcy, czy ktoś inny, zdarli z niej marmurowe oblicowanie. Teraz wygląda jak gigantyczne, zrujnowane schody.

Musi pan to zobaczyć. Stopnie są za wysokie, żeby można było na nie zwyczajnie wchodzić. Sam się kiedyś wdrapałem. Trochę się przy tym zmachałem. Z góry jest wspaniały widok na całą deltę.

- Muszę spróbować któregoś dnia.

- Podrzucę tu pana, jeśli będzie pan miał czas.

Trzy starożytne budowle stały blisko siebie, ich kontury odcinały się ostro na tle nieskalanego błękitu. Słońce już paliło Whelbyego w plecy.

Pustynia skończyła się nagle, gdy po ostrym skręceniu w lewo

wjechali na szosę, która ciągnęła się prosto jak strzełił aż do linii horyzontu. Po obu stronach stały tu dziwaczne piętrowe wille, stanowiące mieszkankę różnych europejskich stylów architektonicznych.

- Ten budynek to hotel Mena House - ciągnął Harrington.

-Wygląda na to, że cholerni Ruscy wygrają za nas wojnę. Nie wiem, jak pan, ale ja bym tego nie chciał.

- M - mam na - nadzieję, że przy - przyczynimy się do zwy - zwycięstwa, gdy nadejdzie wła - właściwy moment - odparł zacinając się Whelby, świadom, iż Harrington patrzy na niego z boku. Poczuł, że coś się między nimi zmieniło, jakby kółko zębate przestało trafiać na trybiki.

- Wszyscy arabscy bogacze mieszkają w tych zwariowanych domach - powiedział Harrington takim samym tonem jak dotychczas.

- Mówią, że wielu przedwojennych włoskich architektów przyczyniło się do powstania tego Disneylandu.

Resztę podróży odbyli w milczeniu.

- Mógłby wysadzić mnie pan kawałek przed Shepheardem?

Powiedzmy sto metrów wcześniej? - poprosił Whelby. - Lepiej, żeby nie widziano mnie w towarzystwie wojskowych. W tej prośbie nie ma oczywiście nic osobistego.

- Oczywiście. W porządku. Pójdzie pan do pokoju numer 16...

- Wiem - przerwał mu raptownie Whelby.

Wycofał się nagle do własnej skorupy. To zachowanie zaintrygowało Harringtona. Jechali wolno ulicami, na których tłoczyli się Arabowie. Czatuający na klientów przewodnicy nie odrywali od Whelbyego natarczywego wzroku.

- Rzuca się pan w oczy - ostrzegł Harrington. - Jest pan biały, i w dodatku niedawno pan przybył - widać to po braku opalenizny.

Zaradziliśmy temu, jak się dało, ubierając pana w długie spodnie zamiast szortów, lecz zdradza pana twarz i ręce. Białe jak świeży śnieg.

Whelby wciągnął w nos zapach wschodniego miasta - mieszaninę odoru śmieci gnijących w rynsztoku, nie dającego się określić zapachu ciała ludzi Wschodu, woni bazarów. Zapach ten był mu znajomy, bliski, uspokajał go. Wzdłuż ulicy stały stragany obwieszane naszyjnikami z kolorowych paciorków i inną tandetą. W powietrzu dźwięczała kakofonia głosów, wyklócających się po arabsku. Harrington prowadził jeepa przemykając się zwinnie między straganami, a raz omijając. O włos tarasującego drogę wielbłąda.

- Hotel to ten budynek trochę dalej. Widzi pan? - spytał.

-Fajno. Wysiada pan tutaj. Ma pan dwadzieścia minut do spotkania.

Jock lubi ludzi, którzy zjawiają się z wybiciem godziny na zegarze.

- Dziękuję za podwiezienie.

Whelby wysiadł na zatłoczony chodnik, starannie omijając cuchnący rynsztok. Harrington odjechał nie oglądając się za siebie -Whelby sprawdził to, rzucając okiem na wystawę sklepową. Szyba była brudna, lecz ulica odbijała się w niej wystarczająco wyraźnie.

Whelby spojrzął, czy nikt za nim nie idzie.

Przy krawężniku zatrzymała się konna dorożka. Arabski

woźnica pokazywał coś swoim pasażerom, dwóm brytyjskim oficerom.

"Brązowi jak orzechy - zauważył Whelby oglądając się od niechcienia przez ramię. - Starzy wyjadacze".

Właśnie kogoś takiego wysłaliby, żeby go śledzić. Idealnym "cieniem" byłby Arab, lecz tubylec nie mógłby wejść za nim do hotelu.

W tej chwili Whelby doświadczał dwóch przeciwstawnych uczuć.

Rozkoszował się atmosferą hałaśliwego, egzotycznego bałaganu, która przypominała mu dzieciństwo spędzone w Indiach, lecz jednocześnie ostrożna strona jego natury nie pozwalała pławić się w tej rozkoszy.

Czułość położyła tamę porywom euforii. Czy przeszedł pomyślnie próbę przy spotkaniu z Harringtonem? Po krótkim namyśle doszedł do wniosku, że tak. Dorożka odjechała, a on ruszył jej śladem.

Siedzący w środku oficerowie nie mogli widzieć, co dzieje się z tyłu, gdyż dach był podniesiony.

U dołu schodów przed wejściem do hotelu Shepherd zatrzymał się i otarł pot z czoła. Słońce prażyło niemiłosiernie: W perspektywie ulicy drgało rozgrzane powietrze. Schował chusteczkę i spojrzał na zegarek.

Obawiał się, że nie zdąży na czas.

W zatłoczonym hallu wirowały zawieszony pod sufitem wiatraki, mieląc stojące powietrze. Wszedł po schodach i zatrzymał się w pustym korytarzu czytając numery pokoi i sprawdzając, czy nikt za nim nie idzie. Przekonał się, że jest sam, poszedł dalej i wystukał nieregularny rytm na drzwiach

pokoju numer 24.

W pokoju numer 16 zadzwonił telefon. Niski, krępy Szkot o krótko obciętych jasnych włosach, który miał na sobie mundur porucznika, podniósł słuchawkę.

- Tak? Słucham? - Mówił szorstkim głosem z silnym szkockim akcentem.

- Tu Harrington. Paczka zostanie panu wkrótce dostarczona.

Co prawda, może być wybrakowana. Pogadałem trochę z tym nowym facetem.

- I?

- Niepokoi mnie. Rzuciłem mu całkiem znieczeka pewne pytanie. Przy odpowiedzi zaczął się jąkać. Ludziom z tą wadą wymowy zdarza się to wtedy, gdy coś wytrąci ich z równowagi. Zrobił to ten jeden raz. Tak tylko mi przyszło do głowy. Pewnie to nic nie znaczy.

- Dziękuję za telefon. Do zobaczenia.

Jock Carson splótł ręce na stole i wyjrzał przez okno.

"Pewnie to nic nie znaczy..." W wolnym przekładzie - dzwonki alarmowe zawodzą jak chór przeklętych upiorów.

Na pukanie Whelbyego drzwi otworzyły się natychmiast i niski mężczyzna w wymiętym cywilnym ubraniu z drelichu koloru khaki wpuścił Anglika do środka. Zamknął drzwi i przekręcił klucz w zamku.

- Właczek? - mruknął Whelby. - Moskity mocno kąsają.

- Malaria to nieszczęście, jakie dźwigamy z woli Allacha

-odrzekł Właczek.

- Mam tylko parę minut - powiedział z irytacją Whelby.

Rozejrzał się po pokoju, dostrzegł rozrzucone nieporządnie na łóżku ubrania, a potem zatrzymał wzrok na otwartych drzwiach balkonowych.

- Mam nadzieję, że pokój numer 16 naprawdę jest po drugiej stronie hotelu. Jesteś zupełnie pewny?

- Całkowicie. Przenieśmy się na balkon.

Właczek rzekomo był Polakiem z rosyjskiego pogranicza.

Typowo słowiańska twarz - wysokie kości policzkowe, wydatny nos i wystająca szczeka. Koścista budowa. Brązowe oczy jak ze szkła.

Suche ręce o długich palcach, silne jak kleszcze. Ręce dusiciela.

Jego głos brzmiał miło dla ucha. Mówił po angielsku powoli, starannie, z silnym obcym akcentem. Miał kłopoty z wymawianiem "r". Mijając Whelbyego wyszedł na balkon. Stąpał bezszelestnie w pantoflach tenisowych, tak że Anglik był zaskoczony ujrawszy go przechodzącego obok. Whelby poszedł za nim na balkon, rzucił szybkie spojrzenia w obie strony i zaczął:

- Przysłano mnie z Londynu po Lindsaya. Najwyraźniej żyje i przebywa w Jugosławii. Podobno mają wywieźć go stamtąd dakotą.

Pierwszy etap podróży będzie prawdopodobnie wiódł tutaj...

- Nie tutaj. - Niski mężczyzna potrząsnął głową i zapalił krótkie cygaro. - I absolutnie nie może dotrzeć żywy do Londynu.

Odpowiadam za to. Pan natomiast ma dopilnować, żeby jego dakota wylądowała na lotnisku Lydda. W Palestynie.

- Dlaczego tam?

- Proszę go przetrzymać dwa dni. To da mi czas na wykonanie mojej misji. Dwa dni.

- To może być naprawdę trudne. Będą chcieli jak najszybciej

wyprowadzić go do domu. Jeśli nawet uda mi się zmienić miejsce lądowania na Lyddę, to całe dwa dni...

- Niech pan im powie, że potrzebuje pan tyle na wstępną odprawę. Poza tym Lindsay będzie zmęczony. Niech pan nalega, że potrzebny mu odpoczynek przed dalszą podróżą do Londynu.

- Dlaczego w Palestynie? - spytał powtórnie Whelby.

Rozmowa stawała się pojedyńkiem, próbą sił. Właczek najwyraźniej z rozmysłem unikał odpowiedzi na jego pytania. Whelby ostentacyjnie spojrzął na zegarek. Miał jeszcze najwyżej pięć minut. Carson może zacząć go szukać.

- W Palestynie - Właczek mówił powoli, beznamiętnym tonem - wielu angielskich żołnierzy i policjantów dostaje od Żydów kulkę w plecy. To nie to, co Egipt. Palestyna to wrzący wulkan, gotowy wybuchnąć w każdej chwili. Jeszcze jedno morderstwo zostanie złożone na karb kolejnego żydowskiego zamachu. Jeśli to możliwe, spotkamy się tutaj jutro godzinę później, jeśli nie, godzinę później następnego dnia, i tak dalej.

- A w przypadku, gdyby - co jest możliwe - nie udało mi się ani na chwilę pozbyć obcego towarzystwa?

- Muszę wiedzieć, kiedy wyjedzie pan do Palestyny. Niech pan skontaktuje się ze mną na miejscu w hotelu Sharon w Jerozolimie.

Znów pokój 24.

- Naprawdę muszę iść. I to już, teraz.

- Porucznik Carson jest wysokim oficerem wywiadu.

Whelby odszedł, zostawiając spokojnego, niskiego mężczyznę wpatrującego się z balkonu w dal z dymiącym cygarem w zaciśniętych, żółtych od tytoniu zębach. Pomyślał, że Właczek

jest jednym z najbardziej złowrogich ludzi, jakich spotkał, i próbował sobie uświadomić, kogo on mu przypomina.

Gdy otworzył drzwi i wyjrzał na wciąż pusty korytarz, nagle zrozumiał. Te szkliste, nieruchome oczy. Zupełnie jak oczy węża.

Zatrzymał się na korytarzu. Miał dwie minuty do spotkania z Carsonem. Dwie minuty na odzyskanie swej normalnej pozy.

Przypomniał sobie cholerny pośpiech w Londynie, w jakim działał po rozmowie z pułkownikiem Browneem. A pośpiech był niebezpieczny. Pilny telefon do Sawitskiego z ulicznego automatu. Usiłował przekazać Rosjaninowi pod przykrywką niewinnie brzmiącej rozmowy wiadomość o swoim nieoczekiwanym wyjeździe. Sawitski odparł na to w odpowiedzi, że spotkają się u Beryl, "zobaczmy, jak biedna dziewczyna się czuje. Odpowiada ci termin za osiem godzin?" Boże, ależ tam w Moskwie musieli się związać! Depesza od Sawitskiego musiała wzbudzić nielichy popłoch. Lecz udało im się wszystko zorganizować - Whelby w myśli ocenił ich wysiłki na piątkę. Spotkał się z Sawitskim na śniadaniu w hotelu Strand Palace blisko rzeki.

Dzięki Bogu, nie wymagali tutaj kuponów żywnościowych..

- Umieściliśmy swojego człowieka w Kairze w tym samym hotelu, w którym ma pan nawiązać kontakt z brytyjskim łącznikiem - powiedział mu Sawitski.

Rosjanin, ubrany jak angielski biznesmen, znalazł nawet stolik w kącie, niewidoczny z pozostałej części sali. Dbał zawsze o takie drobne, lecz ważne szczegóły.

- Nazywa się Właczek - ciągnął. - Będzie czekał na pana przyjazd w pokoju 24, w razie potrzeby nawet kilka dni. Będzie

mieszkał w tym pokoju. Hasło brzmi następująco...

Podczas ich pospiesznej rozmowy Sawitski chwilami był nieco enigmatyczny, lecz Whelby przypisał to graniczącemu z paniką, diabelnemu pośpiechowi, z jakim montowano całą operację.

- Kim jest ten Właczek? Czy pracuje w podziemiu? - spytał Whelby.

- Dobry Boże, nie! - Sawitski był wstrząśnięty. - Jest Polakiem, zatrudnionym na jakimś stanowisku przez Brytyjczyków w dziale propagandy. Może otwarcie chodzić po ulicach Kairu. Nie pokazujcie się tylko razem publicznie, to wszystko.

Stojąc w korytarzu hotelowym Whelby zastanawiał się, kim naprawdę jest Właczek. Jego sposób mówienia dawał do zrozumienia - aczkolwiek subtelnie - iż jest zwierzchnikiem Whelbyego.

W głowie Anglika załęgło się niepokojące podejrzenie, że właśnie rozmawiał z profesjonalnym zabójcą.

Harrington był krotochwilny, otwarty, uprzejmy. Jock Carson, krępy, mocno zbudowany Szkot, był z kolei zimny, czujny i ostrożny.

Przywitał się z Whelbym bez żadnego ściskania rąk. Zamknął drzwi i wskazał krzesło przy stole, przykrytym szklanym blatem, naprzeciwko swojego. Whelby podszedł do krzesła uważnie go obserwując.

Najpierw zauważył dwie gwiazdki na pagonach. Nie były nowe, świeżo z magazynu, jak się spodziewał, lecz porządnie zniszczone, podobnie jak twarz z zakrzywionym nosem i ciężkimi powiekami.

Carson nie trwonił słów na próżno.

- Spodziewamy się - jeśli Bóg i pogoda pozwolą - że

pułkownik Lindsay za tydzień lub dwa przyjedzie do Kairu, skąd ma pan go odwiedzić do kraju. Pan, oczywiście, nigdy tu nie był. Lista pasażerów liberatora, którym przyleciał pan z Londynu, zawiera tylko jedenaście nazwisk. Czekaając na Lindsaya postara się pan nie rzucać w oczy...

- Chwileczkę, poruczniku. Ja też mam coś do powiedzenia w tej kwestii. Doceniam pańską dyskrecję. Czy mógłby mi pan zdradzić projekt trasy, jaką Lindsay ma się udać do Kairu?

- Projekt? - Szkocka, gardłowa wymowa Carsona stała się wyraźniejsza. Whelby wyczuł w tym krępyim ciele siłę i impet lokomotywy. Obecnie toczyła się między nimi walka o uzyskanie przewagi.

Pierwsze starcie było zawsze decydujące. Ustalało wagę czyjegoś autorytetu, od której potem nie było odstępstw.

- Tak, tego właśnie słowa użyłem - powiedział cicho Whelby.

- My określamy trasę, my ustalamy czas i my dostarczamy towar. Pan zawozi go z powrotem do Londynu.

- Jak dawno temu zostały ustalone te szczegóły? Parę godzin temu? Parę dni?

- Dni.

Carson nie dodał nic więcej. Siedział nieruchomo z rękami założonymi na piersi; wbijając niebieskie oczy w mężczyznę naprzeciwko.

- Jaka jest trasa? - naciskał Whelby.

- Z Jugosławii do Benghazi w Libii. Dakota ma wylądować na lotnisku Benina, położonym na pustyni, z dala od osad. Tam zatankuje paliwo. Następnie leci na lotnisko Kair Zachód...

- Nie? - Ton Whelbyego był ostry, nieodwołalny. - Te

ustalenia są znane od kilku dni, więc mógł nastąpić przeciek.

Lindsay będzie celem wielu ataków. Chcę, żeby z Benghazi poleciał do Jerozolimy na lotnisko Lydda. Wyjdę mu tam na spotkanie. Facet będzie zmęczony po swoich przejściach i po długim locie. Parę dni w niespodziewanym miejscu, gdzieś w Palestynie, dobrze mu zrobi. Zmiana trasy zapobiegnie konsekwencjom przecieku. Londyn nie jest zadowolony z tutejszej placówki!

- Więc niech Bóg ma w opiece biedny, stary Londyn.

- Mogliby przysłać kogoś innego, wymachującego toporem.

Mądrej głowie dość dwie słowie. Tylko między nami dwoma:

Lydda.

Dobrze?

Carson siedział jak posąg wyrzeźbiony z mahoniu.

Niewiarygodne, jak mógł pozostać w bezruchu przez tak długi czas.

Whelby przezornie nie dodał ani słowa. Czuł, że Szkot w myśli rozważa za i przeciw.

Wiedział, że w jego argumentacji tkwi logika, którą trudno obalić. Świadomie nie odwołał się do pogróżek, lecz mówił rzeczowym, niemal współczującym tonem człowieka, relacjonującego stan rzeczy.

Ten jego ton sugerował myśl: "Wiesz, jak się sprawy mają, to nie ja ustalam reguły. Mądrej głowie dość dwie słowie..." - Niech będzie Lydda - oznajmił wreszcie Carson. - Lubimy, jak nasi goście są zadowoleni. Zgaduję, że jutro mniej więcej o tej porze poleci pan do Jerozolimy. Nie sugeruję przez to, że Lindsay tam się zjawi jutro. Szczerze mówiąc, sam jeszcze nie znam daty jego

przylocu. Przenocuje pan u nas w Szarych Filarach.

Szare Filary oznaczaly w miejscowym żargonie Kwaterę Główną alianców na obszar Bliskiego Wschodu. Mieściła się ona w dzielnicy bogatych willi, oddzielona od reszty Kairu wysokim ogrodzeniem.

Carson wstał, dając do zrozumienia, że rozmowa jest skończona.

Whelby nie podniósł się. Założył nogę na nogę.

- Wolałbym pokój tutaj, ten, jeśli jest wolny. Nie przyjechałem po to, aby dać się zamknąć jak w obozie jenieckim. Mam swobodę podejmowania własnych decyzji.

Było to stwierdzenie, nie pytanie o zgodę. Wypowiedział je tym samym co poprzednio swobodnym, miłym tonem. Carson na wprost przymknął oczy i poprawił swój pas z kowbojskim olstrem.

- Proszę podać powód. Do raportu.

- Bezpieczeństwo. Strona przeciwna na pewno obserwuje Szare Filary. Tutaj jestem anonimowy, tak anonimowy, jak to tylko możliwe.

Proszę, żadnych straży. Potrafię sam zadbać o siebie.

- Zgoda! I może pan dostać ten pokój. Major Harrington będzie z panem w kontakcie. Tak się składa, że pana samolot do Jerozolimy odlatuje z lotniska Heliopolis, nie Kair Zachód. Znow będzie pan leciał z Jankesami.

- Z tego samego powodu - listy pasażerów?

- Szybko pan łapie. RAF nigdy nie przewiózłby pana nad Synajem bez pytania o nazwisko. Krewni do zawiadomienia w razie katastrofy i cała ta biurokracja. Nawiasem mówiąc, Jankesi

nieczęsto rozbijają maszynę.

Carson włożył na głowę furażerkę. Podniósł do góry rękę w salucie, przytrzymał ją dłużej, niż wymaga regulamin, wciąż patrząc nieruchomym wzrokiem na Whelbyego i podszedł do drzwi.

Powiedział jeszcze tylko:

- Zamelduję pana, jak będę wychodził. Nie musi pan nawet podchodzić do recepcji. Pan tutaj nie istnieje.

- Lydda! - wybuchnął Harrington w swoim biurze na piętrze w Szarych Filarach. - Ależ Palestyna to istne pole minowe! Nie podoba mi się to ani trochę.

- Zarządz, jak mówię.

Carson stał przy oknie i wyglądał na oblany słońcem ogród, na pręty ogrodzenia z kutego żelaza i cichą, obsadzoną drzewami ulicę za nimi. Mógł dostrzec punkt kontrolny, przez który musiał przejść każdy, kto chciałby się dostać do tego sanktuarium.

- Chciałbym, jeśli można, usłyszeć jeszcze raz treść ostatniego meldunku radiowego od Lena Readera.

- Ujmując to w dwóch słowach, dostaliśmy pozycję geograficzną miejsca w Bośni, gdzie ma wylądować dakota. Uzgodnione są sygnały identyfikacyjne przed lądowaniem - Szwaby często rozpalają ogniska, żeby zwabić nasze samoloty na fałszywe lotnisko. Cała akcja polega na prostej. Wymianie: dostawa broni za Lindsaya. Dostaliśmy błogosławieństwo z góry. Następna wiadomość od Readera ma być sygnałem startu.

- A gdzie jest dakota?

- Czeka na lotnisku Benina z ładunkiem na pokładzie. Pilot ma instrukcje, żeby wracać na lotnisko Kair Zachód.

- Nie dajesz łatwo za wygraną, Harrington, to ci trzeba oddać.

Powiedziałem: Lydda, i tak ma być. Przekaż pilotowi nowe instrukcje.

- Tak jest. - Harrington zawahał się. - Jakie wrażenie wywarł na tobie Tim Whelby? Ach, prawda, i o której godzinie ma tu przyjechać?

- W ogóle nie przyjedzie. Zatrzymał się w pokoju numer 16 w Shepheardzie. Tak chciał.

- Niemożliwe. To jakaś podejrzana sprawa. Powinien zamieszkać tutaj.

- Wiem. - Carson odwrócił się od okna, gdy nieoczekiwany, leciutki podmuch wiatru poruszył firankami. - Z drugiej strony może to i lepiej, że nie będzie mógł zajrzeć do naszego ośrodka dowodzenia.

Mam dwóch ludzi, którzy wiedzą, jak on wygląda - obserwowali z dorożki jego przybycie - rozstawionych tak, że dostrzegą go, gdyby wychodził z hotelu.

- No i co z tego? Wielka mi rzecz! Wyjdzie z hotelu, żeby obejrzeć sobie cuda Kairu, może wpaść do knajpy z tańcem brzucha...

- Będą go pilnować jak oka w głowie. Powiedział, że woli zostać w ukryciu. To, co mówił, było bardzo logiczne. Zobaczymy, czy będzie się trzymał linii postępowania, którą sam sobie wyznaczył.

- Nie powiedziałaś mi jeszcze, co naprawdę o nim myślisz -przypomniał Harrington.

Carson przystanął z ręką na klamce. Jego spokojna, inteligentna twarz zastygła w wyrazie skupienia. Lubił rozważyć swoje słowa, zanim odpowiedział na pytanie.

- Nie wybrałbym go na towarzysza na wycieczkę do dżungli
-rzekł wreszcie i wyszedł z pokoju.

Rozdział trzydziesty ósmy

Nazajutrz punktualnie o ósmej rano, czyli o godzinę później niż poprzedniego dnia, Whelby znów zapukał do drzwi pokoju numer 24.

Znów drzwi natychmiast zostały otwarte i niski, kościsty mężczyzna wpuścił go do środka. Whelby zauważył, że twarz Właczka jeszcze bardziej przypomina trupa czaszkę niż podczas pierwszej wizyty.

"Może pości" - pomyślał zgryźliwie.

- Ma pan jakieś nowiny? - spytał Właczek, gdy tylko znaleźli się na balkonie.

- Udało mi się przeforsować lotnisko Lydda, Bóg wie jakim cudem.

- Kiedy on przyjeżdża?

- Cholera, nie wiem. Chce pan może, żebym go panu przyniósł obwiązanego różową wstążeczką?

- Różową wstążeczką? - powtórzył Właczek tym samym spokojnym, monotonnym głosem, lecz jego następne słowa przyprawiły Whelbyego o dreszcz. - Mam nadzieję, że to nie żart? Chodzi o poważną sprawę. Trasa podróży?

- Z Jugosławii na lotnisko Benina pod Benghazi i po nabraniu tam paliwa na lotnisko Lydda. Odpowiada?

- Więc udaje się pan na Lyddę.

- Jeszcze dzisiaj. Z lotniska Heliopolis.

- Potem niech pan jedzie do Jerozolimy i czeka. Hotel Sharon.

Będę...

- W pokoju numer 24! Jestem w stanie zapamiętać takie proste fakty!

Rzucali sobie pytania i odpowiedzi jak piłeczkę pingpongową, z wzajemną antypatią i obopólną chęcią skrócenia spotkania do minimum. Whelby włożył obie ręce do kieszeni bluzy, wystawiając kciuki na zewnątrz. Nie patrząc na niskiego człowieka oświadczył stanowczym głosem, jakby uprzedzał możliwe wtręty:

- Jak do tej pory zrobiłem wszystko, co leży w moich możliwościach. Harrington może w każdej chwili wpaść, by się ze mną zobaczyć, więc proszę słuchać. Nie mogę zagwarantować, iż zatrzymam się w hotelu Sharon. Może się zdarzyć, że pomiędzy chwilą, gdy dowiem się o terminie przyjazdu Lindsaya, a jego przyjazdem i wyjazdem nas obu, który wkrótce potem nastąpi, będzie bardzo mały przedział czasu...

- Powiedziałem: dwa dni.

Właczek prawie go nie słuchał. W lewej ręce trzymał małą, pokrytą zieloną emalią filiżankę z kawą po turecku, w prawej jedno ze swoich smrodliwych cygar. Na przemian wypijał tyk kawy i zaciągał się cygarem, a jego szkliste, brązowe oczy patrzyły gdzieś w dal.

- Zrobię, co będzie w mojej mocy.

- Dwa dni to zasadniczy warunek.

Whelby nie odpowiedział. Ostentacyjnie zmarszczył nos, by okazać niesmak z powodu okropnego zapachu. Na Właczku nie zrobiło to żadnego wrażenia. Whelby zauważył, że jego gestykulacja jest niezwykle oszczędna. Postanowił przejąć inicjatywę i zakończyć rozmowę.

- Tak więc ja lecę dzisiaj do Palestyny. Czy zdąży pan dotrzeć tam na czas?

- Oczywiście.

- W takim razie to wszystko, co mieliśmy do omówienia. Muszę wrócić do mojego pokoju. Nie przypadł mi specjalnie do gustu ten pomysł spotkania się w tym samym hotelu.

- Jestem dobrze widziany w Kairze.

- Nie w moim towarzystwie. No, idę...

- Dwa dni, panie Standish.

Whelby wyszedł tak samo ostrożnie, jak poprzedniego dnia. Ruszył szybko korytarzem. Za zakrętem czekała go niemiła niespodzianka.

Przed drzwiami jego pokoju stał Harrington. Właśnie miał zamiar zapukać.

- A, tu pan jest... - Major przezornie nie wymienił nazwiska.

Whelby wsunął klucz w zamek, otworzył drzwi i gestem zaprosił swego gościa do środka. Gdy zamknął drzwi za sobą, Harrington pociągnął nosem i skrzywił się.

- Pachnie tanimi cygarami - zauważył - a raczej śmierdzi.

Obraca się pan w złym towarzystwie, co?

- Z hallu na dole biją wszystkie słodkie aromaty Wschodu.

Żartobliwa, lecz przenikliwa uwaga majora obudziła czujność Whelbyego. Harrington był wybornym śledczym. Potrafił uderzyć we właściwą nutę. Rzucił lekko pytanie. Zostawić je jakby zawieszony w powietrzu. Potem pauza, milczenie, które wywoływało w podejrzanym nieodpartą chęć powiedzenia czegokolwiek, byle tylko je przerwać.

- Niech pan siada - zaprosił go Whelby. - chce pan się czegoś napić? Kawy? Czegoś mocniejszego?

Harrington wybrał krzesło z twardym oparciem, stojące przy przykrytym szklaną taflą stole, tym samym zmuszając Whelbyego do zajęcia miejsca naprzeciwko niego, jak na przesłuchaniu.

- Dla mnie nic, dziękuję - rzekł uprzejmie. - Słońce ledwo podniosło się nad horyzont. Nigdy nie piję, zanim nie wybije dwunasta.

Dla pana właśnie bije...

Urwał. Whelby wolno usiadł naprzeciwko niego. W słowach majora dźwięczało coś złowrogiego. Czy to możliwe, że Harrington dowiedział się o Właczku? I do jakiego stopnia "dobrze widziany" był ten rzekomy Polak w Kairze? Whelby całym wysiłkiem woli stłumił niepokój. Wiedział, że zręczny przesłuchujący stosuje metodę niedopowiedzeń, pozwalając podejrzanemu na spalenie się w ogniu własnych obaw. Czekał więc, nic nie mówiąc.

- Wylatuje pan z Heliopolis w południe - podjął po chwili milczenia Harrington. - Samolot leci na Lyddę. Dogadałem to z Jankesami. Odwiozę pana na lotnisko i wskażę właściwy kierunek.

Dalej wszystko zależy od pana. Ustalona wersja brzmi, że jest pan moim kumplem, który jedzie na urlop zdrowotny.

Wyczerpanie pracą.

Wygląda pan trochę kiepsko, jeśli już o tym mowa. Wszystko to daje panu w kość, co? To znaczy, cała ta odpowiedzialność?

- Dam sobie radę. Jaką mam pracę? Jankesi łatwo nawiązują znajomości i są rozmowni.

- W administracji - odrzekł niezwłocznie Harrington. - To daje panu masę możliwości i zarazem nic nie oznacza. Załapał się pan na ten lot. Nikt nie będzie sobie zawracał głowy sprawdzaniem pana tożsamości. Czy był pan w hallu, gdy przyszedłem?

"Co za diabelski zwyczaj zaskakiwania - pomyślał Whelby.

-Człowiek gotów myśleć, że ma już spokój, a ten z wizgiem wraca do poprzedniego tematu. Czy powinien okazać zniecierpliwienie? Nie".

Przeciągnął się i stłumił ziewanie.

- Będziemy tu siedzieć do południa? - zapytał.

- Pan może sobie siedzieć. Ja ganiałem jak najęty od naszego wczorajszego spotkania. Mój najlepszy informator twierdzi, że ze składu amunicji w Tel - el - Kebir ukradziono trzy steny i trzydzieści magazynków, i że to może mieć związek z planowanym zamachem na życie Lindsaya.

Whelby był zaskoczony. Nie krył swego zdumienia. Oczy majora ani na chwilę nie odrywały się od jego twarzy. Ich wyraz był obojętny.

Od ostatniego spotkania coś w zachowaniu Harringtona uległo zmianie.

Jego twarz i głos nie zdradzały teraz żadnych uczuć.

- Gdzie jest Tel - el - Kebir? - spytał Whelby.

- Dobrze pytanie. Stacjonuje tam artyleria Królewskich Sił Zbrojnych. Tu, w Egipcie, w połowie drogi pomiędzy Kairem i miastem Ismailia nad Kanałem Sueskim.

- Tak więc zamachowcy wciąż myślą, że on przyleci tutaj. O ile pana informacje są prawdziwe. Wybacz pan, ale nie można we wszystko bezkrytycznie wierzyć.

- Ten informator - rzecz jasna, sam też jest w podziemiu - nigdy się nie omylił. - Harrington obserwował Whelbyego, który pociągnął za zwisający na jednej nitce guzik przy mankiecie. Przedtem nie zdradzał specjalnej troski o ubranie. Whelby znów milczał, nie chcąc wpaść w pułapkę, która otwierała się przed nim zapraszająco.

- Czekam, aż pan zada pytanie, które samo się nasuwa, które każdy na pana miejscu rzuciłby bez chwili zastanowienia - zauważył Harrington.

Napięcie rosło. Harrington zrezygnował z jowialnego sposobu bycia i rzucania pytań z głupia frant. Otwarcie podawał w wątpliwość jego wiarygodność. Jednakże wybuch oburzenia byłby niewskazany.

- A cóż to za pytanie? - spytał Whelby.

- Kto się kryje za planowanym zamachem.

- Niewątpliwie Niemcy! - Whelby wyglądał na zdumionego z powodu takiego obrotu rozmowy. - Oczywiście, jeśli w tej plotce jest choć trochę prawdy. Pozwoli pan, że zarezerwuję sobie prawo do własnego osądu.

- Może pan sobie zarezerwować łóżę w operze. To nie Niemcy, a moje źródło informacji jest pierwszorzędne. Niech pan to przyjmie do wiadomości i będziemy kontynuować nasze rozmówanie poczynając z tego punktu wyjścia, dobra? Krążą pogłoski, że to Rosjanie nie chcą, żeby Lindsay wrócił bezpiecznie do kraju.,

Amerykański samolot wystartował z Heliopolis dokładnie w południe. Harrington osłoniwszy oczy dłonią przed blaskiem słońca patrzył, jak oddala się w stronę Synaju, ciągnąc za sobą brudny warkocz dymu.

Z budynku za jego plecami wyszedł Carson w ciemnych okularach i zbliżył się do niego powolnym, miarowym krokiem. Przez chwilę stali razem w pełnym niepokoju milczeniu:

- Jakie jest twoje zdanie? - spytał Carson.

Zdjął okulary, złożył je i wsunął do futerału. Jego ruchy były odmierzone i ostrożne.

- Daję głowę, że to lewy gość.

- Dowiedz tego.

- Nie mogę. Znasz kogoś, kto pali tanie cygara, może takie krótkie, obcięte na obu końcach, które śmierdzą jak wielbłądzie łajno?

- Nie. Dlaczego?

- Był cały przesiąknięty ich zapachem, gdy się z nim spotkałem w Shepheardzie. Woń ich dymu utrzymuje się przez krótki czas i można nią tak przejść tylko wówczas, gdy się jest w bezpośredniej, powtarzam, bezpośredniej bliskości kogoś, kto pali to świństwo. A on usiłował dać do zrozumienia, że przed

spotkaniem ze mną nie rozmawiał z nikim. Poza tym jest bardzo dobry w odparowywaniu naprowadzających pytań.

- Tego należało się spodziewać. Przecież wiemy, skąd przyjechał.

Stali w upale, prawie go nie czując. Byli tu, na południu, już od długiego czasu. Teraz znaleźli się na drugiej linii i obaj zdawali sobie z tego sprawę. Wojna odsunęła się od nich bardzo daleko. Przyptyw się cofnął - i nigdy już nie powróci.

Wciąż jednak istniały cienkie nici, łączące ich z Bałkanami.

Z Grecją, z Jugosławią. Postali jeszcze trochę na słońcu, bo to zapewniało doskonałą dyskrecję.

- Mam jakieś dziwne przeczucie - powiedział Harrington -bardzo silne przeczucie, że pod naszym bokiem dzieje się coś cholernie ważnego. Ten Lindsay. Musimy wydostać go żywego. Strasznie się czegoś boję...

Ten zwrot był tak do niego niepodobny, że Carson spojrzął na niego ze zdumieniem. Harrington wciąż patrzył w niebo, tam, gdzie w oddali niknął samolot. Miał taką minę, jakby chętnie dał sobie uciąć prawą rękę, byle tylko być na jego pokładzie.

- Z kim skontaktowałeś się w Jerozolimie? - spytał Carson.

- Z sierżantem Terrym Mulliganem z palestyńskiej policji. Ma wyjść po tego Standisha na lotnisko. Pamiętasz go?

- Twardy jak stary rzemień. Nie ufałby własnej babce. Ale dlaczego palestyńska policja, a nie ktoś z armii? - spytał Carson.

- Dla niego zdrada czy metody opryszków z rysztocka to chleb codzienny.

- To ma być powód?

- Mając do czynienia ze Standishem, na pewno tak. Śmierdzi na miłą zdradą, tak samo, jak tanimi cygarami. Mulligan wyczuje ten zapach, jak tylko Standish postawi nogę na stałym gruncie.

W samolocie było nie więcej niż pół tuzina osób. Gdy wystartowali z Heliopolis, wszyscy zajęli osobne miejsca. Whelby usiadł przy oknie i patrzył na płową Pustynię Synajską, płaską i równą jak stół.

W oddali rysowały się góry, jak hałdy czarnego żużlu, lekko drżące za mgiełką rozprężonego powietrza. Nagle ktoś zatrzymał się przy pustym siedzeniu obok niego. Ostrożnie podniósł wzrok.

- Niech pan powie, jeśli chce pan być sam. Ja lubię z kimś porozmawiać w czasie lotu.

- Zapraszam więc do towarzystwa. Dotychczas czułem się trochę osamotniony.

Whelby chociaż raz nie musiał udawać. Zawsze lubił kobiety i wiedział, jak im się przypodobać. Ta była Amerykanką, około trzydziestki, a jej świetną figurę opinał ciasno tropikalny, dwuczęściowy kostium.

- Pozwoli pani, że pomogę?

Jakby to była najnaturalniejsza rzecz na świecie, wyciągnął rękę i zapiął jej pas bezpieczeństwa. Siedziała w swobodnej pozycji i patrzyła na niego z bliska dużymi szarymi oczami. Łagodnie ujął jej szczupłe dłonie o długich palcach i złożył je razem.

Roześmiała się.

- Wygodnie pani?

- Bardzo. Dziękuję. Jestem Linda Climber. Na urlopie z

amerykańskiej ambasady.

- Peter Standish. Na urlopie z szerokiego świata.

Wymienili uścisk dłoni, po czym ona ze znaczącym uśmiechem z powrotem złożyła ręce. Miała ciemne włosy, długie do ramion

-Whelby był pewny, że przed podróżą odwiedziła fryzjera - gęste, ciemne brwi, nie okropne, wyskubane kreseczki, nos długi i prosty, usta pełne i szerokie, podbródek mocno zarysowany.

Siedziała zupełnie spokojnie, podczas gdy on przyglądał się jej z półuśmiechem i jakby nieco nieśmiało..

- Rozpozna mnie pan, gdy mnie pan znów zobaczy - powiedziała i uśmiechnęła się. - Jeżeli zastanawia się pan, dlaczego jestem sama, to wyjaśnię, że mój mąż musiał polecieć gdzie indziej. Zna pan może jakiś spokojny hotel w Jerozolimie?

- A wie pani, że znam. Hotel Sharon. Sam w nim nie mieszkam, więc musimy najpierw odbyć inspekcję. Poleciał mi go przyjaciel. Na radach przyjaciół nie zawsze można polegać. Niektóre hotele schodzą na psy.

- Nie chciałabym narzucać panu swojego towarzystwa...

- Mam zamówiony wóz służbowy na lotnisku. Będzie to dla mnie wielką przyjemnością, jeśli pojedziemy razem.

Whelby umiał postępować z kobietami. Inni mężczyźni zazdrościli mu tego daru, lecz nie budził on niechęci - prawdopodobnie dlatego, że Whelby nigdy nie sprawiał wrażenia uwodziciela. Jego urok osobisty i nieśmiałość sprawiały, że kobiety same wpadały mu w ramiona, a zaraz potem do łóżka.

Z pozoru sądząc zawieranie znajomości z nieznanymi nie wchodziło w grę w czasie pełnienia misji. Whelby pokierował

częściowo impuls - Linda Climber była bowiem atrakcyjną kobietą, a jej nogi każdego mężczyznę musiały przyprawić o zawrót głowy -lecz również wyrachowanie. Mogła świetnie służyć mu za przykrywkę.

Gdyby w jakiś naturalny sposób udało mu się umieścić ją w hotelu Sharon, miałby wymieniony pretekst do przychodzenia tam, by spotkać się z Właczkiem. Poza tym trzecia osoba zneutralizuje sierżanta Mulligana - co za okropne nazwisko - podczas jazdy z Lyddy do Jerozolimy.

- Zamieńmy się miejscami - powiedział jakiś czas później -żeby mogła pani patrzeć przez okno. To coś, co warto zobaczyć.

Gdy stanął w przejściu, jej dłoń, zadziwiająco chłodna, musnęła jego rękę. Wyjrzała przez okno, a on pochylił się obok niej, żeby również spojrzeć. Dobrze to sobie wymyślił.

- Widzi pani żółtą, jałową pustynię po jednej stronie i tę nie kończącą się zieloną oazę za nią, przedzielone wyraźną linią?, - Jakby ktoś narysował kreskę.

- Pod nami jest Egipt, Pustynia Synajska. Po tamtej stronie Palestyna i jej pola uprawne.

- To dwa różne światy, Peter. Chyba zupełnie sobie obce.

Ta uwaga wciąż brzmiała mu w uszach, gdy już wylądowali. "To dwa różne światy... zupełnie sobie obce". Jak dwie różne części jego umysłu, dwie różne sfery jego życia, zawsze od siebie oddzielone.

Powiedziała coś, on się uśmiechnął. Jej twarz pokraśniała z zadowolenia.

W chwili lądowania wiedział, że ona jest gotowa na przygodę.

Nie zrobił nic specjalnego, żeby ją do tego skłonić. Młodszy i mający mniej doświadczenia podpułkownik Lindsay w żaden sposób nie byłby w stanie zadzierzgnąć tak szybko podobnej znajomości.

Whelby natychmiast poczuł antypatię do sierżanta Mulligana, lecz przezornie jej nie okazał. Mulligan, wysoki, żylasty mężczyzna około trzydziestki z włosami przystrzyżonymi krótko, przy samej skórze, odwzajemniał jego uczucia, lecz nie był równie delikatny.

- Jest ze mną dama. Amerykanka, pani Climber. Chcę ją odwiedzić do Jerozolimy, do hotelu.

- Kto to jest... sir? - Tytuł został dorzucony po namyśle.

-Przestrzegamy tutaj bardzo ściśle przepisów bezpieczeństwa.

- Biorę na siebie pełną odpowiedzialność, sierżancie. Zna pan hotel Sharon? Prawdopodobnie właśnie tam się zatrzyma, jeśli przypadnie jej do gustu.

Sformułował to tak, jakby propozycja pochodziła od Lindy. Czekali w oślepiającym słońcu, aż wysiądzie z samolotu. Lotnisko Lydda był to niemal wyłącznie pas trawy równo przystrzyżonej - jak włosy sierżanta Mulligana.

- Jest pracownicą amerykańskiej ambasady w Kairze - mruknął Whelby. - Nie ma więc powodu do niepokoju.

- Jeśli pan tak mówi...

Z głosu i zachowania Mulligana przebijała jawna dezaprobatą dla takiego załatwienia sprawy. Został przedstawiony, przywitał się kurtuazyjnie, po czym ruszył przodem w stronę transportera opancerzonego, stojącego tuż przy zabudowaniach lotniska. Jego oczy pod ciemnymi, krzaczastymi brwiami biegały na wszystkie

strony, jedna ręka zwieszała się tuż przy kaburze przy prawym boku. Whelby zauważył, że kabura była teraz odpięta.

- Mamy tym jechać?! - wykrzyknął.

- To jakieś żarty - szepnęła Linda Climber. - Podrę sobie pończochy.

Mulligan stanął w cieniu pojazdu, w wąskim przejściu między pancernem a ścianą budynku i zaczął wyjaśniać krótkimi, urywanymi zdaniami. Brytyjski żołnierz, siedzący za kierownicą spojrział na nich w dół z kamienną twarzą.

- Ten środek lokomocji to dobre wprowadzenie do tego, co was tu czeka - zaczął Mulligan. - Czy widzieliście może podczas lotu prostą linię, odgraniczającą pustynię od pól?

- Owszem - odparł Whelby znudzonym tonem.

- Słuchajcie oboje. To może uratować wam życie. Na południe od tej linii jest Egipt, spokojny teraz, gdy Monty dał Rommlowi solidnego łupnia. Na północ od tej linii - gdzie jesteście teraz - jest wojna. Nie szwendajcie się nigdzie sami. Jeśli wychodzicie, unikajcie ciemnych uliczek.

- Czy to wszystko jest naprawdę konieczne, sierżancie? Ta dama się przestraszy.

- To wyjdzie jej na zdrowie. - Sierżant spojrział na Whelbyego z żywiołową niechęcią. - Miałem w swoim oddziale dwudziestu czterech ludzi. Zwróćcie uwagę na czas przeszły. W ciągu ostatnich dwóch miesięcy trzech z nich zostało zdradziecko zamordowanych przez tych parszywych drani z żydowskiego podziemia. Strzałem w plecy. Nie mieli najmniejszej szansy. Żydzi są gorsi od Niemców - tamci przynajmniej noszą mundury. To tyle.

Pojedziemy tym.

Wskazał zaparkowany w cieniu samochód, który miał okna zaciągnięte żółtawymi firankami.

- A transporter? - spytał Whelby. Kierowca właśnie zapuścił silnik. Ochronne metalowe płyty zadrgały.

- Ten nieszczęśnik ma jechać przodem. My będziemy się trzymać sto metrów za nim. Jeśli Żydzi zakopali jakieś miny, on na nich wyleci.

Niech pan podziękuje kapralowi Wilsonowi za to, że sam ryzykuje życiem.

Z zachowania Mulligana ziała teraz otwarta wrogość. Whelby zacisnął usta unikając wzroku kaprala Wilsona, siedzącego za kierownicą. Sierżant zaprowadził ich do samochodu.

- Wezmę pani walizkę - zwrócił się do Lindy Climber. Wobec niej zachowywał się uprzejmie i z pełną kurtuazją. - Proszę, niech pani wsiądzie i usadowi się wygodnie. Wszystko będzie dobrze. Do Jerozolimy jest niedaleko.

Przytrzymał otwarte tylne drzwiczki, ująwszy ją za łokieć pomógł jej wsiąść. Whelbygo ignorował. Linda Climber wychyliła się z samochodu i uśmiechnęła się z prawdziwą sympatią.

- Dziękuję, sierżancie. Zaczynam rozumieć, jak okropne musi być to wszystko. Proszę, niech pan ode mnie podziękuje kapralowi Wilsonowi, jeśli to nie zabrzmie śmiesznie...

- Lubi ładne damy. Będzie pod pani wrażeniem przez cały dzień.

Droga z lotniska do Jerozolimy wiodła pod górę serią stromych zakrętów, którymi wyjeżdżali coraz wyżej nad równinę.

Idealny teren do napadów. Sierżant Mulligan prowadził, na pustym siedzeniu obok niego leżał pistolet maszynowy. Utrzymywał dystans dobrych stu metrów od pojazdu opancerzonego, który rżąc silnikiem piął się po stromiznie.

Samochód miał komfortowe wnętrze, z dużą ilością miejsca z tyłu.

Zasuwająca się szklana przegroda - zamknięta przed odjazdem - oddzielała ich od Mulligana i pozwalała rozmawiać swobodnie. Linda Climber, zazwyczaj pełna życia, na początku podróży była nienaturalnie cicha. Whelby raz uścisnął jej dłoń, jakby dodając otuchy, i przezornie nie odzywał się. Zawsze pozostawiał kobietom inicjatywę. Od momentu zawarcia znajomości.

Wjechali już niemal na szczyt zygakowatego podjazdu, droga szła teraz bardziej poziomo. Whelby pochylił się w przód i odsunął szklaną przegrodę.

- Czy mógłby pan stanąć jakieś sto metrów przed Sharon? Na parę chwil, żebym mógł obejrzeć hotel?

- To się da zrobić.

- Czy ten stalowy potwór będzie nam tam wciąż towarzyszył?

- Kapral Wilson odeskortuje nas do Jerozolimy i pojedzie swoją drogą.

Oschły ton i pełne rezerwy spojrzenie, które Mulligan rzucił mu przez ramię, świadczyły, że ogarnął go gniew po usłyszeniu niepoehlebnego określenia. Whelby zasunął szybę i uśmiechnął się pod nosem. Podziałało. Rozwścieczony Mulligan nie był już tak niebezpiecznie dociekliwy.

- Mam wrażenie, że nie przypadły mu do gustu pana słowa

-zauważyła Linda.

- Nie jestem zbyt dobry w zręcznym formułowaniu myśli. Chyba rzeczywiście palnąłem gafę. Co pani robi w ambasadzie? Mam nadzieję, że nie jestem wścibski...

- Jestem asystentką jednego z wyższych urzędników. Brzmi to wspaniale, lecz tak naprawdę po prostu piszę na maszynie, stenografuję dziwaczne listy - jestem świetną stenografką - i mam masę roboty przy aktach. Musi pan być ważną osobą, sądząc po tym, jak o pana dbają i chronią. Mam nadzieję, że nie jestem wścibska...

- Jest pani wścibska - odparł z humorem. - Niech to przyjęcie nie robi na pani zbyt wielkiego wrażenia. Ja również jestem na - jak wy, Amerykanie, mówicie - wakacjach. Moi koledzy poprosili mnie:

"Zrób nam przysługę, staruszkule, zawieź dla nas te papiery do Jerozolimy. Są dosyć ważne. Załatwimy ci transport z Lyddy.

Uśmiechnął się niepewnie. - Tak naprawdę nie jestem nikim ważnym.

Kłamstwo spłynęło mu z ust gładko i zabrzmiało przekonywająco.

Wymyślił je w tej chwili. Nie rozmawiali więcej, dopóki samochód nie wjechał do Jerozolimy, gdzie potwór kaprala Wilsona skręcił na pierwszym skrzyżowaniu i zniknął im z oczu.

Whelby wrócił do samochodu, zaparkowanego przy krawężniku w pewnej odległości od hotelu Sharon. Otworzył przednie drzwiczki, wsunął głowę do środka, sprawdził, czy szklana przegroda jest zasunięta i powiedział tak cicho, że Mulligan musiał pochylić się

ku niemu, żeby usłyszeć jego słowa:

- Hotel Sharon wygląda wystarczająco przyzwoicie dla pani

Climber. Myślę, że sam tu zarzucę kotwicę.

- Ma pan spać w koszarach. Wszystko przygotowane.

- Właśnie tam skieruje się każdy, kto mnie zechce poszukać.

Mam całkowitą swobodę poczynañ i zamierzam ją w pełni wykorzystać.

To miejsce bardzo mi odpowiada - cichy hotel na uboczu.

Trzeba przestrzegać zasad bezpieczeństwa, sierżancie Mulligan.

Nie jestem amatorem.

Zastosował tę samą taktykę, co w Kairze wobec Carsona, który chciał go zamknąć w Szarych Filarach. Mówił tak zdecydowanie, jakby wszelka dyskusja nie miała sensu. Mulligan podjął jeszcze jedną próbę, również zniżonym głosem:

- Nawet w tym małym hoteliku będzie się pan musiał zameldować, pokazać paszport.

- Podróżuję na fałszywych papierach.

- Rany boskie, wy, urzędasy, macie się za nie wiadomo co!

- Niech pan sobie myśli, co się panu żywnie podoba. A

tymczasem proszę podać mi numer telefonu, pod którym mogę się z panem skontaktować. Będę w pokoju numer 6 w Sharon.

Wziął złożoną karteczkę, na której blady z wściekłości Mulligan nabazgrał numer, a potem otworzył tylne drzwiczki. Linda stanęła na chodniku, otrzepała pogniecioną spódnice i odwróciła się, żeby wziąć od Mulligana swoją walizkę. Uprzedziła ją w tym biała, nie opalona ręka, która chwyciła rączkę. Whelby wziął walizkę, skinął sierżantowi i wziął Lindę pod ramię.

- Rozejrzałem się w środku. Nie jest to Waldorf, ale wygląda czysto, a menu sprawia wrażenie jadalnego.

Przeszli na drugą stronę brukowanej ulicy. Widziało się tu niewielu ludzi. Na chodniku po drugiej stronie Whelby zatrzymał się i wskazał ręką miasto.

- To naprawdę zdumiewające. Jako mały chłopiec dostawałem w szkółce niedzielnej kolorowe obrazki starożytnego Jeruzalem, podobne do wielkich znaczków pocztowych, co tydzień jeden. Wklejało się je w specjalny album. Teraz widzę dokładnie to samo, co na tamtych obrazkach.

W roku 1943 położona w otoczonej siedmioma wzgórzami niecce Jerozolima zachowywała wciąż swoją biblijną atmosferę. Roztaczała aurę zwodniczego spokoju, trwałości stuleci.

- Tu jest przepięknie - orzekła Linda. - Gdy szedł pan obejrzeć hotel, zabrał pan ze sobą walizkę. Gdzie ona jest?

- W recepcji. - Znów ruszył przed siebie. - Mówiłem pani, że jestem na wakacjach. Miałem zarezerwowany pokój numer 6. Dla pani przygotowali numer 8. Wybór należy do pani. Proszę zostać, jeżeli się pani tu spodoba. Jeżeli nie, znajdę pani coś innego.

Hotel Sharon mieścił się w dwupiętrowym, długim budynku, wzniesionym w zamierzczłych czasach. Czerwone ongiś dachówki na płaskim dachu miały teraz kolor wyblakłej terakoty. Cztery schodki prowadziły z ulicy na ogrodzoną balustradą werandę, na której małe stoliki pyszniły się obrusami w biało - czerwona kratkę. Gęste pnącza pełzły w górę, szukając oparcia, i okrywały ściany, zaglądając do otwartych okien.

- Tu jest ślicznie - powiedziała Linda.

- Wybór należy do pani -- powtórzył Whelby. Nie nalegał.

Mulligan siedział sztywno za kierownicą zaparkowanego samochodu i obserwował ich, jak wchodzą po schodach. Nagle przeniósł wzrok na wsteczne lustro. Ręce same mu się wyciągnęły po pistolet maszynowy na odgłos zbliżających się kroków. Po chwili uspokoił się słysząc stukot podkutych, wojskowych butów. Kapral Wilson, z twarzą jak zawsze wypraną z wszelkiego wyrazu, otworzył przednie drzwiczki.

Mulligan gestem zaprosił go do środka.

- Jak pan myśli, sierżancie, widzieli, jak jechałem z tyłu?

- spytał Wilson.

- Z całą pewnością nie. Cieszę się, że widzę was w jednym kawałku.

- Co się dzieje? A może nie powinienem pytać?

- W tej sprawie im więcej będziecie wiedzieć, tym lepiej - odparł Mulligan. - No i potrzebna mi wasza pomoc. Gdzie zaparkowaliście transporter?

- W bocznej ulicy pięćdziesiąt metrów stąd. Dopóki nie wrócę, pilnuje go Picuś Clarke. Myślałem, że zabieramy tego gryziopórka do koszar..

- Ja też, Wilson, ja też tak myślałem. Powiedzmy, że gryziopórek ma swoje własne zdanie. Miły gość. Połyka samogłoski i gubi większość spółgłosek. Zarzucił kotwicę - to jego własne wyrażenie - w hotelu Sharon. Wobec tego potrzebuję dwóch mundurowych do pilnowania hotelu od frontu. Przy tej robocie będą wystawieni na cel żydowskich minerów, więc chcę, żebyście zaparkowali swój wóz z karabinem maszynowym i resztą żelastwa w

którejś przecznicy, jako wsparcie dla moich ludzi. Zadzwoń do waszego pułkownika, Paynea, jak tylko wrócę na kwaterę, ale i tak wiem, że się zgodzi.

- Na pewno, po tym, jak mu pan ostatnio pomógł...

- Wychodzi na to, że przez tego cholernego Standisha każdej doby będzie tu uwięzanych sześciu moich ludzi i jeszcze więcej waszych. Gdyby pojechał do koszar, nie musielibyśmy mu nikogo przydzielać. Niech go diabli!

- Co z tą lalą? Ładny towar. Poszedł z nią?

- To pewnie główna atrakcja pobytu w Sharon. - Mulligan zdjął policyjną czapkę i podrapał się po obciętych na jeża włosach. -Wiecie co, Wilson? Na tym świecie nigdy nie trzeba wierzyć w to, co samo się pcha w oczy. Zanim stąd odjadę, rzuć okiem do księgi hotelowej.

- Nasze pokoje sąsiadują ze sobą - zauważyła Linda. Trzymała w ręku klucz, lecz nie wkładała go do zamka. Zerknęła na Whelbyego z ukosa. - Numer 8 dla mnie, numer 6 dla ciebie.

- Słyszałaś, jak Mulligan opisał tutejsze warunki. Myślałem, że będziesz się czuła... bezpieczniej.

Stał obarczony dwiema walizkami: swoją, którą zabrał z recepcji, gdzie zostawił ją przy wcześniejszej lustracji hotelu, i Lindy.

Upał się zanieść jej bagaż na górę wiekowych schodów.

- To miło z twojej strony. Zobaczmy, co znajdziemy w środku.

Otworzyła drzwi kluczem i weszła do staromodnie, lecz dostatnio umeblowanego wnętrza. Drzwi w jednej ze ścian prowadziły do łazienki. Zachichotała i podniosła rękę do ust.

- O rety, popatrz tylko na to łóżko...

Było to wielkie łożo z masywną mosiężną balustradką, zdobną w motywy żółędzi. Drzwi balkonowe były otwarte i widać przez nie było w oddali Górę Oliwną. Whelby położył walizkę na krześle i stanął obok Lindy. Czekwała na jego następny gest, lecz on zachował chłodny dystans. Na bladej, nie opalonej twarzy miał wyraz roztargnienia.

- Muszę oddać te dokumenty - zauważył i rzucił okiem na zegarek. - Mogłabyś poczekać do drugiej i spotkać się ze mną na dole? Zjemy razem lunch.

- Z wielką przyjemnością. Rozejrzę się po sklepach.

- Uważaj, gdzie chodzisz. Spotkamy się o drugiej. I trzymaj zawsze drzwi zamknięte na klucz, nawet gdy jesteś w pokoju.

- Tak jest, panie sierżancie.

Wyszedł na korytarz i poczekał, aż Linda zamknie drzwi od środka. Dopiero gdy usłyszał zgrzyt klucza, ruszył szybko z miejsca.

Niosąc walizkę wszedł na schody i wbiegł lekko na następne piętro.

Pokój 24 znajdował się na samym końcu pachnącego pastą do podłogi korytarza, na którym nie było żywej duszy.

W odpowiedzi na jego pukanie drzwi otworzyły się tak szybko, jakby mieszkaniec pokoju czekał pod nimi.

Sceneria tchnęła spokojem. Poranne słońce rzucało ciepły blask na soczystą zieleń boiska do gry w polo. Słyszc było jedynie uderzenia kijów o piłkę i stłumione dudnienie końskich

kopyt. Klub Sportowy Gezira znajdował się na wyspie pośrodku Nilu, na wysokości Kairu.

Wyspę z miastem łączył most.

Jock Carson właśnie uniósł się w strzemiączkach doganiając piłkę, gdy dostrzegł na skraju boiska Harringtona, który wymachiwał kartką papieru, aby przyciągnąć jego uwagę.

Carson zamachał kijem, uprzedzając innych graczy. Kłusem dojechał na skraj boiska, zeskoczył z siodła, wyjął kostkę cukru, którą jego wierzchołek sumiennie schrupał, i oddał wodze stojącemu w pogotowiu Egipcjaninowi.

- Kłopoty? - zapytał idąc z Harringtonem w stronę pawilonu i czytając kartkę.

- Nareszcie! - W głosie Harringtona było podniecenie.

-Wiadomość od Readera z Jugosławii. Dobili targu. Trzysta stenów z trzydziestoma magazynkami do każdego. W zamian dostajemy Lindsaya.

- Musimy wysłać więcej broni do Libii?

- Nie! To jest najwspanialsze! Ten przeklęty Heljec, czy jak tam się nazywa, zaczął od dwudziestu pięciu działek, całej dywizji pancерnej i Bóg wie czego jeszcze. Reader stargował cenę do ilości, jaka jest już na pokładzie dakoty, czekającej w Benina! Fantastyczny chłop!

- Widzę, że meldunek podaje zamiary lądowiska w Bośni. Tylko jak długo będą one aktualne? - Murawa pod ich stopami była sprężysta, codzienna wrzawa ulic Kairu zdawała się oddalona o tysiąc kilometrów stąd. - Będziemy musieli się spieszyć.

Czeka na nas jeep. Założę się, że pobiję swój życiowy rekord

na trasie do Szarych Filarów.

Carson ręcznikiem, podanym przez egipskiego stewarda, ocierał twarz i szyję z potu. Nachmurzył się, czytając uważnie meldunek.

- Mam jakieś okropne przeczucie. Coś tu jest nie tak. To się źle skończy, bardzo źle...

Rozdział trzydziesty dziewiąty

Gdy wrócili, w biurze Harringtona dzwonił telefon.

Harrington wpadł pędem w drzwi, zahamował z poślizgiem na błyszczącej podłodze, jak to robił wiele razy przedtem, odzyskał równowagę oparłszy się jedną ręką o biurko, a drugą podniósł słuchawkę, zanim dzwonek przestał brzęczeć.

- Harrington...

- Mówi Linda Climber. Czy to ambasada amerykańska?

Powiedziałam: ambasada. Mam powtórzyć trzeci raz?

- Harrington do twoich usług, jak zawsze. Przyszła do ciebie paczka z New Jersey.

W ten sposób każde z nich zidentyfikowało rozmówcę. Osuwając się na krzesło Harrington wskazał Carsonowi dodatkową słuchawkę.

- Nie mogę zdobyć pewności co do naszego przyjaciela ani w jedną, ani w drugą stronę - powiedziała Linda niewesoło. - Wydaje się okay. Masz pod ręką papier i ołówki? Dobrze. Mieszkamy w hotelu Sharon. Tak, razem, można tak powiedzieć. Podam ci numer

telefonu hotelu i do pokoju...

Harrington zapisał je strasznymi gryzmołami, które tylko on mógł odcyfrować.

- Masz coś jeszcze o naszym przyjacielu?

- Wypuszcza się często sam. W tym hotelu może być jeszcze ktoś.

Raz przydarzyło mu się potknięcie. Powiedział, że wychodzi. Obserwowałam drzwi wyjściowe z okna na piętrze. W ogóle się nie pojawił.

Po dziesięciu minutach wrócił, powiedział, że zostawił portfel w innym ubraniu i zaprosił mnie na poranną przechadzkę.

- O której to było godzinie - te brakujące dziesięć minut?

- Dokładnie od dziesiątej rano do dziesiąć po.

- Jak się zachowywał po powrocie? - drążył temat Harrington.

- Normalnie. - Chwila milczenia. - Może był nieco bardziej odprężony, dawało się wyczuć cień ulgi. To wszystko. Dzwonię od Mulligana. Nie ma go w tej chwili.

- Trzymaj się. Próbuje dalej.

- Mam taki zamiar.

Odłożyli jednocześnie słuchawki. Carson podniósł oficerską laseczkę i zaczął chodzić wokół pokoju, stukając lekko jej końcem w zęby.

Zatrzymał się na chwilę przed otwartym oknem. Tego ranka firanki nawet nie drgnęły w nieruchomym powietrzu. Na Szare Filary spadła duszna wilgoć jak gruby koc.

- Uprzedź pilota na lotnisku Benina, żeby przygotował się do natychmiastowego startu - powiedział Carson. - Nie dawaj mu

jeszcze pozycji na mapie. Może zostać zmieniona w ostatniej chwili.

Ta dziesięć minutowa przerwa w życiu Standisha nie daje mi spokoju.

- Co można zrobić w dziesięć minut?

- Zdarzało się, że ludzie zmieniali bieg historii. Zupełnie mi się to nie podoba.

- Może porozumieć się pilnie z Londynem? Wyłóż im swoje wątpliwości.

- A co na to Londyn odpowie? - spytał gniewnie Carson.

-Zacznijmy od tego, że im nie będzie pilno. Może za dwa tygodnie, kiedy wreszcie puszczą w ruch ospałe mózgi, doczekamy się suchej odprawy: "Mamy całkowite zaufanie do naszego kuriera. Można na nim absolutnie polegać" - przedrzeźniał. - Podoba im się słówko "absolutnie", bo lubią władzę absolutną.

- Więc nie zawiadamiamy Londynu?

- Musimy sami sobie z tym poradzić, jak zawsze. - Spacer Carsona po pokoju stał się szybszy. - Zostawiam cię jako mojego pełnoprawnego zastępcę. Jak coś wyskoczy, ty podejmujesz decyzję. Zgoda?

- Oczywiście. Wyjeżdżasz?

- Lecę pierwszym dostępnym samolotem do Jerozolimy. Zadzwoń na lotnisko Lydda, niech czeka na mnie w pogotowiu jakiś transport, żebyśmy mogli natychmiast pojechać do miasta. I módl się do Boga, bym wydłubał tę drzazgę, która tak mnie dręczy.

Późną jesienią 1943 roku, kiedy Stalin nabrał pełnego

zauwania do informacji od Dzieciota i Lucy, Armia Czerwona odbita Kijów.

Rosjanie posuwali się naprzód na całym froncie, kosztem olbrzymiego rozlewu krwi. Śnieg spadł na lasy, otaczające Wilczy Szaniec. Obciążone szklistą powłoką lodu gałęzie chyliły się ku ziemi. Często, gdy któraś z nich łamała się, w gęstym lesie rozlegał się suchy trzask, przypominający wystrzał.

Szare, zachmurzone niebo, z którego sypał śnieg, przytłaczało betonowe bunkry. Przygnębiająca aura wpływała na mieszkańców Wilczego Szańca w tym samym stopniu, co przygnębiające wieści z frontu. Tylko fuhrer zachował optymizm.

Chodził długimi krokami tam i z powrotem po swoim spartańsko urządzonym pokoju w drewnianym baraku - nie lubił betonowego bunkra, który miał chronić przed nalotami - i wygłaszał przemowę do Bormanna. Nosił te same co zwykle ciemne spodnie i kurtkę z szerokimi klapami, zapiętą na trzy guziki, ozdobioną jedynie przypiętym do piersi Krzyżem Żelaznym.

- Chcę koniecznie mieć tu z powrotem pułkownika Lindsaya, jak najszybciej! Musimy zawrzeć układ z Anglią. Ja zagwarantuję nietykalność Imperium Brytyjskiego, ważnej - wręcz jedynej - stabilizującej potęgi na świecie. Jeżeli ta potęga kiedykolwiek uległaby zagładzie, nastąpi chaos. Najpierw układ, a potem możemy skoncentrować wszystkie siły na wyeliminowaniu Sowietów, którzy są w tym samym stopniu wrogami Anglików, co moimi. Gdzie jest teraz Lindsay? Mój obiad stygnie.

Na stole stała pod przykryciem, aby zachować ciepło, miseczka papki z warzyw. Hitler był wstrzemięźliwy w jedzeniu i

mało go obchodziło, co mu podawano. Jediną jego słabostką była szarlotka, którą się zajadał w Berghofie.

- Obawiam się, że Lindsay mógł zauważyć zamianę - zaczął z wahaniem Bormann. - Przeczytałem jego akta. Był kiedyś zawodowym aktorem. Niektórzy z przybywających tutaj gości patrzyli na pana ze zdumieniem - Ribbentrop...

- A czy ktoś powiedział choć słowo? - odparował Hitler wyzywająco. - Nawet gdyby coś podejrzewali, czy ośmieliliby się dać wyraz swoim wątpliwościom? Jestem kamieniem węgielnym, opoką, na której wspiera się cała Trzecia Rzesza. Beze mnie są niczym.

I wiedzą o tym.

- Poza tym jest Ewa...

- Ewa! - Fuhrer był rozbawiony, lecz udawał wzburzenie. -Ewa i ja świetnie się rozumiemy! A ty lepiej trzymaj swoje rozpustne ślepie z daleka od niej, jeśli nie chcesz zostać powieszony głową w dół!

- Mein Fuhrer! Nie miałem na myśli niczego...

- Pytam raz jeszcze: gdzie jest Lindsay?

Była to taktyka typowa dla fuhrera - najpierw poruszał jakąś drażliwą kwestię, a potem nagle porzucał ją i nieoczekiwanie zmieniał temat, by wytrącić rozmówcę z równowagi. Kuby poznał tę sztuczkę dzięki Ewie Braun.

- W każdej chwili spodziewam się wiadomości od pułkownika Jaegera, który założył swoją główną kwaterę w Zagrzebiu. Wciąż poluje na Lindsaya w Jugosławii. Jak do tej pory udało mu się tak gonić oddział partyzantów przechowujący Lindsaya, że nie mogli nigdzie zatrzymać się na dłużej. W ten sposób zapobiegł

przylądaniu przez Anglików samolotu i wywiezieniu Lindsaya z Bałkanów drogą powietrzną.

- Ten Jaeger to wspaniały gość. Sam wyznaczyłem mu to zadanie, pamiętasz? Ale musi się pospieszyć. Alexander rozciągnął swoją strefę wpływów aż na południowe Włochy. Alianckie placówki wojskowe są w ścisłym kontakcie z partyzantami. Bormann! - Nastrój Hitlera gwałtownie się zmienił. Walnął pięścią w stół. Jarzynowa zupa z przykrytego talerza chlupnęła na stół. - Widzisz, wylałeś mój obiad.

Chcę wyników! Chcę Lindsaya!

- Pójdę do centrali łączności i natychmiast porozumiem się z pułkownikiem Jaegerem...

- Spodziewam się, że będziesz z powrotem, zanim skończę nędzne resztki mojej zupy.

- Może nową porcję...

- Idź, Bormann, idź!

W drodze do centrali łączności Bormann spotkał Jodla, który właśnie wszedł do strefy ochronnej A, okazawszy stałą przepustkę wydaną przez Himmlera. Jodl, którego twarz była ściągnięta jakby ze znużenia, objął Wilczy Szaniec gestem okrytej rękawiczką ręki.

- W tym miejscu wszystkich nas dręczy klaustrofobia...

- Gdzie pan był, mój drogi? - spytał od niechcienia Bormann.

- W lesie, żeby pospacerować - i pomyśleć.

- Wygląda na to, że nie pan jeden.

Keitel, którego buty były oblepione śniegiem, podobnie jak Jodl zakutany w gruby płaszcz i szalik, również przeszedł właśnie przez punkt kontrolny. Wyniośle, jak zawsze, uniósł butawę w

niemyim pozdrowieniu, zmienił kierunek, aby uniknąć spotkania z nimi, i poszedł powolnym, odmierzonym krokiem w stronę swojej kwatery.

- Widać Keitel też dostaje tu kręćka - zauważył Jodl.

- Musiał zapuścić się daleko w las. Widział pan jego buty?

- Z tego wynika, że on też chce się oderwać od tego

wszystkiego.

Zdaje się, że jest pan nieco rozstrojony - dokuczył mu Jodl i założył ręce na piersi. - Kłopoty z fuhrerem? Panu również przydałoby się trochę ruchu - zauważył i uśmiechnął się sarkastycznie. - Przy takich godzinach pracy pewnego dnia skrupi się to na panu.

- Kłopoty z fuhrerem? Oczywiście, że nie! Zresztą dziś rano byłem na spacerze.

- Wiem. Widziałem pana przez okno.

Patrzył za oddalającym się w pośpiechu Bormannem, małą, przysadzistą sylwetką brnącą przez śnieg. "Płaszczący się, nędzny łajdak" - pomyślał. Wzruszył ramionami i dla rozgrzewki zaczął zabijać zmarznięte ręce.

W głębi lasu nadajnik, z którego korzystał Dzieciotł, wciąż spoczywał w swej kryjówce. Śnieg leżał grubą warstwą na stercie gałęzi, gdzie ręce w rękawicach ponownie ukryły aparat.

- Właśnie na bezpośredniej linii z Zagrzebia zgłosił się pułkownik Jaeger - poinformował dyżurny oficer.

Zadyszany Bormann usadowił swoje tłuste pośladki na krześle w centrali łączności. Bez słowa podziękowania wziął słuchawkę i szorstkim ruchem głowy kazał dyżurnemu wyjść.

- Tu Bormann, właśnie miałem do pana dzwonić. Fuhrer...

- Niech pan łaskawie posłucha. Mam mało czasu - przerwał mu w połowie zdania głęboki, dudniący głos Jaegera. Był to ton, jakiego używał w koszarach. Stracił resztę cierpliwości dla tej gromady głupców w głównej kwaterze. Co oni, psiakrew, wiedzieli o tym, co się dzieje w świecie na zewnątrz? - Dzwonię po to, by mógł pan powiadomić fuhrera, że wreszcie przyparliśmy do muru oddział partyzancki, który trzyma Lindsaya. Parę razy zdołali nam się wymknąć po starciach, które pochłonęły straszliwe ofiary. Mam zamiar przypuścić na nich atak z powietrza, z użyciem spadochroniarzy. W ten sposób zaskoczemy ich - tego elementu dotychczas brakowało. Niech pan da fuhrera na linię, powiem mu to osobiście.

- Jak na razie zrozumiałem, co pan mówi...

- Jak na razie! Dobry Boże, człowieku, dopiero co podałem panu najbardziej zwięzłą i przejrzystą ocenę sytuacji, jak to jest możliwe.

Nie mam nic więcej do dodania.

- Ale kiedy to ma nastąpić?

- Tego jeszcze nie ustaliłem. To zależy od warunków pogodowych.

- I Lindsay jest z całą pewnością w tym oddziale?

- Czy pan mnie słucha? Stracił pan pamięć? Tylko co wyraziłem się: "oddział partyzancki, który trzyma Lindsaya".

Ton Jaegera stracił wszelkie pozory cierpliwości. Stojący obok pułkownika Schmidt zaniepokoił się i ostrzegawczo pogroził mu palcem. Jaeger zamachnęła się na niego słuchawką jak pałką, a

potem uśmiechnął się i mrugnął porozumiewawczo. ? - Co pan powiedział - warknął do telefonu.

- Kiedy mogę oczekiwać wiadomości o dalszym rozwoju wypadków? - powtórzył Bormann.

- Jak się rozwiną.

Jaeger cisnął słuchawkę na widełki i podszedł do okna na piętrze zabytkowej kamiennej willi na przedmieściach Zagrzebia. Sypał śnieg, lecz niezbyt gęsty, płatki opadały wolno na ziemię w nieruchomym powietrzu.

- Schmidt, co tym razem przepowiadają nasi geniusze od pogody?

- Całkowite przejaśnienie w przeciągu następnych dwudziestu czterech godzin. Bezchmurne niebo na jutro. Z całą pewnością brak opadów śniegu. Dali prognozę na piśmie i nie ma tam żadnych "jeśli" i "ale".

- Musiałeś nieźle ich podkreślić, nie ma co! Czy spadochroniarze Stoernera są gotowi?

- Zarówno ludzie, jak i maszyny są gotowe do desantu, gdy tylko da pan rozkaz.

- Co ja bym bez ciebie zrobił, mój drogi Schmidt? , -
Załamał się nerwowo.

Jaeger odrzucił głowę w tył i ryknął śmiechem. Zażyłość pomiędzy nim i jego podwładnym rozwijała się stopniowo podczas wielkiej kampanii w 1940 roku we Francji i w czasie strasznej przeprawy na froncie wschodnim. Twarz pułkownika znów spoważniała.

- Zdajesz sobie sprawę, że to będzie wyścig z czasem?

- Niezupełnie rozumiem, panie pułkowniku.

- Ta piękna pogoda, jeśli prognoza w ogóle się sprawdzi, będzie sprzyjała nie tylko naszym, ale i ich zamiarom. Doskonała dla naszego desantu, lecz również doskonała dla samolotu, który ma wylądować na płaskowyżu i zabrać Lindsaya. Słyszeliśmy dosyć pogłosek o błyskawicznych przerzutach drogą powietrzną. I z kwatery Fitzroya Macleana, i z innych źródeł. Aha, postanowiłem, że wezmę udział w akcji. Już dużo czasu upłynęło, odkąd sam dyndałem pod spadochronem.

- Na litość boską, panie pułkowniku! Po Kursku miał pan się starać o zwolnienie ze służby z powodu złego stanu zdrowia. Pamiętaj pan, co powiedział ten lekarz z Monachium...

-... Że powinienem robić tylko to, co leży w granicach moich możliwości i na co mam ochotę. Mam ochotę spaść na głowę pułkownikowi Lindsayowi. Powiedz Stoernerowi, że będzie potrzebny jeszcze jeden spadochron.

- Dwa. Razem z panem przeszedłem szkolenie w skokach.

- Posłuchaj uważnie, Schmidt. - Jaeger zaczął mówić poważnym tonem. - Gnębią mnie złe przeczucia co do tej operacji. Masz żonę i dwoje dzieci...

- Podobnie jak pan. Spełniałem każdy rozkaz, jaki mi pan kiedykolwiek wydał. Niech pan nie każe mi teraz czuć się winnym z powodu niesubordynacji.

- Och, niech szlag to trafi, rób jak uważasz! - warknął Jaeger.

Gdy Schmidt wyszedł z pokoju, żeby zadzwonić do Stoenera, usiadł przy biurku i wyjął z szuflady arkusz papieru. Ułożenie

listu do żony zajęło mu trochę czasu. Nigdy nie lubił prowadzenia korespondencji.

Kochana Magdo!

Spędziliśmy razem cudowne życie. Wszystko to zawdzięczam Tobie, Twojej nieskończonej czułości i troskliwości. Piszę do Ciebie w przeddzień dosyć trudnego przedsięwzięcia, jakie musimy podjąć. Nie chciałbym, żebyś przeżyła szok, gdy przyślą ci jedno z tych sztywnych, oficjalnych zawiadomień...

- Właśnie przyszła wiadomość - powiedział Reader do Lindsaya. - Mamy zielone światło. Samolot wyląduje jutro o jedenastej, co zawsze może ulec zmianie ze względu na jakąś zakichaną zmianę pogody...

- Chryste, przecież pada śnieg. Czy oni oszaleli?

- Jest dobra prognoza na jutro. Fronty atmosferyczne przychodzą tutaj z zachodu - z Atlantyku przez Włochy, więc nie powinni się mylić. - Reader tryskał optymizmem. - Mój Boże, za dwadzieścia cztery godziny powinniśmy raz na zawsze opuścić te parszywe Bałkany.

Niech mi pan obieca jedno: że nigdy już nie będę musiał wrócić do tego piekła.

Podniósł wzrok na zbliżającą się Paco. Nosła kurtkę w kolorach maskujących, grubą wełnianą spódnicę i buty z cholewami. Jej jasne włosy były schludnie wyszczotkowane. W prawej ręce trzymała broń Readera. Pokazał jej wcześniej, jak się obchodzić ze staniem.

- Czy madam wybrałaby się ze mną na spacer? - zaproponował Reader radośnie. - Trzeba się trochę rozruszać.

- Zgoda. Jak się czujesz dziś rano, Lindsay?

- Świetnie.

Patrzył, jak ona i Reader oddalają się w głąb płaskowyżu, idąc tak blisko siebie, że niemal się dotykali ramionami.

Przepełniała go gorycz. Stał wsparty na lasce. Mógł się już poruszać o własnych siłach, gorączka opadła. Staranna opieka doktora Maćka wzięła chorobę w karby.

Ich stosunki z partyzantami zmieniły się radykalnie z biegiem miesięcy, podczas których walczyli z nimi w jednym szeregu, w nieustannej ucieczce przed Niemcami, wywijając się z pułapek Jaegera.

Nieraz udawało im się zaledwie o włos uniknąć śmierci. To, że jeszcze żyli, w dużym stopniu było zasługą Readera, który wciąż odgrywał rolę mówiącego gwarą sierżanta oraz skrzętnie ukrywał swój prawdziwy stopień i powiązania z wywiadem. Nie chował już nadajnika, taszczył go na plecach z miejsca na miejsce. Między nim i agresywnym Heljecem wywiązało się kilka słownych utarczek, w których sierżant był górą.

- Jeśli chcesz broni i amunicji - upierał się niezmiennie

-musisz współpracować z moimi ludźmi. Lindsay, ja, Paco - o ile będzie chciała jechać - musimy zostać stąd wywiezieni. Ten sam samolot, który nas zabierze, dostarczy ci broń.

Reader w ciągłym zamęcie i walce stracił poczucie upływu czasu.

Kłótnie z Heljecem, podczas których targowali się zaciekle, rozpalały się w chwilach spokoju. Na tym polegało życie na Bałkanach. Reader rzucił na szalę Hartmanna, mając zamiar

poświęcić Niemca we właściwej chwili i obniżyć w ten sposób cenę.

To wywołało gwałtowny sprzeciw zarówno ze strony Lindsaya, jak i Paco.

- Hartmann był dla mnie bardzo dobry - powiedziała Paco Readerowi. - Musi się dla niego znaleźć miejsce na pokładzie samolotu.

- Heljec na to nie pójdzie - tłumaczył Reader. - Zresztą o co tyle hałasu. Szwab...

- Gustaw Hartmann jedzie z nami - wtrącił Lindsay. - To rozkaz. Niech pan nie zapomina, że jestem wyższy stopniem.

- A kto dobija tego parszywego targu? - wybuchnął Reader. - Połowa czasu schodzi mi na wyklócaniu się do upadłego z tym bandytą! Wiecie, czego sobie ostatnio zażyczył? Moździerz i bomb, jak pragnę zdrowia. Będzie miał szczęście, jeśli...

- Hartmann jest z Abwehry - powiedział Lindsay spokojnie. - Pana ludzie bardzo chętnie wezmą go w obroty.

- To nie przejdzie! Nie mam tego w swoich instrukcjach...

- Ja mam to w swoich - oznajmił krótko Lindsay. - Nie muszę panu podawać powodów. Tak się składa, że on jest antynazistą.

Rozmawiałem z nim...

- Antynazistą!. - Prychnął Reader. - Wszyscy ci bandyci obwołają się za takich, jak się okaże, że przetrznąli sprawę!

- Dosyć tego. Wydałem rozkaz. Hartmann wchodzi w skład umowy. Od pana zależy, jak to załatwić. Po to pana tu przysłali.

Niech pan sprawi, żeby Heljec ustąpił, albo sam przejmę negocjacje.

- Jak pan uważa, panie pułkowniku!

Lindsay specjalnie nie wspominał o fakcie, że Hartmann jest również bezcennym świadkiem w sprawie niezwyklej sytuacji, jaka się wytworzyła w Wilczym Szańcu. Wciąż jeszcze patrzył za Paco, odchodzącą w towarzystwie Readera, gdy obok niego pojawił się Hartmann.

- Wygląda na to, że znajomość tych dwojga świetnie się rozwija - zauważył Niemiec przysiadając na kamieniu obok Lindsaya.

- Nie jestem ślepy.

- Zapomnij o niej - poradził Hartmann. - Kobieta to nieobliczalne stworzenie. Zakochać się w kimś bez nadziei na wzajemność to gorsze niż fizyczne tortury. Dłużej trwa.

- Nie mogę przestać o niej myśleć.

- W takim razie bardzo mi ciebie żal.

Hartmann napchał fajkę tytoniem z woreczka i zapalił z ogromnym zadowoleniem. Wyznaczył sobie limit i wypalał tylko jedną fajkę dziennie. Paco przyniosła mu świeży zapas, który partyzanci znaleźli przy zabitym Niemcu. Hartmann wtedy pomyślał: "Do czegoż człowiek się nie posunie, gdy tkwi w szponach nałogu!"

- Samolot ma przylecieć jutro - powiedział nagle Lindsay.

- Tak też sobie myślałem. Widziałem, jak niedaleko stąd oczyszczali z kamieni pas do lądowania. Ten przylot wydaje się niemożliwy.

Przy takiej pogodzie...

Strzepnął białe płatki z ramienia marynarki. Śnieg sypał łagodnie i pokrywał łatami bieli pas ziemi, z którego usunięto kamienie. Było zimno, lecz ucichł ostry, przenikliwy wiatr, który

szalał przez kilka ostatnich dni.

- Na jutro zapowiadają bezchmurny, słoneczny dzień -
stwierdził Lindsay.

- To może zbiec się w czasie z nowym atakiem Jaegera. Nasz
niezłomny pułkownik ostatnio podejrzanie przycichł.

- Heljec wydał wszystkie możliwe dyspozycje potrzebne dla
zachowania ostrożności. Każdy jar, którym można dostać się na
płaskowyż, jest strzeżony. Heljeca może nie obchodzić nasz los,
lecz z pewnością chce dostać steny.

- Widziałem, jak ukradkiem, skulony pod skałą, znowu pisałeś
w swoim dzienniku, zanim Reader nie zepsuł ci dnia.

Lindsay wyjął z wewnętrznej kieszeni swój oprawiony w czarną
skórę notes, nie otwierając go w obawie przed padającymi płatkami
śniegu.

Zważył go w rękę i spojrzał na Hartmanna z ponurym wyrazem
twarzy.

- Gryzmołem w nim już od tygodni, jak wiesz. Wszystko jest
tutaj. Nasze podejrzenie o podstawionym Hitlerze w Wilczym
Szańcu.

Twoje przypuszczenia co do tego, kto jest sowieckim
szpiegiem.

Jeśli coś mi się stanie, wystarczy, że to dotrze do Londynu,
a będą wiedzieli.

- Nie wpadaj w taki nastrój...

- Czy ja dotrę na miejsce, czy nie, naprawdę nie ma
znaczenia.

Bądźmy realistami. Dziennik musi dotrzeć. A przydałoby się

bardzo, żebyś ty dotarł tam razem z nim. Zamówiliśmy ci w samolocie miejsce pierwszej klasy.

- Dziękuję.

Hartmann pykał z fajki, która przestała mu tak smakować.

Zaniepokoiło go przygnębienie Lindsaya, fatalizm, jaki wyczuł w jego słowach. Przez cały czas rozmowy Lindsay wodził wzrokiem za dwiema małymi sylwetkami, chodzącymi wolno po płaskowyżu. Za Readerem i Paco.

N.D.A OK QSRS... N.D.A OK QSRS...

Parę sekund później Meyer, wsłuchujący się w eter w dreздеńskim ośrodku kontroli łączności, zapisał serię pięciu liter i pięciu cyfr.

Wskazywały one ustalony szyfr.

- Teraz zmieniamy częstotliwość z 43 milimetrów, na których Duch nadaje tylko sygnał wywoławczy, na pasmo 39 milimetrów -powiedział do siedzącego naprzeciwko Waltera Schellenberga. - To długość, na której nadają treść meldunku.

Meyer złamał system Lucy.

Zabrało to wiele miesięcy żmudnego, cierpliwego eksperymentowania, lecz były zegarmistrz odniósł zwycięstwo. Schellenberg ze słuchawkami na uszach pochylił się nad odbiornikiem, a jego przenikliwe oczy zaśniły triumfem.

Po dziesięciu minutach zapisywany przez Meyera radiogram dobiegł końca. Działo się to wieczorem w przeddzień ataku powietrznego, jaki Jaeger miał zamiar skierować na płaskowyż w Bośni. Schellenberg zdjął słuchawki i wstał.

- Jest pan geniuszem. - Wyciągnął rękę i potrząsnął dłonią

Meyera. - Przejdzie pan do historii. Mam nadzieję, że pan to wie?

- Wykonałem po prostu swoje zadanie.

- A ta ruchoma stacja nasłuchowa w Strasburgu...

Wewnątrz szklanej kabiny zadzwonił telefon. Meyer podniósł słuchawkę i skinął do Schellenberga.

- To pewnie oni. Są bardzo szybcy.

Przedstawił się, znów kiwnął potwierdzająco w stronę Schellenberga i słuchał rzucając tylko od czasu do czasu słowo komentarza:

- Znowu?... Tak jak poprzednio... Jesteście całkiem pewni?

Podziękował wylewnie rozmówcy, co nie uszło uwagi Schellenberga. Szef SD miał wyczulone oko na takie drobiazgi. Meyer, zwykle tak skromny, tym razem z trudem ukrywał rozpierającą go satysfakcję:

- Strasburg po raz czwarty określił lokalizację Ducha. Jest w Szwajcarii. W Lucernie.

- Mam go! Massona ze szwajcarskiego wywiadu. - Schellenberg potrząsnął głową z niechętnym podziwem na myśl o bezczelności swojego przeciwnika. - Masson pozwala tajemniczemu operatorowi wysyłać meldunki do Rosjan. Wiemy, że to oni je odbierają.

- Bo zawsze używają w swoich szyfrach pięciu liter i pięciu cyfr - wtrącił Meyer.

- Właśnie! Po tylu miesiącach! - Schellenberg nie mógł usiedzieć na miejscu. Potrafił okazywać nieposkromiony i zaraźliwy entuzjazm, to częściowo tłumaczyło jego popularność wśród podwładnych. - Teraz mogę dopaść Massona! Zmusić go, aby

wyjawił, kto jest szpiegiem w Wilczym Szańcu! Może jeszcze zdążymy zmienić wynik całej wojny!

Było to typowe dla Schellenberga, że mówił Meyerowi otwarcie o najściśle strzeżonych tajemnicach państwowych. Meyer był całkowicie godny zaufania. Okazując mu to zaufanie Schellenberg zyskiwał w zamian absolutną lojalność swego podwładnego i ogromne zaangażowanie w wyznaczone mu zadanie.

- Czekałem na to czwarte potwierdzenie - ciągnął Schellenberg. - Umówiłem się już z Massonem, mam się z nim spotkać za kilka godzin w Szwajcarii.

- Przepuszczą pana przez granicę?

Meyer nie posiadał się ze zdumienia. Przecież byłoby to zasadnicze naruszenie bezcennej neutralności Szwajcarii, której to państwo strzegło jak dziewica swego wianuszka.

- Podróżuję incognito - wyjaśnił z emfazą Schellenberg. - Już tam kiedyś byłem. A teraz muszę natychmiast wyjechać z Drezna.

Brygadierze Rogerze Masson, przybywam!

I pędem wybiegł na gęsto padający śnieg.

O dziesiątej wieczór w Zagrzebiu Jaeger został powiadomiony przez posterunek wartowniczy na parterze starej willi, że chce się z nim widzieć Karl Gruber z gestapo.

- Każcie mu poczekać! - Jaeger rzucił słuchawkę na widełki i odwrócił się do Schmidta, który siedział przy sąsiednim biurku, zatopiony w studiowaniu mapy Bośni. - Teraz, gdy potrzebna nam każda minuta, żeby sprawdzić szczegóły operacji "Kruk", i gdy

będziemy mieli szczęście łapiąc choć godzinę snu, jak myślisz, kto puka do naszych drzwi? Gruber z gestapo!

- Musiał zwęszyć smakowity żer, skoro naraził swoją ceną skórę choćby na przyjazd do Zagrzebia. Lepiej, żeby pan go przyjął.

W ten sposób dowiemy się, co kombinuje, i będziemy mogli sprowadzić go na fałszywy trop.

- Masz zupełną rację - przyznał niechętnie Jaeger. - Jak zawsze - dodał oschle.

- Czy mam zejść na dół i sam go przyprowadzić? Mogę go wstępnie trochę rozzłościć. Powiem mu, że jest pan bardzo zajęty. Czy sprawa, z którą przychodzi, jest naprawdę tak ważna? Lepiej się przespać i odłożyć to do rana. Mogłoby mi się udać, a rano już nas tu nie będzie.

- Miałbyś sporo szczęścia! I ani słowa o operacji "Kruk" - ostrzegł Jaeger.

- Czy wyglądam na tumana?

- Nie zadawaj głupich pytań, to nie usłyszysz głupich odpowiedzi.

W przeddzień spadochronowego desantu ci dwaj mężczyźni stali się sobie, jeśli to możliwe, jeszcze bliźsi. "Mogę się uważać za w czepku urodzonego, skoro mam Schmidta - pomyślał Jaeger, gdy jego podwładny wyszedł. - Powinienem go powstrzymać od brania udziału w tej akcji".

Czekał tylko kilka minut. Rozległo się pukanie do drzwi.

- Wejść! - zawołał.

W obramowaniu framugi stanął Gruber w towarzystwie Williego

Maisla. Cholerny tandem w komplecie. Schmidt za plecami gestapowców zasalutował drwiąco.

Jaeger siedział za biurkiem jak wykuty z kamienia, bez słowa pozdrowienia. Dostrzegł, że Schmidt, zanim zszedł na dół, złożył mapę.

Można mu było ufać, bez przypominania troszczył się o takie szczegóły.

Dwaj funkcjonariusze gestapo usiedli na krzesłach, które Schmidt ustawił dosyć daleko od biurka. Gruber nie zważając na to natychmiast przysunął się bliżej. Wyciągnął pulchną rękę do Jaegera, ale ten spuścił szybko oczy na papiery i udał, że tego nie zauważył. Pomyślał, że Willi Maisel robi wrażenie niezadowolonego z całej sprawy.

Gruber obrócił się na krześle. Wbił wzrok w Schmidta, który usiadł za swoim biurkiem, a następnie odwrócił się znów do Jaegera i patrzył na niego spod podpuchniętych powiek. I on, i Maisel wyglądali na zmęczonych.

- Sprawa jest ściśle poufna - zaczął Gruber. - Jeżeli pan pozwoli, byłoby lepiej, gdybyśmy zostali sami.

- Nie pozwolę. Co więcej, pana propozycja jest obrazą dla Schmidta, który, w razie gdyby coś mi się stało, automatycznie przejąłby po mnie komendę.

- Czy coś panu grozi, panie pułkowniku? - spytał Gruber.

- Każdego z nas może spotkać wypadek. Chorwaccy bandyci lubią podkładać bomby zegarowe w najbardziej niespodziewanych miejscach. Stałby się pan ich naczelnym celem, gdyby dowiedzieli się o pana obecności tutaj.

Z satysfakcją zaobserwował wywołany przestrawem skurcz na ciastowatej gębie oficera gestapo. Nie powiedział nic więcej, zmuszając Grubera do podjęcia tematu.

- Jak rozumiemy, wkrótce może pan mieć w ręku Lindsaya. Gdy go pan dostanie, ma on zostać przekazany do siedziby gestapo w Grazu na przesłuchanie.

- Na drobny amatorski manicure metodą wrywania paznokci i łamania palców? - spytał ironicznie Jaeger i pokręcił odmownie głową. - Nic z tego. Jeśli kiedykolwiek schwytemy Lindsaya, osobiście odeskortuję go do Wilczego Szańca przed oblicze fuhrera.

Gruber stracił panowanie nad sobą. Maisel wznosił oczy do sufitu, kiedy jego szef wyszarpnął z kieszeni złożony dokument i rzucił go na biurko. Gruber uniósł zaciśniętą pięść, żeby walnąć nią w dokument, i już otwierał usta, gdy nagle dostrzegł wyraz twarzy Jaegera. Pięść zawisła w powietrzu.

- Moje instrukcje - powiedział normalnym głosem - zostały wydane z rozkazu fuhrera.

Jaeger rozłożył arkusz papieru, cały czas obserwując Grubera kątem oka. Potem przeczytał dokładnie dokument, złożył go i grzecznie oddał z powrotem. Odchylił się do tyłu i założył ręce na piersiach.

- Ten świstek jest podpisany przez Bormanna. Mam w swoim posiadaniu dokument nadający mi wszelkie pełnomocnictwa i podpisany przez samego fuhrera. Niech pan wraca do swojej kwatery i prześpi się trochę. Albo jeszcze lepiej - jedzie na lotnisko i leci z powrotem do Niemiec. Nie mogę ręczyć za pana

bezpieczeństwo w tym kraju.

Zrobi pan, jak uważa. - To mówiąc wstał i założył ręce na plecach, by Gruber nie miał złudzeń, że poda mu dłoń. - Życzę bezpiecznej podróży, panowie.

- Otwórz sam furgonetkę, Mosze - powiedział Właczek.

-Zobacz, co masz w zasięgu ręki pod warunkiem, że wykonasz zadanie.

Podał kluczyki niskiemu, mocno zbudowanemu mężczyźnie.

Furgonetka stała na zamkniętym podwórku w zapadłym zakamarku Jerozolimy. Mosze - nie było to jego prawdziwe imię - był przywódcą nacjonalistycznej grupy "Stern", jednej z najbardziej czynnych i okrutnych organizacji żydowskiego podziemia.

Mosze powtórnie obrzucił szybkim spojrzeniem brukowane podwórze i wsunął klucz do zamka. Otworzył drzwi po lewej stronie i wpatrzył się w stertę świeżo naoliwionych karabinów typu Lee Enfield 303. Z tyłu za nimi piętrzył się stos skrzynek z amunicją.

- Pospiesz się - ponaglił go Właczek. - Na razie możesz tylko popatrzeć na towar. Dostawa po wykonaniu zadania.

- Kiedy przyjeżdża ten Lindsay; którego chcesz zlikwidować?

- Wkrótce. Niebawem. Ma przylecieć na lotnisko Lydda.

- Za dobrze strzeżone.

- Poczekaj, aż skończę - warknął Właczek. - Zostanie w Jerozolimie jeden, może dwa dni. Dostaniesz informację, gdzie go trzymają.

Dam ci znać natychmiast, gdy tylko przyjedzie.

Ciemnowłosy Mosze o smagłej cerze, poznaczonej śladami po ospie, kiwnął z powątpiewaniem głową, wszedł do furgonetki i wybrał na chybił trafił jeden karabin.

Upewniwszy się, że jest nie naładowany, sprawdził mechanizm: zwolnił bezpiecznik, złożył się do strzału pod osłoną wozu i nacisnął spust. Odłożył karabin. Podeszedł do jednej ze skrzynek, wyciągnął spod wytartej marynarki łom i podważył wieko..

Wyjął garść naboji, wybrał jeden, wrócił do karabinu i wsunął nabój do zamka, zasunawszy uprzednio bezpiecznik ku wielkiej uldze Właczka. Wyjął z powrotem nabój, rzucił go do skrzyni i upuścił karabin na podłogę. Zwinnie zeskoczył na ziemię, pozostawiając Właczkowi zamknięcie furgonetki.

- Twój Lindsay już jest martwy - oświadczył.

Była w tym wszystkim pewna gorzka ironia losu. W Jugosławii Reader handlował bronią, aby ocalić życie oficera RAFu i wywieźć go w bezpieczne miejsce na Bliskim Wschodzie. Zaś w Palestynie Właczek opłacał grupę "Stern" karabinami skradzionymi z angielskiego magazynu wojskowego, by położyć kres życiu Lindsaya. W wojennej zawierusze uniwersalną walutą nie były pieniądze czy złoto - lecz broń.

Gdy tylko Mosze odjechał na swoim motocyklu, Właczek dał znak. W jednym z budynków otaczających puste podwórze otworzyły się podwójne wrota. Wewnątrz stała duża ciężarówka, bez oznakowań, z opuszczoną tylną klapą. Dwie grube deski tworzyły rampę prowadzącą do wnętrza.

Właczek zasiadł za kierownicą furgonetki z ładunkiem karabinów i amunicji. Poprowadził ją na ukos przez podwórze i z

wielką wprawą wjechał po zaimprovizowanej rampie do większego samochodu. Jakiś mężczyzna zamknął klapę i skierował się szybko do szoferki.

Nie minęło nawet pięć minut od odejścia Moszego, a duża ciężarówka wyjechała na opustoszałą ulicę. Utrzymując prędkość znacznie mniejszą od dozwolonej pojechała krętą trasą do kolejnego podwórza kilka kilometrów dalej, gdzie została w podobny sposób ukryta.

Właczek wyłonił się spod budy ciężarówki strzepując kurz z ubrania.

Nie miał zamiaru ryzykować, że grupa "Stern" urządzi napad i zrabuje broń przed dotrzymaniem warunków umowy. Podobnie jak w Jugosławii, w tym kraju nie można było nikomu ufać.

Zmrok zapadł już jakiś czas temu. Lindsay, Paco i Hartmann, skuleni razem w jaskini, czekali na Readera, który poszedł z nadajnikiem na wzniesienie na skraju płaskowyżu. Śnieg przestał padać -jeden dobry znak - lecz było przeraźliwie zimno. Nie rozpalali ogniska. Heljec wszystkim kategorycznie tego zabronił.

Wreszcie w wejściu pojawił się Reader.

- Jutro o jedenastej - powiedział składając antenę radiostacji. -Wysyłają po nas dakotę, daj nam Boże zdrowie.

Miejmy nadzieję, że ta, którą przyślą, będzie miała oba skrzydła.

- Czy to już stuprocentowo pewne? - spytała Paco. - Żadnych zastrzeżeń?

- Pewne jak ewangelia. Podałem im naszą pozycję na mapie.

Szanowna pani potrzebuje widać biletu w garści, żeby dać się

przekonać.

- Wiesz cholernie dobrze, że mieliśmy już do tej pory sporo fałszywych alarmów.

- Tym razem przylatują. Lindsay jest im potrzebny. Jakiś ważniak specjalnie przyleciał, by się z nim spotkać.

- Jaki ważniak? - spytał Lindsay; nagle czymś zaalarmowany.

- Nie mogę powiedzieć nic więcej, dopóki nie znajdziemy się na pokładzie i daleko stąd - odparł Reader lakonicznie. - Takie są instrukcje. - Wsunął się do zaimprovizowanego z koca śpiwora.

- Czyje instrukcje? Dokąd lecimy? Po co ta cała tajemnica?

Lindsay był niespokojny. Nie mógł dokładnie określić przyczyny, ale coś mu w tym wszystkim nie pasowało. Reader, który zaszył się głęboko w swój śpiwór, nie zrobił najmniejszego wysiłku, by ukryć irytację.

- Pewnie względy bezpieczeństwa. Słuchaj, bracie, dasz mi się. chwilę przekimać czy masz zamiar trzaskać dziobem całą cholerną noc? Jutro czeka cię długi dzień. I nas wszystkich, no nie?

- Godzina zero została wyznaczona na jedenastą. - Schmidt odłożył słuchawkę. - Właśnie nadeszła informacja od samego Stoernera.

- Wiem. - Jaeger podpisał inicjałami ostatni rozkaz operacyjny i, popchnął arkusz na drugą stronę biurka, a potem przeciągnął się i ziewnął. - Sam wybrałem taką porę na atak. Nie świt, jak zwykle, bo wtedy będą spodziewać się kłopotów. Do jedenastej powinni się trochę odprężyć i dojść do wniosku, że

nadszedł kolejny spokojny dzień. Jestem tak zmęczony, że mógłbym usnąć na tym krześle.

- Dalej, niech pan się kładzie - zarządził Schmidt. - Nie kazałem tu przynieść tych łóżek polowych w charakterze ozdoby.

Jaeger wstał, ściągnął bluzę, usiadł na łóżku i zdjął z nóg specjalne buty spadochroniarskie. Nosił je od rana, żeby się do nich przyzwyczaić. Miękkie, wygodne buty mogą stanowić o życiu lub śmierci spadochroniarza.

Wyciągnął się na pościeli i przykrył wojskowym kocem. Zanim zamknął oczy, odwrócił głowę na poduszce i spojrzał na Schmidta.

- Jutro o jedenastej. Spokojnych snów.

Rozdział czterdziesty xxx

Generał Walter Schellenberg przekroczył szwajcarską granicę w Konstancji. Fakt, że właśnie wjechał do innego kraju, mógł poznać tylko po obecności szlabanu granicznego.

Konstancja jest jedną z osobliwości geografii Europy. Całe miasto dzieli się na dwie części: północna należy do Niemiec, południowa do Szwajcarii. Schellenberg, usadowiony z tyłu mercedesa, którego okna były zasłonięte firankami, miał na sobie elegancki cywilny garnitur.

Postój na posterunku granicznym trwał nie dłużej niż minutę.

Brygadier Masson wysłał adiutanta, który załatwił wszystkie normalne formalności.

W gęstym zmroku - księżyc nie świecił tej nocy - mercedes zmierzał do małego miasteczka Frauenfeld. Brygadier Masson

oczekiwał gościa w pokoju na piętrze Gasthof Winkelreid.

Stół był nakryty do obiadu. Spoczywały na nim srebrne sztucce, a wypolerowane kieliszki lśniły w blasku świec. W wiaderku na trójnogu chłodziło się ulubione wino Schellenberga. W obitych boazerią ścianach odbijały się chybotałe płomyki świec.

- Drogi brygadierze Masson! Jakaż to przyjemność znowu pana widzieć! Gdyby pan tylko wiedział, jakim odprężeniem jest dla mnie każdorazowa wizyta w Szwajcarii! Na kilka godzin zapominam o wszystkich swoich troskach i niepokojach.

Schellenberg był tak uroczy, tak serdeczny, że mógłby całkiem rozbroić człowieka mniej czujnego niż szef szwajcarskiego wywiadu.

Masson znajdował się w zupełnie innym nastroju. Przywitał Niemca z kurtuazją, lecz był powściągliwy i chłodny, niemal zimny. Schellenberg, któremu nie zbywało na wrażliwości, wyczuł tę zmianę atmosfery w porównaniu z jego wcześniejszą wizytą, lecz udawał, że nic nie dostrzega.

Zasiedli do obiadu.

- Ostatnio natknąłem się na płótno Rubensa, całkiem przypadkowo... Wspaniały przykład jego geniuszu.

Schellenberg jadł i pił z wielkim smakiem i entuzjazmem. Prowadził inteligentną rozmowę. Obrazy starych mistrzów. Dzieła Goethego.

Nowa powieść francuska. Muzyka Beethovena. Masson ograniczył się do słuchania, a jego niebieskie oczy obserwowały wyrazistą twarz Niemca.

Dopiero gdy obiad dobiegł końca i przenieśli się na fotele,

przysunięte do kominka, na którym płonąła trzaskając iskrami przepołowiona wielka kłoda drewna, szef SD zmienił ton. Nikt ze służby nie mógł wejść teraz do pokoju bez wezwania Massona.

Schellenberg podniósł do światła głęboki kielich o kulistym dnie, z doskonałym starym koniakiem. Patrząc z zadowoleniem na trunek powiedział:

- Życie fuhrera jest w niebezpieczeństwie. Pan jest za to odpowiedzialny. Oślania pan sowieckiego szpiega, który przekazuje do Moskwy nasze najgłębsze tajemnice. Gdy tylko fuhrer się o tym dowie, zarządzi natychmiastową inwazję na Szwajcarię. Kim jest szpieg w kwaterze fuhrera? Przyjechałem po jego nazwisko.

Jock Carson siedział przy stole z surowego drewna w biurze, które sierżant Mulligan oddał mu do dyspozycji. Przez otwarte okno widział światła Jerozolimy. Tu nie obowiązywała zaciemnienie.

Wraz z aromatycznym powiewem nocnego powietrza przyptynął lekki zapach kordytu, który zawsze kojarzył mu się ze śmiercią. Było nie do zniesienia parno. Spojrzał machinalnie na mocno wyszorowany blat stołu ze zblakłymi plamami starego atramentu. Już od przeszło godziny czekał na wiadomość z Kairu. Raptem telefon się odezwał.

Sygnał zabrzczał zaledwie dwa razy, nim Carson podniósł słuchawkę.

- Mówi Carson. To ty, Harrington? To bezpośrednia linia wojskowa, więc gadaj bez ociągania. Znaleźliście coś?

- Mamy go! - Głos Harringtona dobiegał słabo, lecz na tyle wyraźnie, że Carson dosłyszał w nim triumf..

- Powiedziałem, żebyś się nie ościagał, na litość boską.

- Pamiętasz tę listę, którą mi dałeś? Listę gości hotelu

Sharon.

No więc porównałem ją z księgą hotelową w Shephardzie.

Oprócz tego Standisha powtarza się jeszcze jedno nazwisko.

Niejaki Właczek.

W. Właczek. Ta pierwsza litera oznacza imię, Wiktor.

- Jak długo mieszkał w Shephardzie?

- Spędził tam dwie noce: noc przed przyjazdem Standisha i tę po jego przyjeździe.

- Szkoda, że nie wiemy, kiedy Standish dowiedział się, że ma stąd lecieć dalej. Kim jest ten Właczek? - spytał Carson.

- Jak najbardziej godny szacunku Polak, który pracuje niedaleko koszar Abassia z tymi śmiesznymi ludźmi od propagandy.

Przybył z Rosji z polską armią...

- Z Rosji!

- Co się stało, szefie? - W głosie Harringtona pojawiło się zakłopotanie. - Przecież bijemy się z hitlerowcami, nie Ruskimi.

- Czasami mam wątpliwości. Ten Właczek ma pewnie swobodę poruszania się po okolicy.

- To również sprawdziłem. Dyskretnie. Wygląda na to, że miał zaległy urlop. Zdecydował się ni z tego, ni z owego go wykorzystać...

- To jest to! Tego właśnie szukałem. To zbyt wiele jak na przypadkowy zbieg okoliczności. Już dawno powinniśmy porozmawiać z panem Właczkiem. Mamy cholernie mało czasu.

- Dlatego zadzwoniłem od razu, jak się o nim dowiedziałem.

Czy Standish wie o przylocie Lindsaya?

- Musiałem mu o tym powiedzieć - stwierdził Carson posępnie.

- I o tym, że przyleci dakotą. Nie mogłem wszystkiego chować pod korcem. Nie wie natomiast, kiedy to ma nastąpić. Skończyłeś?

Mam spotkanie z panem Wiktorem Właczkiem.

Linda Climber wcześniej położyła się do łóżka. Teraz przewróciła się na bok i zaczęła wodzić palcem wskazującym po twarzy Whelbyego, zaczynając od gęstych brwi i przesuwając palce wzdłuż kości policzkowej i po kancie mięsistego nosa.

- Jesteś wielce tajemniczą osobą, Peter. Jak na człowieka na wakacjach masz masę zajęć. Ciągłe gdzieś się ulatniasz.

- Zawsze lubiłem samotne spacerowanie. Od czasu dzieciństwa w Indiach.

Objął ramieniem jej nagie plecy i przyciągnął ją do siebie. Przekręcił przegub i zerknął niepostrzeżenie na zegarek, a ona mówiła dalej:

- Jesteś bardzo głębokim człowiekiem, Peter. Tyle ukrywasz w swym wnętrzu.

- A teraz znów muszę się ulotnić na kilka minut. - Pocałował ją i wstał z wielkiego łóżka. - Zapomniałem zadzwonić do starego przyjaciela, któremu obiecałem jutro spotkanie. - Włożył szlafrok i ranne pantofle. - Wrócę za kilka minut. Nigdzie nie uciekaj.

- W tym stroju? Prawie goły? Możesz zadzwonić do swojego przyjaciela stąd.

- Mam jego numer u siebie w pokoju. Nigdy nie byłem w stanie zapamiętać numerów telefonów.

Przejrzał się w ściennym lustrze, przyczesał włosy i na

chwilę jeszcze odwrócił się do niej. Siedziała na postaniu podciągając prześcieradła, by zasłonić nagie piersi. Whelby nigdy nie mógł pojąć tej dziwnej kobiecej skromności. Skinął jej głową i wyszedł.

Linda zakłęta pod nosem. Doskonale wybrał sobie porę na ten telefon. Przecież w takim stanie nie pójdzie za nim, by zobaczyć, dokąd idzie. To mogło nie mieć najmniejszego znaczenia. Lecz zebrało się już zbyt dużo takich drobiazgów bez znaczenia.

- Nareszcie jakieś konkretne wiadomości - powiedział Whelby do Właczka w pokoju numer 24. - Lindsay ma wylądować jutro o nieokreślonej porze na lotnisku Lydda. Przyleci dakotą. Może się zjawić po zmroku, lecz to będzie jutro.

- Potrzeba mi więcej danych... - Kościsty mężczyzna zrobił niecierpliwy ruch ręką. - Na pewno określili jakoś w przybliżeniu porę jego przylotu albo skąd przybywa?

- Nie pisnęli ani słowa. Pytałem, lecz Mulligan zaczął się wymigiwać i wolałem go nie naciskać. To by było podejrzone.

Pokazałem ci zdjęcie Lindsaya, więc rozpoznanie nie powinno przedstawiać problemu.

- Chciałbym zatrzymać to zdjęcie. Można?

- Nie. Musi wrócić do teczki z aktami w Londynie, z której je ściągnąłem. Przegapienie takiego malutkiego szczegółu mogłoby doprowadzić do katastrofy. Kiedy się znowu spotkamy? Jaką metodę obrał pan do ro - ro - rozwiązania problemu?

- Nie spotkamy się więcej. Co do metody, to nie twoja sprawa.

Dziś w nocy opuszczam hotel. Dobrze się bawisz z panią

Climber?

Rzucił Whelbyemu szybkie, badawcze spojrzenie, chcąc sprawdzić reakcję. Nic z tego. Z łagodnej, nieśmiałej twarzy Anglika, który spacerował po pokoju z rękami w kieszeniach szlafroka, nic się nie dało wyczytać.

- Niepokoi mnie. Zadaje dużo pytań. Jest przy tym sprytna, lecz mam takie uczucie, jakby mnie sondowała.

- Jak ją spotkałeś?

- Przypadkowo, na pokładzie samolotu z Kairu. Podeszła do mnie...

- To ona podeszła do ciebie?!

Coś w głosie Właczka kazało Whelbyemu się odwrócić i spojrzeć na niego uważnie. To, co ujrzał, nie spodobało mu się. Popełnił błąd wspominając o Amerykance.

- Do czego zmierzasz? - spytał z naciskiem - Zaraz się ubierz. Jedź prosto do koszar. - Właczek spojrział na zegarek. - Zostań tam do północy i postaraj się, żeby ludzie zapamiętali twoją tam obecność. Powiedz, że czekasz na telefon z Kairu. Cokolwiek. Załatw sobie alibi.

- Nie podoba mi się to...

- Czy zostawiłeś odciski palców w pokoju pani Climber?

- Nie. To dlatego trzymam ciągle ręce w kieszeniach. Stało się to moją drugą naturą.

- Czy zostawiłeś tam coś, co należy do ciebie?

Właczek bezlitośnie poddawał go przesłuchaniu, a jego monotony głos wyprowadzał Whelbyego z równowagi.

- Nie - odparł gwałtownie.

- Nie wracaj tam. Idź prosto do swojego pokoju, ubierz się szybko i wyjdź. Masz na to dziesięć minut.

- Nie podoba mi się to - powtórzył Whelby. - Co ty knujesz?

Ta kobieta nie ma o niczym pojęcia...

- To tylko twoje przypuszczenie. Rób, co mówię. Od tej chwili ja trzymam wszystko w ręku. Musisz wykonywać rozkazy. - Właczek uśmiechnął się nieprzyjemnie. - Jak zawsze.

Jock Carson zaparkował vauxhalla przy krawężniku, wysiadł, zamknął wóz i ruszył w stronę hotelu Sharon, który wyglądał z tej odległości jak konstelacja światła. Jak na tę porę światła było dużo.

Carson podszedł bliżej i dostrzegł dwa puste wozy policyjne ukryte starannie w cieniu. Przyspieszył kroku.

Kiedy wchodził na schodki, prowadzące na taras, zatrzymał go jeden z nocnych strażników. W budynku panował niecodzienny ruch.

- Słyszał pan o tym morderstwie, sir?

- Jakim morderstwie?

"Boże - pomyślał - dopadli Whelbyego".

- Zabili jakąś Amerykankę, która tu mieszkała.

Najwidoczniej...

Nigdy nie usłyszał końca tego zdania. Jednym susem wskoczył na schodki, pchnął drzwi i wpadł do hallu recepcji. Tu został zatrzymany przez palestyńskiego policjanta w niebieskim mundurze.

- Przepraszam, sir, mógłbym zamienić z panem słówko? Pan tu mieszka?

Carson wyjął swoją legitymację, podał ją policjantowi i rozejrzał się badawczo wokół, jakby szukając poszlak. Policjant

trochę zażenowany oddał mu legitymację.

- Przepraszam, sir. Prowadzi pan dochodzenie?

- Dokąd mam iść?

- Pokój numer 8, pierwsze piętro.

Przeszedł twardym krokiem do kantoru recepcji. Jego grube nogi poruszały się jak tłoki. Ignorując recepcjonistę odwrócił hotelowy spis gości o sto osiemdziesiąt stopni i przesunął palec w dół kolumny nazwisk. Pani L. Climber, pokój 8. Pan P. Standish, pokój 6.

W. Właczek, pokój 24.

- W czym mogę panu...? - Zaczął recepcjonista.

Carson wbiegł po schodach. Na górze zatrzymał się, by zerknąć na zegarek. Kwadrans po północy. Kolejny funkcjonariusz w mundurze stał na straży przed drzwiami pokoju numer 8. Powtórzył się manewr z okazywaniem legitymacji. Wewnątrz było gęsto od policji. Jakiś cywil w średnim wieku z torbą w ręku właśnie zamierzał wyjść.

Sprawdzano odciski palców, strzelał flesz przy robieniu zdjęć.

Sierżant Mulligan wysunął się do przodu.

- Nieprzyjemna sprawa...

- Mogę ją zobaczyć?

Nie z własnej chęci, lecz z czegoś więcej nawet niż poczucia obowiązku. Osobiście wyraził zgodę na wyjazd Lindy Climber do Palestyny. Wahał się, lecz Linda go przekonała. Mieli umowę z Jankesami: jedna Amerykanka pracowała dla wywiadu brytyjskiego, a w zamian za to Carson skierował do nich pracowniczkę służby

kobiecej z Royal Navy. Zdawało im się, że to oryginalny pomysł.

Wtedy.

Podszedł do wielkiego łóża z Mulliganem deptającym mu po piętach.

- Obecny tu doktor twierdzi, że użyto drutu, jakim tnę się.

Ser -uprzedził Mulligan. - Niezbyt przyjemny widok.

Leżała na wznak na poplamionej krwią poduszce. Gardło miała przecięte od ucha do ucha, w jej otwartych oczach zastygł wyraz przerażenia. Carson patrzył na nią z kamienną twarzą. Skłębiona, ściągnięta z materaca pościel świadczyła o tym, że dziewczyna walczyła o życie.

W całym pokoju panował jeszcze większy bałagan. Szuflady były powyciągane, ich zawartość rozrzucona po podłodze. Leżała tam szkatułka na biżuterię z wieczkiem wyrwanym z zawiasów, Carson poczuł napad mdłości. Odezwał się nienaturalnie szorstkim głosem:

- Obok jest pokój 6. Zajęty przez Standisha. Proponowałbym, żebyście wzięli stamtąd jego odciski palców. Czy została zgwałcona?

Usilnie starał się nie patrzeć na zakrwawione łóżko.

- Nie - odpowiedział Mulligan. - Przy okazji, to jest doktor Thomas...

- Brak śladów gwałtu - rzekł Thomas zawodowym, oschłym tonem, który oznaczał, że widział już takie rzeczy nieraz i chciałby wrócić do swojego łóżka. W jego głosie wyraźnie się zaznaczał walijski akcent. - Ale całkiem niedawno odbyła stosunek seksualny. Tego wieczoru.

- Definitywnie nie gwałt? - nalegał Carson. Ta kwestia była ważniejsza, niż ktokolwiek w tym pokoju zdawał sobie prawdopodobnie sprawę.

- Dopiero co powiedziałem - powiedział Thomas. - Odbyła go z własnej woli.

Carson odwrócił się do Mulligana, który przyglądał mu się z ciekawością.

- Chciałbym, żebyście zaczęli sprawdzać odciski palców pod szóstką, aby porównać je z tymi, które są tutaj. Nieważne, czy Standish śpi. Wyciągnijcie go z łóżka.

- Nie leży w łóżku. Nie ma go nawet w hotelu. Moi ludzie już rozsypują tam proszek daktyloskopijny. Weszli tam przy pomocy uniwersalnego klucza kierownika. Standish ostatnie dwie godziny spędził w koszarach. Zdaje się, że czekał na telefon z Kairu.

- Kiedy to się stało?

Carson omijał wzrokiem łóżko. Nie spojrział nawet na Thomasa. Nie lubił lekarzy.

- Dopóki nie zrobię sekcji... - zaczął Thomas.

- Wiem to wszystko! - Carson był w swoim najbardziej apodyktycznym nastroju. - Nie chcę słuchać wykrętów. Proszę mi podać termin, jaki uznałby pan za wysoce prawdopodobny.

- Pan zawsze układa dialogi za innych? - Wyglądało na to, że dopiekl lekarzowi. Wciąż na niego nie patrzył. Thomas ciągnął dalej: - Gdzieś pomiędzy dziesiątą a północą. Według mojej oceny, bliżej północy.

- Co oczyszcza Standisha z wszelkich podejrzeń - zauważył Mulligan. - Rewizja szóstki to czysta rutyna. Doktor Thomas

pewnie pragnąłby już iść, jeśli nie ma pan więcej pytań.

Carson potrząsnął głową i odczekał, póki lekarz nie wyszedł.

- Jaka jest według was przyczyna tej zbrodni? Wygląda tu jak po przejściu huraganu.

- Niezwykle brutalny napad rabunkowy. Szkatułka na kosztowności została otwarta na siłę. Jest pusta. Ślady ściągnięcia przemocą obrączki z palca. To nasuwa podejrzenie, że działał profesjonalny włamywacz. Morderstwo zaś temu zaprzecza, a szczególnie zastosowana metoda.

- Pokój 24 - powiedział Carson. Odpiął kaburę. - Lepiej weźmy ze sobą paru ludzi z bronią gotową do strzału. Mieszka tam niejaki pan Wiktor Właczek.

Mulligan nie spierał się z tą decyzją ani nie zadawał pytań. Zawołał dwóch swoich ludzi i wyszedł za Carsonem z pokoju. Dotarli pod pokój numer 24. Mulligan spojrzął na Carsona, oczekując wskazówek.

- Klucz uniwersalny - wyszeptał Carson. Był oburęczny, więc trzymając smith and wesson w lewej ręce, prawą wziął klucz, wsunął go ostrożnie do zamka i równie delikatnie przekręcił. Potem ujął klamkę, nacisnął ją szybko i szarpnięciem otworzył drzwi na oścież.

Zatrzymali się przed progiem, osłupiali z zaskoczenia. Pokój był pusty i w stanie kompletnego chaosu. Pościelanie na wpół zdarte z łóżka.

Poduszki na podłodze. Wyciągnięte i rzucone do góry dnem szuflady.

Otwarte drzwi szafy i ściągnięte z wieszaków ubrania,

rozwłócone w nieładzie po podłodze.

Carson zbliżył się na palcach do łazienki. Drzwi były otwarte.

Zajrzał do środka i potrząsnął przecząco głową. Wtem powiew nocnego powietrza zatrzepotał zasłonką na oknie. Podeszedł i wyjrzał na zewnątrz. Dopiero wtedy zapiął kaburę rewolweru i odwrócił się do pozostałych.

- Cholera, znów to samo - powiedział Mulligan. - Ile pokoi wybebeszył dzisiaj w nocy?

- Pewnie tylko te dwa.

- Nic nie rozumiem.

- Na tym prawdopodobnie polegał cały pomysł. - Carson wskazał ręką otwarte okno. - Na zewnątrz są schody pożarowe.

Można się wymknąć z hotelu jakimś tylnym wyjściem?

- Bez najmniejszego trudu. Jest podwórze, garaże, niski murek, który nawet dziecko by przeskoczyło, za nim zarośnięty ugór, a dalej jest się już na spokojnej ulicy. W dodatku te schody pożarowe biegną też za oknem pani Climber, które również było otwarte. Kiedy nas pan tu prowadził, myślałem, że to Właczek, ale... - Mulligan zrobił bezradny gest. - To samo zdarzyło się tutaj. Gdzie jest jego ciało?

- Sądzę, że nigdy go pan nie odnajdzie, sierżancie. To była robota wysokiej klasy zawodowca. Od początku do końca. Teraz zaczynam się naprawdę niepokoić...

- Tym, co tu się stało?

- Myślę, że to dopiero wstęp. Coś na wejście.

Za oknami pokoju na piętrze Gasthof Winkelreid w

miejsowości Frauenfeld, gdzie Masson siedział twarzą w twarz z Schellenbergiem, padał gęsty śnieg. Słychać było hurkot pługu śnieżnego, który szef szwajcarskiego wywiadu zamówił do przetarcia drogi. Jego gość z Niemiec pod żadnym pozorem nie mógł zostać w Szwajcarii na noc.

- Domagam się stanowczo, aby wyjawiał mi pan nazwisko sowieckiego szpiega, który działa w Niemczech - powtórzył szef SD. -W przeciwnym wypadku nie biorę na siebie odpowiedzialności za. konsekwencje.

- Żadna inwazja Wehrmachtu na mój kraj nie będzie miała miejsca - wtrącił zimno Masson. - Usiłuje mnie pan szantażować, lecz spod tego przegląda blef.

- Nie blefuję. Istnieje pewna mapa...

- Jestem od przeszło dwóch lat w posiadaniu kopii tej mapy.

Masson mówił prawdę. Mapa, o której wspomniał Schellenberg, została wydrukowana w Niemczech. Przedstawiała przyszłe granice Wielkiej Rzeszy, obejmujące wszystkie narody niemieckojęzyczne, włączając w to Szwajcarię, której obszar w siedemdziesięciu procentach zamieszkiwali ludzie mówiący po niemiecku.

Pomimo żaru, bijącego z wielkiego paleniska, rozmowa dwóch mężczyzn utraciła wszelkie pozory ciepła. Starli się teraz otwarcie.

W dotychczasowych spotkaniach Schellenberg na przemian przymilał się i groził, Masson zaś był ustępliwy i chętny do współpracy. Obecnie Schellenberg nie wierzył własnym oczom. Szef szwajcarskiego wywiadu był uparty, twardy, nie ustępował nawet na krok.

- Wehrmacht już teraz nie może sobie dać rady - ciągnął bez osłonek Masson. - Utworzenie nowego frontu przekracza jego możliwości. A może pan nie słyszał, że Armia Czerwona posuwa się za Kijów?

Wehrmacht cofa się na całej linii. Alianci są we Włoszech. W czterdziestym czwartym, jak wszyscy wiemy, utworzą drugi front we Francji.

- Mamy pewne problemy - przyznał Schellenberg.

- To pan może mieć wkrótce duży problem - stwierdził bezlitośnie Masson. - Przypuśćmy - wysuwam tylko przypuszczenie - że Niemcy przegrają wojnę? Będzie pan wtedy potrzebował kryjówki, miejsca, w którym mógłby się pan schronić, by uniknąć schwytania przez Rosjan. Bardzo możliwe, że na pana drodze do wolności wśród aliantów znajdzie się Szwajcaria..

Tym, co najdobitniej obrazowało zmianę w stosunkach między dwoma mężczyznami, były ich pozy. Schellenberg zapadł się w fotel z pustym kieliszkiem po koniaku, zaś Masson siedział wyprostowany jak sędzia, z surowym wyrazem twarzy.

- Orientujemy się - naciskał dalej szef szwajcarskiego wywiadu - że za wiedzą i pełnym poparciem Himmlera podjął pan wstępne, jak dotychczas bezpłodne, działania wobec aliantów, mające na celu zawarcie separatystycznego układu pokojowego z wyłączeniem Sowietów.

To była prawda. Materiały archiwalne, które ujrzały od tamtej pory światło dzienne, dowodzą, że już w końcu 1943 roku Himmler upoważnił Schellenberga do wysunięcia w stosunku do Brytyjczyków ostrożnych propozycji pokojowych. Himmler nie

ponosił żadnego ryzyka. Gdyby jakimś trafem fuhrer wywęszył tę zdradę, reichsfuhrer Himmler wyparłby się wszelkiej wiedzy o poczynaniach swojego zastępcy.

- To cholerne oświadczenie alianckich dowódców z Casablanki tylko zwiększyło opór naszych ludzi - warknął Schellenberg.

-Żądają bezwarunkowej kapitulacji Niemiec! Czyste szaleństwo! Czy Churchill nie zdaje sobie sprawy z zagrożenia, jakim dla Zachodu są bolszewicy?

- Owszem, Churchill tak - odparł Masson. - Ale Roosevelt, oddalony od Europy o pięć i pół tysiąca kilometrów, nie. Pewnego pięknego dnia będzie pan bardzo potrzebował kryjówki, przyjacielu.

Nie umieszczę tej części naszej rozmowy w raporcie da mojego naczelnego dowódcy, generała Guisana.

- Będę panu głęboko wdzięczny... - Pewność siebie Schellenberga znikła i był już zdolny tylko do wyrażania wdzięczności. Podjął ostatni wysiłek: - A więc odmawia pan podania nazwiska sowieckiego szpiega? Muszę zaraz jechać.

- Nie mogę panu pomóc.

I chociaż Schellenberg absolutnie w to nie uwierzył, Masson mówił szczerą prawdę. Nie miał najbledszego pojęcia, kim naprawdę był Dziecioł.

W Jerozolimie sierżant Mulligan odwiózł Carsona z powrotem do koszar, pędząc z dużą szybkością ciemnymi ulicami. Jeep nie zwalniał na zakrętach. Carson miał wrażenie, że pokonują je na dwóch kołach.

- Zawsze pan tak prowadzi? - zapytał całkiem spokojnie.

- W nocy tak. Nie chce pan chyba, żeby ktoś w nas cisnął granatem? Zakręty są niebezpieczne.

- Aż tak?

- Jeszcze gorzej. Oto jesteśmy, dzięki Bogu.

Pierwszą czynnością Mulligana po dotarciu na miejsce o drugiej rano było zarządzenie pełnego alarmu i poszukiwań Wiktora Właczka.

Miał jego dokładny rysopis od Harringtona z Kairu. Rzuciwszy słuchawkę spojrzął przez biurko na Carsona, który rozglądał się po pustym pokoju.

- Nic nie obiecuję - uprzedził. - Mógł się łatwo przemknąć przez granicę do Syrii. Ci z Kairu uprzedzą Wolnych Francuzów, ale co ich to obchodzi?

- Rzeczywiście, co ich to obchodzi? - zgodził się Carson ze znużeniem w głosie.

W istocie nikt więcej nie widział Właczka. Przyjęto, że przekroczył granicę syryjską. Stamtąd mógł nader łatwo przedostać się na północ, przejść długą granicę z Turcją i dostać się do sowieckiej republiki Armenii.

Gdy brzask rzucił pierwsze złowrogie światło na Palestynę, człowiek zwany Mosze - który wiele lat później zajmował wysokie stanowisko w rządzie Izraela - siedział ukryty za skupiskiem skał nad drogą z Lyddy do Jerozolimy. Nastawił ostrość lornetki i w jej szklach pojawiło się gwałtownie powiększone lotnisko Lydda. Mosze usadowił się wygodnie. Przewidywał długie oczekiwanie. Nadszedł właściwy dzień.

Rozdział czterdziesty pierwszy

Major Murray - Smith, niski, mocno zbudowany mężczyzna z małym, ciemnym, równym wąsikiem, siedział za sterami dakoty, która mknęła nad Morzem Śródziemnym w stronę Jugosławii. W opinii kolegów był zarozumiałym draniem, lecz nie brakowało mu ikry.

Ogłosił swoją decyzję w kasynie w ostatniej chwili przed startem z lotniska Benina w Libii. Normalnie oficer jego stopnia nie podejmowałby się wykonania takiego zadania.

- Czy to rozsądne? - spytał z powątpiewaniem szef lotniska.

- A kogo obchodzi pański zdrowy rozsądek? - wypalił w odpowiedzi Murray - Smith. - Ja tu wszystkim dowodzę, więc mam ostatnie słowo. Sam wezmę dakotę - powtórzył. - Bóg jeden wie, że już wystarczająco długo trwały próby, żeby wyciągnąć tego biednego sukinsyna z gówna, w jakie wpadł.

- Decyzja należy do pana.

- Dobrze wiedzieć, że tak szybko to do pana dotarło. Conway może być moim drugim. Dobra, Conway? Zadowolony? No to się uśmiechnij, niech cię cholera.

"Whisky" Conway, którego przezwisko świadczyło wymownie o jego upodobaniach, był jak najdalszy od zadowolenia i podejrzewał, że został wybrany z czystej złośliwości. Murray - Smith podsłuchał niedawno, jak w jednym z momentów alkoholowego zamroczenia mówił o nim "ten kieszonkowy Hitler".

Samolot leciał na wysokości trzech tysięcy metrów. Conway miał rozłożoną na kolanach wielką mapę. Pilnował trasy. Nie wiedział o tym, lecz właśnie z tego powodu Murray - Smith zrobił

go w to zadanie - był prawdopodobnie najlepszym nawigatorem między Algierem a Kairem.

- Wygląda na to, że te pacany od meteo choć raz trafiły w dziesiątkę - zauważył Murray - Smith. - Jasne, że udało im się to tylko jakimś nieprzytomnym fartem.

Niebo było jak ocean bladego błękitu bez najmniejszego białego kłaczków w polu widzenia, a Morze Śródziemne pod nimi - równie pustą i spokojną gładzią o głębszej niebieskiej barwie. Murray - Smith spojrział na zegarek. Nigdy nie ufał tej cholerniej tablicy rozdzielczej, gdy miał na podorędziu inne prostsze przyrządy. Był postrachem służby naziemnej.

- Ja muszę pilotować tę latającą trumnę. - Tak brzmiało jego ulubione wyrażenie. - Wy stoicie sobie mocno obiema girami na terra firma, kapralu - oznajmił mechanikowi przed startem. - Wystarczy jedna obluźwana śrubka tutaj... - klepnął się w głowę -albo tutaj... - plasnął ręką w kadłub -... a zostanie po mnie tylko mokra plama.

Och, w świecie majora Murray - Smitha on sam był bez wątpienia największą jego ozdobą! Ludzie przyspieszali kroku na jego widok - starając się zniknąć z jego pola widzenia.

- Będziemy tam za sześćdziesiąt minut. Zgadza się, Conway? -spytał przechylając o włos maszynę, by utrzymać ten sam kurs.

- Zgadza się, sir. Za sześćdziesiąt minut wylądujemy w kotle...

- Uszy do góry! Heljec, czy jak się tam, łobuzie, nazywasz, przybywamy! - krzyknął Murray - Smith. - Mamy broń, ty masz faceta, więc nie będziemy się bawić w długie podchody!

"Rany - pomyślał Conway - on się świetnie bawi".

Hartmann i Paco przeszli powoli całą długość prowizorycznego pasa, sprawdzając każdy centymetr ziemi. Za nimi podążał gniewny Heljec. Niemiec wciąż podważał autorytet dowódcy partyzantów, zatrzymując się co chwila i domagając usunięcia kamieni, które wystawały choć parę milimetrów nad powierzchnię. Paco służyła za tłumacza. Po wydłubaniu kamyczka wgłębienie musiało zostać wypełnione żwirem i mocno ubitą ziemią z dużego, wiklinowego kosza, dźwiganego przez dwóch partyzantów.

- Nic dziwnego, że do niczego nie mogą dojść w tym zakazanym kraju - rzędził Hartmann. - Co za partacze! Przepraszam, Paco, mówię o twojej ojczyźnie...

- Jestem pól - Angielką - przypomniała mu. - I nie myślę, żebym miała ochotę tu wrócić. Nigdy. Nie mogę pogodzić się z tym, co zrobiła Brygada Amazonek.

- Idź i popraw Lindsayowi humor.

- Jak skończymy. Samolot powinien być tu niedługo. Jest prawie jedenasta.

Lindsay, którego gnębiła świadomość, że to on powinien dopilnować tego, czym właśnie zajmował się Hartmann, siedział na skale w stanie krańcowego wyczerpania. Jego siły znów nadwerżyła gorączka. Przeklął w myślach porę wyjazdu, która musiała nastąpić właśnie w okresie nawrotu choroby. Zza głazu wyłonił się doktor Maćek.

- Świat nie budzi dziś w panu specjalnego entuzjazmu, co?

- spytał i położył Lindsayowi rękę na czole.

- Nie jest tak źle. Powinienem jednak być tam, z Hartmannem

i Paco.

- Gorączka już opadła, lecz potrzebuje pan czasu na rekonwalescencję. To dobrze, że ten samolot wreszcie przybywa po tylu miesiącach.

- Chcę podziękować za wszystko, co pan dla mnie zrobił...

- To tylko mój zawód. Najlepiej mi pan podziękuje robiąc sobie solidny odpoczynek po przybyciu na miejsce. Może spotkamy się jeszcze pewnego dnia.

- Jakoś nie wydaje mi się to możliwe.

Maćek z uśmiechem na łagodnej twarzy przytaknął skinieniem głowy i odszedł. Cały płaskowyż był pusty w jasnym świetle poranka, jeśli nie liczyć grupy ludzi, którzy sprawdzali i poprawiali lądowisko.

Heljec ukrył swój oddział w ujściach parowów, wrzynających się w brzegi płaskowyżu. Był święcie przekonany, że odciął wszystkie drogi dostępu do swojej tymczasowej twierdzy.

Lindsay zebrał siły, wstał z trudem i ruszył krok za krokiem, mozolnie powłóczę nogami, w stronę lądowiska. Wspierał się na lasce, którą zrobił dla niego Milić. Biedny Milić, zabity podczas moździerzowego ataku całą wieczność temu. Milić, o którym nigdy nikt nie mówił, jakby partyzanci o nim zapomnieli.

- Jak wam idzie, Hartmann? - zawołał. - Samolot chyba zaraz powinien tu być?

- Pas jest wyrównany, przyjacielu - odparł Niemiec. - W miarę możliwości. Tak, dakota może nadlecieć w każdej chwili, jeśli przybędzie na czas.

- Chciałeś powiedzieć: jeśli nas w ogóle odnajdzie.

- Chyba masz zaufanie do RAF - u? - zażartował Hartmann.

Zdawał sobie sprawę, ile kosztował Lindsaya ten spacer, ale nie uczynił żadnego gestu, by wesprzeć Anglika. Wiedział, iż Lindsay obruszyłby się, że traktuje go jak kalekę. - Ma przylecieć z południa, więc powinniśmy obserwować tę stronę nieba.

- Jestem zdenerwowana jak kobieta przed pierwszym porodem -powiedziała Paco. - Śmieszne, co?

- Wszyscy jesteście trochę spięci - zapewnił ją Lindsay przystając i osłaniając dłonią oczy, by zlustrować niebo.

Czyżby odezwały się w nim stare odruchy? Wspomnił dni, kiedy siedząc za sterami spitfirea nad wspaniałymi zielonymi polami Kentu uczył się patrzeć jednocześnie we wszystkie strony świata. Jednocześnie i bez wytchnienia.

Zgodnie z sugestią Hartmanna spojrział na południe, a potem obrócił się wolno dokoła, przepatrując wolno cały widnokrąg. Na niebie nie było ani jednej chmurki. Nie do uwierzenia po wczorajszej śnieżycy. Ostre wierzchołki gór rysowały się wyraźnie na tle błękitu.

Na wschodzie pusto. Północno - wschodni wschód. Nic. Obracał się wolno jak wskazówka kompasu. Zawsze wyróżniał się wyjątkowo dobrym, iście jastrzębim wzrokiem. Zwracał się teraz ku północy.

Przesunął wzrok o następnych kilka stopni. Zamarł "O Boże! Nie!" -pomyślał z rozpaczą.

- Zaraz wszyscy zaokrętuujemy się na pokład starego szkunera!

Widzicie go, jak przelatuje nad tym grzbietem - tam, na południu?! -krzyczał podekscytowany Reader, który dołączył do

nich z radiostacją w plecaku. Udał się na najwyższy punkt płaskowyżu, usiłując w ostatniej chwili przed odlotem nawiązać łączność. Ze swego wzniesienia pierwszy dostrzegł zbliżającą się dakotę.

- Wy durne sukinsyny, popatrzcie na północ! - ryknął

Lindsay. - Lecą Niemcy! Cała armada z desantem!

W kabinie dakoty Conway z podniecenia walił pięścią w mapę na kolanach. Wydarł w niej dziurę.

- To ten płaskowyż! I umówiony znak - komunistyczna gwiazda pięcioramienna, ułożona z kamieni. Rany Boga, cholernie tu łatwo o błąd w obliczeniach...

- Uspokój się, chłopie - zgromił go Murray - Smith. -

Mógłbym wylądować tym na tyłku pszczoły.

- Na to właśnie się zanosi!.

Conway chwycił lornetkę polową, podkręcił ostrość i spojrzał na małe figurki, zadzierające głowy w kierunku nadlatującej dakoty.

Jedna z nich machała kosturem trzymanym w jednej ręce, a drugą pokazywała znak uniesionego kciuka. Nagle zaczęła dziko gestykulować kijem.

- Myślę, że ten z laską na dole to Lindsay. Wymachuje tym kosturem jak opętany. Zresztą to zrozumiałe...

- Całkowicie, biorąc pod uwagę, że od północy nadciąga chyba cała cholerna Luftwaffe - stwierdził Murray - Smith z gryzącym sarkazmem. - Jesteśmy dużo bliżej niż oni, może nam się uda zwać.

- Wielki Boże!

Conway dopiero teraz zobaczył coś, co Murray - Smith dostrzegł kilka sekund wcześniej: chmurę czarnych przecinków.

Rosły w oczach.

Szwabskie transportowce. Na średnim pułapie. Porządnie rozciągnięte w szyku, szereg za szeregiem, ani jedna maszyna nie leciała nad inną.

- Na moje oko szykują desant - powiedział Murray - Smith.

-Jakaś większa operacja. No to w dół. Miejmy tylko nadzieję, że wydłubali z tego pasa wszystkie kamienie. Zaraz się zresztą sami przekonamy, no nie?

Jaeger ze Schmidtem u boku siedział w samolocie dowódcy. Obaj byli wyekwipowani w przygotowane do skoku spadochrony. Lot z Zagrzebia przebiegał bez zakłóceń. Pierwszy przerywający monotonię sygnał nastąpił, gdy pułkownik Stoerner, dowódca spadochroniarzy, został pospiesznie wezwany do kabiny pilotów.

- Musimy być cholernie blisko celu - orzekł Schmidt.

-Zaczynam się pocić.

- Tak jak wszyscy.

Spadochroniarze siedzieli naprzeciwko siebie w dwóch rzędach wzdłuż całego kadłuba. Kontroler stanął przy drzwiach. Jaeger przesunął wzrokiem po rzędach nieruchomych twarzy. Wszyscy mieli krople potu na czołach. Nikt się nie odzywał. Jaeger mógł wręcz wyczuć nosem rosnące napięcie, niemaskowany strach. Żołnierze patrzyli prosto przed siebie, zastygli w nienaturalnym bezruchu. Słychać było jedynie jednostajny warkot silników i chrzęst uprzęży. Żaden kolejny skok nie był łatwiejszy od poprzedniego.

Wskaźnik załamań nerwowych po każdej operacji wynosił

dziesięć procent Rzecz jasna wśród tych, którzy przeżyli.

- Śmieszne - wyszeptał Schmidt - ostatnim razem skakaliśmy na lotnisko Maleme na Krecie. Nie mogę sobie nawet przypomnieć, w którym to było roku. Nie jestem w stanie myśleć.

Stoerner właśnie wrócił z kabiny pilota. Ten stary weteran o głowie okrągłej jak kula bilardowa sprawiał dziwne wrażenie przez to, że jego oczy były prawie pozbawione rzęs. Chwytał Jaegera za ramię.

- Pozwoli pan na słowo. Chodźmy.

To znaczyło, że pojawił się jakiś problem, zanim jeszcze operacja na dobre się zaczęła. Idąc za spadochroniarzem środkowym przejściem Jaeger głowił się nad różnymi możliwościami. Godzinę wcześniej wysłano w tamten rejon mały samolot zwiadowczy, który trzymał się w pewnej odległości od płaskowyżu. Pilot zameldował, że partyzanci wciąż są na pozycji. Więc...

Wszedł do kabiny, kuląc ramiona, aby plecak ze spadochronem zmieścić się w wąskim otworze. Stoerner - w opinii Jaegera dobry, lecz zbyt porywczy dowódca - zamknął drzwi, po czym wskazał przed siebie grubym palcem. Jaeger wyraźnie dostrzegł dakotę.

- Zjawiliśmy się w samą porę - rzekł Stoerner gardłowym głosem. - Niech pan patrzy, jak ten angielski pilot zwiewa na złamanie karku.

- On robi coś innego - odparł Jaeger. - On ląduje! Ma facet jaja.

- To wariat! - Stoerner z niedowierzaniem wbił wzrok przed siebie. - Nie wystarczy mu czasu...

- Nie liczyłbym na to. Wracam. Niech mnie pan wypuści jako

pierwszego. Potem Schmidta i resztę.

- Chce pan odgrywać bohatera? Proszę bardzo.

Stoerner gestem ręki wyraził swoje zdanie: "Jeśli ktoś chce popełnić samobójstwo, to ja nie mam nic przeciwko temu". Nikt jego gestu nie zauważył. Jaeger już wyszedł z kabiny. Tym razem nie wrócił na swoje miejsce. Skinął na Schmidta i stanął przy kontrolerze.

W półmroku świeciła czerwona lampka. Jaeger zaczepił karabinek o drut nad głową. Drzwi się otworzyły. Uderzył w niego podmuch mroźnego powietrza, który w kilka sekund rozproszył gęsty, nasiąkły potem zaduch we wnętrzu kadłuba. Schmidt również podszedł do kontrolera i zatrzasnął karabinek na drucie.

- Jakież kłopoty? - spytał przysuwając usta do ucha Jaegera.

- Brytyjczycy próbują wydostać Lindsaya. Właśnie w tej chwili ląduje ich dakota. To kwestia minut. Gdy znajdziemy się na ziemi, strzelaj do dakoty, aby uniemożliwić start. To w tej chwili najważniejsze.

Jednocześnie Jaeger sprawdzał, czy jego pistolet maszynowy jest sprawny, następnie wyjął magazynek i wepchnął broń. Kolbą w dół za pazuchę.

W samolocie zaczął się uporządkowany ruch. Żołnierze jeden za drugim stawali na końcu kolejki. Jaeger zauważył zwykłą w takich okazjach mieszaninę ulgi i niepokoju na ich twarzach. Ulga brała się z faktu, że skończył się okres oczekiwania. Niepokój wywoływały myśli, jakie powitanie czeka ich na płaskowyżu - pod warunkiem, że ich spadochrony się otworzą. Stoerner powiedział wcześniej Jaegerowi, że przeszło połowa z tych ludzi miała za

sobą tylko jeden ćwiczebny skok. W Niemczech dawał się odczuć brak czasu i wyszkolonych ludzi.

Jaeger czekał, aż zapali się zielone światło.

- To faktycznie istny tyłek pszczoły - stwierdził pogodnie major Murray - Smith, gdy płaskowyz wybiegł im na spotkanie.

- Boże! Podaliśmy im przecież minimalną długość pasa - jęknął Conway.

Koła dotknęły gruntu, podskoczyły, końce skrzydeł ledwie się zakołysały. Murray - Smith gwałtownie, zaledwie na granicy bezpieczeństwa, zwalniał bieg maszyny. Dakota pędziła ku północnej krawędzi, za którą płaskowyz kończył się gwałtownym obrywem. Pilot wysunął dolną wargę, co było u niego oznaką głębokiej koncentracji.

Gdy samolot prawie się zatrzymał, wykonał manewr, który omal nie przyprawił Conwaya o nerwowy atak. Zatoczył maszyną półokrąg tuż nad samą przepaścią, ustawiając ją przodem na południe, gotową do natychmiastowego odlotu. W dodatku nie zgasił silników, łamiąc w ten sposób najsurowsze przepisy.

- Otwórzcie drzwi ładowni - warknął do Conwaya. - Musimy pogonić tę bandę Cyganów.

Otworzył drzwi kabiny i wyskoczył na ziemię, absurdalnie drobny w porównaniu z tłoczącymi się wokół partyzantami. Zobaczył wśród nich kulejącego mężczyznę w poplamionym i podartym ubraniu, który szedł w jego stronę opierając się na lasce, z fantastyczną blondynką przy boku.

- Lindsay?

- Tak. Ja...

- Który z nich jest tu szefem?

- Ten, Heljec. Paco może służyć panu za tłumacza.

- Nie ma czasu na żadne zakichane tłumaczenia. Zrozumieją mnie, nie ma strachu. Niech pan tylko patrzy.

- Nie pozwolą mi wsiąść do samolotu, dopóki nie dostaną broni i amunicji.

- No to dostaną, do kroćset! Już ja się tym zajmę.

Podbiegł do drzwi ładowni, z której Conway zdążył już wydobyć kilka drewnianych skrzynek z uchwytami z pętli lin i spuścić je w ręce czekających partyzantów. Murray - Smith otworzył zamki jednej ze skrzyń, odrzucił pokrywę, wygarnął ze środka na oślep pęk stenów i wepchnął je Heljecowi w objęcia. Następnie złapał Lindsaya jedną ręką, a kciukiem drugiej wskazał w kierunku samolotu, mówiąc non-stop do Heljeca:

--- Masz te swoje cholerne pistolety! Nadstawiłem karku, żeby przywieźć ci ten pieprzony towar! Lindsay wsiada na pokład i basta!

Jakbyś nie zauważył, to masz gości - niezupełnie takich, jakich ja zaprosiłbym do mojej kantyny...

Potokowi słów towarzyszyła szalona gestykulacja. Wskazanie palcem samolotu. Kolejne wymowne gesty w stronę armady Luftwaffe, która była już niemal nad samym płaskowyżem. I znów na dąkotę.

Murray wrzeszczał, jakby zmywał głowę jakiemuś nierozgarniętemu mechanikowi.

W mniej rozpaczliwej sytuacji ten widok byłby nad wyraz komiczny: mały człowieczek podskakujący przed olbrzymim Heljecem. Miał zupełną rację, tłumacz był zbyt cenny. Heljec wbił w niego

zdumiony wzrok, a potem zaczął rozdzielać steny i magazynki między swoich ludzi.

- No dobra; ładujcie się, na miłość boską! - Murray - Smith

zwrócił się do Lindsaya. - Conway, pomóż mu, ma przetrażoną nogę.

Do cholery, myślisz, że wszystko będę robił za ciebie? Jak zawsze.

Transakcja została załatwiona błyskawicznie. Wyładowano broń i amunicję. Conway i Hartmann wtaszczyli Lindsaya na pokład, jeden ciągnąc od góry, drugi podsadzając go z dołu. Jako następna do środka powędrowała Paco, również przy pomocy Niemca. Reader wdrapał się o własnych siłach.

- A Hartmann?! - krzyknęła gniewnie Paco.

Wyciągnęła rękę i pomogła mu wejść. Conway właśnie zamykał od środka drzwi, gdy z kabiny pilota wyszedł Murray - Smith. Zaczął ich popędzać nie przebierając w słowach.

- Właźcie tutaj! Mamy siedzenia. To nie jeden z tych jankeskich liberatorów, w których człowiek się turla jak groch wysypany ze strąka. Siadajcie na miejsca, do cholery! Zapnijcie te cholerne pasy! To będzie ostry start - bardzo ostry. Ruszę jak tajfun...

- Tajfun przy tobie, kolego, to pęta - powiedział Reader, osuwając się na siedzenie.

Murray - Smith tego nie usłyszał. Był już z powrotem w kabinie i siadał za sterami. Zerknął na spadochrony, których coraz więcej rozkwitało w górze.

- Oto i oni, Conway. Cała zakichana armia. Czas skorzystać z biletu powrotnego.

Paco wyglądała przez okienko. Wydawało się jej, że dakota startuje z przerażającą powolnością. Nagle zobaczyła lądującego pierwszego Niemca. Przetoczył się po ziemi, rozpiął uprzęż i przykucnął, mierząc w nich z pistoletu maszynowego.

- O mój Boże! - jęknęła. - Lindsay, patrz!

Nie miała najmniejszych wątpliwości. To był Jaeger. Mierzył w kabinę pilota. Wylądowali kolejni spadochroniarze. Nagle Heljec, uzbrojony w nowego stena, podniósł się zza skały i strzelił serią opróżniając chyba połowę magazynka.

Kule rzuciły Jaegera do przodu, jego twarz wykrzywiła się w agonii.

Co człowiek myśli w ostatnich chwilach życia? "Kochana Magdo, spędziliśmy razem cudowne życie..." Był martwy, zanim jego ciało upadło na ziemię. Paco poczuła falę nudności. Pamiętała jak dziś dzień, kiedy Jaeger zaprosił ją do Czterech Pór Roku w Monachium, tak elegancki w swoim mundurze, tak szarmancki, tak... Och, niech to piekło pochłonie!

Samolot nabierał szybkości, a Murray - Smith, nie oglądając się w lewo ani w prawo, pruł prosto przed siebie do startu. Do jego uszu poprzez huk silników dochodził terkot broni maszynowej, odgłos kul, przebijających kadłub, łoskot wybuchających granatów. Nie zwracał na to wszystko najmniejszej uwagi.

Lindsay zobaczył dobrze mu znaną sylwetkę łagodnego doktora Maćka. Doktor wychylił się zza skały, by rzucić granat i raptem zniknął Anglikowi z oczu, gdy gwałtowny wybuch ognia odrzucił go w tył. Lindsay zdał sobie sprawę, że był świadkiem śmierci lekarza.

- Właśnie trafili Maćka - powiedział do siedzącej obok Paco.

-Biedny doktorek...

- Boże, co się tu dzieje?

- Zastanawiam się nad tym od chwili, gdy poleciałem do Berchtesgaden - odrzekł Lindsay.

Skończyły się dla nich miesiące wypełnione cierpieniem, bezustanną, mozolną wędrówką w okowach bałkańskiej zimy i ciągłym strachem.

Północna Afryka! Za okienkami dakoty rozciągała się aż po horyzont płaska pustynia libijska w ciepłym kolorze ugru. Był to dla nich cudowny, niezapomniany widok.

Pierwsze, co zobaczyli lecąc jeszcze nad intensywnym błękitem Morza Śródziemnego, to białą wstążkę przyboju, oddzielającą morze od brzegu. Samolot zaczął się zniżać. Dziesięć minut później Murray-Smith wylądował na lotnisku Benina. Conway otworzył drzwi i do środka wpadła fala cudownego gorąca.

- Półgodzinny postój dla nabrania paliwa - oznajmił Conway.

- Musicie wysiąść, więc możecie rozprostować nogi, ale nie oddalajcie się zbyt daleko, żeby nie tracić z oczu samolotu. Czeka tu w pogotowiu doktor Macleod, jeśli ktoś wymaga opieki lekarskiej.

- Chciałbym podziękować pilotowi - powiedział Lindsay.

- Nie radzę, panie pułkowniku, jeśli wolno mi wyrazić swoje zdanie. Major Murray - Smith to niezły kawał cholery. Nigdy nie można przewidzieć, jak zareaguje. Teraz nowy pilot przejmuje maszynę i on dowiezie was do miejsca przeznaczenia.

- To znaczy gdzie?

- Przykro mi, sir, nie mam pojęcia.

Przechadzali się po okolicy w rozżarzonym upale. Czuli się dziwnie zagubieni, tak nagle wyrwani z ciasnych wąwozów Bośni i rzućeni na rozległą, otwartą przestrzeń. Lindsay zdecydował, że najwyższa pora wyciągnąć z Readera jakieś wiadomości. Paco i Hartmann poszli za nim.

- Jestem od pana wyższy stopniem, majorze - zaczął. -W zwykłych okolicznościach guzik by mnie to obchodziło, lecz teraz muszę wiedzieć. Jaki jest nasz port przeznaczenia? Kair? Tunis?

- Lydda, w Palestynie.

- To szaleństwo! - W tonie Lindsaya zabrzmiało szczere niedowierzanie.

- Moglibyśmy pogawędzić na osobności? Może utniemy sobie spacer do zabudowań lotniska, w razie gdyby chciał pan na chwilę gdzieś przysiąść.

Lindsay przeprosił Paco i Hartmanna i odszedł wraz z Readerem.

Po przeraźliwym zimnie Jugosławii z rozkoszą płał się w cieple. Gdy już tamci nie mogli ich słyszeć, zatrzymał się.

- Jak dużo pan wie? - spytał Readera. - Chcę, żeby mi pan wszystko powiedział. Coś mi tu okropnie śmierdzi. Lecimy w złym kierunku - celem mojej podróży jest Londyn.

- Samoloty do Londynu odlatują z lotniska Kair Zachód.

- To już zupełnie nie trzyma się kupy! Po co wozić mnie najpierw do Palestyny?

- Z tego co wiem, ze względów bezpieczeństwa. Poza tym ktoś na pana czeka w Jerozolimie, facet, który przyleciał specjalnie w tym celu z Londynu. Ma pan pięciogwiazdkową obsługę., - Co to za

facet?

- Jakiś Peter Standish... - Reader się zawahał. - Spotka go pan jeszcze dziś, więc mogę panu równie dobrze już teraz powiedzieć.

Standish to fałszywe nazwisko. Naprawdę nazywa się Tim Whelby.

Lindsay znów zaczął kuśtykać po twardej jak skała, pustynnej ziemi. Nie było stąd widać Benghazi, które leżało na brzegu morza, ukryte za grzbietem łagodnego wzniesienia. Nic, tylko pustynia, drgające od upału powietrze, pojedynczy budynek, samotna dakota i cysterna z paliwem. Wtem usłyszał za sobą pospieszne kroki.

Dogonił go Reader.

- No, miał pan minutę na przemyślenia - powiedział - a teraz chętnie bym usłyszał, co się panu nie zgadza. Tim Whelby jest wystarczająco nieszkodliwy. Nigdy nie podpali świata, lubi żyć z każdym w zgodzie...

- O, zwrócił pan uwagę na tę intrygującą cechę?

- Intrygującą?

- Czy zauważył pan kiedyś - ciągnął Lindsay nie przerywając marszu; nie czuł się tak dobrze od miesięcy - ile on sobie zadaje trudu, żeby. Mieć dobre stosunki zarówno z Hindusami, jak i z całą tą uniwersytecką czeredą?

Hindusami nazywano członków SIS, zrekrutowanych z indyjskiej służby kolonialnej. Byli to twardzi mężczyźni, kultywujący tradycje, nie poddający się zmianom, konserwatywni do szpiku kości i bez reszty lojalni w stosunku do Korony.

Brać uniwersytecka składała się z wykładowców z Oksfordu, intelektualistów, którzy podchodzili do każdego problemu z otwartym umysłem. Tworzyli drugą, oprócz tradycjonalistów, zwartą klikę.

Należało się albo do jednego klubu, albo do drugiego. Rzadko się zdarzało, aby czyjeś kontakty rozciągały się na oba te światy.

- No, jak tak pomyśleć - zastanowił się Reader - chyba ma pan rację. Czy to nie przemawia na korzyść Whelbyego?

- Jeszcze jedno: zawsze miałem wrażenie, że on odgrywa jakąś rolę i nikt nie poznał jego prawdziwej twarzy, bo ukrywa ją pod maską.

- Nie mogę teraz zmienić trasy. Jest ustalona od a do zet.

- Przez kogo?

- Pewnie przez Whelbyego... - Reader dał upust irytacji.

-Niech to cholera, wypadłem na długi czas z gry! Byłem uziemiony w tej parszywej Jugosławii, tak jak pan. Może pan to obgada z Whelbym, jak dotrzemy do Palestyny? Gdyby ktoś czyhał na pańską skórę - jeżeli właśnie to pana trapi - to kto mógłby się spodziewać w najśmielszych marzeniach, że pojawi się pan akurat w Jerozolimie?

- Właśnie Whelby.

Gdy z powrotem wsiedli do dakoty, Lindsay przeżył niespodziankę.

Wybrał sobie samotne miejsce przy oknie, przekonany, że Paco usiądzie przy Readerze. Ona natomiast bez słowa zajęła fotel u jego boku i zaczęła zapinać pas bezpieczeństwa.

- Mam nadzieję, że nie znudzi cię moje towarzystwo? -

powiedziała cicho, gdy nowy pilot kołował do startu. - Zawsze mogę się przesiąść, jest tu wystarczająco dużo miejsca.

- Nie, proszę cię bardzo. Myślałam...

- Że wybrałam sobie Lena Readera na towarzysza podróży?

Widzę to po twojej minie. Wciąż jeszcze nie zrozumiałaś?

- Czyżbym trochę za wolno myślała?

Czuł się niepewnie, gdy w grę wchodziły kobiety. Zawsze obawiał się odprawy. Wprawdzie zestrzelił sześciu Niemców nad Kentem i kanałem, ale pod pewnymi względami był wciąż niedojrzały i onieśmielony, jak musiał wychynąć ze swojej skorupy.

- Owszem! - zgodziła się zniżając głos. - Jesteś trochę powolny, a żadna dziewczyna nie lubi sama odbywać całej drogi.

- Ale przecież powiedziałaś...

- Wiem, co powiedziałam, gdy byliśmy jeszcze w Jugosławii - ale jakie wtedy były szanse, że którekolwiek z nas wyjdzie z tego z życiem?

Poza tym mówiłam przecież, że Reader budzi moje podejrzania. I tak było.

Chciałam się upewnić, że nie wśliznął się pomiędzy nas przebieraniec...

- Przebieraniec?

- Na litość boską! - zniecierpliwiła się. - Niemiec, który udaje Anglika. Już wcześniej używali tego sposobu, a skutki były potworne.

Pamiętaj, że chodziłam do szkoły w Anglii, więc sporo wiem o tym kraju. Wykorzystałam każdy strzęp tej wiedzy, jaki zdołałam

odgrzebać w pamięci, żeby sprawdzić Readera, złapać go na jakiejś nieścistości.

Dziewczynie najłatwiej to osiągnąć, gdy uda, że ktoś wpadł jej w oko.

Tak najłatwiej uśpić jego czujność. Boże, Lindsay, czasami myślę, że naprawdę masz zakutą głowę.

Lekko przykryła jego rękę swoją małą dłonią. Obrócił raptownie głowę i wpatrzył się w nią. Na jej twarzy igrał ten cudowny półuśmiech.

Zielonkawe oczy, na wpół przymknięte, również się uśmiechały. Oparła głowę na jego ramieniu.

- Och, Ian, Ian, ty głuptasie...

- Zakuta pała ze mnie - zgodził się. Ślepy jak nowo narodzone szczenię.

Słowa z trudem przechodziły mu przez ściśnięte wzruszeniem gardło. Wziął ją za rękę, która naprawdę wydawała się zadziwiająco drobna, i uściśnął. Zrozumiała.

- Ian, zabierzesz mnie do Londynu? Chcę zobaczyć jeszcze raz Green Park.

- Tylko Green Park, nic więcej?

- Chodzą tam wokół stawu wielkie ptaki, śmieszne, z ogromnymi workami...

- Pelikany. To St Jamess Park. Pokażę ci cały Londyn. A potem pojedziemy na wieś.

- Bardzo bym chciała. - Poprawiła głowę na jego ramieniu, a jej włosy musnęły mu policzek. - Znam małą wieś w Surrey, niedaleko Guildford. Cała jest ukryta w załomach wzgórz...

- Peaslake?

- Coś takiego, ty też ją znasz? - Wyprostowała się. Jej twarz promieniała. - Och, to cudownie. Nigdy nie wrócę do Jugosławii.

Wiesz, mam podwójne obywatelstwo i brytyjski paszport.

- Nie wiedziałem, nigdy mi o tym nie mówiłaś. Dzięki temu wszystko będzie o wiele łatwiejsze. Nie zostawiłaś w Jugosławii żadnych krewnych?

- Żadnych. Byłam jedynaczką, więc gdy moi rodzice zginęli podczas bombardowania Belgradu, zostałam zupełnie sama. - Wsunęła mu rękę pod ramię. - Nie spuszczę cię z oka ani na chwilę, dopóki nie dotrzemy do Londynu. Czy nie będę wyglądać na nachalną uwodzicielkę?

Przez ten krótki czas, kiedy dakota z jednostajnym pomrukiem leciała w stronę Palestyny, byli bardzo szczęśliwi. Reader, siedzący przy oknie po drugiej stronie przejścia, miał wyjątkowo dobry słuch i chcąc nie chcąc słyszał prawie każde ich słowo. Przez cały czas lotu nie odrywał oczu od okna, patrząc uparcie na morze w dole. Był pewien, że ani Lindsay, ani Paco nie mają najmniejszego pojęcia o tym, iż lecą nad morzem. Paco słysząc własny, donośny głos zasłoniła dłonią usta.

- Boże, czy ja krzyczałam? Wszyscy musieli to usłyszeć.

Niech tam, nic mnie to nie obchodzi!

- Zgadza się. Owszem, wszyscy słyszeli. Mnie też jest to najzupełniej obojętne. Ale słuchaj: możliwe, że nie będziemy podróżować razem, zanim nie przyjedziemy do Londynu.

- A to dlaczego?

- Bezpieczeństwo. Muszę wypełnić do końca pewne zadanie.

Tak, właśnie przypomniałem sobie, że chciałbym zamienić słowo z Readerem. To nie potrwa długo. Nie wstawaj, mogę się precyzyjnie obok... - Dla równowagi położył rękę na jej udzie i trzymał ją tak przez chwilę.

Osuwając się na miejsce obok Readera odwrócił się od Paco, żeby nie mogła nic pochwycić z jego rozmowy z majorem wywiadu. Wyjął z kieszeni notes w skórzanej oprawie.

- To ściśle poufne między mną a tobą, Reader. Ten dziennik ma niesłychane znaczenie. Zawiera informacje, które mam w głowie -więc na wypadek, gdybym miał nigdy nie donieść głowy do Londynu, potrzebne mi bezpieczne miejsce, gdzie mógłbym go ukryć. W przeciwnym razie wszystko, przez co przeszliśmy, straci sens. Tego bym nie chciał.

- O co konkretnie mnie prosisz?

- Ty też nie jesteś kuloodporny. Czy znasz w Palestynie kogoś, komu można zaufać, w pełni zaufać - kogoś, komu mógłbyś oddać ten notes na przechowanie, dopóki się po niego ktoś ode mnie nie zgłosi?

- Tylko cywila. Faceta nazwiskiem Stein. Jest pośrednikiem w handlu diamentami. Tego rodzaju kariera zależy od nieposzlakowanej uczciwości. W dodatku nie jest zamieszany w działalność żadnego z żydowskich ugrupowań. Możesz śmiało powierzyć mu swoje życie.

- Niewykluczone, że do tego dojdzie.

Wstał i na chwilę zatrzymał się w przejściu. Podszedł do niego Hartmann i on z kolei poprosił o chwilę rozmowy na

osobności. Zajęli dwa siedzenia, oddalone od innych pasażerów.

Hartmann odezwał się po angielsku:

- Teraz, gdy znajdujemy się nad terytorium aliantów, mogę odkryć swoją tajemnicę. Zostałem wysłany w misji specjalnej przez admirała Canarisa, szefa Abwehry. Polecił mi wydostać się z Niemiec. Dlatego wykorzystałem okazję i przyłączyłem się do ciebie.

Było to raczej denerwujące przedsięwzięcie. Musiałem oszukać tylu ludzi: Grubera, Jaegera, Schmidta, Maisla - ten ostatni okazał się najgroźniejszym przeciwnikiem. No i oczywiście samego Bormanna...

- Zawsze wyczuwałem w tobie coś dziwnego.

- Tak myślałem - stwierdził Hartmann. - Znam nazwiska całej opozycji przeciwnej władzy nazistów. Próbowaliśmy przekazać nasze propozycje pokojowe agentom alianckim w Hiszpanii, lecz ktoś stanął nam na przeszkodzie. W tym rejonie wywiadem angielskim kieruje człowiek nazwiskiem Whelby.

- Znam go - powiedział Lindsay, nie dodając nic więcej.

- Muszę bezpiecznie dostać się do Londynu. Jesteśmy gotowi zabić Hitlera, ustanowić nienazistowski rząd cywilny i negocjować warunki pokoju. Nazwiska mogę podać ci dopiero po przyjeździe do Londynu. Dopóki tam się nie znajdziemy, proszę cię, abyś z nikim nie dzielił się wiadomościami o tej sprawie.

- To twoja jedyna gwarancja bezpieczeństwa - rzekł Lindsay ze zrozumieniem.

Mosze dostrzegł podchodzącą do lądowania dakotę jeszcze w świetle dziennym. Siedział przycupnięty za skałami przy lotnisku

Lydda. Po długich godzinach spędzonych bez ruchu czuł ból w całym ciele, lecz był niemal nadnaturalnie wytrzymały na wszelkie niewygody.

Płócienna sakwa u jego boku zawierała butelkę z wodą, kilka kanapek z serem, których nie zdążył zjeść, i lornetkę do obserwacji nocą, na wypadek gdyby Lindsay przyleciał dopiero po zmroku.

Nadchodzący zmierzch miał wkrótce zaciągnąć ciemny całun nad cichą ziemią.

Nastawił szkła lornetki i skierował je na trawiaste lądowisko.

Dakota sfrunęła na pas i redukując szybkość pokołowała w stronę budynku przylotów. Mosze wiedział, że z drugiej strony budynku, niewidoczny dla jego oczu, stoi zaparkowany samochód i transporter opancerzony.

Człowiek, którego Właczek wskazał mu w Jerozolimie jako Tima Whelbyego, szedł z gołą głową w stronę samolotu; mimo wieczornego chłodu miał na sobie tylko tropikalne ubranie z drelichu. Mosze od tej chwili nie spuszczał go z oka, czekając na znak, dzięki któremu rozpozna Lindsaya.

Pracownik obsługi naziemnej przystawił do boku kadłuba metalową drabinkę. Dwaj brytyjscy żołnierze, uzbrojeni w steny, zaczęli patrolować obszar wokół dakoty. Na górze drabinki pojawił się jakiś mężczyzna, w rękę trzymał laskę.

Mosze przycisnął mocniej lornetkę do oczu. Pasażer wolno, szczebel po szczeblu, schodził na ziemię. Kiedy stanął na stałym gruncie, odwrócił się. W bliźniaczych szklach ukazała się jego

twarz widziana w powiększeniu. Nie było najmniejszych wątpliwości. To był Lindsay. W następnej chwili Mosze dostał ostateczne potwierdzenie tej identyfikacji. Whelby potrząsając dłonią Lindsaya jakby mimochodem sięgnął lewą ręką do głowy i pociągnął płatek ucha, co było ustalonym przez Właczka sygnałem. Z samolotu wychodziły kolejne osoby.. Ku zdziwieniu Moszego jedna z nich okazała się jasnowłosą dziewczyną, za nią pojawili się szybko jeden po drugim dwaj mężczyźni.

Mosze pozostał na czatach. Chciał zaobserwować przedsięwzięte środki ochrony, ponieważ był pewny, że gdy Lindsay przyjedzie z Jerozolimy na lotnisko, by odlecieć do Kairu, Anglicy na pewno zastosują tę samą technikę. Nie odstępowali od ustalonych metod działania; ta rutyna obracała się często przeciwko nim i stawała się dla nich samym śmiertelnym - dosłownie - niebezpieczeństwem.

Rozdział czterdziesty drugi

- Po tylu miesiącach witamy z powrotem w cywilizacji! - Whelby chwycił rękę Lindsaya i zaczął nią potrząsać, jednocześnie pocierając płatek lewego ucha. - Muszę po - powiedzieć, że wygląda pan nieco mi - mi - mizernie. - Zniżył głos. - Miejscowi znają mnie jako Petera Standisha.

- Co pana tutaj sprowadza? - spytał Lindsay bez cienia uśmiechu.

- To jasne, mam pana odwiedzić do domu.

- Chciał pan powiedzieć - do Londynu?

- Zgadza się.

- Którędy?

- Cóż, jeśli musi pan wiedzieć teraz, zaraz...

- Muszę.

- Za parę dni, gdy pan trochę odpocznie, do Kairu, a stamtąd do poczciwego, starego Londynu.

Podszedł do nich umundurowany sierżant palestyńskiej policji, który zupełnie nie krył swego niepokoju.

Bezceremonialnie wtrącił się do rozmowy, ignorując Whelbyego, i zwrócił się do Lindsaya:

- Przepraszam, ale moim chłopcom palce zaczynają się zaciskać na spustach. Stercząc tutaj wystawiamy się na niebezpieczeństwo, a ja chciałbym dowieźć was bezpiecznie do Jerozolimy przed nadejściem nocy.

- Sierżant Mulligan - pułkownik Lindsay - przedstawił Whelby. - Zapewne ma pan zamiar transportować nas do hotelu Sharon w tej zardzewiałej blaszance...

- Lepiej, żeby pańskie słowa nie dotarły do uszu kaprała Wilsona - warknął Mulligan. - Ostatnim razem nazwał pan jego pojazd stalowym potworem. Teraz stał się zardzewiałą blaszanką.

Może zainteresuje pana, że Wilson przeżył w tym wozie trzy ataki bombowe i czuje do niego pewien sentyment. Jest was pięcioro, więc czworo będzie jechać z tyłu, w tym dwójka na rozkładanych siedzeniach. Ja będę prowadził.

- Chętnie usiądę obok pana, sierżancie - zaproponowała Paco.

- Rad byłbym wielce z pani towarzystwa, jednak proszę wybaczyć, ale zajmie pani miejsce z tyłu. Siedzenie z przodu to

jak przepustka na tamten świat. Właśnie dostała się pani w strefę działań wojennych.

- Dopiero co jedną opuściłam - powiadomiła go uprzejmie

Paco.

- Tym bardziej należą się pani względy - nie ustępował

Mulligan. - No, panie Standish, pewny jestem, że nie struchleje pan na myśl o siedzeniu obok mnie. Idziemy?

Lindsay zaczynał odnosić wyraźne wrażenie, że Standish nie należy do ulubieńców sierżanta Mulligana. Było to ciekawe spostrzeżenie, w świetle jego własnych uczuć.

Mosze obserwował, jak konwój wyjeżdża z lotniska i skręca w pnącą się na wzniesienie krętą drogę, która wiodła do Jerozolimy.

Pierwszy jechał transporter opancerzony, jako wóz próbny - na wypadek gdyby droga była zaminowana.

Sto metrów dalej sunął samochód. Siedziała w nim cała piątka pasażerów. Sierżant palestyńskiej policji prowadził, utrzymując stałą odległość między dwoma pojazdami. Zapadał zmrok. Kierowcy włączyli światła. Mosze wziął do ręki lornetkę noktowizyjną.

Sto metrów za samochodem jechały dwa wojskowe motocykle, strzegąc tyłów. Te motocykle mogły być nieco kłopotliwe. W stosownej odległości za nimi toczyła się ciężarówka z jarzynami. Jej kierowca miał prześledzić trasę konwoju i złożyć później raport Moszemu.

W połowie drogi do miasta ciężarówka skręciła na rozjeździe i zniknęła.

Zastąpiła ją furgonetka z zieleniną, prowadzona przez następnego członka grupy "Stern". Mosze wstał, zarzucił sakwę na

plecy i poszedł do miejsca, gdzie ukrył swój motocykl.

Pojechali do koszar. Zanim jeszcze opuścili Lyddę, doszło do ostrej wymiany zdań na temat miejsca noclegu. Sierżant Mulligan otwarcie zaatakował propozycję Whelbyego, aby umieścić ich w hotelu Sharon.

- Zdarzyło się tam już jedno morderstwo. Ta buda jest otwarta ze wszystkich stron. Nie mogę brać odpowiedzialności za niczyje bezpieczeństwo w takim miejscu.

- Co pan proponuje? - wtrącił Lindsay.

- Koszary policji. - Mulligan rzucił spojrzenie na Paco.

- Możemy wygospodarować osobny pokój dla damy.

- Propozycja zatrzymania się w hotelu to skończona głupota w panujących tutaj warunkach - odezwał się nieoczekiwanie Hartmann.

Obserwował bacznie Whelbyego od chwili lądowania. Mulligan, który wciąż nie mógł sobie wytłumaczyć obecności Niemca, spojrzał na niego ze zdziwieniem.

- Skąd pan wie, jakie tu są warunki?

- Mamy swoje źródła informacji - udzielił skąpej odpowiedzi Hartmann.

- A więc koszary - zdecydował stanowczo Lindsay. Nie uznał nawet za wskazane konsultować wyboru z Whelbym. Przybysz z Londynu tylko wzruszył ramionami. Wolał nie upierać się zbytnio przy swoim.

W koszarach spotkali Jocka Carsona, który powstrzymał się na razie z zadawaniem pytań widząc, że są zmordowani po długiej podróży. Wspólny posiłek upłynął w milczeniu, połowę jedzenia zostawili na talerzach. Ich żołądki skurczyły się ze zmęczenia i

długich miesięcy niedojadania. Kompletnie wyczerpani padli na łóżka -luksus, od którego zdążyli się odzwyczaić - i po paru chwilach wiercenia się i obracania z boku na bok zapadli w kamienny sen.

Nazajutrz rano Lindsay po śniadaniu wziął Readera na bok. By uniknąć ciekawskich uszu, wyszli na znajdujący się w czworoboku budynków plac musztry. Kiedy tak stali otoczeni przez piętrowe koszarowe budynki, znów spłynęło na nich błogie poczucie bezpieczeństwa.

- Ten facet, Stein - zaczął Lindsay. - Czy moglibyśmy dziś się z nim spotkać? Chcę się pozbyć tego notesu. Mulligan mówi, że jutro mamy lecieć do Kairu.

- Dwa lata temu stacjonowałem w Jerozolimie przez dobrych kilka miesięcy - odrzekł Reader - więc znam tę dziurę. Biuro Steina znajduje się kawałek drogi od koszar. Mulligan jest zajęty organizowaniem jutrzejszego lotu. Moglibyśmy się teraz przemknąć koło posterunku wart...

- To do roboty.

- Pozostaw mnie całe gadanie. Wiem, jak z nimi rozmawiać.

Zadanie okazało się zaskakująco łatwe. Reader z wielką pewnością siebie wmaszerował twardym krokiem do dyżurki przy bramie ze szlabanem. W ręku trzymał przygotowaną książeczkę wojskową, która była dowodem na to, że jej posiadacz ma stopień majora i służy w wywiadzie.

- Wychodzimy na umówione spotkanie - rzekł energicznie do siedzącego za biurkiem wartownika. - Pilna sprawa wojskowa.

Spodziewam się, że wrócimy za godzinę, najwyżej dwie.

Czekali, aż wartownik mozolnie zapisze ich nazwiska w poliniowanej księdze, wraz ze stopniami służbowymi i czasem opuszczenia koszar. Następnie skinął na strażnika na zewnątrz, który podniósł ramię szlabanu.

- Czy ich system bezpieczeństwa nie jest nieco dziurawy?

-rzucił Lindsay, gdy oddalili się nieco.

- My chcieliśmy wyjść - wyjaśnił Reader. - Przecież

musieliśmy zostać wcześniej sprawdzeni, zanim nas wpuszczono do środka.

Wchodzenie do koszar to całkiem inna para kaloszy.

- Mulligan dostanie bzika, jak się dowie.

- Miejmy nadzieję, że wrócimy, zanim w ogóle się połapie, że nas nie ma.

Biuro Aarona Steina mieściło się na pierwszym piętrze starego, kamiennego domu w bocznej uliczce. Na drzwiach wejściowych nie było żadnej informującej o tym tabliczki. W odpowiedzi na głośne pukanie Readera otworzył się zamontowany w drzwiach judasz, przez który wyjrzała para ciemnych, uważnie patrzących oczu. Dopiero po chwili Lindsay zdał sobie sprawę, jak silne zabezpieczenia stosował Stein.

Naliczył osiem otwieranych zamków i zasuw, zanim wpuszczono ich do środka. Ta sama procedura powtórzyła się, gdy weszli na piętro. Ku zaskoczeniu Lindsaya Stein nie wyglądał na więcej niż dwadzieścia lat. Miał gładką, bladą cerę, ciemne włosy, był średniego wzrostu i krępej budowy.

- Aaron, to jest pułkownik Lindsay - przedstawił Reader.

-Chce zostawić u ciebie na przechowanie pewną rzecz. Mogę ręczyć

za niego osobiście.

Lindsay szybko wyciągnął rękę na przywitanie. Aaron Stein uścisnął ją ze staromodną kurtuazją, badając gościa ciemnymi oczami. Wydawało się, że to, co ujrzał, przypadło mu do gustu.

- Rad jestem, że pana poznałem, panie pułkowniku. Tędy, proszę, do mojego biura.

W biurze czekał na nich stojąc drugi młodzieniec. Lindsay znów wymienił uścisk dłoni, a Aaron przedstawił:

- To mój brat, Dawid. Możecie śmiało przy nim mówić, niezależnie od tego, jak poufna jest sprawa, z którą przychodzicie.

Jesteśmy współnikami. Ponadto będzie to przezorne posunięcie w waszym własnym interesie. Na wypadek, gdyby - dajmy na to - coś mi się stało.

- Mam nadzieję, że... - zaczął Lindsay.

Aaron machnął lekceważąco ręką i zapraszając ich do zajęcia miejsc mówił dalej. Dawid Stein był uderzająco podobny do brata. Łatwo można byłoby wziąć jednego za drugiego. Lindsayowi przemknęła przez głowę scena, którą ujrzał podczas pierwszej wizyty w Berghofie: drugi Adolf Hitler ćwiczący gesty i wymowę, odbity po dziesięciokroć w kręgu zwierciadeł. Mówią, że każdy ma gdzieś swojego sobowtóra...

- Czasy są niespokojne - mówił Aaron. - Mój brat i ja uciekliśmy z Rumunii, gdy władzę przejął Antonescu i Żelazna Gwardia. To rumuńska wersja ruchu nazistów...

- Mój brat mówiąc o niebezpieczeństwie ma na myśli sytuację lokalną - wtrącił Dawid. - Wierzymy głęboko w sprawę odrodzenia

ojczyzny narodu żydowskiego, lecz nie uznajemy przemocy.

- Z tego powodu wyjechaliśmy z Rumunii - ciągnął Aaron. - Nie darzymy sympatią Irgun Zvai Leumi czy grupy "Stern"...

- Ani nawet Hagany; tajnej armii żydowskiej - dorzucił Dawid. - I jesteśmy nielubiani przez wielu naszych rodaków, ponieważ odrzucamy przemoc. Po wojnie i przegranej Niemiec może wyjedziemy do Antwerpii - albo nawet do Londynu.

- Pod warunkiem, że to nie będzie zwycięstwo Rosji - wtrącił Aaron. - To grozi straszliwym niebezpieczeństwem...

Obaj bracia mówili jeden przez drugiego. Lindsay odniósł wrażenie, że cieszy ich okazja do swobodnego wypowiedzenia się, gdy na co dzień muszą baczyć na każde swoje słowo. Aaron wykonał przeproszający gest.

- Za dużo mówimy o sobie. Co możemy dla pana zrobić, panie pułkowniku?

Lindsay pokazał im notes i poprosił o mocną kopertę. Aaron podał mu kopertę z grubego kartonu, taką jakich używają prawnicy.

Lindsay usiadł przy stojącym pod ścianą stoliku, włożył swój dziennik do koperty i zakleił ją. Pożyczył od braci wieczne pióro i kilka minut trwał w zamyśleniu. Następnie napisał starannym, wyraźnym pismem:

Relacja z mojej podróży do Trzeciej Rzeszy w 1943 roku i późniejszego pobytu w Jugosławii. W razie mojej śmierci oddać porucznikowi Jockowi Carsonowi, Sekcja 3, Szare Filary, Kair, Egipt. Ian Lindsay, podpułkownik lotnictwa.

Podał kopertę Aaronowi, wieczne pióro Dawidowi i westchnął.

Czuł się tak, jakby zdjęto mu z ramion olbrzymi ciężar.

- Schowam to w naszym sejfie - powiedział Aaron. - Czy to panu odpowiada? Dobrze. Widzę ze sformułowań w adresie, że pan również ma świadomość, iż żyjemy w niebezpiecznych czasach, nawet tutaj.

- Dziękuję panu, tak będzie doskonale. Nawiasem mówiąc, czy mógłby pan dać mi coś, co przysłałbym panu później, prosząc o oddanie tej koperty? Byłby to znak rozpoznawczy, by wiedział pan, że prośba istotnie pochodzi ode mnie.

- Może moją wizytówkę? Narysuję na niej gwiazdę Dawida.

- Dobry pomysł. - Lindsay wsunął wizytówkę do portfela. -W liście umieszczę dodatkowe zabezpieczenie: wspomnę krótko o niebieskim wiecznym piórze, którego używałem do zaadresowania koperty.

Aaron obracał już tarczę zamka w ściennym sejfie. Otworzył drzwiczki, podniósł kopertę i odsunął się na bok, aby Lindsay mógł widzieć, jak ją wkłada do środka. Zamknął sejf i zakręcił na chybił trafił tarczą, blokując zamek.

- Bardzo panom dziękuję - rzekł Lindsay.

Uścisnął ręce obu braci, którzy przyglądali mu się uważnie, z cieniem smutku, jak pomyślał Reader. Nie padło już ani jedno słowo. Wyszli z biura. Lindsay zatrzymał się na korytarzu. Słyszeli, jak Aaron obraca klucze w zamkach, zatrząskuje z powrotem zasuwę.

Lindsay uśmiechnął się krzywo do Readera.

- W złożeniu tej koperty do sejfu było coś okropnie ostatecznego.

Chodź, wracamy do koszar.

Rozdział czterdziesty trzeci

Nazajutrz rano ruszyli z powrotem na lotnisko Lydda, gdzie czekała dakota, mająca odwieźć ich do Kairu. Konwój sformował się jeszcze na terenie koszar. Na czele stanął transporter opancerzony, na którego wieżyczce przysiadł kapral Wilson.

Za nim stał samochód. Kierowcą znowu miał być sierżant Mulligan.

Czas wyjazdu został w ostatniej chwili przyspieszony o godzinę, więc panowało pewne zamieszanie.

Dwaj motocykliści, mający zamykać konwój, czekali za samochodem, paląc ostatniego papierosa w porannym słońcu. Zanosilo się na kolejny piękny, bezdeszczowy dzień.

Między Mulliganem i Whelbym znów wybuchła sprzeczka, która omal nie przerodziła się w regularną kłótnię. Whelby stał w biurze Mulligana z rękami w kieszeniach, tak że tylko kciuki wystawały ponad krawędzie, i z oślim uporem obstawał przy swoim:

- Jak wiecie, sierżancie, dzwoniłem do Kairu. Oczekuję pilnej odpowiedzi z Londynu via Szare Filary i muszę czekać na ten telefon.

Dogonię was, potrzebuję jedynie środka transportu z kierowcą. Niech pan nie zrzędzi, będę na czas przed odlotem.

Transporter w konwoju nie rozwija zbyt dużej szybkości...

- Może pan dostać tylko jeepa, otwartego jeepa bez żadnych zabezpieczeń - warknął Mulligan.

- Jeep mi wystarczy. Na pewno was dogonię.

- Jak pan chce. Samolot odleci według rozkładu. Nie będzie czekał na nikogo, nawet na pana.

Whelby widział przez okno, jak czworo pasażerów wsiada do samochodu. Lindsay, Paco, Reader i Hartmann, wszyscy zajęli miejsca z tyłu. Nikt nie usiadł z przodu obok Mulligana, na miejscu będącym biletem do przejechania się na tamten świat. Whelby dostrzegł wytaczający się przez bramę transporter.

Także inni ludzie obserwowali tę scenę. Policjanci, którzy nie pełnili służby, stali w oknach budynków, przylegających do dziedzińca, i śledzili wzrokiem odjeżdżający konwój. Oficjalnie nikt poza Mulliganem i samymi podróżnymi nie znał celu ich podróży, lecz wieści rozchodziły się błyskawicznie. Twarze w oknach były nieruchome. To milczące pożegnanie na wszystkich działało przygnębiająco.

Mulligan odczekał, aż transporter oddali się o sto metrów, i ruszył z miejsca. Whelby nawet nie drgnął, świadom obecności urzędnika, który siedział przy biurku w głębi pokoju. Samochód zniknął za bramą. Whelby z trudem zachowywał swą pełną chłodnej rezerwy pozę.

Tuż po wyjeździe motocyklistów przez wciąż otwartą bramę wjechał na pełnym gazie jeep, zahamował gwałtownie i zatoczył półkole na środku dziedzińca, podnosząc chmurę kurzu. Kierowca wysiadł i wszedł do biura.

- Kapral Haskins melduje się na rozkaz - zwrócił się do Whelbyego. - Pan Standish?

- Zgadza się.

Whelby zerknął wymownie w stronę milczącego telefonu na

biurku.

Wezwany przez Mulligana telefonicznie jeep przyjechał dużo szybciej, niż przewidywał.

- Jestem gotów, proszę tylko dać znać, sir! - oznajmił radośnie piegowaty Haskins. - Wiem, dokąd pana zawieźć.

- Lepiej niech pan trochę odpocznie, kapralu. Czekam na telefon z Kairu. Jeśli chce pan zapalić, proszę się nie krępować.

- To miło z pana strony, sir. - Haskins mrugnął do urzędnika, usiadł i wyjął paczkę papierosów. Mulligan zabraniał palić w swoim otoczeniu. Kapral pomyślał, że Standish wygląda na równego faceta.

Whelby zawsze robił takie wrażenie na podwładnych.

A sam Whelby myślał o ostrzeżeniu Właczka: "Żeby nie wiem co, nie jedź z nimi z powrotem na Lyddę..." - Nareszcie wyruszyliśmy do Londynu - oznajmiła Paco z radością. - Nie mogę się doczekać, kiedy tam przyjadę. Jestem taka szczęśliwa!, Jej szampański nastrój nieco rozproszył raczej przyciszoną atmosferę. Zajmowała miejsce z tyłu, mając naprzeciwko Hartmanna, przycupniętego na rozkładanym siedzeniu. Obok niej siedział milczący Lindsay z Readerem po przeciwnej stronie. Lindsay znów miał lekką gorączkę. Hartmann wsunął rękę do kieszeni i teraz ją wyjął. Paco zdążyła już dobrze poznać ten gest.

- Dalej - zachęciła go pogodnie. - Zapal sobie fajkę.

- Nie ma tu za wiele powietrza.

- Przysługuje ci wypalenie jednej fajki, zanim dojedziemy na lotnisko. Poranek jest taki śliczny...

Odkręciła okno po swojej stronie. Słońce świeciło na

czystym, błękitnym niebie. Hartmann uśmiechnął się z wdzięcznością, wyjął fajkę i zaczął ją nabijać.

- Gdzie jest Whelby? - spytał nagle Lindsay i wyprostował się sztywno.

W panującym przed wyjazdem pośpiechu nie zauważył, że Anglik nie wsiadł z nimi do samochodu. Na jego twarzy odbiło się przerażenie.

Odsunął szklaną przegrodę, oddzielającą ich od Mulligana, i powtórzył pytanie.

- Jedzie za nami w jeepie - odkrzyknął lakonicznie sierżant.

-Czekał na jakiś telefon z Kairu. Powiedziałem mu, że nie odłożę dla niego startu, więc niech robi, jak uważa.

- Rozumiem - odparł wolno Lindsay.

- Och, Ian, przestań marudzić! - Paco wsunęła mu rękę pod ramię.

Hartmann patrzył na nią z przyjemnością. Nigdy nie wyglądała bardziej dziewczęco, jej oczy błyszczały jak gwiazdy. Od chwili lądowania w Libii była niezwykle ożywiona. Hartmann ssął z zadowoleniem ustnik fajki. Samochód rozpoczął długi, kręty zjazd do Lyddy.

Odjazd konwoju obserwował pewien niepozorny cywil, który naprawiał przebitą dętkę swojego roweru w pobliżu koszar.

Odczekał jeszcze kilka minut i pojechał do znajdującej się niedaleko budki telefonicznej. Numer, z którym go połączono, odpowiedział natychmiast.

- Tu Danny - odezwał się cyklista.

- Mówi Mosze. No?

- Przesyłka jest w drodze.
- Czy wszystko zostało załadowane? Niczego nie brakuje?
- Niczego. Sam policzyłem paczki.
- Dobrze. W takim razie możesz teraz zająć się następną

dostawą.

Rowerzysta odwiesił słuchawkę. Następną dostawa była planowana na jutro. Danny miał popedałować do swojej kryjówki i czekać nazajutrz rano na telefon, mówiący mu, skąd ma odebrać ukryty zapas pistoletów. Telefon zadzwoni tylko wówczas, gdy wiadomość o zamachu pojawi się w gazetach i zostanie nadana przez radio.

Mosze wybiegł ze starego domu na obrzeżu miasta, położonego nie opodal drogi na lotnisko, i wyprowadził z szopy motor. Musiał mieć dosyć czasu na ukrycie maszyny, zanim stanie na posterunku.

Kapral Wilson z wieżyczki transporterów obserwował wszystko wokół, wypatrując najmniejszego ruchu. Jego stalowy wehikuł toczył się w dół na czele konwoju, jako osłona przed minami, które mogły zostać zakopane w ciągu nocy. Pojazd o takim ciężarze zdetonowałby każdą minę, dając pozostającemu sto metrów w tyle samochodowi gwarancję bezpiecznego przejazdu.

Jeżeli droga okazała się bezpieczna dla ciężkiej maszyny, była również bezpieczna dla dużo lżejszego osobowego wozu. Przeciwnik nie zaryzykowałby żadnej formy ataku bezpośredniego, mając w pobliżu transporter opancerzony, wyposażony w karabin maszynowy.

Konwój sunął w dół wzniesienia. Jeszcze trzy kilometry i dojadą do lotniska Lydda.

Mosze ukrył się za tymi samymi skałkami, zza których śledził wczoraj lądowanie dakoty. Lecz tym razem patrzył w przeciwną stronę, a szkła jego lornetki były wymierzone w miejsce na zboczu, gdzie droga ostro skręcała.

Mosze uważał się za patriotę. Jediną sprawą, która się dla niego liczyła, było założenie państwa Izrael. Brytyjczyków uważał za wrogów w równym stopniu, co Arabów. Najważniejszą zaś walutą, za którą można było kupić ojczyznę, była broń. Zrobiłby wszystko; aby otrzymać więcej broni, obojętne, z jakiego źródła.

Zobaczył wynurzający się zza zakrętu transporter. Żołnierz w wieżyczce obracał głowę to w tę, to w tamtą stronę. Mosze zastygł w bezruchu. Pojazd jechał dalej w dół stoku. W pole widzenia wjechał samochód osobowy.

Mosze przez potężne soczewki mógł dostrzec pasażerów w jego wnętrzu. Lindsay siedział z tyłu przy oknie od strony punktu obserwacyjnego. Za nim widać było jasnowłosą dziewczynę. Mosze w duchu wzruszył ramionami. Ile żydowskich dziewcząt zginęło w Europie?

Ostrożnie zdjął z szyi rzemień, na którym zawieszona była lornetka.

Schował ją do kieszeni. Założył rękawiczki. Nie odrywając wzroku od samochodu namacał dźwignię i objął ją obiema dłońmi. Karłowate drzewko na poboczu wskazywało miejsce, gdzie w nocy zakopano wielką minę. Ludzie Moszego wyrównali drogę i pokryli świeży odcinek warstwą kurzu. Od miny odprowadzono kabel, który biegł w górę zbocza do detonatora. Transporter opancerzony wykluczał użycie zwykłej miny.

Samochód dotarł do karłowatego drzewka. Mosze nacisnął dźwignię całą siłą obu rąk. Zatrzęsła się ziemia.

Samochód został rozbitý na kawałki. Straszliwy huk eksplozji był słyszalny na lotnisku Lydda. Przerażony kapral Wilson odwrócił się.

Spojrzał, schylił głowę i w ułamku sekundy zatrzaskał właz.

Grad kawałków metalu wyleciał w pełne słonecznego blasku powietrze i zabębnił w pokrywę jak odłamki szrapnela. Poskręcana, spalona rama podwozia została odnaleziona później na pobliskim polu. Średnica głębokiego krateru, wyrwanego przez wybuch miny, wynosiła prawie trzy metry. Nikt nie przeżył.

Gdy ustał łomot odłamków, Wilson odrzucił pokrywę i spojrzał na drogę. Samochód zniknął.

Nie ma nigdzie grobów Lindsaya, Paco, majora Lena Readera, majora Gustawa Hartmanna czy sierżanta Mulligana. Nie odnaleziono wystarczająco dużo szczątków, aby warto było je pogrzebać. W policyjnych koszarach urządzono cichą uroczystość ku czci ofiar.

Jeep, który nadjechał w pół godziny później, musiał zjechać z drogi, by ominąć wielki dół. Obsługi ambulansów patrzyły bezsilnie wokół. Lekarze nie mieli tu nic do roboty. Wilson wciąż był w stanie szoku. Whelby rzucił mu krótko:

- Najwidoczniej następny żydowski zamach. Takie są koleje wojny. Niech pan powie to prasie, jak się tu pojawią. Czeka na mnie samolot, więc będę się zbierał.

Na lotnisku spotkał Jocka Carsona, który przybył tu wcześniej, żeby sprawdzić samolot. Whelby potrząsnął tylko głową i bez słowa wsiadł do dakoty. Carson dałby wszystko, by móc z

powrotem wrócić na miejsce katastrofy, ale musiał pójść za nim.

Właśnie otrzymał z Szarych Filarów pilną depezę z rozkazem jak najszybszego powrotu do Egiptu. Po paru minutach maszyna wzbiła się w powietrze biorąc kurs na Kair.

Nazajutrz rano, po wysłuchaniu krótkiej wiadomości radiowej o zamachu na wojskowy samochód, Aaron Stein nakręcił numer telefonu w Szarych Filarach, który dał mu Lindsay. Poprosił o połączenie z porucznikiem Jockiem Carsonem z Sekcji 3.

- Nie ma tu nikogo o takim nazwisku - poinformował go operator. - Kto dzwoni?

- Musi być - upierał się Stein. - Kapitan Jock...

- Powiedziałem, że nie ma tu nikogo takiego. Kto dzwoni?!

Stein, przerażony tym obrotem sytuacji, odłożył słuchawkę, spojrzał na brata, a potem skierował wzrok na sejf w ścianie.

- Co teraz zrobimy z kopertą? Carson nie istnieje.

- Zostawmy ją tam i zajmijmy się własnymi sprawami. Żyjemy w niespokojnych czasach - odparł Dawid.

Nie mogli wiedzieć, że poprzedniego dnia, natychmiast po dotarciu do Kwatery Głównej, Carson znalazł czekający na niego rozkaz natychmiastowego wyjazdu na placówkę w Birmie. W tej samej chwili, kiedy Stein telefonował do Szarych Filarów, on znajdował się już w samolocie w połowie drogi do Indii. W archiwach wojskowych jest wzmianka o niejakim pułkowniku Carsonie z wywiadu wojskowego, który w jakiś czas później został zabity w Birmie.

Część czwarta

DZIĘCIOŁ

Rozdział czterdziesty czwarty

"Róża Chrystusa" i "Warta na Renie" - takie były dwa pierwsze kryptonimy, jakimi Hitler ochrzcił trzymaną w tajemnicy ofensywę, którą chciał rozpocząć na Zachodzie, po przemarszu przez lesiste, pocięte wąwozami Ardeny.

Lecz teraz nie było to opracowane i zaaprobowane przez fuhrera potężne uderzenie z 1940 roku, gdy przedarcie się niemieckich sił przez Ardeny do linii frontu na rzece Mozie obwieściło klęskę brytyjskiego korpusu ekspedycyjnego i zniszczenie wielkiej armii francuskiej.

"Jesienna Mgła".

Oto jaką nazwę wybrano ostatecznie dla nowej operacji w Ardenach, którą miały przeprowadzić niemieckie wojska. Datę wyznaczono na 11 grudnia 1944 roku. Alianci 6 czerwca wylądowali w zachodniej Europie i już zbliżali się do Renu. Od wschodu Armia Czerwona parła niezmordowanie przez Bałkany do środkowej Europy, zdobywając wciąż nowe tereny. Posuwała się naprzód, zawsze wiedząc z wyprzedzeniem o rozmieszczeniu sił przeciwnika dzięki dokładnym informacjom od Dzięcioła, przekazywanym za pośrednictwem Lucy.

- "Jesienna Mgła" to szalony projekt - powiedział w zaufaniu Jodl do Keitla w wagonie restauracyjnym pociągu fuhrera, "Ameryki"; który zmierzał do głównej kwatery Hitlera na

Zachodzie.

- Możliwe, ale dlaczego tak sądzisz? - domagał się wyjaśnień

Keitel.

- Pamiętam dokładnie jego wypowiedź z kwietnia 1940, gdy odrzucił pomysł nawiązania do strategii z I wojny światowej.

Powiedział dokładnie te słowa: "To tylko stary plan Schlieffena - nie może się udać drugi raz z rzędu..." A teraz popełnia ten sam błąd. "Jesienna Mgła" to powtórzenie jego błyskotliwego planu strategicznego, gdy byliśmy tutaj w 1940...

- Może chciałby podzielić się pan swoimi obiekcjami z tym jegomościem - zaproponował Keitel. Do wagonu wszedł właśnie Martin Bormann.

Reichsleiter, jak zawsze dumnie wyprostowany, pomimo postury karła, kroczył majestatycznie przez wagon. Patrzył badawczo na każdego pasażera w sali jadalnej, jakby wciąż próbował wykryć zdrajcę, który zaszył się w najbliższym otoczeniu fuhrera.

Wzrok Bormanna padł na Jodla, który ironicznie odwzajemnił spojrzenie. Kiedy reichsleiter minął ich stół, szef sztabu podjął rozmowę w punkcie, w którym ją przerwał:

- Cała ta sprawa wydaje mi się bardzo dziwna - jakby fuhrer z roku 1940 był kimś zupełnie innym od fuhrera z roku 1944.

- Jest chory. Jego zdrowie zostało podkopane przez wybuch bomby w Wilczym Szańcu...

Keitel urwał i sięgnął po chleb. Jodl dobrze znał tę jego metodę postępowania - wypowiadał okrągłe zdania, w których, gdy się uważnie wsłuchać, nie znalazło się absolutnie nic, co można byłoby wysunąć przeciwko niemu.

- Mamy nawet kwatery w Felsenest, w tym samym miejscu, co wtedy - ciągnął Jodl. - W Orlim Gnieździe. Według mnie to niepokojący omen dla "Jesiennej Mgły".

- Panowie! - dobiegł ich głos Bormanna z końca wagonu.

-Konferencja u fuhrera. Natychmiast, jeśli pozwolicie. Śniadanie poczeka.

- Śniadanie wystygnie - mruknął Keitel.

"Jesienna Mgła" rozproszyła się bez śladu. Dosłownie.

Pancerne dywizje posuwały się naprzód przez spowite mgłą lasy Ardenów, przedzierając się ku kluczowym mostom na Mozie, podobnie jak to robiły w maju 1940 roku.

Potem pogoda uległa zmianie. Niebo się przejaśniło i alianckie siły powietrzne przytoczyły wozy pancerne ulewą ognia, zmuszając niemieckie pantery i tygrysy do odwrotu. Wyglądało na to, że Hitler utracił swój militarny geniusz.

Fuhrer przybył do Felsenest 11 grudnia 1944 roku. Wyjechał stąd do Berlina 15 stycznia 1945 ze swoją świtą, w skład której wchodziło nieodłączne trio: Bormann, Jodl i Keitel. Nie opuścił już stolicy Niemiec, pozostał tu do śmierci. 30 kwietnia 1945 roku Berlin stał w płomieniach. Dym i spadające popioły mieszały się z czerwonym blaskiem pożarów, tworząc obraz piekła. Armia Czerwona posuwała się ku centrum miasta i była już blisko podziemnego bunkra, gdzie Hitler i Ewa Braun popełnili samobójstwo.

Ich ciała wyniesiono na podwórko przed bunkrem, oblano obficie benzyną i podpalono. Nie zostało z nich nic prócz kości.

Pozostali członkowie świty Hitlera, ogarnięci paniką,

próbowali znaleźć drogę ucieczki przed Rosjanami i oddać się w ręce aliantów.

Wczesnym rankiem 1 maja Martin Bormann dołączył do grupy uciekających.

Planowali, że przedostaną się wzdłuż torów podziemnej linii metra, ze stacji pod Wilhelmplatz. Skryci w ten sposób przed wzrokiem sowieckich patroli na ulicach, wyszliby ponownie na powierzchnię na stacji Fredrichstrasse. Następnie mieli zamiar sforsować Sprewę i prześliznąć się cichaczem przez linie rosyjskich wojsk.

Od samego początku realizacja planu nastęczała trudności. Miasto, bombardowane przez sowieckie armaty, właściwie przestało istnieć.

Ulice tarasowały olbrzymie zwały gruzów, w polu widzenia nie było choć jednego całego, nie zniszczonego budynku. Ceglany pył unosił się wszędzie, pokrywał ubrania, wciskał się do ust.

- Nie wolno nam się zatrzymywać - powiedział Bormann Arturowi Axmannowi, przywódcy Hitlerjugend. - Schowajmy się za ten czołg, ochroni nas przed ogniem z broni ręcznej.

Potyając się brnęli przez noc. Niemiecki czołg osłaniał ich niczym ruchoma ściana, plując nieustannie ogniem w linie wroga. Noc powoli przechodziła w dzień w nieustającym krwawym blasku rakiet, znaczących czerwony ślad na niebie. Hałas był taki, że niemal pękały bębunki w uszach. Wokół wybuchały sowieckie pociski. Jeden z nielicznych stojących jeszcze budynków runął - mury rozstąpiły się i rozsypały w gruzy. Azjatyckie hordy najechały jedną z największych stolic Zachodu.

- Schylić się! - krzyknął Bormann.

Powietrze przeszył złowieszczy syk. Coś uderzyło w czołg, pod którego osłoną usiłowali uciec z miasta. Czołg się zatrzymał, buchnął smolistym płomieniem. Mundur reichsleitiera był brudny i, poczerniały od dymu. Bormann zostawił Axmanna skulonego za kupą gruzu.

Poszedł dalej naprzód.

Ostatnim świadkiem, widzącym Bormanna żywego, był major S.S, Joachim Tiburtius. Podczas wybuchu pocisku, który zniszczył czołg, znajdował się blisko reichsleitiera i jego towarzysza. Po eksplozji nie dostrzegł nigdzie Bormanna. Przedostał się do niemieckich linii obronnych, które jeszcze się trzymały ostatkiem sił.

Kwadrans później Tiburtius idący samotnie przez piekło, jakim stał się Berlin, zobaczył ocalały budynek między otaczającymi go ruinami, które odcinały się na tle blasku płomieni jak wyszczerbione zęby. Był to hotel Atlas. Tiburtius wszedł do środka.

W hallu stanął jak wryty ze zdumienia. Ku wyjściu szedł Martin Bormann. To, że przeżył, można było uznać za cud. Nie miał jednak już na sobie swego munduru. Znalazł gdzieś cywilne ubranie i przebrał się. Major Tiburtius czekał osiem lat z wyjawieniem, co widział tamtej nocy. Jego relacja została opublikowana w berneńskiej gazecie "Der Bund", w numerze z 17 stycznia 1953 roku.

On (Bormann) przebrał się już wtedy w cywilne ubranie.

Przedzieraliśmy się razem w kierunku Schifibauerdamm i

Albrechtstrasse. Wtedy ostatecznie straciłem go z oczu...

Stalin osobiście, w ścisłej tajemnicy wysłał do Berlina specjalny oddział Armii Czerwonej, obarczony podwójnym zadaniem. Niezwykły był fakt, że do grupy jedenastu uzbrojonych po zęby mężczyzn dołączono tłumacza - i że tłumaczem tym była kobieta, Helena Rżewska.

Bodaj dziwniejsze było to, że to właśnie Rżewska dowodziła oddziałem. Jej pierwszym zadaniem, o którym dowiedziała się z ust samego Stalina, było znalezienie Hitlera - "żywego lub martwego".

Zaledwie kilometr od hotelu Atlas Bormann wpadł prosto w objęcia oddziału. Stał nieporuszony, kiedy otoczyli go ludzie w mundurach czerwoarmistów, mierzący do niego z pistoletów maszynowych. Był zdumiony, gdy zjawiała się Rżewska i zwróciła do niego płynną niemiecką:

- Martin Bormann?

- Tak jest.

- Gdzie możemy znaleźć Hitlera?

- Przed wejściem do podziemnego bunkra przy ruinach nowej Kancelarii Rzeszy. Mogę wam powiedzieć, jak się tam dostać.

- To nie będzie potrzebne - ucięła Rżewska. - Mamy mapę całego Berlina.

- Zostały z niego tylko kości - ciągnął Bormann. - Ciała oblano benzyną...

- Ciała?

- Razem z nim spalono Ewę Braun. Pobrali się tuż przedtem.

- Szczegóły może pan nam podać później - powiedziała Rżewska szorstko. Wydała parę krótkich rozkazów po rosyjsku i siedmiu z

jej ludzi zniknęło. - A teraz, panie Bormann -ciągnęła - pójdzie pan z nami. Czeka na pana samolot, który ma zabrać pana do Moskwy.

Sowiecki samolot, wiozący Rzewską, Bormanna i czterech członków oddziału specjalnego, wylądował na wojskowym lotnisku pod Moskwą.

Stały tu w pogotowiu dwie wielkie, czarne limuzyny z oknami zasłoniętymi firankami koloru bursztynu.

- Pan usiądzie ze mną z tyłu - poleciła Rzewska Bormannowi.

Wciąż panował mrok, posępny mrok przedświt, a z nieba sypał śnieg, gdy pierwsza limuzyna wjechała na Kreml. Reichsleiter zerknął ciekawie przez szybę, mając w pamięci opis tego dziwnego miejsca, przytoczony przez Ribbentropa po jego powrocie z konferencji w sierpniu 1939. Podpisano wtedy układ niemiecko - rosyjski, układ, który doprowadził do wybuchu II wojny światowej.

Limuzyna w drodze z lotniska jechała z zapierającą dech szybkością, a teraz, wjeżdżając do tajemniczego wewnętrznego miasta, ledwie sunęła naprzód. Bormann miał wrażenie, że zostawia za sobą całe swoje dotychczasowe życie.

Samochód przejechał przez dziedziniec obok największej armaty, jaką swego czasu zrobiono - tak ogromnej, że nikt nigdy nie odważył się z niej wystrzelić. Bormann patrzył ciekawie na drewniane domy i cerkwie, które tworzyły swoisty, odrębny świat. W końcu limuzyna zatrzymała się przed nowoczesnym budynkiem administracyjnym.

Bormann ponaglany przez Rzewską wszedł do środka. Tu w niewielkim pokoju czekał na nich Stalin. Towarzyszył mu jeden

tylko człowiek - Ławrientij Beria. Sowiecki przywódca w mundurze generalissimusa poczekał, aż Rżewska zniknie za drzwiami.

Stalin wskazał na Bormanna i przemówił zwyczajnym głosem, lecz ze złośliwym błyskiem w żółtawych oczach:

- To jest Dzięcioł.

Beria zaniemówił. Do jego wszystko słyszających uszu doszły wieści o wysłaniu do Berlina specjalnego oddziału i zastanawiał się, dlaczego nie skorzystano z usług NKWD. Teraz zaczynał rozumieć. Przez chwilę kręcił w palcach pince - nez wpatrując się w stojącego obok generalissimusa mężczyznę. Martin Bormann nie wyglądał już jak karzeł. On i Stalin byli mniej więcej tego samego wzrostu i tuszy.

- Więc mieliście dojdzie do samej głównej kwatery Hitlera...

- Od chwili gdy nas zaatakował.

- Zdaje się, że potrzebował pan wiele czasu, żeby mi wreszcie uwierzyć - zauważył Bormann z pretensją.

Spokojna zazwyczaj twarz Berii teraz zmartwiała. Stalinowi nikt nigdy nie przerywał. Lecz na generalissimusie ta impertynencja zdawała się nie robić najmniejszego wrażenia. Z chytrym wyrazem twarzy pociągnął za wąsa.

- Zostaliście podstawieni wiele lat temu. Musiałem mieć pewność, że nikt nie przejrzał waszej roli szpiega. Przecież mogliście zostać zmuszeni do dostarczania nam fałszywych informacji.

- Nieźle sobie poradziłem z nowym Hitlerem - pysznił się Bormann.

- Ach! Drugi Hitler... - Stalin był rozbawiony. - On nigdy

nie istniał. To był zawsze ten sam dawny Hitler. Taka będzie
nasza wersja historii, nieprawdaż, Beria?

- Oczywiście.

- Możecie polegać na mojej dyskrekcji - zapewnił Bormann.

- Jestem tego pewny! - Stalin zarechotał. - Naturalnie

zabiorą was w inne miejsce w celu przesłuchania...

- W pewnym sensie - wtrącił przymilnie Beria - można nawet
powiedzieć, że to Dzięcioł wygrał wojnę.

- Nie posunąłbym się aż do takiego stwierdzenia - odparł
Bormann z nieprzekonującą skromnością.

- Czas na formalne przesłuchanie - rzekł gwałtownie Stalin.

-Samochód czeka na was przy głównym wejściu.

Nacisnął przycisk dzwonka. Na ten sygnał w drzwiach pojawili
się trzej funkcjonariusze NKWD w cywilnych ubraniach, jakby
czekali na wezwanie. Odprowadzili oszołomionego Bormanna z
powrotem do limuzyny, którą przyjechał na Kreml. Ten sam kierowca
zawiózł go kawałek dalej, na plac Dzierżyńskiego, pod osławiony
numer 2 -nijaki gmach z szarego kamienia, w którym mieściła się
siedziba NKWD. Jak na ironię, przed rewolucją stanowił on
własność Towarzystwa Ubezpieczeniowego "Rossija".

Limuzyna wjechała na podwórzec otoczony czworobokiem
budynków, które odgradzały go od świata. Powiało grozą. Było tu
ciemno i cicho. Tego dnia nikt nie pracował w wielkich gmachach.
Cały personel dostał dzień wolny "z okazji zdobycia Berlina".

Bormann wysiadł z samochodu. Do jego trzyosobowej eskorty
dołączyło dwóch kolejnych funkcjonariuszy NKWD po cywilnemu.

Niezwłocznie założono mu kajdanki i ustawiono pod murem.

Pięciu uzbrojonych w karabiny mężczyzn uformowało pluton egzekucyjny.

Bormann ujrzał wycelowane w siebie lufy. Osunął się bezwładnie na ścianę w pełnym przerażenia niedowierzaniu.

- Ognia...!

Naśladując precedens z ciałem Hitlera, trupa oblano benzyną i podpalono. Popioły zostały później rozsypane z powietrza nad jeziorem Pejpus.

Po zebraniu popiołów przybył na miejsce dużo większy kontyngent funkcjonariuszy NKWD, zupełnie nieświadomych tego, co zdarzyło się tu niedawno. Powiedziano im, że kilku ich kolegów zostało uznanych winnymi zdrady stanu. Pięciu ludzi - pluton egzekucyjny zostało zastrzelonych, razem z kierowcą limuzyny i pilotem samolotu, którym Bormann przyleciał do Moskwy. Teraz pozostała przy życiu tylko jedna osoba, poza Stalinem i Bериą, która wiedziała, że Martin Bormann w ogóle dotarł do Moskwy.

W swoim biurze na Kremlu Stalin czekał wraz z Bериą na pierwszy telefon. Generalissimus był pogodny, odprężony. Pałac fajkę gawędził z szefem bezpieczeństwa wewnętrznego.

Gdy aparat zadzwonił, własnoręcznie podniósł słuchawkę. Słuchał krócej niż minutę i zakończył rozmowę. Pyknął kilka razy z fajki i dopiero wtedy odezwał się do Berii:

- Bormann nie żyje. Zaczynij kampanię pogłosek. Może nawet sam przyłożę do tego rękę...

- A co z kośćmi drugiego Hitlera? - odważył się wysunąć wątpliwość Beria.

- Zostały już zebrane przez oddział specjalny, który

pojechał z Rzewską do Berlina, i rozsypane nad Bałtykiem. Tak więc nigdy nie zostaną odnalezione. Było to nieodzowne zakończenie tej wojny. Nie możemy ryzykować odrodzenia się kultu faszystów, zostawiając im grób fuhrera jako obiekt czci, nieprawdaż?

- Oczywiście. Znakomicie pomyślane.

Beria mądrze nie dodał nic więcej. Wiedział, że istniał tuzin innych powodów, dla których zwerbowany tyle lat temu wierny Dzięcioł musiał zniknąć. Generalissimus konsekwentnie tworzył przyszły obraz samego siebie. Będzie uważany za militarne geniusza, który wygrał wojnę dzięki swoim zdolnościom. Mit ległby w gruzach; gdyby ktokolwiek dowiedział się, że pięciomilionowa Armia Czerwona, odepchnięta daleko na wschód, przeszła z powrotem przez całą Europę dzięki temu, że jej głównodowodzący znał z góry plany operacyjne wojsk niemieckich.

Równie istotne było ukrycie w tajemnicy istnienia drugiego Hitlera.

Gdyby fakt ten wyszedł na jaw, dałby podwaliny pod nowy mit prawdziwego fuhrera, który rzeczywiście był militarnym geniuszem.

Pokonał sprzeciw swoich generałów sankcjonując zuchwałą inwazję na Danię i Norwegię w 1943 roku. Z taką samą intuicją podarł na kawałki Plan Schlieffena, dotyczący zachodniej ofensywy, a także udzielił poparcia Mansteinowi i Guderianowi oraz ich projektowi wojny błyskawicznej, Blitzkriegu, z przejściem przez Sedan i atakiem na Francję i Wielką Brytanię.

Gdyby agenci zachodniego wywiadu znaleźli pozostałości spalonych zwłok Hitlera - a szukali ich gorliwie pod

przewodnictwem Trevor-Ropera - patolodzy mogliby udowodnić, że są to szczątki innej osoby.

Opowieść ta zaczyna się i kończy rozlewem krwi. Śmierć fuhrera na pokładzie samolotu ze Smoleńska, który rozleciał się w powietrzu tuż przed lądowaniem w Wilczym Szańcu, zapoczątkowała długi łańcuch ofiar.

Z podobnych powodów Stalin zlikwidował wszystkich - z wyjątkiem dwóch osób - wiedzących o przyjeździe Bormanna do Moskwy.

Ludzie, którzy zastrzelili Bormanna, zostali z kolei uśmierceni przez ludzi, nie mających pojęcia o egzekucji.

Jednym z wyjątków była Helena Rżewska, dowódca oddziału specjalnego wysłanego do Berlina. Nawet dyktatorom zdarza się zachowywać niekonsekwentnie. Istnieją dowody na to, że Stalin miał słabość do tej nieprzeciętnej kobiety, która poprowadziła grupę swoich ludzi w szalejące berlińskie piekło.

- Helena, jesteś jedyną oprócz mnie i Berii żywą osobą, która wie, co się naprawdę stało. Więc jeśli w przyszłości rozejdzie się jakaś pogłoska, będę wiedział skąd pochodzi, zgadzasz się ze mną?

Prawdopodobnie doszło do podobnej rozmowy. Faktem jest, że w roku 1965, a więc dwanaście lat po śmierci Stalina, Helena Rżewska ogłosiła w sowieckim piśmie "Znamia" artykuł zatytułowany: "Notatki berlińskie". Wspomniała w nim o misji specjalnej, w jakiej wysłano ją do Berlina, aby znaleźć Hitlera "żywego lub umarłego". Artykuł był mętny i nie zawierał żadnej wzmianki o Martinie Bormannie. Było to w czasie "wielkiej

odwilży". Dwa lata później, w 1967 roku, Jurij Andropow objął stanowisko szefa bezpieczeństwa i przywrócił złowrogą potęgę KGB.

Jak to oświadczył w rozmowie z Berią, Stalin sam dał pożywkę plotkom o ucieczce Bormanna do Ameryki Południowej, rozpuszczanym przez agentów NKWD. W rozmowie z Harrym Hopkinsem, specjalnym wysłannikiem prezydenta Roosevelta, mimochodem wtrącił uwagę:

- Mam duże wątpliwości, czy Hitler naprawdę nie żyje. Z pewnością udało mu się zbiec i ukrywa się teraz w Argentynie wraz z Martinem Bormannem.

To było jedyne epitafium dla Dziećcioła, jakie wygłosił Stalin.

Epilog

Autor tej książki, powróciwszy kilka lat temu z zagranicy, spotkał Dawida Steina. Nie jest to jego prawdziwe nazwisko), pośrednika w handlu diamentami, mieszkającego w Hampstead. Pokazano mu otwartą kopertę, która zawierała oprawiony w czarną skórę notes. Na kopercie widniały następujące słowa:

Relacja z mojej podróży do Trzeciej Rzeszy w roku 1943 i późniejszego pobytu w Jugosławii. W razie mojej śmierci oddać porucznikowi Jockowi Carsonowi, Sekcja 3, Szare Filary, Kair, Egipt. Ian Lindsay, podpułkownik lotnictwa.

Autor nie dostał pozwolenia na zabranie dziennika, przeczytał go więc w biurze Steina. Gdy go zwrócił, odniósł wrażenie, że dokument wkrótce zostanie zniszczony. Stein

wytłumaczył, że myśl o wtargnięciu do jego domu pracowników służby bezpieczeństwa jest mu wstrętna.

Jego brat, Aaron, zginął niedawno w wypadku samochodowym.

Los niektórych pierwszoplanowych postaci w tej historii został utrwalony w dokumentach. Wszystkie fakty można znaleźć w archiwach historycznych.

Generał Alfred Jodl. Sądzony za zbrodnie wojenne w Norymberdze.

Skazany. Powieszony.

Feldmarszałek Wilhelm Keitel. Sądzony za zbrodnie wojenne w Norymberdze. Skazany. Powieszony.

Brygadier Roger Masson. Szef szwajcarskiego wywiadu wojskowego przeżył wojnę. Człowiek, który ochraniał Lucy (a tym samym, nie wiedząc o tym, Dzieńcioła) przeszedł na emeryturę pod koniec wojny. Oskarżony o kolaborację z nazistami, z powodu swoich kontaktów z Schellenbergiem, musiał przejść dochodzenie rządowe, które całkowicie oczyściło go z wszystkich zarzutów. Pomimo to zgorzkniał i usunął się w zacisze swojego domostwa, skąd rozciągał się widok na całe Vevey nad Jeziorem Genewskim.

Rudolf Roessler. Astmatyczny Niemiec o pseudonimie Lucy, który odegrał jedną z najbardziej niezwykłych ról w historii, z nadejściem pokoju stracił poczucie sensu życia. Oddawał się swojej pracy, będącej częścią dzieła pokonania Hitlera, z takim poświęceniem, że gdy osiągnął cel, czuł się jak ryba wyrzucona na brzeg. Rozczarowany i zgorzkniały, zmarł w październiku 1958 roku. Jego grób można obejrzeć na cmentarzu w Kriens niedaleko Lucerny. Na niewielkiej marmurowej tablicy wyryty jest krótki

napis: "Rudolf Roessler.

Walter Schellenberg. Szef SD, służby bezpieczeństwa S.S, dotarł pod koniec działań wojennych do linii aliantów. Następne trzy lata spędził w Wielkiej Brytanii jako gość Secret Service, której bez wątpienia dostarczył bezcennych informacji. Sądzony w Norymberdze, powinien wyjść z tego bez szkody, lecz sowiecki sędzia upierał się przy werdykcie: "Winny". Skazany na sześć lat więzienia, został zwolniony w 1951 z powodu złego stanu zdrowia. Zmarł kilka lat później.

Tim Whelby. W 1944 roku otrzymał awans. Miał kierować nowym departamentem, jaki SIS utworzył w celu prowadzenia działalności kontrwywiadowczej. Strefa działań: pozostające pod radziecką okupacją tereny Europy Wschodniej.

Wszystko to wydarzyło się dawno, dawno temu.

KONIEC